


MIŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ I MEDYCYNĄ

JOLANTA  
KOSOWSKA

# Niepamięć

BUKOWY LAS



MIŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ I MEDYCYNĄ

JOLANTA  
KOSOWSKA

# Niepamięć

BUKOWY LAS

Chorwacja... Nigdy tu wcześniej nie byłem. Do Splitu dotarłem późnym popołudniem. Najpierw chciałem zobaczyć tamto miejsce, wejść przez tamtą bramę od zachodniej strony na teren pałacu cesarza Dioklecjana. Ruszyłem wzdłuż jego murów, przepychając się ciasno porozstawianymi na chodnikach stolikami. Przeszedłem między dwoma szpalerami palm sięgających swymi czuprynami ponad starożytne mury, omijając wszechobecne budy, oferujące cały wachlarz cudów znad Adriatyku, skręciłem nagle ostro w prawo. Do tej wysokości Romek podwiózł Katarzynę. Dalej poszła już sama. Wysiadała z samochodu powoli, jakby z ociąganiem. Odwróciła się na chwilę, zbliżyła rękę do ust, symbolicznym gestem przesała mu pocałunek... Później jeszcze raz wróciła, chciała się upewnić, czy aby jednak z nią nie pójdzie, pomachał jej ręką, po chwili zniknęła w tej bramie...

JOLANTA  
KOSOWSKA

# Niepamięć

BUKOWY ● LAS

Wszystkie osoby i zdarzenia opisane w książce są fikcją literacką

Copyright © for the Polish edition by Jolanta Kosowska-Strzelczyk and Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2012

ISBN 978-83-63431-14-3

PROJEKT OKŁADKI: Mariusz Banachowicz  
REDAKCJA: Małgorzata Wieczorek  
KOREKTA: Bogusława Otfinowska, Urszula Włodarska  
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

**WYDAWCA:**

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.  
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław  
www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl



**WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:**

Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01  
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

# Michał

\* \* \*

Zobaczyłem go właściwie od razu. Myślę, że każdy z siedzących w barze ludzi zwrócił na niego uwagę. Nie pasował do otoczenia, wyróżniał się, odcinał się ostro od zadymionego, przesiąkniętego cichym szmerem rozmów i wyraźnie za głośną jazzową muzyką tła. Lubiłem tę knajpę. Tu nikt nigdy nikogo o nic nie pytał. Przy sąsiednich stolikach siedzieli przeważnie bardzo młodzi ludzie, rozchichotani, rozgadani, zajęci własnymi sprawami. Nikt tu nikomu nie przeszkadzał. Czułem się bezpiecznie. Idealnie zlewałem się z otoczeniem. Byłem szary i anonimowy, a na szarości i anonimowości zależało mi wtedy najbardziej. Przesiadywałem tu codziennie całymi godzinami, przychodziłem wczesnym popołudniem, tuż po otwarciu, wychodziłem z ostatnimi gośćmi. Barman traktował mnie już od dawna jak dobrego starego klienta – nigdy żadnych burd, żadnych awantur, wciąż jeszcze wypłacalny. Może mi jednak nie płacili aż tak źle, skoro wystarczało codziennie od popołudnia do późnej nocy i od pierwszego do ostatniego dnia każdego miesiąca. Słuchałem muzyki, wychylałem kolejne kieliszki. Świat wokół mnie sprowadzał się do przesuwających się przed moimi oczami obrazów – ktoś przychodził, ktoś się z kimś witał, ktoś coś zamawiał, ktoś tańczył... Czułem się trochę jak widz w kinie, tyle że tutaj poza obrazem i dźwiękiem były jeszcze zapachy – zapach papierosowego dymu, tanich perfum, ostrych wód kolońskich, alkoholu... Takie życie na niby, toczące się obok normalnego życia, wszystko jakby bez większego sensu, ja jednak tylko dzięki temu nadal trwałem. Wiedziałem, że jeżeli uda mi się jakoś przeżyć porannego kaca, wykłady i zajęcia ze studentami, asystę na sali operacyjnej, a później te wlokące się w nieskończoność rozmowy z pacjentami, to już wczesnym popołudniem będę mógł się bezpiecznie zatopić w tę moją nicość. Nie widziałem tutaj nigdy żadnej znajomej twarzy, było zbyt daleko od uczelni, daleko od centrum, daleko od urokliwych, odwiedzanych często przez turystów zakątków miasta. Taka mała knajpa w zapomnianej przez Pana Boga dzielnicy dużego miasta. Wspaniałe miejsce dla każdego, kto chciał się ukryć. I nagle w tym idealnym, dla mnie stworzonym świecie zobaczyłem jego. Trudno go było nie zauważyć – dobrze skrojony garnitur, bijąca nieskazitelną bielą koszula, ostre jak brzytwa kanty spodni i do tego wszystkiego idealnie dobrany krawat. Rozglądał się wokół trochę niepewnie. Nie przywykł chyba do takich miejsc, a może już zdołał o nich zapomnieć.



Byłem pewny, że przyszedł po mnie. Ciekawe tylko, skąd wiedział. Zauważył mnie prawie od razu. Siedziałem trochę niefortunnie – w pobliżu baru. Byłem zbyt leniwy, żeby daleko chodzić, zbyt leniwy, żeby przeciskać się ciągle pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami.

– Znowu jesteś pijany! – zaczął bez żadnego wstępu. – Mam już tego dosyć! Nie widziałem jeszcze, jak żyję, takiego idioty. Pijany jak bela!

Wolski wyciągnął mnie z knajpy, rzucił na tylne siedzenie swojego samochodu, zawiózł do mojego mieszkania. Szedł tuż za mną, gdy chwiejnym krokiem próbowałem zmierzyć się z pochyłością schodów. Przyglądał się z nieukrywaniem zainteresowaniem, jak z trudem otwierałem kluczem drzwi mieszkania. Rozejrzał się z obrzydzeniem po dawno już niesprzątanym mieszczeniu. Sterty porozrzucanych wszędzie ubrań, piętrzące się brudne naczynia, dziesiątki niedopałków, duchota od dawna już niewietrzonych wnętrz, pomięta pościel... Wszystko przesiąknięte smrodem papierosowego dymu, pokryte grubą warstwą kurzu. Z trudem znalazł jakieś w miarę czyste naczynia. Przygotował szklanekę mocnej kawy i wodę z solą. Jednym ruchem ręki zrzucił ubrania leżące na fotelu. Usiadł. Odruchowo odsunął od siebie stojące na ławie brudne naczynia. Gadał, gadał, ciągle gadał.

– Idiota, totalny idiota! I pomyśleć, że byłeś moim najlepszym studentem, moją chlubą. Moje nadzieje obrzygane i utyłane w błocie, mózg młodego naukowca przesiąknięty alkoholem – nie przerywał sobie nawet wtedy, kiedy biegłem w kierunku ubikacji.

– Wzór cnót wszelkich, przykład nienagannej etyki i postawy lekarskiej... Kompletny degenerat! Czy możesz mi powiedzieć, co ty właściwie wyczyniasz? Czy możesz mi choć trochę wyjaśnić, co ty dzisiaj wygadywałeś na tym wykładzie? – mówił głośno, coraz głośniej, wrzeszczał. Znałem dobrze starego. Był wściekły.

– Co w ciebie, do diabła, wstąpiło? Dobrze wiesz, że studenci nagrywają wykłady. Szczególnie twoje. Ukochany wykładowca wszystkich studentów, w ubiegłym roku laureat nagrody za najlepsze zajęcia, uwielbiany, jedyny, niepowtarzalny asystent... – szydził. – Dziesiątki zakochanych w tobie studentek. Dziesiątki włączonych dyktafonów tylko po to, żeby nie uronić ani słowa, żeby cię słuchać i słuchać bez końca. Złotousty nauczyciel medycyny i etyki zawodowej. Co ty, do cholery, wyczyniasz? – wrzeszczał. – Po twoim dzisiejszym wykładzie wylądowało u mnie na biurku parę dyktafonów. Studenci są przerażeni. Niepokoją się o ciebie, żądają ode mnie szybkiej pomocy, natychmiastowej interwencji... Ich ukochany asystent ma ciężką depresję z myślami samobójczymi, a uczelnia nie robi nic, aby mu pomóc. Wszyscy boją się o swojego uczelnianego idola. Co ty właściwie robisz? – Przestał już krzyczeć, teraz mówił spokojnie, przyglądając mi się uważnie. – Byłeś pijany na wykładzie? – spytał. – A może ty jeszcze coś do tego bierzesz? Może to nie tylko alkohol? Może to jeszcze jakieś prochy? – Wolski nie odrywał ode mnie oczu. Chciał i musiał się dowiedzieć. Jego wzrok przesunął się powoli po mojej twarzy. – Czy ty w ogóle pamiętasz, co dzisiaj wygadywałeś?

– Tak naprawdę, to nie za wiele... – odpowiedziałem szczerze.

Pamiętałem tylko, że miałem wspaniały pomysł na te zajęcia. U mnie każdy wykład musiał być inny, każdy musiał być czymś niepowtarzalnym, jedynym w swoim rodzaju, czymś, co na zawsze zapadnie w pamięć słuchaczy. Nie wygłosiłem jeszcze nigdy dwóch takich samych wykładów. Tu nie chodzi o suchą wiedzę – tę studenci znajdują w książkach –

setki definicji, tabel, statystyk, nudną histologię, nie zawsze porywającą patogenezę i tysiące innych rzeczy, które muszą znać i które być może kiedyś pozwolą im się przez krótką chwilę cieszyć złudnym wrażeniem, że uratowali ludzkie życie. Moje wykłady mają zupełnie inny cel. Medycyna to nie tylko wiedza. Czystą wiedzą mogą być matematyka, chemia, fizyka... Medycyna jest czymś innym, to wiedza i ludzie, a tam, gdzie są ludzie, są i emocje. Zawsze uważałem, że nabór na studia medyczne jest w swej formie niedoskonały, prawie przypadkowy. Najwybitniejsi... Ale co to właściwie znaczy: „najwybitniejsi”? Najlepsi uczniowie, najlepsi maturzyści, absolwenci najlepszych szkół, laureaci olimpiad przedmiotowych, zwycięzcy konkursów... Naj... Co właściwie znaczy to: „naj”? Kto jest w stanie przewidzieć i zagwarantować, kto tak naprawdę będzie lepszym lekarzem – wybitny student, który zdołał przyswoić sobie niemalże całą wiedzę, ale w pogoni za nią utracił kontakt z rzeczywistością, kontakt z drugim człowiekiem, nie rozumie nikogo poza sobą, jest całkowicie pozbawiony empatii, czy przeciętniak z dużą dawką zrozumienia dla innych ludzi? Kto jest lepszym lekarzem: wspaniały diagnosta o chamowatym zachowaniu pozbawiony zupełnie wrażliwości, bez skrupułów zmierzający do celu, okaleczający psychicznie chorego i jego rodzinę, stawiający diagnozę jak pomnik swej wiedzy i doskonałości, bez baczenia na to, czy jest w stanie w czymkolwiek ulżyć choremu, czy też przeciętny, niedoskonały lekarz przyjaciel? Na te pytania chyba jeszcze nikt nie znalazł odpowiedzi. Recepty na rozwiązanie tego dylematu jeszcze chyba nikt nie wymyślił. Jak znaleźć równowagę między empatią, która pozwoli zrozumieć drugiego człowieka, a asertywnością, która pozwoli zachować samego siebie? Jak nie oddawać siebie po kawałku każdego dnia, żeby po latach nie stwierdzić z przerażeniem, że ten dawny „ja” już nie istnieje? W miarę jak dokonuje się postęp nauki, zmierzamy w kierunku idealnego profesjonalizmu pozbawionego ludzkiej twarzy, z drugiej zaś strony giniemy przygniatani nieszczęściami całej ziemi. Nie znam nikogo, komu udałoby się zachować złoty środek, kto byłby dobrym lekarzem i nadal całkiem normalnym człowiekiem. Uczyłem czegoś, czego sam jeszcze do końca nie rozumiałem. Moje wykłady miały być tym pomostem łączącym medyczną wiedzę z życiem, miały nadać jednostkom chorobowym twarz konkretnych ludzi, medyczną anamnezję połączyć z realiami czyjegoś życia...

Ale to było dawno... To było parę miesięcy temu. Teraz to już nie miało dla mnie takiego znaczenia. Prawdę mówiąc, nie miało już żadnego znaczenia. Co ja takiego powiedziałem? Co ja takiego mogłem powiedzieć? Próbowałem cokolwiek odnaleźć w pamięci, cokolwiek sobie przypomnieć. Z początkiem ubiegłego tygodnia przygotowałem trzy przypadki kliniczne, wprowadzające do tematu wykładu. Wczoraj wieczorem analizowałem otrzymane od studentów odpowiedzi zawierające ewentualną diagnozę poszczególnych przypadków. Pomysł był trafiony, ciekawy. Na podstawie przedstawionej anamnezy i paru przypadkowych danych klinicznych mieli zaplanować drogę diagnostyczną, prowadzącą do najbardziej prawdopodobnego rozpoznania choroby. W medycynie rzadko dwa dodać dwa to cztery. Ilu studentów, tyle pomysłów, tyle odmiennych spojrzeń na problem, tyle różnych rozwiązań... Co ja takiego mogłem powiedzieć?...

– Pytam, czy pamiętasz, co mówiłeś? – profesor powtórzył kolejny raz, odrobinę już niecierpliwie.



– W tym rzecz, że nie za bardzo – odpowiedziałem wymijająco.

– To już jest aż tak źle? Zaczynasz mieć luki w pamięci? A może to początek delirium?

Był złośliwy, ale miał do tego pełne prawo. Wspierał mnie przez sześć lat studiów. To on z chłopaka z małej, zapadłej podtatrzańskiej wioski stworzył dobrze zapowiadającego się młodego naukowca, nauczył mnie wierzyć w siebie, przekonał, że w życiu liczą się nie tylko znajomości, że wiedzą i zapałem mogę osiągnąć wszystko. Stworzył mnie, a ja teraz unicestwiałem jego marzenia i samego siebie. Wstał, wyjął z kieszeni dyktafon, postawił go na stole.

– Jak już trochę wytrzeźwiejesz, to posłuchaj! Gwarantuję, świetna zabawa... – W jego głosie aż kipiało od ironii. – Tragikomedia. Antyczny dramat w trzech aktach. Gratuluję dramaturgii utworu. Rewelacja! Może ty minąłeś się ze swoim powołaniem? Może nie te studia powinieneś był ukończyć? – Stawiał pytania, na które nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. – Ach, i jeszcze jedno, zapomniałbym o najważniejszym. Przystajesz pracować w mojej klinice. Zwalniam cię! Słyszysz? Zwalniam cię w trybie natychmiastowym, dyscyplinarnie! – powtórzył dobitnie.

Stałem otumaniony. To niemożliwe, pomyślałem, wszystko, tylko nie to. On nie może mi tego zrobić. Ta praca była jedyną rzeczą, która nadawała mojemu życiu jeszcze jakikolwiek sens. Mobilizowała do wstawania rano z łóżka, do ubrania się, do wyjścia z domu... Nie mógł, nie powinien mi tego zabierać.

– Nie mogę tego dalej tolerować – profesor mówił już zupełnie spokojnie. – Ty demoralizujesz studentów – tłumaczył. – Prowadzisz zajęcia po obficie zakrapianej alkoholem nocy, coraz częściej przez cały dzień czuć od ciebie alkohol. Zaczynasz miewać zaburzenia koncentracji. Od dawna nie panujesz nad swoimi emocjami i nikt już nie panuje nad tobą – wyliczał monotonicznie. – Stajesz się w tym wszystkim niebezpieczny. Po dzisiejszym wykładzie nie mogę podjąć żadnej innej decyzji. Przekroczyłeś granicę mojej tolerancji. Myślę, że rozumiesz?

Rozumiałem go. Nie mógł chyba postąpić inaczej. Pewnie na jego miejscu każdy postąpiłby tak samo. Niespecjalnie mogłem mu się dziwić.

– Jutro wyjeżdżasz! – Spojrzałem na niego zdziwiony. – Pojedziesz do profesora Mullera. To mój przyjaciel, Niemiec. Znamy się całą wieczność. Kiedyś mu pomogłem. To dawne czasy, jeszcze przed niemieckim zjednoczeniem. Rozmawiałem z nim dzisiaj po południu przez telefon. Obiecał, że ci pomoże. Znajdzie ci jakąś pracę w jednej ze swoich pracowni genetycznych. Ja wiem, Michał, że to nie jest twoje marzenie, że genetyka nie leży nawet koło kardiochirurgii, ale czy to ma jeszcze teraz dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie? – mówił spokojnie, prawie ciepło. Tłumaczył mi, a może samemu sobie. – Ty teraz rzadko jesteś w stanie odróżnić dzień od nocy, a co dopiero kardiochirurgię od genetyki. – Patrzył na mnie jakoś dziwnie. Nie miotał się już, nie przeklinał, nie nazywał mnie idiotą. – Zrozum, Michał, muszę cię stąd wyrwać – mówił ciepło. – Nie wiem, czy nie jest już na to za późno. Nie powinienem był patrzeć biernie na to, jak się staczasz. W pewnym sensie to moja wina, cały czas wierzyłem, że się pozbierasz, że się jakoś otrząśniesz. Nie dam ci zmarnować tego wszystkiego. Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał cię bronić przed tobą samym.

Wyszedł, stuknęły drzwi, a ja nacisnąłem klawisz dyktafonu.

– Spędziłem wczoraj kilka godzin, czytając przesłane przez was rozwiązania przypadków. Staralem się śledzić wasz tok rozumowania. Przypadek pierwszy: 46-letni mężczyzna, od pięciu lat chory na cukrzycę typu drugiego, leczony insuliną od dwóch lat, z nadciśnieniem tętniczym i hipercholesterolemią. Spędził ostatnie dwa tygodnie nad Bałtykiem. W trakcie spacerów, szczególnie przy wietrznej pogodzie, zaczął odczuwać dyskomfort i ucisk w klatce piersiowej. Objawy te mijały samoistnie po parominutowym odpoczynku... – Zatrzymałem dyktafon. Co w tym dziwnego, pomyślałem. Może trochę to dla mnie nietypowe, może faktycznie trochę beznamienne, ale nic więcej. Bez specjalnych emocji przesunąłem trochę dalej nagranie.

– Jak sami widzicie, to nie takie trudne. Klasyczna anamneza, klasyczny, książkowy przypadek – mówiłem monotonię. – Wystarczy odrobina wiedzy i diagnostyczny sukces murowany. Słyszycie, co powiedziałem? Powiedziałem: „odrobina wiedzy”! Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, ile czasu spędzacie codziennie nad książkami? Ile to godzin, minut, sekund waszego życia? Ile czasu ślęczycie w domu? Ile czasu marnujecie w bibliotece? Ile z tej wiedzy tak naprawdę będzie wam kiedyś potrzebne? Ile z niej rzeczywiście kiedyś wykorzystacie? Czy w tej pogoni za sukcesem zastanawialiście się, co tak naprawdę w życiu jest najważniejsze? Czas pędzi do przodu jak oszalały. Nie da się zrobić wszystkiego, trzeba wybierać, zawsze trzeba wybierać... Priorytety... Jakie są wasze priorytety? Co dla was jest ważniejsze – dwudziesty piąty objaw sto pięćdziesiątej wybitnie rzadkiej choroby czy wasze emocje, uczucia, nadzieje? Co jest ważniejsze – dziesiąty możliwy patomechanizm danej jednostki chorobowej czy wasze marzenia? Bez was i bez waszych emocji nie istnieje nic – mówiłem coraz głośniej. – Zastanawialiście się kiedyś, co wart jest świat bez emocji? Bez miłości, bez nienawiści, bez namiętności, bez gniewu, bez lęku, bez radości... Uczycie się tutaj skrzętnie ukrywać wasze emocje. Szkoła skrywanych namiętności! Akademia ukrywanych emocji! Uczycie się obojętnością pokrywać wszystkie ludzkie uczucia. Chcecie opanować tajemną sztukę bycia idealnym lekarzem – wyuczona empatia i wyuczona asertywność, „dla obcych ludzi mieć twarz jednakową, ciszę błękitu”. Przegracie wszystko. Z czasem stwierdzicie, że nie ma już nic. Nagle z przerażeniem odkryjecie, że pod płaszczem wyuczonej obojętności nie ma już co skrywać. Pustka! – prawie krzyczałem. – Pustka! Was już nie ma! Nie istniejecie! Świat nie może istnieć bez emocji! – mówiłem jak w transie. – Zamykam oczy, cały otaczający mnie świat znika, ale ja w tym piekle tkwię nadal. Z własnego piekła nie można nigdzie uciec. Każdego dnia gorzej, każdego dnia bliżej dna... Priorytety... Można być najlepszym studentem, laureatem wszystkich możliwych konkursów, można mieć stypendium naukowe i czerwony dyplom umożliwiający pracę na uczelni, można mieć wszystko i nagle stwierdzić, że tak naprawdę nie ma się nic. Przegrało się swój czas – mówiłem coraz ciszej. – W tej szalonej pogoni za niczym zgubiłem gdzieś po drodze sens wszystkiego, swoje marzenia, ideały, przyjaźnie... Gdzieś po drodze zabrakło czasu dla innych. Priorytety... Wystarczyła krótka chwila i bezpowrotnie minąłem się z drugim człowiekiem. Osiągając wszystko, osiągnąłem totalne dno. Nie cierpię mojego piekła... Nie cierpię sam siebie... Nienawidzę tych moich pustych czterech ścian...

Przycisnąłem klawisz dyktafonu. Żałosne... Wystarczy! Dość ! Ani słowa więcej!

Następnego dnia Wolski kupił mi nowy garnitur, pomógł zapakować rzeczy, o nic już nie pytał i nie złorzeczył. Gdy wkładałem do torby jej zdjęcia, próbował oponować.

– Zostaw tutaj! To przeszłość. – Widząc, że wpycham je na dno, machnął już tylko ręką.  
– Przemyśl to wszystko! Kiedy wreszcie spojrzysz na to z pewnego dystansu? Życie nie kończy się w wieku dwudziestu paru lat.

Na dworcu uścisnął mi krótko rękę.

– Powodzenia!

To było wszystko. Niby nie tak wiele, ale ja czasami myślę, że zawdzięczam Wolskiemu życie.

\* \* \*

To był początek trzeciego roku studiów. Wolski zjawił się niespodziewanie na wykładzie profesora Arnolda. Przyszedł na kilkanaście minut przed planowanym końcem wykładu. Przywitał się z Arnoldem. Usiadł w pierwszym rzędzie. Udawał, że słucha. Myślę, że tak naprawdę, to odpoczywał. Przez chwilę zatrzymał się w biegu pomiędzy salą operacyjną, swoją kliniką i rektoratem. Przez chwilę nie musiał rozwiązywać żadnych medycznych ani administracyjnych problemów. Nie musiał z nikim rozmawiać ani nigdzie się spieszyć. Mógł odetchnąć. Te kilkanaście minut najnudniejszego na świecie wykładu miał dla siebie. Profesor Arnold w niepowtarzalny wprost sposób celebrował właśnie zakończenie zajęć. Niektórzy powoli zaczęli pakować swoje rzeczy, przygotowywać się do wyjścia. Gdzieś stuknęły już pierwsze krzesła. Słysząc było coraz głośniejszy szum. Wreszcie koniec.

– Grupa dwudziesta pierwsza! – rozległ się głos Wolskiego. – Poczekajcie chwilę! Jutro dołączy do was nowa dziewczyna. Przeniosła się z Gdańska. Zależałoby mi... – ostatnie słowa profesora zlały się już z charakterystycznym dźwiękiem opuszczanych blatów, dosuwanych krzeseł, gwarem rozmów, tupotem wybiegających z sali nóg... Dał za wygraną.

– Michał – Wolski odciągnął mnie na bok. – Z tą dziewczyną to bardzo delikatna sprawa – mówił ściszym głosem. – Była najlepszą studentką w Gdańsku. Zrobiła w jeden rok dwa lata studiów. Stypendium naukowe, nagrody, publikacje... Przed paroma miesiącami przeżyła jakąś tragedię. Postaraj się, jako szef grupy, żeby od razu poczuła się u nas dobrze. Pomóżcie jej trochę na początku. Długo zastanawialiśmy się z dziekanem, do jakiej przydzielić ją grupy. Ja byłem za waszą. Dotychczas zawsze mogłem na was liczyć...

Wtedy nawet nie pomyślałem, że wydarzenie to może mieć dla mnie jakiegokolwiek osobiste znaczenie. Następnego dnia zjawiła się Katarzyna – wysoka, szczupła dziewczyna o długich, sięgających do połowy pleców kasztanowych włosach, dużych czarnych oczach, ubrana w obcisły czarny sweter i krótką spódnicę. Chodzące zaprzeczenie oczekiwanego przez nas kujona. Obawy Wolskiego okazały się zupełnie niepotrzebne, całkowicie na wyrost. Właściwie od pierwszego dnia Kasia była nasza. A może to my byliśmy od razu Katarzyny? Z Honoratą jeździła konno. Z Robertem chodziła na basen. Ze mną grała w tenisa. Spotykaliśmy się wszyscy w moim mieszkaniu. Było w niej coś wyjątkowego,

coś, co trudno jest opisać słowami. W jakiś tajemniczy sposób przyciągała do siebie ludzi. Wokół niej było zawsze słonecznie. Zawsze pogodna, ciepła i radosna. Z czymś takim trzeba się urodzić, tego chyba nie można się nauczyć. Wydawało się nam wszystkim, że musimy stworzyć warunki dające jej poczucie bezpieczeństwa, że z tego bierze się jej wewnętrzna siła, spokój, ciepło. Otrzymuje dużo, więc daje też dużo innym, dzieli się tym, co ma. Jakże byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że ona, tak jak i my, dorabia korepetycjami. Pamiętam, wracaliśmy z zajęć na uczelni. Wpadłem na chwilę do studenckiej spółdzielni po nowe zlecenia. Kasia czekała na zewnątrz. Wyszedłem wściekły.

– Niech to diabli, ale nam się z Robertem zlecenie trafiło – marudziłem. – Mycie okien w całej klinice ginekologicznej. Widziałaś naszą ginekologię? Ogromne gmaszysko. Rewelacja, po prostu rewelacja – zrzędziłem. – Zlecenie perspektywiczne. Od razu na całe życie. Nim umyjemy do końca, trzeba będzie zacząć od początku. Syzyfowa praca... Do końca roku może zdążymy.

– Różnie bywa – przerwała mi Katarzyna. – Ja miewam czasem po trzy i cztery korepetycje dziennie. Pieniądze pieniędzmi, ale to też świetna zabawa. Utożsamiam się z moimi uczniami – śmiała się. – Już pięć razy zdawałam maturę z biologii i chemii – i to w tym samym roku. Dwa razy zostałam laureatką ogólnopolskiej olimpiady biologicznej. Parokrotnie zdobywałam różne certyfikaty językowe. Czasami, kiedy jadę autobusem, wydaje mi się, że po tych lekcjach niemieckiego ja myślę już po niemiecku – mówiła radośnie. – Wiesz, już trzy razy zdawałam na medycynę. Raz sama – przed dwoma laty – i później jeszcze dwa razy z przygotowywanymi przeze mnie maturzystami. Trzy razy dostałam się na medycynę, na różne uczelnie. Rewelacja, co?

Myślę, że nawet nie mogła przypuszczać, jaka to była wtedy dla mnie rewelacja.

\* \* \*

Kiedyś wracaliśmy późnym wieczorem z uczelni. Była ciepła, przyjemna jesień. Żółte liście szeleściły pod stopami. Granatowe niebo było usiane tysiącami gwiazd. Wieczór, jakby ostatnie wspomnienie lata. Kasia szła jakaś smutna, zamyślona, nieobecna. Niepodobne to było do Katarzyny zawsze rozgadanej, uśmiechniętej i radosnej.

– Coś nie tak, Kasiu? – spytałem.

– Nie, dlaczego? – odpowiedziała prawie automatycznie.

Skręciliśmy w kierunku parku. W świetle latarni liście wydawały się jeszcze bardziej złote.

– Wiesz, Michał, nie lubię października, nie cierpię takich wieczorów jak ten.

Ja lubiłem październik: promienie słońca zakłęte w czerwień, złoto i brąz, długie ciepłe wieczory jeszcze bez deszczu, mgły i listopadowej melancholii.

– Nienawidzę takich wieczorów jak ten – Katarzyna mówiła coraz głośniejszym głosem. – Przed rokiem w taki wieczór zginęli moi najbliżsi. Do końca życia jesień będzie mi się kojarzyła z piskiem opon, suchym trzaskiem zgniatanej karoserii i tą idiotyczną ciszą i pustką, jaka nastawała potem – mówiła, idąc coraz szybciej.

Miałem wrażenie, że te słowa nie są skierowane do mnie, że zapomniała, że idę tuż obok, że wypowiada tylko głośno swoje myśli.

– Chwila czyjejs niewagi i nagle nie ma już nic. Wszystkie marzenia, plany, nadzieje przestały istnieć. Parę sekund czyjejs dekoncentracji i runął cały mój świat – mówiła cicho. – Początkowo ogarnęło mnie przerażenie, później zdziwienie, teraz pustka... Jak ulotne jest wszystko... Minął rok, a mnie ich brak z dnia na dzień coraz bardziej. Na początku wydawało mi się, że to tylko koszmarny sen, że potrzeba tylko trochę czasu, że się przebudzę. To nie sen, ten koszmarny to rzeczywistość. Oni nigdzie nie wyjechali i znikąd już nigdy do mnie nie wrócą. Nie mogę im już nic opowiedzieć. Nie mogę się do nich przytulić. Nie mogę im za nic podziękować. Nagle skończył się ich czas. Dlaczego oni wszyscy? Dlaczego nie ja? To takie niesprawiedliwe, dlaczego ja muszę tutaj dalej trwać? ... Wiele rzeczy przestało mieć sens. Wiele wyrazów zatraciło swoje znaczenie. Pustka... – Kasia mówiła coraz ciszej.

Powoli dochodziliśmy do rogu jej ulicy. Tu zwykle się żegnaliśmy.

– Mogę odprowadzić cię pod dom? – spytałem.

– Nie, Michał, nie dzisiaj.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie zatrzymała się w pół drogi. Nie pomachała mi jak zwykle ręką. Patrzyłem, jak powoli dochodzi do bramy, jak przekręca klucz, jak otwiera drzwi... Wtedy po raz pierwszy poczułem coś dziwnego. Nagle wydało mi się, że chciałbym ją zabrać gdzieś daleko stąd, że chciałbym, żeby tamten pechowy dzień zniknął zastąpiony tysiącami innych cudownych jesiennych dni. To było jeszcze niewyraźne, jeszcze bardzo mgliste. Wtedy jeszcze sam nie potrafiłem tego ani zrozumieć, ani nazwać. Wtedy właściwie była ona i nas czterech. Spędzaliśmy ze sobą w piątkę mnóstwo czasu. Bywaliśmy razem na wykładach, na ćwiczeniach, w studenckiej stołówce, w bibliotece... Spędzaliśmy razem wszystkie przerwy. Moje mieszkanie znajdowało się najbliżej uczelni. Moje mieszkanie... Tak właściwie to nigdy nie było to moje mieszkanie. Wynajmowałem je za grosze od człowieka, który od wielu już lat mieszkał w Anglii. Pilnowałem mu mieszkania. Urządzony był tylko jeden pokój – białą farbą pociągnięte nierówne ściany, stary tapczan, szafa, zdezelowane biurko, półki na książki, jedno krzesło. W kuchni były stół, dwa krzesła, parę garnków i kilka talerzy. W dwóch pozostałych pokojach straszły gołym tynkiem niewytapetowane ściany i niczym nieprzykryte podłogi. Wtedy takie mieszkanie było dla naszej paczki szczytem marzeń. Byłem wśród nas jedynym posiadaczem „własnego” kąta. Jedliśmy u mnie śniadania, słuchaliśmy muzyki, przeglądaliśmy notatki...

Traktowaliśmy wszyscy Katarzynę trochę tak, jak traktuje się młodszą siostrę. Wszystkim nam była bliska. Wydawało się nam, że nasza królewna musi mieć swojego królewicza, ale na pewno nie powinien być nim żaden z nas. Ona była ufna, serdeczna. Była trochę jak mała dziewczynka. Wiele razy odprowadzaliśmy ją po ćwiczeniach ciemnymi uliczkami do domu, wystawaliśmy na dworze, dopóki w jej oknie nie zapaliło się światło, graliśmy z nią w tenisa, kibicowaliśmy na sportowych zawodach...

Pamiętam, kiedyś wracaliśmy z Arturem z treningu.

– Wiesz, Michał, zaczynam powoli wierzyć, że może istnieć przyjaźń między chłopakiem i dziewczyną. Pamiętasz ten felieton, który napisałem przed rokiem do uczelnianej gazetki?

Trudno byłoby zapomnieć, pomyślałem. Jego artykuł sprowokował niemałą dyskusję,

wywołał całą lawinę różnych emocji. Prawdę powiedziawszy, rozpełtał nawet burzę. Później Artur miał z tego powodu tylko mnóstwo kłopotów. Myślę, że rozmowy z Wolskim nie zapomni chyba do końca życia. Profesor, wzburzony felietonem, doprowadzony do szewskiej pasji uporem Artura, nazwał go publicznie „pozbawionym uczuciowości wyższej samcem”. Pomimo to Artur nie napisał wtedy sprostowania.

– Dziś odwołuję wszystko! – kontynuował wesoło. – Im człowiek dłużej żyje, tym więcej się uczy. Miał stary wtedy może i trochę racji. Wszystko zależy od doświadczeń życiowych. No, z tym „samcem” to trochę przesadził, ale fakt faktem – można spędzać całe dnie z cudowną dziewczyną i wcale nie myśleć o łóżku.

Wtedy jeszcze myślałem chyba podobnie, ale później zaczęło się coś zmieniać. Brakowało mi jej, gdy nie przysłała na ćwiczenia. Ścigałem ją wzrokiem, gdy rozmawiała z kimś na korytarzu. Często bezmyślnie zawieszałem na niej wzrok w trakcie wykładów. Denerwowałem się, gdy po korepetycjach wracała sama pustymi ulicami do domu. Stałem się zazdrosny – początkowo o Roberta, Mariusza, Artura, potem nawet o czas, który spędzała z innymi.

W trakcie andrzejek ogłoszono konkurs na list miłosny. Wygrała Katarzyna. Napisała list – wspomnienie. Była tam jesień mżysta i chłodna, górskie schronisko zatopione w jesiennych mgłach, jakiś duży i kudłaty pies, czyjeś ciepłe dłonie, blask kominka, zmęczenie po długim, znojmym dniu, przemoczone ubrania i gorące, potajemne pocałunki. Całość była rewelacyjna, aż kipiała od erotyzmu. Kiedy przeczytała list na głos, oklaskom nie było końca.

– To sukces. Michał, nie cieszysz się z mojej wygranej? – Stała obok mnie rozpromieniona, z zaróżowionymi policzkami, błyszczącymi oczyma, trzymając statuetkę w ręce. Ja, sam nie wiem dlaczego, byłem wściekły.

– Współczuję każdemu, kogo kiedyś pokochasz – prawie warknąłem. – Ja po tym tutaj dzisiaj nie uwierzyłbym w żadne twoje słowo. Zmyślasz jak z nut. Bawiąc się słowami, bawisz się jednocześnie ludzkimi emocjami. Nie przypuszczałem, że masz taki talent.

– Skąd wiesz, że to talent? A może to moje wspomnienie? Może to po prostu prawda?

Miała rację, tak naprawdę, to nie wiedziałem o niej prawie nic. Stałem się zazdrosny, a później chorobliwie zazdrosny. Pamiętam tę andrzejkową imprezę. Zabawa z klubu przeniosła się do pokojów w akademiku. Katarzyny już nie było. Wyszła właściwie tuż po konkursie. Powiedziała mi, że jakoś nie potrafi się jeszcze bawić. Wypiliśmy na tyle dużo, że każdy następny kieliszek nie miał już żadnego większego znaczenia. Graliśmy w rozbieranego pokera. Gra toczyła się burzliwie i już dość długo. Siedziałem w slipkach i skarpetach, a siedząca obok mnie Joaska świeciła gołym biustem, chichocząc idiotycznie. Niespodziewanie zjawiała się Katarzyna. Gdyby wzrok zabijał, to pewnie leżałbym trupem, okazało się jednak, że jej wzrok nie miał mocy zabijania i nadal tkwiłem półnagi w oparach alkoholu i nikotyny.

– Zagram z wami – jej słowa ścięły mnie z nóg. Przesłyszałem się, pomyślałem w pierwszej chwili, ona nie mogła tego powiedzieć. Wyciągnęła rękę po jedną ze świeżo rozdanych kupek kart.

– Ty, ty nie możesz... – plątał mi się język.

– Niby dlaczego? – przekomarzała się ze mną.

– Nie, Kasiu – próbowałem ją powstrzymać. – Ty nie...

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego? – patrzyła na mnie jakoś dziwnie. – Różnię się czymś od was? Kto mi zabroni? Może ty? – spytała zaczepnie.

Nie, nie mogłem jej niczego zabronić. Nie miałem do tego żadnego prawa. Czułem się fatalnie. Byłem idiotycznie zazdrosny.

– Chyba masz rację, Michał. To nie dla mnie. – Spojrzała na mnie. – Bawicie się trochę tak jak dzieciaki na szkolnej wycieczce albo jak niewiele już mogące dziadki. – Wzięła do ręki butelkę. – Może pobawimy się w coś bardziej stosownego do naszego wieku.

Wszyscy osłupieli. Ktoś zaśmiał się nerwowo. Przewrócona na bok butelka zawirowała w błyskawicznym tempie. Kpiła ze mnie, kpiła ze mnie przy wszystkich. Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Kiedyś wracaliśmy wieczorem z ćwiczeń odbywających się w domu dziecka. Katarzyna szła zachmurzona, posępna.

– Nie mogę patrzeć na te dzieci. Dorośli bywają bezwzględni, zupełnie nieodpowiedzialni, pozbawieni wyobraźni, skrajnie źli. Biedne dzieci, wyciągają do obcych ręce w nadziei, że wśród tych obcych twarzy jest twarz ich przyszłej matki lub ojca. Patrzą tymi wielkimi oczyma, które często widziały już tyle zła. Smutne, załzawione oczy, drobne ciała kołyszące się samotnie. Ich matkom i ojcom zabrakło czegoś najważniejszego – wrażliwości. Im wydaje się, że w życiu chodzi tylko o pieniądze, że kiedy dzieci mają co jeść i gdzie spać, kiedy mają sterty ubrań i mnóstwo zabawek, to są szczęśliwe. Podły świat! – mówiła przejęta. – Te dzieci przegrały już na starcie. Jak mają normalnie żyć, nie wiedząc, co znaczy słowo „normalnie”? Okaleczono je i one będą okaleczać następnych. Jak mają kochać, jeżeli nigdy nie były kochane? Jak mają dawać, kiedy im nikt nigdy nic nie dał? – mówiła szybko, chaotycznie.

Mnie to też poruszyło, ale chyba o wiele mniej, trochę inaczej. Ona sama była jak mała, bezbronna dziewczynka. Ją można było tak łatwo zranić.

– Zrobiło mi się zimno. – Przystanęła.

Ściągnąłem sweter. Śmiesznie wyglądała w moim swetrze sięgającym jej prawie do kolan.

– Czuję się trochę tak, jakbym była w twoich ramionach – powiedziała nieśmiało.

Odwróciła twarz w moją stronę. Niedbałym gestem odrzuciła włosy do tyłu. Niesforne pasmo spadło jej na twarz. Zawsze mnie to drażniło. Zawsze miałem ochotę je odgarnąć. Staliśmy naprzeciw siebie w ciemności, z dala od innych ludzi, z dala od ludzkich spojrzeń... Był późny, mżysty i mokry wiosenny wieczór po męczącym, pełnym wrażeń dniu. Obok nas przemknął chyłkiem jakiś spóźniony przechodzień. Jego kroki oddalały się i cichły, zlewały się z tłem, z wieczornym, stopniowo cichnącym szumem powoli układającego się do snu miasta. Nagle wydało mi się, że nie istnieje nic innego, nie ma nikogo i nic obok nas, nie ma nic i nikogo poza nami, jesteśmy tylko my – ona i ja. Świat skurczył się nagle tylko do nas. Wszystko skurczyło się i zmalało do tu i teraz. Zacząłem całować ją powoli, nieśmiało, wstydliwie... Mokre usta, twarz zmoczona kroplami deszczu, zlepione wilgocią pasma włosów... Nareszcie mogliśmy cieszyć się sobą. Włączyliśmy się zmoknięci ciemnymi, opustoszałymi już dawno ulicami. Gadaliśmy, gadaliśmy, gadaliśmy, jakby ta chwila miała się już nigdy nie powtórzyć, jakby na tym miał



skończyć się nasz świat. Nawet teraz, po latach, pamiętam wszystko: jej dłoń w mojej dłoni, ociekające wodą włosy, migotliwe światło gazowych latarni, mokrą twarz, usta oddające nieśmiało pocałunki...

Pamiętam też dokładnie tamten wieczór, kiedy uzmysłowiłem sobie, że ją kocham, że to, co czuję, nie jest zauroczeniem ani tylko pożądaniem. Chyba zacząłem wtedy wierzyć w przeznaczenie, zacząłem wierzyć w to, że dwoje ludzi może być stworzonych tylko po to, żeby być razem.

Odbywaliśmy ćwiczenia z pediatrii. Katarzyna siedziała na krześle, przytulając do siebie małego, czteroletniego chłopca. Stałem w półotwartych drzwiach, niewidziany przez nikogo.

– Wiesz... – usłyszałem jej cichy głos – gdzieś daleko, daleko stąd jest taka szczęśliwa kraina, gdzie zawsze świeci słońce, a czasami na niebie pojawia się wesoła, kolorowa tęcza. Panuje tam zawsze lato. Przez cały czas można jeść lody, kąpać się, biegać boso po trawie... Nie ma chorób, nie ma kłótni, nie ma awantur... – malec wtulał się w nią coraz bardziej.

– A czy w tej krainie miałbym mamę i tatę?

– Tak, oczywiście. Myślę, że i ja miałabym swoich... – głaskała ręką jego włosy.

Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Stałem jak zauroczony. Próbowałem wstrzymać oddech, by nie uronić ani słowa. Chyba to właśnie jest miłość. Wiele już razy w życiu czułem coś, co później okazywało się tylko pożądaniem. Wiele już razy budowałem coś klocek po klocek, fragment po fragmencie, żeby później samemu się zdziwić, że to tylko fikcja, gra wyobraźni, sarta pozorów, pustka, nic... Nagle zacząłem czuć inaczej – ona i ja, wspólny dom, wspólne noce i dni, wspólny jakiś mały człowiek... Po raz pierwszy w życiu byłem naprawdę zakochany.

\* \* \*

Po paru dniach wyjechałem do rodziców na święta. Katarzyna nie chciała, abym cokolwiek zmieniał. Tak było przecież zawsze, święta spędzałem w domu na wsi. Jeździłem tam rzadko, coraz rzadziej. Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej oddalałem się od tamtego świata.

– Michał, to tylko parę dni, twoi rodzice na pewno na ciebie czekają – mówiła Kasia.

W drugi dzień świąt mieliśmy pojechać razem w góry. Katarzyna zadzwoniła w Wielką Sobotę.

– Musimy zmienić nasze plany – mówiła zmieszana. – Muszę wyjechać na parę dni. Wszystko potoczyło się tak niespodziewanie. Muszę pojechać nad morze. Wiesz, ja się tam wychowywałam – tłumaczyła spokojnie. – Moi rodzice często pracowali za granicą. Byłam wtedy u babci Wandy. To nie jest moja prawdziwa babcia. Nie znałam moich dziadków. Była moją opiekunką. Kochałam ją najbardziej na świecie. Ona nauczyła mnie wszystkiego. To ona tłumaczyła mi, co jest dobre, co właściwe, a co złe. W pewnym sensie ona mnie stworzyła taką, jaką jestem. Po śmierci moich rodziców została mi tylko ona. Wszystko, co umiem, zawdzięczam jej. Dzisiaj dostałam wiadomość, że jest chora. Ona nie ma nikogo poza mną. Muszę do niej pojechać, rozumiesz? – spytała niepewnie. – Muszę jej

teraz wszystko zorganizować, pomóc...

Rozumiałem, chociaż nie było mi z tym łatwo.

Niepotrzebnie dałem się chłopakom wyciągnąć do klubu, niepotrzebnie piłem kieliszek za kieliszkiem. Żalu nie da się utopić w alkoholu. Tęsknoty nie da się uciszyć wiejską zabawą. Cholerny pech, z tego wieczoru nie pamiętam zupełnie nic. Rano kumple odprowadzili mnie pijanego w sztok do domu. Gdy pod koniec ferii dowiedziałem się, że mogę być ojcem, nie mogłem w to uwierzyć.

– Michał – zrzędziła matka – zapomnij o tej miastowej. Ona nie dla ciebie. My tu żyjemy i ty kiedyś też tutaj wrócisz. Jak wyjdzie na jaw, żeś spał z Martą, a teraz nie chcesz się żenić, to nas ludzie zjedzą. Wiesz przecież, że jej rodzice to najwięksi gospodarze w okolicy – szklarnie, sklepy, kawał dobrej ziemi... Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pewnie to już dawno było ci pisane. Marta jeszcze w szkole za tobą zerkała. Nigdy przynajmniej głodny chodzić nie będziesz. Będziesz i doktor, i bogaty – próbowała mnie przekonać. – Przynajmniej studia skończysz spokojnie. Nie będziesz się musiał nikomu wysługiwać. Wiesz przecież, że nam z ojcem ciężko ci pomagać.

Byłem wściekły na matkę, na kumpli, a przede wszystkim na samego siebie. Codziennie przychodziły SMS-y od Katarzyny – „Wszystko w porządku. Babcia już wróciła ze szpitala do domu. Jeszcze parę dni i będę na uczelni”, „Byłam wczoraj nad morzem. Tu niedaleko są szerokie, dzikie plaże. Musisz tu kiedyś ze mną przyjechać...”, „To mój ukochany świat, tu zawsze byłam szczęśliwa...”, „Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Tyle chciałabym Ci opowiedzieć...”, „Wiesz, tęsknię już trochę za Tobą...”.

I ja tęskniłem... Tęskniłem za Katarzyną jak nigdy i za nikim przedtem.

Czułem się fatalnie. Czyżbym zawiódł ją i samego siebie? Czyżbym zdołał zepsuć wszystko, zniszczyć coś, co się jeszcze na dobre nie zaczęło? Nie mogłem w to uwierzyć. Nie potrafiłem tego zaakceptować. Nie chciałem za nic na świecie wiązać się z obcą dziewczyną.

– Ja jej nawet z tego wieczoru w klubie nie pamiętam – tłumaczyłem matce. – Owszem, znam Martę jeszcze ze szkoły, jak wszystkie dziewczęta z naszej wioski. Byłem z kumplami. Piliśmy dużo i gadaliśmy dużo... Wiesz, teraz rzadko się z nimi spotykam. Nieczęsto bywam w domu. Nie mam na to czasu. Może i wypłem trochę za dużo. Nie pamiętam, żeby Marta tam w ogóle była... Pamiętam tylko, że widziałem jej brata – starałem się mówić spokojnie. – Przyszła tu wczoraj z krótką wiadomością, że przewiduje kłopoty, że może jest w ciąży, że ja będę ojcem... – mówiłem mimo woli coraz głośniej. – Uwierz mi, nie przypuszczam... Uwierz mi, nie pamiętam... – puściły mi nerwy. – Byłem pijany, ale nie nieobliczalny. Owszem, za bardzo pijany, żeby pamiętać... Znam siebie i to niemożliwe! Nie będę się dla idiotycznych, staroświeckich zasad wiązał z obcą dziewczyną!

– Michał, gdzież ona obca. Przecież już twoja – gderała matka. – Oprzytomnij! Ty jesteś stąd, a tu obowiązuje jeszcze jakaś moralność, obowiązują stare jak nasz świat zasady.

– Nie! Nie i jeszcze raz nie! Za nic na świecie! – wiedziałem, że mówię za głośno. Wiedziałem, że krzyczę.

Nareszcie skończyły się te idiotyczne, przydługie ferie. Nareszcie mogłem stamtąd wyjechać. Pierwsze wykłady, pierwsze ćwiczenia... Przez całe przedpołudnie unikałem rozmów z Katarzyną. Przywitałem się z nią chłodniej niż zwykle, unikałem jej wzroku, czułych gestów, ciepłych słów. Widziałem, że Kasia nie potrafiła ukryć narastającego powoli zdziwienia, a może i rozczarowania. Na pewno inaczej wyobrażała sobie to nasze spotkanie. Na pewno inaczej powinno było ono wyglądać. Nie czułem radości, tylko strach. Paraliżował mnie z minuty na minutę coraz bardziej, nie pozwalał mi na nią patrzeć, odzywać się, śmiać... Nurtowała mnie tylko jedna myśl – co z nami dalej będzie? Nie mogłem sobie wyobrazić życia bez Katarzyny. Nie potrafiłem sobie wyobrazić jej reakcji, kiedy się dowie. Po wykładach, jak zwykle, spotkaliśmy się wszyscy u mnie.

– No, nareszcie razem. Ależ się tym razem wynudziłem – zrzędził Artur. – Moja mama jest niemożliwa, przybrałem dwa kilo w ciągu trzech tygodni. Rozumiecie, dwa kilo! Ile mnie teraz czeka znowu godzin na siłowni... – marudził. – Z moją mamą wszystkie wysiłki, by utrzymać wagę, przypominają syzyfową pracę.

– Ja nie utyłem – rzucił Robert. – Pomagałem bratu remontować mieszkanie. Czuję się, jakbym miał sto lat. Boli mnie chyba wszystko. Mam odciski na rękach niczym Michał po wakacyjnej robocie w Niemczech – żalił się.

– Ja też miałem dziwaczne ferie – odezwał się Mariusz. – Odwiedziny u rodziców Honoraty. Trzy dni z przyszłymi teściami. Ileż to mnie kosztowało wysiłku! No, chyba rozumiecie? – śmiał się. – Robiłem to wszystko tylko dla niej. Musiałem być najprzystojniejszy, najrozsądniejszy, najmądrzejszy i chyba najnudniejszy na całym świecie. Nawet Honorata męczyła się ze mną w tym idealnym wydaniu. Ideały bywają koszmarnie... Najlepszy jednak był w tym wszystkim ojciec Honoraty, który żegnając się z nami, szepnął mi do ucha: „Chłopcze, bądź choć odrobinę facetem z jajami...”.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Nie słuchałem. Wiedziałem, że będę następny.

– A ja ponoć mam być ojcem – wykrztusiłem z siebie bez żadnego wstępu.

To dopiero była sensacja. Nagle urwały się śmiechy, zapadła kamienna cisza. Robert zakrztusił się kawą. Mariusz stukał bezmyślnie palcami w blat biurka. Artur rzucił pod nosem jakieś siarczyste przekleństwo. Tylko Katarzyna stała bez ruchu, nadal patrząc przez okno.

– Uwierzcie mi, nie wiem, jak to się stało. Nic nie pamiętam... – zacinałem się. – Spotkałem się ze starymi znajomymi. Poszliśmy na zabawę do wiejskiego klubu. Wypiliśmy trochę za dużo. Nie mogę jakoś w to uwierzyć... Byłem zupełnie pijany. Nic, zupełnie nic nie pamiętam – brnąłem dalej.

– To, co mówisz, nie powinno mieć już zupełnie żadnego znaczenia – usłyszałem spokojny głos Katarzyny. – Myślę, że wiesz, co należy zrobić. Masz chyba jeszcze jakieś zasady. Świat i bez tego jest pełen nieszczęśliwych dzieci, porzuconych kobiet i nieodpowiedzialnych facetów.

Tak, ona wiedziała od razu, co należy zrobić. Nie potrzebowała czasu na zastanowienie się. W jej świecie nie mogło być przecież półcieni. Wszystko musiało być proste i jednoznaczne. Czarne było czarne, białe było białe, nie było miejsca na żadne odcienie szarości, na żaden, zupełnie żaden, nawet najmniejszy kompromis. Ona już wiedziała, co mam zrobić. Ona zdecydowała już za nas, za siebie, za mnie. Odwróciła się na pięcie

i wyszła. Za chwilę usłyszałem trzaśnięcie wyjściowych drzwi. Stałem jak zahipnotyzowany. Tego się jednak nie spodziewałem. Tą jednoznaczną reakcją zdołała mnie zaskoczyć. Przez odsłoniętą firankę widziałem, jak wyszła z bramy, jak szła wolnym krokiem wzdłuż żywopłotu, jak próbowała uciec: ode mnie, od problemu, od całej tej sytuacji.

– Katarzyna! – krzyknąłem przez uchylone okno.

Nie odwróciła się. Nie zareagowała. Szła wolno dalej.

– Kaśka! – krzyknąłem jeszcze raz. Wydawało mi się, że zaczęła iść szybciej.

– Michał, odczep się od niej! Daj jej spokój! – Robert był dziwnie zdenerwowany. – Ona na pewno zasługuje na coś więcej...

Następnego dnia Kasi nie było na uczelni. Robert wydzwaniał gdzieś nerwowo, później uspokajał chłopaków. Gdy po paru dniach zobaczyłem ją na wykładach, zachowywała się tak, jakby nie było tamtego fatalnego dnia.

– Cześć, Michał! – stanęła obok mnie. – Weź się w garść! Popatrz na siebie: brudne spodnie, trzydniowy zarost, odór alkoholu i papierochów... Nie wyglądasz najlepiej – mówiła normalnie, bez cienia żalu czy ironii.

Zachowywała się tak, jakby nigdy wcześniej nie było nas, jakby jej to osobiście w ogóle nie dotyczyło, jakby wszystko rozbijało się o moją postawę życiową, mój stosunek do seksu, nieślubnych dzieci i porzuconych kobiet. Zachowywała się tak, jakby w tym wszystkim nie było jej, nie było nas... Jedynym problemem była moja niska moralność, moja emocjonalna niedojrzałość, mój brak odpowiedzialności, mój nadmierny pociąg do alkoholu i przygodnego seksu... Traktowała mnie trochę jak zbłąkaną owcę, której trzeba pomóc, aby miała szansę wrócić do stada. Nie było nas – byłem ja i była ona, a pomiędzy nami mur o wiele za gruby, by można było go pokonać. Nie wiem, czy kiedykolwiek zastanawiała się nad tym, jak łatwo jest osądzać innych, a jak trudno jest zachować choć pozory obiektywizmu... Traktowała mnie tak, jak przed paroma miesiącami. Znowu byliśmy po prostu kumplami. Znowu należeliśmy do tej samej paczki przyjaciół. Gdybym wtedy zachował choć odrobinę szacunku i zaufania do samego siebie, to nigdy nie doszłoby do tego fatalnego dnia i do wszystkich następnych, równie beznadziejnych dni przez kolejnych parę lat. Nie byłem wtedy zdolny do żadnych samodzielnych decyzji. Przerażony, że straciłem tak wiele, próbowałem ratować jeszcze okruchy tego, co zostało. Nie mogłem być chłopakiem, ale mogłem być kumplem, przyjacielem. Zrobiłbym wtedy wszystko, żeby nie odsunęła się ode mnie. Sprzedałbym duszę diabłu, żeby tylko nie przekreśliła mnie ostatecznie. Ślub z obcą dziewczyną wydawał się drobiazgiem.

W sumie był to tragicomiczny dzień, wspaniały temat do antycznego dramatu. Ciepły majowy dzień, mały wiejski kościół wypełniony po brzegi zupełnie obcymi mi ludźmi, jasne promienie majowego słońca próbujące z trudem przedzierać się przez ciemne witraże, monotony głos księdza, rozdzierające ciszę dźwięki organów...

Pamiętam tylko ich. Poza nimi nie liczyło się dla mnie nic i nikt. Stali w bocznej nawie wiejskiego kościoła, tacy inni, jakby przybysze z obcego świata. Chłopcy na swój sposób przejęci, ona jakby daleka i nieobecna. Cały czas miałem wrażenie, że Kasia obserwuje ten ślub jak fragment oglądanego w kinie filmu – fikcyjny kościół, fikcyjna para młodych, wymyślony, ciekawy scenariusz... To niestety nie była fikcja, to było moje życie. Prosto

z kościoła wyjechałem do Krakowa. Każdy pretekst był dobry – musiałem się uczyć do nadchodzącej sesji. Nikogo to jakoś nie dziwiło, nikt nie nalegał, bym został. Wszyscy pewnie wychodzili z założenia, że najlepszym lekarstwem jest czas, że muszę się przyzwyczaić, pogodzić z nową rzeczywistością, zaakceptować to, co się stało, i nowego siebie. Byłem im za to wdzięczny. Nie potrafiłbym tam zostać ani chwili dłużej. Byle dalej, myślałem, od tego kościoła, od tamtej obcej, zupełnie obojętnej mi dziewczyny, od rodziców, od naszej wioski, od tej całej koszmarnej sytuacji... Gdy wypowiadałem w kościele słowa przysięgi, widziałem tylko twarz Katarzyny. Mógłbym w szczegółach opisać grę promieni słonecznych na jej włosach, ciepłe miedziane blaski przeplatające się ze złotem słońca i brązem dojrzałych kasztanów, przymknięte delikatnie oczy, cichutko coś szepczące usta, czerwoną różę zbliżoną do twarzy... Nie potrafiłem wyobrazić sobie tego, co będzie dalej. Żyłem tylko wspomnieniami, teraźniejszość wydawała mi się idiotyczna, przyszłości po prostu nie było. Gdy zamykałem oczy, widziałem tylko Katarzynę. Kiedy zasypiałem, śniłem tylko o niej. W snach była taka jak kiedyś – ciepła, zmysłowa, odważnie oddająca pocałunki i tylko moja. W ciągu dnia na uczelni ścigałem ją wzrokiem. Jakby na złość mnie, a może i samej sobie, umawiała się z coraz to innymi facetami. Czułem się niepotrzebny, jak wrak zepchnięty przez los na boczny tor. Dla Kasi byłem starym, dobrym kumplem, któremu należała się odrobina współczucia z powodu życiowych kłopotów.

– Michał, czas się wziąć w garść. Głowa do góry! Świat się na tym nie kończy – mówiła w przelocie. – Brak ci wielu zaliczeń. Jeśli się nie opamiętasz, to nie dopuszczą cię do sesji. Stracisz idiotycznie rok. Czy cała ta sprawa jest w ogóle tego warta?

Miała rację, niezaliczony rok byłby już tylko ukoronowaniem tego, co się stało. Może jeszcze nie jest za późno, pomyślałem. Wolski też mówił, że spróbuje pomóc. Stary był przerażony tym, co się ze mną działo. Wreszcie przestałem patrzeć w sufit. Zacząłem nadrabiać ćwiczenia, odpisywać notatki z wykładów, zdawać zaległe zaliczenia, umawiać się na dodatkowe dopytki, przesiadywać godzinami w akademickiej bibliotece. Nagle dotarło do mnie, że jeżeli stracę rok, jeżeli pójdę na urlop dziekański, nie będzie wspólnych wykładów, nie będzie wspólnych ćwiczeń...

I tak jakoś prawie przypadkiem odnalazłem nowy cel.

Siedziałem właśnie w bibliotece, gdy wpadł Robert.

– Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Masz wyłączoną komórkę, czy co? Matka nie mogła się do ciebie dodzwonić. Marta spadła z taboretu. Pogotowie zabrało ją do szpitala. Poronienie w toku. No, ruszaj się człowieku! – ponaglał.

Kiedy dowiedziałem się, że płód był pięciomiesięczny, chciało mi się walić głową w mur. Poczułem się jak idiota, kretyn, ojciec cudzego dziecka, rycerski mąż zupełnie obcej kobiety. Byłem wściekły na siebie, na chłopaków, a przede wszystkim na Katarzynę. Gdyby nie te jej staroświeckie poglądy, gdyby nie ta jej kryształowa czystość, niczym nieskażona biel, nigdy nie doszłoby do tego koszmaru, nigdy nie dałbym się tak poniżyć, wdeptać w ziemię, zniszczyć. Nie straciłbym poczucia własnej godności, nie utraciłbym gruntu pod nogami. Katarzyna i te jej przekłete zasady... Marta w tym wszystkim się nie liczyła. Była dla mnie zerem, mniej niż zerem. Obojętność przeszła w niechęć, a później w nienawiść. Wystąpiłem o rozwód. Na orzeczenie sądu przyszło mi czekać parę lat. Moją

jedyną obsesją ciągle była Katarzyna. Kochałem ją i jednocześnie czułem żal, pragnąłem jej obecności, a jednocześnie drażniła mnie, sprawiała fizyczny ból. Marzyłem o tym dniu, gdy będę jej mógł powiedzieć, że jestem wolnym człowiekiem, że tamto to był tylko koszmarny sen.

\* \* \*

Rozpoczął się czwarty rok studiów. Było mi coraz trudniej. Moje kontakty z rodzicami stały się rzadsze, a z czasem zaczęły się ograniczać do sporadycznych telefonów i zdawkowych pytań o stan zdrowia. O sobie nie mówiłem nic, a oni zresztą też nie pytali, przerażeni biegiem wydarzeń. Dla nich właściwie przestałem istnieć. W ich małej społeczności osoba starająca się o rozwód podlegała ogólnemu potępieniu, a ktoś ubiegający się o unieważnienie ślubu kościelnego powinien być się nigdy nie urodzić. Byłem zakałą nie tylko własnej rodziny, ale i całej wioski. Z czasem moim jedynym domem stało się to wynajmowane mieszkanie, a jedynym źródłem utrzymania praca w studenckiej spółdzielni. Przyjaciele jakby zapomnieli o wydarzeniach z ubiegłego roku. W moim mieszkaniu znowu było tłoczno i gwarno. Katarzyna traktowała mnie jak dobrego kumpla, a przewrotny los sprawił, że stałem się jej bardzo potrzebny. W październiku rozpoczęły się zajęcia z kardiochirurgii. Dla mnie cudowna intelektualna przygoda, dla Katarzyny jedno z życiowych doświadczeń. Pamiętam doskonale pierwsze ćwiczenia. Podzielono nas na małe, kilkusobowe grupy. Naszą zaopiekował się młody asystent w nienagannie białym, mocno nakrochmalonym fartuchu, w śnieżnobiałych idealnie odprasowanych spodniach, białych butach. Był od nas niewiele starszy. Traktował nas bardziej jak młodszych kolegów niż studentów. Katarzyna wpadła mu w oko już na pierwszych zajęciach. Nic dziwnego, wyglądała cudownie – opalona na złocisty brąz, z długimi włosami spadającymi na odsłonięte ramiona, z rozchyłonym dekoltem ciemnozielonej bluzki, w obcisłych jasnych spodniach, z bosymi stopami wciśniętymi w rzemyki sandałów. Zapomniała fartucha. Na tle naszej ubranej w nieśmiertelne białe fartuchy grupy wyglądała jak barwny, egzotyczny motyl. Cały czas patrzył tylko na nią. Cały czas mówił tylko do niej. Już wcześniej wielokrotnie zastanawiałem się, czy Katarzyna zdaje sobie sprawę z tego, jak działa na mężczyzn. Czy jej zachowanie jest spontaniczne, czy też w pewnym sensie przemyślane, świadome? Intryguje, podnieca, wabi, drażni pewnym siebie, a zarazem dziecięcym sposobem bycia... Ufne dziecko, młoda dziewczyna, kobieta – swoiste zjawisko, kuszący i wabiący kameleon. Wiele razy widziałem różnych facetów, którzy nie mogli oderwać od niej wzroku. Było w niej coś wyzywającego, coś drażniącego, ale nic z wulgarności, nic z tanich efektów, nic na pokaz. Twarz Katarzyny – delikatnie podkreślona linia dużych czarnych oczu, długie rzęsy, ciemne brwi, duże, regularnie wykrojone usta... Ta twarz nie wymagała żadnej korekty. Trudno byłoby ją poprawić. Była idealnie stworzona przez naturę.

Facet był zauroczony, jak wielu innych przed nim, jak ja...

– Pani rozumie, w toku naszych ćwiczeń udowodnię, że ta pozornie trudna dziedzina medycyny jest stworzona dokładnie dla takich dziewcząt jak pani... – motał się, bredził. Myślałem, że nie wytrzymam. Pierwszy nie wytrzymał Robert.

– Tak pan sądzi? – przerwał mu. – Niedawno jeden z pańskich kolegów wygłosił teorię na temat, że takie dziewczyny jak Katarzyna nie nadają się na medycynę, że to za ciężki i do tego często śmierdzący kawałek chleba, że ktoś taki jak Kaśka pasuje bardziej do filharmonii, teatru, perfumerii czy też biblioteki.

– Na jakim przedmiocie dyskredytowano tak dziewczyny? – spytał zdziwiony. Nie mieściło mu się pewnie w głowie, że to w ogóle możliwe w przypadku takiej dziewczyny jak Katarzyna.

– Na anatomii patologicznej – wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

– Niech się pan nie dziwi. Asystent był całkiem normalny, żaden z niego antyfeminista – wyjaśniał Robert. – To Katarzyna potrafi być nieobliczalna.

Nikt nie zapomniał tego wydarzenia sprzed paru miesięcy, po którym Kaśka usłyszała ową reprimendę. Ja też pamiętałem je doskonale. Zbliżał się koniec roku akademickiego, okres zaliczeń. Katarzyna nie miała zaliczonej sekcji na anatomii patologicznej. Od wielu już tygodni robiła wszystko, co tylko było możliwe, aby tego uniknąć. Tym razem asystent był bezwzględny. Kiedy wyczytał jej nazwisko, wstała blada jak ściana. Zgłosiłem się, że chętnie pomogę. Robiła wszystko jak w transie, podśpiewując cichutko pod nosem, zgodnie z jej teorią, że na wydechu sekcję robi się łatwiej. Dyktowała rozpoznanie spokojnym głosem z miną zupełnie obojętną. Zapytana po sekcji o płeć denata, nie potrafiła udzielić odpowiedzi. Wtedy to właśnie usłyszeliśmy opinię o delikatnych dziewczynach, które niewłaściwie wybrały sobie zawód. Opowiadaniem o zesłorocznej anatomii patologicznej rozbawiliśmy asystenta do łez.

Zajęcia z kardiochirurgii zapowiadały się nieźle. Facet był spokojny, pogodny, niekonfliktowy. W przerwach przy filiżance kawy opowiadał różne zabawne historie z sali operacyjnej. Mówił głównie do niej.

Kiedys poprosił ją, żeby pomogła mu przynieść jakieś plansze. Przez uchylone drzwi pokoju asystentów zobaczyłem, jak próbował ją objąć i pocałować. Szybki ruch ręki, krótki trzask. Tak mogła zareagować tylko Katarzyna. Kasia wylądowała u opiekuna roku na wychowawczej pogawędce, w której to profesor Wolski ostatecznie uległ jej argumentom i utrzymywał tylko, że rękoczynny wobec młodych asystentów akademickich to lekka przesada, że wystarczyłaby, na przykład, pisemna skarga. Od tej pory zaczęły się nasze kłopoty z kardiochirurgią. Najgorzej oczywiście szło Katarzynie. Każda jej wypowiedź była niedostateczna. Każde ćwiczenie nadawało się do poprawy. Niszczył ją z uśmiechem na twarzy. Mówiąc szczerze, bawiło nas to wszystkich. No, może nie wszystkich – wyjątkiem była Katarzyna. Każdą ocenę niedostateczną, każde niezaliczone ćwiczenie, każde oblane kolokwium musiała poprawiać na popołudniowych dyżurach. Popołudniami był miły, ujmujący, ciepły. Robił wszystko, by być z nią jak najdłużej. Patrząc na to z boku, widziałem sam siebie sprzed paru miesięcy. Wtedy też byłem gotowy za każdą minutę, za każdy kwadrans, za każdą godzinę z nią zapłacić najwyższą cenę. Kasia go nie cierpiała. Nie chcąc całymi godzinami przebywać z nim sam na sam, ciągnęła mnie z sobą do kliniki pod pretekstem moich ogromnych, świeżo przeze mnie odkrytych zainteresowań kardiochirurgią. Fakt faktem, to właśnie z tego okresu wywodzą się moje marzenia o dużych zabiegach, radykalnych poprawach, prawie cudownych wyzdrowieniach. Roman był dobrym nauczycielem – cierpliwym i wymagającym. Jemu



i jego słabości do Katarzyny zawdzięczam swoje zainteresowanie chirurgią, a kardiochirurgią w szczególności. Swoją drogą, on był jak królewicz z bajki. Miał własne duże mieszkanie, nowiutki zachodni samochód, ciekawą pracę i pewną pozycję na uczelni. Był przystojny, szarmancki, zawsze elegancko ubrany. Myślę, że bardzo ją kochał. Spokojnie czekał na swój dzień, na swoją szansę. Były kwiaty na oficjalne przeprosiny, pierścionek z kongresu w Wenecji, zaproszenie na sylwestra w Budapeszcie i... nieprzystępna, lodowata Katarzyna.

– Kasiu, dlaczego to robisz? – nie wytrzymałem kiedyś. – Czy ty nie widzisz, że przesadzasz, że to już od dawna nie jest w porządku z twojej strony? Bawisz się jego kosztem, wyśmiewasz go publicznie, a później dziwisz się, że masz kanały. Kasieńko, to nie on jest złośliwy. To ty bijesz rekordy zgryźliwości.

– Masz rację – odpowiedziała jakoś dziwnie. – Jest przystojny, do tego kawaler, ma piękny dom, budzący zazdrość samochód, pewną pozycję profesorskiego syna. Złote pierścionki, kwiaty, sylwester za granicą... Żyć, nie umierać. Być może po studiach zapewniłby mi pracę na uczelni, bo przecież sama średnia ocen może nie wystarczyć. Masz rację – mówiła dziwnie spokojnie, ale znałem ją już za dobrze, by się nie obawiać tego spokoju. – Masz rację – powtórzyła. – Czasem mi go nawet żal. Sympatyczny chłopak i do tego niczemu niewinny. Ma po prostu pecha, nie ten czas i nie to miejsce. Ja go nawet lubię, ale wiesz, chociaż pewnie ty tego nie jesteś w stanie do końca zrozumieć, nie każdego można kupić. Mnie byłoby chyba trudno.

To było gorsze od uderzenia w twarz. Więc według niej mnie kupiono, według niej sprzedałem siebie dla paru szklarni, dwóch sklepów i dostatniego życia.

Najbliższa przyszłość zakpiła sobie jednak z tych jej deklaracji. Pamiętam dzień egzaminu z kardiochirurgii. Katarzyna zdawała jako jedna z ostatnich. Prawie cała grupa czekała na Kaśkę. Po tym wszystkim, po tych dopytkach, wiecznych zaliczeniach i komisyjnym dopuszczeniu do egzaminu kibicowaliśmy jej jak na sportowych zawodach. Wszyscy byliśmy ciekawi, jak ją oceni profesor Wolski. Wyszła z sali rozpromieniona, z zaróżowionymi policzkami, z błyszczącymi oczyma. Trzeba ją było znać, a ja ją przecież znałem bardzo dobrze, żeby wiedzieć, że zdała, i to zdała rewelacyjnie.

– Celujący! – krzyknęła radośnie.

Podeszła do mnie. Wspięła się na palce, musnęła mój policzek ustami. Pewnie dla niej był to drobiazg, przyjacielski pocałunek, ale dla mnie to było wtedy bardzo wiele.

– Dziękuję – szepnęła.

Rozejrzała się po korytarzu. Roman stał przy oknie, patrzył gdzieś daleko przed siebie. Był tu już parę godzin, od początku egzaminu, od pierwszego zdającego. Rozmawiał z każdym wychodzącym z sali egzaminacyjnej, gratulował, cieszył się, ja jednak byłem pewny, że tak naprawdę czekał tylko na nią. Jak zawsze elegancki, nienagannie ubrany, przystojny. Ciemna marynarka, bladoniebieska koszula, jasne spodnie i coś, co zauważyłem dopiero teraz – mały bukiet kolorowych frezji. Ruszyła w jego stronę. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem, chyba o niczym. To było trochę tak jak w kinie. Byłem niemym obserwatorem toczącej się tuż obok mnie akcji. Podeszła do niego pewnym krokiem, stanęła tuż przed nim, wyciągnęła do niego rękę i... Nie mogłem w to uwierzyć.

– Katarzyna – przedstawiła mu się. – Mam na imię Katarzyna.

- Roman – podał jej rękę.
- Chciałam ci podziękować.
- Nie ma za co, zupełnie nie ma za co – zatrzymał jej rękę jakby odrobinę za długo. – To ja chciałem cię jeszcze raz przeprosić.

Stali naprzeciw siebie radośni, uśmiechnięci, przyjaźni. A ja nagle zrozumiałem, że to nikt inny tylko ja pchnąłem Katarzynę w jego ramiona.

\* \* \*

Sprawa rozwodowa ciągnęła się w nieskończoność. W marzeniach często widziałem swój „normalny” ślub z „normalną” panną młodą. W moich marzeniach tą panną młodą była tylko ona. Zawsze, gdy o tym myślałem, widziałem tylko ją. To było jak obsesja, jak nieuleczalna ciężka choroba. Nie mogłem się uwolnić od myśli o niej. Towarzyszyła mi ciągle, prześladowała w dzień, przychodziła pod postacią marzeń sennych nocą. Katarzyna... Gdy myślałem o kimś, to tym kimś była Katarzyna. Gdy marzyłem o kimś, to znów była ona... Gdy śniłem, to o Katarzynie... Przekleństwo... Nie potrafiłem, nie mogłem się od tego uwolnić. Na razie zajmowałem pozycję przyjaciela i doskonale wiedziałem, co to znaczy. Sam wyznaczyłem sobie granicę, której nie wolno mi było pod żadnym pozorem przekroczyć. Nie było miejsca na żadne intymne sytuacje, żadne dwuznaczne wydarzenia.

Znowu spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Roman przygotowywał się do habilitacji. Katarzynę, za jego przyzwoleniem, miałem dla siebie. No, nie do końca Katarzynę, tylko czas, który z nią spędzałem. Często włączyliśmy się do późna pustoszejącymi powoli ulicami. Nigdy nie mieliśmy siebie dosyć. Nigdy nie mogliśmy się rozstać, nigdy nagadać. Często oglądaliśmy wystawy sklepów.

– Wiesz Michał, kiedy byłam małą dziewczynką, bardzo lubiłam kupować przez szybę. Wyobrażałam sobie, że mam mnóstwo pieniędzy i że mogę mieć wszystko, co tylko zechcę. Spróbujemy? To wspianiała zabawa. Wiesz, chciałabym mieć białą sypialnię... – staliśmy przed do połowy zamarznąłą szybą salonu meblowego. Nie czułem zimna. Próbowałem sobie wyobrazić to, o czym mówiła. Detal po detal, fragment po fragmencie poznawałem mieszkanie jej marzeń.

– Biała sypialnia z delikatną tapetą w kolorze bladego różu. Widziałam kiedyś taką w drobne białe i popielate różyczki, tłoczone na delikatnym różowym tle. Do tego chciałabym ogromne, staroświeckie łóżko z jasnego drzewa, przykryte staromodną kapą w drobne kwiaty. Podobne do tego tutaj... Jasną szafę z dużymi lustrami w drzwiach, okrągły mały stolik, przykryty ręcznie haftowanym obrusem. Babcia Wanda robi takie cuda... Wyobraź sobie, na przykład, biały obrus z angielskim haftem. Stawiałabym tam porcelanowy wazon na kwiaty. Bo wiesz, ja uwielbiam kwiaty – mówiła spokojnie, radośnie, z nutą rozmarzenia w głosie. – W moim domu będzie dużo, bardzo dużo kwiatów. Chciałabym jeszcze mieć jasną toaletkę. Coś podobnego do tej tutaj – z dużym lustrem w ozdobnej oprawie i wiklinowym fotelem stojącym naprzeciw. Na toaletce stawiałabym drobiazgi, no wiesz, takie tam babskie różności: kremy, perfumy, pudry... W mojej sypialni powinny być jeszcze białe firany, nie za długie, sięgające tuż ponad drewniany, szeroki

parapet. Na parapecie mnóstwo kwiatów w białych porcelanowych doniczkach... No i jeszcze zasłony – biało-różowe, delikatne, lekkie, zwiewne, przypominające bardziej poranną mgłę niż materiał. Okno musi być ogromne, dające dużo światła. Z okna powinno być widać ogród, a w ogrodzie ogromne krzewy magnolii. Na drewnianej podłodze puszysty, ciepły dywan, taki, że miałyby się ochotę stanąć na nim boso... – Stałem obok, nie przerywając nawet słowem. Bałem się, że wszystko zepsuję, że nagle czar pryśnie i że już nigdy nie dowiem się, jak powinna wyglądać nasza sypialnia, kuchnia, łazienka...

– W każdym domu powinno być jakieś zaciszne, spokojne miejsce, gdzie można byłoby usiąść z książką w rękę i odpocząć po zabieganym dniu. Marzy mi się kominek, w którym w jesienne i zimowe wieczory buzowałby ogień, rozpryskując wkoło tysiące wesołych iskier... – Słuchałem, słuchałem, słuchałem... Wtedy były to tylko marzenia.

\* \* \*

Sesja dobiegała końca. Jeszcze parę dni, jeszcze jeden egzamin i rozpoczną się kolejne wakacje. Miałem je już dobrze zaplanowane. Kumpel nagrał mi pracę przy przeprowadzkach we Frankfurcie.

– Stary, cudowna robota – zachwalał przez telefon. – Pomyśl, około dziesięciu za godzinę i do tego napiwki. Żyć, nie umierać. To bez porównania lepsze niż zeszłoroczne układanie bruków. Do dzisiaj mam jeszcze odciski na rękach i kolanach.

Potrzebowałem tych pieniędzy. Z domu nie otrzymywałem już nic. Praca w studenckiej spółdzielni była niskopłatna i czasochłonna. Przydałaby się na ten ostatni rok studiów jakaś finansowa górka. Wiadomo, egzaminy dyplomowe, może jakiś wolontariat w nadziei na późniejszy etat na uczelni... Może brakować czasu na pracę, a przecież trzeba jakoś żyć.

Katarzyna miała zupełnie inne plany. Z wypiekami na twarzy dzieliła się ze mną swoim najnowszym pomysłem.

– To nasze ostatnie wakacje, za rok będziemy już po dyplomie, za rok każdy z nas będzie się już rozglądał za miejscem pracy, rozpoczynał inne, no wiesz, to niby dorosłe życie.

Moje dorosłe życie zaczęło się o wiele wcześniej, pomyślałem.

– Ostatnie wakacje... – Kasi nie zamykały się usta. – Zebraliśmy już grupę, trochę ludzi od nas, trochę z innych uczelni. Przejdziemy na piechotę z plecakami i namiotami całe wybrzeże. Do tego prawie nie trzeba pieniędzy. Załatwiliśmy finansowanie z uczelni. W dziekanacie nie widzieli jeszcze takich zapaleńców. Będziemy rozsławiać imię naszej akademii. Wolski założył się ze mną, że najpóźniej na wysokości Koszalina wymięknę i wrócę pociągiem do domu. Przegra staruszek. Jestem tego pewna. W końcu ja stamtąd pochodzę, to mój świat. To będzie cudowna przygoda. Coś niepowtarzalnego, coś jedyne w swoim rodzaju, coś, co zostanie w pamięci na całe życie. Można spać na plaży... Pomyśl, kilkaset kilometrów piechotą, szum fal, krzyk mew, wschody i zachody słońca, szerokie, dzikie plaże, nieodkryte jeszcze przez tłumy turystów...

– Wiesz, dla mnie to wszystko brzmi strasznie, po prostu przerażająco. Niby po co miałbym się tak męczyć?

– Nie: „po co”, a „dla kogo”... – miała rację, źle postawiłem pytanie.

To były moje najcudowniejsze wakacje. Byliśmy razem. Całe dni i noce byliśmy razem

i tak naprawdę tylko to miało dla mnie znaczenie. Byliśmy my i jeszcze kilkanaście innych osób, ale dla mnie liczyła się tylko ona. Śmiała się, żartowała, zaplatała włosy, biegła wzdłuż plaży, goniąc leniwe ptaszyska, nurkowała pod nadpływające fale, brodziła w wodzie po kolana, zbierając bursztyny, kremowała twarz, karmiła mewy, podziwiała wschody i zachody słońca, siedziała w moim swetrze przy ognisku... Robiła setki rzeczy, których nigdy nie zapomnę, tysiące drobiazgów, które sprawiały, że z każdym dniem byłem coraz bardziej zakochany. Nawet teraz, po latach, gdy zamykam oczy, widzę to znowu: ociekające wodą splątane włosy, opaloną twarz, włożony na mokre ciało mój podkoszulek, wyciągniętą w moją stronę dłoń z kruszynomami bursztynu, bliskość jej ciała, ciepły blask wieczornego ogniska odbity w jej oczach, długie spacerunki po zachodzie słońca, rozsunięte zamki namiotów, jej twarz tuż przy mojej twarzy, kąpiele przy blasku księżyca... Te dziesiątki kilometrów, które codziennie przemierzaliśmy, ciężar namiotów i plecaków, nie miały żadnego znaczenia. Roman dzwonił każdego dnia. Opowiadała mu wszystko. Był na stypendium w Stanach. Zbierał tam jakieś materiały do kolejnej bardzo ważnej publikacji. Nie wiem, czy był o nią zazdrosny. Ja byłbym zazdrosny o każdą minutę tych wakacji. Widziałem się z nim, kiedy wyjeżdżaliśmy na naszą wyprawę. Rozmawiał ze mną chwilę na peronie tuż przed odjazdem pociągu.

– Uważaj na nią! Zgodziłem się na ten szalony pomysł tylko dlatego, że ty jedziesz. Byłem pewny, że zdoła cię namówić. Katarzyna nie chce ze mną jechać do Stanów. Rozumiem, to dla niej nuda, nic z atmosfery wakacji. Przy tobie na pewno nie może jej się nic złego przytrafić. Ufam ci. Wiem, że stara miłość nigdy nie rdzewieje, ale ty masz dużo zdrowego rozsądku.

– Możesz być pewny. Będę nad wszystkim czuwał: żadnego siedzenia do rana, żadnego włączenia się po nocy, codziennie zjadane śniadania, żadnych nieznanym facetów...

– Nieznajomych to ja się jakoś zupełnie nie obawiam, gorzej... – nie dokończył. – Bawcie się dobrze! – Przytulił Katarzynę. Uścisnął mi rękę. Stał na peronie, patrząc, jak pociąg powoli nabiera szybkości.

Prawdę mówiąc, sam siebie podziwiałem. Byłem niedoścignym wzorem przyjaciela i miałem niesamowicie dużo zdrowego rozsądku. Katarzyna ufała mi bezgranicznie. Pamiętam, pewnego wieczoru rozbiliśmy namioty na klifie, tuż nad plażą. W nocy zerwał się wiatr, morze huczało groźnie, a wysokie fale uderzały z niespożytą siłą w betonowe wzmocnienia klifu. Niebo było czarne, pozbawione gwiazd. Gdzieś w oddali pojawiały się zygzakowate światła pierwszych błyskawic, groźne, dudniące grzmoty zlewały się z rykiem fal. Katarzyna weszła do mojego namiotu.

– Mogę się na dzisiejszą noc przenieść do ciebie? – spytała niepewnie. – Strasznie się boję burzy. Nocleg w tym miejscu to chyba nie był najlepszy pomysł. Widziałeś tu niedaleko ten w połowie zburzony kościół? Druga połowa spadła z klifu do morza w trakcie jakiejś nawałnicy.

– Doprawdy? – zacząłem się śmiać. – Przed paroma godzinami słyszałem od ciebie jakąś strasznie romantyczną historię na temat runięcia tego kościoła. – Próbując naśladować jej głos, ciągnąłem z ironią. – Dawno temu w Trzęsaczu mieszkało dwoje młodych ludzi – Kaźko i Ewa, którzy darzyli się wielkim uczuciem. Pewnego dnia chłopak wypłynął na połów i nigdy nie wrócił, a dziewczyna umarła z tęsknoty za nim. Od tej pory

w księżycową noc duch Ewy błędził po brzegu, żeby się spotkać z duchem Kaźka. Morze postanowiło przykryć falami cmentarz, na którym pochowana była Ewa, aby od tej pory zakochani na zawsze byli razem – nabijałem się. – Przy okazji fale uszkodziły też kościół i dlatego dzisiaj widzieliśmy tylko kawałek ściany z czerwonej cegły sterczący na urwistym brzegu. My chyba specjalnie nie mamy się czego bać, chyba że morze postanowiło innych młodych połączyć na wieki... – Sam przestraszyłem się tego, co powiedziałem. – Wejź! Przyniesz sobie tylko swój śpiwór!

– Już mam.

Weszła niepewnie. Usiadła na rozłożonej karimacie. Obserwowałem jej twarz w migotliwym świetle zapalanej świeczki. Czuła się nieswojo.

– Wskakuj w śpiwór i spróbuj zasnąć. Ja trochę jeszcze posiedzę. Zobaczymy, jak się rozwinie ta nawałnica...

Wsunęła się posłusznie w śpiwór, przytuliła do swojej ulubionej maskotki, małego pluszowego Timona. Zamknęła oczy. Migotliwe światło świeczki przesuwało się po jej włosach, rzucało cienie na twarz, zamknięte oczy, delikatnie rozchyłone usta, odsłonięte ramiona... Zdmuchnąłem świeczkę. Dosyć! Ciemność zapanowała tylko na chwilę. Na zewnątrz huczało morze, wiatr szarpał płótno namiotu, niebo przecinały błyskawice. Drzewa oświetlane światłem błyskawic zaczęły rzucać przedziwne cienie. Katarzyna spała po męczącym dniu. Słyszałem równy, cichy oddech. Ja siedziałem tuż obok niej. Czułem napięcie każdego mięśnia, fizyczny ból spiętego ciała. Przyjaciel... Cholerne słowo, którego zaczynałem nienawidzić. Tyle razy marzyłem o podobnej sytuacji. Tyle razy przeżywałem to we śnie. Teraz Katarzyna spała tuż obok mnie, spokojnie, bezpiecznie... Po przejściu ulewy przeniosłem się przed namiot. Nie mogłem zmrużyć oka. To była dla mnie wyjątkowa noc. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ta noc była wyjątkowa również dla Katarzyny. Nigdy nie opowiedziała Romanowi o tej burzy, o lęku, o wspólnym namiocie, o wspólnej nocy. Nie wydarzyło się zupełnie nic, ale i tak z niewyjaśnionych do końca powodów ta noc stała się naszą tajemnicą.

Pamiętam każdy dzień tych cudownych wakacji, każdą chwilę: Jezioro Turkusowe i ciemne lasy wyspy Wolin, słone jezioro Łebsko, stare dziurawe łajby i gorący, rozgrzany słońcem piasek złocistych wydm, kościółek w Trzęsaczu i Dwór Artusa w Gdańsku, zamek krzyżacki w Malborku i Mierzeję Helską, której siedemdziesiąt cztery kilometry przeszliśmy w dwa dni, latarnię morską na przylądku Rozewie... Te wspomnienia już na zawsze należeć będą do mnie. Jezioro Turkusowe i skacząca do wody Katarzyna... Jej dłoń zagarniająca słoną wodę łebskiego jeziora, gdy przechyłoną łodzią wpływaliśmy na ruchome piaski... Jej bose stopy wzbijające w powietrze tumany złocistego pyłu, gdy zbiegała z wydm w kierunku morza... Tamta noc w Trzęsaczu... Dom babci Wandy...

Nigdy nie zapomnę dni spędzonych w domu babci Wandy. Kasia zrobiła nam wszystkim olbrzymią niespodziankę. Był upalny dzień bez odrobiny morskiej bryzy. Przeszliśmy już z dwadzieścia kilometrów plażą, spoceni, zmęczeni, rozdrażnieni upałem i sobą nawzajem. Nikt z nikim nie rozmawiał. Dawno ucichły śmiechy i żarty. Mieliśmy wszystkiego dosyć, to był kolejny długi dzień tej wędrówki, i do tego ta okropna duchota.

– Pas, nie idę dalej, nie dam rady – Robert cisnął na piasek swój plecak, padł obok niego, położył się na plecach, rozkrzyżował ręce. – Basta, ani kroku dalej, bo umrę.

– Nie wygłupiaj się, mieliśmy przejść dzisiaj jeszcze pięć kilometrów – Katarzyna usiadła przy nim na piasku i próbowała wymusić zmianę decyzji.

– Nie, Kasia, nie dam rady. Dziewczyno, nawet dla ciebie nie zrobię już ani kroku więcej. Popatrz na innych, wszyscy mamy dosyć. Co to za różnica tu czy pięć kilometrów dalej?

– Olbrzymia – skwitowała Katarzyna. – No trudno, jak chcecie. Powiem wam tylko, co tracicie: misy pełne przepysznych domowych pierogów, schłodzony w studni kompot z truskawek, ciasto drożdżowe z rabarbarem, ciepłą kąpiel i noc pod dachem. – Spojrzeliśmy na nią zdziwieni.

– Ty się chyba dzisiaj przegrzałaś!

Robert usiadł, przestał się pokładać na piasku, spojrzał na Katarzynę pytająco.

– Wcale nie. Wiem, co mówię. Pierogi będą na nas czekać za dwie godziny: ruskie, z kapustą i grzybami, z mięsem, a dla bardziej wymagających z jagodami – droczyła się z nim.

– Nie łiesz? – Robert wyprostował się i sięgnął ręką w kierunku plecaka.

– Nie łzę – odpowiedziała pewnie.

– Komu, jak komu, ale tobie ufam – Robert wstał. – Mówisz: pierogi, kompot i ciepła kąpiel? Ruszamy, komu w drogę, temu czas.

Wszyscy ruszyli z nową siłą. Nikt nie marudził. Nikt nie jęczał.

– Coś ty wymyśliła, Kasiu?

– Michał, to, co tu widzisz, to mój świat. Tutaj znam już każdą mieliznę, każdą polanę w lesie. Kiedyś wydawało mi się, że rozpoznaję krzyk każdej mewy. Niecałe pięć kilometrów stąd jest mój dom z lat dziecińczych. Czeka na nas babcia Wanda.

Tego się nie da zapomnieć: dom pachnący świeżo upieczonym drożdżowym ciastem, stół zastawiony wielkimi misami pierogów, mała staruszka o ciepłym uśmiechu, ogród, którego ostatnie drzewa zlewały się ze ścianą świerkowego lasu, leniwy wieczór rzucający ostatnimi promieniami zachodzącego na czerwono słońca wyraziste, długie, miękkie cienie, cichy dźwięk gitary, Katarzyna, która z wypiekami na twarzy oprowadzała mnie po świecie swojego dzieciństwa...

– Patrz, Michał, tu był mój pokój, a tu domek na drzewie, tu bawiłam się zawsze z moim psem...

Katarzyna biegła rozpromieniona, a ja oczami wyobraźni próbowałem zobaczyć tamtą małą dziewczynkę z długimi do pasa warkoczami, wiecznie porozbijanymi kolanami i umorusaną czekoladą buzią, której zdjęcia wisiały wszędzie. Następnego dnia rano obudził mnie dźwięk rąbania drewna. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, gdzie jestem. Biały sufit, ściany z mocnych drewnianych bel, zapach lasu, szum morza, krzyk mew, zapach świeżo zaparzonej zbożowej kawy... Wszyscy jeszcze spali. Babcia Wanda stała przed gankiem domu, rozbijając kawałki drewna.

– Ja to zrobię – wziąłem siekierkę z rąk staruszki. – Na co to potrzebne? Do kominka?

– Nie. Kasia zaplanowała dzisiaj na popołudnie takie tutejsze danie – pieczonki. Musimy przygotować małe ognisko. Postawimy na nim wielki garnek. Zobaczysz... – Nie odchodziła. Stała obok i patrzyła, jak rozłamuję kawałki drewna.

– Ty jesteś Michał, prawda?

– Tak.

Spojrzała na mnie jakoś inaczej.

– Wiesz co, chłopcze, zostaw tę robotę i wyjdź, niby przypadkiem, naprzeciw Kasi.

– To Katarzyna nie śpi? – spytałem zdziwiony. – Byłem pewny, że po wczorajszym dniu śpi jeszcze. Nie zaglądałem do jej pokoju.

– Nie, ona już dawno nie śpi i trochę się martwię, że tak długo nie wraca. Pójdź plażą, jakiś kilometr, do małego kościółka. Nie można zabłądzić, widać go z daleka. Jest drewniany, bardzo stary. Nasz ksiądz wykorzystuje go czasem latem, gdy odprawia mszę dla letników. W tym roku coś niewielu przyjezdnych. Nie słyszałam, by odprawił choć jedną polową mszę... – nagle urwała, jakby w pół zdania. – Kasia powinna już dawno wrócić. Myślę, że spotkasz ją po drodze.

Ruszyłem od razu. Plaża była tu szeroka, dzika, pełna wyrzuconych przez morze korzeni, drobnych kamyków i wyschniętych na słońcu glonów. Mewy stadami wzbijały się w powietrze, aby z krzykiem opaść parę metrów dalej. Katarzyny nigdzie nie było widać. Przyspieszyłem kroku. Zacząłem odczuwać jakiś dziwny niepokój. Po prawej, z daleka widoczny był maleńki kościółek. Co też Katarzyna może robić sama na takim odludziu? Wspiąłem się na wydmy. Drewniany płot oddzielał kościół od świerkowego lasu. Pchnąłem furtkę. Otworzyła się cicho, prawie bezszelestnie. Wszedłem do środka. Nie zauważyłem nikogo. Chyba rzeczywiście dawno nikt tu nie był. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wysoka trawa i kwitnące polne kwiaty. Cisza aż dzwoniła w uszach, przerywana tylko brzęczeniem owadów i dochodzącym gdzieś z daleka stukaniem dzięcioła. Pełen zwątpienia okrążyłem budynek. Duża kłódka zabezpieczała drzwi drewnianego kościółka. Już miałem zawrócić, gdy nagle zobaczyłem Katarzynę. Musiała wyjść z domu bardzo wcześnie, kiedy panował jeszcze poranny chłód. Ubrana w sweter i długie spodnie nie pasowała do słonecznego, upalnego przedpołudnia. Stała na małym, przylegającym do kapliczki cmentarzu. Poprawiała właśnie wstawione do wazonu polne kwiaty. Wierzchem dłoni otarła twarz. Długo miętosiła w dłoni małego, kupionego przed paroma dniami misia. Schyliła się, położyła go na grobie. Odwróciła się na pięcie i pędem, na oślep zaczęła zbiegać z wydm. W ostatnim momencie uskokzyłem w bok. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyła. Czułem się trochę tak, jakbym bezprawnie uczestniczył w tym małym misterium, które Kasia odprawiała na cmentarzu. Zbiegała z wydm, zrzucając w biegu ubranie. Wbiegła pomiędzy fale, rzuciła się do wody, zaczęła pływać. Płynęła szybko, coraz szybciej, jakby ruch i zmęczenie miały oddalić rozpacz, uciszyć ból, zniwelować żal. Podeszedłem do grobu. Mały niebieski miś leżał pod prostą kamienną tablicą. Nie było żadnego krzyża, żadnych złocień, żadnego „świętej pamięci”. Surowość płyty złamana była tylko przez siedzącego na jej krawędzi kamiennego motyla z rozpostartymi, gotowymi do lotu skrzydłami, próbującego oderwać się od kamiennej bryły, uwolnić się, wzbić w górę, poszybować w dal, wznieść się w kierunku słońca. Na płycie trzy imiona – mama, tata, maleńki brat, daty urodzin, data śmierci i jedno jedyne zdanie wyryte w kamieniu: „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”. Poczułem łyż pod powiekami, ucisk w gardle. O Boże, Kasia... Kamienny motyl, który próbuje wzbić się w niebo. Miłość, żal, rozpacz, nadzieja zaklęte w kamieniu. Nie spieszyłem się. Nie chciałem dogonić Katarzyny. Nie miałem do tego prawa. Przyszła tu sama. Nie chciała mnie zabrać. Dzień wcześniej



pokazała mi całe szczęśliwe królestwo swojego dzieciństwa. Na to tutaj chyba jeszcze nie zasłużyłem. Na to było chyba jeszcze za wcześnie. Usiadłem na wydmach. Obserwowałem ją z daleka. Pływała jak szalona, sto metrów tam, sto metrów z powrotem i jeszcze raz, i jeszcze raz. Później, zataczając się ze zmęczenia, wyszła z wody. Rzuciła się na piasek, leżała prawie bez ruchu. Po chwili powoli wciągnęła na mokre ciało ubranie i ruszyła wolno plażą w kierunku domu. Kiedy dotarłem do domu pięć minut po Katarzynie, babcia Wanda patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Nie spotkaliśmy się. Chyba musiałem skrócić w drugą stronę – plątałem się w wypowiedzi. – To wszystko nie takie proste. Plaża jak plaża, wydmy jak wydmy, nie widziałem żadnego kościółka, żadnego... – urwałem przerażony, że prawie się wygadałem. – Człowieka... – dokończyłem niepewnie.

Babcia przyglądała mi się uważnie. Chyba nie umiałem przekonująco kłamać. Gdy mijaliśmy się w sieni, przystanąła na chwilę.

– Wiesz, Michał, dobry z ciebie chłopak.

\* \* \*

Zbliżało się Boże Narodzenie. To były ostatnie zajęcia na uczelni przed świąteczną przerwą. Przejścia między rzędami ławek zastawione były zapakowanymi plecakami i torbami gotowymi do podróży. Nikt tak naprawdę nie słuchał już wykładu. Wolski przestał przekrzykiwać coraz głośniejszy szum. Życzył wszystkim wesołych świąt i zaczął się z nami łamać opłatkiem. Wszyscy myślami byli gdzieś daleko. Ostatnie dni były dla mnie koszmarem. Ja dawno przestałem lubić święta. Znienawidziłem tę świąteczną krzątanię. Od paru lat nie jeździłem już na święta do domu. Matka, po tej całej aferze z Martą, rozmawiała ze mną przez telefon, cedząc niechętnie każde słowo, ojciec udawał, że mnie nie zna. Z czasem i ja przestałem zabiegać o kontakt z nimi. Święta spędzałem sam, w pustym mieszkaniu, bez choinki, bombek, światełek, bez Wigilii, bez niczego i bez nikogo... Ożywiałem się tylko wtedy, kiedy kupowałem prezent dla Katarzyny. Moje świąteczne misterium zaczynało się i kończyło na prezencie dla Kasi. W tym roku kupiłem go dużo wcześniej, jeszcze w końcu października. Wracając z treningu, przechodziłem koło jubilera. Moją uwagę przykuł złoty łańcuszek z małym motylkiem o radośnie rozpostartych skrzydłach. Motyl... Kasia i tamten motyl na nagrobnej płycie. Tamten szamotał się, nie mogąc oderwać się od przeszłości, nie mogąc wzbić się do słońca, nie mogąc ciągle zapomnieć... Ten tutaj był radosny, lekki, wolny. Cena na początku mnie poraziła, ale udało się – trochę więcej pracy w studenckiej spółdzielni, trochę oszczędniejsze życie. Oglądałem ten łańcuszek wiele razy. Wyobrażałem sobie minę Katarzyny, kiedy go dostanie. Teraz leżał w kieszeni mojego płaszcza. Wyszliśmy razem z uczelni. Tradycyjnie, jak zawsze po wieczornych wykładach, odprowadzałem Kasię do domu. Szliśmy powoli, noga za nogą, trochę tak, jakbyśmy oboje chcieli w nieskończoność wydłużyć tę drogę, oddalić moment rozstania. Żadne z nas nic nie mówiło. Powoli zaczął padać śnieg. Lekkie, małe płatki wirowały w świetle latarni.

– Wyjeżdżasz w tym roku na święta? – Katarzyna przerwała nagle milczenie.

– Nie, przecież wiesz, co będę robił. Poleżę, pośpię, poczytam... – zacząłem wyliczać

pozornie wesoło. – A wy jak spędzacie święta?

– Roman ma dwa dni dyżuru. U nich w klinice zawsze losują, kto w tym czasie ma dyżurować. Wolski uważa, że tak jest sprawiedliwiej. – Nie wyglądało na to, żeby się choć trochę tym martwiła. – Miał pecha.

– A ty? Wyjeżdżasz?

– Jak zawsze, do babci Wandy – odpowiedziała błyskawicznie.

Zatrzymała się i zaczęła czegoś szukać w torbie. Wyjęła pomietą kopertę. Podła mi ją.

– Przeczytaj!

Niepewnie wyjąłem list z koperty. Spojrzałem na Katarzynę.

– Nie czytam cudzych listów – próbowałem oponować.

– Ten możesz.

– *Kochana Kasieńko – zacząłem czytać na głos. – Nie mogę się już doczekać twojego przyjazdu. Śniegu u nas spadło co niemiara. Martwię się, jak dojedziesz. Pociągi do Koszalina przyjeżdżają z dużym opóźnieniem, a i autobusy kursują niezbyt regularnie. Codziennie chodzę na plażę karmić ptaszyska, rzecz jasna, w twoim imieniu. Byłam też przy kościółku...*

– Nie, nie czytaj wszystkiego – przerwała Kasia. – Przeczytaj ten ostatni akapit – pokazała palcem ostatnich parę zdań.

– *Kasiu, zaprosz w moim imieniu do nas na święta Michała. Nieważne, jak bardzo pokręcone są wasze drogi i jak bardzo skomplikowaliście sobie życie. Czekam tu na Was. Babcia Wanda* – spojrzałem zaskoczony na Katarzynę. Nie wiedziałem, czy mam prawo się cieszyć.

– A ty, co ty na to? – spytałem.

Wspięła się na palce. Pocałowała mnie delikatnie w policzek.

– Co ja na to? Ja zapraszam cię do nas na święta.

Nagle wszystko wydało się inne, choć płatki śniegu wirowały, jak wcześniej, w ciepłym świetle gazowych latarni.

Te święta to jedne z najcudowniejszych chwil, jakie spotkały mnie w życiu: Kasia zmęczona wielogodzinną drogą, śpiąca z głową opartą na moim ramieniu, dom pachnący świeżo przyniesioną z lasu choinką, babcia Wanda, która wyściskała mnie na powitanie, ubieranie choinki, Kasia stojąca na palcach i wieszająca kolorowe bombki i cukierki, wiązająca z kolorowych słomek długie łańcuchy, ogień buzujący w kominku, babcia Wanda klejąca uszka, prezenty pod choinką, Wigilia...

– Żeby się wam to jakoś, Michał, ułożyło – powiedziała cichutko babcia Wanda, łamiąc się ze mną opłatkami. – Bardzo bym chciała – dodała. – Nie wszyscy w życiu mają takie szczęście jak wy. Wam udało się spotkać.

– Babciu, co tam spiskujesz – próbowała przerwać babcine szepty Katarzyna.

– Ja, nic. My sobie tylko z Michałem składamy życzenia.

Dwanaście potraw i oglądanie prezentów. Długie spacery zasypaną śniegiem plażą i wesołe światła choinki. Katarzyna z płatkami śniegu we włosach... Katarzyna w świetle choinki... Katarzyna karmiąca mewy... Katarzyna... Nigdy wcześniej tak naprawdę nie czułem, jaką magiczną moc mają w sobie święta.

Lubiłem moje popołudnia w klinice. Cieszyłem się, że profesor Wolski zgodził się, bym na szóstym roku studiów odbywał popołudniami wolontariat na kardiochirurgii. Roman chętnie widywał mnie na swoich dyżurach. Był świetnym nauczycielem, a z czasem ze zdziwieniem stwierdziłem, że go nawet lubię.

– Ciesz się, Michał, że nie masz medycznych korzeni. Będzie ci łatwiej. Zobacysz... – Zaczął kiedyś niespodziewanie, próbując równocześnie pociągnąć łyk wrzącej herbaty. – Medyczne nazwisko to przekleństwo – ciągnął. – Ojciec profesor, mama profesor – gorzej być nie może. Jedni cenią cię, bo lubią twoich rodziców, inni tępią, bo właśnie ścięli się z nimi w trakcie obrad rady uczelni, jeszcze dla innych zawsze będziesz tym rozkosznym berbeciem, którego pojawienie się zahamowało na krótko rozwój naukowej kariery pani profesor. Wszyscy jednak uważają zgodnie, że tak naprawdę to jesteś nic nieznaczącym zerem, nędzną imitacją wielkich rodziców. Gorzej być nie może – ciągnął dalej. – Jeden z kolegów mojego ojca uważał, że najlepiej zrobię, jeżeli zostanę, jak ojciec, ginekologiem. Twierdził, że trudno będzie tylko na początku. Pacjentki będą mówiły: „stary Sosnowski” o ojcu i „młody Sosnowski” o mnie, a później ta subtelna różnica się zatrze i przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Prorokował, że pojedę na nazwisku ojca jak po maśle, że prywatny gabinet będzie prosperował wprost niewyobrażalnie. Medyczna rodzina to przekleństwo... – powtórzył, robiąc krótką przerwę na łyk herbaty. – Nikt na początku nie patrzy na ciebie jak na indywidualną jednostkę, każdy widzi w tobie tylko profesorskiego syna. Ciągnie się to za mną całe życie – przerwał na chwilę. Spojrzał na mnie. Widząc, że słucham uważnie, mówił dalej. – Kiedy byłem mały, nikt nie miał dla mnie czasu. Nie pamiętam moich rodziców z tamtych lat. Pamiętam tylko zamknięte drzwi, za którymi pracowali. Pamiętam zmieniające się opiekunki i dziesiątki dodatkowych zajęć, które miały mi skrzętnie wypełnić czas. Uczyłem się języków obcych, grałem w tenisa, jeździłem konno, chodziłem do szkoły muzycznej i na kursy tańca... Na studiach nie miałem przyjaciół. Wszyscy stronili ode mnie. Nikt nie chciał przychodzić do mnie do domu. Kiedy ktoś próbował się ze mną zaprzyjaźnić, zaczynałem natychmiast podejrzewać, że ma problemy z ginekologią lub okulistyką. Najczęściej była to prawda. Przekłęte życie – przerwał na chwilę. – Po studiach wszyscy byli pewni, że wystartuję w konkursie na etat na ginekologii. Nikt z moich kolegów nie składał nawet podania u mojego starego. Wszyscy uważali, że to nie ma sensu, że jedyny wolny etat jest dla mnie. Ja wybrałem coś innego... – przerwał na chwilę. – Nie chcę być cieniem mojego ojca. Ja, żeby zaistnieć, muszę przyćmić moich rodziców. Muszę być lepszy od nich. Wysoko postawiono mi poprzeczkę. Nie miałem nigdy czasu na młodość, na zabawę, na młodzieńcze wygłupy. Tobie wystarczy być sobą i już będziesz dobrym lekarzem – spojrzał na mnie uważnie. – Zanudzam cię? – Widząc przeczący ruch głowy, kontynuował. – Nienawidzę mojej pozycji profesorskiego syna, a jednocześnie podświadomie nauczyłem się ją wykorzystywać... Uświadomiłem to sobie po tym zajściu z Katarzyną. Dostałem w twarz i byłem zdziwiony. Byłem zdziwiony, a przecież...

– Daj spokój – przerwałem mu. – Dzięki tobie Kaśka zdała celująco egzamin, a ja znalazłem swoje miejsce w medycynie. Spotykacie się... – musiałem być mało

przekonująco, bo przyglądał mi się jakoś dziwnie.

– Chodź już! Dzwonili z bloku operacyjnego. Wszystko już gotowe – urwał nagle rozmowę.

Tego dnia po raz pierwszy stanąłem do operacji jako asysta. Zaufał mi. Zabieg był ciekawy, zresztą jak wszystkie kardiochirurgiczne. Lubiłem obserwować pracującego Romana – spokojny, opanowany, dokładny do bólu, skupiony na tym, co robi, wypowiadający swoje myśli pewnie, jasno i oszczędnie. Był profesjonalistą wykonującym swoje rzemiosło z niespotykaną wprost precyzją. Nie było w tym żadnych niepotrzebnych słów, żadnych zbędnych ruchów. Dziesiątki godzin, podczas których analizowałem przebieg zabiegów kardiochirurgicznych na kasetach wideo, nie poszły na marne. Popołudnia, które spędziłem w sali operacyjnej, zaowocowały. Z każdą chwilą tej pierwszej operacji nasza współpraca coraz bardziej przypominała zgrany zespół. Stopniowo zaczynaliśmy się rozumieć bez słów. Wyciągnięta ręka – wytarcie, ściśnięte naczynie – podwiązka... Krok po kroku do przodu. Widziałem na jego czole krople potu. Pewnie i ja wyglądałem podobnie. W pewnym momencie zachwiałem się, zsunąłem z nóg drewniaki, przestąpiłem z nogi na nogę... Nie przywykłem jeszcze do tych paru godzin stania przy operacyjnym stole. Zauważyłem, że się uśmiechnął. Nie widziałem twarzy przysłoniętej maską, widziałem tylko uśmiechnięte oczy.

– Dobrze, naprawdę dobrze. Będą z ciebie ludzie – usłyszałem, gdy wychodziliśmy z sali operacyjnej.

Tym zabiegiem Roman skończył dyżur. Szklanką herbaty z rumem uczciliśmy w dyżurce moją pierwszą w życiu asystę. Z kliniki wyszliśmy razem. Roman zatrzymał się tuż przed swoim samochodem.

– Michał, powiedz mi, proszę, co wy wymyśliliście z tym sylwestrem? Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

Nie wiedziałem, o czym mówi. Prawdę mówiąc, ostatni raz rozmawiałem z Katarzyną na temat tegorocznego sylwestra przed paroma dniami. Jeszcze podczas świąt u babci Wandy powiedziała mi, że spędzi go w nietypowy dla siebie sposób – na wielkim ekskluzywnym balu z Romanem. Po powrocie byliśmy nawet razem na zakupach, szukaliśmy sukienki i butów dla Katarzyny. Obeszliśmy chyba z pół miasta. To była cudowna zabawa. Kasia przymierzyła z dwadzieścia różnych kreacji. Oglądałem ją kolejno w każdej z nich. Rozrzut był wielki – od słodkiej małej dziewczynki po wyzywającą kobietę wampa. Podobała mi we wszystkim. W końcu nie kupiłem nic.

– Michał, ja najbardziej kocham nasze sylwestry – mówiła Kasia. – Do tego nie potrzeba supersukienki ani eleganckich butów, żadnej torebki ani biżuterii.

To prawda, pomyślałem, zwykle wystarczał ocieplacz, narciarskie buty, deski... Później już o tym nie rozmawialiśmy. Chyba nam obojgu zrobiło się jakoś dziwnie przykro.

I nagle Roman zapytał mnie o sylwestra.

– Ja, jak co roku, jadę z przyjaciółmi do Karpacza – rzuciłem obojętnie. – Tak jest już od lat. Jedna z koleżanek stamtąd pochodzi. Mamy więc darmową metę. Jeździmy na nartach, na śniegu otwieramy szampana, później robimy konkurs fajerwerków, tańczymy na dworze, szalejemy na śniegu... W zeszłym roku wybudowaliśmy śnieżne miasto i do rana toczyliśmy wojnę. W tym roku po raz pierwszy wypijemy szampana na nartostradzie. Co

prawda, nie można jeździć nartostradami po zmięczeniu, ale nam się udało taką zgodę uzyskać – po prostu nasi znajomi z GOPR-u będą nam towarzyszyć. Zjedziemy dokładnie o dwunastej z zapalonymi pochodniami. Powinno być... – plątałem się trochę.

– Fajnie, a może nawet fantastycznie – dokończył za mnie Roman.

– No właśnie – przyznałem. – Niepowtarzalnie...

– A nie wydaje ci się, że odrobinę, a może nawet więcej niż odrobinę niebezpiecznie? – spytał. – Jeżdżę na nartach od czwartego roku życia i mimo to nie jestem tak do końca przekonany, czy to dobry pomysł. Muldy, kamienie, wystające spod śniegu korzenie...

Zacząłem się zastanawiać, co go, do diabła, właściwie obchodzi, jak ja będę spędzał tegorocznego sylwestra.

– No nic, raz kozie śmierć! – dokończył Roman.

Uśmiechnął się, wszedł do samochodu, odpalił silnik, machnął ręką na pożegnanie, ruszył. Błyskawicznie zadzwoniłem do Katarzyny.

– Hej, Kasiu, powiedz mi, proszę, gdzie wy właściwie spędzacie w tym roku sylwestra?

Ku mojemu olbrzymiemu zdziwieniu odpowiedź nie padła od razu. Na krótką chwilę zapanowała nietypowa dla Katarzyny cisza.

– No wiesz, jak by ci to powiedzieć... – zaczęła niepewnie. – W Karpaczu – zamurowało mnie. – Z wami – dodała szybko, żeby od razu rozwiać wszelkie moje ewentualne wątpliwości i nie dać mi szansy na żadne dodatkowe pytania. – Miał być bal i cała ta straszna pompa w Semperoper w Dreźnie. Wiesz, że nie lubię wieczorowych sukienek ani tych superbutów na wysokich obcasach. Ja nie pasuję do tamtego świata. Nie wiem, co prawda, czy Roman pasuje choć trochę do naszego... – przerwała na chwilę. – Obgadałam wszystko z Aśką i jej rodzicami. Roman może z nami pojechać. Dostanie ich pokój gościnny. Aśka nie mogła jakoś sobie wyobrazić, żeby miał z nami spać na podłodze na materacach – ucichła na moment. Pomyślałem, że Katarzyna też ma chyba podobne wątpliwości. – Wiesz, nie przypuszczałam, że on się zgodzi. Ja nawet nie wiedziałam, że jeździ na nartach.

Jeździł na nartach i prawdę mówiąc, robił to rewelacyjnie. Od pierwszej chwili tego wyjazdu zaskakiwał mnie swoim zachowaniem. Takim go nie znałem. Nie pojechał samochodem. Przyszedł na dworzec, taszcząc, jak my wszyscy, olbrzymi plecak, zwiniętą w rulon karimatę, narty. Pod pachą miał coś, co wręczył Katarzynie jeszcze na dworcu.

– Kasiu, to zamiast tej wieczorowej sukienki – podał jej zawiniątko, jakby trochę nieśmiało, z lekkim zażenowaniem. Katarzyna rozwinęła je natychmiast. Narciarski ocieplacz w przepięknym jasnobłękitnym kolorze. Miał dobry pomysł, musiałem przyznać z niechęcią. W pociągu zachowywał się jak jeden z nas. Znajomi z innych uczelni z pewnością nawet nie przypuszczali, że to facet tuż przed habilitacją. Ubrany był też normalnie: dzinsy, flanelowa koszula, sweter, kurtka od ocieplacza... Nie chciał pokoju gościnnego. Jego karimata wylądowała na podłodze tuż przy mojej. Miał porządne narty, wiązania i ocieplacz, ale nie był to żaden szpan, nic na pokaz. Było widać, że używał tego sprzętu już wiele razy. Wieczorem regulował Kasi wiązania. Przyglądałem się temu z zainteresowaniem. Znał się na tym tak samo dobrze, jak na rodzajach śniegu, smarach do nart i dziesiątkach innych rzeczy należących do tematu „narty”. Po kolacji usiadł z nami przy kominku. Zawsze lubiłem te wieczory w góralskiej chacie. To było to, za czym

tęskniłem przez długie miesiące: ciepły ogień buzujący w kominku, grzane wino, brzęk gitary, migotliwe światło rozstawionych na stole świec, studenckie ballady... Zasłużony wypoczynek po wyczerpującym dniu. Tym razem było podobnie. Na początku nie mogliśmy się nagadać. Z wieloma osobami nie widziałem się od roku. Przyjazne rozmowy, kolejne kubki grzanego, pachnącego cynamonem i goździkami wina, cichutki dźwięk uderzanych przez Wojtka strun gitary. Katarzyna siedziała na ławce obok Wojtka. Opowiadała mu coś przejęta. Musiało to być coś zabawnego, bo od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Roman przysiadł się do nich, jakby od niechcienia wziął od Wojtka gitarę. Widziałem, jak objął gryf palcami, uderzył cichutko, podciągał struny i... Wszyscy nagle zamilkli. To było coś niesamowitego. Grał w klasyczny sposób jakiś mało znany, południowoamerykański utwór. Dźwięk wypełnił góralską chatę, wibrował, drżał, uspokajał się, by po chwili porażać swoją intensywnością. To nie było jakieś tam amatorskie brzdąkanie na gitarze. To wymagało wielu lat pracy, setek godzin ćwiczeń, niesamowitej wrażliwości. Tam było wszystko – tęsknota, ból, miłość, rozpacz... Wszyscy słuchali jak porażeni. Chciałoby się tego słuchać i słuchać bez końca. Skończył. W pierwszej chwili w izbie zapanowała absolutna cisza, po chwili rozległy się oklaski. Nie chciał grać dalej.

– To nie czas i miejsce na klasyczną muzykę – powiedział, ale było widać, że się ucieszył z naszej reakcji, że było mu przyjemnie.

– Jeszcze tylko jeden jedyny raz – poprosiła Aśka. – Później damy ci spokój – obiecywała.

Widziałem, jak walczy ze sobą. Nagle popatrzył jakoś dziwnie na siedzącą obok Katarzynę. Ich spojrzenia spotkały się na krótko. Twarz Kasi była rozpromieniona. Ją też oczarował tym występem. Miałem wrażenie, że Roman się nad czymś zastanawia, że walczy sam z sobą.

– Ty też tego chcesz, Kasiu? – spytał. – Naprawdę mogę?

Kiwnęła głową.

– Zagram coś zupełnie innego. Kiedyś, przed ponad dwoma laty, bardzo uraziłem Katarzynę – mówił łamiącym się chwilami głosem. – Wielokrotnie mówiłem już „przepraszam”, ale nie za wszystko można przeprosić. To, co zagram, napisałem przed dwoma laty dla Kasi. Nigdy jakoś nie było okazji, by to usłyszała.

Zapadła cisza. Wszystkie oczy skupiły się na nich. Widziałem zmieszanie Katarzyny, jego wzrok wbity w jej twarz. Zastanawiał się jeszcze, jeszcze nie podjął decyzji, jeszcze nie był pewien, czy może. Nagle uderzył ręką w struny, głośny dźwięk rozdarł ciszę, by po chwili opaść. Znowu cisza – wprost niewyobrażalna, dudniąca w uszach. Zaczął grać powoli, na początku cicho, niepewnie, z czasem coraz głośniej, jakby nabierał przekonania, że już może, że chce, że tego pragnie. To, co usłyszeliśmy, przeszło najśmielsze oczekiwania. To była ballada. Dźwięk gitary był tylko tłem dla zakochanego chłopaka, śpiewającego o miłości swojego życia, o dziewczynie z innego świata, która jednym ruchem dłoni odmieniła całe jego życie. Tam było wszystko: miłość, zwątpienie, rozpacz, nadzieja. Prawdę mówiąc – przede wszystkim nadzieja.

– Zazdrosny? – usłyszałem głos stojącego koło mnie Roberta.

Byłem zazdrosny, bardzo zazdrosny i nikt, nawet Robert, nie mógł wiedzieć, jak bardzo. Romek skończył, przez krótką chwilę panowała cisza, a później huknęły gromkie oklaski.

Spojrzał na Katarzynę.

– Wybaczysz?

Wiedziałem, że wybaczyła mu już dawno, wtedy po egzaminie, gdy czekał na nią, stojąc parę godzin przy oknie, gdy po raz pierwszy podali sobie ręce, gdy wtuliła twarz w bukietki przyniesionych przez niego frezji. Potem tańczyli przytuleni do siebie przy cichych dźwiękach gitary. Kochałem Katarzynę. Lubiłem Romana. Kasia w jego ramionach. Boże, co za męczarnia, pomyślałem. Wydawało mi się, że oszaleję.

– Człowieku, co ty robisz na co dzień? Z takim głosem i takimi umiejętnościami... – wyrwał się Konrad.

Dla ludzi spoza naszej uczelni Roman był wielkim znakiem zapytania. Dla nas, prawdę mówiąc, też coraz większym.

– Ja? – Roman wydawał się zaskoczony tym pytaniem, spojrzał w naszą stronę trochę niepewnie, jakby szukał naszej pomocy. – Ja? Ja jestem lekarzem.

– Lekarzem? – Konrad nie mógł uwierzyć. – Ty jesteś lekarzem? Człowieku, marnujesz się w tym nudnym zawodzie! Siedzisz w jakiejś przychodni, oglądasz chore gardła, użerasz się ze starymi babkami albo z pijakami na dyżurach w pogotowiu. Marnujesz się.

– Uwierz, on się nie marnuje – przerwał mu Robert.

Nie przekonał go chyba. Konrad odszedł, kręcąc głową.

– Gdybyś kiedyś szukał menedżera, to służę z przyjemnością – rzucił na odchodne.

Nasze karimaty leżały obok siebie. Długo nie mogłem zasnąć. On też nie spał. Ciekawe, o czym myślał. Ja przeklinałem chwilę, w której Katarzyna postanowiła spędzić sylwestra na nartach. Zasnąłem nad ranem. Gdy się obudziłem, słońce stało już wysoko na niebie. Ostatni dzień roku zapowiadał się słonecznie. Pogoda była wymarzona: lekki mróz, błękitne niebo, słońce roziskrzające śnieg milionami świetlnych refleksów, niebieskie cienie rzucane przez drzewa. W nocy dopadało śniegu. Na domach, drzewach, płotach pojawiły się wielkie śnieżne czapy. Z dachów zwisały długie sople. Śnieg skrzypiał pod butami. Idealny dzień na narty. W całości spędziliśmy go na deskach. Po krótkim popołudniowym wypoczynku ostatnim wyciągiem wjechaliśmy na halę. Przed schroniskiem rozpaliliśmy wielkie ognisko. Były tańce, była herbata z rumem, były śnieżne bitwy i duże, odciskane na śniegu ptaki. Było cudownie – tak jak co roku. Tuż przed dwunastą zaczęliśmy przygotowywać się do zjazdu.

– Naprawdę uważacie, że to dobry pomysł? – Roman zagadał do naszych opiekunów z GOPR-u. Miał duże wątpliwości. – Jeździłem kiedyś z mocną latarką na czapce, nartostrada była szersza i doskonale przygotowana, a mimo to nie było to łatwe. Widać tylko na odległość paru metrów, przy większej szybkości łatwo stracić kontrolę nad nartami. Jechaliśmy, co prawda, tą trasą dzisiaj już parę razy, ale muldy to muldy, a w świetle pochodni łatwo przeoczyć kamienie i wystające spod śniegu konary. Światło pochodni miga. To zmienia proporcje, odległości, kształty... Przygoda przygodą, ale taki nocny zjazd to wyczyn z pogranicza sportów ekstremalnych.

– Zawsze możecie świętować w schronisku – rzucił jeden z GOPR-owców z wyraźną ulgą w głosie. – Dotychczas tylko jedna grupa ze Szwajcarii zjeżdżała tą trasą z pochodniami. Wiercie mi, nie było to łatwe. Obiecaliśmy ten zjazd Aśce – dorzucił. – Ona już za parę miesięcy rozpocznie u nas pracę.



Pewnie Roman miał rację, ale my wypiliśmy za dużo, żeby myśleć racjonalnie.

– Kasiu, zostaniemy? – spytał z nadzieją w głosie.

– Wiesz, to było moje marzenie od lat. Zawsze, kiedy tu przyjeżdżaliśmy na sylwestra, marzyliśmy o takim zjeździe.

Podszedł do niej. Stał tuż przed nią. Odgarnął jej włosy do tyłu. Rękami objął ją w pasie, zbliżył twarz do jej twarzy, zaczął coś szeptać. Dla mnie trwało to całą wieczność. Nie mogłem oderwać od nich oczu.

– Obiecujesz? – spytał już normalnie.

– Obiecuję! – odpowiedziała z uśmiechem.

Zjadą... Zjadą, pomimo jego wątpliwości. Ciekawe, dlaczego zgodził się zmienić decyzję? Ciekawe, co mu obiecała z uśmiechem na twarzy? Zazdrość to najgorsza z chorób, a ja byłem potwornie zazdrosny. Ruszyliśmy, jechaliśmy wolno, bez kijków, z pochodniami w rękach. Roman podjechał do Katarzyny. Odwróciła się do niego z uśmiechem. Jechali razem, tuż obok siebie, na wyciągnięcie trzymanego przez nich w rękach paska z Kaśki ocieplacza. To było nie do zniesienia. Koszmar. Powoli zaczynałem zostawać z tyłu. Nie miałem ani siły, ani ochoty na nich patrzeć.

– Wszystko w porządku? – rzucił przejeżdżający obok mnie chłopak z GOPR-u.

– W porządku, jedź. Muszę tylko poprawić wiązanie. Dogonię was.

Jechałem wolno, patrzyłem, jak powoli za kolejnymi zakrętami nartostrady znikają światła ich pochodni. Moja pochodnia zaczęła syczeć i nagle zgasła. Szlag by to trafił, pomyślałem. Ogarnęła mnie ciemność. Zatrzymałem się na chwilę. Nad głową miałem wygwieżdzone niebo, światło księżyca rzucało długie cienie drzew, było zimno, coraz zimniej... Oczy powoli zaczęły przyzwyczajać się do otaczającej ciemności. No nic, trzeba spróbować jechać. Ruszyłem wolno. Nie było tak źle, znałem tę trasę dość dobrze. Wokół panowała kompletna cisza i słychać było tylko suche skrzypnięcia śniegu pod moimi nartami. Muszę spróbować ich dogonić, pomyślałem, w takim ślimaczym tempie nie zjadę na dół do rana. Gdzieś z tyłu, daleko za moimi plecami pojawiły się światła pierwszych petard, odpalanych przez bawiących się pod schroniskiem studentów. Musiała dochodzić dwunasta. O dwunastej mieliśmy zatrzymać się na nartostradzie, aby otworzyć szampana. Jeśli przyspieszę, to będę miał szansę ich dogonić, myślałem intensywnie. Odbiłem się mocniej, powoli nabierałem szybkości. Nagle wpadłem na muldę, wyniosło mnie, straciłem równowagę, rozpędzone narty wyjechały z nartostrady. Z całym rozpędem uderzyłem w drzewo. Pamiętam tylko trzask łamanej narty, później nie było już nic. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Kiedy się ocknąłem, nie było już słychać huku petard, a niebo, jak wcześniej, rozgwieżdżone było setkami gwiazd. Próbowałem sobie cokolwiek przypomnieć. Pamiętałem tylko ich – przytulonych, uśmiechniętych, szepczących, trzymających się za ręce... Spróbowałem się poruszyć, chciałem usiąść. Pojawił się straszny ból. Śnieg wokół mojej prawej nogi miał jakiś dziwny kolor. Ta ciemna plama wydawała się powiększać. Nie naładowałem wczoraj telefonu, byłem wieczorem zbyt wściekły, by o tym pamiętać. Została mi tylko zapalniczka i papierosy. Spróbowałem wyciągnąć z kieszeni spodni zapalniczkę. Ból się nasilił. Zrobiło mi się jakoś dziwnie słodko i ciepło, jakby trochę mdło. Nie czułem już zimna. Gdybym miał siłę, to pewnie rozpiąłbym ocieplacz. Było mi duszno, gorąco, coraz bardziej słabo. Chciałem zasnąć.

Nagle gdzieś z bardzo daleka zaczęły dochodzić do mnie jakieś dźwięki. Przez przymknięte powieki zobaczyłem światło latarki. Coś próbowało się jeszcze przebić przez powoli ogarniającą mnie nicość. Na granicy snu zobaczyłem jego.

– Michał! – Roman potrząsnął mną. – Michał, otwórz oczy! Nie możesz teraz spać. Do jasnej cholery, otwórz oczy! – Próbowałem je otworzyć, ale powieki wydawały mi się ciężkie jak z ołowiu. Romek klęczał przy mnie. Już nie był kumplem, chłopakiem z gitarą. Znowu był lekarzem. Sprawnym ruchem dłoni sprawdził tętno na tętnicy szyjnej. Rozerwał nogawkę moich spodni.

– O cholera! – szepnął.

Przez przymrużone powieki widziałem, jak ściąga sweter, jak drze swoją koszulę, jak z urwanych kawałków materiału przygotowuje opatrunek. Teraz w świetle jego latarki już wyraźnie widziałem tę masę krwi i tryskający rytmicznie w górę strumyk z przeciętej tętnicy. Okrył mnie swoją kurtką. Przez komórkę ściągał pomoc. Chciałem go spytać, czy oni zjechali szczęśliwie. W ustach mi zaschło, język odmówił posłuszeństwa, nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu. Musiał to zauważyć. Nigdy pewnie się nie dowiem, skąd wiedział, o co chciałem zapytać.

– Nie martw się. Kasia jest bezpieczna – powiedział jakoś dziwnie miętko.

Teraz już mogłem zasnąć. Nie wiem, jak to jest być zwożonym przez ratowników toboganem. Pamiętam tylko sygnał karetki przewożącej mnie do szpitala. Roman musiał siedzieć tuż koło mnie, bo przez całą tę otaczającą mnie nicość słyszałem strzępy telefonicznej rozmowy.

– Musieliśmy zmienić plany. Pogoda się załamała. Helikopter nie może wystartować – słyszałem jego głos. Mówił spokojnie. – Jedziemy do powiatowego szpitala. Już wiedzą... Sala operacyjna jest już gotowa. Kasia, nie płacz! – Próbował ją uspokajać. – Kasieńko, ja wiem, że tam nie ma chirurgii naczyniowej – głos zaczął mu się dziwnie załamywać. – Nie płacz! Proszę cię, nie płacz. Zrobię wszystko, co będę mógł, a nawet jeszcze więcej. Nie wiem tylko, czy to...

Musiałem się poruszyć, bo poczułem jego rękę na swoim ramieniu.

– Spokojnie, Michał, odpoczywaj. Wszystko pod kontrolą – usłyszałem jego opanowany głos. Profesjonalista, pomyślałem, profesjonalista do bólu.

Kiedy wybudziłem się po operacji, Roman stał przy moim łóżku. Miał jeszcze na sobie zieloną bluzę operacyjną, zielone spodnie, maskę dopiero co zsuniętą z twarzy. Nie był już tym uśmiechniętym chłopakiem, szalejącym jeszcze wczoraj na nartach. Był dziwnie blady, twarz miał zlaną potem. Zniknęła gdzieś wczorajsza opalenizna. Dla lekarzy z prowincjonalnego szpitala był pewnie kimś wyjątkowym.

– Operował pana doktor Sosnowski – poinformował mnie dyżurny lekarz. – My nie mamy u siebie chirurgów naczyniowych. Miał pan wyjątkowe szczęście.

Roman przysiadł na rogu łóżka.

– Udało się – mówił spokojnie. – Nie musiałem zakładać żadnej protezy naczyniowej. Nie będziesz musiał żreć prochów do końca życia – na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Ależ ty masz rzadką grupę krwi! B Rh minus nie zdarza się prawie w środkowej Europie.

Wstał. Pewnie zauważył, że z trudem próbuję utrzymać opadające powieki.

– Panie doktorze, musi pan coś zjeść, napić się, położyć... – słyszałem, jak któryś z miejscowych lekarzy zwraca się do Romana.

– Tak, wiem. Pewnie powinienem...

Nie od razu wyszedł z sali. Odczytał wynik próby krzyżowej, oparty o ścianę obserwował początek transfuzji. Idealny lekarz... Sam uczyłem się, że najważniejsze jest te pierwsze pięć minut. Słyszałem, jak rozmawia ściszym głosem przez komórkę.

– Kasiu, udało się. Sam nie mogę w to uwierzyć, ale udało się i Bogu dzięki, że ja mam tę samą grupę krwi co on – mówił ciepło. – Może nie do końca rozsądne było operować po oddaniu krwi, ale nie miałem innego wyjścia. Nie zdążyliby przygotować transfuzji. Nigdy jeszcze nie pracowałem w takich warunkach i na takich wariackich papierach. Nie miałem pojęcia, jak wyglądają prowincjonalne szpitale. Tu nie ma nawet narzędzi do chirurgii naczyniowej... Michał teraz zasnął. Ty też już się połóż! – przerwał na chwilę. – Ja zostanę na noc w szpitalu – ściszył głos. – Szczęśliwego Nowego Roku, Kasieńko!

Wychodząc z pokoju, odwrócił się na chwilę. Może domyślał się, że jeszcze nie śpię.

– Ale mi sylwestra zafundowaliście!

\* \* \*

Profesora Wolskiego widywałem często popołudniami w klinice. Pod różnymi pretekstami, niby przypadkiem, wpadał do dyżurki lekarskiej. Pamiętam, jak po raz pierwszy uczyłem się szyc, wiązać, podwiązywać. Siedziałem przy biurku, a przede mną leżał kupiony w sklepie mięsny kurczak. Roman z niebiańską cierpliwością powtarzał i pokazywał.

– Michał, igłę montujesz w imadle, wbijasz, przeciągasz, zawijasz na czubku pęsety... To trzeba umieć zrobić zawsze, automatycznie. Musisz to przećwiczyć tysiące razy, zanim pierwszy raz zrobisz to w sali operacyjnej. Tam nie będziesz miał czasu zastanawiać się nad tą czynnością. Musisz umieć to zrobić bez udziału twoich oczu, bez zajmowania twoich myśli... To taka chirurgiczna tabliczka mnożenia. Budzisz się w środku nocy i wiesz, że dwa razy dwa jest cztery, a tu obudzony nawet o trzeciej nad ranem musisz wiedzieć, że imadło, igła... – tłumaczył spokojnie. – Musisz potrafić to robić, nie patrząc. Wyobraź sobie krwawiące naczynie tętnicze, wytarcie wystarcza na chwilę, podwiązujesz po omacku...

Wolski stał obok. Widział, że się denerwuję. Nie śmiał się i nie żartował. Wziął z moich rąk narzędzia i ruchem, którego prawie nie zauważyłem, zawiązał szew.

– Ja po dłuższej przerwie w zabiegach też ćwiczę. Nie denerwuj się Michał, z tym się jeszcze nikt nie urodził, to ćwiczenia czynią mistrza.

Wiedziałem, że profesor obserwuje prawie każdy mój krok. Widziałem, jak czyta moje epikryzy, przegląda zebrane przeze mnie wywiady, analizuje proponowane badania... Kiedyś Roman rzucił wesoło:

– Dzisiaj będziesz się uczył myć ręce! Instrukcja mycia rąk przed zabiegami wisi nad każdą umywalką. Zrobię ci później wymaz z rąk. Jeżeli będzie jałowy, to znaczy, że już umiesz. Profesor uważa, że już czas. – Popatrzyłem na niego odrobinę zaskoczony. – Jak chcesz stanąć przy stole operacyjnym bez tych umiejętności? – dorzucił, widząc moje

zdziwienie.

Profesor śledził wszystko: moje pierwsze kroki w sali operacyjnej, moje stanie na hakach, mój pierwszy węzeł, moją pierwszą w życiu asystę... A potem przyszedł ten dzień... Po raz pierwszy stałem przy operacji obok Wolskiego. Bałem się trochę starego. Okazało się, że niepotrzebnie. Podczas operacji nie obserwował i nie oceniał, tak jakby od dawna już wiedział, że można mi zaufać, że już trochę umiem. Tłumaczył, pokazywał. Gdy wychodziliśmy z sali, usłyszałem, jak mówił do Romana:

– Świetnie, po prostu świetnie! Manualnie bardzo dobrze, wiedza też w porządku. Będą z niego ludzie! Nie zgłaszam naszego wolnego etatu do konkursu. Ja już zdecydowałem. To znaczy, my już zdecydowaliśmy – poprawił się. – Od września będziemy mieć u nas Michała.

Rozmawiałem trochę z Wolskim. Przebierałem się odrobinę dłużej. Wychodząc z budynku, natknąłem się na czekającego przed kliniką Romana.

– Wsiadaj, Michał! – otworzył drzwiczki samochodu. – Pojedziemy gdzieś na piwo. Chyba czas pogadać...

Jechaliśmy w milczeniu. Knajpa znajdowała się daleko od naszej uczelni, daleko od centrum, przy wąskiej uliczce w zupełnie nieatrakcyjnej dzielnicy miasta. Zadymione pomieszczenia, cicha jazzowa muzyka, mnóstwo zajętych tylko sobą, przeważnie bardzo młodych ludzi... Wtedy byłem tam po raz pierwszy. To właśnie Sosnowski pokazał mi tę knajpę, gdzie parę miesięcy później spędzałem całe popołudnia.

– Bywałem tu kiedyś dość często – rzucił Roman. – Dawne czasy...

Usiedliśmy w kącie, trochę dalej od dźwięków muzyki, trochę na uboczu. Leniwie rozglądaliśmy się po sali. Żadnemu z nas nie spieszyło się jakoś do tej prawdziwej rozmowy. Piliśmy piwo, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Żaden z nas nie patrzył na zegarek. Nikt się nigdzie nie spieszył.

– Michał, nie wiesz przypadkiem, co robi teraz Katarzyna? – spytał nagle Roman.

Spojrzałem na zegarek.

– Jest już późno. Minęła jedenasta. Myślę, że kładzie się już spać. – Nie bardzo wiedziałem jeszcze, do czego zmierza.

– A co robiła dzisiaj po południu?

– Nie rozmawialiście? – spytałem zdziwiony. – Miała trening mniej więcej do siedemnastej, a później poszła z Honoratą kupować prezent na urodziny Mariusza...

– Kupiły jakiś album – przerwał mi Roman.

– Tak, z malarstwem Salvadora Dalego. – Patrzyłem na niego coraz bardziej zdziwiony. – Ale skoro wszystko wiesz, to po co pytasz?

– Czy to trochę nie dziwne, że dwóch facetów wie dokładnie to samo?

Na chwilę zapadła cisza.

– Michał, to nie jest całkiem normalne – mówił cicho. – Obaj zachowujemy się idiotycznie. Gdybyś powiedział mi na początku, że to twoja dziewczyna, to nie doszłoby do takiej sytuacji. Wtedy myślałem, że jesteś jej dobrym kumplem, przyjacielem. Wiedziałem, że masz żonę, własne życie gdzieś daleko stąd – mówił spokojnie. – Kiedy zacząłem rozumieć, że tak naprawdę jest zupełnie inaczej, było już za późno – zakochałem się. Jestem od ciebie o dobrych parę lat starszy, a zakochałem się jak dzieciak. Obaj wiemy, że

to idiotyczne, i obaj brniemy w to coraz dalej. Ugrzęźliśmy już w tym po uszy. – Od czasu do czasu podnosił wzrok, jakby chciał sprawdzić, czy go słucham. – To jest chore. Pomyśl, pojechaliście razem na wakacje, a ja parę tysięcy kilometrów stamtąd przeżywałem każdego dnia męki. Dzwoniłem wieczorem, żeby usłyszeć od Katarzyny, jak cudowny był kolejny dzień spędzony z tobą. Ja ją tylko słyszałem. Słyszałem jej głos na tle szumu fal, od czasu do czasu słyszałem krzyk mew... Była pogodna, wesoła, szczęśliwa. Ja ją tylko słyszałem, a ty stałeś dwa metry dalej. Ten wyjazd do Stanów był dla mnie koszmarem. Siedziałem bezmyślnie w klinice, zbierałem materiały do mojej pracy... Tak naprawdę, to nie robiłem prawie nic! Czekałem, aż u was będzie osiemnasta i będę mógł znowu zadzwonić. Gdy odprowadzałem was na pociąg, nie miałem wątpliwości, że mogę ci zaufać. Ja nadal nie mam wątpliwości, że mogę wam ufać. Znam ciebie... Znam Katarzynę... Znam wasze reguły, kierujące wami zasady... Ale mimo to jestem zazdrosny. Jestem zazdrosny o każdą minutę, którą spędzasz z Katarzyną – nie patrzył już na mnie. Bawił się stojącym przed nim kuflem. – Jestem zazdrosny o każde spojrzenie, każdy uśmiech... Pomyśl, Michał – przelotnie uniósł wzrok – ona miała ze mną jechać na sylwestra, a z tobą poszła wybierać sukienkę. Ja miałem dyżur w święta, a ty spędziłeś z nią Wigilię. Ja zgodziłem się uczestniczyć w karkołomnym sylwestrowym zjeździe tylko dlatego, że to były wasze wspólne marzenia. Ja wiem, że z twojej strony wygląda to podobnie. Wiele razy, w różnych sytuacjach wydawało mi się, że widziałem przez ułamek sekundy coś dziwnego w twoim wzroku, ale chwilę później życzyłeś nam już serdecznie miłego spaceru, wystrzałowej kolacji, niepowtarzalnej wycieczki czy też wspaniałego teatralnego przedstawienia. Ja wiem, że dla ciebie to też nie jest łatwe. Pierwszy raz zdałem sobie jednak z tego w pełni sprawę dopiero w Karpaczu. Widziałem twój wzrok, kiedy tańczyłem z Katarzyną. Widziałem podświadomie zaciśnięte dłonie, gdy ją przytulałem – przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się, czy może mówić dalej. – Michał, ja zawsze będę czuł się winny, że doszło do tego wypadku na nartostradzie. Nieważne, co myślą inni, nieważne, jaki kit im wciskałeś... Ja wiem doskonale... – przerwał na chwilę. – Gdyby mi się wtedy nie udało, gdyby mi wtedy nie wyszło, to nie darowałbym sobie tego do końca życia – skończył już bardzo cicho. Zamilkł. Gdzieś tam w tle słychać było cichą jazzową muzykę. Stoliki obok nas już dawno opustoszały. Na środku sali w takt muzyki poruszali się jacyś młodzi ludzie. Roman o nic mnie nie pytał i nie oczekiwał żadnej odpowiedzi.

– Dobrze wiesz, że ona kocha nas obu – powiedział to tak, jakby stwierdzał potwierdzony naukowo fakt. – Kasia nie wybierze. To my musimy zdecydować. Tak dalej być nie może. To nas wszystkich niszczy, zabija... A będzie coraz gorzej. Przystaniemy się lubić, z czasem zaczniemy się nienawidzić. Kasia to moja dziewczyna. Ty jesteś moim przyjacielem. Nie chcę was stracić.

– Przypuszczam, że ten problem jest nierozwiązywalny – przerwał mu.

Na chwilę przestał się bawić pustym kuflem. Na ułamek sekundy podniósł wzrok.

– Zagrajmy...

– Co? Chyba żartujesz... – byłem zaskoczony. – Mamy zagrać o Katarzynę? Co proponujesz? W orła i reszkę? Orzeł – jest twoja. Reszka... A może poker? Też wspaniały pomysł – kpiłem.

– Nie, zagrajmy w kosza – przerwał mi.

– W co? – wydawało mi się, że się przesłyszałem. Coś z nim musi być nie tak, pomyślałem, to niemożliwe, żeby on to powiedział. To niemożliwe, żeby to wymyślił po tym, gdy już wiele razy kibicował mi z Katarzyną w międzyuczelnianych rozgrywkach koszykówki.

– Zagrajmy w koszykówkę – powtórzył spokojnie Roman. – Jeden na jednego. W sali gimnastycznej naszej akademii... Do dwudziestu jeden punktów... Na przykład – w przyszłą sobotę. Załatwię wszystko. Niech to będzie jak pojedynek, niech wygra lepszy.

\* \* \*

To wszystko było idiotyczne. Sam pomysł był nienormalny. Wszystko od początku do końca było nie do przyjęcia. Przyjechałem tuż przed osiemną. Samochód Romana stał już przed studium. Portier zaczął mnie wesoło.

– No, Michał, to będzie ciekawy mecz. Doktor Sosnowski kontra ty. Ja w roli sędziego. Jak spotkanie dwóch światów – wydawał się tym wyraźnie podniecony. – Ty, najlepszy rozgrywający w naszej drużynie. Doktor Sosnowski grał wtedy, gdy nasza akademia zdobywała akademickie mistrzostwo Polski. Było to przed dziewięciu laty – jeden jedyny raz w dziejach naszej uczelni. Dawne czasy... Potem nie widziałem go już tutaj nigdy. W tym tygodniu był parę razy, porzucał trochę. Żartował, że już nie ta kondycja. To będzie niesamowite spotkanie... – skończył odrobinę ciszej, jakby przygaszony moim milczeniem.

Roman był już w sali. Przywitał mnie jak zwykle – serdecznym uśmiechem, przyjaznym podaniem dłoni.

– Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz grałem – śmiał się. – Przyszedłem tu w tym tygodniu parę razy chyba tylko po to, żeby się pośmiać z samego siebie.

Dla rozgrzewki przebiegłem się trochę, pokozłowałem, zrobiłem parę dwutaktów, rzuciłem parę rzutów z dystansu, parę osobistych.

– Gotów? – spytał Romek.

– Gotów!

– Poprosiłem pana Marcina, żeby nam posędziował. On jest twoim fanem – mówił pogodnie.

– Twoim też.

Ustawiliśmy się na linii rzutów za trzy punkty. Pierwszy rzucał Roman. Piłka wylądowała pewnie w koszu, czysto, bez dotknięcia tablicy. Potem była moja kolej, mój rzut. Piłka poleciała lobem i wpadła do kosza. Roman, ja, znowu Romek i pierwszy jego błąd – piłka odbita od obręczy poszybowała wysoko. Miałem punktową przewagę, to ja zaczynałem grę. Nie jest źle, pomyślałem. Zrobiłem parę kozłów, zobaczyłem na mojej drodze Romana, spróbowałem go ominąć, przesunął się, wszedłem barkiem, zrobiłem dwutakt, rzuciłem z prawej ręki... Blok... Spadłem z piłką na parkiet. Piłka wylądowała w rękach Romka – zwód, dwutakt i nie zdążyłem mu przeszkodzić – piłka, nie dotykając tablicy, wpadła do kosza. Pierwsze punkty dla niego. Wznowiliśmy grę. Znowu ja miałem piłkę – zwód, półobrót, rzut z dystansu i – moja przewaga. Roman kozłował wolno, próbował mnie do siebie przyciągnąć, wykonał półobrót i rzucił z dystansu, piłka odbiła

się od tablicy. Teraz wyskok, zbiórka, wyskok, wsad i kolejne punkty dla Romana. Kozłując, minąłem go, wykonałem dwutakt, rzuciłem pewnie... Piłka uchwycona równocześnie, sporny... Cały czas prawie łeb w łeb. Nie było już uśmiechów, nie było żartów, tylko narastające napięcie, potęgująca się z minuty na minutę agresja.

– Co wy, panowie? – pytał odrobinę zdezorientowany pan Marcin. – Wyście się o coś założyli, czy co?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Dwutakt, wyskok, rzut... Zbiórka, półobrót, rzut... Coraz częściej niby przypadkowe drobne faule, wejścia barkiem, nieczyste bloki, coraz mniej przypadkowe kolizje. Gra toczyła się coraz szybciej, coraz brutalniej, coraz bezwzględniej. Cały czas łeb w łeb... Gwizdek.

– Przerwa, panowie. Ogłaszam dziesięć minut przerwy. – Pan Marcin patrzył na nas podejrzliwie. – Niech panowie trochę ochłoną. Piękna gra, rewelacyjna, godna najlepszych ligowych rozgrywek, ale... – nie dokończył. Może nie bardzo wiedział, jak to nazwać.

Nie rozmawialiśmy ze sobą. Roman ochlapał twarz wodą, położył się na drewnianej ławce. Kątem oka widziałem jego mokrą od potu koszulkę, zlaną potem twarz, mokre włosy. Znow był młodym chłopakiem bijącym się o swoją dziewczynę, a nie facetem tuż przed habilitacją. Ja usiadłem, opierając się plecami o ścianę. W żaden sposób nie mogłem się uspokoić – cały czas szybki oddech, łomot serca, wewnętrzny niepokój... Co my, do diabła, robimy? To idiotyzm! To już dawno przestało nawet przypominać zabawę. Wyraźnie widziałem ten dziwny błysk w oczach Romana, gdy mijał mnie z piłką. Przerazało mnie to, co czułem, gdy wpadałem na niego niby przypadkiem.

Kątem oka dostrzegłem, że usiadł. Siedział chwilę ze spuszczoną głową, z łokciami opartymi o kolana. Wstał i jakby z ociąganiem ruszył w moją stronę.

– Mogę się przysiąc?

Usiadł, nim zdążyłem odpowiedzieć. Siedzieliśmy w milczeniu, ramię przy ramieniu, bark przy barku. Słyszałem wyraźnie jego przyspieszony oddech. Widziałem zmęczoną, nieogoloną twarz, ściekające po skroniach krople potu.

– Przepraszam, Michał – zaczął niepewnie. – To moja wina – mówił spokojnie. – Człowiek jest tylko człowiekiem. Mecz powinien być meczem. My nie gramy w piłkę, my toczymy wojnę. Przyjaźń przeradzająca się we wrogość, w nienawiść. Nie chcę, nie będę z tobą walczyć. – Wstał. Wyciągnął do mnie rękę. Uśmiechnął się. – Do jutra! Jutro po południu operuję. Jesteś wpisany na pierwszą asystę – rzucił, jakby nigdy nic, jak gdyby nic złego się nie stało przed chwilą między nami.

Ruszył w kierunku drzwi.

– Ja pasuję, panie Marcinie. Dzięki za sędziowanie. Miło było... Do następnego razu. W końcu jednak znalazł inne rozwiązanie.

– Za parę miesięcy, tuż po habilitacji, obejmuję katedrę kardiochirurgii w Splicie – poinformował mnie parę dni później. – Teraz to Katarzyna musi wybrać.

\* \* \*

W mojej bardzo specyficznej sytuacji życiowej tok studiów medycznych miał dużo plusów. Jednym z nich były ćwiczenia tematyczne prowadzone w sposób ciągły, na tak

zwanych blokach wyjazdowych. Wtedy byliśmy z Katarzyną cały czas razem i nikt nie mógł tego potępiać ani analizować. Owszem, było zawsze jeszcze kilkunastu naszych kolegów, byli asystenci, personel szpitala, pacjenci, wykłady, zajęcia z pacjentami, ba, nawet zaliczenie końcowe, ale to wszystko nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Liczyliśmy się tylko my. Zbliżał się koniec drugiego semestru ostatniego roku studiów. Byłem naprawdę szczęśliwy. Od paru dni znów byłem wolnym człowiekiem. Czekałem na to ponad trzy lata. Teraz szukałem już tylko odpowiedniej okazji, by powiedzieć o tym Katarzynie. Dziesięciodniowy pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych wydawał się stwarzać ku temu wiele okazji. Dni były bliźniaczo do siebie podobne. Rano śniadanie, ćwiczenia z pacjentami, obiad, wykład i ponownie ćwiczenia. Wieczorami włączyliśmy się w większych grupach, opowiadając w kółko o naszych pacjentach. Nikt z nas nie potrafił być wobec nich obojętny. Nikt nie chciał grać w karty, pić czy oglądać telewizji. Gadaliśmy, gadaliśmy, gadaliśmy, jakby liczba wypowiedzianych słów mogła zniwelować napięcie, stworzyć dystans do otaczającej rzeczywistości, zmniejszyć emocje. A od emocji wprost kipiało.

– Gdyby nie to, że już dawno postanowiłam zostać kardiologiem, zaczęłabym zastanawiać się nad psychiatrią – niespodziewanie stwierdziła Katarzyna.

– Ty? – Mariusz nie mógł opanować zdziwienia. – Kaśka, chyba oszalałaś! To zupełnie nie dla ciebie! Tu potrzeba bardzo silnych ludzi. Twoja empatia powoduje, że zaczynasz się jękać po pięciu minutach rozmowy z jękającym się. Zastanów się, jakbyś wyglądała po paru latach pracy w zakładzie dla psychicznie chorych. To zupełnie nie dla ciebie! – powtórzył dobitniej. – Zostaw to innym.

A jednak coś w tym było. Katarzyna bardzo chętnie rozmawiała z chorymi, a i oni wybierali ją często jako partnera do rozmów. Śmialiśmy się, że to wina jej rzucającej się w oczy sukienki, ciut za krótkiej i jakby przypadkiem ciut za obcisłej, długich włosów i ładnej buzi, ale tak naprawdę powodem było to dziwne ciepło, które Katarzyna zawsze rozciągała wokół siebie. Pamiętam dokładnie tamten dzień. Nazajutrz mieliśmy zdawać końcowe zaliczenia i rozjeżdżać się do domów. Odbywaliśmy ćwiczenia na oddziale chorych na schizofrenię. Młody pacjent miał wybrać sobie spośród nas rozmówcę. Rozejrzał się powoli po naszych twarzach i bez większego namysłu wskazał na Katarzynę. Została z nim sama. Wycofaliśmy się do pokoju obok, aby przez weneckie lustro obserwować ich rozmowę.

– Chorzy muszą mieć poczucie intymności. Muszą czuć bliski kontakt ze swoim rozmówcą – tłumaczył nam asystent. – W innym wypadku to nie ma żadnego sensu. Nikt nie chce być obserwowany ani oceniany. Nikt nie chce się czuć jak zaszczute zwierzę. Taki wywiad nie miałby sensu. Człowiek może się otworzyć przed drugim człowiekiem tylko wtedy, jeżeli czuje jego bliskość, zainteresowanie, gdy w trakcie tej rozmowy czuje, że on jest najważniejszy, jest pępkiem świata, centralnym punktem.

Wtedy jeszcze wydawało mi się, że rozumiem tę ideę. Wtedy byłem pewny, że asystent ma rację. Katarzyna usiadła. Od rozmówcy oddzielał ją stół.

– Cześć, mam na imię Katarzyna – zaczęła nieśmiało. – Jestem studentką ostatniego roku medycyny. Za parę miesięcy będę mieć dyplom lekarza i zacznę pracować. Teraz odbywam tu zajęcia z psychiatrii. Poznaję nową, znaną mi dotychczas tylko z książek i wykładów,



dziedzinę wiedzy. Chyba najtrudniejszą. – Kasia mówiła spokojnie, przyjaźnie. – Dotychczas wszystko, czego się uczyłam, dotyczyło ludzkiego ciała. To, co poznaję tutaj, dotyczy bardziej ludzkiej duszy, ludzkich emocji, myśli... Sama nie jestem przekonana, czy na pewno jest to dział medycyny. Tu chodzi nie tylko o neuroprzekaźniki, receptory, teorię klucza i zamka... Tu trzeba najpierw określić, czy to, co widzę, jest patologią, czy tylko nieakceptowanym przez innych wariantem normy. To o wiele trudniejsze, tu trzeba być lekarzem nie ciała, lecz duszy... Tu trzeba działać na pograniczu medycyny, psychologii, filozofii i dziesiątek nauk humanistycznych, które zajmowały się odnajdowaniem duszy ukrytej w człowieku. Nie wiem, czy podołam temu zadaniu... – Katarzyna mówiła wolno, spokojnie, łagodnym, ciepłym głosem.

Chłopak nie odrywał od niej oczu. Jego wzrok błędził po jej twarzy.

– Ty dasz radę – przerwał jej spokojnie, z dziwną pewnością w głosie. – Mam na imię Jarek – przedstawił się niedbale. – Ładnie to powiedziałaś: „nieakceptowany przez innych wariant normy”. Ja właśnie w tych kategoriach myślę o sobie. Nie czuję się chory, nigdy nie czułem się chory. Mam może tylko trochę obolałą duszę. Jestem tu w pewnym sensie z własnej nieprzymuszonej woli – spojrzał na nią badawczo, jakby zastanawiał się, czy go słucha. Słuchała uważnie. – Uciekłem, schowałem się tutaj przed rzeczywistością. Nie mam siły, nie chcę żyć tam, na zewnątrz. Nie ma nic i nie ma nikogo, dla kogo chciałbym jeszcze raz podjąć ten trud – mówił spokojnie, cicho, jakby ważąc dokładnie każde słowo. – Tamten świat na zewnątrz mnie zawiódł, rozczarował, oszukał... Tamten świat mamił mnie czymś, co później okazało się nieprawdą. Wiesz, byłem studentem politechniki. Miałem dziewczynę. Była cudowna. Bardzo podobna do ciebie – mówił, wpatrując się intensywnie w Katarzynę. – Kochałem ją tą szaloną pierwszą miłością. Cały świat miał tylko jej imię. Wspólne marzenia, wspólne plany, tylko ona i ja. Nikt i nic nie miało znaczenia. Nikt inny się nie liczył. Wydawało mi się, że i ona mnie kocha, że i ona jest szczęśliwa. Pewnego dnia przyszła na spotkanie z obrączką na palcu. Dzień wcześniej wyszła za męża. Myślała, że to będzie zabawne... – mówił szybko, z minuty na minutę coraz szybciej, jakby chciał wyrzucić z siebie całe to wspomnienie, całe zło, jakby z wypowiedzianymi słowami można było pozbyć się całej nagromadzonej już od dawna goryczy. – Byłem młody, bardzo młody. Wydawało mi się, że to koniec, że nie mam już po co żyć. Nie zastanawiałem się wtedy zbyt długo. – Jego wzrok nadal wędrował po twarzy Katarzyny. Zatrzymywał się na chwilę na ustach, na włosach, na oczach. – Chciałem to przerwać. Powiesiłem się, ale to też trzeba umieć zrobić. Odcięli mnie, reanimowali, przeżyłem... Mówią, że powinienem każdego dnia dziękować za to Bogu! Ponoć miałem niesamowite szczęście! Ponoć tylko mój mózg przez chwilę miał za mało tlenu, ponoć uszkodził się trochę! – mówił głośno, coraz głośniejsze, prawie krzyczał. – Zamknęli mnie tutaj, ale ja to wszystko doskonale pamiętam. Mógłbym im to wszystko ze szczegółami opowiedzieć, krok po kroku, minuta po minucie... Pamiętam doskonale, jak ściąga się lampę, wieszka pętlę, skacze z taboretu... Mógłbym im to opowiedzieć, ale po co? – spojrzał uważnie na Katarzynę. Sprawdził, czy słucha. – Zamknęli mnie tutaj. Tu jest wygodnie. Nie chce się tam wracać. Tutaj tak niewiele trzeba, żeby żyć. Tu nie ma żadnych pytań, żadnych odpowiedzi, żadnej odpowiedzialności, żadnych zadań, żadnych celów, do których trzeba dążyć choćby po trupach, żadnych przeszkód, które należy omijać, żadnych

oczekiwań, które należy spełniać... Świr. Zastanawiałaś się kiedyś, jaka to wygodna pozycja społeczna – świr? – Przerwał, jakby czekając na jej odpowiedź.

Katarzyna milczała. Może nie chciała przerywać, a może zaczęła, mimo swojej dziecięcej ufności do całego otaczającego ją świata, powoli odczuwać lęk. Patrzyliśmy przerażeni na asystenta. Coraz mniej podobała nam się ta rozmowa.

– Spokojnie, on nigdy nie był agresywny. A poza tym to bardzo ciekawe, nigdy nie mówił, że cokolwiek pamięta – uspokajał nas asystent.

– Wariatkowo... Świrlandia... Tu jest zupełnie dobrze. Cisza, spokój... Tu jakby czas zatrzymał się w biegu, kompletny bezruch, stagnacja. Wiesz, tylko czasami mi jej brak. Jesteś do niej bardzo podobna. Może nawet jeszcze ładniejsza. Bardzo, bardzo podobna... – mówił jakby w transie. – Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wydawało mi się, że ty to ona. Masz jej włosy, jej oczy, jej uśmiech, jej głos... Pomyślałem wtedy, że muszę koniecznie z tobą porozmawiać. Szłaś alejką przez park z grupą swoich kolegów. Szedłem parę kroków za wami. Nikt z was nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Byłem dla was niewidzialny jak powietrze, jak nikt. Po prostu jeszcze jeden z wielu tutaj, potencjalnie niegroźny świr. Opowiadałaś coś, śmiałaś się... Byłaś jedną z nich. Nie mogłem od ciebie oderwać wzroku. Jej włosy... Jej oczy... Jej uśmiech... Jej głos... Modliłem się długo, bardzo długo, bym mógł cię jeszcze raz spotkać. Popatrz, mój Bóg, który kiedyś tak ze mnie zadrwił, wysłuchał mnie. Nie modliłem się na darmo. Siedzisz tu teraz tuż obok mnie. Rozmawiasz ze mną – zamilkł na chwilę. – Wiesz, gdybyś mi pomogła, to mógłbym spróbować. Właściwie teraz to tylko ty mogłabyś mi pomóc. Może jednak warto. Obojętność jest bezpieczna, ale taka nudna. Cóż wart jest świat bez emocji? Czuję się tu trochę jak żywy trup. Żyję, oddycham, jem, ale nic nie czuję. Jak myślisz, czy człowiek, który nic nie czuje, rzeczywiście żyje nadal?

Jego wzrok cały czas koncentrował się na jej twarzy.

– Myślę, że emocje i uczucia dodają życiu barw – usłyszałem spokojny głos Katarzyny. Nie, ona nie czuła jeszcze niebezpieczeństwa, jeszcze się nie bała. – Sądzę, że żyjemy dzięki pracy naszego serca, płuc, mózgu, ale prawdziwy sens naszemu życiu dają nasze emocje – miłość i nienawiść, żądza posiadania i zazdrość... Kochamy, nienawidzimy, zazdrościmy, tęsknimy... Z tobą jest tak samo. Mówiłaś, że za nią tęsknisz.

Chłopak wyciągnął rękę w kierunku Katarzyny. Położył swoją dłoń na jej ręce.

– Za parę dni są święta – mówił jakoś dziwnie. – Wyjdź za mnie. Czyżby to nie było piękne i romantyczne? Znowu bym czuł, żył, kochał...

Widziałem, jak Katarzyna powoli próbuje się odsunąć. Jarek mocniej przytrzymał jej rękę.

– Słyszysz, wyjdź za mnie! – zabrzmiało jak rozkaz.

– Nie mogę – powiedziała cicho. – Za parę tygodni kończę studia, za parę miesięcy wyjeżdżam. Wychodzę za mąż...

Właściwie wtedy to do mnie nie dotarło. Byłem zbyt zdenerwowany, żeby rozumieć sens jej słów.

– Ty dziwko! – krzyknął. – Jesteś taka jak ona! Albo jeszcze gorsza!

Rzucił się w jej kierunku. Katarzyna uderzona przewracającym się stołem upadła na podłogę. Nie pamiętam, jak znalazłem się w tamtym pokoju. Pielęgniarski był pierwszy.

Krótką szarpanina, kaftan bezpieczeństwa. Gdy pochyliłem się nad Katarzyną, wtuliła się w moje ramiona.

– Jaki ten świat jest podły! Jaki wstrętny i zły! – szlochała.

Nie pamiętałem już, kiedy po raz ostatni byliśmy tak blisko siebie. Przytuliłem ją mocno.

– Już dobrze. Już po wszystkim – gładziłem jej włosy, wycierałem dłońmi mokre od łez policzki. Powoli się uspokajała.

– On go uderzył. Prawda? – usłyszałem cichy szept Katarzyny.

– O czym ty mówisz, Kasiu? – nie mogłem zrozumieć.

– Pielęgniarsz go uderzył?

– Nie, nie uderzył – byłem zszokowany. O czym ona, do diabła, teraz myśli? – Daj spokój Kasia, przed chwilą on mógł cię zabić. Gdyby za tobą był kaloryfer lub ściana, to pewnie nie rozmawialibyśmy teraz.

– Michał, zrób coś. – Kasia patrzyła na mnie przerażona. – Nie chcę już tu być. Nie dam rady zostać tu do jutra. Chcę natychmiast stąd wyjechać...

Asystent, zaskoczony i przerażony tym, co się wydarzyło, nie zatrzymywał nas. Katarzyna za świetnie zebrany wywiad zaliczyła blok wyjazdowy na ocenę celującą. Ja zostałem zwolniony z zaliczenia pisemnego po wypunktowaniu objawów schizofrenii u Jarka.

Do miasta dotarliśmy późnym wieczorem. Katarzyna nie miała kluczy do mieszkania. Współlokatorka, spodziewając się jej dopiero następnego dnia, gdzieś wybyła. Swoją drogą, cieszyłem się z takiego zbiegu okoliczności. Honoraty nie było, a Roman gdzieś tam we Francji wygłaszał kolejny referat na kolejnym bardzo ważnym dla siebie kongresie. Nie zostało nam nic innego, jak pojechać do mnie. Weszła do pokoju. Zsunęła buty. Powiesiła kurtkę. Usiadła na tapczanie. Rozgrzewała dłonie, trzymając kubek gorącej kawy. W półmroku, w nikłym świetle lampki widziałem na ścianie jej cień. Siedziałem pod oknem. Nie chciałem taniego sentymentalizmu, nie chciałem sytuacji, której mielibyśmy się kiedyś wstydzić. Nie pragnąłem porannego milczenia ani pospiesznie odwracanego wzroku. Czekałem już tyle lat, mogłem poczekać jeszcze dzień, tydzień, miesiąc... Rozkoszowałem się tą chwilą i właściwie nie marzyłem o niczym więcej.

– Szkoda, że w życiu nie można niczego odwrócić, niczego cofnąć, że nic się nie może powtórzyć, nic nie może się dwa razy zdarzyć. Szkoda, że niczego nie można poprawić, że nie mamy szansy repetować żadnego dnia naszego życia. Ile rzeczy można byłoby wtedy naprawić. Może tamta dziewczyna by tego nie zrobiła... Może ten chłopak nie byłby teraz chory... Może nie byłoby Marty i twojego ślubu... – mówiła cicho, jakby wstydzając się własnych słów.

– Mój ślub... – przerwałem niepewnie.

– Ciii... – podeszła do mnie, położyła palec na moich ustach – nie mów nic. Nie teraz. Wyciągnęła rękę w kierunku lampki.

– Nie gaś, Kasiu, chcę cię widzieć.

To ona pocałowała mnie pierwsza. Początkowo delikatnie, nieśmiało, jakby nie była pewna, czy tego pragnę, jakby się obawiała, że nie oddam jej pocałunku. Czułem drżenie każdego mięśnia, przyspieszony rytm serca, przerażające tętnienie w uszach. Całowałem

jej usta, twarz, szyję, uwolnione z rozchylonej bluzki piersi. Pożądanie narastało do granic bólu. Hamowana całymi latami namiętność uderzyła ze zwielokrotnioną siłą. Była delikatna, ciepła, namiętna i tylko moja. Tego nie da się zapomnieć. Tego nie da się zastąpić niczym innym. Ataki namiętności przerywane krótkim spokojnym snem, gorący dotyk jej ciała, słodycz pocałunków, owal bioder, gładkość ud... Czułe szepty i spokojny oddech w trakcie snu, wilgotne od potu ciała i delikatny zapach jej perfum.

To była jedyna nasza noc. Nigdy nikogo tak nie kochałem i nigdy nie czułem się tak kochany.

Gdy obudziłem się rano, Katarzyny nie było w pokoju. Na stole w kuchni leżała pospiesznie napisana kartka: „Przepraszam. Przepraszam Ciebie, Martę... To nie powinno być nigdy się zdarzyć. Jakiś szalony dzień bez samokontroli. Wkrótce wyjeżdżam, za parę miesięcy biorę ślub. Przepraszam. Katarzyna”.

Przeczytałem to raz, potem drugi i trzeci i znowu w kółko, od początku. Nie mogłem zrozumieć sensu tych słów. Wydawała mi się taka szczęśliwa. I ja byłem taki szczęśliwy. Nie, to przecież niemożliwe, myślałem. Nic nie rozumiałem. Wydawało mi się, że nareszcie dobrnęliśmy do końca, że nareszcie mamy swój happy end, że to koniec nieporozumień, niepowodzeń, śmiesznej, dziecięcej gry.

Spotkałem ją po południu na uczelni. Jak gdyby nigdy nic, machnęła mi ręką.

– Cześć! – uśmiechnięta, spokojna, jakby się nic nie wydarzyło, jakbyśmy się rozstali wczoraj po ćwiczeniach, jakby nie było tej szalonej nocy, jakby nie było tej idiotycznej kartki. Drżały mi ręce. Byłem pewny, że widać drżenie mych nóg.

– Chciałaś się zemścić za to sprzed lat? – wiedziałem, że mówię za głośno. Zupełnie nie potrafiłem zapanować nad emocjami. – Nie masz specjalnie za co. Długo obmyślałaś tę zemstę? Super! Naprawdę super! To prawie tak zabawne, jak tamta dziewczyna z obrączką. Wychodzisz za mąż za Romana? Gratuluję. Świetna partia...

– Michał, nie krzycz. Wszyscy się oglądają – próbowała mnie uspokoić. Nie dałem sobie przerwać.

– Świetna partia, naprawdę świetna – przystojny, bogaty, mądry, dobrze ustawiony, robiący błyskotliwą karierę naukową, godną profesorskiego syna. No, może trochę za bardzo zajęty, ale przecież nie to w życiu jest najważniejsze. Uczucia... One pewnie i tak szybko blakną. No, a pozycja społeczna? Pozycja społeczna zostaje... Kto by pomyślał, że tak szybko się uczysz... – wiedziałem, że będę tego kiedyś żałował. Nie mogłem, nie potrafiłem się powstrzymać.

– Miałam doskonałego nauczyciela – przerwała mi ostro.

Kolejny raz padło to idiotyczne oskarżenie. Oskarżenie, na które nie chciało mi się już odpowiadać. Przestałem już walczyć. Walczyć można z czymś racjonalnym, wytłumaczalnym... Nie można walczyć z czyimiś spaczonymi wyobrażeniami. Niszczyła wszystkich i wszystko w imię swoich świętych zasad. Bezwzględna w swoim dążeniu do dobra, jak inni bywają bezwzględni w dążeniu do zła. Nie, nie miałem siły z nią walczyć. Mogłem walczyć z całym światem, ale nie z nią. Nie tu, nie teraz i nie po tym wszystkim.

– Kochasz go? – spytałem cicho.

Popatrzyła na mnie jakoś dziwnie. Odrzuciła do tyłu włosy. Jakby odruchowo odgarnęła uparcie spadające jej na oczy mieniące się miedzią pasmo.

– Nie, Michał, kochać mogłabym tylko kogoś takiego jak ty – wspięła się na palce, pocałowała mnie, odwróciła się na pięcie i odeszła. Z niewiadomych dla mnie powodów poczułem się przegrany. Nie dała mi żadnej szansy. Wybrała Romana. Odeszła, a ja przez całe lata zastanawiałem się, czy mogłem ją wtedy jeszcze jakoś zatrzymać.

\* \* \*

Nie chciałem jej widywać. Byłem szczęśliwy, że rok akademicki dobiega końca. Ostatnie ćwiczenia, ostatnie wykłady... Chodziłem na zajęcia z inną grupą. Niech to już będzie koniec, idiotyczny, przykry, ale koniec.

Oboje dostaliśmy dyplomy z wyróżnieniem. Katarzyna – etat na kardiologii, ja – wymarzony etat u Wolskiego na kardiochirurgii. Przynajmniej studia skończyły się zasłużonym happy endem.

Zacząłem pić. Pracowałem dużo i piłem coraz więcej. Próbowałem zapomnieć. Spotykałem się z różnymi dziewczynami, ale żadna nie była do niej podobna, żadna nie mogła jej zastąpić. Coraz częściej łapałem się na tym, że bezwiednie zaczynałem porównywać. W nowo poznanej twarzy poszukiwałem jej oczu, wesołego blasku jej uśmiechu, jej namiętych ust. W ruchach poznanej dziewczyny chciałem doszukać się jej ruchów, we włosach miękkości jej włosów. Chciałem słyszeć jej głos, jej śmiech... Z czasem doszedłem do wniosku, że to jest nieuczciwe, nieuczciwe wobec innych, nieuczciwe wobec siebie. Piłem coraz więcej. Nie mogłem, nie potrafiłem zapomnieć. Brakowało mi jej z dnia na dzień coraz bardziej. Zacząłem obserwować ją po kryjomu. Siedziałem pod kliniką, kiedy wychodziła z pracy. Obserwowałem jej postać wieczorem w ramie oświetlonego okna. Szedłem dziesięć kroków za nią, gdy późnym wieczorem wracała ze szpitala. Moje życie stawało się coraz bardziej groteskowe. Patrzyłem w lustro z narastającym obrzydzeniem – zmęczona, wiecznie nieogolona, wymięta twarz, podkrążone oczy... Już dawno przestałem sam siebie akceptować. Rano mocna, cierpka kawa, gorący prysznic, dwie aspiryny, żeby oddalić kaca, żeby choć na chwilę stłumić ten paskudny, pulsujący w głowie ból. Później praca: zabiegi, ćwiczenia ze studentami, czasami dyżur... Popołudnia spędzałem pod oknami jej mieszkania, pod jej kliniką. Wieczorem zaczynałem pić. Było mi już wszystko jedno gdzie, z kim i ile. Nad ranem wracałem do pustego mieszkania. W ubraniu kładłem się spać, by po kilku godzinach snu od cierpkiej kawy zacząć swój kolejny dzień, równie beznadziejny jak wszystkie poprzednie. Nie miałem już żadnych marzeń, żadnych celów. Wszystko wokół mnie utraciło swoje wcześniejsze znaczenie. Wszystko – oprócz niej. Jeśli jakiegoś dnia nie udało mi się jej gdzieś zobaczyć, to wykręcałem znajomy numer telefonu. Musiałem choć na chwilę usłyszeć jej głos... To „halo” wystarczyło, żeby dalej żyć. To „halo” rzucone do głuchego telefonu upewniało mnie, że wszystko jest w porządku, że jest, że nie zniknęła, że nic złego jej się nie stało. Staczałem się i nie miałem siły się zatrzymać. Nie widywałem ich teraz razem. Roman wyjechał. Nie musiałem patrzeć, jak trzymają się za ręce, jak się przytulają. Postanowili być razem i akceptował to cały świat. Postanowili być razem i tylko ja nie mogłem się z tym pogodzić.

Robert umówił się ze mną na piwo. Mówiąc szczerze, odwykłem już od spotkań z przyjaciółmi. Robiłem wszystko, by ich unikać, a i oni chyba niespecjalnie tęsknili za mną. Nasze drogi rozeszły się już dawno. Założyli rodziny, zaangażowali się w swoje pierwsze prace, spodziewali się dzieci... Nie było już wspólnych tematów. Ja zacząłem żyć jakby na marginesie normalnego życia. Staczałem się. Kto ma ochotę spotykać się z kimś, kto wszystko stracił? Nie miałem żalu do dawnych przyjaciół. Każdy podświadomie unika zła. Robert był wyjątkiem, wydzwaniał do mnie prawie codziennie. Domyślałem się, że robi to pewnie za namową Wolskiego, który coraz częściej załamywał nade mną ręce. Poszliśmy z Robertem do mojej ulubionej knajpy. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Zamawialiśmy kolejne kufle. Robert opowiadał o swojej pracy na internecie. Ja w zasadzie milczałem... Było już późno. Lokal powoli zaczynał pustoszeć. No i dobrze, pomyślałem, obeszło się bez dzielenia włosa na czworo i darcia szat. Pomyliłem się.

– Co wy z Katarzyną wyprawiacie? Już dawno przestałem was rozumieć. Prowadzicie jakąś dziwną, niezrozumiałą dla innych grę. Czy wy sami jeszcze cokolwiek z tego rozumiecie? Już dawno się w tym pogubiłem. Zachowujecie się jak dwoje obcych sobie ludzi. Oglądaliśmy kiedyś z Basią zdjęcia z uczelni. Baśka była wami oczarowana. Ty i ona, zawsze razem – Robert mówił spokojnie, jakby obawiał się mojej reakcji. – Para nieodłącznych przyjaciół, para bliskich, bardzo bliskich sobie ludzi. Wiesz, zawsze szanowałem tę waszą przyjaźń. Nawet wtedy, kiedy ożeniłeś się z Martą. To było coś wielkiego, coś, co trafia się bardzo rzadko, co jest wyjątkowe, prawie święte. Było to coś, co nie podlegało dyskusji, coś, przed czym chciało się przyklęknąć, bić pokłony. Nie wiem, kto z was bardziej zawinił. Szliście obok siebie tak zgodnie i nagle zaczęliście się mijać. Samozagłada... To chyba najlepsze słowo, jakie ciśnie mi się na usta, gdy myślę o was. Samozagłada... Oboje jesteście skrajnie nieszczęśliwi i oboje pogrążacie się nadal. Jesteście moimi przyjaciółmi. Co wy wyczyniacie? Czego wam zabrakło albo czego macie w sobie za dużo, że niszczycie siebie każdego dnia? Każde z was płonie jak żywa pochodnia. Płoniecie w ogniu miłości, nienawiści, zazdrości, pożądania... Jeżeli to właśnie jest prawdziwa miłość, to ja dziękuję, to ja nie chcę. To ja się cieszę, że to nie mnie opętało. Ja kocham moją żonę albo wydaje mi się tylko, że ją kocham, ale dzięki Bogu, żyję spokojnie. Nie targają mną te niesamowite uczucia, nie ginę z ich powodu. Cieszę się, że mi tego zaoszczędzono. Ja i bez tych wielkich emocji czuję się szczęśliwy. – Robert mówił wciąż powoli i spokojnie, jak lekarz tłumaczący swojemu śmiertelnie choremu pacjentowi objawy jego choroby.

Wypiłem już zdecydowanie za dużo, żeby wdawać się w tę dyskusję, i zdecydowanie za dużo, żeby panować jeszcze nad słowami.

– Bzdura! Słyszysz? To wszystko jest totalną bzdurą! Przeszło, minęło. Nie mogło to być nic wielkiego, skoro rozplynęło się we mgle po jednej wspólnej nocy – sam nie mogłem uwierzyć, że to mówię, że te słowa przechodzą mi przez gardło. – Nie znasz słowa: „pożądanie”?

– Jesteś obrzydliwy – Robert przerwał mi gwałtownie. Jego twarz wykrzywiła się

w pełnym niesmaku grymasie. – Jesteś, facet, totalnym moralnym zerem. Nawet teraz, gdy przegrałeś wszystko, nie jesteś w stanie nazwać swoich uczuć. Nie jesteś w stanie się do nich przyznać. Jesteś tak potwornie zazdrosny, że ma ją kto inny, czy po prostu wściekły i urażony, że po nocy spędzonej z tobą odeszła? Może to rzeczywiście nie jest żadna miłość, tylko urażona męska duma? Nie możesz przeżyć, że jest z Romanem? – prawie syczał. – Dziwnie się pocieszasz, chlejąc co dnia i śpiąc z każdą dziwką, która poleci na twój tytuł albo męskie rysy twarzy. Intelktualny geniusz i moralne zero! Nędzny pętań, niepotrafiący nawet nazwać własnych uczuć! – Robert wstał. Ruchem ręki zawołał kelnera. Zapłacił i wyszedł bez pożegnania. A ja zostałem. Miłość... Co znaczy właściwie to słowo? Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co czuję – pożądanie, zauroczenie, fascynację, chęć zdobycia za wszelką cenę czegoś, co było idealne i nieosiągalne, chęć posiadania czegoś, o czym mogłem tylko śnić, zazdrość, niepokój, lęk, pragnienie bycia razem... A może miłość to była ta krótka chwila niepowtarzalnego szczęścia, kiedy trzymałem ją w ramionach, kiedy nasz cały świat skurczył się nagle do tamtej nocy, do pokoju w moim mieszkaniu, jej pocałunków, zapachu jej ciała, dotyku jej skóry, przyspieszonych oddechów, cichych szeptów, kiedy cały świat skurczył się tylko do nas.

\* \* \*

Pierwsze dni mojego pobytu w Niemczech... Minęły prawie cztery lata, a mnie się wydaje, jakby to było zaledwie wczoraj. Wyjechałem i z dniem wyjazdu spaliłem za sobą wszystkie mosty. Zostałem wyrzucony z pracy. Oddałem klucze od wynajmowanego mieszkania. Nie pożegnałem się nawet z dawnymi przyjaciółmi. Dla moich rodziców przestałem istnieć już na długo przed rozwodem z Martą, a moja telefoniczna informacja o wyjeździe spotkała się z wymowną ciszą. Właściwie nie byłem tu nikomu i do niczego potrzebny. To nie była nawet ucieczka, bo ja nie miałem ani przed czym, ani dokąd uciekać. Siedziałem w pociągu wyzuty ze wszystkiego, zupełnie obojętny, co przyniesie mi los. Gdy przekroczyłem tę zaczarowaną, magiczną granicę oddzielającą dwa różne światy, nie czułem nic. Zupełna obojętność. Tylko dzięki tej obojętności udało mi się przeżyć te pierwsze parę miesięcy w Niemczech. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Mullerem. Był odpychająco wprost grzeczny, oziębły i totalnie powściągliwy. Z dziwnym niedowierzaniem oglądał mój indeks, dyplom, przerzucał opublikowane w Polsce prace. Ożywił się nieco, gdy czytał list od Wolskiego. Raz po raz spoglądał na mnie jakby bez większego przekonania.

– To jest w porządku.

Stuknął ręką w piętrzący się przed nim stos moich dokumentów. Po niemiecku mówił powoli i dobitnie, starannie dobierając słowa, jakby w obawie, że moje zapewnienia o biegłej znajomości języka niemieckiego okażą się trochę na wyrost.

– To jest bez zastrzeżeń. Opinia mojego przyjaciela więcej niż przychylna, ale... – przerwał na chwilę. – Tu nie ma słowa o genetyce. Pan jest ponoć zdolnym chirurgiem, świetnym zabiegowcem. Genetyka to dziedzina dla wytrwałych. Tu nie ma cudownych efektów ani szalonej satysfakcji. Całymi latami trzeba zmusić pracować na każdą ostrożną publikację. Tu nie ma nic na pokaz. Tu nie ma oklasków. Nie ma kontaktu z pacjentem. Nie

wiem, czy pan rozumie – przyglądał mi się uważnie. – To praca dla mola książkowego. U nas pracują biolodzy, mikrobiolodzy, genetycy... Jeden człowiek nie znaczy tu nic. Na każdy, nawet najmniejszy sukces przez długi czas pracuje anonimowo wielu ludzi w wielu laboratoriach. Wolski pisze, że pan zostaje genetykiem z konieczności, a nie z wyboru. Ja tego jakoś nie jestem w stanie zrozumieć.

Patrzył na mnie pytająco, a ja nie miałem ochoty mu nic wyjaśniać. Co miałbym mu właściwie powiedzieć? Nie wypadało przecież mówić, że jest mi w tej chwili wszystko jedno, że w równym stopniu mogę zajmować się genetyką co anatomią patologiczną, sprzedawaniem w sklepie czy też zamiataniem ulic. Czekał, a ja nie miałem mu nic do powiedzenia. Było mi zupełnie obojętne, jaką podejmie decyzję.

– Muszę to wszystko przemyśleć. Wie pan, chciałbym jeszcze raz na spokojnie przeczytać te wszystkie papiery. Niech pan odpocznie trochę po podróży. Proszę przyjść za dwa dni. – Podniósł się z fotela, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że już najwyższy czas się pożegnać. Uścisnął mi rękę. – Spotkajmy się w środę o dziewiątej.

Wydawało mi się, że to wszystko nie miało większego sensu. Owszem, na studiach były biologia, biochemia, mikrobiologia, genetyka i jeszcze dziesiątki innych przedmiotów, które traktowaliśmy jak zło konieczne, jak kolejne szczeble w drabinie, która miała nas kiedyś doprowadzić do zajęć klinicznych, która miała nam kiedyś umożliwić pracę z pacjentem. Dziwiłem się zawsze lekarzom, którzy pracowali wyłącznie naukowo. Wydawało mi się, że się pomylili, że wiele tracą. Teraz sam ubiegałem się o tego typu pracę. Na pocieszenie miałem tylko słowa Wolskiego: „Ktoś tak zdolny jak ty poradzi sobie w każdej dziedzinie. To nie jest kwestia dziedziny, to tylko kwestia czasu. Nie mogę ci teraz w żaden inny sposób pomóc”.

Po dwóch dniach, w środę, dokładnie o godzinie dziewiątej, sekretarka wpuściła mnie przed oblicze Petera. Przywitał mnie krótkim uściskiem dłoni. Poprosił, bym usiadł. Przyglądał mi się wnikliwie, tak jakby te dwa dni jeszcze nie wystarczyły do podjęcia decyzji, jakby nadal nie był przekonany.

– Niech będzie – zaczął bez większego entuzjazmu. – Przyjmuję pana. Tu ma pan warunki pracy – rzucił na stół pedantycznie zapisane arkusze papieru. – Resztę załatwi pan w sekretariacie. Pierwsze dwa miesiące pracuje pan jako wolontariusz – przerwał na chwilę, jakby się zastanawiając, czy aby go dobrze zrozumiałem. – To znaczy, że zapewniamy panu tylko skromne mieszkanie i wyżywienie. No, rozumie pan, musimy się panu trochę przyjrzeć, a i pan musi mieć czas załatwić wszystkie formalności. Musi pan uzyskać prawo wykonywania zawodu w Niemczech, oficjalną zgodę na pracę, przynależność do niemieckich izb lekarskich i jeszcze wiele innych spraw. Zatrudniam pana na stanowisku młodszego asystenta – spojrzał na mnie badawczo, jakby oczekiwał z mojej strony dyskusji albo protestu. – Ja wiem, że to raczej niewiele, ale jeżeli jest pan tak zdolny, jak zapewnia Wolski, to za rok lub dwa lata zostanie pan kierownikiem pracowni. – Nawet nie dopuścił mnie do głosu. – Rozpoczyna pan od jutra. Wymagam punktualności, lojalności i całkowitego oddania dla naszej pracy – spojrzał na mnie krytycznie. – Proszę skrócić trochę włosy – rzucił jakby niedbale. – Jutro zgłosi się pan do pracowni Hansa Schemela. Ach, i jeszcze jedno. Pana niemiecki jest rzeczywiście bez zarzutu. Aż trudno uwierzyć, że nauczył się pan w Polsce tak biegle władać językiem



niemieckim.

Nie miałem ochoty wyprowadzać go z błędu. Na pewno nie należało się chwalić studenckimi wypadami na czarną robotę do Niemiec. Myślę, że nie chciałby ode mnie usłyszeć o układaniu bruków, kopaniu ogródków czy też zbieraniu niemieckich truskawek...

– Czy mówi pan też po angielsku? – spytał.

– Dość dobrze.

– W porządku, dużo prac publikujemy w tym języku.

Ruszył wymownie w kierunku drzwi. Nie otworzył ich jednak od razu. Przystanął jeszcze na chwilę.

– Na koniec jeszcze jedna sprawa... Proszę mi, broń Boże, nie dziękować. Jestem człowiekiem interesu i robię to z czystego wyrachowania. Nawet profesor Wolski nie jest w stanie naciągnąć mnie na tanie sentymenty. Wydaje mi się, że to powinien być dla mnie niezły interes.

\* \* \*

Następnego dnia zgłosiłem się do pracy. Hans Schemel okazał się młodym, energicznym człowiekiem, nieukrywającym specjalnie swojej niechęci do cudzoziemców, a do przybyszów z za wschodniej granicy w szczególności. Miał w swoim laboratorium paru obcokrajowców, ale traktował ich, podobnie jak mnie, jako zło konieczne, jako niepożądany efekt uboczny przemian zachodzących w Europie. Nie należał chyba do wielkich fanów wspólnej Europy, a nawet byłem pewny, że sympatyzuje z hasłami skrajnie prawicowych partii niemieckich w stylu: „Niemieckie miejsca pracy tylko dla Niemców”, „Kryminaliści cudzoziemscy precz”. Hans miał wprost dziką satysfakcję z każdej napotkanej przeze mnie trudności, jawnie wyszydzał nawet najmniejsze moje potknięcia. Byłem obcy, a to według niego usprawiedliwiało każde jego zachowania. Nie byłem Niemcem, a to wystarczało, żeby poczuł się zwolniony z wszelkich zasad. Paradoksalnie, takie zachowanie okazało się wtedy dla mnie zbawienne. Zaczęło mnie wybudzać z dotychczasowej obojętności, mobilizować do walki. Moje życie zaczęło z czasem przypominać pracowite studenckie sesje. W dzień praca, noce przesiedziane nad książkami. Po paru miesiącach, gdy przyswoiłem sobie obce mi programy komputerowe, gdy praca z mikroskopem elektronowym stała się czymś łatwym i przyjemnym, a genetyka jako wiedza przestała być dla mnie wcześniej tylko po łebkach zgłębianą tajemnicą, zauważyłem, że zniknęła gdzieś dzieląca mnie od nich wcześniej przepaść. Powoli stawałem się od nich lepszy, a z czasem o wiele lepszy. Zacząłem piąć się po szczeblach zawodowej kariery. Rosło też z wolna moje uposażenie. Wynajmowany pokój w nie najlepszej dzielnicy zamieniłem z czasem na przytulne mieszkanie, a starego fordka na mniej stare bmw. Byłem asystentem, starszym asystentem, a po dwóch latach zostałem kierownikiem pracowni. Oszałamiająca kariera, nawet jak na tamtą część Europy. Zacząłem praktycznie od zera, od mycia szkła w laboratorium i przycinania zdjęć spod mikroskopu elektronowego, by po paru latach stać się pierwszym człowiekiem pracowni, prowadzić własne prace badawcze, obronić doktorat, publikować wyniki własnych badań.

Dostosowałem się prawie niewolniczo do ich reguł gry. Mówiłem jak oni, zachowywałem się jak oni. Gdy pewnego dnia zrozumiałem, że ja myślę po niemiecku, ogarnęło mnie przerażenie. Stare dzinsy i flanelową koszulę zastąpiły garnitur, dobrze dobrane koszule, starannie wiązane krawaty. „Wygląd człowieka, jego mieszkanie, jego samochód muszą odpowiadać statusowi społecznemu” – brzmiały mi w uszach często powtarzane przez Petera słowa. „Ludzie tutaj oceniają cię po tym, co masz i jak wyglądasz. Rzadziej zastanawiają się nad tym, co robisz. Michael, moi ludzie muszą porządnie wyglądać. Wygląd moich pracowników świadczy o mojej firmie”. Właściwie to Muller stworzył moją niemiecką osobowość. Z czasem tę powierzchowność i sposób bycia przyjąłem za swoje. Nauczyłem się też panować nad emocjami. Miałem dobrych nauczycieli. W tym świecie serdecznych powitań i równie serdecznych pożegnań, w świecie przyklejonych uśmiechów i wyuczonych uprzejmości, w świecie, w którym nawet małe dziecko nie zachowuje się spontanicznie, nie było miejsca na emocje. Mimo że z początku porażało mnie to i denerwowało, z czasem uświadomiłem sobie, że tak naprawdę jest łatwiej, lepiej. Obojętna, ale uśmiechnięta twarz. Ogromny dystans do innych ludzi jako metoda chronienia własnej prywatności, własnych głęboko ukrytych emocji. Tak blisko stąd do Polski, a jednocześnie tak daleko. Stopniowo zacząłem się stawać jednym z nich. Z czasem mieszkanie zamieniłem na w miarę luksusowy dom w dobrej dzielnicy, a wysłużone bmw na mercedesa. Tak wypadło, tego oczekiwano po mnie, kariera zawodowa musiała mieć swoje odzwierciedlenie w stanie posiadania. Nie miałem prywatnego życia. Nie miałem na nie ani ochoty, ani czasu. Właściwie byłem szczęśliwy, że nadmiar pracy pozwala mi choć trochę zapomnieć. Byłem sam i mogłem liczyć tylko na siebie. To nauczyło mnie rozsądku, ale i egoizmu. Z czasem wtopiłem się idealnie w tę ich obojętność, dobrze graną serdeczność, rzeczywistą oziębłość. Stawałem się jednym z nich. Pamiętam przyjęcie z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Było to tuż po obronie mojej pracy doktorskiej, tuż po publikacji paru prac. Peter składał mi życzenia świąteczne, gratulując dotychczasowych osiągnięć. Przytrzymał moją dłoń odrobinę dłużej.

– Michael, teraz już widzisz, że mam głowę do interesów. Jesteś jednym z moich najlepszych życiowych biznesów. Trudno mi czasami uwierzyć, że jesteś Polakiem. Mam wrażenie, że jesteś jednym z nas.

To pewnie miał być komplement, pomyślałem. W ich świecie, w którym Niemcy są ponad wszystko, te słowa musiały znaczyć bardzo wiele. Miewałem też chwile słabości. Siadałem wtedy w ciemności w fotelu, wybierałem kierunkowy do Polski. Znajomy głos Roberta, czasami serdeczne zrzęczenie Wolskiego i znowu można było dalej żyć. Nie było to jednak normalne życie i od początku zdawałem sobie z tego sprawę.

Mój dom urządziłem dla Katarzyny. Miała tu swoją bibliotekę pełną książek, kominek, w którym w zimowe długie wieczory mógł radośnie buzować ogień. Miała włoską łazienkę i przepiękny ogród. Miała dom ze swoich młodzieńczych marzeń, choć nie miałem nawet cienia nadziei, że go kiedykolwiek zobaczy. Tysiące razy wyobrażałem ją sobie w tym domu. Widziałem, jak się śmieje, jak parzy kawę w naszej kuchni, jak czyta książki, siedząc w głębokim fotelu, jak rozpala w kominku, jak czesze włosy przed lustrem w sypialni, jak powoli układa się do snu. Znałem ją na tyle dobrze, że potrafiłem ją sobie wyobrazić w każdej z tych sytuacji. Nie, wtedy nie myślałem, że to choroba. To był sposób

na przetrwanie. Kiedyś Wolski odwiedził mnie tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Przeszedł się po domu.

– Masz fantastyczny dom, naprawdę fantastyczny, ale wiesz, nie jestem pewny, czy to jest do końca normalne – przerwał na chwilę. Spojrzał na mnie uważnie. – Przerażasz mnie. Czyżbym miał żałować, że cię tu wysłałem? – Nie odrywał wzroku od mojej twarzy. – Tworzysz sobie fikcyjny świat, świat wyobraźni. Budujesz go dzień po dniu, obok rzeczywistego. Te dwa światy istnieją równolegle, w żadnym punkcie nie stykając się ze sobą. Gdy pewnego dnia zaczniesz zatracać tę subtelną granicę dzielącą owe dwa światy, będzie już za późno. To przypomina schizofrenię. Przypadek z pogranicza patologii. Jeden świat tu i jeden świat tam – na zewnątrz. Tam jesteś twardym, stanowczym, bez skrupułów zmierzającym do wyznaczonego przez siebie celu, niesamowicie zdolnym młodym naukowcem. Tu żyjesz w świecie wyobraźni, jesteś niepoprawnym romantykiem – mówił, obserwując mnie cały czas. – Michał, nie można przez całe życie uciekać. Może czas już wydorosnąć...

\* \* \*

Był późny wieczór. Rano wróciłem z Rzymu. Popołudnie spędziłem w laboratorium. Musiałem tam jeszcze parę rzeczy sprawdzić, porównać. Wszedłem właśnie do domu. Nowy program badawczy po mozolnym, nudnym i powolnym początku nabierał rozpędu. Było już widać pierwsze wyniki. Wszystko zapowiadało się bardzo interesująco. Włączyłem ekspres, po kuchni powoli zaczął się rozchodzić zapach świeżo parzonej kawy. Usiadłem w fotelu, przygasiłem światło, zapaliłem papierosa. Zaciągnąłem się głęboko. Włączyłem cichutko muzykę. Chwila odpoczynku, a później trzeba jeszcze poprawić materiały do publikacji. Nagle błogi nastrój przerwał natarczywy dźwięk telefonu. Słuchawkę podniosłem prawie odruchowo.

– Halo!

– Cześć, Michał! – usłyszałem Roberta. W pierwszej chwili wydawało mi się, że ma jakiś zmieniony głos. – Dobrze, że wreszcie jesteś. Już od trzech dni próbuję się do ciebie dodzwonić. Dzisiaj też dzwoniłem już wiele razy.

– Byłem służbowo parę dni w Rzymie. Współpracujemy z kilkoma rzymskimi szpitalami. Później wpadłem na chwilę do pracy. Prowadzimy ostatnio nowe badania. Niedługo musimy opublikować wstępne wyniki... Dosłownie przed chwilą wszedłem do domu – zacząłem się odruchowo tłumaczyć.

– Tak, rozumiem – przerwał mi. Miałem wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchał. – Wiesz, nie wiem, jak cię o to prosić, ale bardzo bym chciał, żebyś przyjechał do Polski.

– Do Polski? – powtórzyłem niemal automatycznie.

– Do Polski.

– A kiedy?

– Zaraz! – odpowiedź padła natychmiast.

– Zaraz? No wiesz, nie byłem w Polsce cztery lata. Jakoś niespecjalnie tęsknię. Nie mam za kim ani za czym tęsknić. – Sam nie wiedziałem, dlaczego to nadal bolało.

– Nie dasz się namówić? – wyczułem, że Robert jest bardzo zdenerwowany. – Nie

przyjedziesz?

– Jeżeli chcesz mnie namówić na zjazd naszego roku, to nie przyjadę. Jeżeli chodzi ci o wystąpienie na jakimś polskim kongresie, to nie jestem jeszcze gotowy do powrotów... – zacząłem się usprawiedliwiać.

– Nie przyjedziesz? – przerwał mi gwałtownie.

– Nie powiedziałem, że nie przyjadę... Podaj mi choć jeden racjonalny powód... – nie dał mi dokończyć.

– Potrzebujemy cię jako genetyka – wykrztusił z trudem.

– Jako genetyk zostałem zakontraktowany prawie dożywotnio przez niemiecką firmę na zasadzie wyłączności. Jako przyjaciel... – sam nie wiem, dlaczego byłem wściekły.

– Źle się wyraziłem – Robert zreflektował się błyskawicznie. – Przepraszam. Jesteś nam bardzo potrzebny ty jako ty. Boję się, że odmówisz, dlatego tak bredzę bez sensu.

– A dlaczego z góry zakładasz, że odmówię?

– Bo... Bo właściwie nikogo by to specjalnie nie zdziwiło – wykrztusił Robert.

– No, wal! – zachęcałem. – Wykrztuś to wreszcie z siebie.

Mocną przesadą byłoby stwierdzenie, że posłuchał od razu. Chyba nadal zastanawiał się, czy powinien.

– Profesor Wolski prosił, bym do ciebie zadzwonił... – zaczął niepewnie.

– Dla niego zrobię wszystko. No, mówże wreszcie!

– Roman jest ciężko chory – tym razem walnął już bez ogródek. – Od paru miesięcy walczy z białaczką. Jediną nadzieją jest przeszczep – zaczął mówić szybko, jakby się bał, że przerwę. – Ma bardzo rzadką grupę krwi i bardzo nietypowe antygeny zgodności tkankowej. Nie można mu dobrać dawcy – mówił już normalnie, uspokojony pewnie tym, że nie przerywam, nie wrzeszczę, nie odkładam słuchawki. – Jesteś ostatnią deską ratunku. To przecież twoja działka, ty bawisz się genetyką nowotworów.

Roman... To imię miało siłę rażenia gromu. Nie słyszałem go od czterech lat. Nie padło nigdy w rozmowach z profesorem Wolskim ani w naszych pogawędkach z Robertem. To trochę tak, jakby Roman wyjechał do Chorwacji i zniknął naprawdę. I nagle teraz...

– Nie przyjedziesz? – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. – W porządku, rozumiem. Spróbowałem. – Robert mówił przyciszonym głosem. – Przynajmniej spróbowałem.

Zapadła cisza. Wydawało mi się, że ta cisza przeciąga się w nieskończoność.

– Przyjadę – sam nie mogłem uwierzyć, że to mówię. – Będę za parę godzin.

Nie czekając na reakcję Roberta, odłożyłem słuchawkę. Nie chciałem dać sobie szansy, abym mógł się jeszcze rozmyślić, zmienić zdanie, wycofać... Nie wstałem do razu. Zamknąłem oczy. Roman... Przed oczami zaczęły się przesuwać obrazy. Dotąd mi się wydawało, że mój mózg został całkowicie opanowany przez język niemiecki, genetykę i wszystkie te rzeczy, które musiałem przyjąć za swoje, żeby tutaj przetrwać. A teraz nie mogłem uwierzyć, że przesuwane się przed moimi oczami obrazy są tak świeże. Roman na pierwszych naszych zajęciach z kardiologii wpatrzony w Katarzynę jak w obraz... Roman czekający z bukietem frezji na Kasię po egzaminie... Roman z gitarą... Romek przytulający Katarzynę... Romek na nartach... Roman w sali operacyjnej... Roman ratujący mi życie... Roman grający w kosza. Roman – nauczyciel, kumpel, przyjaciel,

rywal... Podniosłem słuchawkę. Wykręciłem numer Mullera.

– Peter, muszę pojechać do Polski – zacząłem bez żadnych wstępów. – Mój przyjaciel jest bardzo chory. Ma białaczkę. Nie mogą mu dobrać szpiku do przeszczepu. Potrzebują mnie... Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Spiesz się powoli! – zaskoczył mnie. Byłem pewny, że będzie marudził, że zacznie zrzedzić. – Gdybyś potrzebował naszych laboratoriów, to wystarczy zadzwonić. Chyba jednak u nas są nadal większe możliwości – mówił serdecznie. – Pamiętaj, że nie jesteś sam. Nigdy nie jesteś sam. My jesteśmy zespołem, a w grupie można działać więcej. Zresztą zobaczysz na miejscu.

Zdziwiłem się. Takim go nie znałem. Byłem przekonany, że będzie niezadowolony, że będzie przeciw. Jeszcze godzinę temu marudził, że prace idą za wolno, a moja publikacja powinna być gotowa na wczoraj, a nie na jutro.

– Michael, nasze życie ma swój określony czas i czasami dociera to do nas za późno. Przyjaciół w życiu też nie ma się nigdy za wielu – mówił spokojnie. – Rusz łbem! Wykorzystaj nasze pracownie! Wygraj!

Zaskoczył mnie, to było dla mnie coś zupełnie nowego – Peter mówiący o przyjaźni. Do dzisiaj myślałem, że jego ulubionym słowem jest „Leistung”. „Leistung”, jak głosi słownik niemiecko-polski, to osiągnięcie, dokonanie, wydajność, sprawność, moc. Kiedy zaczynałem pracę w Niemczech, natknąłem się na słowo „Leistungsdruck”. Nie ma żadnego polskiego określenia, które byłoby w stanie oddać sens tego wyrazu. Opisowo można byłoby to ująć jako stres, napięcie, które odczuwają ludzie dążący do osiągnięcia w pracy coraz lepszych wyników. Po dwóch miesiącach pracy w Niemczech wiedziałem już bardzo dobrze, co owo „Leistungsdruck” oznacza. Nie umiałem tego wyrazić słowami, ale czułem całym sobą. To śmieszna niemiecka spirala sukcesu: szybciej, więcej, lepiej... A kiedy to już osiągnąłeś, zacznij znów od początku „szybciej, więcej, lepiej” i znowu „szybciej, więcej, lepiej” i jeszcze raz... Pędzisz do przodu w pogoni za czymś, co choć pozornie osiągalne, coraz bardziej się od ciebie oddala. Jesteś dobry, chwalą cię, ale zawsze możesz być jeszcze lepszy, znów cię chwalą i w końcu masz wrażenie, że doskonałość jest prawie w zasięgu twojej ręki. Wspinasz się, ścigając coś, czego i tak nigdy nie osiągniesz. Jeżeli zdasz sobie z tego sprawę, jeżeli w pewnym momencie zdołasz się zatrzymać, zdołasz powiedzieć: „basta, już nie mogę ani szybciej, ani więcej, ani lepiej”, to jesteś ocalony. Ja jeszcze nie osiągnąłem tego stanu. Nadal wierzyłem, że człowiek ma nieograniczone możliwości. I nagle Peter mówi o przyjaźni... Nie znałem go takim, dla mnie był on ucieleśnieniem powiedzenia: „im więcej pracy, tym więcej radości”.

\* \* \*

Droga do Polski była koszmarem: długi sznur samochodów na autostradzie, nieustanna praca wycieraczek ściągających z szyb strumienie ulewnego deszczu, mokra szosa mieniąca się rozmazanymi światłami samochodów, niemiecki szwargot w radiu, informujący o korkach na autostradzie. Gdy przekroczyłem granicę, poczułem się trochę dziwnie. Obiecałem sobie kiedyś, że już tu nie wrócę. Tu znowu wszystko bolało, jak świeżo otwarta rana. Zawsze powtarzałem, że ten kraj jest dla mnie zamkniętą księgą,

której nie miałem siły ani ochoty już nigdy otwierać. Istniało tylko jedno „ale”. Gdyby Katarzyna powiedziała choć słowo, wróciłbym natychmiast. Gdyby chciała być ze mną, to mógłbym latami ciuć kasę na samochód, mieszkać w zakładowym mieszkaniu przy gminnym ośrodku zdrowia, dorabiać do pensji, wycierając kąty w pogotowiu, użerać się na ostrych dyżurach z pijakami... Gdyby chciała ze mną choć porozmawiać, rzuciłbym wszystko.

Polskie fale radiowe powoli zaczęły zagłuszać niemiecką stację. „Dokąd idziesz, bracie, dokąd gnasz, po co tak zabijać się, w jednym punkcie przecież w końcu trwasz, tylko czas do przodu mknie... To twój los, zatrzymany w biegu kadr, martwe morze stoi wokół nas i nadziei brak na wiatr”...

Gdy dotarłem do kliniki, była trzecia nad ranem.

– Jestem tu umówiony z doktorem Gajewskim – tłumaczyłem portierowi, który z oburzeniem pokazywał mi tarczę swojego zegarka. – Doktor ma dzisiaj dyżur na trzecim oddziale interny. Proszę zadzwonić i spytać.

Portier był opryskliwy, zaspany i sfrustrowany. Na jego twarzy malowały się niczym niemaskowane wrogość i niechęć. „Witamy w domu” – pomyślałem. Zadzwonił.

– Czego pan nie mówi, że jest pan lekarzem? – burknął. – To tak trudno wykrztusić z siebie, że pan przyjechał na konsultację?

Podprowadził mnie do windy, cały czas burcząc coś pod nosem.

– Trzecie piętro, piąte drzwi po lewej to dyżurka lekarska. Doktor czeka na pana.

Te parę lat zmieniło Roberta. Twarz miał zmęczoną, poprzecinaną zmarszczkami, na skroniach pierwsze siwe pasemka.

– Kopę lat! – wyciągnął rękę na przywitanie. – Czasem myślałem, że cię już nigdy nie zobaczę.

Gdy mówił, gdy się uśmiechał, stawał się cieplejszy, młodszy. Wszedłem do dyżurki. Tu jakby zatrzymał się czas: zmięta poduszka, zwinięty niedbale koc, na stole niedojedzony posiłek – trochę chleba, masło, twaróg, obok niedopita smolista kawa, włączony komputer, sterty historii chorób, w powietrzu unoszący się odór dziesiątków wypalonych tu w nocy papierosów... Odwykłem już od tego, prawie zapomniałem, a przecież kiedyś to była część mojego życia. Odruchowo złożyłem rozrzucone na fotelu dokumenty. Usiadłem.

– Gdzie Roman?

– Leży u nas na reanimacji. Wolski zorganizował wszystko. Przetransportowali go samolotem do Warszawy, później helikopterem do nas. Był jeszcze przytomny, ale chyba podróż dołożyła swoje. Za późno dał znać, za późno zaczęliśmy działać. Mamy tu wszystkie jego badania. Mamy też potencjalnych dawców. Nasi robili, co mogli, nic nie wychodzi. Tam też robili wszystko, co było możliwe. To Wolski wpadł na pomysł, żeby się z tobą skontaktować. Ja sam chyba nie odważyłbym się nigdy do ciebie w tej sprawie zadzwonić... – mówił coraz ciszej.

– Gdzie Wolski?

– Pewnie czeka na twój telefon. Prosił, żebyś zadzwonił do niego bez względu na porę.

Wykręciłem dobrze mi znany numer telefonu.

– Michał! O Boże, chłopcze, jak się cieszę! Wiedziałem, że nie odmówisz... W tobie cała nadzieja. Wierzę, że coś wymyślisz. To, co tam robisz, jest genialne... Znam na

pamięć wszystkie twoje publikacje – profesor mówił jak nakręcony. – Dzwonił Muller, denerwował się już trochę, że tak długo jedziesz. On chyba zapomniał, że u nas jeździ się wolniej. Wyliczył sobie, że powinieneś być najpóźniej o pierwszej. Wpadł w panikę, że coś ci się stało. Mówił, żeby ci przypomnieć, że możesz skorzystać z waszych pracowni. Dam mu znać, że jesteś... – Podejrzane było to pobudzenie profesora. – Weź ze szpitala wszystkie wyniki i przyjeżdżaj do mnie. Moja żona przygotowała ci pokój.

– Nie chciałbym przeszkadzać – próbowałem oponować. – Robert coś wspominał, że zarezerwował mi pokój w hotelu.

– Robert chce cię wysłać do hotelu? – Wolski był wzburzony. – Powiedz mu ode mnie, że się chyba ostatnio odrobinę przepracował.

Nie rozmawiałem właściwie z Robertem. Coś nam się ta rozmowa nie kleiła. Robert był spięty, zdenerwowany, a może po prostu zmęczony. Próbował mnie za coś przeproszać. Nie mogłem w ogóle zrozumieć, o co chodzi. Spieszyłem się do Wolskiego. Chciałem uściskać starego, chwilę odpocząć, wypić kawę i zabrać się do pracy. Przygotowali mi segregator z wynikami badań Romana.

Wolski przywitał mnie w drzwiach. Widziałem go stosunkowo niedawno, a miałem wrażenie, że bardzo się postarzał. Nagle, jakby w ciągu paru miesięcy przybyło mu kilka lat.

– Dobrze, że jesteś. Byłem pewny, że przyjedziesz – uściśnął mi mocno dłoń.

– Co tak długo jechałeś, Michasiu? – Poza żoną profesora Wolskiego nikt na świecie mnie tak nie nazywał. Nawet wtedy, przed laty, kiedy osiągnąłem dno, nadal byłem dla niej „Michasiem”.

– Nie wyruszyłem od razu. Ale potem, mimo paskudnej pogody, starałem się jechać szybko.

Wolski przyglądał mi się jakoś dziwnie.

– Zastanawiałeś się pewnie, czy powinieneś? – spytał cicho.

– Nie, ani przez chwilę... Prasowałem koszule. Wróciłem rano z Rzymu. Musiałem cokolwiek wrzucić do torby.

Na twarzy Wolskiego pojawił się szeroki uśmiech. Ulżyło staremu.

– Wiesz, Michał, my nigdy nie mieliśmy dzieci. Na początku pojawił się w mojej klinice Roman. Przyszedł zbuntowany, obrażony na cały świat, wyklęty przez profesorostwo Sosnowskich tylko dlatego, że nie chciał iść śladami ojca. Dzień wcześniej na radzie wydziału rozmawiałem z profesorem Sosnowskim. Był wściekły na syna. Zaraz po dyplomie Roman wyprowadził się z domu. Stary Sosnowski wykrzykiwał, że jeszcze wróci, że jeszcze poprosi o pomoc, że bez tego wszystkiego, co mu wcześniej zapewniali, nie będzie umiał żyć. Następnego dnia Roman zjawił się u mnie. Pamiętam naszą pierwszą rozmowę, słowo w słowo, tak jakby to było wczoraj. Mówił o tym, że chciałby spróbować, że zawsze marzył o chirurgii... Bał się, że jako lojalny przyjaciel jego ojca celowo będę mu utrudniał karierę i nie przyjmę go do pracy w mojej klinice – profesor mówił wolno. Nie słyszałem nigdy wcześniej tej historii. – Zaimponował mi. Młody człowiek, który wiedział, czego chce, który zostawił wszystko, żeby być sobą. I miał rację. Popatrz, minęło niewiele lat i został najmłodszym doktorem habilitowanym naszej uczelni. Jest dla nas trochę jak syn... – mówił coraz ciszej. – Na początku było mu bardzo ciężko.

Jak wszyscy, dorabiał gdzie popadło do pensji akademickiego asystenta. Jeździł w pogotowiu, dyżurował w innych szpitalach... Później zaczęło mu się wieść – zrobił specjalizację, obronił doktorat, za nowatorskie pomysły badawcze dostał stypendium naukowe Wiedeńskiej Akademii Nauk, parokrotnie był na stypendiach zagranicznych... Kiedy spotkaliście się, miał już pewną pozycję na uczelni, ustabilizowaną sytuację materialną, ale ja go pamiętam z czasów, kiedy nie miał na obiad – profesor mówił powoli, cedząc każde słowo. – Później pojawiłeś się ty. Tak inny, a zarazem tak podobny. Niesamowicie zdolny chłopak z małej, zapomnianej przez Pana Boga wioski. Życie jest przewrotne... Poplątało się wam to wszystko. Pech, Romek wyjechał do Splitu, ty mieszkasz i pracujesz w Niemczech. A teraz to nieszczęście... – Wolski mówił coraz ciszej. – Roman zadzwonił do mnie przed tygodniem. Ostatnio odzywał się dziwnie rzadko. Powiedział, że chciałby wrócić do Polski. W pierwszej chwili go nie zrozumiałem. Powiedział, że chciałby umrzeć w Polsce... – profesor zamilkł. Z trudem powstrzymywał łzy. Wstał gwałtownie. Ruszył w kierunku drzwi. – Przepraszam, przerwijmy teraz tę rozmowę. Nie mogę...

Siedziałem w pustym pokoju, próbując zebrać myśli.

– Michasiu, przygotowałam ci spanie w gabinecie męża. Tam masz wszystko, czego potrzebujesz...

– Dziękuję.

Znałem dobrze gabinet Wolskiego – biblioteczka, komputer, Internet, telefon, faks... Na początek powinno wystarczyć.

Nie otwierałem jeszcze teczek z dokumentami. Wiedziałem, że w tej chwili to nie ma sensu. Czułem się potwornie zmęczony. Wczoraj rano byłem jeszcze w Rzymie. Tuż przed odlotem zrobiłem tę parę obiecanych Mullerowi zdjęć. Chodziło o kamienny odcisk stopy Chrystusa w kościele Quo vadis Domine. Od tamtej chwili minęło dwadzieścia godzin, a ja miałem wrażenie, że całe lata. Zasnąłem tylko na chwilę, ale to wystarczyło, żeby obudzić się rześkim. Za oknami wstawał powoli nowy dzień. Spowite w poranną mgłę miasto budziło się ze snu. Otworzyłem okno. Ostre powietrze wdarło się do środka. O ósmej zadzwoniłem do Mullera.

– Peter, odebrałeś mój faks? Wysłałem ci go o szóstej rano. Na pierwszy rzut oka fatalna sprawa – mówiłem szybko, nie mogąc ukryć zdenerwowania. – Początkowo, pewnie przez dłuższy czas, powolny, skryty przebieg choroby, teraz już praktycznie błyskawiczny, prawie żadnej remisji po chemioterapii, dziwna konfiguracja antygenów, bardzo rzadka grupa krwi... Trudności w dobraniu krwi nawet do transfuzji. Każda kolejna transfuzja pogarsza tylko sytuację. Coraz więcej przeciwciał... Coraz trudniej... Transfuzje są już tylko paliatywne. Koszmar. Na alloprzeszczep nie ma co liczyć. Wszystko dzieje się za szybko... Przed jakąś godziną dzwoniłem na oddział. Jest nieprzytomny. Stan ciężki, relatywnie stabilny – starałem się mówić w miarę spokojnie. – Spróbuj to przepuścić przez nasze programy komputerowe. Może jednak coś przeoczyłem...

– Nie przeoczyłeś – przerwał mi Muller. – Przepuściłem to już dwukrotnie przez program. Nie da się. Nawet gdyby zdarzył się jakiś cud, to wymagałoby później takiej immunosupresji, że i tak...

– Chciałeś powiedzieć, że i tak nic z tego?



– Tak, chciałem powiedzieć dokładnie to. – Był rzeczowy, chłodny, dobrze ukrywający wszelkie emocje. – Wysłałem te dane do naszego banku danych. Czekam na odpowiedź. Może uda się znaleźć dawcę u nas albo w Szwajcarii. Wysłałem też zapytanie na Węgry. Tam mają statystycznie więcej tej grupy krwi, ale niestety, nie mają banku danych. Nim oni cokolwiek znajdą, to już dawno nie będzie po co. Reigner spróbuje pobawić się tym, co mamy, i nietypowymi cytostatykami. Potrzebujemy jeszcze paru godzin – mówił matowym, pozbawionym emocji głosem.

Zapadło milczenie. Wszystko chyba zostało już powiedziane.

– Michael, jesteś tam? – głos Mullera zabrzmiał cieplej. – Słuchaj, jesteś naukowcem, bardzo dobrym naukowcem, na emocje będziesz miał jeszcze czas. Emocje przeszkadzają, blokują, paraliżują. Nie myśl, że tracisz przyjaciela. Myśl, do diabła, co można jeszcze zrobić. Zapomnij o wszystkim, co was łączyło. Nie myśl o nim, myśl o problemie.

Wiedziałem dobrze, że ma rację. Pacjent X – trzydzieści osiem lat, bez żadnej istotnej przeszłości chorobowej, przed sześcioma miesiącami po raz pierwszy gorączka o nieustalonej pierwotnie etiologii, osłabienie, bóle mięśniowe i stawowe, ubytek masy ciała, poty nocne... Pacjent X... Roman... Roman operujący... Roman uczący mnie pierwszych kroków w chirurgii... Roman tańczący z Katarzyną... Roman na nartach... W tej gonitwie myśli i przesuwających się przed moimi oczyma obrazów coś zaczęło dręczyć i powracać. Romek na nartach, pechowy sylwestrowy zjazd, wypadek na nartostradzie, operacja, rozmowa Romana z Katarzyną – „Kasiu, udało się. Sam nie mogę w to uwierzyć, ale udało się i Bogu dzięki, że ja mam tę samą co on grupę krwi. Nie było to może zbyt rozsądne operować po oddaniu krwi, ale nie miałem innego wyjścia...”.

Podniosłem słuchawkę. Wykręciłem numer.

– Peter, chyba mam – mówiłem spokojnie, rzeczowo. – Masz w komputerze moje badania okresowe. Pamiętasz, robiliśmy niedawno takie dokładne badania. Była tam grupa krwi, podgrupy, antygeny zgodności tkankowej i dziesiątki jeszcze innych pozornie zupełnie niepotrzebnych rzeczy. Mówiłeś, że nigdy nie wiadomo, kiedy to może się przydać, że zawsze lepiej to mieć, biorąc pod uwagę podwyższony poziom ryzyka w tym zawodzie. Puść to, proszę, przez program.

– Poczekaj.

Trwało to całą wieczność. Cisza z drugiej strony, monotonne tykanie zegara w gabinecie Wolskiego.

– Bingo, Michael! Znalazłeś! A nie mówiłem, że ty to masz łeb...

\* \* \*

Wolskiego znalazłem w salonie. Siedział w fotelu, wpatrzony w okno. Gdy wszedłem do pokoju, zaczął udawać, że właśnie wertuje poranną gazetę. Unikał mojego wzroku. Mówił w przestrzeń gdzieś daleko za moimi plecami.

– Zjedz coś, Michał! Ania wyszła na chwilę. Poszła do kościoła. Codziennie chodzi się za niego modlić... Śniadanie masz w kuchni na stole. Odpocznij! Wiem, że prawie nie spałeś – mówił monotonnym głosem. – Dzwonił do mnie Peter. Wiem, że przesłałeś mu najważniejsze dane. Wiem, że się nie da. Medycyna jest jedna, różne bywają tylko

możliwości, ale jak czegoś nie można, to nie można – mówił cicho. – Peter będzie jeszcze szukał, ale nie zostawił mi zbyt dużo nadziei...

– To już dawno nieaktualne – przerwałem mu. – Mamy dawcę. Pasuje idealnie. Zgadza się wszystko: grupa krwi, czynnik Rh, podgrupy, antygeny zgodności tkankowej... Młody, zdrowy, bez istotnej przeszłości chorobowej, bez chorób przewlekłych, niezażywający żadnych leków, bez cech infekcji, nieuzależniony od narkotyków ani od alkoholu... No, palący, ale z tego, co wiem...

– Papierosy są tu bez znaczenia... – wtrącił Wolski.

Teraz już na mnie patrzył. Próbował chłonać każde słowo, jakby się bał, że wszystko okaże się nieprawdą, że musi być w tym jakiś ukryty haczyk, jakiś błąd.

– Peter przesyła właśnie badania dawcy z badaniami zgodności do kliniki hematologicznej. Teraz czas na pana, panie profesorze. My tu już nic więcej nie możemy. Reszta należy do pana.

Nie musiałem mówić nic więcej, Wolski stał już w płaszczu. Nie wyszedł od razu. Zatrzymał się tuż przy drzwiach.

– Ale skąd wiecie, że ten ktoś się zgodzi? Przygotowanie przeszczepu kosztuje olbrzymie pieniądze. Nim uruchomię tę całą maszynę, muszę przedłożyć pisemną zgodę dawcy...

Podszedłem do sekretarzyka. Z leżącej papeterii wyjąłem kartkę papieru.

„Ja niżej podpisany wyrażam zgodę...” Wolski przyglądał mi się z narastającym zdziwieniem.

– Nie wszystko pan wie, panie profesorze. My z Romkiem też mieliśmy swoje tajemnice.

\* \* \*

Czułem się jakoś dziwnie po tym wszystkim. Nie chciałem zostać po pobraniu szpiku na noc w szpitalu, choć może powinienem. Wolski twierdził, że lekarz zawsze jest fatalnym pacjentem, ale ja nie czułem się chory ani osłabiony. W każdym razie nie tak, jak on myślał. Może trochę bolało mnie miejsce wkłucia w talerz kości biodrowej, drażnił wenflon, na wszelki wypadek zostawiony jeszcze do jutra w ręce. Położyłem się w ubraniu. Przyciemniłem światło, próbowałem zasnąć. Byłem u niego rano. Musiałem go zobaczyć. Oddział reanimacyjny – cisza gorsza od krzyku, bezszelestna praca monitorów: tętno, temperatura, ciśnienie krwi, akcja serca, saturacja, cichy, monotony rytm pracy respiratora, ściana automatycznych strzykawek umożliwiająca mu jeszcze życie, od czasu do czasu złowrogi dźwięk alarmu... Zaostrzone rysy twarzy, na czole krople potu, przerażająca bladość warg... Roman... Obraz wracał jak bumerang. Przewracałem się z boku na bok. Nie mogłem zasnąć. Usłyszałem ciche pukanie.

– Śpisz? – Wolski stanął w półotwartych drzwiach.

– Jakoś nie mogę zasnąć...

Chyba tylko na to czekał. Wszedł. Usiadł w fotelu.

– Co w klinice? – spytałem.

– Stabilnie – odpowiedział spokojnie. – Wszystko wymaga czasu... Ja mam nadzieję...

Annie jest łatwiej, ona wierzy, nadal walczy, modli się. Zawsze mówiłem, że tym, którzy wierzą w Boga, jest chyba łatwiej... – zamilkł jakby w pół zdania.

Milczenie przedłużało się. Wydawało mi się, że przysnąłem na chwilę. Obudził mnie głos profesora.

– Michał, musimy jeszcze o czymś porozmawiać – zaczął niepewnie. – Kiedy organizowałem przewiezienie Romka do Polski, poprosiłem Roberta, by do ciebie zadzwonił. Ja dzwoniłem wcześniej wiele razy, ale nie udało mi się z tobą skontaktować. Teraz już wiem, że byłeś w Rzymie – mówił cicho, spokojnie. – Najłatwiej mi było poprosić Roberta. Wiedziałem, że często gadacie przez telefon. Nie chciał, twierdził, że to nie ma żadnego sensu, że ty i tak nie przyjedziesz, że na pewno nie dla Romka... Kiedy zacząłem go mocniej naciskać, przyszedł do mnie do kliniki. Przyniósł wtedy to – widziałem, jak Wolski kładzie coś na stoliku. – Twierdził, że zniszczysz go, kiedy się o tym dowiesz, że to jego straszny błąd sprzed lat... Prosił, żebym to ja zdecydował, co z tym zrobić. Nie wiem, czy dobrze robię, dając ci to. Może to niepotrzebne wywoływanie cieni przeszłości. Nikt lepiej ode mnie nie wie, jak było ci wtedy ciężko – mówił, ważąc każde słowo. – Nikt nie wie, co jest w środku – zamilkł na chwilę. – Sam musisz zdecydować, co z tym zrobisz. – Podniósł się powoli. Zapalił lampkę. – Ja bym chyba jednak nie czytał. Nikt i nic nie może cofnąć minionych lat.

Wyszedł. Podszedłem do stolika. Na blacie leżał spięty gumką plik kopert. Listy... Staranne pismo, charakterystyczne, lekko w lewo pochylone litery. Listy od Katarzyny... Listy z Chorwacji, datowane tuż po moim wyjeździe do Niemiec. Parę listów pisanych w krótkich odstępach czasu. Skąd one, do diabła, wzięły się u Roberta? Nagle przypomniałem sobie wszystko. Wyjeżdżając do Niemiec, oddałem klucze od wynajmowanego mieszkania. Na poczcie zostawiłem adres Roberta z prośbą o przesyłanie ewentualnej korespondencji. Nigdy ponoć nie przyszedł żaden list... Usiadłem w fotelu. Zacząłem bezmyślnie przekładać koperty. Co to mogło znaczyć? Co jest w środku? Nie odzywała się do mnie przez wiele miesięcy. Nawet nie wiem, czy wiedziała, że istnieję nadal gdzieś obok niej. Później nagle zaczęły przychodzić te listy. Poczułem się jakoś dziwnie. Otworzyłem drzwi tarasu. Do pokoju wdarł się wieczorny chłód. Wolski powiedział, że on by nie czytał tych listów. Otworzyłem pierwszą kopertę.

*Michał,*

*byliśmy dzisiaj w Plitvicach. Przepiękne miejsce na ziemi. Wody rzeki Korany, powodując erozję wapiennych skał, utworzyły w naturalny sposób zespół kilkunastu jezior, położonych na różnej wysokości, połączonych ze sobą kaskadami spadających wodospadów. Wyobraź sobie wszechobecny huk spadającej z wysokości wody, krople rozpryskiwane w tysiące kolorowych blasków, unoszącą się w powietrzu tęcza mgłą... To raj na ziemi. Kilka kilometrów drewnianych pomostów umożliwia pieszą wędrówkę tuż nad taflą jezior otoczonych przepiękną, soczystą zielenią lasów, a wilgotne, tajemnicze jaskinie zamieszkują setki nietoperzy. Ale nie to jest najważniejsze... Najważniejszy jest kolor wody. Wapienne podłoże sprawia, że kolor wody jest niesamowity. Woda mieni się w słońcu wszelkimi odcieniami błękitu i zieleni – błękitna w pełnym słońcu, turkusowa w półcieniu, szmaragdowa w cieniu drzew. Duże czerwone*

*ryby, pływając w wodzie, zdają się jakby zawieszane w niewidocznej, przezroczystej cieczy. Gdy podziwiałam ten cud natury, nagle przed oczyma stanęło mi zupełnie inne jezioro, daleko stąd. Wtedy też był słoneczny, przepiękny, leniwy dzień. Jezioro otoczone było ze wszystkich stron lasem, nęciło turkusową taflą wody, w świetle zachodzącego słońca drzewa rzucały długie cienie... Jezioro Turkusowe na wyspie Wolin... Ty i ja... Nasze wakacje...*

Przestałem na chwilę czytać. Tak, pamiętam – Jezioro Turkusowe, wyspa Wolin, nasze wakacje... Niesamowity kolor toni, Kasia wskakująca w podkoszulku do wody, tysiące kropli lecących w stronę nieba, błyszczących jak drobinki bursztynu w promieniach zachodzącego słońca, małe ognisko rozpalone na brzegu, którego blask tańczył na dziesiątkach małych fal marszczących powierzchnię jeziora, karimaty wyniesione przed namioty, letnie niebo usiane tysiącami gwiazd... Spadający meteor i głośno wypowiedziane przez Kasię życzenie: „tak jak teraz niech będzie już zawsze”. Obrazy przesuwające się przed moimi oczyma były wyraziste i ostre, jakby to było zaledwie wczoraj.

Zacząłem czytać dalej.

*Wtedy zaczęłam tęsknić. Nie mogłam uwolnić się od tego uczucia. Nagle przestało mieć znaczenie to, co tu i teraz: stojący obok Romek, nasze plany na popołudnie, przechodzący obok turyści, czekający na nas na parkingu chorwaccy znajomi... Wspomnienia to wspaniała rzecz. Tego nikt nie może nikomu zabrać. Na to, co było, terażniejszość nie ma żadnego wpływu. Przeszłość żyje własnym życiem gdzieś w środku, wewnątrz nas. We wspomnieniach będziesz zawsze taki jak dawniej...*

Oderwałem wzrok od drobno zapisanej kartki. Gdzie właściwie jest teraz Kasia? Intrygowało mnie to cały czas. Kiedy jechałem tutaj, miałem różne obawy, ale chyba najbardziej bałem się spotkania z Katarzyną. Bałem się swojej reakcji. W tamtym niemieckim świecie nauczyłem się ukrywać emocje. Z czasem uwierzyłem nawet, że ich nie mam. „Jak długo nie masz emocji, jak długo zachowujesz dystans, nikt ci nie jest w stanie zaszkodzić, nikt cię nie urazi, nie skrzywdzi...” – uczył mnie kiedyś Muller. „Na emocje mogą pozwalać sobie tylko najsilniejsi” – dodawał. Przed laty nie należałem do silnych. Pamiętałem dobrze, jak mnie zmiotło, jak długo nie mogłem się pozbierać. Bałem się spotkania z Katarzyną. Bałem się, że tym razem mogę się już nie podnieść... Zupełnie niepotrzebnie – Kasi tutaj nie było. Nikt nie wypowiedział nawet jej imienia. Jakby ona nie istniała już w tej rzeczywistości, nie należała do tematu „Roman”. Przesunąłem wzrok po kartce.

„We wspomnieniach będziesz zawsze taki jak dawniej...”, „taki jak dawniej...” – przeczytałem jeszcze raz. Taki jak dawniej, czyli... Usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Profesorowa weszła z tacą w dłoni.

– Michasiu, chcesz tutaj kawy czy napijesz się z nami w salonie? – Spojrzała na rozerwaną kopertę, na list w mojej dłoni. – Jednak czytasz... – powiedziała cicho. – Byłam pewna, że będziesz czytał... – postawiła tacę na stole. Przymknęła za sobą drzwi.

Popatrzyłem uważnie na daty na kopertach. List musiał przyjść krótko po moim

wyjeździe do Niemiec.

W wspomnieniach jesteś zawsze mój... Nie chcę pamiętać tego, co było potem. Tamten dzień podzielił wszystko na wcześniej i potem. Pamiętam, staliśmy naprzeciw siebie, korytarz na uczelni, obok nas dziesiątki obcych ludzi. Liczyłeś się tylko ty. Liczyło się tylko to, co ty powiesz.

– Kochasz go? – Spytałeś z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy, wzrokiem błędząc gdzieś daleko za moimi plecami.

– Nie, pokochać mogłabym tylko kogoś takiego jak ty – powiedziałam. Powiedziałam, że cię kocham, a ty pozwoliłeś mi się odwrócić i odejść. Szłam wolno krok za krokiem, wierząc, że mnie zawołasz, że mnie dogonisz, że będziesz walczył o mnie, o nas. Nie dogoniłeś mnie, nie zawołałeś, nie zadzwoniłeś. Nie powiedziałeś nawet, że jesteś już wolnym człowiekiem. Tylko po to, żeby się ze mną nie spotykać, zmieniłeś grupę na parę ostatnich tygodni studiów, żeby nie musieć mnie widywać, przestałeś chodzić na wykłady... Nagle przestałam się liczyć. Nagle przestałam cię zupełnie interesować. Nie zjawiałeś się nawet na rozdaniu dyplomów. Nie wierzyłam temu, co mówił Wolski, nie byłeś chory. Często, niby przypadkiem, mówiono przy mnie o tobie.

– Michał ma znowu nową lalę... Odkąd Michał jest wolny, przeleciał już połowę dziewczyn na naszym roku... Michał pije... – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Kasia, otrząśnij się. Naprawdę nie ma czego żałować – tłumaczył mi Robert. – Ten facet się już nie liczy. Degenerat, mniej niż zero...

Nie chciałam mu wierzyć. Wtedy zaproponował mi to nagranie. Spotkał się z tobą w jakiejś knajpie. W kieszeni miał dyktafon. Jakość nagrania była idealna. Nie mogłam mieć żadnych wątpliwości. Twierdził, że wypięś na tyle dużo, że nawet nie zauważyłeś leżącego na stole dyktafonu. Słuchałam tego dziesiątki razy. Nigdy tego nie zapomnę: „Bzdura! Słyszysz?” – To byłeś ty, to był na pewno twój głos, nikt tego nie sfingował i nie podrobił. – „To wszystko jest totalną bzdurą! Przeszło, minęło. To nie mogło być nic wielkiego, skoro rozplynęło się we mgle po jednej wspólnej nocy. Nie znasz słowa: «pożądanie»?”. Nie mogę, nie potrafię tego zapomnieć. To wraca i wraca w kółko, bez końca. Dzisiaj było podobnie. Plitvice i nagle te cudowne wspomnienia znad Jeziora Turkusowego. Pięć minut później zniknęło wszystko – „Przeszło, minęło. To nie mogło być nic wielkiego, skoro rozplynęło się we mgle po jednej wspólnej nocy...”

Nie mogłem uwierzyć w to, co czytałem. Trzęsły mi się ręce, w uszach słyszałem pracę własnego serca, czułem dziwny ucisk w klatce piersiowej, łzy pod powiekami, ścisk w gardle... Boże, Kasia, Kasieńka... Ależ ja byłem idiotą.

Udało mi się przeżyć ten czas dzięki Romkowi. On wiedział wszystko, nie oceniał i o nic nie pytał. Wysłałam mu SMS-a tamtego dnia po południu. Był nad ranem. Przerwał wykład, przejechał prawie dwa tysiące kilometrów w kilkanaście godzin. Nie spałam. Słyszałam, jak puka. Drzwi otworzyła mu zaspana Honorata.

– O Boże, Roman, czy ty wiesz, która godzina? Ja dzisiaj rano mam komisyjne

zaliczenie i niestety, to nie ty jesteś w komisji – narzekąca, wpuszczając go do środka.

– Ja tylko na chwilę, muszę porozmawiać z Katarzyną.

– Obawiam się, że pomysł nie należy do najlepszych – Honorata rozbudziła się już na tyle, że zaczęła walczyć o moją prywatność. – Kasia po południu nie chciała z nikim rozmawiać. Nie wychodziła z pokoju. Nie jadła, nie piła...

– W porządku, rozumiem. To nie będzie rozmowa. To będzie mój monolog – Roman próbował rozładować narastające napięcie. – Honorata, nie wygłupiaj się. Po otrzymaniu wiadomości od Kasi przerwałem wykład. Jechałem wiele godzin bez postoju. Jeżeli nie należy mi się za to gorąca herbata, to przynajmniej muszę zobaczyć Kasię.

– Herbatę już robię – zreflektowała się Honorata. – Możesz dostać też parę kanapek. Jeżeli chodzi o Katarzynę, to zajrzyj do niej, ale jej nie budź!

Usłyszałam ciche pukanie. Wszedł do pokoju. W świetle padającego z przedpokoju światła widziałam go dokładnie. Nie przebrał się po wykładzie. Nadal miał marynarkę, koszulę, wyprasowane na kant spodnie. Stał chwilę na środku pokoju, jakby zastanawiał się, co ma teraz ze sobą zrobić. Odsunął koc. Usiadł na brzegu łóżka. Ściągnął marynarkę, poluźnił krawat, przeczesał ręką włosy...

– Kasiu – usłyszałam spokojny, ciepły głos – wiem, że nie śpisz. Nie musisz ze mną rozmawiać. Nie musisz nic mówić. Może kiedyś będziesz chciała... Nie teraz, ja wiem... Wszystko wymaga czasu... – przerwał na chwilę. – Kasięńko, pewnie się zdziwisz, ale to wszystko jest moja wina. Zawsze, przez całe życie byłem sam. Nigdy nikt się mną nie przejmował i ja niespecjalnie miałem okazję nauczyć się opiekować innymi – mówił wolno. – Przed ponad dwoma laty spotkałem ciebie. To najcudowniejsza rzecz, jaka zdarzyła mi się w życiu. Nagle wszystko nabrało wyraźniejszych barw, żywych, intensywnych kolorów. Odruchowo wymawiane wyświechtane słowa nabrały nowych, wcześniej zupełnie mi nieznanymi znaczeń. Odmieniłaś cały mój świat... Nic i nikt nie jest w stanie tego zmienić. Dzisiejszy dzień nie ma na to żadnego wpływu. Wielu rzeczy muszę się od ciebie nauczyć. Kolejny już raz potrzebowałeś mnie, a mnie nie było. Byłem daleko stąd, zajęty obcymi dla ciebie sprawami. Muszę wiele zmienić w moim życiu. Zawsze szedłem prosto do wytyczonego celu. Ten cel był najważniejszy, liczył się tylko on. Od wczesnego dzieciństwa miałem tylko jedno obsesyjne marzenie, chciałem przyćmić moich rodziców, chciałem być od nich lepszy. Dziś zdałem sobie sprawę, że ten stary cel już od dawna nie jest najważniejszy. Że nie ma żadnego znaczenia, kiedy uzyskam habilitację – w tym roku, za rok czy za dwa lata... To nie jest dla mnie teraz najważniejsze. Powinienem być tu być. Wiedziałem, że ten blok z psychiatrii będzie dla ciebie wyjątkowo ciężki. To zawsze jest szok dla każdego. Tak odmienny od innych dział medycyny... W tym trudno się znaleźć, trudno się z tym pogodzić... Nikt nie był w stanie przewidzieć, że ciebie spotka coś jeszcze, że ten chory chłopak zobaczy w tobie swoją ukochaną dziewczynę... Marek, ten asystent z psychiatrii, jest moim kolegą z roku. Prosiłem go, żeby na ciebie uważał. Gdy zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, był przerażony. Mówił, że nie przewidział, że sam się bardzo przestraszył, że upadłaś, że się uderzyłaś, że płakałaś, że nie mogłaś się uspokoić... Powiedział mi, że pojechałaś z Michałem do domu – mówił spokojnie. – Michał był niezawodny jak zawsze. Twój anioł stróż, zawsze pod ręką, zawsze we właściwym miejscu i o właściwym czasie – mówił bez

*cienia ironii czy złości. – To wszystko moja wina. Nie powinienem był teraz wyjeżdżać. Popatrz, Kasiu, ty nawet nie miałaś kluczy do mojego mieszkania. Tyle razy chciałem ci je dać, tyle razy rozmawialiśmy o tym...*

*Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie pogłaskać po włosach, ale cofnął ją natychmiast. Nie był pewny, czy może, czy powinien, czy wypada w tej sytuacji... Nie mówił nic więcej. Przesiedział w fotelu przy łóżku do rana. Gdy wychodził, usłyszałam, jak mówił do Honoraty:*

*– Powiedz Kasi, że zadzwonię po południu. Może chciałaby gdzieś pójść...*

*Chciałam – do kina, teatru, na basen i w dziesiątki innych miejsc, gdzie nie trzeba rozmawiać i gdzie można choć na chwilę zapomnieć.*

*Boże, Kasia... Otworzyłem drzwi, wyszedłem na taras. W tym liście był jeszcze dopisek:*

*To Romek powiedział mi, że powinnam do ciebie napisać, że to, co było piękne, takie pozostanie, i że może ty też za czymś albo za kimś tęsknisz.*

*Tęskniłem, tęskniłem cały czas. Przez wszystkie te lata zasypiałem i budziłem się z obrazem Katarzyny przed oczyma. W mojej sypialni wisiało jej duże zdjęcie z wyborów miss uczelni. Wyjąłem je kiedyś potajemnie z gabloty w akademiku. Na biurku w pracy stało zdjęcie z uczelnianego tableau. Kiedyś dostałem od Petera skórzaną ramkę na to zdjęcie.*

*– Nie wiem, kto to jest dla ciebie – powiedział wtedy. – Musi to być jednak ktoś wyjątkowy.*

*I była dla mnie kimś absolutnie wyjątkowym.*

*Wróciłem do pokoju. Spojrzałem na daty na kopertach. Otwarłem następny list.*

*Michał,*

*mamy za sobą cudowny dzień. W naszej drodze do Splitu pojechaliśmy dzisiaj nad rzekę Krka. Wyobraź sobie zimną górską rzekę, wijącą się pomiędzy głazami, szukającą sobie miejsca, rozlewającą się gdzieś pomiędzy skałami w cudowne zakola tylko po to, żeby za chwilę runąć z nową siłą w dół, przelewając się przez kamienne progi i kępy traw, spływając w dół dziesiątkami małych wodospadów i kaskad, których białe grzywy odcinają się wyraźnie od soczystej zieleni. Pozazdrościłam młodym Chorwatom, którzy szaleli, podpływając pod spadające z góry kaskady wody. Woda była lodowata. Romka nie udało się namówić na kąpiel. Patrzył rozbawiony, jak próbuję się zmierzyć z chłodem i rwącymi strumieniami. W pierwszej chwili koszmar, ale za chwilę było już cudownie. Nurkowałam pod spadającą z góry ścianą wody. Po drugiej stronie tej huczącej tafli w skalnej zatoczce było cicho i spokojnie. Cudowne miejsce, jeszcze jeden raj na ziemi. Musisz tu kiedyś przyjechać... Musisz to kiedyś zobaczyć...*

*Przerwałem czytanie. Zamknąłem oczy. Spróbowałem sobie to wyobrazić: błękitne chorwackie niebo, słoneczny ciepły dzień, świat kontrastów – błękit nieba, zielen drzew,*

biel skał, migotliwe srebro pędzącej rzeki... Wszystko rozświetlone blaskiem słońca, pogodne, ciepłe. Katarzyna w jakiejś letniej zwiewnej sukience... Katarzyna zsuwająca z nóg sandały... Stopy Kasi w wodzie... Uniesiona w górę sukienka... Wchodzi powoli... Zatrzymuje się, zrzuca sukienkę, rzuca się po swojemu w nurt wody, wzbijając w górę setki małych kropel... Kaskady wody i małe wodospady, szybki nurt, huk spadającej, pędzącej rzeki. Mokre włosy Katarzyny, opadające na ramiona... Zapach rozgrzanego słońcem lasu, zapach świeżej trawy... Poczujęm się, jakbym już tam był, jakbym to widział, jakbym znowu był z Katarzyną. Usłyszałem pukanie do drzwi. Czar prysnął.

– Michał, chciałem ci tylko powiedzieć, że dzwoniłem do szpitala – profesor stał w drzwiach. – Romek zaczął odzyskiwać przytomność – mówił z ulgą. – Podjęli decyzję o śpiączce farmakologicznej. Nie można inaczej, jest jeszcze za słaby. Chyba najgorsze za nami – Wolski mówił z nadzieją w głosie. – Przyjdiesz do nas na kolację? – zapytał. Spojrzał na mnie, na otwarte koperty, na trzymaną przeze mnie w ręku kartkę papieru.

– Chyba nie – odpowiedział sam sobie. – Anna mówiła mi, że jednak czytasz. Byliśmy pewni, że będziesz czytał.

Nim wyszedł, odwrócił się jeszcze na chwilę.

– Michał, ja się nie kładę. Wiesz, jakoś ostatnio nie mogę spać. Będę w salonie. Gdybyś chciał z kimś porozmawiać... – dokończył już znacznie ciszej.

*Musisz tu kiedyś przyjechać! Musisz to kiedyś zobaczyć! Wszystkie cudowne rzeczy w ciągu ostatnich lat odkrywaliśmy razem – wiatr gwizdzący na piaskach wydm w Łebie, galopujące po łąkach konie w Trzęsaczu, wrzosowiska w Pogorzeliczy, lecący tuż nad wodą klucz gęsi na tle rozświetlonego do czerwoności zachodzącym słońcem nieba... Michał wiosną, latem, jesienią i zimą. Michał zawsze i na zawsze. Ale tego już nie ma... To było kiedyś... Michał przyjaciel... To też okazało się grą. Roman pomógł mi przeżyć tę klęskę. Pokazywaliśmy się wszędzie razem. Dla niektórych przecież już od dawna byłam dziewczyną Romana. Dla innych... Za moimi plecami szeptano o twoich sercowych i łózkowych podbojach, nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć mi tego wprost. Romek przychodził po mnie po wykładach, odprowadzał do domu, zabierał do kina, wyciągał na miasto... Gdy byliśmy wśród obcych, trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się, obejmował mnie niby ukradkiem na uczelnianych korytarzach, poprawiał włosy... W zaciszu mieszkania, w kinie, w teatrze było zupełnie inaczej.*

– Kasiu, ja nic nie chcę. Na pewno nie teraz. Ja poczekam – mówił, gdy kiedyś po wyjściu z uczelni nagle puścił moją rękę. – Czas jest najlepszym lekarzem. Nie chcę niczego, co nie jest przeznaczone dla mnie. Nie chcę niczego, czego nie chcesz mi dać. Musimy jakoś przeżyć wspólnie tę zawieruchę – uśmiechał się ciepło, przyjaźnie. – Co nas nie zabije, to nas wzmocni – śmiał się. – Wiesz, jacy będziemy później silni?

Na bal kończący studia poszliśmy razem. Prawie w tym samym czasie ogłoszona została habilitacja Romana. Wszyscy mu gratulowali. Najmłodszy doktor habilitowany w dziejach naszej uczelni.

– Kasiu, wyjedziesz ze mną? – spytał. Od września obejmował katedrę kardiochirurgii w Splicie.

– Przyjadę trochę później – powiedziała cicho.



– Będę czekał, daj tylko znać.

Patrzył na mnie tak jakoś dziwnie, jakby wątpił, czy to prawda, czy aby to później kiedykolwiek nastąpi. Tuż przed balem dostałam od Romana pierścionek – cudowne dzieło weneckich mistrzów, w którym dwa odcienie złota mieszają się ze sobą. Jeden metal wpadający prawie w czerwień i drugi złoty jak promienie słońca przeplatają się ze sobą w cudownie delikatnej oprawie krystalicznie czystego kamienia.

– To na szczęście! Najładniejsza rzecz, jaką mogłem znaleźć dla najcudowniejszej na świecie dziewczyny – mówił ciepło. – Bez zobowiązań – dodał szybko, jakby chciał wyprzedzić moją reakcję.

Oderwałem wzrok od listu. Nie byłem na balu. Widziałem tylko zdjęcia. Robert, jakby mi na złość, zrobił mnóstwo zdjęć Romanowi i Katarzynie. Oglądałem te zdjęcia dziesiątki razy. Katarzyna w długiej sukience szmaragdowego koloru, z falami długich, miedzianych włosów spadających na ramiona... Katarzyna tańcząca z Romanem... Roman wpatrzony w Katarzynę... Roman obejmujący Katarzynę... Wyjąłem portfel. Wyciągnąłem zdjęcie. Kasia unosząca brzegi długiej balowej sukni zbiegała po schodach – czarne buty, ciemne rajstopy, czarne koronkowe rękawiczki, dekolot sukienki wykończony ciemną koronką, złote serduszko na szyi, pasma włosów unoszone przez pęd powietrza, zaróżowione policzki, błyszczące oczy... Kopciuszek uciekający z balu... Oparłem zdjęcie o brzeg lampki. Spojrzałem na list.

Parę dni później Romek wyjechał. Tuż przed wyjazdem przewieźliśmy moje rzeczy do jego mieszkania.

– Kasiu, ja i tak chcę zachować to mieszkanie... Chcę mieć gdzie wracać – mówił spokojnie. – Pomyśl, to zamknie usta wszystkim. Wspólne mieszkanie kojarzy się wszystkim jednoznacznie, nieważne, że ja będę prawie dwa tysiące kilometrów stąd.

Miał rację – prześliczny pierścionek na palcu i jego mieszkanie wystarczyły, żeby nikt mi już nie wyliczał miłosnych podbojów Michała.

Koniec, ani słowa więcej. List został przerwany jakby w połowie zdania. Otworzyłem następną, datowaną kilkanaście dni później, kopertę.

Michał,

po raz pierwszy byłam dzisiaj w Splicie. Duże, malownicze, portowe miasto południowej Europy. Duży port z dziesiątkami przybijających i odpływających promów, łączących stały ląd z wyspami, rzędy palm wzdłuż pałacu Dioklecjana, żar lejący się z nieba, kamienne sfinksy ukradzione przez Rzymian z Egiptu, monstrualnej wielkości pomnik jakiegoś biskupa... Zadziwił mnie pałac Dioklecjana – największy na świecie zachowany zabytek rzymskiej kultury, wybudowany przez cesarza Dioklecjana na przełomie III i IV wieku. Po zdobyciu przez barbarzyńców niedalekiej Salony uciekający mieszkańcy schronili się w olbrzymim pałacu, czyniąc korytarze ulicami, a cesarskie komnaty swoimi mieszkaniami. I tak zostało do dziś. Na terenie rzymskiego pałacu toczy

się normalne współczesne życie. Powiało historią, egzotyką, południem... Widziałam też klinikę Romana, jego mieszkanie i dom... Dom powstał niedawno... Jest cudownie położony, z dala od centrum miasta, z dala od portu. Białe ściany odcinają się wyraźnie od otaczających go skał. Wokół ogród z mnóstwem zieleni, z którego wykute w skale kamienne kręte schody prowadzą bezpośrednio na piaszczystą plażę małej zatoczki. Dom ma duży taras przepchnięty słodkim zapachem rozgrzanych w gorącym słońcu cyprysów, maleńki oliwkowy sad, a wokół budynku rosną pojedyncze kępy wysokich traw. Z tarasu widać atramentowy Adriatyk i jakąś wyspę, której nazwy jeszcze nie zapamiętałam... Nie byłam w środku. Ciągle kręci się tu jeszcze mnóstwo robotników. Dom będzie gotowy za jakieś dwa tygodnie. Za dwa tygodnie tu zamieszkamy... Roman wszedł na chwilę do środka. Później tłumaczył coś robotnikom. Stał jakieś dwa metry ode mnie z rozwianymi włosami, opaloną twarzą, w jasnych spodniach, z podwiniętymi rękawami koszuli. Po raz pierwszy słyszałam go rozmawiającego po chorwacku. Zaskoczył mnie. Wyjeżdżając, zastrzegł się, że będzie mówił tylko po angielsku, że do operacji w ogóle nie potrzeba języka... Nie wiem, o czym rozmawiał z robotnikami, ale początkowe rozbawienie powoli przeszło w zakłopotanie. Pewnie nigdy nie dowiedziałabym się, o czym była ta rozmowa, gdyby nie jeden z robotników, który mówił po angielsku.

– Panie doktorze, niech pan posadzi to drzewko – zachęcał Romana. – To na szczęście... Najpierw piękna kobieta, potem dom, następnie drzewo, a potem syn i wtedy jest się dopiero prawdziwym mężczyzną.

Roman wziął z ręki starszego mężczyzny małe oliwne drzewko, rozejrzył się dookoła.

– Kasiu, może być tutaj? – spytał poważnie, stojąc jakieś dwa metry od balustrady tarasu.

– Może. Tu będzie cudownie...

W Splicie byliśmy tylko przejazdem. To jeszcze nie koniec naszych wakacji.

Dom... Ja też kupiłem swój dom z myślą o Katarzynie. Pamiętam, obejrzałem dziesiątki domów w mieście. Zawsze było coś nie tak – za daleko od pracy, za daleko od centrum, za duży, za mały... Peter zamęczał mnie tym tematem.

„Michael, nie można całe życie mieszkać w wynajętym mieszkaniu. Nie ty i nie mój pracownik... Czemu nie kupisz domu? Dom to pozycja, stabilność, pewność. To zupełnie inne uczucie niż chwilowe tu i teraz... Czemu tego nie zrobisz? – dopytywał się ciągle. – Może ty jeszcze nie podjąłeś decyzji? Jeszcze nie wiesz? Może zastanawiasz się, czy nie wrócić do Polski?” – napierał coraz częściej.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że nie mam ani po co, ani dla kogo, ani do czego wracać. Zacząłem oglądać domy. Ten spodobał mi się prawie od razu. Nie tyle dom, bo ten wymagał wielu przeróbek, ile ogród. Ogród był wspaniały. Najważniejsze były magnolie, trzy wielkie krzewy sięgające swoimi konarami do okien pierwszego piętra. Zauważyłem je od razu. Ulubione rośliny Katarzyny. Pamiętam, Kasia żyła swym śmiesznym rytmem – od kwitnących magnolii do kwitnących magnolii. Zawsze czekała wiosną na tę chwilę. „Patrz, Michał, wczoraj jeszcze szare, smutne, niepozorne, prawie pozbawione zieleni, a dzisiaj usiane przepięknymi, wielkimi bladoróżowymi kwiatami. Niewyobrażalna metamorfoza. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby ktoś nagle przemienił

brzydkiego, brudnego Kopciuszka w piękną młodą dziewczynę idącą na bal. Moja suknia ślubna będzie kiedyś w kolorze magnolii”...

Tak mówiła dawno temu. Jeszcze przed moim idiotycznym ślubem z Martą. Później już nigdy nie rozmawialiśmy o ślubach, ślubnych sukniach czy pannach młodych, ale o magnoliach rozmawialiśmy co roku. W ogrodzie rosły nie tylko magnolie. Z tyłu, za niewielkim stawem obrośniętym tatarakiem, z mnóstwem prawie przez całe lato kwitnących bladoróżowych nenufarów, rozpościerała się wysoka ściana rododendronów. Wiosną niesamowita symfonia barw – od delikatnego różu, przez jasny, prawie błękitem złamany fiolet, do głębokiej bordowej czerwieni... Ten ogród i dom kupiłem z myślą o Katarzynie, chociaż i tak nigdy nie wierzyłem, że kiedykolwiek go zobaczy.

Wstałem, przymknąłem okno. Musiało być już bardzo późno. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Już dawno ucichł miejski gwar. Duże miasto pograżyło się w głębokim śnie. Włączyłem cichutko radio. Sięgnąłem po następną kopertę. Spojrzałem na stempel pocztowy – Omiš. Rozejrzałem się po biblioteczce profesora. Wolski dużo podróżował. Atlas znalazłem bez trudu. Chorwacja... Zacząłem wędrować palcem po mapie. Najpierw były Plitvice – wysoko, prawie jeszcze na północy Chorwacji, później park narodowy rozciągający się wzdłuż rzeki Krka, następnie Split – bardziej w dół na południe, teraz Omiš – jakieś kilkadziesiąt kilometrów poniżej Splitu... O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego przysyłała mi te listy? Czego ode mnie oczekiwała? Czego nie zrobiłem, bo nie miałem szansy zrobić? Nie rozmawialiśmy już wtedy ze sobą od ponad roku. Pamiętam, jak Katarzyna z końcem sierpnia, niemal zaraz po balu absolwentów, zamieszkała u Romana. Miał rację Romek, dla wszystkich było to jednoznaczne. Robert doniósł mi o tym od razu. Dla mnie to też było jasne i proste, nie pozostawiało żadnych złudzeń, żadnej nadziei. We wrześniu Roman wyjechał, Kasia zaczęła pracować na kardiologii, a ja na kardiochirurgii u Wolskiego. Nie mogłem o niej zapomnieć. Brakowało mi jej strasznie, z każdym dniem coraz bardziej. Wszystko kojarzyło mi się z Katarzyną – rzeka, parki, kafejki, gazowe lampy, pasaż, magnolie, kasztany, dorożki, konie, niezapominajki... Moje życie bez niej nie miało żadnego sensu. Patrzyłem w lustro z narastającym z dnia na dzień coraz większym obrzydzeniem. Już dawno nie akceptowałem sam siebie – nocne pijaństwo, poranny kac, później praca, zabiegi, ćwiczenia ze studentami, czasami dyżur. Popołudnia spędzałem pod oknami ich mieszkania, pod jej kliniką. Wieczorem zaczynałem znowu pić. Było mi już wszystko jedno gdzie, z kim i ile. Nie potrafiłem bez niej żyć. Nie mogłem i nie chciałem niczego zapomnieć. Romek dzwonił do profesora systematycznie, czasami parę razy w tygodniu, radził się go, pytał. Nie było mu na początku łatwo – inny kraj, inni ludzie, obcy język, był zbyt młody na stanowisko kierownika katedry... W trakcie naszej oddziałowej wigilii Wolski przeczytał list od Romana. W końcu sobie poradził, był zadowolony, tęsknił, pozdrawiał... Z końcem kwietnia dowiedziałem się od Wolskiego, że Romek przyjeżdża na parę dni do Polski. Nie widzieliśmy się. Nie przyszedł do kliniki, a może był, kiedy mnie tam nie było. Przyjechał po Katarzynę. Postanowili być razem i akceptował to cały świat. Postanowili być razem i akceptował to cały świat oprócz mnie. Parę dni później wyjechali razem do Chorwacji, a mnie zdesperowany Wolski wysłał do Mullera. Spojrzałem jeszcze raz na mapę. Omiš... Małe miasteczko, prawie osada z wpadającą do Adriatyku rzeką.

Michał,

jesteśmy dzisiaj w niesamowitym miejscu na ziemi, bo wszystko, co jest jedyne, z istoty rzeczy jest niesamowite. Omiš... Jedyne na świecie prawdziwe miasto piratów, mała osada wciśnięta pomiędzy morze i skały z uchodzącą do morza górską rzeką, której wody jeszcze na parę kilometrów przed ujściem spadają w dół w kaskadzie olbrzymiego wodospadu. W dawnych czasach zbuntowany szlachcic stanął na czele „republiki piratów”. Piracki proceder trwał parę wieków. Piraci kontrolowali olbrzymi obszar Adriatyku. Niewidoczni od strony morza, z okrętami schowanymi za łukiem wpadającej tu do morza rzeki, czatowali na swoje ofiary. Z czasem powstały dwa zamki. Jeden na dole, tuż przy zakolu rzeki – Mirabela, od imienia dziewczyny wodza pirackiej republiki, drugi na szczycie skał – Fortica. Ten drugi wprost nie do zdobycia. Do dziś dnia wysoko na pionowej skale królują ruiny podniebnej twierdzy. Postanowiliśmy zdobyć Forticę. Zajęło nam to całe przedpołudnie. Wspinaliśmy się ścieżką biegnącą prawie pionowo w górę, ukrytą pomiędzy skalnymi występami. Przedzieraliśmy się przez wysokie trawy, omijaliśmy kłujące kaktusy. Upał był wprost niemiłosierny. W trawach cykały świerszcze. Warto było – z Forticy rozciągał się niesamowity widok na zatokę: błękitne niebo zlewające się na horyzoncie z granatem wody, drobne fale marszczące toń, migotliwie błyszczące w słońcu jak żywe srebro, dziesiątki promów i statków, które stąd przypominały chłopięce zabawki, w oddali na prawo widoczny Split. Roman uparcie czegoś szukał. W załomie muru znalazł krzyż z naklejonym zdjęciem. Wczoraj wieczorem opowiadał nam o tym portier w hotelu. Ten chłopak był stąd, z Omišu. Parę dni temu był jego pogrzeb. Tragedia dla całego miasteczka. Wszedł się pionową ścianą wiodącą do zamczyska. Współzawodniczył z przyjacielem. Ponoć chodziło o jakąś dziewczynę... Ponoć szło o jakiś zakład... Ponoć chodziło o czas... Ponoć wygrać miał lepszy... Chłopak wspiął się od wielu lat. Był nawet zwycięzcą paru konkursów alpinistycznych. Tę walkę obserwowały setki oczu. Podali sobie ręce jak dwaj przyjaciele, uśmiechnęli się, ruszyli wolno, zakładali ekspresy, wpinali liny, a później nagle zaczęło się dziać coś złego, coś niezrozumiałego dla innych, szalonego. Wspinali się coraz szybciej i szybciej, zapominając o rozsądku, o zasadach, o bożym świecie... Na oczach setek turystów i mieszkańców miasteczka dokonała się tragedia. Źle postawiona noga, stracony uchwyt pod ręką, wyrwany kamień spod nóg... Chłopak spadł. Roman słuchał tego wczoraj z dziwnym wyrazem twarzy. Przez moment wydawało mi się, że walczył ze sobą, że chce mi coś powiedzieć. Dziś rano przy śniadaniu postanowiliśmy zdobyć Forticę. Cały czas miałam wrażenie, że to ma jakiś związek z tą tragedią. Tu na górze Romek nie patrzył na zatokę, szukał krzyża. Chłopak na zdjęciu miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat, uśmiechniętą twarz, śniadą cerę, duże, wesołe brązowe oczy...

– Kasiu, ja muszę ci coś powiedzieć – usłyszałam dziwnie zmieniony głos Romana. – Powinienem był ci to powiedzieć już dawno. Próbowałem, nie wyszło... A może słabo próbowałem... Wiem, co przeżył ten chłopak. Ja znam to uczucie... Wiem, co się działo między tymi dwoma... Myślę, że musisz to wiedzieć.

Usiadł na trawie, nie patrzył na mnie, o wiele ciekawsze ode mnie były statki na horyzoncie.

– Myśmy z Michałem też walczyli o ciebie... Myśmy też szukali jakiegoś

rozwiązania... Dwóch zaprzyjaźnionych facetów zakochanych w tej samej dziewczynie. My zagraliśmy w kosza – przerwał na chwilę, jakby czekając na moją reakcję. – Niewinna zabawa, sparingowy mecz dwóch przyjaciół, ale gdy chodzi o uczucia, to nie ma chyba sparingów. Z minuty na minutę narastała w nas agresja, gra stawała się brutalna i nieczysta. Z dziką satysfakcją obserwowałem, jak Michał potrącony barkiem zachwiał się na nogach. Widziałem ten dziwny błysk w jego oczach, gdy niby przypadkiem pchnął mnie na ścianę... Z trudem powstrzymałem się, aby spadając z wysokości, nie uderzyć go. Sędziujący nam pan Marcin był przerażony. Z minuty na minutę było coraz gorzej. Nie liczył się już nikt i nic, żadne zasady i żadne reguły, tylko cel, tylko to, kto zwycięży... Kto zdobędzie ciebie... – Spojrzał na mnie przelotnie, jakby z lękiem. – Myśmy przerwali mecz, oni tutaj poszli dalej...

Romek zamilkł. Milczenie się przedłużało. Siedział wpatrzony w dal, jakby w wyobraźni jeszcze raz przeżywał tamten mecz, tamtą burzę uczuć, tamtą niekontrolowaną agresję, tamten lęk, że nagle stracił kontrolę, że przestał być sobą...

– My ostatecznie podaliśmy sobie ręce – dodał po chwili. – Następnego dnia staliśmy obok siebie przy operacji. Znowu byliśmy kumplami z chirurgii. Znowu byliśmy jak bracia. Postanowiliśmy ze sobą nie walczyć. Czekaliśmy na twoją decyzję. To ty miałaś wybrać...

Nie podniósł wzroku. Nie patrzył na mnie. Zaczął bawić się trzymanym w ręku małym kamieniem.

– Kasiu, trudno mi jakoś o tym mówić...

Koncentrował się już tylko na tym trzymanym w ręku kamieniu. Układał go na wierzchu dłoni, podrzucał w górę, próbował złapać. Podnosił kolejne małe kamyki, podrzucał, łapał... Bawił się, grał...

– Trudno mówić o sobie: „idiota”.

Nieuchwycone w porę kamyki rozsypały się. Echo kamiennego deszczu odbiło się od skał.

– Źle osądziłaś Michała. Myślę, że to wszystko było nie tak. Po tym, co stało się między wami, zostawiłaś go na środku korytarza i odeszłaś... Pomyślał, że wybrałaś... Odsunął się... Zniknął... Nigdy już potem z nim nie rozmawiałem, nie dał mi na to szansy, ale myślę, że z jego strony musiało to właśnie tak wyglądać – dokończył cicho.

Podniósł się z trawy, wyprostował. Ręką niedbale otrzepał spodnie.

– Chodź, wracamy, upał robi się wprost nie do wytrzymania.

Nie ruszył jednak od razu w kierunku ścieżki. Oparł się rękoma o kamienną balustradę oddzielającą zamczysko od stromego urwiska. Patrzył na ścigające się w dole, na wodach zatoki, motorówki.

– Czyżby jeszcze jedni idioci?

Patrzył uważnie na mknące po wodzie łodzie.

– Nie zrozumieliście się z Michałem. W pewnym sensie, zupełnie nieświadomie, Michał zdecydował za nas wszystkich.

Odwrócił się w moją stronę. Nie uciekał już wzrokiem.

– Zróbmy jakiś pożytek z tej męczarni zdobywania Forticy w takim upale – powiedział całkiem wesoło. – Napisz do Michała! On musi tu do nas przyjechać...

Zostały jeszcze tylko dwie koperty. Stemplowane tego samego dnia, obie wysłane z Omišu. Otworzyłem pierwszą. Adres na kopercie napisała Katarzyna, ale ten list nie był od niej. Pismo było mi dobrze znane z księgi zabiegów operacyjnych. List od Romana. Zaledwie parę zdań, jakby napisanych w pośpiechu, jakby pisał, stojąc na poczcie...

*Michał,*

*jesteśmy z Kasią już od paru dni w Omišu. Przed nami jeszcze dwa tygodnie wakacji. Dziewiętnastego czerwca przyjedziemy do Splitu, aby miesiąc później wziąć ślub w katedrze i zamieszkać w naszym domu. Chciałbym być pewien, że to jest to, o czym naprawdę marzy Katarzyna. Chcę mieć pewność, że nie jestem dla Kasi imitacją zupełnie innego faceta. Kocham ją dziwną miłością, w której już dawno wyzbyłem się egoizmu. Zawsze będę ją kochał, bez względu na wszystko, bez względu na miejsce, jakie mi wyznaczy... Będę kochał ją jako mąż... Będę ją też kochał jako przyjaciel... Chcę, by była szczęśliwa. Pamiętasz nasz mecz? W ostatniej chwili go przerwaliśmy. Tu, w Omišu, rozegrała się tragedia. Tacy dwaj jak my też walczyli tu o kobietę, ale oni poszli dalej... Chłopak spadł ze skały. Cóż komu po takiej miłości? Przyjedź! Przyjedź jako przyjaciel, drużba albo pan młody... Przed ponad rokiem źle zrozumiałeś Katarzynę. Młody jesteś, kompletnie nie znasz kobiet. Ona do dziś jeszcze nie wybrała. Pozdrawiam. Romek*

W drugiej kopercie był list od Katarzyny, jeszcze krótszy niż ten od Romana.

*Michał, przyjedź! Bardzo tego chcemy oboje z Romanem. Spotkajmy się w Splicie dziewiętnastego czerwca. Niedaleko portu, na terenie pałacu Dioklecjana jest mała włoska restauracja. Trudno jej nie zauważyć. Ma takie wesołe pomarańczowe markizy, chroniące wnętrze przed nadmiernym dostępem słońca, wiklinowe fotele przy stolikach stojących na zewnątrz i ogromną złotą klatkę z papugą przy wejściu. Będę tam na ciebie czekać o szesnastej. Katarzyna*

To wszystko. Nie było już żadnych nieotwartych kopert, żadnych nieprzeczytanych listów. Nie było tamtego spotkania, nie ma tu teraz Katarzyny. Nikt nie wymówił nawet jej imienia.

\* \* \*

Wolskiego znalazłem w kuchni. Przeglądał poranną prasę, popijając kawę. Spojrzał na mnie znad gazety. Wyglądałem chyba nie za ciekawie – pomięta koszula, wczorajszy zarost...

– Nie kładłeś się – stwierdził odkrywczco. – Weź sobie kawę. Za chwilę będzie śniadanie. Anna, wracając z kościoła, przyniesie świeże bułki. Dzwoniłem do szpitala – głos miał pogodny, prawie radosny.

– I co?

– Spokojnie. Wyniki nie najgorsze. Roman śpi. Jeśli nadal będzie stabilnie, to pod

wieczór spróbują go wybudzić.

– Super!

– Ach, prawie zapomniałem. Dzwonił Muller. Mówiłem mu, że pewnie nie śpisz, ale i tak nie chciał ci przeszkadzać. Prosił, żebyś łaskawie odebrał wysłane przez niego e-maile.

Myślę, że Peter mówił coś jeszcze, bo profesor nie mógł ukryć rozbawienia. Nie pomyliłem się... Cała wiadomość porozdzielana była emotikonami.

*Hallo, Michael, co ty, do diabła, sobie myślisz? – Rysunek uśmiechniętej buzi rzucającej wzrokiem gromy. – Co ty wyprawiasz? Nie odebrałeś mojej wczorajszej wiadomości! Wyłączyłeś nawet komórkę. – Rysunek posępnej twarzy z rogami. – Wiem, że wczoraj był ten dzień, przeszczep i to wszystko, ale w końcu usiadłeś wieczorem na czterech literach i mogłeś zupełnie spokojnie odpalić komputer, zamiast opowiadać bzdety o dupie Maryny.*

„Opowiadać bzdety o dupie Maryny” napisał po polsku. Odkąd się zaprzyjaźniliśmy, Muller pokochał kwiecistość polskiego języka i obrazowość polskich powiedzeń.

*Nie udawaj, że byłeś aż tak zmęczony, że moje maile mogłyby cię zabić. – Jego trudno jest nie kochać, pomyślałem. – Mam nadzieję, że nie będziesz się dzisiaj wylegiwał do dziesiątej. Nie jesteś na urlopie. W życiu nie dałbym ci urlopu na dziesięć dni przed tak ważnym kongresem. To był taki nieplanowany wyjazd służbowy, wspieramy naszą pomocą zaprzyjaźnioną klinikę w Polsce. – Rysunek uśmiechniętej buzi. – Dwa dni w Polsce i już zupełny brak subordynacji? – Symbol twarzy ze zmarszczonym groźnie czołem. – Michał, zapomniałeś, że dzisiaj idzie do druku twoja praca?*

To było już zupełnie poważnie. Faktycznie, zapomniałem. Miałem to poprawiać tego wieczoru, gdy zadzwonił Robert. Później zapomniałem o wszystkim.

*Miałeś to zrobić przed dwoma dniami albo jeszcze wcześniej. Musisz ją skrócić o jakieś dwieście słów. Rusz łbem i popraw to do jedenastej. Jeśli do tego czasu nie dostanę skróconego tekstu, to będę musiał, bez większego zastanowienia, przyciąć wszystko. Zrobię to bez względu na to, jak bardzo później będziesz się wściekał. O trzynastej tekst musi być już w redakcji. Przyjacielskie pozdrowienia. Peter*

Kliknąłem na załącznik. Otworzyła się przygotowana przeze mnie praca.

Odwróciłem się. Rozbawiony Wolski czytał mi przez ramię.

– Niełatwo tobą kierować. Jak widzę, nawet Muller ma pewne trudności – mówił rozbawiony. – Idź na śniadanie! Anna już wszystko przygotowała. Jeżeli pozwolisz, to spróbuję ci pomóc. Czego jak czego, ale publikacji napisałem pewnie w swoim życiu odrobinę więcej niż ty.

Zagadałem się trochę przy śniadaniu. Gdy wróciłem, Wolski kończył czytać.

– Siadaj, Michał! – ustąpił mi miejsca przy komputerze. – Nic tu po mnie. Uczeń już dawno przerósł mistrza.

Nie byłem do końca zachwycony tym, co zostało po tych moich robionych naprędce poprawkach. Wysłałem wiadomość i czekałem na reakcję Mullera. Odpowiedź przyszła błyskawicznie i była zupełnie inna od tej, której się spodziewałem.

*Michael, gratuluje! Cieszę się i jestem z ciebie naprawdę dumny. Otwórz załącznik i pokaż też Wolskiemu. Stary, podobnie jak ja, zawsze w ciebie wierzył. Niech ma tę satysfakcję.*

*PS Tekst wysłałem do redakcji.*

Byłem zaskoczony. Nie miałem pojęcia, o czym pisze. Otworzyłem załącznik. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Dostałem grant akademii nauk na nową pracę badawczą. Pamiętam, jak przed paroma miesiącami stawałem do tego konkursu. Peter przeczytał mój projekt badawczy, wezwał mnie do siebie, po czym wpadł prawie w szal: „Michael, tego, co tu piszesz, nie da się zrobić! To wszystko jest za śmiałe, za nowatorskie, za nowoczesne... Potrzebujesz na to mnóstwa pieniędzy, mnóstwa czasu... Ja wiem, że ty masz niebywałego nosa do programów badawczych i szalony dar przekonywania, ale to nie przejdzie, nikt tego nie kupi, nikt w to nie uwierzy... To nie może się udać... Nie! Nie! I jeszcze raz nie!” – prawie wrzeszczał. „Musisz wymyślić coś innego. Ja nie będę tego firmował. Nie mogę firmować czegoś, w co sam nie wierzę. To podważa naszą wiarygodność”. Nie dyskutowałem z nim wtedy, nie było o czym. Nie wierzył, to nie wierzył, nie chciał mnie wspierać, to nie musiał. Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Nie miałem wtedy najmniejszej ochoty wymyślać czegokolwiek innego. Walka z nowotworami za pomocą genetyki była moją obsesją. Wyszedłem wtedy bez słowa. Nigdy później o tym nie rozmawialiśmy, jakby nie było tego konkursu, jakbym nigdy nie napisał tego programu, jakbyśmy się nie pokłócili. A jednak wysłał...

\* \* \*

– Wychodzisz, Michał? – Wolski wydawał się zaskoczony. – My z Anną wybieramy się po południu do szpitala. Ponoć około osiemnastej spróbują wybudzić Romka. On przecież nawet nie wie, że miał przeszczep, że się udało – mówił ciepło. – Myślałem, że wybierzesz się z nami – dodał niepewnie.

– Jasne, że idę z wami. Będę czekał na was około szóstej pod kliniką. – Widziałem, że mu ulżyło. – Idę się trochę przejść.

– Idziesz do Roberta? – było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Do Roberta też.

Szedłem powoli, noga za nogą. Miałem jeszcze trochę czasu. Dawno tutaj nie byłem. Kiedyś wszystko w tym mieście kojarzyło mi się z Katarzyną – Wisła, parki, urokliwe uliczki, małe kafejki... Nie szedłem w kierunku kliniki. Wiedziałem, że Roberta tam nie ma. Wszedł wcześniej po dyżurze. Umówiłem się z nim telefonicznie na mieście. Nie



bronił się przed tym spotkaniem ani go nie odwlekał. Zaproponował małą kafejkę niedaleko centrum. Może i lepiej, pomyślałem, łatwiej będzie powściągać swoje reakcje. Powtarzałem sobie w myślach to wszystko, co o emocjach mówił Muller: „Pamiętaj, Michael, nic cię nie zgubi szybciej niż emocje. Gdy poddajemy się emocjom, to przestajemy myśleć. Wtedy można już tylko przegrać”. Sztuczny niemiecki świat pozbawiony emocji. Tajemniczy krąg obojętności, który chroni nas przed innymi. Wszystkie uczucia, dobre i złe, ukryte pod uprzejmym uśmiechem, wyuczonym gestem, od dzieciństwa wiele razy dziennie ćwiczonym kanonem zachowań. Wyważona obojętność broniąca prywatności.

Robert już był. Siedział przy stoliku tuż przy oknie, pochylony nad filiżanką kawy. Zauważyłem go od razu. Przywitaliśmy się krótkim uściskiem dłoni, nie było żadnych zbędnych słów.

– Dlaczego? Dlaczego przetrzymałeś moją korespondencję? Dlaczego nigdy nawet nie wspomniałeś o listach od Katarzyny? – To były pytania, na które chciałem uzyskać odpowiedź. Przypuszczałem, że będę musiał całą wieczność czekać, żeby później usłyszeć jakąś pokrętną opowieść. Pomyliłem się, odpowiedź była natychmiastowa i dobrze przemyślana.

– Bo stwierdziłem, że już tego wystarczy – mówił wyraźnie i zdecydowanie.

– Coś ty powiedział? – nie wierzyłem własnym uszom.

– Nie mogłem na to już dłużej patrzeć. – Robert mówił spokojnie i dobitnie. – Nie mogłem już tego znieść. Spotkałem się z tobą w tamtej knajpie. Wydawało mi się, że mam wspaniały pomysł, że uda mi się wam pomóc. Nie mogłem już patrzeć na ciebie. Nie mogłem już patrzeć na nią. W kieszeni miałem dyktafon. Ja ci mówiłem o wielkości waszego uczucia, o jego niepowtarzalności, a ty chrzaniłeś w pijackim bełkocie o seksie i pożądaniu. Katarzyna czekała na mnie w samochodzie. Nie chciała mi uwierzyć, że nic nie wyszło z mojego pomysłu, że się kiepsko nagrało. Wzięła z moich rąk dyktafon i puściła ten twój pijacki wywód na temat pożądania. Pamiętam każde słowo: „Bzdura! Słyszysz? To wszystko to totalna bzdura! Przeszło, minęło. Nie mogło to być nic wielkiego, skoro rozplynęło się we mgle po jednej wspólnej nocy. Nie znasz słowa: «pożądanie?»”. Nigdy tego nie zapomnę. Wielkie uczucie nazwałeś nie do końca udanym seksem. Kaśka słuchała tego w kółko. Od początku do końca i jeszcze raz i jeszcze raz... Widziałem, jak po policzkach ciekną jej łzy. Słuchała i słuchała, jakby nie mogła tego zrozumieć, jakby nie mogła w to uwierzyć.

– Daj mi tę kasetę – poprosiła.

– Kasia, to wszystko bzdury... On chleje na umór. Nie wie nawet, co mówi.

Nie słuchała mnie. Wsiadła z samochodu. Chciała iść na piechotę do domu. Szliśmy w strumieniach ulewnego deszczu. Kasia milczała. Nie miała ochoty na moje towarzystwo. Widziałem, że płacze.

– Wiesz, Robert, nigdy jeszcze nie czułam się tak beznadziejnie. – Zeszła nagle na jezdnię prosto pod koła nadjeżdżającej taksówki. Kierowca odbił w ostatniej chwili. Fala wody z kałuży oblała nas od stóp do głów. Facet wyskoczył z samochodu jak oparzony. Wrzeszczał coś o bezmyślnych młodych ludziach pozbawionych wyobraźni. Popatrzył na zapłakaną Katarzynę i machnął już tylko ręką. Odjechał. Stałem przerażony naprzeciw

Kasi. Byłem tuż obok, widziałem to dokładnie. To nie był żaden przypadek, ona się nie potknęła, nie był to też skutek jej nieuwagi – mówił z pełnym przeświadczeniem, jakby jeszcze teraz miał przed oczyma tamtą noc, deszcz i Katarzynę.

– Kasia, co ty? – próbowałem ją przytulić. Czuję, jak drży. – Chodź, pojedziemy do nas. Basia robi nam coś do jedzenia. Prześpisz się u nas. A jutro zastanowimy się, co dalej...

– Nie, dzięki. Wszystko w porządku. Zamyśliłam się tylko – mówiła cicho. – Wiesz, zrobiło mi się tylko tak bardzo, bardzo przykro...

Myślałem, że zwariuję. Szlag by trafił twórcze pomysły. Nie chciała jechać do nas. Odwiozłem ją do domu. Bałem się zostawić ją samą. Weszliśmy do mieszkania. Pierwszy raz byłem w tym mieszkaniu. To było jak mieszanina dwóch światów. Apartament z nowoczesnymi wnętrzami, dużymi oknami, pomysłowo zagospodarowaną przestrzenią, mnóstwem książek, z fortepianem i stojącą w kącie gitarą. Praktyczność, surowość i elegancja – świat typowy dla Romana. I jakby niepasujące tu kwiaty w wazonie, parapety pełne kolorowych doniczek, prześliczne bibeloty, mnóstwo zdjęć i obrazów – świat Katarzyny. Kasia była mokra od stóp do głów, z włosami ociekającymi wodą, w na wylot przemoczonych butach. W domu nagle zaczęła się zachowywać tak jak zawsze. Poszła się przebrać. Włożyła luźne spodnie, bawełnianą koszulkę... Patrzyłem, jak próbuje ręcznikiem osuszyć włosy. Uważnie przyjrzała się moim mokrym ubraniom. Potem znalazła mi coś wśród rzeczy Romana – dzinsy, zwyczajną koszulę, sweter. Gdyby nie te wspólne narty kiedyś, to nigdy bym nie uwierzył, że ten facet używa takich ubrań. Zrobiła herbatę. Usiadła w fotelu.

– Wszystko jest już w najlepszym porządku. Jedź do domu – mówiła spokojnie. – Basia pewnie się denerwuje.

– Zostanę, rozmawiałem już z Basią.

Odruchowo włączyła odsłuchiwanie automatycznej sekretarki. Pierwszy sygnał – głuchy telefon, długa cisza i odłożona słuchawka. Pewnie ty – przed spotkaniem ze mną, pomyślałem. Drugi telefon to była wiadomość od Romana: „Dobry wieczór, Kasiu, jeżeli chcesz, abym poczuł się zazdrosny, to bingo! Z zazdrości nie będę mógł zasnąć. A z niepokoju umieram – usłyszałem pogodny, ciepły głos Romka. – Prawie zawał. Godzina dwudziesta trzecia, a mojej Kasi nie ma w domu. Jak wrócisz, to wyślij przynajmniej SMS-a, daj znać, że żyjesz. Kolorowych snów, Kasiu. Zadzwoń jutro wieczorem”.

Wcześniej rano zatelefonowałem do niego. Był u siebie w klinice, jeszcze nie operował. Musiałem mu to opowiedzieć. Gubiłem się w tym wszystkim. Nie bardzo wiedziałem, jak mu to przedstawić. Wszystko pewnie brzmiało idiotycznie i nieprzekonująco. Gdy wreszcie doznałem końca, nastąpiła przedłużająca się cisza. Pomyślałem nawet, że coś przerwało połączenie, że jego tam już nie ma. Nagle usłyszałem:

– Robert, spróbuję streścić to, co mi powiedziałeś – wyczułem, że jest bardzo zdenerwowany. – Czy ja dobrze rozumiem, że chciałeś użyć dyktafonu, żeby pokazać mojej dziewczynie, jak bardzo kocha ją inny facet, że ci to trochę nie wyszło i w wyniku tego twojego kretyńskiego pomysłu moja dziewczyna w akcie rozpacz próbowała popełnić samobójstwo? I jakby tego było mało, dzwonisz do mnie do pracy, żeby opowiedzieć mi

o tym w detalach? – spytał ironicznie.

Zamurowało mnie.

– No, może nie dosłownie... – dukałem – ale rzeczywiście coś w ten deseń – brnąłem dalej.

– Ależ z ciebie idiota! – Roman odłożył słuchawkę.

Nie czekał do wieczora, zadzwonił do Kasi od razu. Pracowałem wtedy z Katarzyną na jednym oddziale. Kiedy zadzwonił, stałem tuż obok. Nie wiem, co mówił Roman. Mogłem się tylko domyślać... Trwało to całą wieczność. Kasia miała łzy w oczach, później wielkie krople zaczęły toczyć się po jej twarzy.

– Romek, przecież wiem – mówiła cichutko. – Wiem, że jesteś... Wiem, że czekasz... Tak, wiem... Jak zawsze bez zobowiązań – na jej twarzy pojawiło się coś na kształt lekkiego uśmiechu. I nagle usłyszałem:

– Romek, proszę, przyjedź po mnie.

Był już następnego dnia. Musiał wsiąść w samochód zaraz po tej rozmowie. Przyjechał do kliniki z bukietem małych róż. Po paru dniach wyjechali... Nie możesz mi się chyba dziwić, Michał... – po raz pierwszy popatrzył na mnie.

– Nie, chyba nie mogę...

Dopiliśmy kawę. Podaliśmy sobie ręce. Pewnie zrobiłbym tak samo. Nie miałem już żadnego żalu. W każdym razie nie do niego.

\* \* \*

Dochodziła szósta. Profesorowa stała przed wejściem do kliniki.

– Dobrze, że jesteś. Roman od jakiejś godziny oddycha samodzielnie. Adam był już u niego. Mówił, że Romek jest bardzo słaby – mówiła cicho. – Bardzo słaby... – powtórzyła. – Nie mam chyba siły tam iść. Postoję tu jeszcze trochę. Poczekam... Rozintubowali go... Ma duszność... Z trudem samodzielnie oddycha. Chyba nadal jest nieprzytomny. Mówił jakieś pojedyncze słowa, chyba po chorwacku. Nikt nie mógł go zrozumieć. – Nie mogła się już dłużej powstrzymać, po policzkach zaczęły płynąć łzy. – Tak się boję, Michasiu, tak strasznie się boję... Adam mówił, że może się okazać, że Romek jest jeszcze za słaby, że trzeba go będzie znowu zaintubować. Ja wiedziałam, że to będzie trudne, ale nie przypuszczałam, że aż tak – mówiła cicho. – Adam jest silniejszy albo lepiej potrafi udawać. Ja nie widziałam Romka, odkąd przewieźli go z Chorwacji. Ostatni raz widzieliśmy się, kiedy był jeszcze zupełnie zdrowy. Zmęczony, zapracowany, ale zdrowy... Byliśmy u niego parę dni w zeszłym roku w czasie wakacji.

– Wejdźmy do kliniki, grzmi, zaczyna padać. Usiądzie sobie pani na dole i chwilę poczeka. Ja przejdę się na górę. Zaraz wrócę.

Wolskiego ujrzałem na korytarzu, tuż pod drzwiami pokoju Romana. Stał, opierając się rękoma o parapet. Wydawać by się mogło, że patrzy przez okno. Nie patrzył, chyba płakał.

– Jak tam? – stanąłem tuż obok niego.

– Beznadziejnie... – profesor mówił cicho, załamującym się głosem. – Parametry spadają. Nie ma siły normalnie oddychać. Profesor Iwański mówi, że pewnie potrzebna będzie ponowna intubacja. Ciągłe jest nieprzytomny. Majaczy... Ma gorączkę... Nie

wiadomo, czy to w odpowiedzi na przeszczep, czy pod wpływem immunosupresji rozszalała się jakaś wewnątrzszpitalna infekcja. Spadł poziom płytek krwi. Pojawiły się wybroczyny. Osiem tysięcy płytek, za chwilę pewnie gdzieś zacznie krwawić. Nie ma skąd wziąć płytek do transfuzji... Przez te jego idiotyczne przeciwciała wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane. Rozmawiałem przed paroma godzinami z Mullerem, w końcu wszystko, co robicie, zaczęło się od immunologii. Genetyka pojawiła się później. Kiedy przed wielu laty go poznałem, Peter był immunologiem. Prowadził na uniwersytecie katedrę immunologii. Później przyszły inne czasy... Ma swoje laboratoria, swoją firmę. Powiedział mi, że pomyśli... – Wolski relacjonował prawie automatycznie. Nagle zmienił temat. – Cały czas się zastanawiam, gdzie i kiedy popełniliśmy błąd. Roman już od dawna kiepsko wyglądał. Najpierw Katarzyna, później ten fatalny wypadek... Po pogrzebie rodziców nie mógł się kompletnie pozbierać. Wyglądał źle, bardzo się męczył. Kiedy byliśmy u niego latem, miewał dni, że nie mógł operować, że kto inny kończył rozpoczęte przez niego operacje. Byliśmy pewni, że to z nadmiaru stresu. Teraz myślę, że to był nasz błąd, nie pomyśleliśmy wtedy nawet przez chwilę, że jest chory... – Wolski mówił jak w transie. – Gdyby wtedy coś zacząć robić, gdyby wtedy zacząć diagnozować... Teraz... – nagle zamilkł. – Wiesz, zapomniałbym zupełnie. Profesor Iwański chce z tobą mówić.

Iwańskiego widziałem dwa albo trzy razy w życiu. Kojarzył mi się tylko z nudnymi i długimi wykładami, przyciasnym sweterkiem i wymiętym fartuchem. Zapukałem. Wszedłem. Wystarczył tylko rzut oka, by stwierdzić, że niektórzy nie zmieniają się nigdy. Nie zdążyłem się nawet przedstawić. Przerwał mi natychmiast.

– To dobrze, że pan doktor przyszedł. Za chwilę już wychodzę. Muszę coś jeszcze zjeść. Później mam ważne spotkanie – ciągnął bez większego sensu. – Myślę, że pan zdaje sobie sprawę z sytuacji. Nie ma specjalnie na co liczyć – mówił monotonnym, obojętnym głosem. – Płytki krwi spadają. Jest rozintubowany. Nie radzi sobie. Z minuty na minutę pogarsza się gazometria. Nikt nie podejmie się intubacji przy poziomie płytek osiem tysięcy. Umrze z powodu krwawienia do dróg oddechowych... Udusi się własną krwią. Bez intubacji też musi umrzeć... Chodzi mi tylko o profesora Wolskiego – nadal mówił bez żadnych emocji. – On bardzo lubi młodego Sosnowskiego. Nie jestem w stanie mu tego powiedzieć. Liczę na pana. Pan się przyjaźni z Wolskimi. Od pana przyjmą to lepiej...

Załatwił już to, co chciał załatwić. Był już gotowy do wyjścia.

– A gdyby toczyć płytki? – przerwałem mu.

– Niewiele by to zmieniło, może wydłużyłoby wszystko o parę dni... A i tak ich nie mamy. – Zaczął iść w kierunku drzwi, dając mi do zrozumienia, że wypadałoby się pożegnać.

– Płytki mamy...

– Myśli pan o sobie? – spojrzał na mnie zdziwiony. – Nie zna pan zasad transfuzjologii? Już pan zapomniał? A może ten egzamin u mnie zdał pan przez przypadek?... Oddał pan krew. Był pan też dawcą szpiku do przeszczepu. Nikt nie zgodzi się na ponowne pobranie krwi od pana. Po pierwsze nie szkodzić! To podstawowa zasada medycyny. Za duże ryzyko...

– Mimo wszystko...

– Tak bardzo panu zależy? – Iwański był już wyraźnie rozdrażniony. – Chce pan

przedłużyć o kilkadziesiąt godzin ludzkie cierpienie? W imię czego, jeżeli mogę spytać? W imię przyjaźni?

– Chcę zyskać trochę czasu – byłem coraz bardziej zdesperowany, coraz bardziej niegrzeczny. – Mnie uczono, że należy walczyć do końca...

– Do końca? – Iwański był wyraźnie zdenerwowany. – Tak pana uczono? Co to według pana znaczy: „do końca”? – mówił coraz głośniej. – To jest już praktycznie koniec. Niech pan robi, jak pan uważa – profesor był wściekły. – Jest pan w końcu naukowcem, kolegą po fachu. Robi pan na Zachodzie błyskotliwą karierę. Stał się pan w ciągu paru lat znaną postacią w świecie nauki. Nie będę z panem dyskutował – prawie wrzeszczał. – Ale dla mnie nie ma w tym żadnej logiki! Emocjonalne i irracjonalne podejście do sprawy, niegodne naukowca. Jeszcze jest pan za młody, jeszcze się pan nie nauczył dystansu do rzeczywistości! – krzyczał. – Młodzi zawsze krytykują starych. Wydaje im się, że do nich należy świat. Niech pan popatrzy na Sosnowskiego, najmłodszy doktor habilitowany naszej uczelni, profesor kliniki w Splicie i co?... – mówił coraz głośniej. Jakby z niewiadomego powodu nagle znenawidził Romana, mnie i wszystkich młodszych od siebie... – Jeżeli pan widzi w tym jeszcze jakiś sens – wrzeszczał – to proszę bardzo! Chce pan ryzykować własnym życiem, nie będę się sprzeciwiał... Wydam odpowiednie dyspozycje...

Wolski czekał na mnie na korytarzu z dziwnym wyrazem twarzy. Myślę, że musiał słyszeć podniesione głosy, a może i całą rozmowę.

– Nic – spróbowałem się choć trochę uśmiechnąć – chyba niespecjalnie się lubimy z profesorem Iwańskim.

Wykręciłem numer Mullera.

– Halo, Peter, mam do ciebie... – zacząłem niepewnie.

– Ja też, Michael, mam do ciebie prośbę – Muller był wyraźnie wściekły. – Ile razy mam ci mówić, żebyś nie wyłączał komórki? – prawie wrzeszczał. – Ten brak możliwości komunikowania się z tobą doprowadza mnie do szału – był naprawdę zły. – Nigdy nie miałem zdolności telepatycznych, a żałuję, mógłbym z nich korzystać, kiedy ty jesteś w Polsce. Rusz łaskawie swoje cztery litery i wyjedź po mnie. Jestem jakieś czterdzieści kilometrów od was. Jadę autostradą od strony Katowic. Wyjedź łaskawie na stację benzynową na rogatki miasta. Mój GPS ma tylko ogólne pojęcie o tym, że wasze miasto istnieje. Nie wiem, gdzie jest klinika – mówił już spokojniej. – Od paru godzin próbuję się z tobą skontaktować. Wolski twierdzi, że jestem wam potrzebny – zawiesił na chwilę głos. – Nie wiem tylko, czy zdołam pomóc... Jesteś tam? Czego, do diabła, tak milczysz? Nie cierpię ostatnio rozmawiać z tobą przez telefon!

Takim go nie znałem. Dotychczas zawsze był zimny jak lód, wyrachowany, zaprogramowany, powtarzalny w swoich stereotypach zachowań, serdeczny w granicach obowiązującej poprawności... Peter poddający się emocjom to była dla mnie zupełna nowość.

– Jeszcze jedno, postaw swoją furę tak, żebyś miał szansę ją zobaczyć.

Dostrzegł mnie od razu. Machnął mi tylko ręką. Wolski czekał na nas przed kliniką. Musieli się znać rzeczywiście całą wieczność. Miło było na nich patrzeć, gdy się witali. Podając mi rękę, Peter syknął:

– Michael, jak ty, do diabła, wyglądasz. – Nie wiem, czego to miało dotyczyć:

niewyspania, bladeści, wczorajszego zarostu czy dżinsów, a może wszystkiego razem. Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

– Michał! – Wolski znów był sobą: pewny, zdecydowany głos, spokojny wyraz twarzy. Jakby te pół godziny mojej nieobecności pozwoliło mu się pozbierać, wydobyć z dna rozpaczy, zorganizować. – Podjąłem decyzję. Przenosimy Romka do naszej kliniki. – Musiał słyszeć wywody Iwańskiego, pomyślałem. – Tu zrobili już, co do nich należało. Więcej już nie zrobią – mówił spokojnie. – U nas otoczmy go równie dobrą, o ile nie lepszą opieką medyczną. – Nie musiał mnie co do tego przekonywać. Byłem tego samego zdania. – Bez względu na to, co się wydarzy, tam będzie czuł się lepiej... Zawsze lepiej jest wśród swoich... Peter też będzie miał zupełnie inne możliwości. W pewnym sensie nieograniczone. Zadzwoniłem już do kolegów, przekazałem oddziałowej... – ciągnął spokojnie dalej. – Czekają już na Romka. Wiem od pani Stasi, że wszyscy bardzo się dziwili, że doktor Sosnowski nie leży u nas...

Pamiętam dzień, w którym Roman poinformował wszystkich o swojej decyzji wyjazdu do Chorwacji. Było to w trakcie porannej odprawy. Nagle zapadła cisza. Sosnowski był bardzo lubiany. Zawsze przyjazny, uśmiechnięty, serdeczny, bezkonfliktowy. Niespełna dwa tygodnie wcześniej hucznie świętowano na oddziale jego habilitację. Były nowe plany rozwoju kliniki, projekty, nadzieje... A teraz ni stąd, ni zowąd ten wyjazd... Powiedział, że wygrał konkurs, że obejmuje kierownictwo katedry kardiochirurgii w Splicie. Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Nikt – poza mną.

– Panie docencie, dlaczego? – napierała oddziałowa. – Przecież nie dla...

– To biedny kraj – wpadł jej w słowa. – Nie dla pieniędzy. Ze względów osobistych...

Wszystkie oczy skierowały się na Wolskiego. Stary siedział z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nic więcej nie wiem – powiedział. – Musimy uszanować te względy osobiste – powiedział, stawiając wyraźny akcent na dwa ostatnie słowa.

– Skoro już musicie koniecznie wiedzieć – powiedział nagle Romek z uśmiechem na twarzy. – To popatrzcie na naszego profesora. Ja, zostając tutaj, nigdy nie doczekam się profesury – wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wyjechał. Początkowo dzwonił często. Później przyjechał po Katarzynę. Nawet nie wiem, czy był wtedy w klinice. Ja w każdym razie go nie widziałem. Teraz czekano na niego na oddziale... Wszyscy przerażeni, przejęci, wzruszeni. Dziewczyny potajemnie ocierające łzy. Mnie też ścięło. Zobaczyłem Romana, kiedy biegiem wynosili go z karetki. Był blady, nieprzytomny, zlany potem, z sinym odcieniem skóry wokół warg, z maską tlenową na twarzy, z trudem łapał powietrze... Do tego sieć czujników kontrolujących parametry życiowe, ściana automatycznych strzykawk... Cała bateria ograniczonych ludzkich możliwości naprzeciw zbliżającej się śmierci.

– Michał, zastanówmy się – profesor Wolski próbował myśleć racjonalnie. – Po wczorajszym dniu twoje wyniki są paskudne. Iwański ma rację. Nie możesz być dawcą...

– Chodzi tylko o płytki – przerwałem mu. – Podniesiemy ich poziom i będzie można go bezpiecznie zaintubować. Rozmawiałem z naszymi anestezjologami. Już przy trzydziestu tysiącach można spróbować. Intubacja oznacza kontrolę. Zyskamy czas. Muller będzie mógł pracować... – mówiłem stanowczo.

- Chyba już sam w to nie wierzysz? – Profesor spojrział na mnie uważnie.
- Wierzę... – odpowiedziałem pewnie. Bardzo chciałem w to wierzyć.

\* \* \*

Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co się stało. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Trwało to i trwało. Tego dnia wyjątkowo brakowało mi cierpliwości. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się, ile trwają takie procedury jak separacja płytek. Ten dzień nie należał do moich najlepszych. Zaraz na początku poczułem się nienadzwyczajnie. Cały czas było mi zimno, z każdą chwilą coraz zimniej. Miałem uczucie dziwnego mrowienia wokół ust, drętwienia rąk, wzmożonego napięcia mięśni. Myślałem, że to normalne, w końcu krew przechodzi przez separator, tam pewnie się trochę ochładza, wraca w krążeniu zamkniętym. Później poczułem dziwny ucisk w klatce piersiowej. Na początku był delikatny i niewyraźny. Takie śmieszne uczucie, jakby nagle płuca miały za mało miejsca, żeby się rozprężyć. Pojawiła się dziwna duszność. Mrowienie wokół warg nasilało się. Z minuty na minutę robiło się coraz gorzej, coraz bardziej mdło, coraz duszniej... Jak z innego świata dochodził do mnie głos pielęgniarki. Nie byłem w stanie zrozumieć, o co pyta. W ustach sucho i jakoś słodko... Coraz zimniej... Coraz bardziej duszno... Pustka... Kiedy otworzyłem oczy, wszystko wydało mi się obce – seledynowe ściany, biel kafelków, sztywność mocno wykrochmalonej pościeli, wenflon w ręce, maska z tlenem na twarzy... Ciepło, nareszcie ciepło... Ktoś coś mówił. Pewnie oczekiwał odpowiedzi. Nie rozumiałem sensu dochodzących do mej świadomości pojedynczych słów. Próbowałem coś mówić. Zasnąłem. Gdy obudziłem się, Wolski siedział na brzegu mojego łóżka.

– Michał, tego już za wiele – profesor starał się mówić spokojnie. – Dalej uważasz, że to był dobry pomysł? Czy tobie w Niemczech zanikł instynkt samozachowawczy? Jeszcze chwila, a byłoby... – zawiesił na chwilę głos, jakby sam przestraszył się tego, co chciał powiedzieć. – Szczęście, że pielęgniarki cały czas cię obserwowały. Jesteś uparty jak osioł! Typowy zodiakalny baran – wódz, przywódca, bohater... Tobą trudno jest kierować. Nie słuchasz nikogo. Zawsze jak czołg do przodu, zawsze po trupach do celu, zawsze samozagłada...

Wolski skończył. Nie oczekiwał odpowiedzi. Nie wstał. Nie odszedł. Zaczął ręką wygładzać fałdę na prześcieradle. Robił to z takim przejęciem, jakby ten zagięty fragment materiału stał się nagle dla niego najważniejszy na świecie. Nie patrzył na mnie. Od początku unikał mojego wzroku.

– Dziękuję! – powiedział cicho. – Dziękuję, że taki jesteś... Udało się, Michał! – mówił ciepło. – Wystarczyło... Intubacja się udała. Nie ma krwawienia. Parametry poprawiły się. Stan jest stabilny. Muller ma czas... – Czekałem tylko na tę jedną wiadomość. Nie chciałem już słuchać niczego więcej. Czuję się niesamowicie zmęczony. Z trudem walczyłem z opadającymi powiekami. Nareszcie mogłem znowu zasnąć. Nie wiem, jak długo spałem. Gdy się obudziłem, za oknami wstawał nowy dzień, następny, a może jeszcze następny. Powoli czerń przechodziła w szarość. W fotelu pod oknem drzemał Muller. Musiałem się lekko poruszyć. Usłyszał mnie od razu.

- No, nareszcie!

Peter jak oparzony zerwał się na równe nogi. Przysunął sobie fotel do brzegu mojego łóżka.

– Twardy jesteś. Czapki z głów! Nawet nie przypuszczałem... – Muller mówiący ciepło? Znowu mnie zaskoczył! – Żyjesz – bardziej stwierdził, niż spytał. – Jesteś w stanie myśleć?

– Jestem. – Tego, prawdę mówiąc, nie byłem do końca pewny. Peter musiał mieć dla mnie coś bardzo ważnego. Zniknęła gdzieś typowa dla niego powściągliwość. Wydawał się czymś bardzo poruszony.

– Mam pewien pomysł – zaczął bez żadnego wstępu – ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Kim jest dla ciebie Roman?

– Mówiłem ci już, że przyjacielem – odpowiedziałem lekko zdziwiony.

– A ty dla niego? – zaskoczył mnie tym pytaniem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, kim ja byłem dla Romana. Napisał: „Pamiętasz nasz mecz? Myśmy go w ostatniej chwili przerwali. Tu w Omišu rozegrała się tragedia. Ci dwaj byli tacy jak my, ale oni nie przerwali swojej rozgrywki... Przyjedź! Przyjedź jako przyjaciel, drużba albo pan młody...”.

– Nie wiem – odpowiedziałem zupełnie szczerze. – Na początku byłem jego studentem, później młodszym kolegą, którego wprowadzał w tajniki chirurgii... Uratował mi kiedyś życie. Nie widzieliśmy się przez parę lat... Zapomniałem już, że on gdzieś tam istnieje. On pewnie też zapomniał o mnie. Nie wiem... Łączyło nas wiele, dzieliło jeszcze więcej... Nie potrafię ci odpowiedzieć.

– Szkoda, bo to my dwaj musimy zdecydować o tym, co teraz zrobimy. Byłoby chyba łatwiej... – Muller mówił powoli, jakby zastanawiał się nad czymś, jakby nie był pewny, czy może mi wszystko powiedzieć. – Jak myślisz, co znalazłem, przeglądając jego dokumenty? Szukałem czegokolwiek, co mogłoby mi jeszcze pomóc – jakichś dawnych badań, wpisów, szczepień... Czegoś, co mogłoby rzucić choć trochę światła na ten przypadek. W portfelu znalazłem jednak coś zupełnie innego. Sam nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić... – Muller zamilkł.

– Domyślam się – przerwałem mu. – To się nie liczy. Nie liczy się w każdym razie tu i teraz. W tej sprawie to nie ma żadnego znaczenia – mówiłem pewnie i spokojnie. – Znalazłeś zdjęcie albo zdjęcia. Poznałeś ją i nie masz żadnych wątpliwości. Codziennie widzisz zdjęcie tej dziewczyny na moim biurku. Tak, nie pomyliłeś się, to ta sama dziewczyna. Kochaliśmy tę samą dziewczynę, a może obaj kochamy ją nadal... – mówiłem spokojnie. – Nie, to nie ma tu, przynajmniej dla mnie, żadnego znaczenia.

Przyglądał mi się jakoś dziwnie. W jego oczach widziałem niedowierzanie. Myślę, że starał się to, co usłyszał, w ten tak dla siebie charakterystyczny sposób zaszkladkować i choć trochę zrozumieć. Chyba mu się nie udało. Jak on miał to pojąć, skoro ja sam tego nie rozumiałem?

– Powiedzmy, że ci wierzę – wzruszył nagle ramionami.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Znałem go dobrze. Zawsze, gdy rozwiązywał jakiś trudny problem, miotał się jak zwierzę zamknięte w klatce, tam i z powrotem. Teraz było podobnie.

– Michael, jest pewna szansa – zaczął mówić. – Udało mi się to uzyskać in vitro.



Powtórzyłem eksperyment parę razy. Reakcja jest powtarzalna. Zrobiłem też ślełą próbę. Staralem się choć częściowo zachować obiektywizm. W probówce umiem odwrócić ten niezrozumiały autoimmunologiczny proces – mówił spokojnie. – Teoretycznie potrafię mu pomóc. Ale ty dobrze wiesz, że in vitro nie zawsze sprawdza się in vivo, że to, co zaszło w probówce, nie zawsze uda się w rzeczywistości. W żywym organizmie mamy tysiące czynników, których nikt do końca nie jest w stanie przewidzieć. Nie mam żadnej pewności, że się uda – mówił do mnie, a może i trochę do siebie. – Wiesz, że ja nie jestem lekarzem. Jestem biologiem, immunologiem. Ty lepiej ode mnie wiesz, że nie wszystko, co można uzyskać w laboratoriach, da się też wygrać w życiu – tłumaczył spokojnie. – Nie mogę tego powiedzieć Wolskiemu. Znam starego całą wieczność. Jestem w stanie przewidzieć prawie każdą jego reakcję. Nie zgodzi się... Nie zgodzi się, jeżeli będzie wiedział, że jest choć cień ryzyka.

– A jaki mamy wybór? – przerwałem mu. – Mamy jakąś alternatywę?

– Nie. Możemy tylko czekać... – spokojnie odpowiedział Muller.

– Biernie czekać na koniec albo iść na wojnę? – wpadłem mu w słowo.

– Na wojnie można wygrać lub przegrać... – rzucił Peter.

– Sam powiedziałeś: „można wygrać...” – przerwałem mu.

– Kto nie stoczy bitwy, nie ma szans na zwycięstwo... – kontynuował Muller.

– Nie ryzykuje też przegranej... – dorzuciłem.

– Śmierć bez walki to też przegrana! – powiedział zdecydowanie.

– Więc jesteś za? – spytałem zdziwiony.

– Za! A jak ciebie znam, Michael, to ty tym bardziej nie będziesz przeciw...

Już dawno przestał przemierzać pokój. Stał tuż obok mnie, obserwując każdy ruch moich ust, każdy grymas na mojej twarzy. Ulżyło mu. Teraz mógł się już cieszyć ze swojego osiągnięcia.

– Załatwisz to jakoś z Wolskim? – spytał.

– Powiem mu, że jesteś pewien, że jesteście pewni sukcesu – poprawiłem się szybko.

\* \* \*

– Udało się, Michał, udało się! – Wolski wpadł do sali, krzycząc prawie od drzwi. – Nie mogę w to uwierzyć! Zawsze mówiłem, że Muller jest rewelacyjnym immunologiem! Genialnym naukowcem! Nie wierzyłem wam wczoraj, byłem pewny, że gracie na zwłokę. Myślałem, że po prostu nie wiecie, jak mi powiedzieć, że to już koniec, że pozamiatane, że nie ma już żadnych szans... – Profesor przysunął sobie krzesło i usiadł tuż przy moim łóżku. – To jak cud... Ludzka wiedza, ale też coś jeszcze – zawiesił na chwilę głos. – Wiesz, Michał, byłem wczoraj wieczorem z Anną w kościele. Nie pamiętam, kiedy byłem tam ostatni raz. Moja wiara nie przetrwała próby czasu. Anna mówi, że była za mała, skoro pokonał ją czas... Ja myślę, że nie chodzi o czas... Przed wielu laty, tuż po studiach, gdy odrabiałem staż z pediatrii, na moim dyżurze zmarło dziecko. Pamiętam jak dziś – miało nephroblastomę z przerzutami do płuc. Jeszcze wieczorem oglądałem jego badania. Na zdjęciu rentgenowskim widziałem płuca usiane przerzutami. Wyglądały, jakby je zaatakowała prosówka gruźlicza, ale to niestety nie była gruźlica. Matka dziecka, niewiele

młodsza ode mnie dziewczyna, zapytała mnie: „dlaczego?”. Zaczęłam jej opowiadać o klasyfikacji nowotworów, o ukrwieniu płuc... Patrzyła na mnie jak na idiotę. Nie na taką odpowiedź czekała. Powtórzyła już wyraźniej: „W imię czego małe dziecko ma tak cierpieć?”. Nie umiałem jej odpowiedzieć. Sam sobie nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Całą noc przesiedziałem przy tym malcu. Całą noc modliłem się... Bóg mnie nie wysłuchał, a może wysłuchał, a ja go nie zrozumiałem. Chłopiec umarł, a mnie wiedza zaczęła zastępować Boga. Mój pierwszy szef na chirurgii mówił zawsze, że nie wierząc, nie mógłby być lekarzem. Ze mną było odwrotnie... Zaczęłam wierzyć w ludzi, ich umiejętności i wiedzę, ale nie w Boga. Kiedyś kapelan szpitalny powiedział mi, że nie błędzę, że szukam, że ludzką rzeczą jest wątpić i szukać, że to, co mówię, to nie bluźnierstwa, bo przecież Bóg jest w każdym z nas... W każdym z nas jest kawałek Boga... – Wolski opowiadał spokojnie. – Wczoraj dałem się namówić Annie. Nie chciałem być sam w domu... Czas dłużył się w nieskończoność. Ty spałeś, walcząc z następstwami wstrząsu. Muller jak zwykle, gdy jest czymś zajęty, odburkiwał półsłówkami przez telefon. Anna chciała się w modlitwie spotkać ze swoim Bogiem. Poszliśmy razem. Wczoraj wszystko było lepsze od samotności. Wszedłem do kościoła, usiadłem w ławce. Kościół był pusty, prawie nieoświetlony. Trochę jaśniej przy ołtarzu... Wieczna lampka... Pojedyncze postacie skulone w ławkach. Od czasu do czasu ktoś przyklękający na chwilę przed ołtarzem. Krzyż i postacie świętych o ostrych rysach twarzy, stacje drogi krzyżowej... Ostatnie promienie zachodzącego słońca, próbujące się przedrzeć przez kolorowe szyby witraży. Klęcząca obok Anna. Cisza... I nagle uświadomiłem sobie, że w myślach powtarzam: „Ojcze nasz”. Nie było już tego bólu, niepokoju, lęku... Wszystko, co czułem wcześniej, zastąpiło owo „Ojcze nasz”... Poczułem się spokojniejszy, silniejszy... – zamilkł. Spojrzał na mnie. – A ty, Michał, wierzysz w Boga?

Nie wiem, co powinienem był odpowiedzieć. Ja swojego Boga zgubiłem gdzieś przed laty. Gdzieś się zapodział pomiędzy kieliszkami wódki i kuflami piwa, pomiędzy dziwkami i porannym kacem. Nie był już chyba ze mną, gdy z rozpaczyny sięgnąłem dna. Wstydził się mnie pewnie. Później jakoś nasze drogi też się nie spotkały.

\* \* \*

W dniu naszego wyjazdu Roman odzyskał przytomność. Wszystkim na oddziale urosły skrzydła u ramion – koledzy uśmiechnięci, dziewczyny rozszczebiotane, oddziałowa matkująca wszystkim, my prawie z aureolami nad głową... Udało się. Wprost niewiarygodne okazało się możliwe. Nigdy nie widziałem tak szczęśliwego Wolskiego. Śmiał się, żartował, dzielił swym szczęściem. Nagle ubyło mu z dziesięć lat. Nawet jego plecy stały się jakby prostsze. Decydująca bitwa tej wojny została wygrana. A u nas wszystko wracało do normalności – Peter powoli stawał się znowu sobą, znowu był szefem pouczającym młodszego kolegę.

– Pamiętaj, Michael, w nauce liczą się tylko mozolne badania, porządnie sformułowane problemy, dobrze przemyślane badania porównawcze, setki razy przeprowadzone próby, wyważone i dobrze przemyślane wnioski – marudził jak zwykle. – Nic za szybko. Nic na poklask. Żadnego ryzyka – mrucał dalej. – Nauka jest zupełnie nieefektywna. W nauce nie

ma ani oklasków, ani miejsca na bis. Tu latami trzeba pracować na pierwsze ostrożnie wyciągane wnioski. To, co myśmy tu robili – dodał prawie szeptem – to medyczna partyzantka... Od razu możesz o niej zapomnieć... – Mimo tych słów jego twarz rozświetlił na chwilę niekontrolowany uśmiech.

– Jasne – uspokoiłem go. – Już nie pamiętam.

– Jedziesz ze mną moim autem – rzucił Peter, a widząc moje zdziwienie, dodał: – Twój samochód zostawiamy u Wolskiego. Facet z hemoglobina trochę powyżej siedem to niespecjalny kierowca. Profesor też uważa, że jeszcze jest za wcześnie, że powinieneś odpocząć. – Widząc, że mam ochotę oponować, podparł się od razu autorytetem Wolskiego. – Za dwa dni masz ważne wystąpienie. Sam wiesz, jak długo się do tego przygotowaliśmy. Gdyby nie to, mógłbyś zostać jeszcze parę dni w Polsce.

Wszyscy oczekiwali, że pójde do Romana. Nie, nie byłem u niego. Nie był to dobry czas na spotkanie, jeszcze nie teraz. Wolski złościł się i złorzeczył. Nie mógł, a może nie chciał zrozumieć. Muller od razu zaakceptował moją decyzję. W końcu wracaliśmy do Niemiec, a w tym kraju nie ma chyba gorszego przestępstwa niż wtrącanie się w czyjąś prywatność.

– Michaś, naprawdę nie pójdziesz do Romka? – Profesorowej moja decyzja nie mieściła się chyba w głowie. Patrzyła na mnie wprost przerażona.

– Pójde, kiedy wrócę po swój samochód. Będę za dwa tygodnie.

\* \* \*

Dziwne to były dwa tygodnie. Najpierw kongres, później gonitwa w pracy, pełno nagromadzonych terminów, mnóstwo niezłatwionych spraw, nienapisane streszczenia, za późno pisane teksty do publikacji... Muller może odrobinę cieplejszy niż zwykle, ale niedający mi chwili wytchnienia.

– Za miesiąc odbierasz swój grant. Musisz przedstawić publicznie swój projekt badawczy. Oni go już kupili. Masz już te pieniądze, ale twoje wystąpienie musi być rewelacyjne. To duży kongres, będzie parę tysięcy ludzi. Będą też ci, którzy przegrali, współzawodnicząc z tobą. Musisz ich powalić na kolana, musisz udowodnić, że komisja miała rację – dyrygował. – Musisz to tak przygotować, żeby przekonać każdego, nawet mnie, że to jest rewelacyjny pomysł, żadna para w gwizdek, że powstanie z tego coś naprawdę wielkiego dla pacjentów, dla naszych laboratoriów, dla ciebie, dla nas... – na chwilę zawiesił głos. – Ruszaj się! Przestań się nad sobą rozczulać. Wiem, że jeszcze jesteś trochę słaby, ale ty pracujesz mózgiem, nie mięśniami – zrzędził. – Wiem, że ten zastępczy samochód jest trochę gorszy od twojego, ale czy nie mógłbyś się nim odrobinę szybciej przemieszczać? Ruszaj się szybciej! Czas nie jest z gumy. Nikt ci nie zwróci straconych idiotycznie chwil... – marudził. – A w międzyczasie musisz przecież jeszcze pojechać do Polski!

Ruszałem się. Przynajmniej starałem się działać tak jak zawsze. Przez całe dni skutecznie udawało mi się odsuwać myśli o Polsce. Kiedy późnym wieczorem wracałem do domu, pozwalałem sobie na moment luksusu: głęboki fotel, filiżanka gorącej kawy albo przeraźliwie słodkiej czekolady, przygaszone światła, spuszczone rolety, wyłączona komórka... Przez moment nie liczyły się nienapisane artykuły, niesprawdzone badania,

niewyciągnięte wnioski, łajania Mullera... Była tylko Polska... Najpierw telefon do Wolskiego, parę ciepłych zdań wymienionych z profesorem, parę słów zamienionych z panią Anną. Nowe wieści o Romanie – wszystko w różowych barwach, wszystko w porządku... Później jeszcze raz listy Katarzyny z Chorwacji. Wiele godzin spędzonych w Internecie. Znałem już na pamięć Plitvice, Split, Omiš. Zamykałem oczy i pozwalałem przesuwając się dyktowanym przez wyobraźnię obrazom. Kasia... Widziałem te zdjęcia z portfela Romka. Nie mogłem się powstrzymać, musiałem je zobaczyć. Musiało być coś dziwnego w mojej twarzy, gdy oglądałem te zdjęcia, bo widziałem, że Peter przyglądał mi się ukradkiem. Następnego dnia przyniósł mi ich kopie. O nic nie pytał, niczego nie komentował. Na pierwszej fotografii Kasia z rozwianymi przez wiatr włosami, z błękitną przepaską we włosach, z mocno opaloną twarzą, z odkrytymi ramionami, ze stopami wciśniętymi w białe tenisówki, w błękitnej powiewnej sukience, której brzegi unosi wiatr. Obok duże głązy tworzące Fortice, wysokie trawy, cień jakiegoś kaktusa. W tle atramentowe wody zatoki, które gdzieś na horyzoncie przechodzą w niepowtarzalny błękit chorwackiego nieba. Na wodzie statki, które z tej odległości wielkością przypominają łupiny od orzechów. Na drugim zdjęciu Kasia na promie, w krótkich spodniach z błękitnego dżinsu, w białej koronkowej bluzce na cienkich ramiączkach, w kapeluszu na głowie. Rondo kapelusza rzuca tajemnicze cienie na twarz, włosy i ramiona, tworząc niepowtarzalną kombinację światłocieni. Kasia siedzi bokiem, patrzy gdzieś w dal, w kierunku zbliżającego się brzegu. Na ławce naprzeciw niej przysiadł jakiś młody Chorwat z nastawionym na Katarzynę obiektywem swojego aparatu. Na trzecim zdjęciu Kasia śpiąca w samochodzie, zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu, z kolorowym jaśkiem pod głową, z falami kasztanowych włosów opadających na twarz, rozsypujących się na poduszce, z lekko rozchyłonymi, jakby w delikatnym uśmiechu ustami, w męskiej koszuli z podwiniętymi rękawami. Koszula jest za duża i za szeroka, ale przy tym odrobinę za krótka, by zakryć opięte czarną bielizną pośladki i opalone uda. Wszystkie te zdjęcia pochodziły z tamtych wakacji... Ich wakacji... Późniejszych zdjęć nie było. Teraz byliśmy z Romkiem kwita. Tak naprawdę chciałem znów jechać do Polski po to tylko, żeby zadać mu jedno pytanie: gdzie jest teraz moja Katarzyna?

\* \* \*

Od pierwszej chwili spotkania wszystko było tak zwyczajne i proste, jakbyśmy rozstali się dzień wcześniej po południu, jakbyśmy jeszcze wczoraj stali wspólnie przy zabiegu. Mocny uścisk dłoni, szeroki uśmiech, ciepła normalność, która wystarczyła za wszystkie wyświechtane: „dziękuję”. Był, siedział w fotelu w gabinecie Wolskiego. Nie było już respiratora, monitorów, baterii kroplówek... Sweter, koszula, dżinsy. Chłopak na nartach... Chłopak z gitarą... Chłopak rzucający kosze... Nie mogliśmy się nagadać, jakbyśmy w parę godzin chcieli nadrobić cały ten stracony czas. Wolscy już dawno cichaczem wyszli z pokoju. Nie chcieli przeszkadzać.

– Powiedz mi, czemu porzuciłeś kardiochirurgię? – spytał nagle.

– To raczej kardiochirurgia porzuciła mnie – odpowiedziałem zdziwiony. Czyżby naprawdę nie wiedział? – pomyślałem. – Wolski wyrzucił mnie z pracy. Zostałem

zwolniony dyscyplinarnie.

– Co? Stary wyrzucił cię z pracy? – Jego zdziwienie było całkowicie autentyczne. – Niemożliwe. To przecież ja wyjechałem, abys ty mógł pracować.

– Zostałem wyrzucony z pracy w pewnym sensie na własne życzenie – mówiłem spokojnie.

– Nic o tym nie wiedziałem – jego słowa brzmiały prawdziwie. – Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy przed dwoma laty zobaczyłem nagle w jakimś naukowym magazynie twoją publikację z dziedziny genetyki. Genetyka nowotworów... Coś, co do niedawna było tylko marzeniem... Ty prezentowałeś śmiało badania, wyciągałeś odważne wnioski. Powiało nadzieją, że nie tylko chemioterapia, nie tylko naświetlania, nie tylko immunologia... Czytałem z wypiekami na twarzy. W pierwszej chwili myślałem, że to zbieg okoliczności, że to jakiś inny facet o takim samym imieniu i nazwisku. Badania pochodziły z jakiegoś niemieckiego instytutu genetyki. Wcześniej nie wiedziałem, że mówisz po niemiecku. Próbowałem zadzwonić do Wolskiego. Profesor był nieosiągalny. Włączyłem komputer, wszedłem na stronę internetową waszego instytutu. Jeszcze parę kliknięć i nie miałem już żadnej wątpliwości. Wśród zdjęć kierowników pracowni zobaczyłem ciebie. Imię, nazwisko, data urodzenia, polska narodowość, tytuł doktora nauk medycznych, dobrze skrojony garnitur, po szyję zapięta koszula, krawat... W pamięci widziałem cię w dzinsach, swetrze, z zawsze bujną i niesforną czupryną, ale ten facet na zdjęciu to byłeś na pewno ty. Parę dni później znów spróbowałem o tym porozmawiać z profesorem Wolskim. Odegrał jakąś grubymi nićmi szytą komedię, że niby mi mówił, że pewnie zapomniałem, że bardzo chciałeś sprawdzić się w innej dziedzinie, że był przeciwny, ale upierałeś się, że umożliwił ci kontakt ze swoim przyjacielem, że pracujesz u Mullera, że odnalazłeś swoje miejsce w medycynie, że twoją pasją jest genetyka, że w ciągu paru lat zrobiłeś zawrotną karierę naukową, że jest z ciebie taki dumny... – Romek przerwał na chwilę, jakby dopiero teraz dotarły do niego moje słowa. – Jak to? Zostałeś wyrzucony z pracy? Co to znaczy: w pewnym sensie na swoje własne życzenie? Nic z tego nie rozumiem.

– Moim zachowaniem aż się o to prosiłem... – nie miałem ochoty do tego wracać. Chyba się zorientował. Zmienił temat.

– Kiedy to było?

– Tuż po tym, jak przyjechałeś po Katarzynę.

Po raz pierwszy padło jej imię. Reakcja był zaskakująca. Jakiś cień przemknął przez jego twarz, nie był to nawet grymas. Roman wstał gwałtownie, podszedł do okna, odsłonił firankę... Jakby nagle pogoda za oknem stała się ważniejsza od wszystkich wcześniejszych tematów, jakby odwrócenie się do mnie plecami mogło załatwić wszystko. Kiedyś przecież musiało paść jej imię. Przed kilkunastoma dniami, rozmawiając z Mullerem, powiedziałem, że łączyło nas wiele, a dzieliło pewnie jeszcze więcej. Na pewno dzieliło nas jej imię. Widziałem teraz tylko jego plecy i dłoń bawiącą się brzegiem zasłony. Cisza przeciągała się w nieskończoność. Milczenie zaczęło mi ciążyć, drażnić, przeszkadzać. Pierwszy odezwał się Roman. Głos miał niski, jakby lekko ochrypły.

– Co słyhać u Katarzyny?

Nie mogłem zrozumieć sensu tego pytania.

– Że co? – prawie krzyknąłem. Odwrócił się gwałtownie.

– Chyba mam prawo spytać, co słyhać u Kasi? – powtórzył głośnie, zaczepnie. Nie miałem żadnych wątpliwości, jej imię dzieliło nas nadal.

– Możesz, Romek, ale nie mnie...

Patrzył na mnie z narastającym zdumieniem w oczach.

– Nie rozumiem – powtarzał. – Nic nie rozumiem... O czym ty, do diabła, mówisz?!

– To ja chciałem zapytać ciebie, co słyhać u Katarzyny – wpadłem mu w słowo. – Jadąc do Polski, bałem się tylko jednego, że skoro ty tu jesteś, to jest i ona. Za bardzo mnie to przygniotło przed laty, za bardzo sponiewierało... Straciłem kontrolę nad sobą, straciłem instynkt samozachowawczy, osiągnąłem dno. To była jedyna przyczyna mojego wyjazdu do Niemiec. Jestem teraz pozornie innym facetem. Dzień po dniu przez te prawie cztery lata wykształcono u mnie inną, typowo niemiecką osobowość. Czasami myślę, że ten zupełnie inny ja to cena, którą przyszło mi zapłacić za moją przeszłość. Potrafię już chyba panować nad emocjami. Nauczyłem się otaczać grubym murem obojętności, szczelnie chroniącym moją prywatność. Im grubszy mur, tym mniej emocji... W końcu przekonałem się, że to tylko zewnętrzna skorupa, że ludzie się aż tak nie zmieniają, a może nie zmieniają się w ogóle. Dlatego tak bardzo bałem się spotkania z Katarzyną... Bałem się, że tym razem mogę się już nie podnieść... – Nie przerywał, słuchał uważnie, ze wzrokiem wbitym w moją twarz chłonał każde wypowiedane przeze mnie słowo. – Przyjechałem, byłeś ty, ale nie było Katarzyny. Nikt tu nawet o niej nie wspomniał – mówiłem spokojnie. – To ja, Romek, pytam cię, gdzie jest teraz Katarzyna?

Stał tuż przy mnie z dziwnym wyrazem twarzy, z narastającym zdziwieniem w oczach, które powoli zaczęło się przeradzać w przerażenie.

– Czekał... Kiedy ty wyjechałeś do Niemiec? Powtórz to jeszcze raz!

– Wolski wsadził mnie do pociągu parę dni po waszym wyjeździe. Przekroczyłem wtedy granicę jego wytrzymałości...

Nie słuchał już dalej.

– O Boże, Michał... Ty nie byłeś wtedy w Splicie?

Patrzył na mnie z przerażeniem.

– Powiedz, że to nieprawda... Katarzyna pisała do ciebie listy z Chorwacji. Prosiłem ją o to. Nie mogłem się z tym wszystkim pogodzić. Nie potrafiłem patrzeć na jej ból. Nie mogłem go zaakceptować. Czułem się poniekąd winny... – mówił coraz szybciej, coraz głośnie. – Czułem się po prostu winny... Cieszyłem się z czegoś, co zabrałem komuś innemu. Miałem coś, co nie było moje. Cieszyłem się z każdej chwili, z każdego dnia, które nie należały do mnie. Z dnia na dzień coraz bardziej czułem się jak złodziej. To ja nie wywiązałem się z naszej umowy – mówił niezrozumiale, jakoś chaotycznie i dziwnie. – Pamiętasz nasz mecz? Ja nie zapomnę go nigdy. Umówiliśmy się, że to Katarzyna ma wybrać, że bez względu na wszystko uszanujemy jej wybór. Pamiętam kongres w Paryżu. Byłem na siebie wściekły, że tam pojechałem. Mieliście blok z psychiatrii. Wiedziałem dobrze, jakie to ponure doświadczenie, ale mimo to pojechałem. Tych parę punktów do habilitacji przez moment było ważniejszych od Kasi. Marek, ten asystent z psychiatrii, zadzwonił do mnie natychmiast po tamtym incydencie... Nie, nie wsiadłem wtedy od razu do samochodu, chociaż dobrze wiedziałem, że powinienem tak zrobić. Następnego dnia miałem jeszcze jeden wykład, a to wydawało mi się wtedy jeszcze ważne. Próbowalem

dzwonić, ale Kasia miała wyłączoną komórkę. Zostałem w tym zasranym mieście, żeby wygłosić jakiś kolejny nudny wykład, dla paru nędznych punktów, których mi jeszcze do czegoś tam brakowało... Poszedłem na bankiet ze znajomymi naukowcami, zamiast jechać do Polski, do Kasi. Kretyn! Snob! Idiota! Kompletny egoista! Włóczyłem się ulicami Paryża, walcząc ze sobą. Ty byłeś jak zawsze na miejscu, na ciebie mogła zawsze liczyć, byłeś jak jej cień. Niezawodny, pewny... Rozumiesz, co mówię? – spojrzał na mnie pytająco.

Słuchałem uważnie, próbowałem go zrozumieć.

– Byłeś lepszy... – Romek mówił dalej. – Ja, wychowany na snoba, musiałem się od was wszystkiego uczyć. Ty chyba miałeś tę miłość zakodowaną w genach. Ty byś pojechał bez względu na wszystko, ty byś jej nigdy tak nie zostawił. Na tobie mogła zawsze polegać... – mówił bez cienia ironii. – Następnego dnia w trakcie przerwy w wykładzie dostałem od Katarzyny SMS-a. Czytałem go i czytałem, chyba z kilkanaście razy. Na początku rozumiałem tylko, że spędziliście razem noc, że wybrała, ale później była jeszcze plątanina słów układających się w idiotyczną, niezrozumiałą całość. Wybrała ciebie, a ty jej nie rozumiałeś. Wybrała ciebie, a ty pozwoliłeś jej odejść. Nie zrozumieliście się... Zabrakło jakichś słów, a może o jakieś było za dużo. Pamiętałeś naszą umowę, wycofałeś się, jak zawsze prawy i rycerski do bólu... – mówił spokojnie. – A ja nie miałem odwagi Kasi o tym powiedzieć, nie miałem odwagi nic wytłumaczyć, do niczego się przyznać. To ja nie wywiązałem się z naszej umowy. Rozumiesz? Ty zrobiłeś wszystko, żeby nie spotykać Katarzyny. Zorganizowałeś wszystko tak, żeby nie dać sobie i jej nawet najmniejszej szansy na rozmowę. Dla ciebie wszystko było proste i jasne. Nawet przez myśl ci nie przeszło, że może być inaczej. Powiedziałeś Wolskiemu, że ze względu na egzaminy dyplomowe nie będziesz przychodził popołudniami do kliniki. Gdy wracałeś od profesora, zobaczyłeś mnie na korytarzu. Odwróciłeś się na pięcie, cofnąłeś się, wyszedłeś tylnym wyjściem. Nie chciałeś się ze mną spotkać, nie chciałeś, a może nie miałeś sił rozmawiać. Parę razy próbowałem do ciebie zadzwonić. Nigdy nie odebrałeś. Zacząłeś się staczać – alkohol, panienki... Każdego dnia niżej, każdego dnia gorzej, bliżej dna. Stałeś się bohaterem wszystkich uczelnianych plotek. Nikt by cię w tym nie zdołał pobić, mistrzostwo świata w osiągnięciu dna.

Nie musiał mi tego przypominać, pamiętałem aż za dobrze.

– Dla Kasi ja stałem się wtedy tarczą. Miała status mojej dziewczyny. Wszędzie chodziliśmy razem. Staliśmy się prawie nierozłączni. Splecione ręce, pocałunki, czułe gesty... Wszystko na pokaz, dla innych. Para świetnych aktorów grających w sztuce o miłości. Tylko że ja nie grałem... Z dnia na dzień coraz trudniej mi było powiedzieć jej prawdę, z dnia na dzień odwlekałem tę rozmowę – mówił jakoś dziwnie, co chwila zerkał w moją stronę.

– Zastanawiałem się często nad tym, jak ty zachowałbyś się na moim miejscu. Ty byś nie wykorzystał tej sytuacji, ja też jej nie wykorzystałem... – mówił cicho. – Kiedy byliśmy sami, nie było pocałunków ani splecionych rąk. Nie chciałem niczego, co nie było przeznaczone dla mnie. Potem była moja habilitacja i wielkie przyjęcie, był wasz bal absolwentów, był pierścionek... Zostawiłem Kasi moje mieszkanie... Nie chciała wyjechać ze mną. Powiedziała, że później... Nie miałem złudzeń, dobrze wiedziałem, że

ona cały czas czekała na ciebie. A później ten dureń wymyślił to nagranie. Że też ziemia nosi takich idiotów! – Romek nawet teraz, po tak długim czasie, nie potrafił pohamować złości. – Kasia poprosiła, bym po nią przyjechał. Myślę, że zaczęła bać się sama siebie. Wyjechaliśmy na wakacje. To były cudowne dni, mój niezasłużony prezent od Pana Boga. Pamiętam, jak podczas jednej z naszych wycieczek zatrzymaliśmy się na parominutowy postój. Właściwie nie rozmawialiśmy wcześniej, wymienialiśmy tylko pojedyncze słowa. Do tamtej pory nie było jakoś okazji do poważnej rozmowy. Staliśmy na moście w Šibeniku. Gdzieś tam w oddali, w dole, rozciągało się urokliwe miasteczko z wąskimi uliczkami, ciasną zabudową i mnóstwem śródziemnomorskiej zieleni. Słońce powoli zbliżało się ku zachodowi. Zacumowane w porcie żagłówki kołysały się na wodzie, której barwa w promieniach zachodzącego słońca przechodziła powoli z przyjaznego błękitu w granat. Kasia stała oparta o barierkę mostu.

Mówił powoli, starannie dobierając słowa, aby w swym opisie nic nie uрониć z obrazu, który stale miał jeszcze przed oczyma.

– Był leniwy, cudowny letni wieczór, a mnie jedna rzecz nie dawała spokoju, przeszkadzała, dręczyła, wracała bez przerwy, nie pozwalała się niczym cieszyć. Musiałem się dowiedzieć – dlaczego? Dzwoniłem każdego dnia. Wiedziała, że jestem, że czekam, że zawsze będę na nią czekał, że tęsknię... A jednak... W końcu zdobyłem się na odwagę, żeby zapytać.

– Kasiu, dlaczego chciałaś to zrobić? – mimo emocji chciałem, żeby zabrzmiało to spokojnie, neutralnie.

– Ale co? – spytała spłoszona.

– No wiesz przecież... Musisz wiedzieć, o czym mówię.

– Skąd wiesz? – odwróciła się zaskoczona.

– Dzwonił do mnie Robert.

– Bzdura! Nie znasz Roberta? On zawsze przesadza. Wydawało mu się... To był przypadek... Ten kierowca jechał trochę za szybko, padał deszcz, szłam po krawężniku, ześlizgnęła mi się noga... Czysty przypadek... – motała się coraz bardziej.

Spojrzała na mnie. Jej duże czarne oczy były pełne łez.

– Nie wiem – szepnęła nagle. – Naprawdę nie wiem, sama się tego przestraszyłam. Chyba przestałam się kontrolować. Zrobiło mi się nagle tak strasznie smutno. Nagle pustka, zupełnie nic... Nawet wspomnienia straciły swój sens. Pewnie nie powinnam ci tego mówić, to przecież idiotyczne, że rozmawiam o tym właśnie z tobą – mówiła niepewnie. – Wiesz, to było trochę tak, jakby nagle runął cały mój świat. Ile razy w życiu można upadać, ile razy można się dźwigać? Kiedyś już tak było. Może nie tak, może podobnie. Moi najbliżsi zginęli w wypadku. Nagle w ciągu paru minut zniknęło wszystko, zostałam sama, nic nie miało już sensu, nic nie dawało radości, każdy dzień był szkołą przetrwania. Uciekłam z Gdańska, tam wszystko kojarzyło mi się z nimi. Nie mogłam, nie umiałam tam żyć. Szum morza, plaże, krzyk mew, morska bryza... Wszystko, co kiedyś tak bardzo kochałam, nagle zaczęło sprawiać ból. Zmieniłam uczelnię, poznałam nowych ludzi, powoli nauczyłam się żyć na nowo. Na początku bardzo mi pomogła babcia Wanda, a później to Michał zbudował mój nowy świat. Michał był jak opoka. Znowu czułam się bezpiecznie, znowu nauczyłam się śmiać... Świat przestał być czarno-biały, wszystko znów



nabrało barw. Dawno zapomniane słowa nabrały nowych znaczeń. Potem Michał ożenił się, ale dla mnie był przyjacielem zawsze i na zawsze. Nagle okazało się, że to tylko pozory, gra, że ten zbudowany przeze mnie świat jest jak domek z kart... Wystarczyła chwila i nie było już nic. Ja wiem, że nie powinnam ci tego mówić – popatrzyła na mnie z lękiem. – Na pewno nie z tobą powinnam o tym rozmawiać... – zamilkła nagle.

Odwróciła głowę. Staliśmy obok siebie. Na żaglówkach w dole powoli zapalały się pierwsze światła. Czerwona kula słońca zdążyła już dawno zniknąć. Na przechodzącym stopniowo z atramentowego błękitu w granat niebie różowo-złote chmury odbijały ostatnie zabłąkane promienie zachodzącego słońca.

– Kaśka, to nie mogło być tak, jak myślisz. Ja to wiem, jestem tego pewny. Napisz do Michała! On czeka na jakikolwiek twój znak.

– Coś ty! – prawie krzyknęła. Odwróciła się do mnie gwałtownie. – Nigdy! Słyszysz? Po tym wszystkim miałabym do niego napisać? Nigdy!

– To jakieś straszne nieporozumienie – starałem się jej przerwać. – Wiesz, my kiedyś...

Nie chciała słuchać. Chciała jechać dalej. W swym żalu do całego świata nie chciała słuchać o tobie, o mnie, o nikim... Po dniu spędzonym w Plitvicach napisała do ciebie pierwszy list. Poprosiła, żebym go przeczytał. Siedziała naprzeciw mnie, nie spuszczała ze mnie wzroku. Czytałem powoli, przeżuając każde słowo. Nie było łatwo, ale to był w końcu mój pomysł.

– List zakochanej dziewczyny do równie zakochanego faceta – zażartowałem. – Dla mnie super. Szkoda tylko, że nie do mnie...

W twierdzy w Omišu opowiedziałem jej o naszym meczu. Nie było mi łatwo. Starałem się nie patrzeć na Katarzynę. Bałem się, że w ostatniej chwili stchórzę, że zdezerteruję, że nie powiem prawdy... Trudno opowiadać o własnej głupocie. Trudno przedstawiać siebie samego jako totalnego, emocjonalnie niedojrzałego idiotę. Kasia chłonęła każde moje słowo. Na jej twarzy najpierw pojawiło się niedowierzanie, później nieme zdumienie, a na końcu złość.

– Jak mogliście? Jak mogliście? I wy uważaliście się za moich przyjaciół? – prawie krzyczała. – Jak mogliście traktować mnie jak rzecz, jak zabawkę, jak przedmiot hazardu...

Nie zaskoczyła mnie swoją reakcją, właśnie takiego wybuchu złości i żalu się spodziewałem.

– Myśmy przerwali ten mecz – próbowałem nas jeszcze bronić. – Oni tutaj poszli dalej... Napisz do Michała! Trzeba się spotkać.

Napisała i ja napisałem. Bałem się, że jeśli otrzymasz list tylko od niej, to nie przyjedziesz. O Boże, Michał... Więc nie byłeś wtedy w Splicie? Powiedz, że to nie jest prawda...

Nie stał już przy oknie. Nie wędrował po pokoju. Stał przerażony tuż przede mną.

– To nie może być prawda... – powtarzał w kółko.

– O tym, że miałem do was wtedy przyjechać, dowiedziałem się kilkanaście dni temu... Ktoś inny zdecydował za mnie, za ciebie, za Katarzynę. Nie dostałem wtedy żadnego listu. Ponoć po moim wyjeździe nie przychodziła do mnie żadna korespondencja – starałem się mówić spokojnie, chociaż, podobnie jak on, byłem coraz bardziej zdenerwowany. – Nie

miałem pojęcia o listach Katarzyny. Nie wiedziałem, że na mnie czekacie. Nie miałem nawet pojęcia, gdzie jesteście. Byłem pewny, że od dawno przestałem dla was istnieć...

– O Boże, to niemożliwe... – Roman powtarzał w kółko monotonnym głosem. – To się nie mogło stać... – spojrzał na mnie. – Było mi przykro, przez ten cały czas było mi bardzo przykro. Ciągle zastanawiałem się, co takiego zrobiłem, że nie poczekaliście wtedy na mnie, że nie zadzwoniliście, że nie zaprosiliście mnie na ślub... Wiedziałem, że to do was niepodobne, że coś tu nie gra. Boże, ależ to wszystko się pogmatwało...

Usiadł tuż przy mnie. Przestał się miotać i krzyczeć. Patrzył gdzieś przed siebie.

– Niesamowite, przyjechałeś mi pomóc, chociaż byłeś przekonany, że zabrałem ci Katarzynę.

To nie było pytanie i nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Siedział ze spuszczoną głową tuż obok mnie. Wyczerpała go ta choroba, a może wyczerpało go tych parę lat. Ta dzisiejsza rozmowa też go bardzo zmęczyła. Wyraźnie pobałdł.

– Połóż się, musisz trochę odpocząć. Przyjdę po południu... – rzuciłem niepewnie.

Nie zareagował, jakby w ogóle nie usłyszał tego, co mówię.

– O Boże, niemożliwe... – powtarzał w kółko. – To jest niemożliwe. To nie mogło się stać. Rano wróciliśmy z wyspy promem do Splitu. Kasia zachowywała się jak zwykle, może tylko rozmawialiśmy odrobinę mniej niż zawsze. Pewnie oboje byliśmy już myślami przy tym waszym spotkaniu. Cieszyła się na ten dzień. O szesnastej mieliście się spotkać w niewielkiej włoskiej restauracji na terenie pałacu Dioklecjana. Zabrałem tam kiedyś Katarzynę. Znałem dobrze tę restaurację, miły włoski właściciel był kiedyś moim pacjentem. Śmiał się, że do końca życia mogę jadać w jego restauracji na koszt firmy. Miłe wnętrza, na ścianach włoskie pejzaże, dużo zieleni, świetna kawa... Podwiozłem Kasię do granic pałacu. Chciałem na chwilę wpaść do kliniki. Przez ten mój niespodziewany urlop nagromadziło się wiele niezłatwionych spraw. Zwlekała z wysiadaniem z samochodu, coś ją męczyło. Spytała, czy nie mógłbym z nią pójść. Obiecałem, że przyjadę do was za jakieś dwie, trzy godziny, że później będziemy już razem... – mówił szybko, coraz szybciej. – Boże, gdybym ja jej wtedy posłuchał. Nie chciałem wam przeszkadzać. Wszystkie te sprawy w klinice to był tylko pretekst, musiałem przecież jakoś spędzić ten czas. Kasia wysiadła, obeszła samochód i przystanęła przy nim od strony kierowcy: „Dziękuję...”. „Za co ty mi dziękujesz, Kasieńko?”. Przeszła parę kroków, odwróciła się, pomachała mi ręką, przesłała buziaka. Nie ruszyłem od razu. Patrzyłem, aż zniknie w bramie prowadzącej na teren pałacu... To wszystko – spojrzał na mnie. – Nie widziałem jej już nigdy więcej. Gdy przyszedłem po dwóch godzinach, włoski znajomy zapewniał mnie, że nie było was w jego restauracji, że czekał na was zgodnie z naszą umową, ale nie przyszliście. Był nawet tym bardzo rozczarowany. Pomyślałem, że musieliście się spotkać przed restauracją. Boże, a potem przez te cztery lata wymyślałem setki bzdur, które nie mają już teraz żadnego znaczenia... – zamilkł.

Wszystko zostało już powiedziane. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wszystko już sobie wyjaśniliśmy. Wszystko było jasne z wyjątkiem tego, że nikt z nas nie wiedział, gdzie jest teraz Katarzyna.

Wolskiego znalazłem w salonie. Czekał, nie udawał, że czyta gazetę ani że jest bardzo zajęty. Myślę, że spodziewał się tej rozmowy. Musiał się jej spodziewać.

– Jak tam spotkanie po latach? – Głos mu drżał, był wyraźnie zdenerwowany. – Anna szykuje obiad. Za chwilę poda do stołu. Może napijesz się kawy? Powiem Ani, żeby zrobiła też dla Romka. Przyjechałeś rano. Nic jeszcze nie jadłeś...

Usiadłem, nie czekając na zaproszenie. Za bardzo byłem wściekły, żeby odezwać się od razu. Próbowałem przypomnieć sobie wszystkie cudowne rady Petera na temat zgubnych wpływów nieokiełznanych emocji na nasze życie. Chyba nie do końca udało mu się zrobić ze mnie Niemca, bo te powtarzane dziesiątki razy rady teraz nie działały. Bałem się, że jeśli się odezwę, to przestanę się kontrolować, że wykrzyczę z siebie całą tę lawinę słów, których potem będę żałował. Gotowało się we mnie. Kto, do cholery, dał Wolskiemu prawo w ten idiotyczny, nadopiekuńczy sposób ingerować w nasze życie? Przez pięć lat grał komedię! Nie kłamał, ale nie kłamiąc, też można manipulować. Milczał, ale milcząc, też można kogoś zabić. Nigdy nie było żadnych rozmów o Katarzynie. Dla Romka pozory, że Kasia jest ze mną. Dla mnie gra, że Katarzyna w Chorwacji. Ze mną żadnych rozmów o Romanie. Romkowi żadnych wiadomości o mnie. Dlaczego on to robił? Był u mnie parę razy. Widział mój dom. Mówił, że to nienormalne, że buduję sobie świat fikcji jako odskocznnię od rzeczywistości, że to pogranicze patologii, że to jak początek schizofrenii – jeden świat na zewnątrz, drugi, fikcyjny, w domu. Widział stojące prawie wszędzie zdjęcia Katarzyny. Wiedział, że w moich uczuciach nic się nie zmieniło, nic nie wyblakło i nie wypłowiło, nic nie przeminęło z wiatrem, niczego nie zmienił miniony czas... Wiedział i mimo wszystko milczał. Patrzyłem na niego spode łba. Czekał na to, co powiem, czekał na atak. Skulił się w sobie, jakby zmałał. Nagle, sam nie wiem dlaczego, zrobiło mi się go żal.

– Chyba nie mamy specjalnie o czym rozmawiać – sam nie mogłem uwierzyć, że to mówię. Wstałem, ruszyłem w kierunku drzwi. – Idę się trochę przejść. Obiad zjem na mieście. Proszę przeprosić panią Anię. Teraz nie jestem głodny. Po południu wpadnę do Romka.

Wolski przyglądał mi się zaskoczony. Znał mnie dobrze, nie tego się pewnie po mnie teraz spodziewał.

– Nie rozumiem, panie profesorze, a jeśli nie rozumiem, to i nie mogę oceniać. – Muller byłby ze mnie dumny, pomyślałem.

Wyszedłem szybko. Bałem się, że jeszcze chwila, a prawdziwy „ja” we mnie zwycięży.

Zapukałem do drzwi pokoju Romana. Nie położył się. Stał przy oknie. Wzdrygnął się, gdy usłyszał, jak wchodzę.

– Miałeś się położyć... – rzuciłem pozornie obojętnie.

– Chyba nie dam rady... – stał dalej odwrócony do mnie plecami. Zapatrzony gdzieś daleko przed siebie.

– Ile Kasia miała wtedy przy sobie pieniędzy? – spytałem.

– Nie wiem dokładnie – odwrócił się zaskoczony. – Skąd mam wiedzieć? Nigdy nie nosiła ze sobą większej sumy. Nie cierpiała też kart kredytowych...

– Miała obsesję, że je zgubi – dokończyłem za niego.

– Właśnie – mimo woli uśmiechnął się. – Trochę mnie to denerwowało. Zawsze

pytałem, co będzie, gdy nagle przyjdzie jej ochota coś kupić, gdy nagle pojawi się taka konieczność.

– Odpowiadała, że zawsze można przecież przyjść jeszcze raz – wpadłem mu w słowo. Mimo wszystko zaczęliśmy się śmiać. – Czasami to super, że ludzie się nie zmieniają. Nie miała szansy pojechać do Polski. – Patrzył na mnie zaskoczony. – Wysil intelekt! Wolski ma tu szybkie internetowe łącze. Sam niedawno z niego korzystałem. Ty mówisz po chorwacku... Poszukaj! Może uda ci się cokolwiek znaleźć. Stare artykuły z gazet z tego feralnego dwunastego czerwca... Nie ma innej możliwości. Musiało się wtedy coś wydarzyć. – Patrzył na mnie, jakby nie rozumiał moich słów. – Roman, przecież my nie możemy tego tak zostawić...

\* \* \*

Miałem już swój plan. Nie ma nic gorszego niż beczynność. Wpadłem do Roberta do kliniki. Znalazłem go bez większego trudu. Siedział ze zdeglustowaną miną na izbie przyjęć, sporządzając notatkę z wywiadu przeprowadzonego z jakimś przed chwilą przyjętym pacjentem.

– Ty znowu w Polsce? – tym razem ucieszył się naprawdę. – Wcześniej kijem by cię tu nie zagonił... A więc udało ci się. Jesteś naprawdę wielki... – zabrzmiało przyjaźnie. – Ależ wkurzyliście Iwańskiego. Miałem pecha, że się wtedy nawinałem. Nikt mu jeszcze tak nie utarł nosa. Wrzeszczał, że jesteś bezczelnym, aroganckim gówniarzem, że ci odbiło na Zachodzie, że się uważasz za nadczłowieka i że z czasem jeszcze nauczysz się naukowej pokory... Wolskiego dla odmiany nazwał starym, sentymentalnym głupcem. Iwański był pewny, że Sosnowski nie przeżyje nawet transportu. Po tym jak się wam udało, usłyszałem, że nawet ślepej kurze może trafić się ziarnko. Ależ jestem z was dumny... – mówił z nieukrywaną radością. – Pewnie Iwański teraz do końca życia nie przyjdzie na radę uczelni, żeby przypadkiem nie spotkać profesora Wolskiego.

Było miło, ale mnie czas gonił. Nie chciałem przedłużać. Przyszedłem tu w końcu w pewnej ściśle określonej sprawie.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest teraz Katarzyna? – Reakcja była piorunująca. Oczy zrobiły mu się duże i okrągłe ze zdziwienia, wpadł prawie w bezdech.

– Kpisz ze mnie? – wykrztusił z trudem. – No przecież w Chorwacji.

– Prawda dzieli się na prawdę i gówno prawdę. To, niestety, jest gówno prawda...

Nie mógł tak grać. On naprawdę nie wiedział. Siedział otumaniony, zdruzgotany. Nie rozumiał, co się stało. Był przerażony. Czuł się winny.

– Mam prośbę. – Popatrzył na mnie błędnym wzrokiem. – Ty tu żyjesz, spotykasz się z dawnymi przyjaciółmi. Obdzwoń ich – Honoratę, Mariusza, Aśkę, Artura... Wszystkich, z którymi utrzymujesz jakikolwiek kontakt. Kaśka była bardzo lubiana. Miała wielu przyjaciół. Może ktoś coś wie? Może z kimś się kontaktowała? Może ktoś coś słyszał? Może ktoś spotkał ją przypadkiem? Nikt przecież nie może tak nagle zniknąć bez śladu. Rusz się... – Wstałem. – Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Byłem pewny, że nim zdążę zamknąć za sobą drzwi, on już zacznie dzwonić. Pod wieczór dostałem od niego wiadomość. Było dokładnie tak, jak przypuszczałem – nikt

o niczym nic nie wiedział. Dla wszystkich przyjaciół Katarzyna wyjechała z Romanem do Chorwacji i nigdy później już się nie odezwała.

\* \* \*

Zastałem ich obu w salonie. Myślę, że przerwałem jakąś zagorzałą dyskusję, bo obaj wyglądali na bardzo zdenerwowanych.

– Przeszkadzam?

Niepotrzebnie spytałem. Czułem przecież, że przeszkadzam.

– Ty? Nigdy! – Wolski wyglądał na bardzo zadowolonego. Chyba tym moim nagłym wtargnięciem do pokoju trochę mu w czymś pomogłem. – Tak sobie tu wymieniamy poglądy. No wiesz...

Dyskusja na pewno nie była naukowa. Naukowe dyskusje z rzadka budzą aż takie emocje i na pewno nie u nich. W sprawach zawodowych rozumieli się zawsze doskonale. Roman był uczniem Wolskiego, profesor dla Romana niepodważalnym autorytetem. Wolski pewnie dopiero co wrócił z uczelni. Był jeszcze nienagannie ubrany – w garnitur, koszulę... Teraz pospiesznie rozpiął guziki pod szyją, poluźniał krawat. Romek siedział nad filiżanką dawno już zapewne wystygłej kawy. Nerwowo stukał palcami po stole. Palce poruszały się szybko, jak po klawiaturze, jakby grał. Przymknął oczy... Gra, pomyślałem, gra jak kiedyś, gra coś, co ma go zapewne uspokoić, oddalić od nas, przenieść w inny, może lepszy świat. Raz w życiu słyszałem Romana grającego na fortepianie. Było to przed sześciu laty na kongresie, po wykładzie poświęconym pamięci profesora Januszewskiego. Siedziałem wtedy obok Katarzyny. Pamiętam, jakby to wszystko było zaledwie wczoraj – zatłoczona sala, mnóstwo ludzi, wiele wspomnień, wiele ciepłych słów... Potem na scenę wyszedł Roman. W pamięci widziałem jego ciemne spodnie, białą koszulę, czuprynę jasnych włosów spadających mu niesfornie na czoło... Młodość, która naturą rzeczy przychodzi na miejsce tych, którzy odchodzą. W ręku Romek trzymał czerwoną różę, którą po chwili położył na wieku fortepianu. To było jak hołd młodych oddawany temu, którego już wśród nas nie ma. Usiadł i pochylił się nad klawiaturą. Zgasły światła. Na parę sekund zapanowała zupełna ciemność. Ciemna scena, ciemna widownia i pojawiający się powoli niewielki jaśniejszy krąg. Nie było widać nic innego, był tylko on i jego fortepian. Zabrzmiały pierwsze tony. Na scenie nagle zapłonęły dziesiątki świec. To było jak opowieść o życiu i o przemijaniu. Dzieciństwo – wesołe tony, skoczne dźwięki, wplątane fragmenty dziecięcych piosenek, wyliczanek i gier, później okres młodzięczy – trochę zaczepnie, trochę burzliwie, trochę romantycznie, okres wojny – powietrze drżące od wybuchów, tęsknota, rozpacz, nadzieja i coraz więcej i więcej tej nadziei. Na widowni zapadła kompletna cisza. Nikt nie szeptał, nie szeleściły żadne papierki, nikt nie wychodził... Wszyscy słuchali w skupieniu. Dźwięki uspokajały się, stawały się coraz cichsze, coraz bardziej jednostajne, przypominały monotonię modlitwy, może różańca... Coraz ciszej i ciszej... aż zupełnie nic. Nagła cisza aż dzwoniąca w uszach. Pustka. Koniec. Romek wstał. Z trzaskiem zamknął wieko fortepianu. Wyszedł. Powoli zaczęły zapalać się światła. Może szkoda, że został lekarzem...

Teraz grał na widzianej tylko oczyma wyobraźni klawiaturze. On pewnie słyszał

dźwięki. Pewnie odgradzał się nimi od Wolskiego, ode mnie, od całej rzeczywistości...

– Chyba jednak przyszedłem nie w porę – próbowałem się wycofać. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie będę nocował...

Profesor spojrział na mnie zdziwiony.

– A ty co znowu? Co was dzisiaj napadło? – Wolski był wyraźnie rozdrażniony. – Jeden powinien jeszcze leżeć w szpitalu, jest na immunosupresji, zabić go może właściwie wszystko, a za wszelką cenę chce natychmiast jechać do Chorwacji, a drugiego to już zupełnie nie wiem, gdzie niesie. Aż tak się stęskniłeś za Mullerem? – Był wyraźnie zły. – Widzieliście się przecież wczoraj wieczorem. Peter też zdołał się już za tobą stęsknić, dzwonił do mnie po południu trzy razy. Włącz wreszcie tę swoją komórkę! Drażnisz go.

Miałem jedną nową wiadomość: *Michael, znalazłem coś, co powinno cię bardzo zainteresować. Wrzuciłem ci mailem na twoją skrzynkę. Zobacz! W pracy oczekuję cię najpóźniej w środę. Pozdrawiam. Peter.* Pod spodem był jeszcze dopisek: *Coś nie tak znowu z tą twoją komórką? Czyżby w Polsce nie było zasięgu? Z moją komórką było wszystko w porządku. Wyłączyłem ją, kiedy przekroczyłem próg kliniki, idąc do Roberta. Później zapomniałem włączyć. W Niemczech zawsze byłem dla wszystkich osiągalny. Służbowa komórka to pierwsza rzecz, jaką dostałem przed laty od Mullera. Nauczyli się, że można dzwonić zawsze, bez względu na porę dnia czy nocy. Zawsze namierzalny, zawsze do znalezienia, w pewnym sensie zawsze pod kontrolą. Z czasem zacząłem to akceptować: spałem z komórką położoną na nocnym stoliku, goliłem się z telefonem położonym pod lustrem, wsiadając do samochodu, włączałem automatycznie Bluetooth. Tam mnie to nie drażniło, należało jakby do tamtej rzeczywistości.*

– I co? – spytał Wolski, widząc, że czytam wiadomość.

– Znalazł coś ciekawego... Wrzucił mi na skrzynkę. Przeczytam później.

Nie miałem pojęcia, czego to może dotyczyć: naszych badań, zbliżającego się kongresu, mojej prezentacji, pracy ludzi w moim laboratorium, tego, co zamierza, robi lub zrobiła konkurencja, możliwości obniżenia kosztów, szanse pozyskania nowych funduszy... Nieważne, co to za informacje. Byłem pewny, że dotyczą one pracy. A do pracy wracałem dopiero za parę dni.

– Może chcesz teraz? Komputer jest jeszcze włączony. Romek przed chwilą od niego wstał.

Profesor próbował mnie zmobilizować do natychmiastowej współpracy z Mullerem.

– Nie, dziękuję, spieszę się. Wpadłem tylko na chwilę. Roman, udało ci się...

– Co mi się miało udać? – spytał rozdrażniony.

Przestał stukać palcami po stole. Popatrzył na mnie lekko nieprzytomnym wzrokiem. Coś kiepsko wygląda, przemknęło mi przez myśl.

– Michał, czego właściwie ja miałem szukać? Co miałem znaleźć w tych chorwackich gazetach? Znalazłem wszystkie gazety z dziewiętnastego czerwca. Przejrzałem kroniki policyjne i kroniki wypadków. Nigdy nie przypuszczałem, że to takie niebezpieczne miasto. Przemierzałem zwykle tylko drogę między kliniką a mieszkaniem. Zresztą najczęściej samochodem – mówił szybko. – W kronikach nic nie znalazłem, Bogu dzięki, nic. Obdzwoniłem wszystkie szpitale. Nikt o takim imieniu i nazwisku nie był hospitalizowany w tym czasie. Później zadzwoniłem jeszcze raz. W jednym szpitalu leczono wtedy jakąś

cudzoziemkę o nieznanym nazwisku i imieniu. Niestety, nie udzieliła żadnej informacji przez telefon. Połączyli mnie nawet z jakimś lekarzem, który bardzo formalnie poinformował mnie, że on wtedy tam jeszcze nie pracował, ale nawet gdyby pracował, to lekarzy obowiązuje przecież tajemnica lekarska. Myślę, że lepiej byłoby, gdybym udał się tam osobiście – mówił. – W końcu mnie tam znają. Myślę, że dotarłbym do ludzi, którzy to jeszcze pamiętają. Przez telefon to nie to samo... Ja też telefonicznie nie udzielam żadnych informacji.

– Romek – przerwałem mu. – Twoje: „osobiście” jest jeszcze przez pewien czas zupełnie niemożliwe. Jeżeli na ten temat dyskutowaliście z profesorem, to muszę...

– Dzwoniłem jeszcze – nie dał sobie przerwać, mówił dalej – na policję w Splicie. Można zgłosić zaginięcie, ale trzeba to zrobić pisemnie i najlepiej zgłoszenie złożyć u nich osobiście. Dyżurny oficer nie mógł pojąć, co takiego mogło się wydarzyć, że chcę to zrobić dopiero teraz, po blisko czterech latach od zdarzenia. Musiałem być mało przekonujący w moich wyjaśnieniach, bo twierdził, że nic nie rozumie... – Roman spojrzał wymownie w stronę profesora. – Jak miałem mu to wytłumaczyć, skoro i ja tego do końca nie rozumiem. Pan, panie profesorze, też jeszcze nie zdołał mi rzeczowo tego wytłumaczyć! – Romek był coraz bardziej zdenerwowany. – Na koniec zadzwoniłem do polskiego urzędu, zajmującego się poszukiwaniem osób zaginionych. Zażądano ode mnie mnóstwa dokumentów, których i tak nie mamy, i oczywiście pisemnego zgłoszenia. Poinformowano mnie, że to bardzo trudna sprawa i już dość mocno przedawniona, że takich spraw mają bardzo dużo, że każda z nich wymaga mnóstwa czasu. Niespecjalnie powiało optymizmem... – Romek już dawno wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – W pewnym sensie to moja wina. – Nie zrozumiałem, o czym mówi. – Poczułem się urażony, nie zadzwoniłem, nie napisałem... Uniosłem się idiotyczną ambicją. Zachowałem się jak obrażone dziecko, jak totalny snob. Nie przewidziałem, że możesz nie przyjechać. Nie przewidziałem, że nie dostałeś listów, że ciebie tam w ogóle nie było. Rozumiesz? Czuję się winny, z godziny na godzinę czuję się coraz bardziej winny. Trzeba tam pojechać...

– Pojadę – wpadłem mu w słowo.

Zamilkł. Staął. Wydawało mi się, że w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Pojadę tam jutro – powtórzyłem. – Dzisiaj muszę jeszcze coś tutaj sprawdzić.

Przyglądał mi się z narastającym zdziwieniem.

– No, niezupełnie tutaj... Wiem, że Katarzyna nie kontaktowała się z nikim z dawnych znajomych. Ich zdaniem wyjechała z tobą i kontakt się nagle urwał. Nikt jej nie widział, nikt o niej nic nie słyszał, do nikogo ze starych przyjaciół nie napisała nawet paru słów, nie zadzwoniła. Myślę, że jest jednak ktoś, z kim na pewno utrzymuje kontakt. Byłem na poczcie. Wysłałem list, ale list to mało. Pojadę tam...

– Gdzie chcesz jechać? – Roman patrzył pytająco.

– Nad morze... Do babci Wandy. – Wydawał się nie rozumieć, a może nie pamiętać. – Katarzyna miała w dzieciństwie opiekunkę, która później, po śmierci jej rodziców, była dla niej najbliższą osobą. Byłem tam...

– Już pamiętam – przerwał mi. – Byliście tam latem, a później pojechaliście razem na święta.

– Chcesz teraz nocą jechać nad morze? – Wolski zdawał się zdruzgotany. – Wyście chyba powariowali. Zawsze mówiłem, że z tą dziewczyną to jakiś obłąd, jakieś przekleństwo... – dokończył ciszej. Pewnie dobrze wiedział, że żaden z nas go już nie słucha.

– Musisz coś zjeść – Roman ożywił się. – Powiem pani Ani, żeby ci przygotowała coś na drogę. Weź też termos z kawą. Połóż się na trochę, masz za sobą podróż z Niemiec i męczący dzień. Jeśli wyruszysz teraz, to będziesz nad ranem. Nie najlepsza to pora na odwiedziny... Nie wyłączaj komórki!

\* \* \*

Jadąc tam, czułem się dziwnie. Szkoda, że nie można cofnąć czasu, że nie można niczego przeżyć jeszcze raz. Nasze wakacje... Nasze Boże Narodzenie... Minuty szczęścia zbierane każdego dnia. Szczęśliwe chwile układające się w szczęśliwe godziny, szczęśliwe godziny składające się na dni, na ten cały niezapomniany czas. Świat przepełniony ciepłem, pełen słonecznych barw. Każdy uśmiech, każde spojrzenie, każdy ruch i gest przepełnione miłością. Żadne z nas nigdy nie mówiło tego, co czuje. Przyjaciele... W to miał wierzyć i wierzył cały świat. Przyjaciele... Dziwne słowo, które dla nas zmieniało swoje znaczenie każdego dnia. Gdzieś tam daleko od nas toczyła się moja sprawa rozwodowa. Gdzieś tam był Roman. Dla nas dwojga liczyło się tylko to, co było tu i teraz. Nie mogło być pocałunków ani czułych gestów, ale i tak świat kipiał miłością i erotyzmem. Później była tamta wspólna noc, a potem ten cały koszmar i te parę długich lat. Po południu spędziłem na poczcie ponad godzinę. Próbowałem napisać parę słów do babci Wandy. Przerosło mnie to zadanie. Zapiisałem mnóstwo stron. Mnóstwo pomiętych kartek wylądowało w koszu na śmieci. Ostatecznie wrzuciłem do skrzynki list, który i tak wydawał mi się bez sensu:

*Pani Wando, chciałbym do Pani przyjechać. Tamte chwile spędzone w Pani domu były najszczęśliwszymi chwilami mojego życia. Ludzie powinni ze sobą rozmawiać i oczekiwać sygnałów, że zostali dobrze zrozumiani. Teraz to już wiem. Przed laty nam tego z Kasią zabrakło. Myślałem, że rozumiemy się z Katarzyną bez słów. Emocje odegrały olbrzymią rolę. Oboje poczuliśmy się urażeni, odepchnięci w swoich uczuciach. Po raz pierwszy nie zrozumieliśmy się z Kasią. Zagubiliśmy się. Oboje przeżyliśmy koszmar. Raniłem ją każdego dnia, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłaby mi to w stanie wybaczyć. Wyjechałem. Zmieniło się wiele w moim życiu, w pewnym sensie zmienił się cały mój świat. Wyjeżdżając, spaliłem za sobą wszystkie mosty. Nie pozostawiłem sobie szansy odwrotu. Zresztą i tak nie miałem, gdzie i do kogo wracać. Jedyne, co się przez cały ten czas nie zmieniło, to moje uczucie do Katarzyny. Zasypiam w nocy i wstaję rano z obrazem Kasi przed oczyma. Mój dom urządziłem z myślą o niej... Bardzo chciałbym się z nią spotkać. Wiele razy przeżywałem już to spotkanie w snach. Wiele razy biegłem za kimś ulicą, bo wydawało mi się, że to ona. Wiele razy zatrzymywałem pospiesznie samochód, bo przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że gdzieś w tłumie mignęła mi jej postać... Byłem pewny, że jest z Romanem, że*



*jest szczęśliwa, że nie mam prawa nawet o niej marzyć. Przed ponad dwoma tygodniami otrzymałem stare listy Katarzyny. Przed paroma godzinami dowiedziałem się, że nigdy nie była z Romkiem, że przed laty chciała dać mi szansę, chciała się ze mną spotkać i porozmawiać. Pani jest jedyną osobą, która na pewno wie, co się dzieje z Katarzyną... Czy teraz, po latach dostanę jeszcze raz tę swoją szansę? Michał*

Zapomniałem podać swój adres. Dawno nie pisałem żadnych listów. W świecie komputerów, Internetu i komórek zanikła u mnie ta umiejętność. Uzmysłowiłem to sobie, gdy list był już w skrzynce. Na kartce pocztowej dopisałem jedno zdanie: „Muszę spotkać się z Katarzyną. Michał”. Tym razem pod spodem wpisałem adres i telefon. Pięć minut później byłem już pewny, że nie będę czekał na odpowiedź, że pojedę tam od razu.

Na miejsce dotarłem wczesnym rankiem. Powoli, jakby leniwie budził się nowy dzień. Słońce przedzierało się nieśmiało przez korony wysokich sosen. Piasek wydmy wydawał się ciężki i mokry od porannej rosy. Na kępach mchu błyszczały olbrzymie krople. Gdzieś tam pomiędzy drzewami rozciągały się mozolnie utkane, drżące pod ciężarem wilgoci pajęczyny. Cały las rozbrzmiewał świergotem ptaków. Z daleka dochodził delikatny szum fal. Po chwili las skończył się nagle, ukazała się piaszczysta ścieżka, którą można było zejść na szeroką dziką plażę. Morze było delikatnie pomarszczone falami. Niebo powoli przechodziło z szarości w kolor błękitu. Jakieś kilkanaście metrów od brzegu na falach unosiło się stado mew. Odetchnąłem głęboko. Ukochany świat Katarzyny... Jakby życie nagle na chwilę zwolniło swój bieg. Szedłem powoli, noga za nogą. Fale zabierały z mokrego piasku ślady mych stóp. Nagle pojawiło się wspomnienie, tak wyraźne, jakby to było zaledwie wczoraj. Katarzyna w krótkich spodniach z wyrzuconym przez morze kijem w ręce. Szliśmy obok siebie, rysując na mokrym piachu kształty zwierząt. Kilkanaście sekund między kolejnymi falami to czas na szybki szkic. Nagle w plątaniu linii zobaczyłem napis: „Ty i ja?”. Fala zamazała i zniszczyła wszystko. „Tak jak teraz na zawsze” – napisałem wyjętym z ręki Kasi patykiem... „Michał zawsze i na zawsze” – pisała później Katarzyna. Ależ musiałem ją zawieść... Z daleka zobaczyłem górujący nad wydmami, jakby wciśnięty pod ścianę lasu, dom babci Wandy. Wbiegłem ułożonymi z szerokich drewnianych pali schodami. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanąłem przed furtką. Była zamknięta, a wisząca na niej duża kłódka nie pozwalała się łudzić, że ktoś jest w środku. Podwórko było czyste i uporządkowane, trawa nie za wysoka, jakby ktoś był tu jeszcze niedawno, jakby wyjechał nie dalej niż przed paroma dniami. Przeskoczyłem przez płot. Zajrzałem przez okno do kuchni. Nic się nie zmieniło, jakby czas zatrzymał się przed laty – szeroki drewniany stół, drewniana ława, na stole haftowany obrus, duży zegar stojący w rogu, zdjęcia Katarzyny na ścianach. Ten dom na pewno nadal należał do babci Wandy. Obszedłem go dookoła – kwiaty na parapetach, kwiaty w olbrzymich donicach przed domem. Ktoś musiał je podlewać, ktoś musiał tu bywać prawie codziennie. Zajrzałem przez okna do dawnego pokoju Katarzyny: łóżko przykryte wełnianą kapą w niebieskie, granatowe i białe kwadraty, duża stara szafa z błękitnymi drzwiczkami malowanymi w chabrowe bławatki, na stole biały obrus haftowany w niebieskie kwiaty, na ścianach zdjęcia Katarzyny – rozkoszna mała dziewczynka z długimi warkoczami i umorusaną czekoladą buzią, sześćioletnia Kasia po raz pierwszy na

nartach, kilkunastoletnia dziewczyna odbierająca puchar na pływackich zawodach, powiększone zdjęcie Kasi z uczelnianego tableau i... W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ona żyje! Ona żyje na pewno! Boże, jak mi ulżyło! Od wczoraj cały czas, gdzieś tam w środku, w podświadomości czułem lęk, że stało się coś strasznego, coś nieodwracalnego, że jej już nie ma... Nie chciałem przyznać się do tego nawet przed samym sobą. Nie mówiłem tego głośno, odpychałem tę myśl od siebie, ale ona wracała w kółko, bez końca. Nie mogłem się od niej uwolnić. Romek myślał pewnie podobnie. Rozdrażniony, zdenerwowany i pełen poczucia winy, musiał myśleć tak samo. Powtarzał w kółko, że coś musiało się stać na tym krótkim odcinku pomiędzy bramą prowadzącą od zachodniej strony na teren pałacu Dioklecjana a tamtą włoską restauracją, że te kilkaset metrów rzymskiego bruku musiało być świadkiem jakiejś tragedii. I nagle teraz to zdjęcie... Ona żyje! Ona gdzieś tam jest! To musi być Chorwacja. Tego zdjęcia wcześniej na pewno tu nie było. Katarzyna jakby trochę inna, jeszcze szczuplejsza niż pamiętam, jeszcze drobniejsza niż kiedyś, z odrobinę krótszymi włosami, w błękitnej obcisłej sukience. Mokre włosy opadają jej na ramiona, krople wody wydają się ściekać po tkaninie, znacząc na jej błękitnie ciemniejsze plamy. Wilgotny materiał opina ciało. Sukienka starym zwyczajem jest jakby odrobinę za krótka, jakby zbyt kusa, by zakryć mocno opalone uda. Dziewczyna śmieje się, wyciągniętymi dłońmi rozbija lecący w jej stronę strumień wody. Woda bryzga na boki. W ostrym słońcu połyskuje tęczyowy wachlarz utworzony z niezliczonej ilości unoszących się w powietrzu małych kropli. W tle widać jakieś ruiny. Białe, grubo ciosane kamienie ograniczają niskim murkiem jakąś kamienistą, dziwnie wygładzoną drogę. W oddali samotna kolumna z doryckim zwieńczeniem, jakby przez przypadek stojąca w towarzystwie śmigających odważnie w górę cyprysów. To nie tamte ich wakacje. Tutaj Kasia wygląda inaczej niż na zdjęciach z portfela Romana. To musiało być później.

Zrobiłem komórką zdjęcie. Spojrzałem krytycznie. Może nie wyszło najlepiej, ale Katarzynę widać było dokładnie. Wysłałem Romkowi z dopiskiem: *Tu nie ma nikogo. Dom jest pusty, ale widziałem przez okno zdjęcie. To chyba nie jest z tych waszych wakacji. Ona żyje!* Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. *Nie znam tego zdjęcia, ale znam to miejsce. To starożytne źródło w Salonie. Nigdy tam nie byłem z Katarzyną. Ona żyje! Dziękuję, Michał, więc ty też myślałeś... Bogu niech będą dzięki!*

Zszedłem na plażę, ruszyłem w kierunku kościółka. Musiałem jeszcze coś sprawdzić. Nagle ogarnął mnie dziwny niepokój, coraz bardziej nasilający się lęk, powoli wszechogarniający mnie strach. Nawet otaczająca przyroda nagle zaczęła potęgować to przecucie, jakby miała podobne zdanie. Niebo poszarzało, wiatr stał się mocniejszy, drobiny piachu zaczęły uderzać mnie w twarz. Plaża wydała mi się jeszcze szersza niż kiedyś, jeszcze bardziej opustoszała, jeszcze bardziej dzika. Ani śladu człowieka, tylko biegające po plaży ptaszyska, wzbijające się w górę z charakterystycznym krzykiem, pikujące w dół w nadziei zdobycia pożywienia. Szedłem szybciej i szybciej, i jeszcze szybciej, w końcu zacząłem biec. Musiałem to sprawdzić. Wspiąłem się na stromą skarpe wiodącą do kościółka. Pchnąłem bramę, otworzyła się z przeciągłym skrzypnięciem. Obszedłem budynek. Wszystko wydawało mi się jeszcze bardziej zaniedbane niż przed laty: wysokie chwasty sięgające prawie do pasa, od dawna niekoszona trawa, która

zdążyła się już gdzieś położyć pod ciężarem kwiatów i nasion, powyłamywane sztachety w płocie, pęknięte szyby w oknie kościoła... Chyba już dawno nie odprawiano tu żadnych nabożeństw. Cementarz wyglądał podobnie – jak okiem sięgnąć, wysokie chwasty i trawa zagłuszające i przykrywające wszystko. Tu i ówdzie widać było pojedyncze bryły grobowców, jakimś cudem przebijające się przez zarastające wszystko rośliny. Chyba od dawna nikt tu już nie przychodził. Poszukałem tamtego grobu. Tu dla odmiany musiał ktoś bywać – powyrywane chwasty i kępy traw, jakiś okopcony znicz, kamienny motyl wznoszący ku słońcu skrzydła, próbujący nadal bezskutecznie oderwać się od kamiennej tablicy i ten napis: „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”, trzy daty urodzin i jedna data śmierci... Trzy daty urodzin i jedna data śmierci, powtórzyłem bezwiednie w myślach. Nic się nie zmieniło. Chwała Bogu!

Podjechałem pod plebanię miejscowej parafii. Proboszcz właśnie wychodził. Wydawało mi się, że gdzieś się spieszy. Nie cofnął się do kancelarii. Przyjął mnie na ganek. Spytałem o babcię Wandę.

– Pojechała do sanatorium. Wróci za jakieś trzy tygodnie. Moja gospodyni dogląda jej domu. Pan to chyba z daleka? – Patrzył wymownie na mój samochód.

– Tak, teraz to z daleka – odpowiedziałem prawie automatycznie. – Nie wie ksiądz proboszcz przypadkiem czegoś o Katarzynie?

Spojrzał na mnie uważnie.

– Ja tu jestem od niedawna. Objąłem parafię przed rokiem. Nie znam jeszcze wszystkich. Wiem, że to przybrana wnuczka pani Wandy. Nie mieszka tu. Nie jest moją parafianką – próbował tłumaczyć.

– Nie wie ksiądz, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Nie, nie wiem. Pani Wanda często daje na msze za nią – dodał ciszej. – Najpierw dawała za jej odnalezienie, teraz za jej zdrowie...

Przyglądał mi się z coraz większym zainteresowaniem. Miałem wrażenie, że on wie o wiele więcej, że zastanawia się tylko, czy może mi to powiedzieć.

– A pan właściwie kim jest?

– Kolegą – skłamałem odruchowo. – Kiedyś studiowałem razem z Katarzyną. Byliśmy w jednej studenckiej grupie. Później po studiach jakoś nasze drogi się rozeszły. Wszystko się nam bardzo pokomplikowało... Miałem spotkać się z Katarzyną... Coś nie wyszło – nie byłem przygotowany na to pytanie i zacinałem się coraz bardziej.

Patrzył na mnie z rosnącym zainteresowaniem. Nigdzie się już nie spieszył, nigdzie nie wychodził. Szerokim gestem zaprosił mnie na plebanię. Usiedliśmy przy stole w kuchni. Po chwili pojawiła się na nim herbata i ciasto z jabłkami.

– Bardzo chciałbym się spotkać z Katarzyną. Tak wiele spraw chciałbym jej wytłumaczyć... Na nic nie liczę i niczego nie chcę. Chciałbym tylko, żeby mnie wysłuchała, może i jej jest to potrzebne... – plątałem się coraz mocniej.

Ten człowiek miał w sobie coś niespotykanego. Nie wiem do końca, co to było. Szczery uśmiech? Ciepły blask w spokojnych oczach? Młode, pełne życia spojrzenie w pooranej zmarszczkami twarzy? Nie poganiał mnie i nie przynaglał. Nie zadawał już żadnych pytań. To ja nagle zacząłem opowiadać. Mówiłem, mówiłem i mówiłem... Mówiłem o faktach, o uczuciach, o myślach, nadziejach, nieporozumieniach... Jakbym chciał podzielić się

z nim moją miłością, jakbym chciał wyrzucić nagle z siebie cały ten ból, gniew, latami nagromadzony żal. Był księdzem, cóż mógł wiedzieć o miłości! Cóż mógł wiedzieć o tej całej burzy uczuć, która mnie nękała od wielu lat? Nie spuszczał ze mnie wzroku, słuchał. Dobrnąłem wreszcie do choroby Romana, do tych listów, do tego, że nikt nic nie wie o Katarzynie... Musiałem to kiedyś z siebie wyrzucić. Zrobiło się już późne popołudnie. Drzewa za oknami zaczęły rzucać coraz dłuższe cienie. Już dawno przestałem patrzeć w jego stronę. Skończyłem i ze spuszczoną głową czekałem na wyrok.

– Dobrym człowiekiem jesteś, Michał! – Powiedział: „Michał”? Wydawało mi się, że się przesłyszałem.

– Ksiądz zna moje imię?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko.

– I jak tam po tej spowiedzi? – spytał pogodnie. – Ulżyło? Trochę częściej trzeba, synu, rozmawiać z Panem Bogiem. Bóg cię nigdy nie zostawił, nie opuścił. Zawsze byliście razem.

– To była spowiedź? – spytałem zdziwiony. – Chciałem tylko...

– Wiem, wiem, chciałeś tylko wyrzucić z siebie to wszystko, a ja przypadkiem znalazłem się w odpowiednim miejscu i o odpowiedniej porze, ale to była najprawdziwsza spowiedź. Zrobiłeś rachunek sumienia, wyznałeś grzechy i obiecałeś poprawę... – uśmiechał się ciepło. – No, z tą obietnicą poprawy to nie do końca prawda, ale niech ci będzie – machnął ręką. – Dostałeś rozgrzeszenie... Pokutę odprawiłeś już dawno. Zjedz wreszcie coś, bo znowu nagrzeszysz, gardząc darami bożymi i obrażając moją gospodynię.

Nawet nie zauważyłem, kiedy na stole pojawiła się kolacja.

– Zostaw mi swój adres – nagle zmienił temat. – Dam pani Wandzie, kiedy wróci. Nie nam decydować o tym, czego będzie chciała Katarzyna. Po prostu poczekaj. Na pewno i u niej wiele się wydarzyło. Nikt i nic nie zdoła cofnąć tych czterech lat...

– Chyba jednak nie będę czekał... – przerwałem mu.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Nie wiem, czy ksiądz mnie zrozumie...

– Próbuję cię zrozumieć, synu.

– Muszę się uspokoić. Muszę mieć pewność, że jej niczego nie brak, że ona mnie nie potrzebuje.

– Chyba trochę zaczynam rozumieć.

– Spróbuję poszukać Katarzyny. Pojadę do Chorwacji...

– Ja bym nie jechał... – nie dokończył, uśmiechnął się, machnął ręką. – Ale i tak pewnie nie posłuchasz.

\* \* \*

Roman nie spał. Całą noc widziałem nikłą smużkę światła, sączącą się spod zamkniętych drzwi jego pokoju. Światło gasło i pojawiało się na nowo. Ja też nie mogłem zasnąć. Wolski nie chciał słyszeć o moim noclegu w hotelu. Próbowałem się jakoś ułożyć na kozetce w gabinecie profesora. Byłem jak napędzony, nie mogłem się wyciszyć, nie mogłem się zatrzymać, w głowie gonitwa myśli, wewnętrzny niepokój... W ciągu ostatnich

dwóch dni przejechałem prawie dwa tysiące kilometrów. Gdy zamykałem oczy, widziałem sznur samochodów na niemieckiej autostradzie, rzędy drzew tuż przy drodze na Pomorzu, szeroką dziką plażę, nieznaną zdjęcie Katarzyny, kamienną płytę na cmentarzu, ciepłe i przyjazne oczy księdza, ruiny starożytnej Salony... Nagle ujrzałem, że biegnie do mnie Kasia, usłyszałem, że coś krzyczy, że woła o pomoc... Musiałem na chwilę zasnąć. Zerwałem się przerażony. Serce podchodziło mi do gardła. Spod drzwi pokoju Romana nadal sączyło się światło. Wstałem, zapukałem lekko i nie czekając na odpowiedź, nacisnąłem klamkę. Nie spał. Nie rozebrał się nawet. Leżał na tapczanie ze wzrokiem wbitym w sufit. W pierwszej chwili nie odwrócił się nawet. Nie czekając na zaproszenie, usiadłem w fotelu pod oknem.

– Przeszkadzam?

– Nie, skądże i tak nie śpię. Jakoś nie mogę zasnąć...

– Ja też nie mogę. Prawdę powiedziawszy, przysnąłem na chwilę, ale chyba tylko po to, żeby obudzić się z przerażeniem.

Miałem wrażenie, że mnie nie słucha. Nawet na mnie nie spojrział. Dalej studiował mapę sufitu.

– Coś nie tak? – Wydał mi się dziwny. – Źle się czujesz?

– Nawet bardzo, ale chyba inaczej niż myślisz...

– Byłeś wczoraj rano na badaniach, dostałeś kolejne kroplówki. Możesz czuć się źle, a nawet zupełnie fatalnie. Wolski ma rację. Powinieneś być jeszcze w szpitalu...

– To nie o to chodzi – przerwał mi. – Badania są dobre... Leki jak leki, coś za coś, muszę przywyknąć. Każdy z nas zna cenę takiej terapii. Później będzie dużo lepiej, a z czasem może i całkiem dobrze... – mówił lekko zniecierpliwiony. Chyba faktycznie nie o to mu chodzi, pomyślałem.

– Chodzi o Katarzynę?

– W pewnym sensie. Raczej o mnie... O mój egoizm... O to, że z minuty na minutę czuję się coraz bardziej winny...

– O czym ty mówisz, do diabła? – przerwałem mu gwałtownie. – Nikt nie jest niczemu winny. To był fatalny zbieg okoliczności. Nie wiedziałeś, że Wolski wysłał mnie do Niemiec, nie mogłeś nawet przypuszczać, że ktoś nie przekaże listów, byłeś pewny, że przyjadę...

– To nie o to chodzi. Tego faktycznie nie mogłem przewidzieć, ale coś mogłem... – nie dał mi dokończyć. – To „coś” jest początkiem całej tej historii. Ty pojechałeś dzisiaj nad morze, a ja ciągle analizowałem tamten dzień sprzed prawie czterech lat. Wiesz, ja mogłem przewidzieć, że coś złego się stanie. Wiele rzeczy tamtego dnia było dziwnych, zupełnie nietypowych, innych niż zwykle. Dzień wcześniej byliśmy jeszcze na wyspie. Najpierw poszliśmy na przyjęcie kończące żeglarskie regaty, później spacerowaliśmy po porcie. I nagle wydarzyło się coś dziwnego. Jakiś mały chłopiec pędził na rowerku jak oszalały w kierunku brzegów pomostu. Stałem tyłem do niego. Nie zauważyłem go. Katarzyna chwyciła malca w ostatniej chwili. Rozpędzony rower spadł z pomostu, roztrzaskując się o przybrzeżne skały. Oni oboje upadli na kamienie. Katarzyna trzymała malca na rękach. Upadając, musiała się uderzyć. Długo nie mogła się uspokoić. Później poszliśmy nurkować. Nie byłem pewny, czy po tym zdarzeniu to dobry pomysł. Katarzyna

się uparła. Nigdy wcześniej nie nurkowała. Nie pomogło tłumaczenie, że będzie jeszcze mnóstwo innych okazji. Powiedziała mi wtedy jakoś dziwnie, że kto wie, co jeszcze będzie, że życie jest nieprzewidywalne. Nie mogła się nacieszyć tym nurkowaniem: kolorowe ryby podpływające prawie pod szkła okularów, dające się chwycić w dłonie, ławice małych rybek ocierających się o nasze nogi, czarne kule kolczastych jeżowców, wędrujące muszle krabów... Przepiękny podwodny świat. To miała być tylko chwila, a my zrezygnowaliśmy z obiadu. Na przyjęciu zjawiliśmy się jako jedni z ostatnich gości. Już podczas tej kolacji coś było nie tak. Kasia nie chciała nic jeść. Nie chciała zatańczyć, mimo że to był nasz ostatni wakacyjny wieczór. Pomyślałem, że w końcu po tylu godzinach podwodnych szaleństw ma prawo czuć się zmęczona. Byliśmy umówieni wieczorem ze znajomymi z kliniki na plaży. Zależało mi bardzo na tym spotkaniu – miałem im przedstawić Kasię. Mówiła, że nie pójdzie, że nie ma siły. Poprosiła, żebym odprowadził ją do pokoju. Szliśmy promenadą wzdłuż plaży. Kasia co chwila siadała na kamiennych ławkach, mówiła, że chyba nie dojdzie, że tak jakoś dziwnie się czuje, że bardzo chce jej się spać. W pewnym momencie wydało mi się nawet, że zasnęła na chwilę oparta o moje ramię. Pomyślałem, że chyba przesadziliśmy z tym nurkowaniem. Katarzyna poszła spać, a ja na chwilę spotkałem się ze znajomymi. Byłem nie dłużej niż pół godziny. Coś mnie niepokoiło, coś nie pasowało, coś się nie zgadzało. Ogarnął mnie jakiś dziwny lęk. Po powrocie z plaży zapukałem do pokoju Katarzyny. Odpowiedziała mi cisza. Nacisnąłem klamkę, wszedłem. Nie przebrała się nawet, zasnęła w ubraniu w poprzek łóżka. Zdziwiło mnie to trochę. Przykryłem ją pledem, zgasilem światło. W nocy parokrotnie zaglądałem do niej. Coś nie dawało mi spokoju. Rano długo nie wstawała. To nie było typowe dla Kasi, ona zwykle już wcześniej rano biegała po plaży. Coraz bardziej nerwowo patrzyłem na zegarek. Krótco po jedenastej odpływał nasz prom do Splitu, musieliśmy jeszcze zjeść śniadanie, spakować się. Zapukałem do drzwi, wszedłem. Kasia siedziała na łóżku, nie przebrała się nawet. Mówiła, że dziwnie się czuje, że boli ją trochę głowa. Jakoś nie szło jej pakowanie, spytała, czy nie możemy tu zostać jeszcze jeden dzień. Wydawała się zdziwiona, gdy jej przypomniałem, że po południu jest umówiona z tobą. Patrzyła na mnie tak, jakby zapomniała, jakby zastanawiała się, czy przypadkiem nie kłamię... Pomyślałem, że to wszystko pewnie z nadmiaru emocji. Na promie jakby ożywiła się, przez krótką chwilę była taka jak zwykle, opowiadała coś radośnie, śmiała się, żartowała. Jakiś młody Chorwat nie mógł oderwać od niej wzroku. Potem nagle powiedziała, że kręci jej się w głowie, że jest jej niedobrze. Poszedłem przynieść jej coś do picia. Gdy mnie nie było, ten chłopak usiadł naprzeciw niej. Z daleka wydawało mi się, że coś do niej mówi. Później uniósł swój aparat... Zrobiłem nawet takie zdjęcie... W porcie poszliśmy z Katarzyną na obiad. Właściwie nie jadła. Mówiła, że nie ma apetytu, że w ogóle nie jest głodna. Potem pojechaliśmy taksówką do mieszkania. Kasia poszła się przebrać. Trwało to całą wieczność. Czekając na nią, myślałem, że przymierza różne kreacje, że pewnie nie może się zdecydować. Zaczęło się robić późno. Wszedłem do pokoju i zastałem Kasię leżącą na łóżku. Dalej była w krótkich spodniach i koronkowej bluzce, nawet nie zaczęła się przebierać. Ponaglana przez mnie wybrała pierwszą z brzegu z wiszących w szafie sukienek. Wyglądała w niej ślicznie. Założyła nawet buty na wysokich obcasach. Zrobiła w nich dwa kroki i zachwiała się. Ściągnęła je szybko. Wsunęła stopy w płaskie sandały.

Powiedziałem, że jak dla mnie, to w sandałach też wygląda prześlicznie. Ciągle miałem dziwne wrażenie, że coś jest nie tak. Cały czas wydawało mi się, że coś nie gra. Tłumaczyłem to sobie zdenerwowaniem, w końcu czekało was niełatwe spotkanie. Podwiozłem Kasię pod bramę pałacu. Nie rozmawialiśmy po drodze. Kasia ociągała się z wyjściem z samochodu. Pomyślałem sobie, że bardzo musi się denerwować, bo dziwnie zbladła. Pytała, czybym z nią nie poszedł... Odeszła i wróciła jeszcze raz. Jak się nad tym teraz zastanawiam, to chyba byłem idiotą... – mówił coraz głośniej. – Byłem idiotą. Rozumiesz?

– To było cztery lata temu – próbowałem go uspokoić. – Niczego nie można cofnąć. To nie ma...

– Myślisz, że to nie ma żadnego znaczenia – przerwał mi gwałtownie. – To początek czegoś, o czym nie mamy pojęcia. Popatrz, minęły cztery lata. W twoim życiu to było pasmo sukcesów – mówił głośno.

Zabrzmiało to trochę tak, jakby miał do mnie jakieś pretensje, jakby mnie za to potępiał.

– W twoim życiu zmieniło się wszystko. Przed czterema laty skończyłeś studia, odebrałeś dyplom z wyróżnieniem, zostałeś młodszym asystentem na oddziale Wolskiego, stawiałaś pierwsze kroki w chirurgii, zastanawiałaś się, jak związać koniec z końcem, dorabiałaś gdzie się dało, prowadziłaś zajęcia ze studentami, jeździłaś jako lekarz w pogotowiu. Teraz żyjesz w innym kraju, jesteś naukowcem, szefem paru pracowni diagnostycznych, prowadzisz własne projekty badawcze, masz tytuł doktora... Nie jesteś już tym samym Michałem! Kiedyś džinsy, sweter, bawełniany podkoszulek, teraz garnitur, koszula, krawat. Wtedy przed czterema laty wynajęte mieszkanie, teraz dom w Niemczech. Wtedy zdezelowany stary samochód, teraz najnowszy model mercedesa. Słyszałem, jak rozmawiasz z Mullerem. Ty już dawno nie tłumaczysz sobie z niemieckiego na polski i odwrotnie. Wszystko ci jedno, czy mówisz po niemiecku, czy po polsku. Kiedy z nim rozmawiasz, stajesz się dla mnie obcy. Czasami mam wrażenie, że ty już nawet lepiej brzmisz po niemiecku. Zupełnie inny człowiek... – mówił szybko, jakby się bał, że zaczął dyskutować, że mu przerwę. – Popatrz, ja też, można by powiedzieć, w pewnym sensie jestem człowiekiem sukcesu. Najmłodszy doktor habilitowany naszej akademii medycznej, po paru miesiącach profesor kliniki w Splicie. Spełniły się moje marzenia, byłem lepszy od moich rodziców. Ten idiotyczny cel, który przyświecał mi od dzieciństwa, został osiągnięty. Początki były trudne, teraz zarządzam najlepszą kardiologią w Chorwacji. Może i można więcej, ale po co? Odechciało mi się, od kiedy zostałem bez Kasi. Później ten wypadek moich rodziców. Na ich pogrzebie Wolski nie mógł zrozumieć, co mówię. Mówiłem, że nie można opłakiwać czegoś, co się już dawno straciło, że nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało. Nie rozumiał... Ty też nie rozumiesz? – spojrzał na mnie spode łba.

Rozumiałem. Gdy zmarł mój ojciec, nikt do mnie nawet nie zadzwonił. Uznano pewnie, że dla niego i tak już od paru lat nie istniałem. Rozumiałem Romana, nie można tego samego tracić w kółko, bez końca.

– Teraz ta choroba – Romek mówił dalej. – Nieważne... Ale popatrz, ile wydarzyło się w moim życiu w ciągu tych niespełna czterech lat... A Kasia? Co mogło wydarzyć się u Katarzyny? Zniknęła przed prawie czterema laty. Obaj wiemy, że musiało się stać coś

straszego. Jestem pewny, że Kasia to ta bezimienna cudzoziemka hospitalizowana od dziewiętnastego czerwca w szpitalu w Splicie. Poprosiłem dzisiaj jednego z kolegów z mojej kliniki, by tam poszedł. Może jutro będziemy już coś wiedzieć... Dzisiaj zobaczyłeś jej zdjęcie. Kasia w Salonie, to tuż obok Splitu, paręnaście kilometrów od mojej kliniki, mojego mieszkania, tamtego domu... Dlaczego nas nie szukała? Dziesiątki pytań kotłują mi się w głowie. Ciebie nie mogła znaleźć. Ty żyjesz w innym świecie, ale mnie? Nie zmieniłem pracy, nie zmieniłem mieszkania, od lat mam ten sam numer telefonu, nigdy nie zmieniłem numeru komórki. Zawsze łudziłem się, że kiedyś zadzwonicie... Napiszecie... Bzdura! – mówił coraz szybciej. – Ile strasznych rzeczy musiała przeżyć, kiedy my odnosiliśmy swoje sukcesy. Czy zastanawiałeś się nad tym, czy my powinniśmy jej szukać? Czy mamy prawo jeszcze raz wdrzeć się w jej życie? Nie było nas, gdy nas potrzebowała – prawie krzyczał. – Teraz gdzieś tam w tym obcym kraju ma swoje marzenia, cele, swój dom. Odpowiedz mi, Michał, dla kogo my właściwie szukamy Katarzyny? Dla niej czy dla nas? Pewnie wiele razy patrzyłeś dziś na jej zdjęcie. Czy spojrzaleś chociaż raz na jej dłoń?

Zaskoczył mnie. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

– Nie – odpowiedziałem niepewnie. – Ręką się nie przyglądałem.

– To zobacz, ja to zdjęcie wrzuciłem na laptopa. Wystarczy tylko ruszyć myszką. Przyglądałem się temu wiele razy.

Dłoni jakoś nie widziałem. Widziałem roześmianą twarz, mokre włosy, opalone nogi i ramiona, wilgotną sukienkę opinającą ciało...

– Nie, dłoni nie widziałem – powtórzyłem głośniejszym głosem.

– To zobacz!

Ruchem myszki obudziłem monitor.

– Kasia ma obrączkę na palcu.

\* \* \*

Wydrukowanego maila znalazłem na stole w salonie. Jeżeli po chorwacku... Nie, był po angielsku, poczułem się odrobinę pewniej.

*Roman,*

*poszedłem do tego szpitala miejskiego. To nie było aż takie trudne zadanie. Trafiłem na znajomego lekarza. Miał akurat dyżur na izbie przyjęć. On wtedy tam jeszcze nie pracował. Sprawę znał trochę ze słyszenia, resztę sprawdził w komputerze. Ta dziewczyna została przywieziona do szpitala karetką reanimacyjną dziewiętnastego czerwca, około godziny szesnastej. Nieprzytomną dziewczynę znalazł jakiś turysta. Leżała tuż za bramą wiodącą od zachodniej strony na teren pałacu Dioklecjana. Nie miała przy sobie żadnej torebki, żadnych dokumentów. Tam kręcą się różni ludzie, każdy mógł je zabrać. Przy przyjęciu była głęboko nieprzytomna. Badający ją na izbie przyjęć neurolog ocenił stopień nieprzytomności na pięć punktów w skali Glasgow. W wykonanym rezonansie magnetycznym głowy stwierdzono stosunkowo duży krwiak*



podtwardówkowy, spowodowany krwawieniem z jednego z odgałęzień tętnicy szyjnej wewnętrznej lewej. Pomimo zastosowanego natychmiast leczenia stan dziewczyny się pogarszał. Wylądowała na oddziale reanimacyjnym. Była na sztucznym oddechu przez ponad trzy tygodnie, w śpiączce przez ponad dwa miesiące. Wbrew logice i medycynie – odzyskała przytomność. Przez ponad pół roku była w szpitalu intensywnie rehabilitowana. Utrzymywały się zaburzenia mowy, zaburzenia pamięci pod postacią niepamięci wstecznej i niedowład połowiczny prawostronny. Próbowano zidentyfikować dziewczynę... Wielokrotnie jej zdjęcie pokazywano w telewizyjnej kronice policyjnej. Do akcji bardzo intensywnie włączyła się także miejscowa gazeta. Dziewczyna już wcześniej była znana czytelnikom gazety. Mniej więcej w połowie czerwca, po tym jak uratowała w porcie na wyspie małego chłopca, stała się bohaterką artykułu pt. „Gdybym wierzył w anioły”. Jej zdjęcie pojawiało się na łamach tej gazety przez wiele tygodni. To ponoć wyjątkowo ładna dziewczyna. Sprawa była o tyle ciekawa, że nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Nikt też nie odpowiedział na komunikaty policji ani artykuły w gazecie. Dziewczyna prawdopodobnie była cudzoziemką. Nie reagowała na żadne komunikaty wygłaszane po chorwacku. Rozumiała po angielsku i po niemiecku. Była na oddziale reanimacyjnym, później neurologicznym i na końcu rehabilitacyjnym. Szpital nie miał już środków na prowadzenie dalszej rehabilitacji dziewczyny. Nikt nie miał pomysłu, co z nią dalej zrobić. Wszyscy chcieli pomóc, dziewczyna budziła ogólną sympatię. Wobec zakończonych fiaskiem poszukiwań jej najbliższych podjęto decyzję o przeniesieniu dziewczyny do domu opieki społecznej pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Przy wypisie utrzymywały się jeszcze zaburzenia mowy, niepamięć wsteczna, powoli wycofujący się niedowład. Dziewczyna nadal wymagała długotrwałej rehabilitacji, a i ta mogła już nie przynieść dalszej poprawy. Przez pewien czas zgłaszała się systematycznie na kontrolę. Niedowład wycofał się, podobnie jak zaburzenia mowy. Utrzymywały się zaburzenia pamięci... Roman, nie wiem, po co ci to wszystko, ale nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej. Minęły już prawie cztery lata. Wielu ludzi już tam teraz nie pracuje. Wielu jeszcze wtedy nie pracowało. Mogę ci wysłać badania i rezonans magnetyczny, ale to chyba nie jest ci potrzebne. Znalazłem też te ogłoszenia w starych gazetach, pojawiały się systematycznie, co czwartek, przez ponad sześć miesięcy. Czy ty w ogóle czytasz chorwackie gazety? Oglądasz naszą telewizję? Zrobiłem ci skan tego zdjęcia z gazety. Naprawdę wyjątkowo ładna dziewczyna...

*Kiedy do nas wracasz? Radzimy sobie, ale brak nam ciebie. Pozdrawiam. Julius*

To wszystko. Pod spodem było jeszcze zdjęcie. Nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. Błada, wychudzona, przestraszona, ale to na pewno była Katarzyna.

\* \* \*

Nie wiem, jak długo włączyłem się po ulicach miasta. Nie wiem nawet dokładnie, gdzie byłem. Nie miało to żadnego znaczenia. Byłe dalej, byłe przed siebie, byłe tylko nie musieć z nikim rozmawiać. Wolski próbował mnie zatrzymać. Trzasnąłem tylko drzwiami. Żadnego

Romana... Żadnego Wolskiego... Żadnych pytań i żadnych odpowiedzi... Wpadałem na przechodniów. Przepraszałem automatycznie. Czułem ucisk w klatce piersiowej, szum w uszach, łzy pod powiekami, rozpacz i żal... Nic nie mogło mnie uspokoić, nic nie mogło mi pomóc. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do tamtej knajpy. Obiecowałem sobie kiedyś, że nigdy więcej... Nie tknąłem alkoholu przez parę lat. Teraz znów było mi wszystko jedno. Kiedyś potrafiłem w alkoholu przynajmniej na chwilę utopić swój żal. Knajpa była ponura, wszystko wydawało mi się obce i beznadziejne. Duchota i odór alkoholu w pierwszej chwili nie uspokajały, przeszkadzały. Usiadłem przy znanym mi stoliku. Rozchichotane rozmowy młodych ludzi drażniły coraz bardziej. Zamówiłem pierwszy kieliszek. Później drugi, trzeci i kolejne... Czytałem w kółko tę wiadomość. Kasia nieprzytomna, Kasia sparaliżowana, Kasia z zaburzeniami pamięci, Kasia bezimienna... Moja Kasia samotna wśród obcych ludzi. Kasia bez przeszłości, bez teraźniejszości, bez niego i beze mnie... Kasia otoczona pustką, obojętnością, pozbawiona miłości. Kasia w domu opieki społecznej... Kontrole... Cały czas zaburzenia pamięci... Kolejny kieliszek... Przestałem już je liczyć. Nie pomagało nic. Czytałem to w kółko, od początku do końca, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Znałem już na pamięć każde słowo. Z minuty na minutę było coraz gorzej, narastały rozpacz i żal. Za duszno... Za ciasno... Za głośno... Muszę natychmiast na zewnątrz... Wstałem gwałtownie, świat zawirował. Pijany... Jak ja już dawno nie byłem pijany. Chwiejąc się na nogach, zapłaciłem rachunek i ruszyłem w kierunku drzwi. Kelner jakoś długo przyglądał się podanemu banknotowi. Wykrztusił z siebie dziwnie serdecznie: „dziękuję”. Pewnie zapłaciłem w euro, pomyślałem. Wiedziałem, że się zataczam. Świat wirował i kręcił się wokół mnie. Nieludzkie zmęczenie: dwie doby bez snu, najpierw nadzieja, później żal, rozpacz i alkohol... Było już ciemno. Na zewnątrz poczułem się odrobinę lepiej. Przynajmniej trochę chłodniej, pomyślałem. W świetle latarni zobaczyłem, stojącego nieopodal mojego samochodu, Wolskiego. Niezawodny jak kiedyś, pomyślałem z narastającą niechęcią. Dobrze wiedział, gdzie będzie mógł mnie dzisiaj znaleźć. Nie miałem ochoty na żadne rozmowy. Nie tu, nie teraz i na pewno nie z nim. Próbowałem go minąć. Potknąłem się, cały świat zawirował. W ostatniej chwili udało mi się podeprzeć ręką. Jeszcze moment, a wylądowałbym twarzą w błocie. Wyprostowałem się z wysiłkiem, ubłoconą rękę wytarłem odruchowo w spodnie. Z trudem utrzymywałem równowagę.

– Michał! – Wolski chwycił mnie za rękaw. – Przeczytałem ten list. Tak mi przykro...

– Przykro? Tylko przykro? Spadaj! – nie panowałem nad sobą. – Odkąd gustujesz w niemieckim: *Es tut mir Leid?* Ciebie też Muller przerobił już na Niemca? Puste słowa, które nic nie znaczą, wypowiedane odruchowo, tylko po to, żeby wybrnąć z niewygodnej dla siebie sytuacji. Co chcesz mi powiedzieć? Tak ci przykro, ale nie przewidziałeś? Tak ci przykro, ale nie chciałeś? Gdzieś mam te słowa! Spadaj, człowieku! – Próbowałem się od niego uwolnić, wyszarpnąć trzymany przez niego rękaw. Chwiałem się na nogach. Byłem pijany, pijany jak kiedyś. Nagle ze zdwojoną siłą wrócił tamten przeklęty czas. – Nienawidzę cię! Zejdź mi z drogi! – krzychałem. – Spadaj z mojego życia! Spadajcie wszyscy!

Nie puścił mnie. Trzymał bardzo mocno.

– Michał – mówił spokojnie. – Chodź, pojedziemy do domu. Odpoczniesz. Prześpisz

się. Porozmawiamy jutro.

– Ona nie miała domu! Ona nie miała nikogo! Obca wśród obcych! Nierozumiejąca niczego! Niepamiętająca niczego! Koszmar! To musiał być koszmar! Nie jestem w stanie sobie tego nawet wyobrazić...

– Michał, chodź, chłopcze! Porozmawiamy w domu.

– Ja nie mam domu! – krzychałem. – Nie mam go tu, nie mam go tam. Dom to nie ściany, dom to ludzie. To przez ciebie go nie mam. To przez ciebie to całe piekło! – szarpałem się z nim. – Puść mnie! Chcę być sam... – uścisk nie słabł. – Słyszysz? Puść mnie! Nie mam ochoty z tobą rozmawiać! Nie mam ochoty się z tobą szarpać! – krzychałem. – Spadaj! Spadaj, człowieku! Odsuń się! Puść mnie! Daj mi odejść!

Uścisk nie słabł.

– Michał, przepraszam – usłyszałem to wyraźnie.

– Wypchaj się tym swoim gównianym „przepraszam”! – wrzeszczałem. Z minuty na minutę ogarniała mnie coraz większa rozpacz, coraz większy żal. – Przepraszasz za to, że ona musiała przez to wszystko przejść? Przepraszasz, że spierdoliłeś mi życie? – Wreszcie uwolniłem mój rękaw. – Ty przepraszasz? Co zmienia takie gówniane „przepraszam”? Ucisza twoje sumienie? Poprawia twoje poczucie człowieczeństwa?

– Chodź, Michał – profesor mówił spokojnie. – Tam stoi mój samochód. Jutro przyjedziemy po twoje auto.

– Nie, nie chcę! – Próbowałem nie krzyżeć. Starłem się choć trochę znowu kontrolować. – Zostaw mnie! Chcę być sam! Ja od dawna najlepiej czuję się sam...

– Michał, przyjechałem z Anną. Była pewna, że nie będziesz chciał ze mną rozmawiać. Ona niczemu nie jest winna. Ona o niczym nie wiedziała. Chodź, chłopcze, pojedziemy do domu.

Kręciło mi się w głowie. Dusilo mnie coś w gardle. Pod powiekami czułem napływające łzy. Kompletna bezsilność, rozpacz i żal...

– Ja nie mogę sobie z tym poradzić, ja nie mogę z tym dalej żyć... – powtarzałem w kółko. – To mnie przerosło. To mnie pokonało. Nie potrafię...

\* \* \*

To było zupełnie inne południe Europy. Przywykłem do Włoch, do Rzymu. Często tam bywaliśmy z Mullerem. Tam były współpracujące z nami laboratoria. Rzym kojarzył mi się zawsze z brudnymi murami Koloseum, okopconym samochodowym smogiem Forum Romanum, piramidą postawioną z zazdrości, kolumną Trajana sławiącą coś, co dla innych było porażką, łukami triumfalnymi postawionymi bez sensu, na pamiątkę aktów barbarzyństwa, tysiącami bezdomnych kotów... Zatłoczone, krzykliwe, męczące, rozwyte sygnałami pędzących karetek i policyjnych samochodów miasto... Tu wszystko było inne... Niby też południe Europy, ale kompletnie inne klimaty. W Rzymie wszystko było trochę rozmyte, jakby wszystkie kolory ktoś pociągnął dodatkowo szarością. Może tylko niebo było tam, tak samo jak tutaj, błękitne, ale powietrzu brakowało przejrzystości, która tutaj jest wszechobecna. Tu królował świat barw: błękit nieba, granat wody, biel skał, kremowy kolor ścian kamiennych domów, ceglasta czerwień dachówek, zieleń roślin wyrastających

wszędzie, jakby wbrew logice... Błękit ze wszystkich najbłękitniejszy, granat najbardziej granatowy, biel śnieżnobiała, zieleń intensywnie zielona, czerwień wprost karminowa... Chorwacja... Nigdy tu wcześniej nie byłem. Do Splitu dotarłem późnym popołudniem. Najpierw chciałem zobaczyć tamto miejsce, wejść przez tamtą bramę od zachodniej strony na teren pałacu cesarza Dioklecjana. Ruszyłem wzdłuż jego murów, przepychając się pomiędzy ciasno porozstawianymi na chodnikach stolikami. Przeszedłem między dwoma szpalerami palm sięgających swymi czuprynymi ponad starożytne mury, omijając wszechobecne budy, oferujące cały wachlarz cudów znad Adriatyku, skręciłem nagle ostro w prawo. Do tej wysokości Romek podwiózł Katarzynę. Dalej poszła już sama. Wysiadała z samochodu powoli, jakby z ociąganiem. Odwróciła się na chwilę, zbliżyła rękę do ust, symbolicznym gestem przesłała mu pocałunek... Później jeszcze raz wróciła, chciała się upewnić, czy aby jednak z nią nie pójdzie, pomachał jej ręką, po chwili zniknęła w tej bramie... Teraz było tu pełno ludzi, przekrzykujący się tłum, głównie cudzoziemców. Najgłośniejsi, jak zawsze, są Niemcy. Swoista metamorfoza – u siebie cisi, stonowani, pozbawieni emocji, przewidywalni, poukładani i nudni. Tutaj nagle stają się hałaśliwi, rozkrzyczani, jakby na chwilę uwolnieni z tej swojej skorupy, jakby przez te parę dni swojego urlopu naprawdę wolni. Chyba nie są tutaj najbardziej wyczekiwаныmi gośćmi. Może i dobrze, że nie ma tu ze mną Mullera. Zaraz po wjeździe do Chorwacji, na pierwszym parkingu, ktoś napisał mi palcem na zakurzonej samochodzie: „You, German fuckhead”. No, wyobrażam sobie minę Petera. Teraz było tu bardzo głośno. Wtedy musiało być chyba zupełnie inaczej... Musiało być nietypowo, pusto. Kasia zniknęła w bramie i upadła tuż za nią. Nie udało jej się przejść tych kilkuset metrów dzielących bramę od włoskiej restauracji. Pewnie Romek nie zdążył jeszcze wtedy nawet na dobre odjechać. Nie znaleziono jej od razu. Jakiś przypadkowy turysta natknął się na nią kilkanaście minut później. Spróbowałem to sobie wyobrazić. Kasia mija bramę. Ma na sobie jakąś powiewną, letnią sukienkę, na nogach płaskie sandały, idzie na spotkanie ze mną, nie przypuszczając nawet, że nie przyjechałem. Nie mogłem! Nie chciałem sobie tego wyobrażać! Stałem tam oparty plecami o mur, który pamięta jeszcze czasy rzymskiego cesarstwa, nie mogąc oderwać wzroku od wygładzonych, wypolerowanych przez tysiące stóp kamieni. Wtedy było pusto, cicho. Odgłosy jej pospiesznych kroków pewnie odbijały się echem od kamiennych ścian. Później nagle upadła... Uciekłem stamtąd, pojechałem do mieszkania Romana. W tamtym domu, wybudowanym tuż nad morzem, nigdy nie zamieszkał. Mówił, że nie mógł. Tamten dom był dla Katarzyny, wszystko tam było tylko dla niej. Sprzedał go rok później. Chyba go rozumiałem. Romek dał mi klucze do swojego mieszkania. Niepotrzebnie tam pojechałem. Teraz już wiem, że nie powinienem był. Nad fortepianem w salonie wisi namalowany pastelami portret Katarzyny, pokój Kasi wygląda tak, jakby wyszła stąd pięć minut temu, jakby miała zaraz wrócić: białe sandały na wysokim obcasie stojące nieopodal lustro, uchylone drzwi od szafy, wewnątrz szafy wabiące barwami lata, na stoliku jej ulubione perfumy, łóżko narzucone usianą haftowanymi różyczkami kapą, lekko zaciągnięte zasłony... To jest jak jakieś przekleństwo! Roman jest chory na tę dziwną miłość tak samo jak ja! Nie miałem siły zostać ani chwili dłużej w tym mieszkaniu... Prawie do świtu włączyłem się po wąskich uliczkach Splitu. Ranek przesiadziałem na ławce w porcie. Potem pojechałem do zakonnicy, tych od Najświętszej

Marii Panny. Wysoki, nierówny mur ze skrzypiącą zardzewiałą bramą nie zachęcał do wejścia do środka. Zaklęty krąg izolujący chorych, wbrew nazwie zapomnianych przez Boga ludzi, od tej innej, krzyczącej barwami turystycznych reklam rzeczywistości. Tu wszystko nagle wydało mi się smutne, szare i beznadziejne... Moja wiara jest chyba za mała, bo jakoś nie potrafię Bożą miłością sobie tego wszystkiego wytłumaczyć.

Siostra przełożona przyjęła mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Czego pan sobie życzy? – zabrzmiało lodowato, jakby sam fakt, że jestem z zewnątrz, że przychodzę zza murów, dyskwalifikował mnie już na wstępie.

– Poszukuję jednej waszej podopiecznej. Była u sióstr przed mniej więcej czterema laty...

– Skoro była, to i jest – przerwała mi gwałtownie. – Chyba że umarła. Tu nigdy nas nikt w inny sposób nie opuszcza. Nikt tu nie jest dla przyjemności. To nie jest żaden chwilowy przystanek – mówiła pozbawionym emocji głosem – stąd nikt już nigdy nie wyjdzie. Nikt nie zatrzymał się tutaj tylko na chwilę – spojrzała na mnie uważnie. Pewnie zastanawiała się, czy jej słucham. Słuchałem. – To w pewnym sensie przystanek końcowy, to ostateczność... To jest ich dom. Niedoskonały, biedny, ale dom. Domu się nie opuszcza. Pan pewnie żyje pełnią życia, pan tego nie zrozumie. Prawdziwe życie to nie luksusowe samochody, modne ubranie, jachty, wakacje, pieniądze... To czasami cicha akceptacja, towarzyszenie, modlitwa, szara normalność...

– Wiem – wpadłem jej w słowo.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– A niby skąd pan to może wiedzieć?

– Wiem! – powtórzyłem. – Z zawodu jestem lekarzem.

Zatrzymała na mnie wzrok jakby odrobinę dłużej.

– Pan z daleka, prawda? – spytała dużo łagodniej.

– Z daleka.

– O kogo pan pyta?

– Nazwisko jest chyba nieważne. Cierpiała na zaburzenia pamięci, więc nazwisko pewnie było nieznane albo zmienione. Była cudzoziemką, miała wtedy około dwudziestu pięciu lat...

– Nie pamiętam. Musi się pan mylić. Ja znam wszystkich naszych podopiecznych. Jesteśmy dla nich jak rodzina – przerwała na chwilę, jakby próbowała sobie jeszcze cokolwiek przypomnieć. – Nie, proszę mi wybaczyć, ale nie pamiętam. To pewnie jest jakieś nieporozumienie.

– Wiem, że była tu przekazana ze szpitala miejskiego...

– Ze szpitala miejskiego? – spytała jakoś dziwnie.

– Tak, bodajże z oddziału neurologicznego albo rehabilitacyjnego...

– Niech pan poczeka – przerwała mi. – Coś pamiętam. Muszę tylko sprawdzić w sekretariacie, kiedy to było. Mówi pan, że przed czterema laty?

Wyszła, a ja zostałem sam z całym tym koszmarem i Jezusem na krzyżu. Wróciła po chwili.

– Coś kołatało mi się w pamięci. Sprawdziłam – mówiła ciepło. – Niewiele mogę pomóc. Faktycznie miało tak być, szpital poszukiwał miejsca dla młodej dziewczyny

z zaburzeniami mowy i pamięci, z niedowładem prawostronnym, po jakimś rozległym udarze. Zwrócili się do nas z prośbą o pomoc. Dziewczyna nie miała żadnych dokumentów, żadnego ubezpieczenia... Długo poszukiwano jej krewnych i znajomych. Nawet po komunikatach policji nie zgłosił się nikt, kto by ją znał. Doktor Peterson załatwiał to wszystko ze mną. On nam pomaga, konsultuje neurologicznie naszych podopiecznych. Chciałam i ja jemu pomóc. Teraz już pamiętam to wszystko doskonale – mówiła spokojnie. – Byłam na niego nawet trochę zła. Przygotowaliśmy miejsce, a on odwlekał przekazanie dziewczyny z dnia na dzień. Walczył każdego dnia o przedłużenie jej pobytu w szpitalu. Każdego dnia stawał przed zarządem szpitala i każdego dnia wymyślał nowe, coraz bardziej wydumane powody, dla których ona miała tam jeszcze zostać. Powiedział mi kiedyś, że ona tutaj nie pasuje, że tutaj nie może się już nic wydarzyć. Wierzył chyba w cud, ale cuda nie zdarzają się aż tak często. Zresztą, jak sam mówił, to, że żyła, było już prawie cudem. Był tu wtedy u mnie wiele razy. Walczył o osobny pokój dla niej, obiecywał dotacje na jej rehabilitację, na inne, trochę lepsze jedzenie... – zawiesiła na chwilę głos. – Nigdy nie widziałam tej dziewczyny – dokończyła niespodziewanie.

– Nie rozumiem...

– Niewiele jest tu do zrozumienia, niewiele mam do dodania. Peterson zadzwonił do mnie po południu w przeddzień przekazania dziewczyny do nas. Był bardzo uradowany. Powiedział, że udało się, że będzie miała normalny dom. Byłam trochę na niego zła za to całe zamieszanie. Wymógł na mnie tak wiele decyzji, a później zrezygnował...

– Więc jej tu nigdy nie było? – musiałem się jeszcze upewnić.

– Nie, nigdy jej tu nie przywieziono.

– A może siostra wie...?

– Tego to ja już nie wiem – zabrzmiało bardzo szczerze. – Musiałby pan chyba spytać doktora Petersona...

\* \* \*

Znalazłem go w szpitalu. Nie bardzo chciał ze mną rozmawiać. W pierwszej chwili udał, że nic nie pamięta.

– Wie pan, to duży szpital, mnóstwo pacjentów, krótkie okresy hospitalizacji... Rocznie przewijają się tu setki ludzi. Trudno wszystkich pamiętać. Twarze pacjentów, twarze ich rodzin, wszystko zlewa się ze sobą. Odpowiadam automatycznie na powitania na ulicy. Tych wszystkich ludzi nie można po prostu spamiętać...

– Nawet tych wyjątkowych? – przerwałem mu.

– Każdy pacjent jest na swój sposób wyjątkowy...

– Ja nie mówię o pacjentach, mówię o przypadkach – wpadłem mu w słowo. – Chyba najbardziej pamięta się porażki. Znacznie bardziej niż sukcesy.

– Skąd pan może o tym wiedzieć? – Patrzył na mnie z rosnącym zainteresowaniem.

– Jestem lekarzem.

– Ale nie przyszedł pan tu jako lekarz...

– Nie.

– W pewnym sensie to szkoda – zabrzmiało jakoś dziwnie.

Zaczął przyglądać mi się jeszcze wnikliwej. Wyjął, jakby odruchowo, paczkę papierosów. Zaczął się nią bawić. Niezapalonego papierosa włożył do ust.

– Proszę wybaczyć – rzucił usprawiedliwiająco. – Od niedawna usiłuję rzucić palenie. To nie takie proste.

Zaczął bawić się zapalniczką.

– Pytałem pana o tamtą pacjentkę. Była na pana oddziale przez ponad sześć miesięcy. Od siostry przełożonej w domu opieki społecznej wiem, że był pan w to wszystko bardzo zaangażowany. Nie wierzę, że nic pan nie pamięta.

– Minęło dużo czasu – mówił dziwnie niepewnie. – Sam pan mówił, że jakieś cztery lata. Po takim czasie można już wiele zapomnieć...

Nie patrzył nawet w moją stronę. Uciekał wzrokiem. Koncentrował się na ruchu swoich rąk, na tym niezapalonym, a kuszącym go ciągle papierosie. Grał na czas. Kłamał.

– Dlaczego nie chce mi pan pomóc? – spytałem wprost.

– Nie mogę – odpowiedź była zaskakująco krótka i jasna. Nie dopuszczała żadnej dyskusji. – Istnieją przepisy o ochronie danych osobowych, tajemnica lekarska i dziesiątki innych procedur, które mają na celu szeroko pojęte dobro pacjenta. Pan jako lekarz to chyba dobrze zna...

– Znam – burknąłem pod nosem.

– W takim razie wszystko wydaje się już jasne... – próbował zakończyć niewygodną rozmowę.

– Niezupełnie, przecież na początku szukaliście kogokolwiek, kto by ją znał... Słyszałem, że komunikaty o niej pojawiały się systematycznie w lokalnej telewizji, w miejscowej gazecie...

– Jakoś wtedy się pan nie zgłosił – zabrzmiało ostro, nieprzyjaźnie.

– Nie miałem szansy – powiedziałem zupełnie szczerze. – Nic o tym nie wiedziałem. Mieszkam w innym kraju, daleko stąd. Przed paroma dniami zobaczyłem, właściwie przypadkowo, jeden z tamtych komunikatów, tamte zdjęcia... – nagle, sam nie wiem dlaczego, zacząłem się tłumaczyć.

– Szkoda, że dopiero teraz. Być może wszystko potoczyłoby się inaczej – mówił spokojnie, bez cienia ironii. – Teraz to już zupełnie inna sprawa.

– Nagle teraz zaczęła pana obowiązywać tajemnica lekarska? – rzuciłem zaczepnie. Nie zareagował. Z kamiennym wyrazem twarzy bawił się nieustannie tą swoją zapalniczką.

– Wie pan, jak nazywa się ta dziewczyna? – spytał niespodziewanie.

– Oczywiście, że wiem.

Spojrzał na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Katarzyna Nieżankowska.

– Katarzyna? – powtórzył, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Tak, Katarzyna.

– My nazywaliśmy ją Katarina. A więc tak samo...

Znowu niezapalony papieros wylądował w jego ustach.

– Nic pan mi więcej nie powie? – spytałem kolejny już raz.

– Nie mogę. W każdym razie nie teraz. Chociaż może jedno... Myli się pan co do tych sukcesów i porażek. W każdym razie u mnie jest zupełnie inaczej. Pamiętam nie tylko

porażki, nie tylko przegrane. Pamiętam doskonale też zaskakujące sukcesy, poprawy następujące wbrew logice, wyzdrowienia nie dzięki, a jakby na przekór medycznej wiedzy. Tego sukcesu z Katariną nigdy nie zapomnę.

Wstał i w ten sposób dał mi do zrozumienia, że czas się pożegnać. Odprowadził mnie do drzwi. Położył rękę na klamce, ale nie nacisnął jej od razu.

– Niech pan pojedzie na komendę policji, do kapitana Begovica. Może on panu coś więcej powie.

Pojechałem do Begovica, ale i on nie chciał rozmawiać.

– Wie pan, nie teraz. To zły czas na cokolwiek. Teraz jeszcze nie mogę niczego powiedzieć. Prowadzimy pewne śledztwo i dla jego dobra nie powinienem o tym wszystkim opowiadać. Mogę tylko pana uspokoić – dziewczyna ma się dobrze, wszystko u niej w porządku. Z tego, co wiem, to pojechała na bardzo długie, wspaniałe wakacje. Powiem jej, że pan tu był, że jej pan szuka. Proszę zostawić swój adres. Przekażę go Katarzynie.

Powiedział: „Katarzynie”, chyba się nie przesłyszałem.

\* \* \*

Wydawać by się mogło, że to niemożliwe, a jednak zasnąłem. Wracając z Chorwacji, przejechałem bez postoju półtora tysiąca kilometrów. Nie miałem już czego tam szukać. Gdy zamykałem oczy, widziałem tylko zachód słońca nad Adriatykiem, czupryny palm poruszane lekkim wiatrem, olbrzymie pomarańczowe kwiaty ukryte wśród ostrych liści, tamtejszą wykutą w skałach autostradę, tunele przeszywające na wylot góry, dziurawą drogę w Słowenii, dziesiątki świateł na autostradzie w Austrii, rozmazane przez ulewne strugi deszczu kontury drzew wzdłuż drogi gdzieś koło Pragi i tę niekończącą się obwodnicę, serpentyny tuż przy polskiej granicy... Na miejsce dotarłem nad ranem. Jeszcze kilkanaście godzin temu był magiczny Adriatyk, skalne cyple ostro wychodzące w morze, małe, kamieniste wysepki, powyginane drzewka oliwne, wszędobylskie figowce, wszechobecny błękit, czerwień i biel, trochę jak barwy narodowe Chorwacji. Tu było zupełnie inaczej, żadnych szalonych kontrastów. Polska przywitała mnie wiosennym deszczem. Długo siedziałem w samochodzie pod domem Wolskiego, nie miałem siły wysiąść, nie bardzo chciało mi się z kimkolwiek rozmawiać. Krople deszczu uderzały o szyby, tworzyły bańki na kałużach. Deszcz wzrastał się co chwila, pojedyncze duże krople stawały się coraz gęstsze i gęstsze, aż w końcu zlały się w jedną całość. Przed oczyma miałem jeszcze Adriatyk, siostrę zakonną kreślącą w powietrzu znak krzyża, ręce doktora Petersona nieprzestające się bawić zapalniczką, sympatyczną twarz Begovica, tanto zdjęcie uśmiechniętej Katarzyny na tle ruin starożytnej Salony... Szczęśliwa, uśmiechnięta Katarzyna... Inny świat, inna rzeczywistość, na pewno zupełnie inne życie... Dla kogo ja tak naprawdę szukam Katarzyny? Dla niej czy tylko dla siebie? Monotonne uderzenia kropli deszczu, zmęczenie, uśmiechnięta twarz Katarzyny, wachlarz wody odbitej od jej rąk, białe ruiny Salony... Zasnąłem. Gdy się obudziłem, był już świt. Deszcz już pewnie dawno przestał padać, świat wydawał się jakby umyty i świeży, powietrze rozbrzmiewało świergotem ptaków. Ciekawe, czy tam, w Chorwacji, bywają podobne



poranki. Zaspianemu Wolskiemu powiedziałem tylko, że niczego się nie dowiedziałem, że ona gdzieś tam jest, ale nikt nie chciał ze mną o niej rozmawiać. Położyłem się jeszcze niby na chwilę. Obudziłem się późno. W domu Wolskich panowała idealna cisza. Byłem sam. Odetchnąłem z ulgą, z nikim nie musiałem o niczym rozmawiać. Nie spieszyłem się ze wstawaniem. Bo i po co... Nie było już w tej chwili nic do zrobienia. Nie było już żadnych nowych zadań do wykonania, żadnego nowego celu, żadnych nowych pomysłów... Najpierw był żal, później rozpacz i stopniowo narastająca bezsilność... Dziwna pustka i pożoga, jakby nagle wypaliło się we mnie wszystko. Znowu dno, ale jakieś zupełnie inne. Piekło, którego wcześniej nie znałem. Beznadziejność... Teraz mogłem już tylko czekać, biernie czekać na coś, czego być może nigdy nie przyniesie czas. Po południu wracałem do Niemiec. Tamta rzeczywistość wydała mi się teraz mało ważna, odległa, obca. Minęło zaledwie parę dni, a ja miałem wrażenie, że cała wieczność. Na sekretarzyku w salonie znalazłem krótki list od Wolskiego.

*Michał, w lodówce masz przygotowane śniadanie. Roman dzisiaj cały dzień na kroplówkach, Anna w kościele, ja w klinice. Muller przesłał ci mailem wiadomość. Prosił, żebyś otworzył. To ponoć coś bardzo ważnego. Mówił, że jeżeli będzie taka konieczność, to możesz jeszcze parę dni zostać. Później najwyżej ruszycie z kopyta, zdążycie jeszcze wszystko przygotować przed tym waszym kongresem...*

Muller i jego wiadomość. Zupełnie zapomniałem. Włączyłem komputer.

*Michael, nigdy cię o nic nie pytałem, ale zawsze wiedziałem, że to musi być jakaś wyjątkowa sprawa i ktoś zupełnie wyjątkowy.*

O czym on do diabła pisze? Nie mogłem nic z tego zrozumieć.

*Pewnie to wszystko nie jest takie proste. Jedź tam, jeśli musisz. Nie zapomnij o rozdaniu grantów. Pozdrawiam.*

Jeszcze załącznik. Jedno kliknięcie i na monitorze komputera pojawiły się zdjęcia Katarzyny. Na pierwszym z nich Kasia w jakimś porcie. Ubrana dość nietypowo, jakby przed chwilą wyszła z jakiegoś oficjalnego przyjęcia i przez zupełny przypadek znalazła się w środku tego słonecznego, upalnego dnia w porcie. Bose stopy i niesione w rękę sandały kontrastują dziwnie z elegancką, błękitną, powiewną sukienką. Katarzyna wyciąga ręce w kierunku jakiegoś malca pędzącego tuż obok niej na rowerze. Na następnym zdjęciu Kasia tuli w ramionach płaczącego chłopca, w dole, na skałach, tuż za pomostem widać roztrzaskany rower. To dawna Katarzyna, to o tym zapewne opowiadał Roman, a zdjęcie zrobiono podczas tamtych ich wakacji. Obok jakiś artykuł, którego treści i tak nie rozumiałem. Muller zdołał przetłumaczyć tylko tytuł: „Gdybym wierzył w anioły”. Dalej zdjęcie Kasi ze szpitala. To zdjęcie już widziałem. Pod nim komunikat policji. Peter spróbował przetłumaczyć, nie wyszło mu to jednak najlepiej, ale i tak z plątaniny słów

wynikało w miarę jasno, że szpital poszukuje kogokolwiek, kto zna nieprzytomną dziewczynę, przebywającą u nich na oddziale reanimacji. Mail został wysłany przed paroma dniami. Peter pierwszy odnalazł jej ślad. Wydrukowane zdjęcia i artykuł zostawiłem Romkowi na biurku.

*Romek, czasu nie można cofnąć. Kuruj się spokojnie! Myśl trochę więcej o sobie. Pozdrawiam. Zadzwońię. Michał*

Z profesorem pożegnałem się w klinice. Zawiozłem mu klucze od jego mieszkania. Pożegnaliśmy się jak zawsze – krótkim, mocnym uściskiem dłoni, nie mówiąc żadnych zbędnych słów. Tak jakby nie było tamtego fatalnego dnia, jakby się nigdy nic złego między nami nie wydarzyło.

– Uważaj na siebie! Odpocznij, jak dojedziesz! Połóż się dzisiaj po prostu wcześniej spać – marudził profesor po staremu. – I ubierz się jakoś jutro. No, wiesz, postaraj się niepotrzebnie nie drażnić Mullera...

Gdy byłem już w drzwiach, usłyszałem:

– Michał, Anna prosiła, żebym ci powiedział, że nasz dom jest na zawsze twoim domem w Polsce.

– Przecież ja to już dawno wiem...

\* \* \*

To na pewno nie był mój dobry dzień. Zaczął się źle i zupełnie nic nie zapowiadało, żeby miało się to zmienić. Siedziałem wściekły, wpatrując się bezmyślnie w przelewający się obok mnie tłum. Kawa już dawno zdążyła wystygnąć, a sterta niedopałków w popielniczce powiększała się w zaskakującym tempie. Szlag by to wszystko trafił, pomyślałem. Niech diabli wezmą Mullera, ten kongres i cały ten mój projekt. Rano w samolocie Peter rzucił jakby od niechcienia:

– Michał, dzisiaj po południu trzeba będzie trochę inaczej rozłożyć akcenty. To, co prezentujesz, jest bardzo nowatorskie. Wzbudza liczne nadzieje, budzi rozmaite emocje. Przypadkiem bije też w konkurencję. Spróbuj to jakoś złagodzić, trochę rozmyć – mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Ma powiać nadzieją na przełom, a przy tym nie drażnić tych, którzy i bez tego nas nie lubią. To środowisko nie różni się aż tak bardzo od reszty świata. Zazdrość to najgorsza choroba – przerwał na chwilę, licząc się chyba z tym, że będę próbował protestować. Nie miałem dzisiaj ochoty na żadne dyskusje.

– Zaufałem ci – tłumaczył spokojnie dalej. – Wierzę, że twój projekt jest rewelacyjny, ale ty idziesz tam dzisiaj nie tylko jako naukowiec. Idziesz tam przede wszystkim jako człowiek interesu. Musisz jeszcze lepiej sprzedać coś, za co już z góry dostałeś bardzo dobrą cenę. Koniec dobry, wszystko dobre. – Milczałem nadal. Nie cierpiałem tych jego niemieckich powiedzeń. Zabrakło tylko jeszcze jednego, równie uwielbianego przeze mnie: „cel uświęca środki”. Peter nie zrażał się moim milczeniem. Zachowywał się tak, jakby mu ono zupełnie nie przeszkadzało.

– My potrzebujemy tych pieniędzy – próbował mnie przekonać. – Sam wiesz, że na koniec najważniejsze są wiarygodne badania kliniczne. To dopiero one są uwieńczeniem całej pracy, ale kosztują makabrycznie dużo pieniędzy.

Nie odezwałem się do końca. Patrzyłem spokojnie, jak samolot powoli schodzi do lądowania. W dole, oświetlone promieniami wschodzącego słońca, budziło się do życia olbrzymie miasto, od paru lat moje miasto. Wróciliśmy z parodniowego służbowego wyjazdu do Rzymu. Potrzebowaliśmy do współpracy kolejnych szpitali, kolejnych laboratoriów, kolejnych pacjentów...

To wszystko było parę godzin temu. Teraz, korzystając z przerwy w obradach, próbowałem zebrać myśli, przemyśleć moje wystąpienie. Nie byłem z siebie zadowolony. Kolejny raz uległem sugestiom Mullera. Nie powiedziałem tego, co tak naprawdę myślę. Nie mówiłem, że jesteśmy pewni. Nie mówiłem, że sprawdziliśmy to już w tysiącach prób, że poświęciliśmy temu setki godzin naszego życia. Wyłudzałem pieniądze... Wyłudzałem pieniądze, bez których nikt nie miałby szansy się dowiedzieć, ile tak naprawdę są warte nasze badania. Takie czasy – wszystko i wszystkich można przeliczyć na pieniądze. W końcu pewnie Peter ma rację, pomyślałem. Współpraca z nim nigdy nie była łatwa. Uczyła co najmniej dwóch rzeczy, których wiecznie mi brakowało – cierpliwości i pokory. Kolejny łyk zimnej, gorzkiej kawy, kolejny zgaszony niedopałek. „Michael, jesteś naprawdę rewelacyjny. Jesteś dobry, rzeczywiście bardzo dobry, ale u ciebie wszystko musi być już, wszystko musi być natychmiast... Zrozum wreszcie, że wszystko wymaga czasu” – słyszałem to już wiele razy. On mnie na swój sposób lubi. Ceni zapał, potrafi podtrzymać na duchu, docenia pracowitość, sposób kierowania ludźmi, codziennie umyte włosy, idealnie dobraną koszulę, dobrze skrojony garnitur... Myślę, że uważa mnie za swoją własność, mniej lub bardziej doskonałą. Sądzę, że mówiąc o mnie, mówi tak jak o elektronowych mikroskopach, rezonansie magnetycznym, badaniach cytochemicznych, nowych programach komputerowych, najnowszych technologiach badawczych... Jestem jego własnością o tyle cenną, że tańszą w utrzymaniu, rzadziej się psującą, mniej wymagającą, lojalną i niesprzedawalną. „Wy, Polacy, potraficie być dobrzy, nawet bardzo dobrzy...” – mówił często Muller. Doceniam to, co tu mam: godziwą płacę, dobre warunki pracy, zaplecze mogące służyć do realizacji nawet najśmielszych marzeń, ale wszystko tu musi się dziać we właściwym porządku, wszystko jest tu odtąd–dotąd. Wszędzie napotykasz sztywne ramy, ściśle ograniczenia. Czasami wydaje mi się, że tutaj nawet spontaniczność musi być wcześniej zaplanowana. Do tego trudno jest się przyzwyczaić, tego nie można polubić. Niby wolny kraj w wolnej Europie, ale nie w naszym – polskim – rozumieniu.

Znów łyk cierpkiej kawy, następny zgnieciony niedopałek. Patrzyłem na przechodzących obok mnie ludzi, wielojęzyczny tłum typowy dla olbrzymich, międzynarodowych kongresów. Też wybrałem sobie miejsce na wypoczynek! Parę stolików, przy których można napić się kawy, postawionych w wąskim korytarzu. Uczestnicy kongresu, przemieszczając się z głównej sali obrad do sal satelitarnych, przepychali się pomiędzy stolikami. Gdzieś obok toczyły się kolejne sesje, wygłaszane były kolejne referaty, przedstawiane kolejne prezentacje. Tuż obok ktoś dopijał w pośpiechu kawę, gasił papierosa. Ja nigdzie się nie spieszyłem. Byłem wściekły na siebie. Zupełnie nie tak

wyobrażałem sobie to dzisiejsze wystąpienie. Peter był zachwycony, triumfował. Miał rację Roman, mówiąc, że już nie jestem tamtym Michałem. Te cztery lata zmieniły prawie wszystko w moim życiu, jeszcze więcej zmieniły we mnie. Stałem się zupełnie innym człowiekiem. Nie było już tamtego Michała. Tamten miał dwadzieścia parę lat, małe naukowe stypendium, nędzną pracę w studenckiej spółdzielni, zdezelowany stary samochód kupiony za robotę na czarno w Niemczech, ciągle do końca nieurządzone mieszkanie... Później dyplom ukończenia uczelni z celującą notą. To miało coś dać, zapewnić start, zaowocować, kiedyś się opłacić... Codzienne życie, kolejne kompromisy zrobiły swoje. Zgubiłem gdzieś po drodze większość moich młodzieńczych ideałów. Nie można przez całe życie jeść chleba ze smalcem, spać w nieumeblowanym mieszkaniu na dmuchanym materacu i myć okien dla paru groszy, bo pensja akademickiego nauczyciela na nic nie wystarcza. Nie mogę przez całe życie zastanawiać się nad tym, czy stać mnie na bilet do teatru albo na kwiaty dla dziewczyny. Wyrosłem ze swoich ideałów, tak jak wyrasta się z dziecięcych marzeń. Biedny, ale prawy... Biedny, ale uczciwy... Biedny, bo głupi! Ludzie dorosleją. Ja też musiałem kiedyś wydorośleć. Coś za coś... Mieszkam tutaj, już od dawna czuję się równie obco wśród swoich, jak i wśród obcych. Nie jestem, tak jak marzyłem, kardiochirurgiem, nie mam kontaktu z pacjentami, nikt mnie nie kocha i nie uwielbia, nikt mi nie mówi: „dziękuję”. Jestem genetykiem. Moi pacjenci nie mają twarzy, nie znam ich. W zamian za to mam tysiące zdjęć spod mikroskopu elektronowego, setki odczynników, dziesiątki badań i moją pracę, która gdzieś tam komuś bezimiennemu ratuje życie. Już dawno nie jestem lekarzem. Lekarz musi mieć swoich pacjentów. Na początku brakowało mi tego, tak jak tysiąca innych rzeczy. Kontakt z drugim człowiekiem, lekarz przyjaciel, ideały... Mrzonki! Nie czuję ludzkiej wdzięczności, ale z wdzięczności nie można żyć. Za słowo „dziękuję” nie można urządzić mieszkania, kupić chleba ani zatankować samochodu. Słowo „dziękuję” to za mało, żeby przetrwać. Właściwie to nie ja wybrałem. Zdecydował za mnie Wolski. Wysyłając mnie tutaj, zmienił całe moje życie... Kolejny łyk kawy, kolejny papieros. Z ustawionego nieopodal telebimu dopływały do mnie pojedyncze słowa. Męczył mnie już ten kongres. Marzyło mi się, żeby pójść do domu, włączyć cicho ulubioną muzykę, spuścić rolety, usiąść wygodnie w fotelu, na chwilę oddalić się od tego wszystkiego. Zatopić się w nicość i obojętność, odpocząć. Jeszcze wczoraj wieczorem jedliśmy kolację w Rzymie, podpisywaliśmy ostatnie ustalenia, wymienialiśmy tysiące grzecznościowych uwag, rozsyłaliśmy dziesiątki sztucznych uśmiechów. Wczesnym rankiem powrót do Niemiec, przed południem byłem jeszcze w pracowni, po południu ten kongres i to nieszczęsne wystąpienie... Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Musiałem tu jeszcze trochę zostać. Na ostatniej sesji będą wręczane granty. Potem mieliśmy spotkać się z Mullerem, pójść razem na kolację. Pewnie usłyszę od niego jeszcze dużo twórczych obserwacji i konstruktywnych uwag, pewnie jeszcze dziesiątki rzeczy będziemy musieli razem poprawić i ulepszyć. Cały czas bombardował mnie SMS-ami z pytaniem, gdzie jestem. Emocje już dawno opadły. Grant był nasz. Teraz zostało już tylko zmęczenie. Bezmyślnie bawiłem się pustą już filizanką. Oczami próbowałem przesuwając wskazówki zegarka. Trzeba było jakoś zabić ten czas.

Nagle wydało mi się, że słyszę jej głos. Ona? Ona czy tylko ktoś o bardzo podobnym głosie? To niemożliwe, to tak mało prawdopodobne. Ile to już razy wyobraźnia płątała mi

podobne figle. Ile już razy w życiu odwracałem się, bo wydawało mi się, że słyszę za sobą jej głos. Ile razy goniłem za kimś po ulicy, bo przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że to ona. Ile razy zatrzymywałem samochód, bo wydawało mi się, że mignęła mi gdzieś w tłumie. Dziewczyna mówiła po angielsku... Dochodziły do mnie tylko pojedyncze słowa. Katarzyna? Zwariowałem, chyba zwariowałem. Ta moja przeklęta wyobraźnia kpi ze mnie znowu. To chyba jeszcze jeden kiepski żart, którym uraczył mnie ten dzień. To przecież nie jest możliwe, to tak mało prawdopodobne. Czułem puls w skroniach, dziwny ucisk w gardle. Serce biło jak oszalałe. Zacząłem wsłuchiwać się w każde słowo. Dziennikarz zadał jakieś pytanie po niemiecku. Chwila ciszy i już byłem pewny. To musiała być Katarzyna... W ciągu sekundy znalazłem się przy telebimie. Dziennikarz właśnie dziękował przypadkowym rozmówcom za konstruktywną ocenę kongresu. Stałem w drzwiach głównej sali obrad. Mnóstwo ludzi, setki osób, które powstały ze swoich miejsc i korzystając z przerwy w obradach, przemieszczały się w różnych kierunkach. Jak można w takim tłumie kogoś wypatrzeć? To prawie niemożliwe. Ogarnęło mnie przerażenie. Czekałem na tę chwilę parę długich lat. Często wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Różne scenerie, różne sytuacje, różny czas, ale zawsze otrząsałem się z tego jak z szalonego snu, jakbym chciał, a zarazem bał się go urzeczywistnić. Za każdym razem było coraz gorzej. Tego dzisiejszego scenariusza nie wyśniłbym nawet w najkoszmarniejszym śnie. Nie, nie znajdę jej w tym tłumie. Gdzieś w oddali zobaczyłem tylko Mullera. Stał daleko z przodu, odwrócony do mnie plecami. To był na pewno on – zwałista postać, lekko szpakowate włosy, jego ulubiony garnitur... Zacząłem powoli przepychać się w jego stronę.

– Profesorze Muller! – żadnej reakcji. – Peter! – nawet się nie odwrócił.

Byłem już stosunkowo blisko. Powinien usłyszeć, pomyślałem. Stał zagadany. Mówił po niemiecku. Rozmówcy nie widziałem. Dotknąłem go lekko w ramię. Odwrócił się błyskawicznie z typowym dla siebie, wyuczonym od dziecka, uśmiechem.

– Michael, no nareszcie jesteś – w pierwszej chwili nie mogłem go zrozumieć. Co, do diabła, miało znaczyć to: „nareszcie”. Podniosłem wzrok i zobaczyłem stojącą naprzeciw Mullera moją Katarzynę. W pierwszej chwili zauważyłem tylko duże, wpatrzone we mnie ciemnoorzechowe oczy. Oczy stawały się coraz większe, coraz bardziej okrągłe, coraz bardziej błyszczące.

– Michał! – W jej okrzyku była radość, a może coś o wiele więcej... Zarzuciła mi ramiona na szyję, wtuliła się we mnie. Czułem, że drży. We mnie pulsował każdy mięsień, tętniło każde naczynie. Pocałowałem delikatnie jej włosy. Musnęła ustami mój policzek. Odgarnąłem ręką niesforne pasmo włosów opadające jej na twarz. Oczy Katarzyny były duże i pełne łez.

– Kasiu, co ty...

Przytuleni do siebie kołysaliśmy się w takt tylko dla nas słyszalnej muzyki. Nie liczyło się nic i nikt. Świat nagle skurczył się tylko do nas dwojga. Słyszałem brawa. Widziałem błyskające flesze. To było raczej nietypowe wydarzenie dla naukowego kongresu. Ktoś do nas podszedł, bardziej czułem to, niż widziałem.

– Michael, przepraszam – głos Mullera dotarł do mnie jak zza świątów. – Musisz iść, za chwilę rozpoczyna się rozdanie grantów.

– Kasiu, spotkamy się później? – spytałem.

Przyglądała mi się jakoś dziwnie. Jej wzrok wędrował po mojej twarzy, włosach, ubraniu...

– Wyglądasz super. Naprawdę – mówiła wolno, nie odrywając ode mnie wzroku. – Garnitur, koszula, krawat, wyprasowane na kant spodnie, krótko ostrzyżone włosy... Niesamowicie zdolny młody naukowiec, pnący się szaleńczo po szczeblach zawodowej kariery – zawiesiła na chwilę głos. – Mój Michał nosił poprzecierane dzinsy, błękitną bawełnianą koszulę, granatowy, wiecznie porozciągany sweter. Miał zwykle przydługą czuprynę, czasami dwudniowy zarost... Na chleb zarabiał ciężką pracą – mówiła jakoś dziwnie, jakby nagle ujrzała tamtego Michała, jakby to on, a nie ja, stał tuż obok. – Właśnie takim cię pamiętam, za takim bardzo tęsknię...

Jej wzrok przesuwiał się nadal po mojej twarzy, włosach, garniturze...

– Czy ty jeszcze choć trochę jesteś tamtym Michałem? – spytała cicho.

Przed półgodziną, siedząc na korytarzu, zastanawiałem się, jak wiele zmieniło się w moim życiu, jak bardzo zmieniłem się ja, jak bardzo zmieniła się otaczająca mnie rzeczywistość: nie sweter, lecz garnitur, nie bawełniany podkoszulek, lecz koszula, nie ciągle do końca nieumeblowane wynajmowane mieszkanie, lecz własny dom w ekskluzywnej dzielnicy, nie kardiochirurg, lecz genetyk, nie wiecznie zbuntowany młody człowiek, lecz próbujący panować nad emocjami mężczyzna... Nie było chyba niczego, co nie uległoby zmianie. Z jednym wyjątkiem – tego, co czułem do Katarzyny.

– Czy ty jeszcze choć trochę jesteś tamtym Michałem? – powtórzyła cicho Katarzyna.

– Dla ciebie zawsze...

Uśmiechnęła się. Odgarnęła włosy opadające jej na twarz ruchem, który tak zawsze lubiłem. Błysnęła obrączka na jej palcu.

– Wyszłaś za męża?

– Nie, to zupełnie inna historia. Noszę tę obrączkę na pamiątkę. Pewien chłopak podarował ją pewnej dziewczynie. Nie należy do mnie...

– Nie rozumiem...

– Bo i nie możesz. Kiedyś ci to pewnie opowiem.

– Michael! – Peter był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Musisz już chyba iść – Katarzyna wspięła się na palce, delikatnie musnęła ustami mój policzek, ruszyła w kierunku wyjścia. Ogarnęło mnie przerażenie, że odejdzie, że znowu ją stracę.

– Katarzyna! – zawołałem. – Gdzie i kiedy?

Odwróciła się.

– Mieszkam w Palas Hotel. Może być o dwudziestej?

Dla mnie mogło być o dwudziestej, mogło być wszędzie i o każdej porze.

\* \* \*

Poklepywany i poszturchiwany z sympatią przez wszystkich, którzy po oficjalnej części próbowali mi złożyć gratulacje, czułem się jak odurzony. Uśmiechy, uściski dłoni, wiele ciepłych słów w wielu językach, błyski fleszów, światła oświetlających scenę jupiterów,

pytania dziennikarzy. Świat wirował i kręcił się dookoła. Sukces... Prawdziwy sukces... Peter podszedł jako jeden z ostatnich.

– Gratuluję, Michael! Naprawdę gratuluję. Zasłużyłeś na ten dzisiejszy dzień. Zawsze mówiłem, że jesteś moją najlepszą inwestycją. Kłótliwą, niepokorną, nieposkromioną, zawsze mającą własne zdanie, ale najlepszą. Jeszcze w życiu tak dobrze nie zainwestowałem – śmiał się. – Przed laty mówiłem ci, że nikt, nawet Wolski, nie naciągnąłby mnie na tanie sentymenty. Byłem pewny, że to będzie interes mojego życia. Wygrałem ciebie jak los na loterii. Jestem z ciebie dumny, naprawdę dumny... – zawiesił głos na chwilę. W oczach pojawił mu się dziwny błysk. – Grant grantem – dokończył cicho. – Na niego zapracowałeś, ale ja zazdroszczę ci zupełnie czegoś, a właściwie kogoś innego.

Nie czekał na odpowiedź. Odsunął się uśmiechnięty, pozostawiając mnie na pastwę innych uścisków dłoni, gratulacji i poklepywań. Widziałem, jak się oddala. Gdy był na szczycie amfiteatralnie ułożonej sali, machnął mi ręką, pokazał komórkę. Wiadomość odebrałem po chwili:

*Patrząc na to zdjęcie na twoim biurku, zawsze wiedziałem, że ona musi być wyjątkowa. Rzeczywistość przeszła najśmielsze moje oczekiwania. Umieram z zazdrości. Jutro masz wolne. Niech będzie, że za nadgodziny. Urlop zapewne będzie ci jeszcze potrzebny.*

\* \* \*

Dochodziła dziewiętnasta. Przed chwilą wróciłem do domu. Miałem tylko parę minut, żeby się przebrać. Stałem przy lekko uchylonym oknie, wiążąc krawat. Robiłem to już bodajże piąty raz. Cały czas coś było nie tak – nie ta koszula, nie te spodnie, nie ta marynarka, a teraz już kolejny raz nie ten krawat. Za oknem kwitły magnolie. Olbrzymie bladioróżowe pąki rozchylały się powoli. Przez uchylone okno wdzierał się ich słodki zapach. Ulubione drzewa Katarzyny... To one zadecydowały kiedyś o kupieniu tego domu. Wiązanie krawatu szło mi jeszcze oporniej. Spojrzałem w lustro, wszystko było jakieś nie takie. Usiadłem na chwilę, zapaliłem papierosa. To zwykle wystarczało, dawało chwilę wytchnienia, dawało czas na złapanie dystansu. Czułem się jakoś dziwnie. Wiele rzeczy robiłem przez ostatnie lata z myślą o Katarzynie. Szedłem spać z jej obrazem pod powiekami, budziłem się rano, patrząc na zdjęcie uśmiechniętej Kasi wiszące w mojej sypialni. Było to irracjonalne i nielogiczne. Wolski twierdził, że niebezpiecznie balansowało na granicy normalności. Wiedziałem, że gdzieś tam daleko Kasia ma swoje życie, ma pewnie swój wymarzony świat. Kupiłem ten dom ze względu na rosnące w ogrodzie magnolie. Przez wiele tygodni świetnie się bawiłem, urządzając go na wzór jej dziewczęcych marzeń. Wiele razy wyobrażałem sobie Katarzynę w tym domu. W pewnym sensie żyła tu obok mnie już od lat... Spojrzałem na zegarek. Dochodził kwadrans po dziewiętnastej. W żadnym wypadku nie mogłem się spóźnić. Nagle zaświtała mi pewna myśl. W pierwszej chwili pomyślałem, że to szaleństwo. Tamten Kasi Michał nosił poprzecierane džinsy, błękitną bawełnianą koszulę, granatowy, wiecznie porozciągany

sweter. Właściwie dlaczego by nie? Na dnie szafy znalazłem stare wranglery, na wieszaku gdzieś z boku uchowała się jakaś sztruksowa koszula. Do tego jeszcze zarzucony niedbale sweter i sportowe obuwie. Niepewnie spojrzełem w lustro. Coś w tym było – młody, gniewny, jakby ktoś nagle cofnął czas. Ciekawe, co powiedziałby na to Muller? Do diabła z Peterem, pomyślałem. Ze stojącego w wazonie bukietu kwiatów wyciągnąłem jedną różę. Wtedy, przed laty nie było mnie na więcej stać. W hotelu byłem tuż przed ósmą. Recepcjonista obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem. Podał mi popołudniówkę. Usiadłem w holu, bezmyślnie przerzucając strony gazety. Krzykliwe tytuły w obcym języku nie wzbudzały dzisiaj mojego zainteresowania, zupełnie nie przemawiały do wyobraźni. Przyszła punktualnie. Była to jedna z jej cech – pewnych i oczywistych. Coś, czego nie zmienił miniony czas. Przyglądałem się Kasi schodzącej powoli po schodach – rozpuszczone włosy opadające na opalone ramiona, bose stopy wciśnięte w rzemienie sandałów, czarna, jakby ciut za krótka sukienka kontrastująca z miedzią jej włosów, jakieś wdzianko w kolorze starego złota, niedbale przerzucone przez torebkę... Poczułem się nagle tak, jakby cofnął się czas, jakbyśmy mieli znowu po dwadzieścia parę lat. Wtedy byliśmy tylko my, ja i ona. Cały świat ograniczał się tylko do nas dwojga. Później nadszedł ten przekłęty czas... Teraz Kasia była znów tuż obok. Stała na wyciągnięcie dłoni. Powąchała różę. Na chwilę wtuliła swoją twarz w karminowe płatki. Pocałowałem ją delikatnie w policzek, objąłem ramieniem. Objęci wyszliśmy z hotelu. Odruchowo skręciłem w kierunku rzeki. Tu było trochę puściej i znacznie przyjemniej – gdzieniegdzie tylko pojedynczy przechodnie, którzy podobnie jak my szukali samotności i spokoju, powoli zapalające się gazowe latarnie, cichy plusk rzeki... Żadnego ruchu, dorożek, piętrowych autobusów, żadnych ulicznych grajków i mimów, żadnych krzykliwych przewodników nawołujących uczestników wycieczek, żadnego wielojęzycznego tłumu... Cisza, spokój... Promenada biegła tuż nad wodą. Z przepływającego obok nas parowca dochodziły ciche dźwięki muzyki. Katarzyna... Katarzyna była tu naprawdę. Czułem jej bliskość: jej dłoń w mojej dłoni, delikatny zapach znajomych perfum, pasma jej włosów muskające moją twarz, tę cholerną obrączkę na jej palcu... Milczeliśmy oboje, tak jakbyśmy się bali, że po pierwszym naszym słowie pryśnie czar, zniknie ten cały magiczny świat. Wolski mówił kiedyś, że nie można przez całe życie uciekać, że kiedyś trzeba wy dorosnąć.

– Posłuchaj, Kasiu – zacząłem niepewnie. Przystanęła na chwilę, odwróciła twarz w moją stronę. – Nie przerywaj mi, proszę... – próbowałem zachować spokój. – Daj mi choć raz w życiu powiedzieć coś, nie przerywając mi. Później zrobisz z tym, co zechcesz... Ja wiem, że musiałem być wtedy dla ciebie za mało przekonujący. Przez te wszystkie lata żyłem w przeświadczeniu, że to wszystko, co się stało, jest moją winą – mówiłem spokojnie. – Pewnie mieli rację ci, którzy twierdzili, że nie mogłaś mnie wtedy wybrać. Nie dałem ci żadnej szansy. Nie stworzyłem niczego, o co mogłaś się oprzeć, w co uwierzyć. Roman albo ja – to nie była dla ciebie żadna alternatywa. Zabrakło deklaracji. Zabrakło słów.

Milczała, wsłuchana w plusk wody, ciche dźwięki muzyki, a może w moje słowa. Nawet nie wiem, kiedy znowu zaczęliśmy iść. Czułem jej głowę delikatnie opartą na moim ramieniu. Przytuleni, objęci, bliscy... Jakby nie było nic do wyjaśniania, jakby niczego nie



zmienił miniony czas.

– Nie miałem wtedy pojęcia, jak ważne są słowa. Wydawało mi się, że spędzając ze mną tyle czasu, musisz wiedzieć, ile dla mnie znaczysz. Wydawało mi się, że my już od dawna rozumieliśmy się bez słów. Gdzieś tam kończyła się moja sprawa rozwodowa. Gdzieś tam był Roman. My wyznaczyliśmy sobie akceptowane przez nas samych granice zachowań. Nakreśliliśmy wyraźne reguły gry. Przyjaciele... Słowo, które z czasem zacząłem prawie nienawidzić. Byłem pewny, że nie możesz wątpić w moje uczucia, że doskonale wiesz, że to nie tylko przyjaźń. Wydawało mi się, że to widać jak na dłoni. Dla innych było to jasne, czytelne, namacalne, proste. – Nie przerywała. Odniosłem wrażenie, że wtuliła się we mnie jeszcze bardziej. – Nigdy nie przywiązywałem wagi do słów. Zawsze wydawało mi się, że słowa stworzono tylko po to, żeby można było skrzętnie ukrywać myśli. Teraz już wiem, że jednak czasem, gdy zabraknie słów, to można zatracić sens wszystkiego. To prawda, nie mówiłem nigdy, że cię kocham. Nie mówiłem nigdy, że nie mogę bez ciebie żyć. Nie twierdziłem, że mi ciebie brak. Nie powtarzałem, że za tobą tęsknię. Nie mówiłem, że stałaś się moją obsesją. Byłem przez parę lat twoim nieodłącznym cieniem. Wydawało mi się, że to logiczne, że ty to musisz czuć, że ty to musisz wiedzieć. Nie potrafiłem i nie potrafię kochać słowami. Ja kocham całym sobą. Dla mnie słowa zostały stworzone tylko po to, żeby można je było kiedyś cofnąć... – przestałem się już denerwować. Nie przerywała mi. Mogłem mówić i mówić bez końca. – Pozwoliłem ci wtedy odejść, choć przez wiele lat męczyło mnie obsesyjne wrażenie, że jakimś cudem mogłem cię wtedy jeszcze zatrzymać. Spędziłem z tobą najcudowniejszą noc mojego życia, po czym dowiedziałem się, że wyjeżdżasz z Romanem. Dżentelmeńska umowa z Sosnowskim – ty wybierasz i jeden z nas odchodzi. Byłem pewny, że wybrałaś Romka. Zabrakło słów, nie rozumieliśmy się. Wszystko nagle przestało mieć dla mnie jakikolwiek sens. Wolski wykrzyczał mi kiedyś, że została urażona moja męska duma. Nie o dumę tu jednak chodziło... Zacząłem się staczać. Czekałem na telefon, list, jakikolwiek znak... Teraz wiem, że ty też czekałaś, że czekałaś jeszcze bardziej. Nagle moje życie straciło sens. Wszystkie marzenia przestały istnieć. Wszystkie plany wzięły w łeb. Wszystko rozsypało się jak domek z kart. Staczałem się, nie byłem święty – alkohol i panienki, ale rozpacz nie można utopić w alkoholu, a przygodna znajomość nigdy nie zastąpi miłości. Widywałem cię z daleka, przesiadywałem pod twoją kliniką, czekałem, aż wyjdiesz z pracy, szedłem za tobą jak twój cień, gdy po dyżurach wracałaś do domu... Godzinami stałem pod twoim domem, żeby choć na chwilę zobaczyć twoją postać w oświetlonym oknie. Wydzwaniałem, żeby choć przez sekundę usłyszeć twój głos. Wydawało mi się, że byłaś szczęśliwa. Byłem przekonany, że jesteś z Romanem. Widywałem was objętych, przytulonych, trzymających się za ręce... Mimoходом donoszono mi o wszystkim: ty na habilitacji Romana, zaręczynowy pierścionek na balu absolwentów, twoja przeprowadzka do jego mieszkania, twój wyjazd do niego do Chorwacji... Ja z dnia na dzień byłem coraz bliżej dna, coraz bliżej piekła. Zostały mi tylko wspomnienia i zdjęcia. Nie umiałem już normalnie żyć, staczałem się, raniąc ciebie każdego dnia. Nie miałem o tym zielonego pojęcia, byłem pewny, że już dawno wykreśliłaś mnie ze swej pamięci. Ja nie umiałem zapomnieć – w każdej poznanej twarzy szukałem twoich rysów, w każdym głosie chciałem odnaleźć znajomy ton, w każdym uśmiechu choć

cień twojego uśmiechu... Staczałem się, z dnia na dzień nienawidziłem siebie coraz bardziej. Nienawidzić samego siebie – to chyba najgorszy rodzaj szaleństwa. Nie potrafiłem już patrzeć w lustro, wiedziałem dokładnie, co zobaczę – nieogoloną twarz, podkrążone oczy, zapadnięte policzki, z wolna zaczynające się trząść ręce... W środku było jeszcze gorzej – pustka, totalna pustka, jakby nagle wypaliło się we mnie wszystko, jakby skończył się nagle mój świat – ruiny, zgliszcza, pożoga... Jakby przeszedł jakiś kataklizm... Chora miłość, jak mówił Robert, przekleństwo. Pewien ksiądz powiedział mi kiedyś, że Bóg był zawsze ze mną, ale ja czułem się wtedy zapomniany przez wszystkich, a przede wszystkim przez Pana Boga. Uczucie, które potrafi zabić. Nie wiem, co by było, gdyby nie Wolski... Mój pobyt w Niemczech... Zmieniło się wiele, bardzo wiele... Kiedyś, Kasiu, zabrakło paru słów.

– Zmieniło się chyba wszystko albo prawie wszystko... – wpadła mi w słowo. Przystanąłem, chciałem widzieć jej twarz.

– Wiem, nawet boję się o tym myśleć... Boję się pytać cię o cokolwiek. Poczekam, aż sama mi opowiesz. Bo przecież kiedyś opowiesz... Niedawno byłem w Chorwacji. Próbowaliśmy cię szukać, próbowałem się czegokolwiek dowiedzieć... Wcześniej nie miałem o niczym pojęcia. Dla mnie wyjechałaś do Chorwacji z Romanem i byliście tam razem cały czas. Przez te wszystkie lata nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogło być inaczej. Kiedy przyjechałem pomóc Romkowi, byłem pewny, że cię spotkam. Tylko tego się obawiałem, bałem się swoich reakcji. Bałem się, że jeszcze raz mnie to zniszczy, powali, pokona, że tym razem się już nie podniosę. Nie było ciebie... Nikt nawet nie wymówił twojego imienia. Nieporozumienie, fatalny zbieg okoliczności, koszmar... Kiedy pojechałem do Splitu, nikt ze mną nie chciał rozmawiać. Zostawiłem swój adres...

– Wiem – powiedziała cicho – przecież przyjechałam.

Patrzyła na mnie jakoś dziwnie. Jej oczy były znowu duże i okrągłe, znowu pełne łez.

– Nie da się cofnąć czasu, Michał...

– Kasiu, wszystko się da. Posłuchaj... Kocham cię od wielu lat. Nigdy nie przestałem cię kochać. Wszystko, co robiłem, robiłem z myślą o tobie. Kocham cię tą niepowtarzalną, szaloną pierwszą miłością, której nikt nie powinien nawet próbować zrozumieć...

Milczała.

– Słyszysz, co mówię?

Było tak cicho, że słyszałem swój przyspieszony oddech. Miałem wrażenie, że ta cisza przedłuża się w nieskończoność. Słyszałem wyraźnie plusk wody uderzającej o brzeg. W wodzie rzeki odbijało się światło księżyca. Śmieszny cień, jakby wygryziony przez przysłaniającą fragment księżyca chmurę. Katarzyna stała tuż obok.

– Tamtej Katarzyny, którą kochałeś, już nie ma – powiedziała jakoś dziwnie smutno. – Umarła bezimiennie, zapomniana przez wszystkich w chorwackim szpitalu.

– Co ty mówisz? Kasiu, co ty mówisz? To bzdura! Przecież wiesz, to był tylko fatalny zbieg paru okoliczności.

– Wiem, co mówię. Uświadomiłam to sobie nie tak dawno. Gdzieś mi się zapodział ten łańcuszek z motylem od ciebie. Wiem, że zakładałam go wtedy na spotkanie z tobą. Nosiałam go zawsze. Nawet wtedy, kiedy przestaliśmy się widywać, kiedy był tamten przekłety czas... Wydawało mi się, że przynosi mi szczęście. On miał dla mnie

symboliczne, magiczne znaczenie. Nikt go później przy mnie nie znalazł.

– Kasiu, można kupić dziesiątki innych łańcuszków...

– Nie rozumiesz – wydawała się rozczarowana. – Zresztą, chyba nie możesz tego rozumieć – dodała szybko. – To już nigdy nie będzie tak. Może ten motyl wtedy nareszcie się uwolnił, wzbił w powietrze, poleciał do swoich, może wreszcie skończył się ten jego czas...

– Kasiu, co ty mówisz?

– Ja już nie jestem tamtą Katarzyną, chociaż każdego dnia pamiętam coraz więcej z życia tamtej. Jej już nie ma. W pewnym sensie urodziłam się po raz drugi. Drugie życie jak druga szansa. Inna rzeczywistość, inni ludzie, inna ja... Stworzono mnie jakby na nowo. Nie rozumiesz? – spytała cicho. – Nic dziwnego, w końcu ja sama tego też jeszcze nie rozumiem.

– Daj mi szansę, porozmawiajmy!

Zamilkłam. Jej wzrok powoli przesunął się po mojej twarzy, jej oczy były okrągłe i pełne łez. Zastanawiała się nad czymś.

– Spróbujmy, zawsze warto rozmawiać – powiedziała cicho.

Nagle wszystko wydało mi się inne, intensywniejsze, cieplejsze, lepsze – cichy dźwięk muzyki z przepływającego obok parowca, blask księżyca tańczący na wodzie, światło gazowej latarni...

– Wiesz, Kasiu, kupiłem nam kiedyś dom, a w ogrodzie kwitną teraz magnolie...

\* \* \*

# Katarzyna

\* \* \*

Stał odwrócony do mnie bokiem, z minuty na minutę coraz bardziej zniecierpliwiony, rozdrażniony i zdenerwowany. Nie patrzył już na mnie, jakby świat za oknem stał się nagle o wiele ciekawszy od tego, co działo się po tej stronie okna. Stukał nerwowo palcami po parapecie. Plecami odgradzał się ode mnie i od tamtego mojego pytania. Nagle wydał mi się jeszcze bardziej obcy niż zwykle. Wszystko było obce, nieznane, nie kojarzyło mi się z niczym. Nic, po prostu pustka, zupełnie żadnych wspomnień, tak jakby cały świat zaczął się nagle przed paroma tygodniami, jakby wcześniej nie było nikogo i niczego.

– Mówiłam, że nie mogę sobie nic przypomnieć – powtórzyłam kolejny już raz. – Mnie to męczy, paraliżuje, zaczyna przerażać... Pomóż mi! Wracają powoli jakieś pojedyncze obrazy. Zupełnie nie rozumiem ich sensu. Wszystko jest zniekształcone, wraca jakby odbite, trochę jak echo. Głos biegnie, odbija się od ściany lasu i wraca. Nie jestem w stanie zrozumieć sensu zniekształconych słów. Słyszę je, ale nie mogę ich pojąć. Nocami prześladują mnie dziwne sny. Nie ma w nich słów, są tylko przesuwające się powoli, leniwie, jakby od niechcenia obrazy. Trochę jak kadry oglądanego przed laty filmu. Nie pamiętam tamtych ludzi, nie pamiętam tamtych miejsc, nie mam żadnych związanych z nimi wspomnień. Nic, pustka. Rozumiesz? Czuję się tak, jakby wszystko nagle się we mnie zatrzymało, wypaliło, wymarło. Nie ma tam Jeleny, nie ma ciebie... Od czasu do czasu targają mną uczucia, których nie pojmuję, emocje, które nie mają żadnego uzasadnienia... Słyszysz, co mówię?

Nie odwrócił się, nawet nie drgnął, stał zapatrzonej w błękit nieba, słońce i zieleń na zewnątrz.

– Pomóż mi! – prosiłam. – Rozmawiamy w języku, który znam, ale wydaje mi się obcy. Nigdy też nie znałam języka, w którym rozmawiasz z Jeleną. Po raz pierwszy usłyszałam go przed paroma miesiącami w szpitalu. Nie rozumiałam wtedy ani jednego słowa. Na pewno nie znałam go nigdy wcześniej – próbowałam cały czas mówić spokojnie, ale od czasu do czasu głos mi drżał, załamywał się niebezpiecznie. – Ja już wiem, że nie jestem stąd. Nie zaprzeczaj!

Na krótką chwilę monotonne bębnienie palcami o parapet ucichło. Wydawało mi się, że drgnął, że chciał się odwrócić. Nagle jakby zmienił decyzję, zatrzymał się w półobrocie.

Chwila ciszy i palce znowu zaczęły wystukiwać miarowy rytm, przesuając się po dębowej desce.

– Coraz częściej wydaje mi się, że ja tu nigdy wcześniej nie byłam. Słyszysz, co mówię?

W odpowiedzi była tylko cisza. Wdzierające się przez uchylone okno cykanie świerszczy zagłuszało wszystko. Rozgrzane południowym słońcem, rosnące tuż za oknem cyprysy rozsiewały słodką woń. Obce dźwięki, obce zapachy, obcy świat... Obcy, nieznan mi, odwrócony do mnie plecami człowiek.

– Nie znam tej wyspy. Nie znam tego domu. Nie znam ogrodu – wyliczałam coraz szybciej, coraz głośniej. Nigdy wcześniej nie próbowałam nawet o tym mówić. Dotychczas oddzielałam się od niego ścianą milczenia. Nagle, sama nie wiem dlaczego, zapragnęłam, żeby mnie zrozumiał. – Na początku próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć. Godzinami szukałam w pamięci odpowiedzi na pozornie proste pytania: co może być w tej szafie, co może być za tamtymi drzwiami, co znajdę w ogrodzie?... Zabierało mi to mnóstwo czasu i coraz bardziej przerażało. Pustka, zupełnie nic, żadnych, nawet mglistych wspomnień. Winiłam siebie za to, że nie pamiętam bliskich mi ludzi, że nie potrafię odnaleźć w sobie nawet cienia emocji, nawet śladu dawnych uczuć. Teraz nie mam już złudzeń. Tu wszystko jest dla mnie obce. Mieszkam u Jeleny, ale wiem, że ujrzałam ją po raz pierwszy przed paroma tygodniami. Spędzam z tobą codziennie wiele godzin, ale jestem pewna, że ja cię dopiero poznaję, że nie znałam cię nigdy wcześniej. Kim jesteś? Pomóż mi... Nie mogę odnaleźć się w tym świecie, z którego nic, zupełnie nic nie pamiętam... – Od czasu do czasu głos mi się załamywał. Przerwy między poszczególnymi wyrazami stawały się dłuższe, coś dziwnie zaczynało mi przeszkadzać w gardle. – To koszmar, rozumiesz? Nikogo i niczego nie mogę sobie przypomnieć.

Nawet nie drgnął. Zachowywał się tak, jakby mnie tu wcale nie było, jakby ten słoneczny dzień za oknem był ważniejszy od tego, co mówię.

– Pomóż mi! – wiedziałam, że mówię za głośno. Krzyczało we mnie wszystko. Drażnił mnie z minuty na minutę coraz bardziej – obojętny, obcy, zimny...

– Nie krzycz! – odparł ostro, prawie wrogo. – Nie jestem głuchy.

Zamilkłam. To przecież od początku nie miało najmniejszego sensu, pomyślałam. Sama nie wiem, na co właściwie liczyłam. Obcy, po prostu obcy. Tutaj wszystko jest obce: obcy mężczyzna, obcy dom, obcy świat...

Nagle rytmiczne bębnienie palcami po parapecie ucichło. W pokoju zapanowała cisza. Tylko świerszcze za oknem grały dalej swój koncert.

– Masz rację – odezwał się nagle. W pierwszej chwili zaskoczył mnie jego głos, jakbym już dawno przestała oczekiwać jakiegokolwiek odpowiedzi. – Nie mogę istnieć w twoich wspomnieniach. Nie może być w nich Jeleny, nie może być mnie. Nie jesteś stąd, ale na tłumaczenie tego wszystkiego jest moim zdaniem jeszcze za wcześnie – mówił zupełnie obojętnie. – Nie wstałaś dzisiaj rano, nie zjadłaś śniadania, nie chciałaś wyjść do ogrodu, nie ćwiczyłaś, nie chciałaś widzieć fizjoterapeuty, nie próbowałaś rozmawiać z Jeleną... – przeszedł nagle do ataku. – Nikt i nic ci nie zdoła pomóc, jeżeli ty nie chcesz pomóc sama sobie!

Nie stał już przy oknie. Odgarnął pled. Usiadł na brzegu mojego łóżka. Wypłowiła od

słońca jasne włosy, czarne oczy kontrastujące z kolorem włosów, mocno zaznaczone brwi, opalona twarz, mocne ręce i mocne ramiona... Nie, nie pamiętam... Zupełnie go nie pamiętam. Przyglądał mi się wnikliwie. Jego wzrok przesuwiał się powoli po moich włosach, oczach, ustach... Zatrzymał się chwilę dłużej na podkoszulku służącym mi za piżamę.

– Już południe, a ty ciągle jeszcze w łóżku – spróbował nagle łagodniejszym tonem głosu rozładować narastające napięcie, zepchnąć niewygodną rozmowę na inny tor. – Nie sądzisz, że czas nareszcie rozpocząć dzień?

– Proszę, powiedz mi cokolwiek! Zaczynam się bać. – Zdziwiłam się, że powiedziałam to na głos. Jeszcze wczoraj sama przed sobą nie umiałam się do tego przyznać. Przed paroma godzinami, leżąc w łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, nie potrafiłam tego jeszcze ani sprecyzować, ani nazwać. I nagle teraz powiedziałam to przy nim głośno.

– Bać? – wybuchnął śmiechem. Jego śmiech był trochę dziwny, jakby odrobinę za głośny, jakby nie do końca szczery. – Zaczynasz się bać? A niby czego?

Nie odrywał ode mnie oczu, jakby zastanawiał się, co tak naprawdę mogą znaczyć moje słowa. Jego wzrok wędrował powoli po mojej twarzy.

– Zaczynasz się bać? Czego? – powtórzył głośniej.

– Raczej nie czego, a kogo...

Patrzył na mnie uważnie.

– Mnie się zaczynasz bać? – spytał cicho, z powątpiewaniem w głosie.

– Ciebie też...

– Chyba żartujesz... – wydawał się autentycznie zaskoczony.

Przyglądał mi się z narastającym zdziwieniem. Przymrużył lekko oczy. Chłonał każde wypowiedziane przeze mnie słowo. Grał, a może rzeczywiście próbował mnie zrozumieć.

– Boję się wszystkich i wszystkiego – próbowałam mówić spokojnie. – Nikt nie może żyć bez przeszłości. Rozumiesz? Niczyje życie nie może się rozpocząć nagle jeszcze raz od początku, tak po prostu, tu i teraz. Kim jestem? Kim ty jesteś? Kim jest Davor? Kim Jelena? Dziesiątki pytań, setki dręczących mnie coraz bardziej wątpliwości, narastający powoli strach. Na początku był tylko lęk, coś bliżej nieokreślonego, jakiś wewnętrzny niepokój, śmieszne wrażenie, że to wszystko do siebie nie pasuje. Pojedyncze puzzle nijak nieukładające się w sensowną całość, jakby każdy pochodził z innego obrazka, z innej rzeczywistości, z czyjś, niekoniecznie mojego życia. Potem pojawił się strach – porażający, uniemożliwiający jakiegokolwiek działanie, wszechobecny, towarzyszący mi cały czas, nieopuszczający mnie nawet na chwilę. Z dnia na dzień boję się coraz bardziej. Nie potrafię się już od tego uwolnić. Nic do niczego nie pasuje. Nic z niczym nie układa się w całość. Płatanina ludzi, miejsc, czasu, przestrzeni, ciąg niezrozumiałych wydarzeń, bezsensownych, niewytłumaczalnych obrazów... Przerazenie narasta z godziny na godzinę. Niepamięć, to przeklęte słowo, to niemoc, która mnie więzi. Pomóż mi...

– Niewiele mogę ci pomóc – rzucił zimno. – Niewiele wiem... Zresztą doktor Peterson jest zdania, że nie powinniśmy ci jeszcze o niczym mówić, że to dużo za wcześnie, że to właśnie zburzy twoje poczucie bezpieczeństwa, wzbudzi niepokój, wywoła lęk... – mówił powoli, starannie dobierając każde słowo, jakby ważył, co może, a czego nie powinien mi w żadnym wypadku jeszcze powiedzieć. – Peterson twierdzi, że na to przyjdzie jeszcze

czas, że im później, tym lepiej, że trzeba dać ci szansę, abys przypomniła sobie jak najwięcej sama. Nie w porę opowiedziane późniejsze fakty mogą zaburzyć powracające samoistnie obrazy wcześniejszych wydarzeń. Pojawia się sugestia, luki pamięciowe mogą zacząć wypełniać się konfabulacjami... Będzie jeszcze trudniej odróżnić fakty od gry wyobraźni... Naukowe brednie! – dokończył nieoczekiwanie. Zamilkł na chwilę, jakby przerażony własną szczerością. – Peterson widział cię ostatni raz przed tygodniem. Czas jakoś dziwnie ostatnio przyspieszył. Chyba źle ocenił sytuację. Pomylił się...

Wyciągnął w moim kierunku rękę, chciał odgarnąć opadający mi na twarz kosmyk włosów. Odruchowo odsunęłam się do tyłu.

– Co ty? Ja tylko chciałem... – patrzył na mnie z niedowierzaniem w oczach. – Ty naprawdę zaczynasz się bać...

Alen wstał i zaczął powoli przechadzać się po pokoju. Przemierzał tam i z powrotem odcinek dzielący moje łóżko od okna. Milczał. Cisza przedłużała się. Coraz bardziej drażniły mnie jego kroki – cztery kroki w kierunku okna, zwrot, cztery kroki w moją stronę. Buty stuknęły po kamiennej posadzce. Kamienne, zimne posadzki, przemknęło mi przez myśl, surowy, zimny, obcy dom. Wszystko obce. Nagle stukot butów ucichł. Alen zatrzymał się tuż przy mnie.

– Nie znałem cię nigdy przedtem. Nie mam pojęcia, kim jesteś...

Ostro wypowiedziane słowa przecięły ciszę. Zabrzmiały brutalnie, dziwnie prawdziwie, nie pozostawiały cienia złudzeń ani wątpliwości. Obcy, przecież ja już od dawna podejrzewałam, że on jest obcy.

– Widziałem cię wcześniej tylko dwa razy – dodał po chwili.

Nie spojrział nawet w moją stronę. Odwrócony w tym momencie do mnie plecami, znów podjął swoją monotonną wędrówkę w kierunku okna.

– Po raz pierwszy zobaczyłem cię przed paroma miesiącami na tej wyspie. Drugi raz – dzień później na promie – mówił obojętnym, pozbawionym wszelkich emocji głosem. – Jestem dziennikarzem. Pisałem wtedy artykuł do miejscowej gazety o wpływie najazdu turystów na mentalność i codzienność mieszkańców naszej wyspy. Artykuł był już właściwie gotowy. Zbierałem jeszcze tylko do niego materiał zdjęciowy. Wiesz, ja nie przepadam za cudzoziemcami – stwierdził nagle zupełnie nieoczekiwanie. Mówił chyba bardziej do siebie niż do mnie. Coraz szybciej i coraz głośniejszym głosem, jakby na chwilę wyrwał się spod własnej kontroli, jakby zapomniał, że ja tu nadal jestem.

– Cudzoziemcy... Prawdę mówiąc, nie cierpię ich. Hałaśliwi, głośni, butni, ze swoimi drogimi samochodami i markowymi ciuchami, uważający się za lepszych od nas, bo w ich świecie jedynym wymiarnikiem ludzkiej wartości są pieniądze. Obcy, niewysilający się nawet, by poznać nas i nasze zwyczaje, traktujący nasz świat jak swoją własność, poniżający nas swoim sposobem bycia, śpiący w naszych domach, wylegujący się na naszych plażach, kupujący od nas za bezcen owoce i ryby... Mający nas za nic, za mniej niż nasz klimat, nasze krajobrazy, naszą roślinność. Większą ciekawość budzi w nich stojący przy drodze osioł niż idąca skrajem drogi na czarno ubrana stara kobieta. Wszędobylscy i wścibscy. Obcy... Panowie podbijający świat nie za pomocą broni, a za pomocą wszechmocnego pieniądza, zmuszający nas do sprzedawania własnej godności, samych siebie, oceniający naszą rzeczywistość przez pryzmat własnych wartości, sprawiający, że

nawet tu nagle ludzie zaczęli za wszystko wyznaczać cenę... Nie cierpię tych tłumów zalewających każdego roku naszą wyspę – niespodziewanie dokończył już znacznie ciszej. Spojrzał na mnie ukradkiem, spode łba, jakby zastanawiał się, czy go rozumiem. Zrozumiałam, ja też przecież byłam tu obca.

– Właściwie to materiał zdjęciowy miałem już wtedy prawie gotowy – kontynuował, jak gdyby nigdy nic, jakby zupełnie nic się nie stało, jakby nawet nie zauważył, że właśnie przed chwilą mnie obraził. – I nagle zobaczyłem was w porcie... – na chwilę zawiesił głos. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, jakby jeszcze przed chwilą tak wyraźnie słyszalna w jego głosie niechęć gdzieś zniknęła. – Dwoje ludzi jakby z innego świata. Pomyślałem wtedy, że to cudzoziemcy, ale jacyś inni. Dziwna para, niekomponująca się z otoczeniem. Wydawało się, że jesteście tylko wy, ty i on, że dla was nie istnieje już nic i nikt więcej. Miałem dziwne wrażenie, że można by was obrysować i wyjąć z otaczającej rzeczywistości, bo i tak do niej nie pasujecie. Nie potrafiłem tego nazwać, nie umiałem zasufladkować. Obcy, ale jakoś inaczej. A może niezupełnie obcy? Nie pasowaliście do mojego artykułu, ale ja lubię nietypowe wyzwania. Zacząłem się wam przyglądać. Szłaś uśmiechnięta. Opowiadałaś coś. On szedł obok, słuchając cię uważnie. Przygotowałem aparat. Nagle obok was przejechał malec na rowerku. Nie wiadomo, skąd się wziął na tym pomoście, nie wiadomo, dokąd pędził. Twój partner stał tyłem, nie widział go. Chłopiec zbliżał się w błyskawicznym tempie do brzegów pomostu. Chwyciłaś go w ostatniej chwili. Rozpędzony rower wpadł do morza, rozbijając się z hukiem o przybrzeżne skały. Straciłaś równowagę, upadłaś z chłopcem na rękach. Musiałaś się uderzyć. Przerażony malec, płacząc, wtulał się w ciebie. Siedzieliście przez dłuższą chwilę na pomoście, przytulałaś go mocno, próbowałaś go uspokoić. Twój towarzysz, zaskoczony jak wszyscy tym, co się stało, pomógł wam wstać. Wtedy usłyszałem po raz pierwszy twoje imię. Brzmiało jakoś podobnie do naszego imienia Katarina. Młoda dziewczyna, opiekunka chłopca, nie wiedziała, jak ci dziękować. Usłyszałem, jak próbujesz z nią rozmawiać – najpierw po niemiecku, potem po angielsku. Malec uspokajał się powoli. Ręką wycierałaś toczące się po jego policzkach łzy. Później długo grzebałaś w torebce. Wyjęłaś z niej małą pluszową maskotkę, śmiesznego małego stwora, podobnego trochę do bajkowego leniwca. Maluch błyskawicznie wtulił w niego twarz. Zupełnie przypadkowo zdobyłem niepowtarzalny materiał zdjęciowy. Zamiast was idących i roześmianych w kadrze uchwyciłem moment, gdy chwytasz tamtego malca. Koncepcja wiejącego nacjonalistycznymi nastrojami artykułu o obcych na naszej wyspie legła w gruzach, bo niespodziewanie zdobyłem wspaniały materiał o tajemniczej nieznanym, ratującej życie miejscowemu chłopcu. Następnego dnia szczęście dopisało mi jeszcze raz. Zobaczyłem was na promie płynącym do Splitu. Zauważyłem cię od razu. Trudno było cię nie zauważyć. Tym razem mogłem przyjrzeć ci się dokładniej. – Przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się nad tym, czy może sobie pozwolić na ten luksus szczerości. Po chwili zaczął mówić dalej obojętnie, beznamiętnie, spokojnie. – Dziwnie niespójne zjawisko. „Idealna dziewczyna na okładkę magazynu dla facetów”, pomyślałem wtedy o tobie mimo woli. Byłaś wyzywająca i drażniąca, ale nie wulgarna, przyciągająca wzrok, absorbująca wszystkie zmysły, a zarazem niewinna, budząca opiekuńcze instynkty. Kobieta... Dziewczyna... Dziecko... Dziwne, niespotykane połączenie, którego nie da się do końca



opisać słowami, ale obok którego nie można przejść obojętnie, którego nie można zapomnieć. Wszystko z osobna jakby zwyczajne, ale łączące się w niepowtarzalną całość: długie włosy miedzianego koloru rozsypujące się na opalonych ramionach, kontrastujące z bielą koronkowej bluzki, kapelusz z szerokim rondem chroniący twarz przed natarczywymi promieniami przedpołudniowego słońca, zadumana twarz anioła... Gdybym wierzył jeszcze w anioły, przemknęło mi przez myśl... Miałem tytuł dla swojego artykułu: „Gdybym wierzył w anioły”. Byłem pewny, że ten tytuł kupią wszyscy, że na długo pozostanie w pamięci czytelników naszej gazety. Siedziałaś zamyślona, zapatrzona w dal. Nie rozmawialiście tego dnia za wiele. Siedzieliście obok siebie, więcej milcząc, niż rozmawiając, wpatrzeni w linię brzegu, w powoli zbliżające się zabudowania Splitu. W pewnej chwili poprosiłaś go o coś. Wstał z uśmiechem, podszedł do baru, słyszałem, jak zamawia ci coś do picia, mówiąc po chorwacku. Mówił w naszym języku płynnie, ale z wyraźnym obcym akcentem. Wykorzystałem ten moment, żeby na chwilę usiąść naprzeciw ciebie. Chciałem ci powiedzieć, że mam te zdjęcia z poprzedniego dnia, że jestem dziennikarzem, że chciałbym to opisać. Mówiłem po angielsku, słuchałaś jakby nieobecna, przytakiwałaś odruchowo. Wydawało mi się wtedy, że mnie nie rozumiesz, chociaż dzień wcześniej płynnie rozmawiałaś w tym języku. Spytałem, czy mogę zrobić ci zdjęcie. Zgodziłaś się, ale gdy podniosłem aparat, usłyszałem wyraźnie:

– Pomóż mi, proszę, jakoś tak dziwnie się czuję... – twój głos był cichy, zlewał się z pracą silnika, krzykiem mew, poszumem wiatru. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

– Co pani mówi? – spytałem zdziwiony.

– Pomóż mi, proszę... – powtórzyłaś jeszcze raz. Tym razem usłyszałem to już wyraźnie, nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Tak strasznie boli mnie głowa, cały świat wiruje wokół mnie. Jest mi niedobrze, słabo...

– Może zawołam...

– Pomóż mi... – nie dałaś mi dokończyć.

Zobaczyłem zbliżającego się do nas twojego towarzysza podróży. Wstałem, ustępując mu miejsca. Przywitałaś go uśmiechem, jakby nie było tej naszej krótkiej rozmowy, jakbyś nagle o niej zapomniała. Wypiłaś duszkiem całą szklankę soku, zaczęłaś opowiadać coś wesoło, znowu się śmiałaś. Miałem dziwne wrażenie, że to „pomóż” nie było do mnie, że to ty jakby przez chwilę utraciłaś kontakt z rzeczywistością, że tak naprawdę to „pomóż” kierowane było do tamtego faceta. Obejrzałem zrobione przed chwilą zdjęcie. Szkoda, że nie wierzę już w żadne anioły, pomyślałem. Nigdy nie pojawił się w naszej gazecie tamten, napisany przez mnie wcześniej, skrajnie nacjonalistyczny artykuł. Jego miejsce zajęła opowieść o nieznanym cudzoziemce. Luka nabijał się ze mnie, że pewnie już czas zapomnieć o Marii. Gdy wróciłem z podróży służbowej do Kosowa, Davor wezwał mnie do siebie.

– Szpital zwrócił się do nas z prośbą. Mają u siebie jakąś cudzoziemkę. Poszukują jakichkolwiek jej znajomych, przyjaciół, rodziny...

– Ma mnie to zainteresować? – spytałem zaskoczony. – Poproś innych. Przecież wiesz, że nie przepadam za obcymi.

– To trochę inna sprawa – Davor nie dawał za wygraną.

– Dla mnie nie ma w tym temacie „innych spraw”. Nie ma o czym mówić, nie pracuję w tym dziale – burknąłem coraz bardziej rozdrażniony. – Żadnych kącików rzeczy znalezionych, żadnych zagubionych zwierząt i przedmiotów, żadnych złamanych serc, żadnych afer towarzyskich, żadnych zdradzonych i porzuconych i żadnych porad matrymonialnych. Odkąd rozstałem się z Marią, nie interesują mnie już tego typu tematy.

Petrovic patrzył na mnie jakoś dziwnie.

– Nie i jeszcze raz nie! – powtórzyłem dobitnie. – Obiecałeś mi to na piśmie, kiedy ściągałeś mnie do swojej gazety.

– Obiecałem, fakt, ale to trochę wyjątkowa sprawa – Davor przerwał mi gwałtownie.

– Wątpię! Uwaga, uwaga, czy zna ktoś panią z tego zdjęcia? Nadmiar słońca i słonej wody wywołał u niej zaburzenia pamięci... – Przerwałem nagle w pół zdania. Na biurku przede mną wylądowało twoje zdjęcie.

– Dokładnie przeglądałem materiały zdjęciowe do naszych artykułów. – Davor ciągnął dalej, jakby nie słyszał ostatniego zdania. – Ja już widziałem tę dziewczynę. To bohaterka twojego artykułu sprzed paru tygodni. To ta cudzoziemka, która uratowała chłopca. „Gdybym wierzył w anioły”, czyż nie tak zatytułowałaś swój artykuł? Teraz ta nieprzytomna dziewczyna walczy od paru tygodni o życie na oddziale reanimacyjnym miejscowego szpitala w Splicie.

Na zdjęciu byłaś ty – blada, wychudzona... Nie mogłem uwierzyć. Przed oczyma ciągle jeszcze miałem tamtą uśmiechniętą, szczęśliwą dziewczynę w porcie, tamtą tajemniczą nieznaną na promie.

– Niemożliwe – starałem się mówić obojętnie. – To pewnie jeden z tych twoich głupich żartów. Często miewasz dziwaczne poczucie humoru...

– Tym razem to nie żart.

– Co się w takim razie stało? – próbowałem mówić spokojnie.

– Nie wiem za wiele – Petrovic uśmiechnął się triumfalnie. – To zadanie dla ciebie. Zmieniasz zdanie? Bierzesz to czy mam zaproponować komuś innemu?

– Mów!

– Na razie nie wiadomo prawie nic. – Davor przyglądał mi się uważnie, jakby nadal się zastanawiał, na ile jestem gotów kupić ten temat. – Nieprzytomną dziewczynę znalazł jakiś turysta dziewiętnastego czerwca tuż za bramą prowadzącą od zachodniej strony na teren pałacu Dioklecjana. Nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów. Przewieziono ją karetką reanimacyjną do szpitala. Na izbie przyjęć badający ją lekarz ustalił stopień nieprzytomności na pięć w skali Glasgow. Mimo podjętego natychmiast intensywnego leczenia stan dziewczyny z minuty na minutę się pogarszał. Pojawiły się zaburzenia oddychania, zdecydowano o intubacji. Od paru dni oddycha samodzielnie. Nieprzytomna jest jednak nadal. Szpital zwrócił się do nas z prośbą o opublikowanie jej zdjęcia. Może znajdzie się ktoś, kto ją zna, ktokolwiek, kto będzie w stanie pomóc w ustaleniu jej tożsamości. Policja prowadzi też poszukiwania, ale na razie zupełnie bezowocne.

– Powtórz, kiedy ją znaleziono?

– Piszą, że dziewiętnastego czerwca około godziny szesnastej – Davor popatrzył jeszcze raz na trzymany w ręku faks ze szpitala.

– Dziewiętnastego czerwca? – Szybko spojrzałem do notatnika. – Ja widziałem tę

dziewczyńę ostatni raz właśnie dziewiętnastego czerwca około godziny czternastej. O Boże...

– Coś nie tak? – Davor przyglądał mi się uważnie.

– O Boże... – powtórzyłem bezwiednie kolejny raz.

Petrovic patrzył na mnie z narastającym zdziwieniem.

– Przysiadłem się do niej na chwilę na promie. Chciałem zrobić jej jeszcze jedno zdjęcie, wytłumaczyć, kim jestem i co robię. Właściwie nie słuchała mnie. Miałem wrażenie, że mnie nie rozumie. Nagle poprosiła mnie po angielsku o pomoc, mówiła, że źle się czuje, że boli ją głowa, że wiruje jej przed oczami świat... Widziałem, że coś jest nie tak, ale później pojawił się ten facet i wszystko wydawało mi się znowu całkiem normalne. Obserwowałem ich na promie cały czas. Poszedłem nawet za nimi do restauracji w porcie. Czułem, że coś nie gra, że coś musi być nie tak. Nie mogłem się uwolnić od jej słów. Kiedy jedli obiad, piłem kawę przy stoliku obok. Nie spojrzała ani razu w moją stronę. Śmiali się, żartowali, rozmawiali o czymś ożywni... Nie rozumiałem ani jednego słowa. Jakiś dziwny, trochę twardy, trochę świszcząco-szeleszczący język... Widziałem, jak wsiadali do taksówki... Przez te parę tygodni wydarzenia z tamtego dnia wracały do mnie jak bumerang. Nawet w Kosowie nie mogłem się od nich uwolnić. A teraz...

– A teraz trafił ci się wspaniały dziennikarski temat – Davor przerwał mi gwałtownie. – Może postarasz się być w tej sprawie choć trochę znowu sobą. Zwykle bywasz zimnym profesjonalistą. Żadnych osobistych wycieczek, żadnego samobiczowania... Bierzesz ten temat czy mam zadzwonić do Luki?

– Biorę – rzuciłem szybko. – Jasne, że biorę.

Nie pojechałem do szpitala od razu. Nie byłem na to gotów. Popłynąłem promem do domu. Spróbowałem sobie jak najwięcej przypomnieć. Nie było tego wiele. Pierwszy raz widziałem was na wyspie. Oglądaliście zacumowane w porcie łodzie. Byliście roześmiani, rozgadani, pogodni, ciepłi. Jak na wakacyjną przechadzkę po porcie, to byliście trochę nietypowo ubrani. W pierwszej chwili mogłem sobie przypomnieć tylko ciebie – jasnoniebieska powiewna sukienka na szerokich ramiączkach, z odsłoniętymi plecami i ramionami, burza kasztanowych włosów mieniąca się aureolą ciepłych odcieni, opalona twarz, ramiona, nogi, bose stopy, niesione w ręku białe sandały... Pamiętam, że pasowaliście do siebie idealnie, jakby wasze ubrania wyszły spod igły tego samego krawca. To rzuciło mi się w oczy od razu. Na wyspie on miał na sobie jasne spodnie, dokładnie odprasowane, zupełnie niepasujące do tego letniego dnia, lejącego się z nieba żaru i wakacyjnej atmosfery. Do tego jasnoniebieska koszula, w idealny sposób komponująca się z błękitem twojej sukienki. Myślę, że wracaliście z jakiejś oficjalnej wizyty albo przyjęcia. Był sporo wyższy od ciebie, odrobinę starszy. Pamiętałem jasne włosy, mocno opaloną twarz, nienaturalnie wprost niebieskie, prawie chabrowe oczy. Nie wiem, kim był dla ciebie. Narzeczonym? Mężem? Przyjacielem? Bratem? Nie mam pojęcia. Nie trzymaliście się za ręce, nie szliście objęci, ale emanowało z was ciepło, przyjaźń, jakbyście znali się całe wieki, jakbyście rozumieli się bez słów. Na pewno nie był Chorwatem, chociaż mówił biegle po chorwacku. Musiał tu mieszkać albo przynajmniej często bywać. Znał wyspę, na pewno był tutaj nie pierwszy raz, nie zachowywał się jak turysta odkrywający coś nowego. Miałem wrażenie, że oprowadza cię

po wyspie, że to jest jakby jego świat, że chce ci wszystko pokazać, opowiedzieć. Przeglądałem potem jeszcze wiele razy tamte zdjęcia – ty na pomoście chwytająca malca, ty trzymająca go w ramionach, zapłakany chłopiec przytulający pluszową zabawkę, ty na promie... Twarzy towarzyszącego ci mężczyzny nie było nigdzie. Na jednym zdjęciu stoi tyłem. Wygląda jak przyglądający się wydarzeniom przypadkowy przechodzień.

Przerwał na chwilę, jakby czekał na jakąkolwiek reakcję z mojej strony, jakikolwiek znak. Usiadł w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi, splótł ręce, milczał. Wiedziałam, że daje mi czas. Położyłam się na łóżku, przymknęłam oczy. Próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć – wyspa, żar lejący się z nieba, ktoś o jasnych włosach i chabrowych oczach, jakiś malec pędzący na rowerku, prom... Wyobrażenia przekładała na obraz usłyszane przed paroma minutami słowa. Poza tym była tylko pustka. Nie było nic, nie było zupełnie nic, a już na pewno nie było żadnych wspomnień.

– Nie pamiętam, ja tego zupełnie nie pamiętam – powiedziałam cicho. – Nawet nie wiem, czy to byłam ja.

– Co do tego ostatniego, to nie mam żadnych wątpliwości – Alen roześmiał się niespodziewanie. Śmiech przerwał napięcie. – Pokażę ci kiedyś tamte zdjęcia. Trzeba wreszcie poszukać ci jakichś odpowiednich kiecek. Koniec džinsów i moich koszulek. Musisz trochę dłużej bywać na świeżym powietrzu, opalić się, przyczesać czasami włosy... – dodał ciszej, jakby sam dziwił się, że to mówi.

– A ten dom? A ty?

– Na dzisiaj już koniec! – powiedział kategorycznie, wykluczając dalszą dyskusję. – I tak pewnie powiedziałem ci już o wiele za dużo. Na ten temat ani słowa więcej. Muszę zadzwonić do Petersona. To się dopiero zdziwi. Wracam za dziesięć minut. Wstań! Ubierz się! Zjedz coś! – Aż mnie uszy zaboląły od nadmiaru wykrzykników. – Pójdziemy nad morze.

\* \* \*

Warto było zrobić ten wysiłek, pomyślałam. Alen miał rację, to było cudowne miejsce – mała zatoczka ze żwirową plażą, otoczona ze wszystkich stron bryłami jasnych skał, morze o nienaturalnie wygładzonej atramentowej powierzchni, stykającej się gdzieś na linii horyzontu w niezauważalny sposób z lazurem nieba, cichy dźwięk wody uderzającej o przybrzeżne skały, setki małych kropeł lecących ku słońcu, długie cienie rzucone przez promienie popołudniowego słońca. Alen podniósł kamyk i rzucił go jak najdalej w morze. Pochylił się ponownie, pasma jasnych włosów opadły mu na czoło... Tamten chłopak miał ciemne włosy, trochę za długie, mokre od morskiej wody, nieogoloną, ogorzałą słońcem twarz, czarne, wesołe oczy. Pochylił się, podniósł kamień. Kamień rzucony pod kątem odbił się od nadpływających fal. Jedno odbicie, drugie, trzecie... Kamyk podskakiwał jak zaczarowany.

– Kasiu, siedem, na szczęście! – krzyknął.

Tamto morze nie było atramentowe, nie było gładkie jak stół. Do brzegu biegly grzywiaste fale, woda wydawała się mętna, surowa, zimna, groźna. Nie było odcieni błękitu, dominowała szarość, złamana brunatnym kolorem niesionego przez niespokojną

wodę piachu. Parę metrów od brzegu fale przewalały się z hukiem jakby przez niewidoczne przeszkody, biegnąc dalej już spokojnie, znacząc na brzegu linie jęzorami spienionej wody. Nieopodal brzegu kołysało się na falach stado mew. Ptaki zrywały się raz po raz niespokojnie, aby opaść ponownie parę metrów dalej. Tamta plaża była szeroka i piaszczysta, oddzielała wysokie wydmy od morza. Nad wydmami górowały korony powyginanych częstym wiatrem drzew. Piasek był drobny i żółty, oblepiał zmoczone falami stopy, w niczym nie przypominał kamieni i drobnego żwiru. Na plaży leżały wyrzucone przez morze i wysuszone słońcem konary drzew, spopielone promieniami słonecznymi glony. Nad głowami krążyły mewy, ciszę przerywał krzyk rybitwy.

– Bierz! – chłopak podał mi swoją koszulę. – Zrobiło się jakoś chłodno.

Koszula była z cienkiego sztruksu, w zielono-czarną kratę, dużo za długa i za obszerna, sięgająca prawie do kolan. Zrobiło się cieplej, przyjemniej, bezpiecznie...

Na mokrym piasku pojawił się napis: „Ty i ja?”. Chłopak pochylił się, pomiędzy nadpływającymi falami mignęło – „Tak jak teraz już na zawsze”. Zawsze i na zawsze, przemknęło mi przez myśl. Skąd ja to znam...

– Katarina, coś nie tak? – Alen nie rzucał już kamieni, nie stał na skale wychodzącej w morze, był tuż obok. Wyglądał na zaniepokojonego. Przyglądał mi się uważnie.

– Źle się czujesz? – Jego wzrok wydawał się przeszywać mnie na wylot. – Przesadziliśmy z tym spacerem? Zmęczyłaś się? – dopytywał się nerwowo.

– Nie, dlaczego? – mój głos zabrzmiał odrobinę niepewnie.

– Wołam cię i wołam. Chciałem pokazać ci tamte śmieszne ryby, o których kiedyś opowiadała Jelena. Tuż przy skale właśnie przepłynęła cała ławica. Mówiłaś, że kiedyś chwyciłaś podobne w dłonie. Nie wiedziałaś tylko gdzie.

– Naprawdę nie słyszałam. To chyba przez ten ryk fal...

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Przez co? – spytał cicho, jakby nie dosłyszał odpowiedzi, jakby nagle nie mógł zrozumieć sensu moich słów.

– Przez szum morza – powtórzyłam niepewnie.

– Chyba żartujesz, tu nic nie szumi, tu nie ma żadnych fal. W tej zatoce nie widziałem ich nigdy.

Usiadł tuż obok mnie. Jego palce zacisnęły się na chwilę na trzymanym w ręku kamieniu.

– Tu nigdy nie ma fal – powtórzył ciszej.

Zamilkł. Czekał. Milczenie przedłużało się, zaczęło ciążyć, drażnić. Alen przyglądał mi się raz po raz ukradkiem. Położyłam na wierzchu dłoni kamyk. Podrzuciłam go. Próbowałam złapać. Koncentrowałam się już tylko na tym trzymanym w ręku kamieniu. Spadając, wylądował pewnie w mojej dłoni. Teraz dwa małe kamyki, rzut, pewny chwyt. Za chwilę trzy, a później cztery poleciały w górę. Bawiłam się, grałam... Grałam na czas. Nieuchwycone w porę kamyki rozsypały się. Echo kamiennego deszczu odbiło się od skał... To nie ja wtedy bawiłam się kamieniami. Tamto echo brzmiało o wiele głośniejsze, groźniejsze. Odgłos rozsypanych po bruku kamieni odbił się od murów zamczyska. Złał się w jeden dźwięk z wypowiedzianym chwilę wcześniej zdaniem.

– Czuję się jak idiota.

Mówiący te słowa mężczyzna miał jasne włosy, intensywnie niebieskie, wręcz

chabrowe oczy, mocno opaloną twarz. Eleganckie spodnie i dokładnie wyprasowana koszula nie pasowały do upalnego dnia, wysokich traw otaczających ruiny podniebnej fortecy, błękitnego, wakacyjnego nieba. Wyglądał jak ktoś z innego filmu, przypadkiem wepchnięty na niewłaściwy plan.

Siedział na trawie, nie patrzył na mnie, o wiele ciekawsze niż ja były statki na horyzoncie.

– Walczyliśmy o ciebie... My też szukaliśmy jakichś rozwiązań... Dwóch zaprzyjaźnionych facetów zakochanych w tej samej dziewczynie. My zagraliśmy w kosza. To miała być niewinna zabawa, sparingowy mecz dwóch przyjaciół... Ale gdy chodzi o uczucia, nie ma sparingów... Nie liczyły się żadne zasady... Przestały obowiązywać jakiegokolwiek reguły. Liczył się tylko cel, tylko to, kto zwycięży... Kto zdobędzie ciebie...

– Jeszcze raz podrzucone kamienie, jeszcze raz echo kamiennego deszczu. Jakby można było w te dźwięki zakląć całą niepewność, cały lęk, narastający i coraz bardziej obezwładniający, wszechobecny strach.

– Katarina, co się dzieje?

Alen był tuż obok mnie. Potrząsał mnie za ramiona, jakby próbował wyrwać z jakiegoś koszmarne snu. Zatoka pogrążyła się już w cieniu. Woda przeszła w kolor głębokiego granatu, tylko w oddali, poza skałami ograniczającymi wejście do zatoki, igrały jeszcze na wodzie ostatnie promienie zachodzącego słońca. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanych upałem drzew.

– Boję się... – usłyszałam swój cichy głos.

– Czego się boisz? – Alen wpatrywał się uważnie w moją twarz.

– Wracają do mnie różne obrazy, rzeczywistość miesza się z przeszłością. Ztracam granice między tym, co tu i teraz, a tym, co kiedyś. Słyszę obce głosy, widzę nieznanne mi pejzaże, uczestniczę w niezrozumiałych wydarzeniach... To nie ma sensu. To jak dwa równoległe istniejące światy. Rzeczywistość wywołuje duchy przeszłości. Tamto morze było morzem północy. Tamten chłopak miał ciepły głos i ciemne włosy. To nie ja kiedyś grałam w kamienie... Ten mężczyzna miał niesamowity kolor oczu. Ludzie, których nie pamiętam, słowa, których sensu już, a może jeszcze nie rozumiem. Imiona, które wydają mi się obce... Kiedyś myślałam, że nie ma nic gorszego od nicości. Myliłam się. To, co czuję teraz, jest jak szaleństwo. To o wiele gorsze od tamtej pustki – głos zaczął mi się załamywać, coś zaczęło drapać i dusić w gardle, pod powiekami poczułam łzy.

– Nie płacz!

Alen wydawał się rozdrażniony. Jego głos brzmiał ostro i szorstko. Odgarnął ręką opadające mi na twarz włosy, odrzucił je do tyłu, zmusił, bym spojrzała na niego.

– Wszystko wymaga czasu.

– Boję się...

– Za wcześnie było dzisiaj na tę wyprawę na plażę – rzucił zimno.

Wstał z kamieni, niedbałym ruchem strzepnął drobny żwir ze spodni. Wyciągnął rękę w moją stronę.

– Pomóc ci?

– Nie! – Z trudem spróbowałam się podnieść. – Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? Boję się...

– Czego? – Stał tuż obok mnie. Wydawało mi się, że na twarzy czuję jego oddech. Patrzył na mnie dziwnie, jakby wrogo. – Czego? – powtórzył zaczepnie. – Tego, że kiedyś będziesz musiała znowu być sobą?

\* \* \*

Usłyszałam ciche stuknięcie ostrożnie zamykanych drzwi, później stukot butów po bruku podwórka. Kroki były pospieszne, oddalały się, cichły. W końcu zapanowała idealna cisza, przerywana tylko natarczywym brzęczeniem much. Jestem sama, przemknęło mi przez myśl, nareszcie sama. Przed chwilą Jelena zajrzała do pokoju. Zamknięte oczy i równy oddech upewniły ją w tym, że jeszcze śpię. Bezgłośnie przymknęła drzwi. Szybko wstałam. Muszę wykorzystać tę okazję, muszę to sprawdzić, myślałam intensywnie. To coś widziałam tylko jeden raz. Było to parę tygodni temu. Jelena szukała swetra dla mnie. Mignęło mi coś wtedy kolorami w głębi szafy. Wydało się znajome, moje... Drzwi starej szafy skrzypnęły przeraźliwie, odsłaniając przepastne wnętrze. Parę wieszaków, jakieś stare ubrania Alena: kurtki, koszule, spodnie... To na pewno musi być tu nadal. Przesuwałam coraz bardziej nerwowo kolejne wieszaki. Jest, na ostatnim wieszaku, pod starym płaszczem Jeleny, mignęły żywe kolory. Sukienka... Biały cienki jedwab, malowany w żółto-zielono-błękitne kwiaty, zielone wykończenie dekolту, ciemnozielona falbana rozkloszowanej spódnicy, szeroki, jedwabny szmaragdowy pasek. Delikatna, powiewna, niepasująca do posępnej i szarej zawartości szafy, niepasująca do tego domu. Upalny dzień, palmowa aleja, lekki wiatr unoszący delikatnie brzegi tkaniny... Powoli, jakby leniwie zaczęły przesuwać się przed moimi oczyma obrazy. Jechaliśmy w milczeniu. Wsiadłam z samochodu, odwróciłam się, pomachałam mu ręką, przyłożyłam dłoń do ust w symbolicznym geście. Machnął mi ręką przez otwarte okienko. Nie odjechał od razu, czekał, aż odejdę, aż zniknę za załomem muru, tuż przy bramie prowadzącej na teren pałacu... Upał, żar lejący się z nieba, delikatny wiatr od morza... Bzdura, przemknęło mi przez myśl, tu niczego takiego nie ma. Jest tylko ten surowy pokój: drewniane łóżko ze sztywną lnianą pościelą, niczym nieprzykryty stół, dwa krzesła, stara drewniana szafa z równie starym lustrem, zimne, gołe ściany pobielone wapnem, jedna pusta ramka po stojącej tu kiedyś na komodzie czyjejś fotografii, okno wychodzące na skalny ogród... Ściągnęłam pizamę, z dziwną radością wciągnęłam na siebie sukienkę. Spojrzałam w stare, lekko matowe już lustro w drzwiach od szafy. Ręką przeczesalam włosy, uniosłam się lekko na palcach. Dziewczyna w lustrze miała długie kasztanowe, opadające na ramiona włosy, orzechowe oczy, ciemne brwi. Spróbowałam się poruszyć. Obróciłam się na palcach. Brzegi sukienki zawirowały radośnie.

– Kasiu, wyglądasz super, po prostu prześlicznie. Szkoda tylko, że nie dla mnie włożyłaś tę sukienkę. – Stał w półotwartych drzwiach, uśmiechał się ciepło, pogodnie. Jasne włosy, intensywnie niebieskie oczy...

– Musimy się pospieszyć – dodał szybko. – Nie tak łatwo jest o tej porze przejechać przez zatłoczone miasto.

– Pójdiesz ze mną? – spytałam.

– Nie – uśmiechnął się. – To wasze spotkanie. Muszę na chwilę podjechać do pracy.

Przyjadę do was później, pojedziemy gdzieś razem – patrzył na mnie z narastającym rozbawieniem w oczach. – Chyba mi nie powiesz, że boisz się spotkać z Michałem...

Usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Serce zabiło mi szybciej. Ktoś, nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z niemiłym skrzypnięciem.

– Muszę je wreszcie naoliwić – Alen stał w otwartych drzwiach. – Zawsze szkoda mi na to czasu... – przerwał jakby w pół zdania. Patrzył na mnie z dziwnym wyrazem oczu. Nie było już możliwości, żeby się schować, przebrać, wskoczyć do łóżka, ukryć się za ścianą mocno zaciśniętych powiek i wysoko podciągniętego pod brodę przykrycia. Poczułam się nagle tak, jakby mnie złapał na gorącym uczynku bycia sobą. Mierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Jego wzrok przesuwiał się po bosych stopach, wirujących jeszcze brzegach sukienki, wędrował w kierunku odsłoniętych ramion, ukradkiem przebiegł po twarzy. Serce biło mi jak oszalałe. Słyszając zbliżające się kroki Jeleny, jakby odruchowo zamknął drzwi. Nie ruszył się z miejsca. Nie przesunął się nawet o centymetr. Oparty plecami o ścianę, nie odrywał ode mnie oczu.

– Przepraszam – rzuciłam niepewnie. – Nie powinnam była grzebać w szafie. – Wyjdź, przebiorę się.

– Za co przepraszasz? – powiedział to tak, jakby starał się szorstkością ukryć narastające zmieszanie. – Super wyglądasz w tej swojej sukience.

\* \* \*

Było bardzo wcześnie, niebu nie udało się jeszcze przejść z granatu w letni błękit, wszędzie panowała mglista szarość. Od wielu tygodni wstawałam o świcie. O tej porze można było załapać się w porcie na rozładunek kutrów powracających z nocnego połowu. Zawsze przygotowywałam sobie wszystko już dzień wcześniej. Wracając, udawałam, że byłem trochę pobiegać. Wierzyła mi, ona wierzy mi zawsze... W końcu to było tylko drobne kłamstwo w dobrej wierze. Wymykałem się z domu jak najciszej, byle tylko nie zdenerwować Jeleny. Jej już pewnie na zawsze port będzie się kojarzyć z marynarzami, wódą i tym wszystkim, co było po moim rozstaniu z Marią. Wtedy było już bardzo źle, bardzo blisko dna... Teraz te wyprawy miały swój cel, wszystko było zupełnie inaczej. Nic mnie ani nam już nie zagrażało, ale po co miała o tym wiedzieć, po co miała się lękać, obawiać, myśleć, analizować i gdzieś podświadomie znowu się bać. Szybko wciągnąłem spodnie, koszulę, bluzę... Unikałem zbędnego światła, jakiegokolwiek hałasu. Golenie i mycie zostawiłem na później. W porcie nikogo nie interesowało, jak wyglądam. Przed pójściem do redakcji i tak zawsze musiałem zmyć z siebie pot i wszechobecny zapach ryb. Przez okno wdzierał się wyraźny poranny chłód. Buty, jak zawsze, wziętem do ręki... Stukot butów po kamiennym korytarzu mógłby obudzić staruszkę. Chciałem jeszcze tylko na chwilę zajrzeć do kuchni, zjeść coś. Poruszałem się prawie bezszelestnie, nie zapalałem nawet światła, otworzyłem lodówkę...

– Alen! – usłyszałem nagle za swoimi plecami głos Jeleny. Stałem jak sparaliżowany. Jelena siedziała przy stole w kuchni. Była już ubrana i uczesana, w swym wiecznym fartuchu, ze starannie upiętymi włosami, gotowa do codziennej krzątania.

– No co tak patrzysz? Coś nie tak? Przygotowałam ci kawę i kanapki... Trudno tak



ciężko pracować o szklance mleka. Na mleku długo nie pociągniesz...

– Od kiedy wiesz? – próbowałem burknięciem ukryć zaskoczenie.

– Chyba od początku – przyglądała mi się uważnie. – Alen, ja też jeszcze umiem liczyć. Fizjoterapeuci, psychoterapeuci, logopedzi... Dziesiątki ludzi przewijających się przez nasz dom prawie każdego dnia, kontrole w klinice, lepsze jedzenie... Twoja pensja w redakcji i moja renta już przedtem z trudem starczyły nam na życie. Ja wiem, że pomaga Davor i twoja redakcja, że trochę wspiera szpital, ale to wszystko jest ciągle mało – mówiła spokojnie, prawie ciepło. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

Tej naszej rozmowy sprzed paru miesięcy nie zapomnę nigdy. Okres pobytu Katariny na oddziale dobiegał końca. Byłem chyba już wszędzie. Poszukiwanie tamtego faceta stało się moją obsesją. Wspólnie z kumplem z policji stworzyliśmy nawet jego portret pamięciowy. Pokazywałem go dziesiątkom, a może setkom ludzi. Przemierzyłem z nim w rękę całą wyspę i chyba wszystkie hotele, pensjonaty, restauracje i knajpy Splitu. Byłem wiele razy w porcie, na przystani, na lotnisku... Nie znalazłem go. Na nic się zdało wielokrotne pokazywanie zdjęcia Katariny w kronice policyjnej. Nikt nie zgłosił się w odpowiedzi na komunikaty. Z dnia na dzień czułem się coraz bardziej bezradny i pokonany. Policji też już zabrakło pomysłów. Doktor Peterson nie miał podstaw do zatrzymania jej dłużej na oddziale. Jej życiu nic już nie groziło. Dzień po dniu wyszukiwał jakiś nowy, wydumany powód, żeby jeszcze choć trochę przetrzymać ją w szpitalu, wydłużyć czas rehabilitacji, żeby jej jeszcze nie wypisywać, w każdym razie nie tam, nie do tamtego domu. Utrzymywało się porażenie prawostronne, zaburzenia mowy i zaburzenia pamięci. Tak mogło pozostać już na zawsze. Może udałoby się jeszcze coś poprawić, ale to wymagało mnóstwa czasu i mnóstwa pieniędzy. Szpital nie dysponował ani jednym, ani drugim. Codziennie Peterson stawał przed zarządem szpitala i codziennie walczył o kolejny dzień dla Katariny. Tym razem przegrał. Następnego dnia miała być przetransportowana do tamtego domu. Pojechałem tam. Chciałem go zobaczyć. Stary budynek ukryty przed ludzkim wzrokiem za wysokim, szczelnym ceglany murem z ciężką metalową bramą. Kawałek zaniedbanego ogrodu, parę starych drzew, kilka już od wielu lat nieodnawianych ławek. Dziesiątki ludzi o różnym stopniu niepełnosprawności – ktoś siedzący na wózku, ktoś przemieszczający się o kulach, ktoś posadzony na ławce, dziesiątki leżących na stałe w łóżkach, czekających na zbawczą śmierć. Gdzieniegdzie przemykająca postać zakonnicy w habicie. Miłością, zbawieniem i krzyżem pewnie można ten cały bezmiar nieszczęść wytłumaczyć. Pamiętam siostrę Annę z Kosowa. Udało jej się uciec, inni zginęli. Powiedziała mi wtedy, że to wszystko jest jak droga krzyżowa. Ale ilu może być tych Jezusów na krzyżu i ile może być jeszcze na świecie tych krzyżowych dróg? Pielęgowani, myci, karmieni, ubierani, sadzani na wózkach, kładzeni do łóżek, otoczeni pustymi gestami, obojętnością, zakreślonym znakiem krzyża. Ten dom to przechowalnia, to koniec, wyrok, przekreślenie szansy na normalność, wieczne czekanie na śmierć. Ten dom oznacza koniec walki, cichą akceptację wszystkiego, modlitwę, pokorę, krzyż. A mnie wydawało się zawsze, że trzeba walczyć do końca – z Bogiem albo bez Boga, że tylko wtedy życie ma jeszcze jakiś sens. Skazani na niepełnosprawność, izolowani, zapomniani przez Pana Boga, zapomniani przez innych ludzi. Peterson mówił, że to zawsze jest lepsze niż nic, że nie ma już żadnych innych możliwości, nie znalazł żadnego innego rozwiązania. Poszedłem do niej

właściwie tylko po to, by się z nią pożegnać. W pierwszej chwili nawet mi ulżyło, że śpi. Nie musiałem nic mówić, niczego grać, niczego udawać ani przed nią, ani przed samym sobą. Nie było widać wyraźnie ją krępującej niezgrabności porażonych kończyn, zaburzeń mowy, zaburzeń pamięci. Przysłonięte żaluzje, delikatne cienie na jej twarzy, rozrzucone na poduszce włosy, spokojny oddech... To była ona, tamta dziewczyna z portu, ta nieznamy z promu. Dziesiątki razy oglądałem zrobione tam zdjęcia. Pokazywałem je setkom ludzi. Obsesyjne szukanie śladów jej i tamtego mężczyzny przez ostatnich parę tygodni zajmowało mi całe dni, nie dawało spać w nocy. Wsunęte w portfel zdjęcia stały się moją prywatną własnością. Tajemnicza, nieznamy teraz stała się jeszcze bardziej tajemnicza, niż była wtedy. Nagle przemknęło mi przez myśl, że straciłem w swoim życiu już tak wiele, że chyba nie stać mnie na kolejne straty. Wiatr ruszył delikatnie firankę. Cienie przesunęły się po poduszce, po włosach. Na krótki moment na jej twarzy zagościł niekontrolowany uśmiech. Nagle podjąłem decyzję. Ulżyło mi. Miałem dziwne wrażenie, że gdzieś tam w środku mnie zapadła ona już dawno. Poszedłem do Petersona. Był - zszokowany.

– Pan chyba nie wie, czego chce się pan podjąć – mówił dziwnie poważnie, podejrzanie głośno. Wpatrywał się we mnie natarczywie. – Mówiłem jej, co musimy zrobić. Myślę, że to rozumie. Będzie jej na początku na pewno ciężko, ale nie ma innego wyjścia. Wykorzystaliśmy wszelkie możliwości, zrobiliśmy dużo, bardzo dużo, więcej się w tej sytuacji zrobić nie da – usprawiedliwiał siebie, nas, naszą bezsilność, beznadziejny system ochrony zdrowia. – Na tym etapie jeszcze to zaakceptuje. Gdyby to miało stać się później, byłoby jej jeszcze ciężiej. – Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. To on pierwszy odwrócił wzrok. – Moja praca nauczyła mnie liczyć się z ludzkimi uczuciami. Człowiek to nie zabawka. Nie można jej, kiedy nam się już znudzi, kiedy nas już zmęczy, nagle odstawić na półkę, zamknąć w szafie, wyrzucić do kosza...

– Co pan insynuuje? Co próbuje mi pan powiedzieć? – przerwałem mu ostro. – Przecież pan mnie zupełnie nie zna...

– No, nie tak zupełnie. Jednak trochę się już znamy. Przez parę miesięcy widywaliśmy się prawie codziennie. Bardzo się pan w to wszystko zaangażował. Znałem też pana już wcześniej – świetny, goniący za sensacjami dziennikarz, szalony korespondent wojenny z Kosowa... Lubię czytać pana artykuły. Ja nie chcę z panem walczyć, pan mnie źle rozumiał, chcę tylko panu i jej oszczędzić niepotrzebnych cierpień – mówił już spokojniej, próbował tłumaczyć, złagodzić narastające napięcie. – Nikt nie wie, co będzie dalej. Mózg człowieka jest nieprzewidywalny, drzemią w nim prawie nieograniczone możliwości. Może zdarzyć się jeszcze jeden cud, chociaż już prawie cudem jest to, że ona nadal żyje. Może się okazać, że to, co osiągnęliśmy, to już wszystko, że nie wydarzy się już nic więcej...

– Byłem tam – przerwałem mu. – Tam nic nie może się zdarzyć, nic nie może się udać – starałem się mówić w miarę spokojnie. – Ona potrzebuje domu. Bez domu nie ma żadnej, nawet najmniejszej szansy.

– Mówi pan: „dom”? – w głosie Petersona usłyszałem zaskoczenie. – Zawsze myślałem, że lubi pan ryzyko, wartką akcję, dreszczyk emocji, że żyje pan dzięki ciąglemu wysiewowi adrenaliny... Im niebezpieczniej, tym lepiej, tym ciekawiej, że tylko wtedy

cieszy się pan pełnią życia, oddycha pan całą piersią...

– A jednak mnie pan zupełnie nie zna... – przerwałem mu.

– Mówi pan: „dom”? – powtórzył kolejny już raz.

Wiedziałem dobrze, o czym mówię. Gdyby wtedy, przed laty, Jelena nie stworzyła dla mnie domu, gdybym pozostał w tym sierocińcu, byłbym przegrany już na starcie, nie osiągnąłbym w życiu niczego, nie ruszyłbym się z miejsca. Byłem już dorosły, kiedy dowiedziałem się, że Jelena nie jest moją babcią. Niczego to między nami nie zmieniło, kochałem ją chyba jeszcze bardziej.

– Dom, nawet najbiedniejszy, to poczucie bezpieczeństwa, stabilności i pewności... To zaprzeczenie słów „nikt” i „niczyj”. To akceptacja.

– Mówi pan: „dom”, a jak jej to pan wytłumaczy?

– Teraz nie muszę nic mówić. Ona nic nie pamięta. Nie wie, kim jest, nie wie, kim my jesteśmy. Przywykła już do mnie. Widuje mnie każdego dnia – tłumaczyłem trochę jemu, a trochę samemu sobie. – Myślę, że powoli zaczynam należeć do jej świata. Na pewno łączy mnie, w jakiś tylko dla niej zrozumiały sposób, ze swoim najbliższym otoczeniem. Chcę, a właściwie czuję, że muszę jej pomóc.

– A dlaczego właśnie pana dom?

– Nie ma przecież żadnego innego...

Nie odrywał ode mnie wzroku. Przeżuwał powoli każde wypowiedziane przeze mnie słowo.

– A co będzie, jeśli stanie się ten cud, jeśli wszystko się wycofa, jeśli wszystko sobie przypomni? Co pan wtedy zrobi?

– Nic.

– Jak to: „nic”? „Nic” to żadna odpowiedź. Nie rozumiem.

– Przecież chyba o to w tym wszystkim chodzi.

– Nadal nie rozumiem – powtórzył.

– Jeśli odnajdzie siebie, to odnajdzie swój prawdziwy świat. Przecież gdzieś tam, pewnie daleko stąd, musi mieć swój dom, bliskich, swoją codzienność...

Przyglądał mi się cały czas. Poczułem się nagle tak, jakby próbował mnie wzrokiem prześwietlić na wylot.

– Dziwnym jest pan człowiekiem – w jego głosie wyczułem wyrzut. – Jakoś nie mogę pana wyczuć, nie mogę zrozumieć.

Nic dziwnego, pomyślałem, ja też nie zawsze siebie rozumiem.

Wstał. Zaczął spacerować po pokoju. Denerwowały mnie te jego kroki.

– Niech pan to wszystko jeszcze raz przemyśli. Może to tylko impuls, może zrobiło się panu jej tylko bardzo żal. Litość to słaba motywacja, prawdę mówiąc, żadna. Nic tak szybko nie wyblaknie i nie spłowieje jak litość. Ryzykuje pan własny spokój, własną prywatność, własną wygodę... Właściwie w imię czego? Może spotkajmy się za parę - godzin...

– Zadzwoń – przerwałem mu. – Wypis zaplanowany jest już na jutro. Muszę jeszcze załatwić mnóstwo spraw.

Po wyjściu z kliniki zadzwoniłem do Davora.

– Stary, tyś chyba oszalał! – Davor nie potrafił ukryć zaskoczenia. – Mówiłem ci:

„zimny profesjonalizm, zawodowa obojętność, żadnego sentymentalizmu...”. Zawsze byłeś mistrzem dystansu, dlatego dotąd jeszcze nic cię nie zabiło. Zdurniałeś czy co? Ten szok w Kosowie odebrał ci resztki rozumu?

– Ostatecznie zarobisz na tym. – To mogłem powiedzieć w ciemno. Mogłem być pewny, że to zadziała, zamknie mu usta, rozwieje wszelkie wątpliwości. Jego zawsze można było kupić. Jego światem rządził pieniądz.

– Zarobię? – zainteresował się nagle. – A niby w jaki sposób?

– Wyobraź sobie, na przykład, cykl reportaży o przebiegu tej nietypowej terapii. Ludzie lubią takie rzeczy. Kupią to natychmiast. To będzie hit. Twoja gazeta będzie się sprzedawała jak ciepłe bułeczki.

Milczał. Znałem go dobrze. Teraz na pewno już nie miał żadnych skrupułów, żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości.

– Co za to chcesz? – padło konkretne, typowe dla Davora, czysto handlowe pytanie. Dla niego zawsze „coś” musiało być za „coś”, inne możliwości nie istniały. Był przewidywalny jak zawsze. Tylko na to czekałem.

– Chcę od ciebie trochę finansowego wsparcia. Dziewczyna potrzebuje dalszej terapii, to kosztuje dość sporo pieniędzy.

– A co będzie, jeśli to wszystko nie wyjdzie?

– Zawsze można się wycofać.

– Wycofać? – rzucił z wyraźnym sarkazmem. – Oczywiście, wycofać można się zawsze, tylko że ty nie wycofujesz się nigdy. Ty jesteś jak czołg, który prze do przodu, jak maszyna, w której zaciął się wsteczny bieg. Ty, jeżeli powiesz „A”, to zawsze musisz powiedzieć „B”, nawet jeżeli w tym czasie „A” okaże się niewypałem.

On zna mnie równie dobrze, jak ja jego, pomyślałem.

– Wchodzisz w to? – musiałem się upewnić.

– Wchodzę, pewnie, że wchodzę – potwierdził skwapliwie. – Wchodzę, ale zupełnie cię nie rozumiem.

Do Petersona zadzwoniłem już z promu. Nie dyskutował ze mną więcej. Może to on, a nie ja, potrzebował tego czasu. Może to on musiał wszystko jeszcze raz przemyśleć. Obiecał, że załatwi wszystko z radą szpitala, że pomoże medycznie. Przez krótki moment wydawało mi się nawet, że mu ulżyło.

Największą wojnę stoczyłem tam, gdzie się tego zupełnie nie spodziewałem. Była to wojna z Jeleną. Tego niekontrolowanego wybuchu żalu, złości i niepokoju nie zapomnę nigdy.

– Alen, dlaczego znowu ty? Dlaczego my? Dlaczego całe życie tylko my...

Tego nie przewidziałem. Jej reakcja była zaprzeczeniem wszystkiego, czego uczyła mnie latami. Nic nie odpowiedziałem. Poczuję się nagle dziwnie rozczarowany. Wszedłem, trzasnęły tylko drzwi. Zacząłem przygotowywać pokój dla Katariny. Jelena przyszła po chwili. Przyniosła czystą pościel. Zaczęła bez słowa przebierać łóżko, pomagać mi przy sprzątnięciu. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy na temat tamtej mojej decyzji. Teraz złapała mnie na kłamstwie.

– Przepraszam, nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić – wymruczałem pod nosem.

– To ja przepraszam.

\* \* \*

– Jedz!

Jelena postawiła przede mną talerz. Na talerzu wylądowały dwie kromki ciemnego chleba, odrobina sera, masło, miód. Do kubka naląła zimnego mleka. Dzbanek z mlekiem postawiła z rozmachem na stole. Krople chlapnęły na obrus. Nie wyszła z kuchni. Nigdy nie zostawiała mnie tutaj samej. To było jej królestwo. Każdy poza nią był tu intruzem. Wytarła ręce w lekko już przybrudzony fartuch, usiadła po drugiej stronie stołu, przyglądała się, jak powoli zabieram się do jedzenia. Chleb był wyjątkowo czerstwy, a ser wydawał się kwaśniejszy niż zwykle. Tylko mleko smakowało normalnie. Nie byłam głodna. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni czułam głód. Twardy, lekko kwaśny chleb nie zachęcał do jedzenia, stawał w gardle, z trudem dawał się przełknąć. Najpierw kęs chleba, a później natychmiast dwa łyki mleka. Przeszło. Teraz znowu kęs chleba, znowu szybko parę łyków... Badawczy wzrok Jeleny przesuwiał się po mojej twarzy.

– Nie smakuje ci – zabrzmiało jak stwierdzenie. Poczułam się winna.

– Nie, po prostu nie jestem głodna – próbowałam oponować.

– Nie poszłam dzisiaj na zakupy. Czekałam, aż wstaniesz. Chleb jest z wczoraj, twaróg także – zaczęła się niespodziewanie tłumaczyć. Jej głos stał się cieplejszy, a twarz wyraźnie złagodniała. – Przyniosę ci trochę owoców z ogrodu. Później pójde do sklepu. Może chciałabyś coś wyjątkowego? – Jej duże oczy otoczone dziesiątkami drobnych zmarszczek spoglądały na mnie uważnie zza grubych szkieł okularów.

– Nie, kup to, co zawsze. Niczego innego nie potrzebuję.

– Może masz jednak na coś wyjątkową ochotę? Alen dostał premię w redakcji. Możemy trochę zaszaleć. – Mała staruszka patrzyła na mnie uważnie. – Przecież musisz coś lubić.

Pierogi z jagodami i słodką śmietaną, świeże drożdżowe ciasto, kompot z truskawek, sernik, pachnące letnim słońcem leśne poziomki, koktajl ze świeżo zerwanych malin...

– Nie, chyba nie ma niczego takiego... – skłamałam.

– A jednak o czymś pomyślałaś.

Jelena przyglądała mi się uważnie. Nie była już obca i zimna. Mała ciepła staruszka, przemknęło mi przez myśl. Nagle uświadomiłam sobie, że znałam już kiedyś kogoś podobnego do niej.

– Przepraszam... – powiedziała niespodziewanie. – Jestem okropna. Od samego początku jestem dla ciebie okropna. Gdy usłyszałam, że u nas zamieszkasz, wróciły do mnie wszystkie wspomnienia. Po odejściu Marii Alen długo nie mógł się pozbierać. Trochę pisał, więcej włóczył się bez celu, wypływał w morze, pił z marynarzami w porcie... Jeździł bez przerwy jako reporter wojenny do Kosowa. Twierdził, że nikt nie odczuje straty, jeśli go przypadkiem zabiją. Było nam ciężko. Ledwie trochę się pozbierał, ledwie wyszliśmy z długów i zaczęło się nam wieść trochę lepiej, poinformował mnie, że u nas zamieszkasz. Nieznana, obca dziewczyna, bez przeszłości, bez pochodzenia, znikąd. Odżyło we mnie wszystko... Tłumiony całymi latami żal za całe trudne życie wybuchnął z nową siłą. Przepraszam...

Siedziała skulona, zawstydzona tym, co mówi. Nerwowo bawiła się brzegiem fartucha.

– Wychowywałam Alena sama, jego rodzice gdzieś zapodziali się po drodze... – Na chwilę przestała uciekać wzrokiem, spojrzała na mnie. – Ty w niczym nie jesteś podobna do Marii... Ty niczemu nie jesteś winna...

Nagle zrobiło mi się jej żal.

– Przypomniałam sobie – przerwałam jej w pół słowa. Podniosła głowę, spojrzała na mnie zaskoczona. – Ja bardzo lubię pierogi.

\* \* \*

Od paru godzin robiłam w kółko to samo. Najpierw fale ultrakrótkie, stacja po stacji, później krótkie, na końcu długie. I znowu od początku, i znowu jeszcze jeden i jeszcze jeden raz. Z minuty na minutę czułam się coraz bardziej rozdrażniona, rozczarowana, zawiedziona. Nic, nie rozumiałam po prostu nic. Nie znałam żadnego z języków, którymi mówią ci ludzie. Coraz bardziej docierało do mojej świadomości to, że muszę być z daleka, że na pewno nie jestem stąd. Alen i Jelena rozmawiają ze mną po angielsku, ale ja myślę w zupełnie innym języku. Znam też niemiecki, ale i on jest obcym, wyuczonym językiem. Skąd ja, do diabła, jestem? Skąd pochodzę? Gdzie jest mój prawdziwy dom? Co ja tu robię? Sama wśród obcych, inna – inna przez swoją chorobę, inna, bo nie stąd, bo znikąd. Dlaczego nikt mnie nie szukał? Co robiłam, że nikomu na mnie nie zależało? Kim byłam, że nikt nie zauważył nawet mojego zniknięcia?... Dziesiątki pytań, które nurtują mnie każdego dnia, na które nie ma albo na które ja nie mogę znaleźć odpowiedzi. Kolejny raz od początku sprawdzałam wszystkie częstotliwości. Ten sam bełkot, wszystko obce, nieznanne, niezrozumiałe. Pustka.

– Co robisz? – głos Alena rozległ się tuż za moimi plecami. Podskoczyłam jak oparzona. Nie słyszałam, żeby pukał. Nie usłyszałam, jak wchodził. Jelena mówiła, że Alen wróci dzisiaj trochę później. Nie spodziewałam się go jeszcze.

– Nic – próbowałam zapanować nad drzeniem głosu, nad szybkim biciem serca. – Bawię się radiem.

– Przestraszyłem cię? – był zaskoczony. – Coś ty? Przestraszyłaś się mnie naprawdę? Przepraszam – wydawał się zmieszany. – Długo stałem na podwórku, rozmawiając z Jeleną. Byłem pewny, że nas słyszysz. Dziwiłem się, że nie wyszłaś do nas. Stało się coś? Coś nie tak? – przyglądał mi się wnikliwie.

– Nie, dlaczego?

– Jakoś dziwnie wyglądasz.

– Nie, nic. Wydaje ci się. Może siedzę tu tylko trochę za długo...

– Co robisz? Słuchasz radia?

Przesłuchanie, pomyślałam.

– Nie, szukam swoich.

Nim padło ostatnie słowo, już wiedziałam, że nie powinnam była tego mówić. Przez twarz Alena przebiegł dziwny grymas.

– Szukasz swoich? – spytał jakby rozdrażniony. Przez chwilę wydawało mi się, jakby nagle stracił kontrolę nad sobą. Obcy, znowu wrogi i obcy, przemknęło mi przez myśl.

Serce, zamiast się uspokajać, biło jak oszalałe.

– My ci już nie wystarczamy – stwierdził zaczepnie. – My to za mało? My jesteśmy obcy, nie swoi? – Przez ułamek sekundy awantura wisiała na włosku. Milczałam, nie zamierzałam z nim walczyć. On i tak mnie nigdy nie zrozumie.

– Szukasz swoich? – powtórzył. – Z tym radiem to zupełnie niezły pomysł. – Dodał przyjaźniej. Przynął krzesło, usiadł tuż obok mnie. Podgłosił radio. Zmieniał powoli kanały, sprawdzał różne częstotliwości. Dawał mi czas. Nie ponaglał i nie pospieszał, czekał, jakby liczył na to, że nagle gdzieś głęboko w mojej podświadomości coś jednak zaświta, coś zabrzmi blisko, znajomo.

– Nic – powiedziałam cicho. – Zupełnie nic, żadnych skojarzeń, zupełnie żadnych wspomnień.

– Nie maź się! – powiedział ciepło. – Znajdziesz kiedyś te swoje korzenie. Zobaczysz, że znajdziesz.

\* \* \*

Peterson zadzwonił do mnie do redakcji. Mówił, że musimy się spotkać, najlepiej zaraz, natychmiast. Wyglądał na bardzo poruszonego. Nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Niech pan siada, Alen! – zaczął bez żadnego wstępu, gdy tylko przekroczyłem drzwi jego gabinetu. – Byłem dzisiaj rano u was. Rozmawiałem z Katariną. Coś wymyka nam się z rąk. Coś dzieje się nie tak. Chyba powoli zaczynamy nad tym tracić kontrolę...

– Był pan dzisiaj? – nie mogłem ukryć zdziwienia. – Coś się zmieniło? Przecież zwykle spotykamy się w soboty...

– Rehabilitant dał mi znać, że już kolejny raz w tym tygodniu nie odbyła się rehabilitacja, że Katarina nie wstała z łóżka, nie ubrała się nawet, nie jadła śniadania, nie chciała z nikim rozmawiać... Psycholog również zgłosił, że w tym tygodniu nie odbyła się żadna psychoterapia. Katarina odmawia współpracy. Udaje, że śpi, leży w łóżku odwrócona twarzą do ściany. Rozmawiałem też z Jeleną. Mówi, że dziewczyna nie chce nic jeść... – wyliczał coraz szybciej, coraz głośniej. Jego zdenerwowanie narastało. – A pan, co pan ma mi do powiedzenia?

– Nic szczególnego. Wspominałem już trochę w zeszłym tygodniu...

– Co mi tu pan bredzi! Co pan wspominał w ubiegłym tygodniu? – przerwał mi gwałtownie. – Mam raporty z każdego naszego spotkania. Czytałem je dzisiaj już wiele razy. Mówił pan tylko, że od czasu do czasu wydaje się panu, że wracają jakieś dawne wspomnienia, że czasami dziewczyna zachowuje się dziwnie, jakby nagle, przez przypadek, przeszłość mieszała się z teraźniejszością, jakby zatarły się granice...

– Wspominałem panu, że czasem jakiś drobiazg z teraźniejszości wyzwala nagle całą lawinę wspomnień. Nie ma w tym żadnej chronologii, żadnego porządku, żadnego większego sensu. Mam wrażenie, że ją to przeraża. Wzbudza niepewność. Rozmawialiśmy trochę o tym w zeszłym tygodniu...

– Tylko niepewność? – Peterson nie odrywał wzroku od mojej twarzy. – Niepewność czy rzeczywisty strach?

– Może i strach... Czasami wydaje mi się, że boi się czegoś nieokreślonego.

– Ile godzin dziennie spędza pan z Katariną?

– Całe popołudnia.

– I nie zauważył pan nic więcej? – Peterson powątpiewał. – Naprawdę, Alen, nie zauważył pan nic?

Nie odpowiedziałem do razu. Faktycznie w ostatnim czasie coś było nie tak. Częściej milczała, wiele razy widziałem w jej oczach łzy, bała się mnie, Jeleny, wszystkich i wszystkiego...

– Niewiele więcej – skłamałem przed nim i przed samym sobą.

W milczeniu podał mi kartkę.

– Skala depresji Becka? – spojrzałem na niego pytająco. – „Stale odczuwam smutek, przygnębienie i nie mogę się uwolnić od tych uczuć” – zacząłem czytać na głos. – „Czuję, że przyszłość jest beznadziejna i nic tego nie zmieni, jestem zupełnie niewydolna i wszystko robię źle, nie potrafię przeżywać przyjemności i zadowolenia, wszystko mnie nuży, dość często miewam wyrzuty sumienia, nienawidzę siebie, winię siebie za wszelkie zło, ciągle chce mi się płakać, jestem stale zdenerwowana lub rozdrażniona, utraciłam wszelkie zainteresowanie innymi ludźmi, mam duże trudności z podjęciem decyzji, z trudem rozpoczynam każdą czynność, budzę się kilka godzin za wcześnie i nie mogę zasnąć, jestem zbyt zmęczona, aby cokolwiek robić, nie mam w ogóle apetytu...”.

– Czterdzieści dwa punkty... Ciężka depresja. Naprawdę pan tego nie zauważył?

– To tylko liczby... – próbowałem się bronić.

– Nie, to nie tylko liczby, to subiektywne zamienione na obiektywne, podejrzenie na pewność... Testy to narzędzie psychiatrii. Do tego dochodzą zaburzenia lękowe, napady paniki. Mamy chyba problem, Alen...

Peterson chodził tam i z powrotem po swoim gabinecie. Zatrzymywał się, aby po krótkiej chwili wznowić swoją wędrówkę.

– Wyjątkowa historia, wyjątkowa sytuacja – mruczał pod nosem. – Nie ma za wiele analogii w literaturze medycznej. Coś wymyka nam się z rąk. Coś, co dla nas jest sukcesem, dla niej nagle stało się tragedią. Nie jest w stanie się zaadaptować. Przeliczyliśmy się... Jej przeszłość... Za mało wiemy o jej przeszłości... Właściwie to nic o niej nie wiemy. Powiedział pan kiedyś, że jest piękna, że przypuszczalnie jest bogata, że na pewno jest wykształcona... Bzdura! To o wiele za mało. Cholerna przeszłość, której nie udało się odkryć nawet przez hipnozę.

Nie przestawał chodzić tam i z powrotem. Coraz bardziej denerwowały mnie te jego kroki.

– A może to jest zupełnie inaczej? – Zatrzymał się nagle tuż przede mną. – Może to my się nie sprawdzamy? Może to my nie jesteśmy w stanie sprostać jej oczekiwaniom... Może rozczarujemy ją każdego dnia...

– Nie wydaje mi się... – burknąłem.

– Wie pan, co ona mi dzisiaj powiedziała? – Popatrzył na mnie dziwnie. – Powiedziała, że z tego wszystkiego to najlepsza była tamta nicość... Tamto wrażenie, że wszystko toczy się tylko tu i teraz, że to my budujemy jej świat.



Alen wrócił z kolejnego spotkania z Petersonem. Był zły i rozdrażniony. Zastał mnie leżącą na łóżku, wpatrzoną w sufit, znudzoną wszystkim i zmęczoną sama sobą.

– Znowu nie wstałaś na śniadanie? – bardziej stwierdził, niż spytał. Usiadł tuż obok mnie. Przyglądał mi się natarczywie. – Mam dosyć słuchania skarg Jeleny, nikogo nie stać na fizjoterapię, która się nie odbywa, nikt nie będzie w kółko wyrzucał jedzenia... Może łaskawie spróbujesz żyć choć trochę normalniej – warknął.

– Co to znaczy: „normalnie”? – spytałam.

– „Normalnie” to znaczy tak jak inni – burknął.

– Znam niewielu innych ludzi... A właściwie to nie znam nikogo. Ty też, Alen, nie żyjesz zupełnie normalnie.

– Nie o mnie teraz rozmawiamy – uciął krótko.

Nerwowym ruchem rozpiął koszulę pod szyją, jakby nagle kołnierzyk stał się za wąski, jakby zaczął mu przeszkadzać.

– Wstań! Ubierz się! – powiedział ostro.

– Ale dlaczego? – spytałam zaczepnie.

– Bo cię o to proszę!

– Prosisz? Ty nigdy nie prosisz. Nie znasz takiego słowa. Musiało się kiedyś ulotnić z twojego słownika, a może go w ogóle nie znałeś – podświadomie go prowokowałam.

– Wstawaj! – powiedział głośniej.

– Ale powiedz mi, po co? – wiedziałam, że ta dyskusja nie ma sensu, że doprowadzi go do furii.

– Bo ja tak mówię! – rzucił rozkazująco. Krzyk spotęgowały prawie puste ściany.

Przestraszyłam się podniesionego głosu. Nie pamiętam, żeby na mnie ktokolwiek kiedykolwiek krzyczał. Takie zachowanie było mi obce, nieznanne, budziło lęk. Usiadłam, odsunęłam się odruchowo jak najdalej od niego. Plecami przyłgnęłam do ściany. Obcy, przemknęło mi przez myśl, on jest zupełnie obcy.

– Wstawaj! Rusz się wreszcie! Nie dam ci zniszczyć tego, co już osiągnęłaś. Nie dam ci zniszczyć samej siebie. Rozumiesz, co mówię? Wstawaj! Czemu ty, do diabła, płaczesz? – spojrział na mnie zdziwiony.

Nie odpowiedziałam, do oczu napłynęło mi jeszcze więcej łez.

– Wstań, proszę! – powtórzył odrobinę łagodniej.

Ani drgnęłam.

– Po co? – powtórzyłam cicho. – Po to, żeby sto dwudziesty piąty raz robić te same ćwiczenia? Żeby tysięczny raz przekonać się, że nie rozumiem, o czym rozmawiasz z Jeleną, że bełkot w radiu jest mi zupełnie obcy? Żeby kolejny raz dotarło do mnie, że niczego i nikogo nie pamiętam? Żeby jeszcze raz nabrać pewności, że sama nie wiem, kim jestem, że nikomu na mnie nie zależy i nikomu do niczego nie jestem potrzebna?

– Wstawaj! – powtórzył głośniej. – Mam już powyżej dziurek w nosie tego twojego uzalania się nad sobą. Wstań! Nie musisz mnie lubić. Nikt tego od ciebie nie wymaga. Nikt tego nie oczekuje. Nie mam najmniejszej ochoty walczyć o twoją sympatię. Masz mnie tylko słuchać – mówił przez zaciśnięte zęby, głosem niedopuszczającym sprzeciwu. – Ktoś z nas musi być konsekwentny.

Odsunął się ode mnie, wstał.

– Wstań! – powiedział odrobinę łagodniej. – Ubierz się!

Ściągnięte z oparcia krzesła ubrania wylądowały tuż obok mnie na łóżku.

Do oczu napływało mi coraz więcej łez. Cały świat wydawał się rozmazany. Jego zamazana sylwetka zlewała się z tłem, z szarością ściany, z przeszywającym dreszczem zimnem tego pokoju. Pierwsze krople toczyły się już po policzkach.

– To wszystko nie ma sensu... – powtórzyłam kolejny raz.

– Co, według ciebie, nie ma sensu? – zapytał zaczepnie. – Chcesz powiedzieć, że to wszystko, co robili ci ludzie w szpitalu, co my robimy każdego dnia, pozbawione jest sensu? Chcesz mnie przekonać, że w tak idiotyczny sposób zmarnowałem kilkanaście miesięcy swojego życia? – przerwał na chwilę, jakby czekał na odpowiedź. Nie ukrywał gniewu. Nie starał się nawet panować nad agresją. Widząc moją spuszczoną głowę i zaciśnięte mocno usta, mówił dalej.

– Co jest, do cholery, bez sensu? Co się z tobą ostatnio dzieje, do diabła? Może rzeczywiście lepiej przestań się wysilać, podnieś ręce do góry, wywieś białą flagę, poddaj się... Może od razu usiądź na wózku inwalidzkim. Po co normalnie żyć, po co walczyć... Może lepszy byłby dom opieki społecznej – wikt i opierunek do końca życia, żadnych problemów, obowiązków, wysiłków, żadnych uczuć... Otoczona wyuczonym i nieszczerym współczuciem... Uczuciem, którym gardzę, którego nienawidzę, wymyślonym tylko po to, żeby wyświęcać siebie, a poniżać innych. Żadnych wzlotów, ale też żadnych upadków. Może tak jest łatwiej, lepiej... Może ja ci tylko w tym przeszkadzam? – napędzał się coraz bardziej, z minuty na minutę mówił coraz głośniejszym, coraz szybciej. – Powinnaś sobie od razu na początku odpowiedzieć na pytanie, czego tak naprawdę chcesz. Czasami wygodnie być chorym. Dla niektórych ludzi to sposób na życie – wrzeszczał coraz głośniejszym. – Nie znam cię! Nic o tobie nie wiem! Z każdym dniem przerażasz i rozczarowujesz mnie coraz bardziej!

Zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Przemierzał tam i z powrotem odległość dzielącą drzwi od okna.

– Peterson wypisał ci leki. – Rzucone z impetem pudełko upadło na stół. – Twierdzi, że to depresja, że lekami można spróbować poprawić ten stan. Raz dziennie jedna tabletką przed snem...

Nie zatrzymał się. Nie spojrzał nawet na mnie.

– Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do szpitala, leżałaś nieprzytomna od paru tygodni na oddziale reanimacyjnym. Wszyscy cieszyli się, że udało się odłączyć cię od respiratora, że oddychasz samodzielnie. W śpiączce byłaś jeszcze przez ponad dwa miesiące. Nikt już chyba, poza mną, nie wierzył, że kiedykolwiek odzyskasz przytomność. Peterson twierdził, że niedotlenienie było za duże, że za późno przyszła pomoc, że chyba trzeba się z tym pogodzić, że z medycznego punktu widzenia trzeba to zaakceptować. Odzyskałaś przytomność, ale zaburzenia mowy i niedowład utrzymywały się przez wiele miesięcy. Już ten stan wszyscy uważali prawie za cud. Minął rok, a ty poruszasz się swobodnie, rozmawiasz ze mną każdego dnia... To wszystko jest jeszcze za mało? To się w ogóle dla ciebie nie liczy? To wszystko nie ma dla ciebie sensu? – Mówił szybko, coraz szybciej, stawiał pytania, na które nie oczekiwał odpowiedzi. – Kim byłaś kiedyś, do cholery, że z niczego nie potrafisz się cieszyć? Kim byłaś, że od życia i od siebie wymagasz tak wiele?

– mówił głośno, chaotycznie.

Nie patrzył w moim kierunku. Stał przy oknie.

– To wszystko, co już osiągnęłaś, nic dla ciebie nie znaczy? Depresja? Co, do cholery, znaczy to słowo? Idiotyczne usprawiedliwienie ludzkiego lenistwa i zwątpienia. Depresja? A właściwie dlaczego? Wszystko poprawia się w błyskawicznym tempie, wbrew naturze, wbrew medycznej wiedzy i medycznym zasadom. Z czasem też muszą ustąpić zaburzenia pamięci. Depresja? Bzdura! Idiotyzm! A może ty po prostu nie chcesz? A może nie masz ochoty na normalność?

Za oknem mignęła mi postać Jeleny. Alen odruchowo przymknęła okno.

– Depresja? Najpierw rozmawiałem z Petersonem, później przeczytałem w Internecie. Jej definicję znam już na pamięć: zespół zaburzeń charakteryzujących się obniżeniem nastroju, spadkiem napędu życiowego, zaburzeniami snu, obniżeniem poczucia własnej wartości, zaburzeniami koncentracji... Często towarzyszy jej uczucie bliżej nieokreślonego lęku albo ściśle sprecyzowanego strachu... Najpierw tabletki przeciwko depresji, później druga przeciwko zaburzeniom lękowym, następna, żeby spać, kolejna, żeby poprawić koncentrację, inna, żeby pobudzić do działania, i jeszcze jedna, żeby znieść działania uboczne tych pozostałych... Wymodelowany, stworzony przez lekarzy i farmaceutów sztuczny człowiek. Śmieszny, stworzony przez medycynę twór zamiast autentycznego człowieka... Peterson i te jego tabletki! Idiotyczna nauka, która wierzy w pigułki rozwiązujące ludzkie problemy. Nic nie rozwiąże się samo. Odsunięty na chwilę na boczny tor problem pojawi się znowu, uderzy ponownie ze zwielokrotnioną siłą. Durnowate, gówniane rozwiązanie...

– Nie muszę zażywać tych leków. Jeżeli nie chcesz, to... – wpadłam mu w słowo.

Wzdrygnął się, jakby przez chwilę zapomniał, że mówił do mnie, że nie jest sam.

– Ja już od dawna nie wiem, czego mogę chcieć, czego mogę od ciebie oczekiwać. – Ruszył gwałtownie w kierunku drzwi. – I tak w końcu postawisz na swoim.

Nie spojrział nawet przez chwilę w moim kierunku. Nie byłam chyba już tego warta. Wyszedł. Z impetem pchnięte drzwi z głośnym trzaskiem stuknęły o framugę. Poczulałam się nagle bardzo winna. Wciągnęłam szybko spodnie. Włożyłam podkoszulek. Ręką przecesałam włosy. Wybiegłam z pokoju. W kuchni nie było nikogo. Pedantycznie poskładane naczynia i równo powieszzone ścierki świadczyły o niedawnej obecności Jeleny. Zapukałam do drzwi pokoju Alena. Odpowiedziała mi głucha cisza. Nacisnęłam niepewnie klamkę. Nigdy mnie tu nie zaprosił. Nigdy tu wcześniej nie byłam. Pod oknem drewniane biurko usłane papierami, regały pełne książek, kubki z niedopitą smolistą kawą, dziesiątki niedopałków wysypujących się z popielniczki, olbrzymia mapa powieszona nad biurkiem, setki zdjęć przyklejonych bezpośrednio na ścianie... Tutaj też go nie było. Stukot pospiesznie zamykanych przez mnie drzwi odbił się echem od kamiennych ścian korytarza. Zawsze przerażał mnie ten dom: ciemny, zimny, surowy. Teraz dodatkowo wydawał się pusty, wymarły. Byłam sama. Poczulałam nagle niepokój, wszechogarniający mnie lęk. Jestem sama, przemknęło mi przez myśl, znowu sama, jak tam – w szpitalu. Obca i sama, tak jak już kiedyś, gdzie indziej, dużo wcześniej. Echo przebiegło po korytarzu, usłyszałam dźwięk jakby miażdżonego metalu. O Boże, coś pamiętam... Październikowy wieczór, niebo usiane gwiazdami, liście tańczące tuż nad drogą, pisk hamulców, chrzęst zgniatanej

karoserii. Nagła cisza, pustka, której nie można niczym wypełnić, ból, którego nie można niczym zagłuszyć. Cichy wiejski cmentarz porośnięty wysokimi chwastami, zapomniany przez Boga i ludzi, prosta marmurowa tablica, bez złocień, bez krzyża, bez żadnego „świętej pamięci”, trzy imiona i jedna data śmierci, wykuty w kamieniu napis: „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”, kamienny motyl z rozpostartymi skrzydłami siedzący na płycie, próbujący zerwać się do lotu, wznieść w powietrze, polecieć w kierunku słońca, uwolnić się, zapomnieć. O kim lub o czym miałam zapomnieć? „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Miałam dziwne wrażenie, że ktoś je więzi, że ktoś je zamknął w za małej, ograniczonej żebrami klatce. Czułam tętnienie w skroniach, ucisk w gardle, suchość w ustach. Nagle zaczęło brakować mi powietrza. Przerazona wybiegłam na zewnątrz. Może jednak Alen ma rację, może nie warto znowu wszystkiego wiedzieć, może lepiej jednak nie pamiętać wszystkiego?

Jelena krzątała się spokojnie po zalanym słońcem podwórku.

– Coś nie tak? – spojrzała na mnie uważnie.

– Nie, wszystko w porządku – próbowałam ukryć drżenie głosu. – Szukam Alena.

Coś niepokojącego musiało być w moim wyglądzie, bo Jelena nie wróciła do przerwanej zajęcia. Miotłę oparła o ścianę. Przysiadła na chwilę na kamiennej ławce. Przyglądała mi się uważnie.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – głos staruszki brzmiał ciepło.

– Chyba nie – odpowiedziałam niepewnie. – Na pewno nie – poprawiłam się szybko. – Nic się nie stało – próbowałam ją uspokoić. – Ja tylko szukam Alena.

– Dokuczył ci czymś? – spytała troskliwie. – On bywa czasami tak głupio impulsywny, idiotycznie bezkompromisowy.

Nie pomogło przymknięte okno, pomyślałam, musiała słyszeć podniesiony głos Alena.

– Nie, wszystko w porządku, naprawdę – skłamałam.

Chyba nie uwierzyła. Nie mogła przecież uwierzyć.

– Alen poszedł do ogrodu – powiedziała spokojnie.

Wzrokiem odprowadziła mnie do drewnianej furki.

Zobaczyłam go z daleka. Klęczał na trawie, pompując koło roweru.

– Co dzisiaj robimy? – spytałam jak gdyby nigdy nic, jakbyśmy się jeszcze dzisiaj nie widzieli, jakby nie było tamtej rozmowy ani tamtego okrutnego wspomnienia. Odwrócił się gwałtownie. Nie spodziewał się mnie chyba aż tak szybko.

– Jak to, co? – odrzekł przyjaźnie. – Szykuję ci rower.

\* \* \*

– O, już jesteś – Jelena wyglądała na zaskoczoną. – Mówiłeś, że zostaniesz dzisiaj dłużej w redakcji.

– Jakoś wszystko ułożyło się inaczej. Gdzie Katarina? U siebie?

Odwróciłem się na pięcie. Ruszyłem w kierunku drzwi.

– Nie, poszła na spacer...

W pierwszej chwili wydało mi się, że się przesłyszałem.

– Co powiedziałaś? – Zatrzymałem się nagle w pół drogi pomiędzy kuchennym stołem

a drzwiami.

– Powiedziałam, że poszła na spacer – powtórzyła głośniej, dobitniej. Na chwilę przerwała krojenie ziół. Zastygła w bezruchu. Spojrzała na mnie uważnie.

– Prosiłem cię, żeby nigdzie nie chodziła sama – próbowałem panować nad swoim głosem.

– Alen, ta dziewczyna nie jest twoją własnością. Nie możesz jej tu trzymać w zamknięciu. Nie masz prawa jej więzić.

– O czym ty mówisz? Ona ma zaburzenia pamięci. Nie wie, kim jest, nie wie, skąd pochodzi, nie pamięta niczego i nikogo. Ma teraz tylko nas. Nie może jeszcze i nas stracić. Jesteśmy na nią skazani...

– A może to ty chcesz, żeby ona była skazana na nas? – Jelena nie odrywała ode mnie oczu. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Odruchowo spuściłem wzrok.

– Bzdura! – warknąłem.

Odwróciła się do mnie tyłem. Wróciła do przerwanego przed chwilą zajęcia.

– Zdziwaczałeś, Alen, po rozstaniu z Marią. Boisz się uczuć. Boisz się jakichkolwiek emocji. Obawiasz się własnych reakcji, samego siebie. Katarina zmienia cię każdego dnia. Boisz się tego?

– Robię to dla zasady... Sprawdzam siebie. Chcę wiedzieć, ile po tamtych przeżyciach zostało jeszcze we mnie człowieczeństwa. Nie ma w tym żadnych ukrytych podtekstów, na ma w tym nic więcej...

– Kogo chcesz o tym przekonać? Mnie czy samego siebie?

Nie czekała na moją odpowiedź. Znała mnie dobrze. Ciszę przerywało tylko monotonne stukanie noża po drewnianej kraljownicy. Milczenie przedłużało się, ciążyło.

– Dokąd poszła?

– Wybierała się nad zatokę. Dokładnie pamięta drogę. Opisała mi wszystko ze szczegółami. Mówiła, że w tej zatoce jest coś, co ją prześladowa, męczy...

Nie czekałem, aż dokończy. Ruszyłem od razu. Oddalając się od domu, szedłem pozornie spokojnie, lecz kiedy zniknąłem z pola widzenia Jeleny, puściłem się biegiem. Wczoraj wieczorem pokazałem Katarinie tamte zdjęcia. Oglądała je długo, analizowała je milimetr po milimetrze, próbując dostrzec każdy szczegół. Nie spuszczałem z niej wzroku. Malujące się początkowo na jej twarzy zaniepokojenie przechodziło powoli w zdziwienie, w zwątpienie, w rozczarowanie, aż w końcu w rozpacz.

– Nie pamiętam, nic nie pamiętam... Nie pamiętam tamtej siebie. Nie pamiętam tamtego mężczyzny. Nie pamiętam tego dziecka.

Zaczęła nerwowo jeszcze raz przerzucać wszystkie fotografie. Przekładała je coraz szybciej i szybciej. Wydawało się, że szuka na nich jeszcze czegoś, że ma nadzieję, że coś przeoczyła, że coś jednak uszło jej uwagi.

– Nie pamiętam. Rozumiesz? Ja nic nie pamiętam – powtarzała.

Nagle rzuciła zdjęcia na stół, odwróciła się do mnie plecami. Rzucone z impetem odbitki rozsypały się po blacie. Pojedyncze wylądowały na podłodze.

– Przestań histeryzować! Co ty wyprawiasz? – Sam byłem zaskoczony ostrością swojego głosu.

– Wyjdź! Chcę zostać sama.

Nie drgnąłem. Siedziałem nadal. Za wcześnie, pomyślałem, Peterson ma rację, na to wszystko jest jeszcze za wcześnie.

– Wyjdz! – powtórzyła. – Nie słyszysz, co mówię? Chcę być sama! – zaczęła krzyczeć.

Nie mogłem zostawić jej samej.

– Chcę być sama! – krzyk przeszedł w szloch.

– Jestem u siebie – próbowałem mówić spokojnie. – Dokąd mam iść? Chcesz mnie wyrzucić z mojego własnego domu? Ktoś już kiedyś próbował to zrobić...

– Ja nie mam domu! Nie mam zupełnie nic! Nie mam nawet wspomnień!

Rzuciła się na łóżko. Głowę przykryła poduszką, jakby to mogło uciszyć jej szloch i płacz, oddzielić ją i jej rozpacz ode mnie. Za oknem powoli gasły ostatnie promienie słońca. Wieczorne niebo przybierało kolor granatu. Pojedynczą chmurę otaczała aureola ostatnich promieni. Po chwili i ona zgasła. Do pokoju powoli zaczął wkradać się zmrok, a później ciemność. W ciemności usłyszałem, że się poruszyła. Otworzyłem szerzej okno. Do środka wdarł się wieczorny chłód. Przykryłem ją kocem. Usiadłem w fotelu... „Żadnych prywatnych wycieczek, żadnego sentymentalizmu, chłodna obojętność, profesjonalizm”, kołatały mi się po głowie słowa Davora. Kiedy rano wychodziłem do pracy, spała spokojnie. Słyszałem jej cichy, równy oddech. Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy, od rozsypanych na poduszce włosów, lekko rozchyłonych ust... Profesjonalizm, żadnych uczuć, niczego, co mogłoby mnie jeszcze raz zniszczyć, jeszcze raz powalić, kolejny raz rzucić na kolana. Odwróciłem się, pospiesznie zamknąłem za sobą drzwi. Gdy wszedłem do kuchni, Jelena już tam była. Na chwilę podniosła wzrok znad wczorajszej gazety i jeszcze parującej, świeżo zaparzonej filiżanki kawy.

– Nie spałeś u siebie – rzuciła niby obojętnie.

– Przysnęło mi się w fotelu w pokoju Katariny.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? – Dalej mówiła pozornie obojętnym głosem, ale nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

– Nic, zupełnie nic...

W redakcji Davor nie dawał mi spokoju. Chodził za mną jak cień, dręczył pytaniami, naciskał.

– Jak poszło z tymi zdjęciami?

– Nijak! Nie pokazałem ich – sam nie wiem czemu, zacząłem kłamać. Drażniła mnie dzisiaj jego wścibskość, jego chorobliwa ciekawość. W uszach miałem jeszcze jej szloch, przed oczami zaróżowione spacerami policzki, rozchyłone delikatnie usta, miedziane włosy rozsypane na poduszce...

– Dlaczego ich nie pokazałeś? Wczoraj uważałeś, że to wspaniały pomysł.

– Jeszcze za wcześnie. Peterson mówi, że na to jest dużo za wcześnie... – brnąłem w nieprawdę dalej.

– Wczoraj jakoś niespecjalnie przejmowałeś się jego zdaniem.

– Ale rozmyśliłem się. Mam inny pomysł. To tak trudno zrozumieć? – Z minuty na minutę byłem coraz bardziej rozdrażniony.

– Głupota! Co zaoferujesz naszym czytelnikom? Nakład gazety wzrósł tylko dzięki twoim reportażom. To jest lepsze od powieści w odcinkach. To bije na łeb wszelkie kryminały. Przypadkiem słyszałem, jak ludzie na promie dyskutowali o tym, jak ta historia

potoczy się dalej. Jeszcze trochę, a zaczną robić zakłady. To jest hit, rewelacja, nareszcie trafiony pomysł, a ty mi teraz mówisz, że na zdjęcia było za wcześnie. – Davor mówił coraz głośniejszym głosem, napędzał się coraz bardziej. Awantura wisiała w powietrzu. Nie miałem ochoty na kłótnie.

– Wychodzę – rzuciłem obojętnie. – Mój pomysł, moje reportaże...

– Ale moja gazeta... – usłyszałem warknięcie tuż za swoimi plecami.

– Jeżeli jest coś nie tak, to tylko powiedz – rzuciłem spokojnie. – Nie musisz się ze mną męczyć. Niejedna gazeta wychodzi w Splicie.

Prom uciekł mi sprzed nosa. Nosiło mnie po nabrzeżu tam i z powrotem. W uszach miałem szloch i krzyk, przed oczyma głowę przykrytą poduszką. Rozpacz, która wybuchła tak nagle, burza potwornych emocji, których nie przewidziałem. Noc pełna myśli, na które nie powinienem sobie nigdy pozwolić. Z minuty na minutę czułem coraz większy niepokój, narastający lęk, powoli paraliżujący mnie strach. A teraz po powrocie do domu usłyszałem, że wyszła, że poszła sama nad morze. Jeszcze tylko paręset metrów i zobaczę z góry zatokę, pomyślałem. Przyspieszyłem. Najpierw zza skał wyłoniła się linia horyzontu, błękit nieba stykający się z granatem wody. Gdzieś w oddali na otwartym morzu kołysała się jakaś rybacka łódź. Biel skał otaczających zatokę odcinała się wyraźnie od granatu morza, od błękitu nieba, od jasnej zieleni drzew. Nad plażą krążyły mewy. Z korony skał otaczających zatokę spojrzałem w dół. Była. Ptaszyska krążyły nad jej głową, próbując co rusz w nagłym pikującym locie w dół chwycić wyrzucane przez dziewczynę w górę kawałki chleba. Za nisko rzucony kawałek upadł na kamienie. Ptaki z przeraźliwym krzykiem rzuciły się do walki. Nie patrzyła już w ich stronę, jakby nagle o wiele ciekawsze stało się coś zupełnie innego. Podniosła kamień, podrzuciła go parokrotnie, pochyliła się. Kamień wyrzucony pod kątem odbił się od tafli wody. Nowy kamień i nowe, znaczące jego drogę koła. Dwa odbicia, trzy, pięć, siedem... Kamienie tańczyły na wodzie jak zaczarowane. Ruszyła wolnym krokiem w kierunku skalnego cypla. Początkowo noga za nogą, później coraz bardziej zdecydowanie, coraz szybciej, jakby to nie była przechadzka kamienistą plażą zatoki, jakby nagle pojawił się jakiś konkretny cel. Wdrapała się na szczyt cypla. Zastygła w bezruchu. Skały w tym miejscu wchodziły głęboko w morze, odcinając się prawie pionową ścianą od wód zatoki. Katarina stała jak zaklęta. Nagle jednym ruchem zrzuciła z siebie sukienkę.

– Katarina! – krzyknąłem przerażony. Ruszyłem biegiem kamiennymi schodami w kierunku żwirowej plaży zatoki. – Katarina, stój!

Mój głos zlał się w jedno z szumem wiatru, krzykiem mew, echem odbitym od skał. Nie usłyszała. Odbiła się lekko, jak od niewidocznej trampoliny. Skoczyła. Było w tym skoku coś zaskakującego: prosta jak struna sylwetka, wyciągnięte ręce, głowa chroniona przez ramiona, wyprostowane idealnie nogi. Nie wzbiła fontanny wody, bezgłośnie wślizgnęła się w nią, aby po chwili pewnym ruchem ramion wypłynąć na powierzchnię.

\* \* \*

Ten ustęp skalny intrygował mnie już wcześniej. Przyciągnął moją uwagę, kiedy byłam tu po raz pierwszy z Alenem. Jasna skała wychodząca odważnie w morze, dzieląca wody

zatoki na dwie części. Ze żwirowej plaży jakby przez kogoś specjalnie ułożone kamienie wiodły w kierunku cypla. Małe kamienie, pomiędzy którymi migotały jeziorka wody, przechodziły w coraz większe głazy, aby w końcu zlać się w litą ścianę skał. Czarne grona muszli i zielone, przypominające mech glony rysowały linie tuż nad taflą wody, odcinając się wyraźnie od bieli rozgrzanych słońcem kamieni. Cypel kończył się nagle, urwistym brzegiem, wysoką, ponadpięciometrową ścianą, spadającą pionowo w dół. Granat głębokiej wody opływającej skały kontrastował ze szmaragdowo-błękitnym kolorem przybrzeżnej płycizny. I nagle wszystko przestało się liczyć, wszystko z wyjątkiem wszechobecnego zapachu ryb, słońca i wysuszonych upałem glonów, delikatnego wiatru od otwartego morza, dziwnego uczucia niczym nieskrępowanej swobody. Skoczyć, zanurzyć się w wodzie, popłynąć... To cudowne uczucie wolności, lotu, wejścia w wodę...

– Akademię na dzisiejszych zawodach reprezentuje Katarzyna...

Wody basenu migotały w dole.

– Kaśka, skoncentruj się! To musi się udać! – głos trenera był pewny, spokojny.

Na trybunach mnóstwo ludzi. Oczy piekły mnie po wielogodzinnych treningach, widziałam kolorową poświatę wokół lamp.

– Kaśka! Kaśka! – dochodziło do mnie skandowanie kibiców.

– Idź! Wygraj! – głos trenera brzmiał jak z zaświatów.

Lekkie klepięcie w ramię. Parę kroków do przodu, narastające napięcie. Od tego skoku zależy tak wiele. Nasza drużyna ma jeszcze szansę, możemy wygrać. Krótki podbieg, wybicie się, obrót w powietrzu, wyprężone ciało, idealnie wyprostowane ręce, czyste wejście w wodę. Woda jest chłodna i przyjemna. Nie ma już napięcia wszystkich mięśni, nie ma już stresu. Dziwna ta woda, ciemna i groźna w dole. Nie widać błękitnych kafli dna basenu, zamiast tego ławica małych kolorowych rybek przepływa tuż obok rąk. Trochę za mało powietrza w płucach, trochę duszno, lekki zawrót głowy. Kilka płynnych ruchów rąk i już coraz bliżej rozświetlonej światłem powierzchni. Jak tu jasno, pomyślałam. Zamiast podwieszonych wysoko pod sufitem lamp świeci słońce, nie ma ławek, nie ma trybun ani słupków startowych, nie słychać okrzyków kibiców ani braw. Zamiast tego błękit bezchmurnego nieba, samotnie szybujący wysoko ptak, biel wznoszącej się pionowo w górę skały, słony smak wody w ustach. Parę głębszych oddechów. Świat przestał kręcić się w kółko, przestał wirować, zatrzymał się nagle, wrócił na swoje miejsce. Ręce wyciągnięte przed siebie, wyprostowane nogi, twarz zanurzona w wodzie, długi, spokojny wydech. Teraz powoli ramiona wędrują w bok, otwarte dłonie zagarniają kolistym ruchem wodę, twarz wynurza się ponad powierzchnię wody, spokojny wdech, nogi odwiedzione na bok, stopy odpychające się od wody w klasycznym ruchu żabich kończyn. Swoboda, wolność... Powolne ruchy rąk, harmonijna praca nóg, spokojny oddech... Wdech, wydech, wdech... Nic nie przeszkadza, nic nie ogranicza. Zniknęła gdzieś niepewność ruchów, sztywność kończyn, wszechogarniające mnie na co dzień uczucie zmęczenia. Wdech, wydech, znowu wdech... Zmierzam powoli w kierunku otwartego morza, w kierunku wyjścia z zatoki. Ruchy stają się coraz pewniejsze, coraz zgodniejsze, coraz bardziej harmonijne. Pływanie zamiast nudnych ćwiczeń, pomyślałam. Codziennie od bardzo wielu miesięcy w kółko rehabilitacja – rano, w południe, wieczorem, tuż przed snem. Cały dzień toczący się w jej rytmie i pod jej dyktando. Wszystko podporządkowane tylko jej.



Rehabilitacja zaczęła się jeszcze w szpitalu, pamiętam ją tak dobrze, jakby towarzyszyła mi cały czas, była czymś najważniejszym, najistotniejszym, jakby stała się nagle sensem i sednem mojego życia. Na początku czułam sztywność kończyn, dziwne uczucie obcości własnych rąk i nóg, przerażające i porażające uczucie braku kontroli. Peterson mówił, że to koszarne skutki niedokrwienia mózgu. Pamiętam godziny biernych ćwiczeń i masaży, po których pozostawały ból mięśni, narastające z dnia na dzień rozdrażnienie, frustracja, zwątpienie, bliżej nieokreślony żal. Miesiące pracy, by osiągnąć pierwszy sukces, by wykonać pierwszy niezdamy, samodzielny ruch. Później dziesiątki, a teraz setki powtórzeń dziennie. Obcy ludzie przewijający się przez moje życie każdego dnia – terapeuci. W tej terapii nie ma nic na pokaz. Ciężka, nudna praca na akord. Dziesiątki godzin ćwiczeń, aby uzyskać minimalny efekt. Narastające z czasem znużenie, zmęczenie, uczucie beznadziejności.

– Musisz ćwiczyć codziennie – powtarzał przy każdym naszym spotkaniu w klinice doktor Peterson. – Wielu ludzi opracowywało te terapeutyczne programy dla ciebie. Jeden dzień przerwy to znowu parę kroków do tyłu. Musimy wywalczyć, ile się da. Nikt nie wie, co to znaczy w twoim przypadku. Nikt nie wie, ile osiągniesz.

Na początku walczyliśmy o normalne napięcie mięśni, o pozbycie się przykurczów, zniwelowanie bólu. Później o każdy ruch. Teraz o zachowanie tego, co udało się osiągnąć.

– Układ nerwowy jest czymś niezwykłym – twierdził Peterson. – Wykorzystujemy tylko znikomą część naszych możliwości. Jakies komórki uległy zniszczeniu. Trzeba zmusić inne, by przejęły ich funkcję. Można wygrać wiele lub przegrać wszystko, swoją szansę, swój czas. My stwarzamy tylko możliwości. W medycynie nie ma dwóch takich samych przypadków. Mnóstwo czynników wpływa na to, że pozornie te same jednostki chorobowe, określone tymi samymi nazwami, identycznie zaszeregowane w klasyfikacjach międzynarodowych ICD-10, mają zupełnie inny przebieg. Wszystko wymaga czasu. Wszystko zależy od początkowego potencjału...

Wdech, wydech i znowu wdech... Żadnego bólu, znużenia, zmęczenia. Teraz powoli obrót na plecy. Można się wyciągnąć swobodnie jak na łóżku, dać się unosić wodzie, poddać się delikatnemu ruchowi fal. Lekko przymknięte powieki, błękitne niebo, szybujące wysoko ptaki, jakaś mała śmieszna chmurka podobna do białego baranka, próbująca na chwilę przysłonić słońce, spokojny, wolny oddech. Wolność... Broda podciągnięta do klatki piersiowej. Wyprostowana ręka tuż przy głowie, odwrócona dłoń niczym wiosło zagarniająca wodę, naprzemienny ruch rąk... Promienie słoneczne rozszczerzone w kolorowe tęcze w każdej kropli lecącej do góry wody.

\* \* \*

Kamienie były jeszcze ciepłe, rozgrzane słońcem, ale cień powoli zaczął się już wkradać do zatoki. Wyciągnęłam się na głazach. Chłonełam promieniujące od nich ciepło. Przymknęłam oczy. Tamte wydmy były piaszczyste, bosa stopy wzbijały tumany drobnego, rozgrzanego słońcem, złotego piasku. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się prawie pustynny krajobraz z piaszczystymi wzgórzami, falami wyrzeźbionymi wiatrem, gdzieniegdzie widocznymi czubkami drzew, których konary zniknęły przysypane wędrującym piachem,

a całość uzupełniał porażający błękit nieba. Gdzieś w oddali na falach igrały promienie słoneczne. Przymrużyłam oczy. Raził mnie blask słońca odbity od złocisto mieniących się piaszczystych powierzchni.

– Ścigasz się? – Chłopak stojący obok mnie miał wesołe czarne oczy, mocno opaloną nieogoloną twarz, ciepły uśmiech.

– Chętnie.

– Zwycięża ten, kto pierwszy dobiegnie do morza. Ja biegnę z naszymi plecakami. Zwycięzca ma prawo do jednego życzenia.

Puściliśmy się biegiem po skarpie, wzbijając w powietrze tumany piachu, przewracając się co chwila, zjeżdżając na pośladkach, katulając się w szaleńczym wyścigu w dół. Gdzieś tam w dole, coraz bliżej migotała woda. Jeszcze trzysta, jeszcze dwieście, jeszcze sto metrów... Biegając, zrzucałam z siebie ubranie. Pod nogami poczułam już twarde, mokry piach, jeszcze parę metrów i któreś z nas wygra. Zrównaliśmy się w biegu, oboje z impetem równocześnie wylądowaliśmy wśród fal. Fontanna słonej wody chlusnęła w górę. Na chwilę poczułam obejmujące mnie jego ramiona.

– Boże, Kasia, jaka ty jesteś szalona.

Nagle cień padł mi na twarz, zasłaniając ostatnie promienie słońca.

– Przykryj się! – Alen rzucił na mnie swoją koszulę. – Leżysz tutaj półnago. Jesteś zupełnie sama. Twoja czarna bielizna aż krzyczy, by ją ktoś zauważył. Igrasz z losem. Nie obawiasz się, że może cię spotkać coś złego?

– Tu nie było nikogo poza mną – próbowałam się bronić, wciągając na siebie pospiesznie jego koszulę.

– Każdy mógł tu być. Na przykład byłem ja.

Przyglądał mi się długo zimnym wzrokiem.

– Ściągnij już lepiej tę koszulę. Wyglądasz podniecająco, jak dziewczyna z okładki „Playboya”.

– Przecież to zapomniane przez wszystkich miejsce. Nie ma tu nikogo.

– Ja jestem. Według ciebie „ja” to znaczy „nikt”?

Nie odrywał ode mnie oczu. Jego wzrok wędrował po moich nogach, przesuwał się po mokrej bieliźnie, po ociekających wodą włosach. Poczułam się nagle jakoś nieswojo. Usiadłam, stopy podciągnęłam do siebie. Skuliłam się. Oparłam głowę na kolanach. Próbowałam cała zniknąć w tym utworzonym nagle trójkącie, w zamkniętej przestrzeni pomiędzy nogami, plecami i głową. Próbowałam wtopić się w tę jego koszulę.

– Pójdę po twoją sukienkę – głos miał dziwnie ochryply. – Widziałem, jak zrzuciłaś ją z siebie na szczycie cypla.

Ruszył, przeszedł parę kroków, odwrócił się jeszcze na chwilę.

– Świetnie pływasz, naprawdę.

\* \* \*

Davora zastałem w jego w biurze. Pewnie już kolejny raz przerzucał świeżo przygotowane do druku materiały. Wyglądał na zmęczonego i znudzonego tym zajęciem.

– Znalazłem go – zakomunikowałem bez żadnego wstępu.

– Kogo? – spojrzał na mnie nie do końca przytomnym wzrokiem.

– Tego faceta od Katariny.

– Niemożliwe. Minęły prawie dwa lata – uśmiechnął się pobłaźliwie. – Gonisz za kolejną sensacją. Nie przesadzaj. I bez tego jest dobrze. – Spojrzał na mnie uważniej. – Bredzisz, wydaje ci się! – dorzucił.

– Nie, nie wydaje mi się.

Petrovic wyprostował się, odsunął od siebie przeglądane przed chwilą papiery, nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazał stojące naprzeciw niego krzesło.

– Siadaj! Nie cierpię, jak stoisz, rozmawiając ze mną. Górujesz nade mną. To zaburza komunikację – warknął. Patrzył na mnie wyczekująco.

– Byłem dzisiaj na otwarciu kongresu kardiochirurgicznego w Splicie...

– Odkąd interesują cię takie tematy? – popatrzył na mnie zdziwiony. – Jeżeli dobrze pamiętam, to zadanie przypadło Luce.

– Wyręczyłem go. Prosił mnie o to. Coś nie najlepiej się dzisiaj czuł...

Oczy Davora zwęziły się niebezpiecznie. Pochylił się w moją stronę.

– Twój kumpel znowu zapił? – syknął. – Jak długo jeszcze go będziesz krył? Myślisz, że dasz radę pracować za was obu?

Odruchowo odsunąłem się do tyłu. Zwiększyłem dzielącą nas odległość, stworzyłem dystans.

– Ty nigdy nie masz chwil słabości?

– A ty ciągle jeszcze spłacasz swój dług z czasów, kiedy to ciebie trzeba było siłą wyciągać z knajpy?

– Jeżeli nawet, to co w tym złego? Normalny ludzki odruch – rzuciłem zaczepnie. – Nie o Luce chciałem z tobą rozmawiać...

– Mów! – Davor usadowił się wygodniej w fotelu.

– Kongres jak kongres, mnóstwo ludzi z całego świata. Tak zwana totalna nuda, kiepski temat nawet na krótką dziennikarską notatkę. Kongres kardiochirurgiczny... Dla przeciętnego czytelnika to zupełna abstrakcja. Przybyłych gości witał gospodarz kongresu, profesor kliniki kardiochirurgicznej w Splicie, jeden z najmłodszych profesorów kardiochirurgii na świecie, Polak z pochodzenia, profesor Roman Sosnowski. Słowa powitania wygłosił najpierw po angielsku, a później po chorwacku. Po chorwacku mówił płynnie, ale z lekkim obcym akcentem. Ja już słyszałem ten głos i ten akcent kiedyś na promie.

– Bzdura! – Petrovic przerwał mi gwałtownie. – Każdy cudzoziemiec mówiący po chorwacku będzie miał akcent typowy dla swojego ojczystego języka. Nawet jeżeli rzeczywiście pamiętasz tę charakterystyczną melodykę, to może świadczyć tylko o tym, że tamten też był Polakiem.

– Ja go nie tylko słyszałem, ale też widziałem. Dzisiaj wydał mi się starszy niż wtedy. Starszy, a może po prostu zmęczony – bardziej myślałem głośno, niż mówiłem do Davora.

– Wtedy było lato, czas urlopów, odpoczynku. Słoneczne popołudnie w typowo turystycznej wiosce na wyspie. On i ona, jak z folderu, jak z reklamówki zachęcającej do odwiedzania Chorwacji, uśmiechnięci, radośni, szczęśliwi... Dziś otwierał ogromny międzynarodowy kongres. To duże wyzwanie, szczególnie kiedy należy się do grona

najmłodszych. Pewnie wymagało długich i pracochłonnych przygotowań, gorączkowego i pospiesznego dopinania wszystkiego w ostatniej chwili. Ten ogrom pracy musiał być związany z olbrzymim stresem, z ogromnym poczuciem odpowiedzialności, z wieloma pełnymi zajęć dniami i bezsennymi nocami. Taki kongres to pewnie olbrzymie wyzwanie dla niewielkiej kliniki w prowincjonalnym Splicie. To musiało go zmęczyć...

– Próbujesz mi wmówić, że poznałeś dzisiaj w tym ogromnym tłumie uczestników kongresu faceta, którego widziałeś wszystkiego dwa razy w życiu, może w sumie przez kilkanaście minut, do tego przed prawie dwoma laty. To tak, jakbyś opowiadał mi, że rozpoznałeś po głosie kogoś, kto przed rokiem kupował w kiosku przed tobą gazetę, albo po sylwetce kogoś innego, kto siedział dwa rzędy przed tobą w ciemnym kinie... Zastanów się, Alen, to przecież totalna bzdura...

Sam czułem, że to może się wydawać mało prawdopodobne. Ja też w pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć.

– Skąd wiesz, że to on? Może powiesz mi, że masz takie przeczucie? – nie ustępował.

– On ma dziwny, niespotykany kolor oczu. Kiedyś opowiadałem o tym Katarinie. Mówiła, że nie pamięta nikogo o chabrowych oczach.

Davor wstał. Wyciągnął rękę w moją stronę.

– Jak cię znam, to już masz gotowy materiał zdjęciowy z kongresu.

Nie pomylił się. Znał mnie dobrze. Na biurku wylądowały zdjęcia. Jedna postać powtarzała się prawie na każdym z nich.

– Jesteś monotematyczny – Petrovic kolejny już raz przerzucił zdjęcia.

– Czasami – przyznałem – w szczególnych okolicznościach.

Wstał. Podeszedł do okna. Zastygł na chwilę w bezruchu.

– To fantastyczne, ale chyba mimo wszystko niemożliwe. – Davor odwrócił się gwałtownie w moją stronę. – Pomyśl, Alen, publikowaliśmy zdjęcia tej dziewczyny przez wiele tygodni. Co tydzień w czwartek pojawiały się komunikaty w telewizyjnej kronice policyjnej. Poszukiwano kogokolwiek, kto potrafiłby ją zidentyfikować. Ty spędziłeś dziesiątki godzin, poszukując jego śladów na wyspie, wypytujac w porcie, szukając go po hotelach, restauracjach i knajpach w Splicie. Facet znikł, zapadł się pod ziemię. Nikt go nie znał, nikt nie pamiętał. Zlał się z wielotysięcznym tłumem turystów przewalających się każdego roku przez wyspę. Rozpłynął się we mgle.

– Szukałem w złych miejscach – wpadłem mu w słowo. – Pytałem chyba nie tych ludzi...

– Stworzyliśmy jedyną sensowną teorię tłumaczącą tę historię – Davor nie dał sobie przerwać. – Przyjeliśmy ją za pewnik. Doszliśmy do wniosku, że ona z bliżej niewiadomego powodu tu została, a on wyjechał, że miała tu zostać na dłużej, dlatego nikt się o nią nie niepokoił. Ta teoria wszystko tłumaczyła, nawet to, że nikt nie odpowiedział na te komunikaty, że nikt się nie zgłosił... Teraz już od bardzo wielu miesięcy twoje reportaże o niej pojawiają się co tydzień w naszej gazecie. Czy jest możliwe, że ten facet nie czyta gazet, nie ogląda nawet przypadkiem telewizji? Czy jest możliwe, że nie mieli tutaj żadnych wspólnych przyjaciół, żadnych znajomych, że on był tu cały ten czas i nie zgłosił jej zaginięcia, nie zaniepokoił się o nią, nie zauważył, że nagle zniknęła? Bzdura, stary, to wszystko nie trzyma się kupy, nie pasuje do siebie, nie tworzy całości. W to

wszystko musiał się zakraść jakiś błąd. Ludzka pamięć potrafi płać figle.

– Myślisz, że to tylko kwestia zawodnej ludzkiej pamięci?

– Podświadomie szukasz go nadal. Ten facet na kongresie to ktoś, kto tylko trochę jest do tamtego podobny.

– Ja już go od dawna nie szukam. – Przestałem się kontrolować, przemknęło mi przez myśl. Padło jedno zdanie za dużo. Davor wychwycił to od razu. Spojrzał na mnie uważniej.

– Czy jest coś...

– Nie, nie ma nic – przerwałem mu ostro. – Umówiłem się z nim jutro na wywiad.

\* \* \*

Od początku intrygował mnie ten jego pokój, te zawsze szczelnie zamknięte drzwi, zakłete, dla mnie niedostępne rewiry.

– Choć, pogadamy u ciebie – rzuciłam kiedyś.

– Bez sensu – uciął krótko, zadziwiająco ostro. – U mnie zawsze panuje burdel. Wystarczy, że u ciebie muszę sprzątać.

Pamiętałam widziane przypadkiem biurko usłane papierami, kubki z niedopitą kawą, zapach dziesiątków wypalonych papierosów, setki zdjęć przyklejonych do gołej, niedbale pobielonej wapnem ściany... Najbardziej intrygowały mnie te zdjęcia. Jeleny nie było w domu. Alen dzwonił przed paroma minutami z redakcji. Promy odbijają ze Splitu nie częściej niż co godzina. Mam czas, pomyślałam. Nacisnęłam kławkę, drzwi otworzyły się bezszelestnie. W pokoju panował półmrok. Przymknięte okiennice przepuszczały tylko odrobinę światła. Szaro, zimno, ponuro... Dreszcz przebiegł mi po plecach. Aż trudno uwierzyć, że na zewnątrz wszystko tonie w ostrych promieniach popołudniowego słońca, drzewa rzucają miękkie cienie, rozgrzane upałem powietrze wydaje się aż drzeć. Tu było zimno, smutno, obco. Pchnęłam odrobinę okiennice. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły nieprzyjemnie. Promienie słońca próbowały wdrzeć się do środka, rozgonić półmrok, ożywić obumarłe wnętrza, obudzić kolory na lekko już wyblakłych zdjęciach. Alen z jakąś dziewczyną. Objęci, przytuleni, zapatrzeni w siebie... Inny Alen, przemknęło mi przez myśl, jakby dużo młodszy, uśmiechnięty, pogodny, ciepły. Sesja zdjęciowa tamtej dziewczyny, dziesiątki jej twarzy: uśmiechniętych, poważnych, żartobliwych, wyzywających... Dziewczyna w bieliźnie, dziewczyna w czarnych rajstopach, leżąca dziewczyna z nogami uniesionymi i opartymi o ścianę, dziewczyna w kapeluszu, dziewczyna pod prysznicem, dziewczyna w mokrej męskiej koszuli... Dziewczyna w słońcu, w półmroku, w blasku świec... Ta sama dziewczyna w objęciach innego mężczyzny. Zdjęcie zrobione z daleka. Dziesiątki zbliżeń. Coraz bliżej, coraz wyraźniej, coraz dokładniej... Tak jakby ktoś pastwił się nad samym sobą. Jakby kpił z samego siebie, bawiąc się tym kadrem. Jakby sam siebie chciał przekonać, że to, co widzi, jest prawdą. Krok po kroku, aż do ostatniego zbliżenia, aż widać dokładnie jej usta przy ustach tamtego, jej włosy na jego twarzy, jego dłonie obejmujące ją odważnie... Ostatnie zdjęcie pomazane jest czarną farbą. Jakiś napis w nieznanym mi języku schodzi ukosem ze zdjęcia na ścianę, chyba cytat, bo zamknięty w kławkę cudzysłowów, kończący się znanym mi już imieniem: Maria. Niemy krzyk zaklęty w dziesiątki razy napisane na ścianie jej imię.

Makabryczne, czarne litery na białej ścianie. Dalej zdjęcia z jakiejś wojny. Ta wojna musiała się toczyć gdzieś niedawno i niedaleko. Zgliszcza współczesnych blokowisk, ruiny wiejskich zagród, rozorane wybuchami ogrody, ślepe okna okopcone łuną pożarów, namiotowe miasta dla wygnanych, zbiorowe mogiły, jakiś kościół pełen trupów, szpital wymordowanych pacjentów... Jakiś młody chłopak bez nogi... Jakieś małe dziecko z oczyma pełnymi łez, tulące okopconego pluszowego misia, jacyś malcy biegający za piłką pomiędzy bramkami zbudowanymi z gruzu, starzec z przepaską na oczach wyciągający rękę w błagalnej prośbie o pomoc. Piekło. Coś kiedyś Jelena mówiła o Kosowie. Klin klinem, jedno nieszczęście tłumione lub potęgowane drugim. Alen jako reporter wojenny w targanym okropnym konflikcie Kosowie. Nagle zaczęłam rozumieć Alena. Szorstki, zimny, oschły... Ile można w sobie pomieścić nieszczęścia, ile powierzchnia ścian może zmieścić zdjęć, ile czarnych napisów. Wystarczy, wszystko we mnie krzyczy. Wszystko mnie boli. Jeszcze tylko przymknąć z powrotem okiennice. Zatopić to wszystko w półmroku. Zatrzeć wszystkie ślady swojej obecności. Zatrzasnąć za sobą drzwi. Uciec. Zamknąć się w swoim pokoju. Przykryć głowę poduszką, zacisnąć mocno powieki i spróbować choć trochę zapomnieć.

\* \* \*

Te zdjęcia zobaczyłam rano na stole w kuchni. Zdziwiłam się. Alen nigdy nic nie zostawiał na wierzchu. Chronił przede mną swoją prywatność, pilnie strzegł samego siebie. Znaliśmy się już wiele miesięcy, a ja nie wiedziałam o nim właściwie nic. Przypadkowe strzępy informacji nie układały się w żadną logiczną całość. Dziennikarz, fotoreporter, korespondent wojenny z Kosowa, tamten ciemny pokój i tamte krzyczące ze ścian fotografie, czarne napisy w nieznanym mi języku, mające pogłębić lub uciszyć ból... Więcej nic... Nie wiedziałam, o czym pisze. Nie czytałam żadnego jego artykułu. Skrzętnie oddzielał mnie od siebie, swoją pracą od całej reszty. Odgrodził się grubym murem niedostępności. Nie wiedziałam, co myśli, co czuje... Zimny profesjonalizm, prawdziwa lub udawana obojętność. Żadnych uczuć, prawie żadnych emocji, jakby wszystko umarło, zamienione w czarne napisy na tamtych ścianach. I raptem te zdjęcia – zostawione przypadkiem lub specjalnie, położone w najbardziej widocznym miejscu, jakby nagle przez ten fakt odarte ze swojej tajemniczości. Było w tym coś dziwnego, nienaturalnego, niepasującego do Alena. Nie wzięłam ich od razu do ręki. Najpierw zaparzyłam sobie kawę. Talerzyk z bułką położyłam tuż obok nich. Ociągałam się i zwlekałam. Rzuciłam okiem na pierwsze zdjęcie. Mnóstwo ludzi, cała olbrzymia sala wypełniona po brzegi, setki anonimowych włosów i bezimiennych głów... Bezosobowy tłum. Gdzieś w oddali jakaś samotna postać stojąca na scenie. Kongres, przemknęło mi przez myśl. Kongres, co to słowo właściwie znaczy? Jakieś dziwne słowo z przeszłości, docierające jak z zaświatów. Pamiętam... Otwarcie kongresu jak wielkie święto. Marynarki, koszule, krawaty, idealnie skrojone garsonki, buty na obcasach, sukienki... Atmosfera wielkiej uroczystości. Ucieczka od codzienności, znudzenia, wypalenia, rutyny. Swoiste zawodowe święto. Słowa powitania i gromkie brawa. Minuta ciszy, żeby uczcić pamięć zmarłego profesora. Tamten mężczyzna z jasną czupryną, w czarnych spodniach i białej koszuli grający na fortepianie,

zapalone świece na scenie, półmrok, idealna, niczym niezmacona cisza na widowni. Potem stukot nagle zamkniętego wieka, pustka, nicość, hołd oddany temu, który odszedł, który przeminął. Nagły ból i żal... Moi też przeminęli bezpowrotnie...

– Kasiu, co ty? Kasiu... – Pamiętam rękę Michała na mojej ręce, badawczy wzrok Romana schodzącego ze sceny, przesuwanego po naszych dłoniach, po Michale, po mojej twarzy.

– Ach, tu jesteś.

Podskoczyłam przestraszona. Głos Alena rozległ się tuż za moimi plecami. Wdarł się nagle brutalnie w tamtą rzeczywistość. Znowu wszystko dawne stało się nierzeczywiste, odległe, nierealne...

– Przepraszam, pewnie nie powinnam. – Szybko odłożyłam zdjęcia.

– Nie, dlaczego, obejrzyj! Piszę właśnie notatkę z kongresu kardiochirurgicznego.

Nie odszedł. Usiadł na krześle obok. Postawił przed sobą filiżankę z kawą.

– Poszedłem tam wczoraj zamiast Luki – rzucił obojętnie. – To nie moje tematy. Wiesz, ten kongres otwierał facet z Polski, jeden z najmłodszych profesorów kardiochirurgii w Europie... Nazywa się bodajże Roman Sosnowski...

Alen przerzucił bezmyślnie zdjęcia.

– Facet musi robić zawrotną karierę. Nie wygląda na więcej niż trzydzieści parę lat, jest szefem kardiochirurgii w Splicie, gospodarzem tego międzynarodowego kongresu... – słowa zaczęły cichnąć, oddalać się. Słyszałam tylko łomot własnego serca. Romek... Pamiętam tamtą noc, kiedy przyjechał z Paryża, pierścionek zaręczynowy dany na niby, bal absolwentów, jego habilitację, przeprowadzkę do jego mieszkania, jego wyjazd do Splitu. Pamiętam, jak po mnie przyjechał, nasze wakacje, tamten dom, wyspę... Pamiętam... Jechaliśmy przez zatłoczone ulice Splitu. Cały czas widziałam jego wzrok błakający się po mojej sukience, butach, twarzy...

– Pięknie wyglądasz. Szkoda, że nie dla mnie – powiedział jakby z goryczą. Zachowywał się inaczej niż zwykle. Było w tym coś obcego, nienaturalnego, zimnego. Romek, ale jakiś zupełnie inny. Nie słyszałam nigdy wcześniej takiego tonu. Nigdy tak na mnie nie patrzył – mieszanina żalu, narastającej niechęci, urażonej ambicji, zdradzonych uczuć, a może zwykłej ludzkiej nienawiści. Bzdura, pomyślałam, boli mnie tylko głowa, cały świat wydaje się zniekształcony i krzywy. Rzeczywistość spaczona i odbita w krzywym zwierciadle. Ból głowy i ten cholerny upał. Nie mogłam jednak uwolnić się od wrażenia, że coś jest jednak nie tak. Czyżby żałował tego wszystkiego? Z minuty na minutę czułam się coraz niezręczniejszą.

– Nie pójdziesz ze mną? – spytałam.

– Nie, przyjadę później. Muszę podjechać na chwilę do kliniki – spojrzał na mnie. – Chyba nie powiesz mi, że się boisz spotkać z Michałem? – spytał z niedowierzaniem.

Wysiadłam. Pomachałam mu ręką. Odjechał. Czy on naprawdę wtedy odjechał?

Strach, paniczny strach. Pamiętam... A może ja nic nie pamiętam. Może to tylko wyobraźnia. Może to już wtedy było niedotlenienie. Może błędne przekazywanie impulsów. Świat nieznanymi nerwowymi połączeniami. Impulsy pędzące po synapsach, drobiny neuroprzekaźników pomiędzy aksonami... Ile możliwych pomyłek, ile błędów... Fikcja zmieszana z rzeczywistością. Błękitna koszula i błękitne oczy. Może inna koszula i inne

oczy? Fałszywe obrazy transponowane przez chore komórki. Słowa babci Wandy, wracające bez przerwy: „Nie ma idealnych ludzi. Idealnych ludzi trzeba się bać...”. Bardzo wtedy bolała mnie głowa, świat wirował i tańczył dookoła. Było coraz duszniej, coraz bardziej gorąco, mdło... Pomyślałam, że ja tam nie pójdę, że nie dam rady, nie dojdę. Miałam dziwne wrażenie, że nogi są jak z waty, że chodnik ucieka spod nóg. Wypolerowane przez setki lat kamienie, głązy pamiętające jeszcze rzymskie sandały, dziwny stukot kroków po bruku... Coraz bardziej gorąco, coraz bardziej słabo... Nie dojdę, przemknęło mi przez myśl. Trzeba jeszcze minąć bramę, potem przejść wąską uliczką ze sto metrów, dopiero później skręcić w prawo na plac... Sto metrów to niemal dwieście kroków. Nie dam rady. Dziwnie tu pusto jak na tę porę dnia, żadnych, nawet przypadkowych przechodniów, żadnych tłumów turystów. Z minuty na minutę nasilający się strach... Zadzwonię... Zapomniałam torebki. Nie mam nic. Nie mam torebki, nie mam dokumentów, nie mam telefonu. Może on jeszcze nie odjechał. Może stoi jeszcze na światłach. Odwróciłam się i nagle zawirował cały świat... Niebieskie oczy, niebieska koszula... Nie, to na pewno nie było tak. Boże, to przecież nie mogło być tak.

– Katarina! Ty mnie chyba zupełnie nie słuchasz... – Alen kolejny już raz przerzucał zdjęcia. – Nudzi cię to?

– Nie, skądże, przecież słucham – starałam się, żeby zabrzmiało wiarygodnie.

– Przez moment wydawało mi się, że jesteś myślami gdzieś bardzo daleko – Alen przyglądał mi się wnikliwie.

\* \* \*

A jednak było wtedy coś dziwnego w zachowaniu Katariny. Niezauważony przez nią stałem już w kuchni dobrą chwilę. Przyglądała się pierwszemu zdjęciu. To zdjęcie samo w sobie było beznadziejne. Pasowało tylko do koncepcji mojego artykułu. Wyjęte z ram owego fotoreportażu musiało się wydawać bez sensu. Miało pokazać ogrom wydarzenia, tłum złożony z setek, a może tysięcy ludzi, atmosferę międzynarodowego spotkania, podniosłość chwili i zupełną anonimowość. Mała postać gdzieś daleko na scenie była równie anonimowa, jak wszyscy inni uczestnicy tego wydarzenia. Nie było jeszcze żadnych sław i żadnych niepodważalnych autorytetów, żadnych znanych nazwisk, żadnych uznanych uczelni. Siła tłumy. Katarina uniosła filiżankę z kawą, ale nie przyłożyła jej do ust. Prawie natychmiast odstawiła ją z powrotem. Tak jakby nagle coś zaburzyło ten poranny rytuał, jakby gdzieś w podświadomości pojawiło się coś, co zatrzymało, zablokowało ten ruch. Jakieś wspomnienie? Skojarzenie? Cień tego, co kiedyś, dawno? Nagle przestała już patrzeć na zdjęcie. Spoglądała gdzieś daleko przed siebie. Pewnie o wiele dalej niż nasze podwórko, płot, wejście do naszego ogrodu. Pewnie to, co widziała, nie działo się ani tu, ani teraz, pewnie nie miało z nami żadnego związku. Przestraszyła się, kiedy usłyszała mój głos za swoimi plecami.

– Przepraszam, pewnie nie powinnam – odłożyła szybko zdjęcia. Usiadłem tuż obok. Zacząłem opowiadać o kongresie. Krótką chwilę wydawało mi się, że mnie słucha. Nagle jakby cień przemknął po jej twarzy, w oczach pojawiły się łzy, dłonie mocno zacisnęły się na brzegu stołu... Wszechogarniające przerażenie, lęk, strach. Kolejny już raz przerzucałem



zdjęcia. Nie zauważyła nawet, że milczę. Myślami była zupełnie gdzie indziej, w świecie, gdzie nie było naszej kuchni, tych zdjęć, mnie... Pomyślałem, że w tym świecie musiał być jakiś podobny kongres, a może był w nim także ten facet.

\* \* \*

Umówiłem się z nim w jego klinice, z dala od kongresowych sal, zatłoczonych korytarzy, tłumów ludzi. Nie chciał rozmawiać, chciał mi pokazać klinikę. Oprowadzał mnie po niej z nieukrywaną dumą. Coś udało się osiągnąć, coś innego poprawić, coś wyremontować, na coś innego pozyskać środki... Ludzie zarabiają trochę lepiej, pacjenci są bardziej zadowoleni, można zrobić i osiągnąć jeszcze więcej. Usta mu się nie zamykały. Uśmiechnięty, pogodny, znający swoją wartość, witany uśmiechem przez współpracowników i pacjentów, ciepły, bezpretensjonalny, inny, ale w żadnym wypadku nie obcy. Zaraził tu wszystkich swym zapałem. Kupił go jak swojego, nie zważając na delikatnie obcy akcent. Nawet ja w którymś momencie zacząłem słuchać uważnie o sukcesach, potknięciach, ludzkich emocjach, walce, sprawach wygranych, przegranych i beznadziejnych... Spytałem o kongres.

– Ludzie muszą się spotykać, wymieniać doświadczenia, nauczyć się dzielić swoimi sukcesami i analizować własne porażki – rzucił pogodnie. – Nic bardziej i szybciej nie uczy niż analizowanie swoich lub cudzych błędów. Kongres to takie swoiste święto, przerywnik w codzienności, chwila wytchnienia.

– A pan jakoś dzisiaj nie na kongresie...

– Dzisiaj jest nasz dzień operacyjny. Nie potrafię powiedzieć pacjentom, że z powodu kongresu nie będzie operacji. Niektórzy czekali na ten swój dzień wiele miesięcy, czasami wiele lat. Jeszcze zdążę się tam pokazać, jutro mam nawet wystąpienie – mówił pogodnie. – Na pewno zdążę otworzyć kończący ten kongres bal. Wszystko jest dopięte na ostatni guzik, pracowaliśmy nad tym parę miesięcy, teraz wszystko toczy się już samo, siłą rozpędu, bez naszego większego udziału. Wszyscy są zajęci kongresem i sami sobą, nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności.

Szliśmy długim korytarzem. Przyglądałem mu się ukradkiem: białe spodnie, operacyjna bluza, jasne włosy, niesamowicie niebieskie oczy, serdeczny sposób bycia... W innych okolicznościach pewnie mógłbym go nawet polubić, przemknęło mi przez myśl. Zaprosił mnie do swojego gabinetu. Pomieszczenie nie do końca pasowało do współczesnego wystroju nowoczesnej kliniki. Pod oknem królowało stare masywne biurko, pod ścianą mały stolik z przystawionymi do niego głębokimi fotelami, obok regały pełne książek, jakieś zdjęcie na biurku... Zdjęcie na biurku... Pomyślałem, że wiele bym za nie dał.

– Chciałby pan jeszcze o coś spytać?

Usiadł tuż obok mnie. Zatopił się, podobnie jak ja, w głębokim fotelu.

– Przyjechał pan, panie profesorze, tutaj z rodziną?

Spojrzał na mnie.

– Chce pan rozmawiać o mnie? – wydawał się zaskoczony. – Bez sensu. Ja się w tym zupełnie nie liczę. Liczą się pacjenci, klinika, moi ludzie... – wybuchnął niespodziewanie. Poczuję się nieswojo.

– Jest pan cudzoziemcem, mieszka pan daleko od swojej ojczyzny... – brnąłem dalej.

– Przyjechałem tu z własnego wyboru. Chciałem spróbować, sprawdzić się. Lubię trudne wyzwania. Całe życie wysoko stawiałem sobie poprzeczkę. Wiedziałem, że tutaj może nie być łatwo. W życiu jestem raczej konsekwentny. Postawiłem sobie jakiś cel i próbuję go realizować. Ktoś kiedyś powiedział, że ojczyzna jest tam, gdzie jest się rozumianym i gdzie się samemu rozumie. Ja rozumiem tu już coraz więcej – zaśmiał się. – Pojęcie ojczyzny w naszych czasach jakby trochę się rozmyło, zdezaktualizowało. Świat się nagle skurczył i zmałał. W świecie Internetu, telefonii komórkowej, telekonferencji ograniczeniem jest nie odległość, lecz czas. Tego ostatniego mi trochę brakuje.

Wstał nagle.

– Coś panu pokażę – ożywił się.

Podszedł do biurka, podał mi stojące na nim zdjęcie. Spojrzałem i nagle poczułem się rozczarowany.

– Jeden z moim polskich kolegów jest uczestnikiem kongresu. Przywiózł mi to w prezencie z pozdrowieniami od dawnych przyjaciół. To moja dawna klinika, mój dawny szef, moi koledzy, nasze instrumentariuszki z bloku operacyjnego, nasze pielęgniarki z oddziału...

A jednak znalazłem to, czego szukałem. Coś działo się na bloku operacyjnym. Wezwano go nagle przez telefon. Przeprosił mnie na chwilę, wyszedł pospiesznie. W kieszeni wiszącej na wieszaku marynarki rysował się wyraźnie portfel. Kiedyś zawsze nosiłem w portfelu zdjęcia. Jak widać, nie tylko ja. Na pierwszym zdjęciu Katarina taka, jaką pamiętam z portu, z rozwianymi przez wiatr włosami, z błękitną przepaską we włosach, z mocno opaloną twarzą, z odkrytymi ramionami, ze stopami wciśniętymi w białe tenisówki, w błękitnej powiewnej sukience. Obok duże głązy tworzące zamczysko, wysokie, suche trawy, rozłożyste kaktusy. W tle atramentowe wody zatoki, które gdzieś na horyzoncie przechodzą w niepowtarzalny błękit nieba. Na wodzie statki, które z tej odległości są ledwie widoczne. Znam to miejsce. Znajduje się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd. Piracka forteca w mieście Omiš. Na drugim zdjęciu Katarina na promie. Mam podobne zdjęcie, pomyślałem, nawet teraz – przy sobie w portfelu. Taką ją pamiętam – Katarina siedzi bokiem, patrzy gdzieś w dal, w kierunku zbliżającego się portu w Splicie. W oddali widać już zarysy nowoczesnych blokowisk, obejmujących jakby kłamrą niższą, zabytkową, przylegającą prawie do portu część miasta. Dziewczyna ma na sobie krótkie spodnie z błękitnego dżinsu, białą koronkową bluzkę, kapelusz. Rondo kapelusza rzuca cień na twarz, włosy, ramiona. Twarz dziewczyny wydaje się nierealna, tajemnicza, jak twarz anioła. „Gdybym wierzył w anioły”, napisałem parę dni później. Na ławce naprzeciw niej siedzę ja z nastawionym na nią obiektywem aparatu. Na trzecim zdjęciu Katarina śpiąca na tylnym siedzeniu w samochodzie, z jakąś kolorową poduszką wciśniętą pod głowę, dłonią podłożoną pod twarz, w męskiej koszuli z podwiniętymi rękawami i rozpiętymi odważnie guzikami, która jakby przypadkiem jest zbyt krótka, by zakryć opięte czarną bielizną pośladki i mocno opalone uda, i zbyt rozpięta, żeby do końca ukryć opalone piersi. Przez chwilę poczułem się nieswojo. Rozdrażniło mnie to zdjęcie. Zupełnie nielogiczne, pomyślałem, bo niby dlaczego? Wszystkie te fotografie pochodziły z okolic Splitu. Nagle usłyszałem kroki. Zbliżały się szybko, drewniaki dudniły po długim i pustym korytarzu.

W ostatniej chwili zdążyłem schować portfel i usiąść.

– Przepraszam, ale będę musiał się z panem pożegnać. Czekają na mnie w sali operacyjnej. To pewnie potrwa parę godzin – uśmiechnął się przepraszająco. – Miło było pana poznać. To dziwne, spotkaliśmy się dzisiaj po raz pierwszy, a jakoś od początku miałem wrażenie, jakbyśmy się już kiedyś wcześniej widzieli.

\* \* \*

– Alen, co ty tu robisz? – Niespodziewanie głos Jeleny rozległ się tuż za moimi plecami. Odwróciłem się odruchowo.

– Nic – rzuciłem obojętnie. – Chyba czas tu trochę posprzątać.

Jelena rozejrzała się po pokoju.

– Mówisz: „posprzątać”? – spytała zdziwiona. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio odsłaniałeś tu okna. Wieczny półmrok, setki spędzanych tu przez ciebie godzin, te zdjęcia, przekłety, jakby zatrzymany czas...

– Minęło – postarałem się, żeby zabrzmiało neutralnie. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Minęło? – spytała z niedowierzaniem. – Tak po prostu minęło?

– Uświadomiłem sobie, że to już nie boli, że nie ma już dla mnie żadnego znaczenia, żadnego głębszego sensu. Po prostu nie potrzebuję już tego.

– Coś się stało? – przyglądała mi się wnikliwie, przeszywała mnie swoim wzrokiem.

– Nie, nic. Zupełnie nic.

– I to wszystko przeszło tak nagle?

– No, nie do końca nagle. Każdego dnia mniej i mniej i któregoś kolejnego zupełnie nic. Katarina zawsze chciała zobaczyć ten pokój... – próbowałem zmienić temat.

– Mówisz, że robisz to dla Katariny... – wpadła mi w słowo.

– No, niezupełnie – próbowałem się bronić, zły na siebie za jednoznaczność mojej wypowiedzi. – Może, w pewnym sensie.

– Wiesz, dzwonił przed chwilą Davor – nagle, jakby pozornie zmieniła temat. – Mówił, że prawdopodobnie znalazłeś tamtego mężczyznę.

– Bzdura! – przerwałem jej gwałtownie. – Pomyliłem się, wydawało mi się. Już mu to dzisiaj tłumaczyłem. Rozmawiałaś z nim? – spytałem zdziwiony. – Myślałem, że po tym wszystkim nie odzywacie się do siebie. Nieważne, nie moja sprawa. Kretyn, próbuje z ciebie zrobić szpiega. – Poczuję się nagle dziwnie rozdrażniony. – Nie znasz go? On zawsze goni za sensacją. Sensacja przekłada się na pieniądze. Jego życie kręci się tylko wokół pieniędzy – mówiłem szybko.

– Tak, mówił mi, że potem się z tego wycofałeś, tłumacząc się swoją pomyłką. – Udała, że nie usłyszała ostatnich moich słów. Nie dała się zbić z tropu, nie odeszła, nie wróciła do swoich zajęć. Odwróciłem się do niej plecami, zacząłem zrywać ze ściany zdjęcia. Kolejna twarz Marii wylądowała na podłodze. Żadnych, zupełnie żadnych uczuć, najmniejszego bólu, mglisty obraz odległych, wyblakłych już całkiem wspomnień. Jak zrywanie starych, nieaktualnych już plakatów, pomyślałem, zmiana wystroju wnętrza, ucieczka przed opatrzeniem, nudą.

– Jutro kupię farbę. Pomaluję tu. Zapytam Katarinę o kolor. Ona zawsze mówi, że

dziwią ją te nasze białe ściany – spróbowałem uciec od denerwującego tematu.

– Alen, ty go naprawdę nie znalazłeś? – kolejny już raz powtórzone pytanie drażniło mnie coraz bardziej.

– A jeżeli nawet bym go znalazł, to co? – odwróciłem się do niej gwałtownie. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Pierwsza odwróciła wzrok Jelena.

– Pytam, co by było, gdybym go znalazł? – powtórzyłem. Milczała, czekała wyraźnie na to, co jeszcze powiem. – Zastanów się, nikt z nas nie wie, co tak naprawdę przydarzyło się Katarinie. Nieprzytomną dziewczynę znalazł przygodny turysta. Udar? Czy słyszałaś kiedyś o udarze w wieku dwudziestu paru lat? Nikt nie zaniepokoił się jej zniknięciem, nikt jej nie szukał, nikt nie odpowiedział na komunikaty policji, nasze poszukiwania były bezowocne... Ona sobie kiedyś wszystko przypomni. Ona musi sobie przypomnieć. Na razie trzeba ją chronić.

Spojrzałem na Jelenę przelotnie. Stała, słuchała, chyba próbowała zrozumieć.

– Jeszcze przed spotkaniem z nim położyłem na stole w kuchni zdjęcia z kongresu. Katarina oglądała je. Żadnych, zupełnie żadnych emocji, żadnych skojarzeń, żadnych wspomnień – skłamałem. – Pytała, co to za zdjęcia. Powiedziałem, że piszę sprawozdanie z kongresu, mówiłem, że otwierał go polski profesor, wymieniłem jego nazwisko. Nic, zupełnie nic. Rozumiesz? Żadnej reakcji. Idąc na to spotkanie, wiedziałem już, że to nie może być on. – Zawiesiłem na chwilę głos. Chyba jednak nie umiem przekonująco kłamać, bo Jelena nie przestawała mi się przyglądać.

– A nawet gdyby to był on, to co właściwie, twoim zdaniem, powinienem był zrobić? Powiedz mi, bo ja nie wiem! – Sam usłyszałem w swoim głosie zaczepkę, mówiłem odrobinę za głośno, za ostro.

Czekałem na odpowiedź, której nie powinienem był się spodziewać. Milczała, nerwowo przestępowała z nogi na nogę, poprawiała okulary, uciekała wzrokiem.

– No powiedz, co należałoby zrobić? – Nadal nie było żadnej odpowiedzi. – Powinienem spytać go, dlaczego jej nie szukał? Dlaczego nie reagował? Dlaczego nie odpowiadał na komunikaty? Dlaczego skazał ją na poniżenie, na łaskę i niełaskę obcych ludzi? – Wiedziałem, że mówię za głośno, z minuty na minutę coraz głośniej, że krzyczę. – A może o nic nie powinienem pytać, może uważasz, że nie wypadałoby? W końcu to naukowiec, bogaty człowiek, szanowany i podziwiany przez innych, cudzoziemiec... Może takich ludzi, twoim zdaniem, o nic się nie pyta. Może ich nie można rozliczać, oceniać, szufladkować. Może tacy, twoim zdaniem, stoją ponad nami, ponad normami zachowań, ponad przeciętnymi ludźmi? Może ich nie obowiązuje normalna ludzka przyzwoitość? Może, twoim zdaniem, nie powinno mnie to w ogóle interesować? Może najłatwiej jest nie stawiać żadnych pytań i nie oczekiwać żadnych odpowiedzi.

Jelena nadal milczała.

– Czemu nic nie mówisz?

Stała ode mnie na wyciągnięcie ręki, jakby przestraszona tym wszystkim, nie przestawała mi się przyglądać.

– Alen... – zaczęła niepewnie.

– A może powinienem tylko powiedzieć, że Katarina żyje i teraz mieszka u nas, na wyspie? – przerwałem jej. – A może powinienem mu ją oddać? Tak po prostu o wszystkim

zapomnieć?

– Alen...

– A może...

– Alen, słuchaj – tym razem nie dała sobie przerwać. – Nie wiem, co należałoby w tej sytuacji zrobić. Myślę, że nikt tego nie wie, ale...

– Więc zostawmy ten temat! – Wpadłem jej w słowo. – Nie ma go. Zupełnie nie ma powodu, by o tym rozmawiać.

– Słuchaj, Alen, jedno mimo wszystko musi być jasne i oczywiste. Katarina nie jest twoją własnością – powiedziała ostro. – Wiedziałeś o tym od początku. Nigdy nie wolno ci o tym zapominać.

Już się prawie odwróciła, by podreptać do kuchni. Zatrzymała się nagle w pół obrotu.

– Ale ty go, Alen, nie znalazłeś?

– Nie, nie znalazłem – wiedziałem, że muszę ją jeszcze upewnić, uspokoić. To wszystko nie pasowało do jej świata, nie przylegało do niego, nie mieściło się w nim. Świat Jeleny był prosty, dwukolorowy, czarno-biały, jednoznacznie dobry albo jednoznacznie zły. To był świat, w którym nie było miejsca na niedopowiedzenia, na żadne półcienie, na żadne odcienie szarości. Nareszcie wyszła, odetchnąłem z ulgą. Zacząłem spokojnie zrywać ze ścian kolejne fotografie.

\* \* \*

Nie wiedziałam zupełnie, kim była ta kobieta. Alen przywiózł ją ze sobą, wracając z pracy. Usiedli na ławach przy stole na ganku. Alen zawołał, bym do nich przyszła. Kobieta rzuciła jakieś imię, którego i tak nie byłam w stanie zrozumieć, a nie miałam odwagi poprosić, by je powtórzyła. Zresztą, jakie to mogło mieć dla mnie znaczenie? Tak naprawdę było mi wszystko jedno. Usiadłam naprzeciw nich. Roześmiani, swobodni, zagadani, wyglądali, jakby znali się już wieki. Jelena też ją znała. Na stole wylądował dzbanek z mlekiem, jakieś kukurydziane słodkie placki, miód. Kobieta nie odrywała ode mnie wzroku. Śledziła każdy mój ruch, każdy grymas na twarzy, każdy gest. Gdy nasze spojrzenia spotykały się przypadkiem, uciekała oczyma w bok, jakby lekko zmieszana, by już po chwili wpatrywać się we mnie z jeszcze większym zainteresowaniem, z jeszcze większą wścibskością. Rozmawiali ze sobą po chorwacku, wybuchając co chwila śmiechem. Nie rozumiałam ani słowa. Poczułam się nagle okropnie. Alen z Jeleną nigdy przy mnie nie rozmawiali w tym języku. Początkowe zmieszanie zaczęło ustępować rozdrażnieniu. Z minuty na minutę narastała frustracja i żal. Przecież ja tu wcale nie chciałam być. Nie chciałam im przeszkadzać. Po co mnie zawołał? Chciał mnie ośmieszyć? Upokorzyć? Chciał, żebym się poczuła jeszcze bardziej obco niż zwykle? Jelena postawiła przede mną talerzyk z ciastem. Nalała kubek zimnego mleka. Uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Nie, dziękuję. – Wiem, że nie było to grzeczne, ale w końcu nie wszystko musi być takie uładzone, tak bardzo nieprawdziwe i udawane, sztuczne. – Jakoś nie mam teraz ochoty.

Wstałam gwałtownie. Trzy pary oczu zwróciły się w moją stronę. Potrącony przypadkiem kubek potoczył się po stole. Rozlane mleko chlusnęło na stół. Struga mleka

wylądowała na spodniach Alena. Odskoczył do tyłu jak oparzony.

– Katarina, co ty... – Alen przyglądał mi się zaskoczony.

– Przepraszam – rzuciłam przez zaciśnięte zęby. Drażnili mnie, nagle wszystko zaczęło mnie drażnić.

– Katarina, coś ty? – Jelena była szczerze zdziwiona. – Co się stało? Coś nie tak?

– Nie, nic, nie chcę nikomu przeszkadzać... Porozmawiajcie sobie... – Nie dokończyłam. Coś nagle zaczęło dusić mnie w gardle. Łzy napłynęły do oczu. Nikt nie może tego zauważyć, pomyślałam, nie oni i nie tu. Obca, zupełnie obca, inna... Odwróciłam się na pięcie, szybkim krokiem ruszyłam w kierunku ogrodu.

– O czym ty mówisz? – usłyszałam za sobą przerażony głos Jeleny. Nie zatrzymałam się, nie odwróciłam. Uciec, pomyślałam, uciec jak najdalej stąd, zostawić gdzieś daleko za swoimi plecami ich śmiech, ich niezrozumiałą, obcą mowę, po prostu ich. Pchnęłam furtkę do ogrodu. Otworzyła się z charakterystycznym skrzypnięciem. Później pobiegłam prosto pomiędzy drzewa, obok rozgrzanych słońcem cyprysów, obok drzewek oliwnych, potem kamiennymi schodami w dół w kierunku zatoki. Byłe dalej i dalej przed siebie. Byłe się tylko nie odwrócić, nie zatrzymać. Łzy toczyły się po policzkach, ale ucisk w klatce piersiowej zmałał. Serce biło jak oszalałe, oddech był coraz szybszy. Uciec, uciec jak najdalej. Obca, niepotrzebna nikomu, bez przeszłości, bez przyszłości, śmiesznie zawieszona w tej niezrozumiałej rzeczywistości. Obca... Obca dla nich, obca dla samej siebie. Od wszystkich i wszystkiego zależna. Byłe dalej i jeszcze dalej, bez celu, przed siebie. Ja już kiedyś tak uciekałam, ogarnęło mnie dziwne uczucie, że już kiedyś tak było. Inne miejsce, inni ludzie, jakiś chłopak wołający za mną moje imię, szybki krok, słone krople toczące się po policzkach, dziwny, niedający się opisać słowami ból. A teraz znów podobnie... Coś mnie gnało, zmuszało do pędzenia w nieznane, przed siebie. Wspięłam się na skały z drugiej strony zatoki. Nigdy tu wcześniej nie byłam – wysokie suche trawy, duże wapienne głazy, pojedyncze drzewka oliwne... Pamiętam zupełnie inne drzewko oliwne. Tamto trzymał w ręku jakiś nieznany mi mężczyzna. Zatrzymałam się. Byłam sama. Nikt za mną nie szedł, nikt mnie nie gonił. Drzewko oliwne... Pamiętam tamten dom. Był cudownie położony, z dala od centrum miasta, z dala od portu. Białe ściany odcinały się wyraźnie od otaczających go skał. Wokół ogród z mnóstwem zieleni i kamienne kręte schody wykute w skale, które prowadziły bezpośrednio na piaszczystą plażę małej zatoczki. Duży taras przepęniał słodki zapach rozgrzanych w gorącym słońcu cyprysów. Tuż obok maleńki oliwny sad, pojedyncze kępy wysokich traw. Z tarasu widać było atramentowy Adriatyk i jakąś wyspę, której nazwy nie pamiętam. Nie byłam w środku tego domu. Tam kręciło się jeszcze mnóstwo robotników. W tym domu miałam zamieszkać. Roman rozmawiał po chorwacku. Wszedł na chwilę do środka. Później tłumaczył coś robotnikom. Stał jakieś dwa metry ode mnie z rozwianymi włosami, opaloną twarzą, w jasnych spodniach, z podwiniętymi rękawami koszuli. Nie wiem, o czym rozmawiał z robotnikami, ale początkowe rozbawienie powoli przeszło w zakłopotanie. Jeden z robotników rzucił po angielsku:

– Panie doktorze, niech pan posadzi to drzewko. To na szczęście... Najpierw piękna kobieta, potem dom, potem drzewo, a potem syn i wtedy jest się dopiero prawdziwym mężczyzną... – Z tarasu widać było wyspę. Ależ to właśnie ta wyspa, gdzie teraz jestem,

przemknęło mi przez myśl. Tu gdzieś niedaleko miał być mój przyszły dom. Serce zaczęło mi bić szybciej. Alen codziennie pływa promem do Splitu. Czyżby ten dom miał być w Splicie? Roman – żadnych emocji, żadnych uczuć, garstka pozbawionych wyrazu wspomnień... To miał być nasz wspólny dom? Niemożliwe, pomyślałam, w to musiał się zakraść jakiś błąd. Alen kiedyś mówił, że kocha się mózgiem, nie sercem, że on to zrozumiał za późno. Czyżby mój mózg wszystko zapomniał? Zerwał się wiatr. Nagle zaczęło się ściemniać. Ostatnie promienie słońca przestały już rzucać cienie. Pomyślałam, że coś za szybko zapadał dzisiaj ten zmrok. Nagle grzmot rozdarł otaczającą mnie ciszę. Jasne światło błyskawicy przecięło granat nieba. Burza, jak ja nie cierpię burzy, przemknęło mi przez myśl. Trzeba wrócić jak najszybciej do tamtego ich domu. Przeraziła mnie zapadająca ciemność. Już nawet najbliższe głązy zlały się z czernią. Ciemność wydawała się namacalna, szczelnie otaczająca, przerażająca i paraliżująca, wszechobecna. Kolejny grzmot i natychmiast kolejny świetlisty zygzak przeciął niebo. Na chwilę w jego świetle pojawiły się targane wiatrem drzewa, wapienne głązy, chłostane podmuchami wiatru wysokie trawy. Skąd ja właściwie przyszedłam? W tej ciemności przestały nagle istnieć strony świata. Z wolna zaczął padać deszcz. Wszystkie inne odgłosy zagłuszył na moment głuchy dźwięk bębniących po wysuszonej ziemi olbrzymich kropli. Zrobiło się chłodno, prawie zimno. Pojedyncze bańki wody zaczęły się powoli zlewać w strumienie ulewnego deszczu, te w ścianę wody, jakby wodospad spadający prosto z nieba. Wszystko wkoło huczało, szumiało, grmiało. Zaczęłam biec, potykając się o wystające kamienie, korzenie, trawy... Byle przed siebie, pomyślałam, byle choć trochę niżej, byle zbiec z tych skał. Błyskawice raz po raz przecinały niebo. Grzmoty zaczęły zlewać się w jeden nadbiegający ze wszystkich stron huk. Tuż za mną rozległ się suchy trzask. Trafione błyskawicą drzewo stanęło w płomieniach. Nagle potknęłam się, źle postawiłam nogę na śliskim kamieniu, za późno wyciągnęłam rękę w obronnym odruchu. Upadłam, poczułam przerażający, ostry ból. To już koniec, przemknęło mi przez myśl, może i lepiej. Jak długo można tak gonić, uciekać, gnać? Jak długo można tak się szarpać, wysilać, męczyć? Nasze życie jest ograniczone, zamknięte w ramy miejsca, czasu, przeznaczenia. Nikt i nic nie jest zawsze i na zawsze... Skąd ja to właściwie znam? Wszystko zmienił przewrotny czas. Wtedy też była burza, namioty rozbite na wysokim klifie, wiatr szarpiący tropik, błyskawice rozdzierające ciemność, groźne cienie biegające po płótnie namiotu, wzrok Michała wędrujący po mojej twarzy, po włosach, po odsłoniętych ramionach, migotliwe światło świecy oświetlające jego twarz... Nagle zdmuchnął świeczkę. Zapanowała ciemność. Na zewnątrz szalała burza. Odgłosom grzmotów wtórował szum deszczu, ryk fal uderzających z wściekłością o wysoki brzeg. Przy nim czułam się bezpiecznie. On był gwarancją, że musi być dobrze, że nic się nie zmienia, że wszystko, co dobre, będzie trwać wiecznie... Michał, zawsze i na zawsze... Wszystko minęło, przepadło, wszystko zabrał ten przeklęty czas.

\* \* \*

Poruszyła się. Bardziej to usłyszałem, niż zauważyłem. Nie odwróciłem się nawet w jej stronę. Za dużo było jeszcze we mnie tych idiotycznych emocji. Ciągłe nie mogłem się

uspokoić, wyciszyć. Królował we mnie jeszcze tamten strach. Bałem się, że jej nie znajdę, że za późno zacząłem jej szukać, za późno zacząłem za nią biec. To wracało jak bumerang, obrazy przesuwały się jak kadry filmu. Katarina wstała gwałtownie od stołu, potrącony kubek przewrócił się, mleko chlusnęło mi na spodnie, odskoczyłem do tyłu.

– Katarina, co ty?

– Przepraszam – ton jej głosu wcale nie był przepraszający.

Jej wzrok omiótł moją twarz. Odwróciła się do mnie tyłem, ruszyła w kierunku ogrodu. Jelena zawołała coś za nią. Nie odwróciła się. Przyspieszyła kroku. Nagle ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że ona ucieka od nas, od tej sytuacji, ode mnie. Trzasnęła sucho furka. W ogrodzie zaczęła biec.

– Alen, na co czekasz, do diabła? – Jelena była przerażona.

– Zaraz wróci... – rzuciłem niepewnie. – Przecież nic takiego się nie stało. Jakieś idiotyczne nieporozumienie. Jest przewrażliwiona. Przejdzie jej... – brnąłem w te bzdury coraz bardziej, sam nie wierząc w to, co mówię.

Jelena przyglądała mi się uważnie.

– Ty już nigdy nie będziesz sobą? – spytała zaczepnie. – Brak ci odwagi? – cedziła każde słowo. – Już zawsze będziesz wobec wszystkich i wobec siebie tylko grał?

Nie czekałem dłużej. Ruszyłem. Z początku jeszcze ją z daleka widziałem. Po chwili jej postać zniknęła między skałami. Pomyślałem, że biegnie do tej swojej zatoki. Ostatnio uwielbiała tam spędzać czas. Nagle pociemniało. Zerwał się porywisty wiatr. Niebo zaczęły rozświetlać błyskawice. Musiała gdzieś tu być. Znalazłem ją po dłuższej chwili leżącą między skałami, niedaleko od mojej jaskini. Kiedy pochyliłem się nad nią, usłyszałem to dziwne pytanie, do mnie, a może do kogoś zupełnie innego: „Dlaczego tak późno? Myślałam, że już nigdy po mnie nie przyjdiesz”. Poczułem strach, że znowu wszystko straciłem. Tę jaskinię znałem bardzo dobrze. Kiedyś była moim drugim domem. Wciągnąłem tam Katarinę i teraz kolejny już raz próbowałem rozpalić ognisko. Zamoczone zapałki, rozłazące się w rękę pudełko, potem uderzane o siebie krzemienie... Kiedyś w Kosowie mały albański chłopiec uczył mnie rozpalać ognisko krzemieniem. Zniknął gdzieś następnego dnia, nigdy go już więcej nie spotkałem. Raz, drugi, trzeci... Pojedyncze iskry próbowały dotknąć pozbieranych w jaskini patyków, wysuszonego słońcem mchu. Powoli zaczęło się tlić. Jeszcze jedna garść suchego mchu, jeszcze parę wysuszonych ostrym słońcem traw, jeszcze kilka drobnych, suchych patyków. Mech rozpałił się już na dobre. Pierwsze prawdziwe płomienie zaczęły lizać małe gałązki. Po chwili zrobiło się jaśniej, cieplej... Rozejrzałem się po dobrze znanym wnętrzu jaskini. Może nawet zbyt dobrze znanym. Kiedyś bywałem tu często. Jaskinia pozwalała izolować się od innych, pić w samotności, dawała czas na wytrzeźwienie, tłumiała przekleństwa, bluźnierstwa, rozpacz i żal. Była niemym świadkiem mojego upadku, mojej drogi donikąd, do dna. Po powrocie z Kosowa nigdy tu już więcej nie byłem. Żadna jaskinia nie jest w stanie pomieścić ujrzanego tam zła. Ogień rozpałił się już na dobre.

– Rozbierz się! – Nie odwróciłem się nawet w jej stronę. – Przykryj się kocem. Wysuszę twoje ubrania.

Nie drgnęła. Ciszy nie przerwał żaden najcichszy dźwięk.

– W porządku – spróbowałem jeszcze raz. – Nie ufasz mi. Wyjdę przed jaskinię.



Rozbierz się.

Nadal żadnej reakcji.

– Katarina! Słyszysz...

Powoli odwróciłem się w jej stronę. Siedziała na zmontowanej przeze mnie w dawnych czasach pryczy. Była blada, zlana potem, przerażona. Widziałem tylko te mokre włosy opadające na ramiona, szeroko otwarte oczy, strużki płynących po policzkach łez...

– Katarina, co się dzieje?

Żadnej odpowiedzi. Wstałem i stanąłem tuż obok niej. Odruchowo się cofnęła. Plecami przywarła do ściany. Rękoma zakryła twarz. Usiadłem przy niej. Nie miała się już gdzie cofnąć, dokąd uciec.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem spokojnie. – Kiedy wreszcie przestaniesz się mnie bać?

Przysunąłem się do niej jeszcze bliżej. Podniosłem jej głowę, odgarnąłem włosy. Zmusiłem, by choć przez chwilę spojrzała na mnie.

– Nie rób tego nigdy więcej. Proszę... – starałem się mówić łagodnie. – Rozmawiaj ze mną. Mów! Pytaj! Wymagaj odpowiedzi! Nazywaj swoje wątpliwości! – mówiłem spokojnie, choć gdzieś tam w głębi z minuty na minutę narastało we mnie napięcie. Serce biło coraz szybciej – jej załamane, wielkie orzechowe oczy, toczące się po policzkach łzy, mokre włosy opadające na ramiona, mokra bluzka opinająca jej ciało... Boże, przestaję się kontrolować, przemknęło mi przez myśl. Profesjonalizm, dystans, żadnej prywatności... Bzdura, ja już od dawna się nie kontroluję... Ja nie chcę się już kontrolować... Pamiętam tamtą noc w jej pokoju. Pokazałem jej te zdjęcia. Oglądała je na początku z nadzieją, później z narastającym zdziwieniem, rozczarowaniem, rozpaczą... Pamiętam głowę przykrytą poduszką i głośny szloch. Nagle chciałem ją przytulić, wziąć w ramiona, powiedzieć jej, że to przecież nie ma już żadnego znaczenia, że liczy się tylko to, co tu i teraz, że nikt z nas nie potrzebuje tej jej przeszłości, tak jak ja już dawno nie potrzebuję swojej.

– Popatrz, jak niewiele trzeba – próbowałem mówić dalej. – Nagła burza, silny wiatr, chłód i ciemność. Przestraszyłaś się, zaczęłaś biec, straciłaś orientację, przewróciłaś się, upadłaś na kamienie, skaleczyłaś rękę... Nawet nie chcę myśleć, co powie o tym Peterson...

Słuchała, nie przerywała, nie uciekała wzrokiem. Nie kulila się już w sobie. Nie wciskała się już plecami w ścianę.

– Kiedy choć trochę mi zaufasz? Czy kiedyś cię zawiodłem? Nie zasługuję nawet na cień twojego zaufania? Ta kobieta w domu to była siostrzenica Jeleny. Jest krawcową, chcieliśmy ci tylko zrobić niespodziankę... Pamiętam cię tam w porcie, a później na promie, pamiętam, kiedy znalazłaś w szafie tę swoją sukienkę... Nie możesz ciągle biegać w spodniach. Potrzebujesz sukienek... Marika nie mówi po angielsku...

Nie odsunęła się ode mnie, nie opuściła głowy, nie odwróciła się, kiedy odgarniałem opadające jej na twarz włosy, wycierałem mokre ślady łez.

– Przepraszam... – usłyszałem cichy szept.

Znowu męczyły mnie jakieś koszmary. Te sny były jak przekleństwo. Ktoś coś krzyczał, ktoś biegł za mną, ktoś mnie gonił... Obudziłam się zrana potem. Musiało być już koło południa, bo drzewa w ogrodzie nie rzucały cieni, a wszystko wydawało się wręcz zastygłe w rozgrzanym południowym słońcem powietrzu. Nie dochodziły żadne dźwięki typowe dla poranka. Nie słyszałam Jeleny krzątającej się po kuchni. Przez szeroko otwarte okno nie było słyhać żadnych odgłosów z podwórka. Niecodzienna cisza aż dzwoniła w uszach. Jelenę zastałam w kuchni. Siedziała przy stole. Nawet nie drgnęła, słysząc moje kroki. Nie odwróciła głowy w moją stronę. Nie przywitała mnie jak zawsze. Była blada, z delikatną szarą obwódką wokół ust, wydawała się z trudem oddychać.

– Coś nie tak? – stanęłam tuż przy niej.

– Przejdzie – mówiła z trudem, urywanym głosem. – Nie martw się. U starych ludzi tak czasem bywa. Schyliłam się, żeby powycierać podłogę, i nagle zrobiło mi się jakoś tak duszno... Posiedzę i przejdzie.

– Gdzie Alen?

– Pewnie już w porcie. Musiał dzisiaj oddać nowy artykuł do redakcji. Prom miał około jedenastej... – mówiła z coraz większym trudem, dziwnie łapiąc powietrze. Szarawa obwódka wokół ust zaczęła ustępować miejsca zasinieniu.

– Wziął komórkę?

Nie czekając na odpowiedź, wykręciłam znajomy numer.

– Alen, wezwij natychmiast pogotowie. Coś się dzieje z Jeleną. Ma duszność. Oddycha z trudem... – Nie dokończyłam. Za moimi plecami usłyszałam głuchy odgłos osuwającego się na ziemię ciała.

– Katarina! Katarina, powtórz... – Alen przekrzykiwał jakiś hałas.

– Jelena straciła przytomność! Wezwij karetkę!

Nie było czasu, żeby się upewnić, czy zrozumiał. Słuchawka wypadła mi z rąk. Tylko spokojnie, pomyślałam, tylko bez paniki. Najpierw należy sprawdzić tętno na tętnicy szyjnej wspólnej... Brak tętna, brak oddechu, zwiotczenie mięśni, a więc nagłe zatrzymanie krążenia. Tylko spokojnie, krok po kroku. Najpierw trzeba sprawdzić drożność dróg oddechowych. Teraz należy położyć Jelenę na plecach na podłodze, lekko odgiąć jej głowę ku tyłowi, ręką podciągnąć żuchwę, drugą ręką zacisnąć jej nozdrza, wdech i spokojny wydech do ust Jeleny. Rzut oka w bok, wszystko w porządku, drogi oddechowe drożne, klatka piersiowa staruszki unosi się w górę, żeby po chwili opaść w automatycznym wydechu. Jeszcze raz głęboki wdech i spokojny kontrolowany wydech. Teraz trzeba ręce ułożyć jedną na drugiej na wysokości jednej trzeciej dolnej części mostka Jeleny, wyprostować łokcie, rytmicznie uciskać na mostek. Wychylenia mostka do czterech centymetrów, siła nacisku do około dwudziestu kilogramów... Nie wiadomo, skąd nagle to wiedziałam, nie wiadomo, skąd pojawiło się to w mojej świadomości. Tylko spokojnie, przemknęło mi przez myśl, przecież ja to umiem, przecież znam to bardzo dobrze, dam radę. Dziesięć ucisków, dwa wdechy, dziesięć ucisków, dwa wdechy... Teraz tylko uspokoić własny oddech, zwalczyć drżenie mięśni, odgonić strach. Jest nieźle, pomyślałam, sina obwódka wokół ust staruszki ustąpiła miejsca szarości. Dziesięć ucisków, dwa wdechy, znowu dziesięć ucisków... Krople potu ściekały mi po twarzy, koszulka na plecach stała się wilgotna, narastało drżenie wszystkich mięśni, oddech stawał

się coraz krótszy, coraz bardziej brakowało mi sił... Gdzieś w oddali usłyszałam sygnał karetki. Dźwięk zbliżał się, narastał, wibrował, drżał. Nareszcie... Ktoś wbiegł do domu, czyjeś silne ręce zastąpiły moje dłonie, rurka intubacyjna i worek ambu pojawiły się, by zastąpić moje płuca. Sprawnie założono wkłucie, podano pierwsze leki. Ktoś pomógł mi wstać z podłogi, ktoś posadził mnie na krześle, ktoś inny wcisnął mi w rękę szklanekę z jakimś przeraźliwie słodkim płynem. Nareszcie nie byłam już sama, byli inni. Podłączono szybko EKG. Na monitorze ukazał się zapis typowy dla migotania komór. Szybka decyzja o defibrylacji, chwila wyczekiwania w napięciu i sukces. Regularne zespoły komorowe, rytm zatokowy miarowy... Rzuciłam okiem na monitor. Coś nie gra, przemknęło mi przez myśl, coś nie pasuje. Przyjrzałam się dokładniej.

– Czy może nam pani opowiedzieć, co się stało? – to było do mnie. Mówiący te słowa mężczyzna musiał chyba być lekarzem.

– Zastałam ją siedzącą w kuchni – zaczęłam niepewnie, nie do końca przekonana, czy mogę mówić po angielsku. – Kiepsko rozumiem po chorwacku. Nie mówię w tym języku – wtrąciłam, jakby na usprawiedliwienie.

Lekarz skinął z aprobatą głową. Poczułam się pewniej. Teraz mogłam już spokojnie opowiadać.

– Zastałam ją w kuchni. Była blada, złana potem, oddychała płytko i szybko, miała bladoszare zabarwienie skóry wokół ust. Powiedziała, że duszność pojawiła się nagle, gdy schyliła się, żeby wytrzeć podłogę. Parę minut później, gdy dzwoniłam, żeby wezwać pomoc, osunęła się nieprzytomna na ziemię. Nie oddychała, nie było tętna na tętnicy szyjnej wspólnej. Przystąpiłam do reanimacji...

Spojrzałam jeszcze raz w stronę monitora. Coś mnie męczyło, coś nie dawało spokoju, wracało jak bumerang. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne.

– Chyba wiem, co się stało.

Oczy wszystkich skierowały się na mnie.

– Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że boli ją noga. Prawe podudzie było spuchnięte i zaczerwienione, pojawił się silny ból. Mówiła, że zrobi zimne okłady i ułoży nogę wyżej, że kiedyś już tak było, że to pomogło. Chciałam zobaczyć tę nogę, ale odmówiła. Mówiła, że to drobiazg, że zupełnie nie warto się tym przejmować. Obiecała, że jeśli nie przejdzie, to pójdzie dzisiaj do lekarza. Myślę, że to embolia płucna... – sama zdziwiłam się, że to mówię. To było jak odruch. – Prawdopodobnie przyczyną bólu podudzia jest zakrzepowe zapalenie żył głębokich. Nagła duszność, tachypnoe, sinica obwodowa są już tylko wynikiem embolii.

Lekarz przyglądał mi się z narastającym zdumieniem.

– Skąd pani to wszystko wie?

Skąd? Nie wiem, pomyślałam, zupełnie nie wiem. Jestem tylko pewna, że tak jest. To dla mnie jest tak logiczne i oczywiste, jak coś, co jest prawdą z definicji, wiadome od zawsze.

– Embolia płucna – nie dałam sobie przerwać, nie dałam się zbić z tropu. – Jestem tego pewna. Przed dwoma tygodniami robiła badania przed wyjazdem do sanatorium. Widziałam je później, długo leżały w kuchni na stole. Było tam też EKG. Jestem pewna, że widziałam w nim lewogram. Nie dziwiło mnie to wtedy, bo Jelena zażywa leki na

nadciśnienie. W pewnym sensie lewogram jest typowy dla nadciśnienia. Ten stary zapis pracy serca jest nadal w domu. Można sprawdzić. W tym EKG zrobionym przed chwilą jest wyraźny dekstrogram. Mogą o tym świadczyć dodatkowo spiczaste załamki P, wysoki załamek R w odprowadzeniu V1 i cechy bloku prawej odnogi pęczka Hisa. – Nie wiem, skąd to wiedziałam, ale wiedziałam to na pewno. Było to tak oczywiste i znajome, jak coś, co należało do codzienności. – To musi być embolia płucna. Nie może być inaczej.

– Pani jest lekarzem – doktor przyglądał mi się z narastającą sympatią. – Przemknęło mi to przez myśl od razu, gdy zobaczyłem tę akcję reanimacyjną.

– Pewnie tak – odpowiedziałam prawie automatycznie. – Ja podałam natychmiast heparynę.

Wstałam, ruszyłam pośpiesznie w kierunku wyjścia. Jelenie nie byłam już potrzebna. Trzeba zniknąć, trzeba uciec, pomyślałam. Żadnych prywatnych pytań, na które nie potrafię jeszcze odpowiedzieć, żadnych wycieczek w rewiry, które nadal są mi nieznane.

– Proszę podać heparynę... – usłyszałam za swoimi plecami głos lekarza. – Miło było panią poznać, pani doktor...

– Mnie też – odwróciłam na chwilę twarz w jego stronę. – Miło było, mimo tych okoliczności.

Dopiero teraz zobaczyłam stojącego w drzwiach Alena. Błady, zdenerwowany, opierał się ręką o framugę drzwi. Nie odrywał ode mnie wzroku. Musiał się bardzo przestraszyć, musiał przybiec z portu, przemknęło mi przez myśl.

– Katarina... – chciał mnie zatrzymać. Przez chwilę miałam wrażenie, że próbuje ręką zagrozić mi wyjście. Minęłam go bez słowa. Nie, byle nie musieć rozmawiać, na pewno nie teraz. Skrzętnie zamknięte drzwi do pokoju oddzieliły mnie od krzątających się ludzi, wynoszonej na noszach Jeleny, odjeżdżającej karetki. Sygnał karetki oddalał się, cichł. Zapanowała cisza. A więc jestem lekarzem... Setki diagnoz, tysiące objawów, dziesiątki leków... Nagle cały mózg wydał się przepełniony czymś, co wyszło z nicości, wypełzło na światło dzienne, wcześniej gdzieś głęboko ukryte w podświadomości nagle znalazło się, doszło do głosu, zdominowało wszystko. Stres wyzwolił jakiś pojedynczy impuls, który przebiegając przypadkowo po dawnych synaptycznych połączeniach, spowodował lawinową reakcję. Pamiętam...

– Katarina! – usłyszałam ciche pukanie do drzwi. – Katarina, czy mogę wejść?

– Nie, Alen, nie teraz. Chcę być sama.

Nie odszedł. Nie słyszałam charakterystycznego stukania butów po kamiennej posadzce korytarza. Stał tam nadal. Czekał. Pukanie powtórzyło się. Nie nacisnął klamki. Nie wszedł, jak miał to w zwyczaju, proszony czy też nieproszony.

– Nie chcę ci przeszkadzać – usłyszałam przez zamknięte drzwi. – Chciałem ci tylko podziękować.

\* \* \*

Wczoraj wieczorem położyłam się wcześniej, ale bałam się zasnąć. Coraz częściej męczyły mnie te koszarne sny. Ktoś mnie wołał, ktoś za mną biegł, nieznane miejsca, obcy ludzie, zapomniane, a może wymyślone wydarzenia... Wstawałam już kolejny raz. Raz po

raz zapalałam i gasiłam światło. W końcu wyszłam do kuchni. Jelena nadal się krzątała. Po powrocie ze szpitala pracowała jeszcze więcej niż kiedyś. Śmiała się, że była jej ta przygoda bardzo potrzebna, że w szpitalu dopiero zrozumiała, jak wiele może stracić. Na stole stały równo poukładane słoiki, piętrzyły się stosy nakrętek. Po kuchni rozchodził się zapach brzoskwiniowych konfitur.

– Coś nie tak? – podniosła wzrok znad rozgrzanego rondla.

– Jakoś nie mogę spać...

Jelena spojrzała na mnie uważnie.

– Spróbuj! Powinnaś! Wiesz, co mówi doktor Peterson... – próbowała tłumaczyć.

– Wiem – przerwałam jej – sen jest najlepszym lekarstwem... Nie mogę zasnąć – skłamałam. – Boję się zasnąć. Boję się spać – poprawiłam się szybko. – Jestem już tak zmęczona tym czuwaniem, że mogłabym zasnąć w każdej pozycji. Siadam na chwilę na łóżku, a gdy tylko czuję, że zasypiam, zrywam się znowu. Chodzę, podskakuję, otwieram okno, spryskuję twarz zimną wodą... Byle tylko na chwilę odgonić senność. Boję się spać – mówiłam cicho, sama lękając się własnych słów. – W nocy jest najgorzej. Ciągłe wracają te same koszmary, których sensu nie jestem w stanie zrozumieć. To boli, przeraża. Nie chcę tego przeżywać w kółko od początku. Nie mam siły przeżywać tego kolejny raz...

Jelena nie mieszała już konfitur. Zestawiła garnek z pieca. Przejechała ręką po moich włosach. Usiadła naprzeciw mnie.

– Wczoraj też nie spałaś w nocy. Słyszałam, jak chodzisz po pokoju – mówiła ciepło. – Słyszałam, jak stukwały okiennice, jak wciąż otwierałaś i zamykałaś okno. Siedziałam w kuchni. Widziałam światło sączące się spod twoich drzwi. Czekałam, aż wyjdiesz... Czekałam, aż coś powiesz. Może jednak można ci jakoś pomóc...

– Wątpię. To wraca i wraca. W kółko te same koszarne obrazy...

– To minie. Zobaczysz! – mówiła z przekonaniem. – Kiedyś wszystko odnajdzie swoje miejsce i swój czas. Wszystko ułoży się w jakąś całość. Stanie się znowu jasne i zrozumiałe. Coś będzie wynikać z czegoś. Może te koszmary to nie wspomnienia. Może to tylko twoje lęki sprzed lat... – próbowała się uśmiechnąć.

– Jeden koszmar wraca najczęściej, prześladowuje mnie prawie każdej nocy... Budzę się przerażona, zlane potem. Mam wrażenie, że krzyczę przez sen. W pokoju jest cicho, pusto. Jestem sama ze swoim strachem, przerażeniem, rozpaczą – nie wiem, dlaczego mówiłam jej to wszystko. Może po prostu dlatego, że mnie słuchała.

– Wcale nie musisz być sama. – Uśmiechnęła się lekko. – Wystarczy, że powiesz. Pomożemy ci, Alen i ja. My nie chcemy ci się narzucać, przeszkadzać – mówiła przeproszająco. – Ale jeżeli chcesz...

– Katarina, ty jeszcze nie śpisz? – karcący głos Alena rozległ się tuż za moimi plecami.

Nie słyszałam, kiedy wszedł do kuchni. Nie zauważyłam, kiedy stanął tuż za mną.

– Jakoś boję się zasnąć...

– Bzdura! Znowu rozczulasz się nad sobą – burknął. Ciepły nastrój rozmowy z Jeleną nagle zniknął. Powiało obojętnością i chłodem. – Idź i połóż się. Mam jeszcze dużo pracy. Usiądę przy stoliku u ciebie w pokoju. Oczywiście, jeżeli tego chcesz – dorzucił pospiesznie, jakby niedbale. – Wcale nie musisz być sama.

Usiadł do mnie tyłem. Wsunęłam się pod przykrycie. Nawet haftowana lniana płachta

zamiast kołdry wydała mi się nagle mniej obca. Przykryłam się prawie pod brodę. Zrobiło się jeszcze cieplej, jeszcze sennie. Przez przymrużone powieki widziałam, jak pochyła się nad stołem, jak pisze. Zasnęłam. Obudził mnie mój własny szloch. Alen siedział obok mnie na łóżku. Potrząsał mnie za ramiona.

– Katarina, obudź się! Obudź się wreszcie!

Rzeczywistość mieszała się ze snem. Twarz Alena, twarz tamtego starszego lekarza. Stał nade mną, opierając się ręką o poręcz łóżka, mówił te słowa, które z trudem przebijały się do mojej świadomości.

– Mieliście państwo wypadek. Z bocznej drogi wyjechał niespodziewanie samochód. Młody chłopak chciał wymusić pierwszeństwo. Jechał bardzo szybko. Nie zdążył wyhamować. Uderzył w bok państwa samochodu. Wpadliście w poślizg. Nie udało się wyprowadzić samochodu z poślizgu. Uderzyliście państwo w drzewo... – relacjonował dokładnie, jakby to było najważniejsze. – Była pani nieprzytomna przez parę godzin. Nic już pani nie grozi... Ma pani złamany obojczyk, uraz kolana...

– A oni? Co z nimi? – spytałam pospiesznie.

Odwrocił wzrok. Spuścił głowę. Milczał. Może i on, mimo starszego już wieku, nie przywykł jeszcze do takich rozmów.

– Co z nimi? – Żadnej odpowiedzi. Nie podniósł głowy, nie spojrzał na mnie.

– Nie! Tylko nie to! – usłyszałam swój własny krzyk.

– Katarina! Katarina, obudź się! Otwórz oczy! Nie krzycz! – głos Alena przebijał się powoli do mojej świadomości. Mieszał się z tym, co było kiedyś, tworzył pomost pomiędzy teraźniejszością a przeszłością.

– Katarina, nie wrywaj się! Nie szarp się ze mną! Nie płacz! – Czułam wyraźnie uścisk jego ramion. – To był tylko sen! Otwórz oczy! Wszystko minie...

Nie, nie minie. To prawda, przemknęło mi przez myśl. Ja już to przecież pamiętam. Ścisk w gardle, żal, ból, rozpacz...

– Katarina! Już wszystko dobrze...

Uścisk zelżał. Przez moment przytulił mnie do siebie. Jakby odruchowo, pogładził moje włosy, wytarł policzki.

– To był tylko sen – powtórzył spokojnie. – Nie płacz.

Nie odsunął się i nie odszedł. Dalej obejmował mnie ramieniem. Czekał.

– To nie sen – zaczęłam mówić cicho. – Ja to już pamiętam. Ja nie mam prawdziwego domu. Moi najbliżsi nie żyją. Nie wiem, kiedy to było. Minęło już chyba parę lat. Pamiętam tamten wypadek. Był jesienny wieczór. Wracaliśmy do domu od babci Wandy. Pamiętam nagle w pół słowa przerwana rozmowę, pisk opon, małą dłoń Tomka w mojej dłoni, jego przeraźliwy krzyk, głuchy huk... Tylu rzeczy nie zdążyłam im powiedzieć. Tylu rzeczy nie powiem im już nigdy. Pamiętam mały wiejski cmentarz, dziesiątki obcych mi ludzi, którzy próbowali zrozumieć mój ból. Pustka, której nie da się pojąć, nie da się opisać słowami. Nagle po prostu nic i z tym „nic” trzeba dalej żyć. Nic i nikt... Runął nagle cały mój świat. Na początku było trochę tak, jak podczas wyjazdu na studia. Wtedy też było mi ich zawsze brak, ale przychodziły ferie i jechałam do domu. Mijały jednak kolejne akademickie semestry, a oni nie wracali. Z czasem tęskniłam za nimi coraz bardziej i bardziej. Pamiętam tamten grób. Pustka, nic, co mogłoby ich zastąpić. Wszyscy odeszli.

Zostałam tylko ja. Bez sensu, popatrz, żyję dalej. Bóg musi mnie chyba nienawidzić. Skończył się cały mój świat, a ja niepotrzebna nikomu nadal trwam.

\* \* \*

Stałem już dobrą chwilę w kuchni. Przysłuchiwałem się ich rozmowie. Widziałem spuszczoną głowę Katariny, słyszałem spokojny, ciepły głos Jeleny. Ja też wiedziałem, że nie spała. Byłem wczoraj w ogrodzie, kiedy raz po raz otwierała i zamykała okno, chodziła po pokoju, siadała na chwilę, żeby natychmiast wstać... Szarpała się tam i z powrotem, jak trzepoczący się w za małej klatce ptak. Obserwowałem ją przez cały czas. Siedziałem na kamieniu z pięć metrów od jej okna. Nie zapaliłem nawet papierosa, nie chciałem, by zdradził mnie jego żar. Widziałem, jak przysnęła na chwilę w fotelu, aby zerwać się z niego z głośnym szlochem po paru minutach. Siedziałem, powtarzając sobie w myślach bez końca: profesjonalizm, dystans, obojętność, żadnych uczuć i żadnych emocji. Idiotyczne słowa, które już dawno nie miały żadnego sensu. Teraz stałem niezauważony przez nią, słuchając jej zwierzeń. Jelena raz po raz spoglądała na mnie ukradkiem. Przynagliła mnie wzrokiem.

– Katarina, ty jeszcze nie śpisz? – sam zdziwiłem się ostrością mojego głosu.

– Jakoś boję się zasnąć...

– Bzdura! Rozczulasz się tylko znowu nad sobą... Idź i połóż się. Mam jeszcze dużo pracy. Usiądę przy stoliku u ciebie w pokoju.

Usiadłem tyłem do jej łóżka. Światło lampki skierowałem na kartkę. Słyszałem, jak się położyła, jak układała się do snu, jak szepnęła cicho: „dobranoc”.

– Dobranoc. Śpij już! – szepnąłem niecierpliwie.

Zasnęła. Słyszałem jej spokojny oddech. Nie mogłem nic pisać. Już od dawna pisało mi się o tym coraz ciężiej, coraz niechętniej, coraz mniej szczerze. Jutro miałem oddać kolejny artykuł. Peterson jest dobrym lekarzem, a przy tym może jeszcze lepszym psychologiem. Odradzał mi to od początku.

– To dziwny pomysł, niebezpieczny – mówił. – Ja wiem, że chodzi o środki, że wszystko kosztuje tak wiele, że na wszystko potrzeba pieniędzy. Ja wiem, że jest pan świetnym dziennikarzem, ale ten przypadek to zupełnie co innego. Pisał pan o różnych rzeczach, opisywał różne problemy, walczył z różnymi nieprawidłowościami. Powstawał artykuł, ludzie czytali go, a pana życie biegło dalej, pana uwaga koncentrowała się już na czymś nowym, na nowych problemach, na innych wydarzeniach i na innych ludziach. Mógł pan zawsze zachować dystans, obiektywizm, samego siebie. Tu nagle artykuły staną się fragmentem pana życia. Nie ucieknie pan przed nimi, nie uwolni się od nich. Nie da się zgrabnie przeskoczyć na inny temat. Zatraci pan swoją prywatność. W pewnym momencie przekroczy pan cienką granicę i poczuje się nagle zagrożony. Nikt nie lubi obnażać się przed światem.

Wtedy go nie rozumiałem, a może nawet nie próbowałem zrozumieć. Teraz było już za późno.

– Pisziesz ostatnio coraz krócej – wściekał się przed tygodniem Davor. – Czytelnicy czekają na to cały tydzień. Ludzie żyją od odcinka do odcinka, od czwartku do czwartku.

Ludzie uwielbiają to...

– Jak wszystko... – odburknąłem.

– Postaraj się! W następnym tygodniu musisz ich znowu rzucić na kolana. Mają płakać, przeżywać, radować się, współczuć... To musi być cała burza uczuć, emocji... Zawsze potrafiłeś manipulować słowami, bawić się ludźmi...

– Spadaj! – rzuciłem wściekły.

Minął tydzień, a ja przed godziną podarłem napisany wczoraj artykuł. Teraz długopis przesuwiał się po papierze, kreśląc idiotyczne, nic nieznaczące linie. To wszystko jest coraz bardziej pozbawione jakiegokolwiek sensu. Nagle usłyszałem głośny, pełen rozpaczny krzyk, później rozdzierający ciszę szloch. Nie mogłem jej dobudzić. Potrząsana za ramiona powtarzała w kółko te same słowa.

– Nie! To niemożliwe! To się nie mogło stać!...

– Katarina, nie wrywaj się! Nie szarp się ze mną! Nie płacz! – Moje ramiona obejmowały ją mocno. – To był tylko sen! Otwórz oczy! Wszystko minie...

– Nagle nic i z tym „nic” trzeba dalej żyć! Nie chcę! – krzyczała w półśnie.

– To tylko sen... – przytuliłem ją mocno.

– To nie sen. Ja to pamiętam... – Nie odsunęła się, nie wyrwała, nie odwróciła do mnie plecami, nie odepchnęła mnie. Wydawało mi się nawet przez chwilę, że przytuliła się do mnie jeszcze mocniej. Mówiła i mówiła, a ja milcząc, słuchałem. Bałem się poruszyć, drgnąć, głębiej odetchnąć. Bałem się, że najmniejszy ruch może ją przestraszyć, spłoszyć, że znowu się odsunie i ucieknie, że zamknie się w sobie i nie pozwoli sobie pomóc. Słuchałem.

– Pamiętam mały wiejski cmentarz, położony na nadmorskich wydmach, mały drewniany kościółek, dziesiątki obcych mi ludzi, którzy próbowali zrozumieć mój ból. Pustka, której nie da się pojąć, nie da się opisać słowami. Nagle po prostu nic i z tym „nic” trzeba nadal żyć. Nic i nikt... Runął nagle cały mój świat. Pamiętam tamten grób. Do zakładu kamieniarskiego poszłam z babcią Wandą. Wszystko było jakieś nie takie – anioły, które zawiodły, krzyże, które, zamiast tłumaczyć, potęgowały żal, jakieś koszmarnie „świętej pamięci”, jakby pamięć mogła być święta... Z minuty na minutę narastały we mnie bunt i żal. Za co Bóg mnie tak nienawidzi, pomyślałam. Kamieniarz przyglądał mi się wnikliwie.

– Nic się pani nie podoba? – spytał spokojnie.

– Ja chcę dla nich coś zupełnie innego.

– A co?

Podsunął mi kawałek papieru, podał ołówek.

– Ja chcę grubo ciosaną, surową bryłę granitu. Nasze życie było takie proste, oczywiste, pewne jak kamień. Na płycie mają być tylko ich imiona, daty narodzin i jedna wspólna data śmierci. Nie chcę żadnego krzyża, żadnych złociń, żadnego „świętej pamięci”, żadnej gałązki oliwnej symbolizującej pokój... Na granicy ma przycupnąć kamienny motyl z rozpostartymi szeroko skrzydłami. Motyl ma się szamotać, próbować się uwolnić, wyrwać od doczesności, chcieć odlecieć, poszybować gdzieś w górę, pokonać czas. Przykuty do skały motyl, który nagle utracił wszystko... Motyle żyją krótko. Kiedyś i ten motyl poszybuję do swoich, kiedyś wreszcie skończy się i jego przekłety czas. Na dole



tablicy chciałabym, żeby był napis, tylko parę słów wykutych w surowym kamieniu: „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”.

Katarina opowiadała, rysując. Na pełnej moich gryzmołów kartce pojawił się szkic. Nie mogłem oderwać wzroku od tej kartki. „A jednak wierzę, że są gdzieś wyspy szczęśliwe”... Nagle przemknęło mi przez myśl, że może i ja wierzę w to znowu.

– Boże, Katarina...

– Nazywam się Katarzyna...

Przekłeta pamięć, pomyślałem, przekłety miniony czas.

– Już dobrze... Wszystko musi być dobrze.

– Nic nie może być dobrze – odsunęła się lekko ode mnie. – Wszyscy odeszli. Zostałam tylko ja. Tyle nieszczęść, a ja na przekór wszystkiemu, niepotrzebna nikomu, nadal trwam.

\* \* \*

– Nie napisałem! – oznajmiłem zaraz od progu.

– Co ty pieprzysz? – Davor zdawał się nie rozumieć.

– Nie napisałem! – powtórzyłem spokojnie.

– Bzdura! Czekamy z zamknięciem jutrzejszego numeru już tylko na ciebie.

– Nie mam nic!

– Jak to, nie masz nic? – wydawało się, że nadal nie rozumie.

– Nic! Przeliterować ci? N-i-c! Teraz już rozumiesz?

Oczy Davora zwęziły się niebezpiecznie.

– Nie żartuj tak głupio – spróbował jeszcze raz.

– Nie żartuję!

Patrzył na mnie z narastającym zdziwieniem.

– Jesteś bezczelny! Kompletnie bezczelny! – wysyczał.

Milczałem.

– Nie wydarzyło się nic czy wydarzyło się aż tak wiele? – spojrzał na mnie spode łba.

– To nie ma żadnego znaczenia.

Nagle przestał wrzeszczeć, przestał przeklinać. Zamyślił się. Palcami zaczął monotonicznie bębnić po biurku. Dotychczas tylko raz nawaliłem z terminem. Było to w Kosowie. Po rzezi w tamtym kościele nie byłem w stanie nic robić. Nie byłem w stanie pisać, z nikim rozmawiać, żyć. Przesłałem mu wtedy tylko jedno zdjęcie. Nie ujrzało ono światła dziennego. Nie rozmawialiśmy o tym nigdy. Wtedy zrozumiał.

– Mamy chyba problem – powiedział nieoczekiwanie.

– Mamy – powtórzyłem automatycznie.

Petrovic wstał. Stał przy oknie. Zaczął nerwowo poluzniać węzeł krawata. Rozpiął kołnierzyk koszuli. Jakby odruchowo zaczął się bawić wyciągniętą z kieszeni zapalniczką. Przypalił papierosa.

– Zapalisz? – zapytał zupełnie zwyczajnie.

– U ciebie w gabinecie? – spytałem zdziwiony.

– Co to za różnica?

Zaciągnąłem się głęboko. Ulżyło mi. Niech teraz on się martwi, niech kombinuje,

pomyślałem.

- Nie napiszesz? – upewniał się.
- Nie! – odpowiedziałem zdecydowanie.
- Nie dasz rady? – spytał z niedowierzaniem.
- Nie o to chodzi... Zresztą to nie jest ważne. Po prostu, nie napiszę!
- Nie chcesz... – bardziej stwierdził, niż spytał.
- Już nie!

Milczał. Zaciągnął się głęboko.

- Może pojedziemy do ciebie? – rzucił niepewnie. – Może zdołam zrozumieć...
- Może zdołasz... Ale żadnych sztuczek. Niczego jej kosztem.
- Żadnych sztuczek, obiecuję. Chcę tylko zrozumieć.
- Zrozumieć? – powtórzyłem bezwiednie. – Tego chyba się nie da tak po prostu zrozumieć.
- Daj mi przynajmniej szansę – poprosił niepewnie.

\* \* \*

– Mówisz, że przyjedziesz z Davorem? – Jelena nie potrafiła powstrzymać złości. – On ma czelność po tym wszystkim tu jeszcze przyjeżdżać?

Dobrze, że uprzedziłem ją telefonicznie, pomyślałem.

– Zaprosiłem go.

– Zaprosiłeś Davora do naszego domu? Alen, jak mogłeś? Jak mogłeś po tym wszystkim?

Ona mu tego nie mogła zapomnieć. Było to tuż po rozstaniu z Marią. Piłem, nawalałem w pracy, przesiadywałem w mojej grocie, włóczyłem się tu i tam bez celu, wypływałem z chłopakami w morze... Staczałem się. Davor przyjeżdżał tu każdego dnia, każdego dnia groził, że wyrzuci mnie z pracy, każdego dnia dawał mi ostatnią szansę. Nic nie obchodziły mnie wtedy te jego groźby, nie czekałem na żadne kolejne szanse. Jelena wierzyła mu, ufała mu bezgranicznie aż do dnia, kiedy wysłał mnie do Kosowa.

– Jak możesz? – wykrzyczała mu wtedy prosto w twarz. – Jak możesz być taki podły? Jak możesz tę sytuację tak wykorzystywać? Chcesz go poświęcić? Zabić?

Nie pomogło moje zapewnienie, że ja sam zgłosiłem się do tej roboty, że mnie to właściwie wszystko jedno, że innych trochę bardziej szkoda. Nawet wtedy, gdy już stamtąd wróciłem, nie wybaczyła mu. Davor stał się nagle dla Jeleny uosobieniem zła. Uwielbiany przez nią wcześniej syn jej najlepszej przyjaciółki przestał wtedy dla niej istnieć.

– Chcę, żeby poznał Katarinę – powiedziałem przeprasząco. – W pewnym sensie przecież pomaga jej każdego dnia.

– W pewnym sensie? W jakim sensie? Nie bardzo rozumiem. – Jelena była coraz bardziej zdenerwowana. – Wspiera jej rehabilitację w zamian za twoje artykuły. Ludzkim nieszczęściem nabija własną kiesę.

– Ja tego tak nie widzę. Umowa jak każda inna.

Milczenie z drugiej strony się przedłużało.

– Jesteś tam? – spytałem niepewnie.

– Jestem, jeszcze jestem – Jelena była wyraźnie zła. – Dziwne masz pomysły, Alen. Żebyś nie żałował ich pewnego dnia...

Dwie godziny później zjawiliśmy się w domu. Jeleny nie było. Nawet nie próbowałem jej szukać. Znałem ją dobrze. W kuchni czekał na nas dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą, filiżanki stały przygotowane na stole, a na talerzu obok piętrzył się stos jeszcze ciepłego ciasta.

– Jelena ciągle nie może mi darować tego Kosowa?

Davor rozejrzał się po pustej kuchni.

– Pewnie tak.

– Miała wtedy rację – zaskoczył mnie. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. – Nie powinienem był ci wtedy pozwolić tam jechać. Facet z myślami samobójczymi jako korespondent wojenny. Pomysł z rodzaju idiotycznych. Zrozumiałem to znacznie później.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Dokładnie przyglądałem się tamtym twoim zdjęciom – dokończył ciszej.

– Mówiłeś, że były doskonałe... – wpadłem mu w słowo.

– Bo były – stwierdził krótko.

– Więc o co chodzi? – spytałem zdziwiony.

– Były doskonałe, niepowtarzalne... – zrobił krótką przerwę. – Nikt inny by takich nie zrobił. Robił je ktoś, kto idiotycznie ryzykował życie każdego dnia.

Nalałem kawę jemu i sobie. Bawiłem się łyżeczką. Coraz mniej miałem ochoty na tę rozmowę.

– Przecież żyję...

– Żyjesz... – potwierdził jakby odruchowo.

– Więc nie ma o czym mówić... – próbowałem to wreszcie przerwać.

– Jelena na pewno nadal myśli zupełnie inaczej.

– W pewnym sensie to już tylko twój problem...

– Wyszła.

– Chyba się jej specjalnie nie dziwisz? – spytałem.

– No nie, niespecjalnie.

Davor zachowywał się jakoś dziwnie. Pomyślałem, że jeszcze czegoś chce, że to dopiero wstęp do czegoś, że to jakaś gra.

– Pojechałbyś teraz do Kosowa? – spytał nagle.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Nie, teraz nie. To już zupełnie inny czas – odpowiedziałem pewnie.

– Tak też pomyślałem, kiedy powiedziałeś, że nie napiszesz tego artykułu. To już musi być zupełnie inny czas.

Zamyślił się. Siedzieliśmy w milczeniu. Piliśmy kawę. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Byłem coraz bardziej przekonany, że w domu oprócz nas nie ma nikogo. Nie dochodziły do nas żadne dźwięki. Nawet najmniejszy szmer nie zdradzał czyjejkolwiek obecności.

– Katarina też wyszła? – Davor odezwał się niespodziewanie.

Pewnie i jemu cisza dzwoni w uszach, pomyślałem.

– Nie wiem – odpowiedziałem zupełnie szczerze. – Jest po pierwszej. – Spojrzałem na

zegarek. – Katarina jest już po rehabilitacji. Nie spała dzisiaj w nocy. Coś ją męczyło. Może śpi, może czyta w ogrodzie, może jest nad zatoką. Nie wiem. Nigdy nie bywam o tej porze w domu.

Wstałem. Podeszedłem do drzwi prowadzących do pokoju Katariny. Zapukałem. Odpowiedziała mi cisza. Nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły pod naporem mojej dłoni, jak zwykle z tym charakterystycznym skrzypnięciem. Muszę je wreszcie naoliwić, pomyślałem już chyba setny raz. W pokoju nie było nikogo. Davor stanął tuż za moimi plecami.

– Mogę?

Odsunąłem się odruchowo. Wszedł do środka. Rozejrzał się po pokoju. Starannie zaścielone łóżko, wystająca spod poduszki moja koszula, służąca jej ostatnio za piżamę, sukienka przerzucona niedbale przez poręcz krzesła, no i ta nieszczęsna kartka na stole...

– „A jednak wierzę, że są wyspy szczęśliwe”... – przeczytał na głos. Spojrzał na mnie pytająco. Odwróciłem się. Udawałem, że nie słyszę jego słów, nie widzę jego wzroku.

– Poszła pewnie nad zatokę – rzuciłem obojętnie.

Ruszyliśmy wolno w kierunku morza. Milczeliśmy. Obaj chyba myśleliśmy o tym samym, ale każdy z nas pewnie inaczej. Rzeczywiście, Katarina była nad zatoką. Zauważyłem ją od razu. Davor zatrzymał się, nie ruszył kamiennymi stopniami w dół, jakby nie chciał jej przestraszyć, spłoszyć. Dziewczyna bawiła się z psem. Pies był duży i kudłaty, pewnie jeszcze bardzo młody. Dawał się głaskać, przytulać, tarmosić... Z trudem przyswajał sobie tajniki aportowania. Przynosił wyrzucany przez Katarinę kij, kładł jej pod nogi, by po chwili odskoczyć do tyłu z kijem w zębach, radosnym szczeknięciem zachęcać do wspólnej zabawy. Dziewczyna łatwo dawała się prowokować. Oboje bawili się świetnie. Davor usiadł na kamiennym stopniu. Nie odrywał od nich wzroku. Przyglądał im się z dziwnym wyrazem twarzy. Ja też nie znałem takiej Katariny. Nagle rzucony kij niefortunnie wylądował w morzu.

– No, przynieś go, Ares, przynieś! – zachęcała psa.

Pies podbiegł do brzegu. Wbiegł w wodę. Cofnął się w popłochu.

– No, Ares, dawaj! Przynieś!

Pies ani drgnął, zaczął tylko z daleka obszczekiwać niknący powoli pod wodą kij.

Katarina niewiele myśląc, zrzuciła z siebie koszulkę. Wbiegła do morza.

– No dawaj, tchórze! Razem!

Pies ruszył niepewnie za nią.

– No dawaj! Kochany, dzielny Ares. Naprzód, piesku!

Zaczęli płynąć. Wesoły głos dziewczyny, radosne szczekanie psa, tysiące rozbryzgiwanych przez nich kropli wody.

– Zejdziemy do nich? – spytałem.

Davor nie odpowiedział od razu. Miałem wrażenie, że mnie nie słyszy. Wzrok miał utkwiony gdzieś daleko przed siebie, zupełnie nieobecny wyraz twarzy.

– Za niecałą godzinę masz ostatni dzisiaj prom do Splitu – rzuciłem pozornie obojętnie.

– To wracajmy...

– Co mówisz? – w pierwszej chwili go nie zrozumiałem.

– Wracamy! – tym razem usłyszałem już wyraźnie.

– Nie chcesz poznać Katariny?

- Chcę! Pewnie, że chcę. Nawet bardzo!
- No więc? – Nadal nie mogłem zrozumieć.
- Nie dzisiaj – burknął.

Wstał. Otrzeptał spodnie. Spojrzał jeszcze w kierunku plaży. Katarina i Ares wychodzili właśnie z wody.

– Nie musisz iść ze mną – rzucił nagle. – Doskonale znam drogę. Spotkamy się jutro rano w redakcji.

\* \* \*

Wszedłem bez pukania. Myślę, że czekał na mnie. Siedział za biurkiem pogrążony w nicości, nie udając nawet, że coś robi.

– Puka się, zanim się wejdzie! – warknął, nie dopuszczając mnie do słowa. – Siadaj! Nie cierpię, jak rozmawiasz ze mną, stojąc.

Udało mu się, spacyfikował mnie na chwilę. Usiadłem. Dzieliła nas szerokość jego biurka. Rzuciłem na biurko dzisiejsze wydanie. Nawet nie drgnął.

- W jakim nakładzie?
- Z tygodnia na tydzień coraz większym...
- Świnia!
- Co jeszcze? – spojrzał na mnie zachęcająco.
- Tym razem przegiąłeś...
- Coś jeszcze?
- Niewiele więcej. Tu masz moje wypowiedzenie – wstałem.

Rzucił okiem na leżącą przed nim na biurku kartkę papieru.

– Bzdura! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To nie w twoim stylu. Żadnej karczemnej awantury? Żadnego walenia pięścią w stół? Żadnego żądania sprostowania? Coś z tobą nie tak! Gdzie twoje jaja? – napędzał się coraz bardziej. – Bzdura! Zabieraj to gównem z mojego biurka, nim się rozmyślę...

Odwróciłem się na pięcie. Powoli ruszyłem w kierunku drzwi.

– Mówię do ciebie! Jeszcze nie skończyłem! – wściekał się za moimi plecami.

Byłem już przy drzwiach.

– Nie znasz swojej umowy o pracę? – zasyczał. – Nie tak szybko. Masz sześciomiesięczny okres wypowiedzenia.

Wiedziałem, że użyję tego argumentu. Znaliśmy się w końcu naprawdę dobrze.

– Wyjrzyj przez okno! – rzuciłem pozornie obojętnie. – Masz fascynujący transparent na swoim samochodzie.

Petrovic wychylił się przez okno.

– Ty skurwielu! Jak mogłeś! – Davor nie panował już zupełnie nad swoimi emocjami.

– Musisz mnie chyba zwolnić dyscyplinarnie. Każdy szef by to zrobił. Podważam twój autorytet w oczach współpracowników... – mówiłem spokojnie. – Dobrze znam warunki umowy.

– Won! Schrzaniaj! Ty jesteś chory! Nieobliczalny! Ciebie chyba w tym Kosowie popierdoliło. Jak ci się udało przejść przez te testy psychologiczne? Psychiatrzy to chyba

idioci...

Pamiętam tamte testy. Katarina mieszkała już u nas w domu. Musiałem otrzymać oficjalną zgodę sądu na opiekę nad nią. Badania lekarskie, testy psychologiczne, zaświadczenia o niekaralności, udokumentowane źródło utrzymania... Dziesiątki papierów, z których każdy mógł zawążyć o losie Katariny. Najbardziej obawiałem się testów. Opinia zbuntowanego wolnego dziennikarza, który potrafił żyć i pracować tylko na najwyższym poziomie adrenaliny, nie najlepiej komponowała się z osobą opiekuna prawnego. Pomógł mi wtedy Peterson. Zaprosił mnie dzień wcześniej do siebie do domu na kolację. Posadził w pokoju. Położył przede mną testy.

– Niech pan to rozwiąże!

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Po co?

– Będzie panu jutro łatwiej. Trening czyni mistrza.

Przeczytałem pierwsze zadanie: „Dom staje w płomieniach. Ze środka dochodzi płacz dziecka...” – spojrzałem na Petersona.

– No i co pan zaznaczy?

– A jak pan sądzi?

– Zaznaczy pan odpowiedź „b”, czyli: „rzucasz się bez większego zastanowienia w płomienie, zasłaniasz twarz wilgotną chustką w ochronie przed czadem”.

– O tym czadzie, prawdę mówiąc, chyba bym nie pomyślał.

– A pomyślałby pan o odpowiedzi „a”? – przyglądał mi się wnikliwie.

– „Wzywam straż pożarną, czekam na jej przybycie, określam dokładnie miejsce, z którego dochodził płacz” – przeczytałem głośno. – Nie, nie pomyślałbym.

– Tak przypuszczałem – Peterson zamyślił się. – Na duże zmiany nie można raczej liczyć.

– Więc? – spytałem.

– Spróbujmy zwiększyć pana szanse. Ponoć to też można wyćwiczyć – Peterson wydawał się sam nie do końca przekonany. – W trakcie terapii grupowej uczymy ludzi asertywności i empatii. Czasami się rzeczywiście udaje... Niech pan spróbuje rozwiązać ten test...

„Kwestionariusz Orientacji Życiowej”, przeczytałem bez większych emocji. Spojrzałem na pierwsze pytanie: „Gdy rozmawiasz z ludźmi, czy masz poczucie, że Cię nie rozumieją?”. Oceń to w skali od jeden do siedem, gdzie jeden to odpowiedź: „nigdy nie mam takiego poczucia”, a siedem oznacza, że: „zawsze mam takie poczucie”. „Czy masz poczucie, że tak naprawdę nie obchodzi cię to, co się wokół ciebie dzieje?”. Rozpiętość odpowiedzi od „bardzo rzadko lub nigdy” do „bardzo często”. „Czy zdarzyło ci się, że zawiedli cię ludzie, na których liczyłeś?”. Przecież to bzdury, przemknęło mi przez myśl. Wydumane, idiotyczne pytania służące do sprytnego, powierzchownego zaszufładowania innych ludzi. „Życie jest jednostajne czy bardzo ciekawe?”, „Kiedy myślisz o swoim życiu, bardzo często czujesz, że dobrze jest żyć?” – jednak w gąszczu tych debilizmów. Odpowiedzi: „Zadajesz sobie pytanie, po co w ogóle żyć”, przyporządkowano numer siedem. Spojrzałem na Petersona.

– To raczej nie dla mnie – powiedziałem niepewnie.

– Proszę pisać... Później zobaczymy.

Długo przyglądał się rozwiązaniem testowi. Zakreślał, liczył, sumował...

– Ma pan 53 punkty. Kompletna kłapa...

– To znaczy? – spytałem obojętnie.

– Krótko mówiąc, świat jest dla pana nieprzewidywalny i niezrozumiały. Zarówno świat zewnętrzny, jak i ten wewnętrzny. Swoje emocje, potrzeby, postępowanie postrzega pan jako niezrozumiałe, nieuporządkowane, niespójne i niejasne. Wymagania stawiane przez życie wydają się panu nie do zrealizowania, a jakiegokolwiek próby ich spełnienia są według pana niewarte wysiłku i zaangażowania. Istnieje prawdopodobieństwo uzależnienia od narkotyków albo alkoholu. Trzeba byłoby zrobić test baltimorski. Może cierpi pan na depresję? Może pan wykazywać także tendencje autoagresywne, jak na przykład próby samobójcze... Trzeba byłoby zrobić test depresji. Kłapa... Totalna kłapa... Chyba nam się nie może udać.

Świtało już, kiedy Peterson zwątpił zupełnie.

– Człowieku, co z tobą? – wyglądał już na kompletnie pokonanego. – Alen, kiedy pan wreszcie zrozumie, że w pana przypadku nie może pan zaznaczać tego, co myśli. W życiu nie przejdzie pan pomyślnie tych badań. Ma pan mówić to, czego inni od pana oczekują. Niech pan popracuje trochę wyobraźnią! Ma pan być dojrzałym, odpowiedzialnym facetem, zupełnie pozbawionym fantazji, idealną maszyną standardowych zachowań. Ma pan być rozsądny i przewidywalny. Żadnych uzależnień. Żadnej depresji. Oczywiście, prosty, jasny, psychicznie nieskomplikowany...

Zacząłem pracować wyobraźnią. Ja to nie ja teraz. To ja sprzed paru lat, sprzed tamtej historii z Marią. Żadnych obciążeń, żadnej fatalnej przeszłości. Młody człowiek, któremu zawsze wiatr wiał i wieje nieustannie w żagle. Pewny siebie i swojego otoczenia, szczęśliwy. Spróbowałem jeszcze raz.

– 187 punktów – Peterson spojrzał na mnie z zainteresowaniem. – Jest pan rzeczywiście doskonałym dziennikarzem. Nigdy w to nie wątpiłem. Zna pan świat i ludzi... Może kiedyś nie będzie pan musiał grać. Wyobraził sobie pan innego człowieka i nagle świat stał się jasny, klarowny, uporządkowany, logiczny, przewidywalny i do okiełznania. Cieszy się pan życiem i nie lęka nowych wyzwań... – Zamyślił się na chwilę. – Jaki pan jest naprawdę? – Siedział naprzeciw mnie, przerzucając kolejny już raz oba testy. Raz po raz podnosił wzrok, aby spojrzeć na mnie. – Mówiłem panu już kiedyś, że nie potrafię pana rozgryźć, nie potrafię zrozumieć. To prawie niemożliwe, że oba testy rozwiązał ten sam człowiek. Bzdura! Szaleństwo! Że ja też na to pozwoliłem! To nie może się przecież udać...

Parę godzin później udało się – byłem nudny, standardowy, rozsądny i do bólu odpowiedzialny...

– Czytałem kiedyś pana wojenne reportaże. Bardzo się pan zmienił od swojego pobytu w Kosowie – rzuciła na odchodne psycholog.

– Tak – przyznałem skwapliwie. – Zmieniłem się bardzo.

\* \* \*

Właściwie to nie do końca wiem, czemu się tak zdenerwowałem. Nawet nie

przypuszczałem, że Davor tak potrafi pisać. Odkąd go znałem, był zawsze naczelnym redaktorem, a to ograniczało się tylko do zrządzenia, rozdzielania roboty i do krytykowania innych. Nigdy nie czytałem żadnego jego artykułu. Nie posądzałem go nawet o takie umiejętności. Tekst był naprawdę dobry. Przeczytałem go już kolejny raz.

– Mogę? – Jelena zagarnęła moją gazetę. – Niech przynajmniej się dowiem, dlaczego jesteś bezrobotny. – Powiało sarkazmem.

Czytała uważnie, raz po raz spoglądając na mnie spode łba. Skończyła, ale nie kwapiła się do rozmowy. Wstała i zaczęła krzątać się przy kuchni.

– I co? – spytałem pozornie obojętnie.

– Nic. Zupełnie nic. Nawet mnie ujął swoim podejściem do tematu. Tego się po nim nie spodziewałam – mówiła spokojnie. – Napijesz się czegoś? Właśnie robię sobie herbatę.

Nie odpowiedziałem jej, cały czas myślałem o tym, co powiedziała. Na stole przede mną wylądowała parująca filiżanka. Jelena usiadła naprzeciw.

– Ujął cię swoim podejściem do tematu? – powtórzyłem za nią.

– Nawet bardzo – potwierdziła ochoczo. – Między nami mówiąc, nigdy nie podejrzewałam, że jest takim obserwatorem. Był tu godzinę, a zauważył rzeczy, których ja nie dostrzegałam przez te prawie dwa lata.

– O czym ty mówisz?

– O czymś zupełnie konkretnym. Już wiem, czego mi brakowało w poprzednich artykułach.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Ciebie – powiedziała obojętnie. – Pisałeś o Katarinie zupełnie bezosobowo. Jakbyś wyjął ją z naszej rzeczywistości. Wyciął z tła. Postawił poza realiami. Tam nie było nic z ciebie ani o tobie. Przedstawiałeś ją w nierzeczywistym świecie, w którym istniała tylko ona i jej emocje...

– To miało być przecież o Katarinie... – poczułem się poirytowany.

– On pokazał ciebie. Bez imienia i bez nazwiska, bez szczegółów, które umożliwiłyby identyfikację, inteligentnie i dyskretnie. To cię tak nagle zdenerwowało? Pokazał twoje emocje. Zapewne niebezpiecznie, twoim zdaniem, zbliżył się do ciebie. A może po prostu po raz pierwszy ktoś odważył się pokazać coś, czego ty nie chcesz widzieć, czemu sam przed sobą zaprzeczasz?

– Bzdura!

– Naprawdę? – Na krótką chwilę podniosła wzrok znad filiżanki herbaty. Przystała bawić się brzegiem serwetki.

– Totalna bzdura... – powtórzyłem głośniejszym głosem. Wstałem gwałtownie. – Idę poszukać Katariny.

Nie zatrzymywała mnie. Dalej spokojnie piła herbatę. Kolejny raz zaczęła przerzucać strony gazety.

Napisał artykuł i podpisał go moimi inicjałami. Zatyłował cytatem z kartki, którą zobaczył w jej pokoju. Przekroczył granicę przyzwoitości. Wyliczałem w myślach powody do agresji i zdenerwowania. Robiłem to już kolejny raz, coraz bardziej przekonany, że chyba jednak Jelena ma rację, że wcale nie o to chodzi. Pewnie zdaniem Petrovica nawaliłem na całej linii, postawiłem go w trudnej sytuacji, nie wywiązałem się z umowy,



zawiodłem, naraziłem redakcję na straty, czytelników na rozczarowanie... Żadnym słowem nie uderzył w Katarinę. Napisał ciepły artykuł o zabawie dziewczyny z psem, niczego nie upiększał i nie dodawał... Jednak coś było nie tak. Nie potrafiłem tego jeszcze sprecyzować. To było jakieś mętne i niezrozumiałe przecucie. Coś nie pasowało. Może nie do końca chodziło o ten artykuł, lecz o jego wzrok wbity wczoraj w Katarinę, jego dziwny wyraz twarzy...

\* \* \*

Zobaczyłem ich z daleka. Katarina stała odwrócona tyłem do kamiennych schodów prowadzących na żwirową plażę zatoki. Olbrzymie psisko biegło w podskokach w jej stronę, wesoło merdając ogonem. Nagle pies przystanął. Rozejrzał się niepewnie. Zauważył mnie.

– No, Ares, piesku, chodź do mnie – zachęcała dziewczyna.

Pies nie reagował. Sierść zjeżyła mu się od głowy po ogon. Warknął ostrzegawczo.

– Ares, co ty? – Katarina nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

Zbliżyłem się już do nich na tyle, że pies rzucił się do przodu, głośno ujadając. Katarina odwróciła się. W pierwszej chwili na jej twarzy pojawiło się coś na kształt przerażenia.

– Alen! – krzyknęła przestraszona.

Pies, ujadając, biegł w moją stronę.

– Ares, stój! Stój!

Zwierzę zaskoczone komendą zatrzymało się.

– Spokojnie, piesku, tylko spokojnie.

Przykucnęła przy psie. Pod dotykiem jej ręki Ares zaczął się uspokajać. Ujadanie przeszło w krótkie warknięcia. Po chwili słyszalny był już tylko cichy, prawie życzliwy pomruk. Pies uspokoił się. Ufnie położył się na boku. Dawał się głaskać i przytulać. Puszysty ogon poruszał się przyjaźnie.

– Cicho, piesku! – głos Katarzyny brzmiał ciepło. – Nie ma się czego bać. To swój. Spokojnie...

Zrobiłem krok w ich stronę. Pies ani drgnął, nadal przyjaźnie merdał ogonem. Jeszcze parę kroków i usiadłem przy nich na kamieniach. Żadnej wrogiej reakcji, wręcz przeciwnie, psisko zaczęło sennie przymykać oczy.

– Możesz go pogłaskać – powiedziała, nie przestając tarmosić psa. – Zrób to spokojnie. Nie podnoś wysoko ręki. On się bardzo boi. Ktoś musiał go bić.

Nie warknął. Nie odskoczył. Spokojnie patrzył, jak zbliżam do niego rękę. Ręka Katariny obok mojej ręki, kosmata sierść Aresa... Boże, przemknęło mi przez myśl, ja się już zupełnie nie kontroluję. Serce biło mi szybciej... Jej ramię obok mojego ramienia, jej włosy na mojej twarzy, jej ręka tuż przy mojej... Katarina odwróciła głowę. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Uciekłem wzrokiem w popłochu. Wszystko wymykało się spod kontroli.

– Gniewasz się? – spytała cicho.

– Za co? – byłem zdezorientowany.

– Za tego psa?

– Może trochę...  
– Nie lubisz zwierząt? – spojrzała na mnie z niedowierzaniem.  
– Lubię.  
– Więc?  
– Nie ufasz mi... Katarina, kolejny już raz nie ufasz mi – mówiłem spokojnie, próbowałem panować nad dziwnym drżeniem głosu.

– Bałam się, że mi zabronisz.  
– Dlaczego miałbym ci zabronić?

Podniosła głowę. Spojrzała na mnie. Dłonią odgarnęła opadający jej na twarz kosmyk włosów. Zatrzymać tę chwilę, przemknęło mi przez myśl, nie dać jej przeminąć. Wielkie ciemnobrązowe oczy wpatrzone we mnie, delikatnie rozchylone usta, wilgotne od morskiej wody włosy... Zatrzymać tę chwilę, zatrzymać na zawsze.

– Dlaczego miałbym zabronić? – powtórzyłem odruchowo pytanie.

– Bo jedzenie, bo duży, bo groźny, bo bezpieczny, bo może niebezpieczny... – cicho wyliczała Katarina. – Bo może Peterson byłby niezadowolony...

Zamilkła. Nasze ręce błędziły tuż obok siebie po sierści psa, od czasu do czasu spotykając się jakby niechcący.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Bałam się, że mi zabronisz.

– Wszystko w porządku. Musimy go tylko zawieźć do weterynarza, kupić odpowiednie jedzenie, przygotować jakieś miejsce przy domu...

– Weźmiemy go do domu? Naprawdę? – Przyglądała mi się z niedowierzaniem. – Pod jakim warunkiem? – spytała niepewnie.

– Pod żadnym! To nie jest transakcja wiązana. Pomożesz mi tylko urobić Jelenę.

Pamiętam innego psa. Był jak członek naszej małej rodziny. Jelena kupiła mi go na ósme urodziny. Przeżył z nami czternaście lat. Kiedy któregoś dnia odszedł, Jelena powiedziała, że nigdy więcej... „To idiotyczne zadawać sobie samemu tyle bólu. Psy żyją za krótko albo ludzie za długo, pod tym względem nie pasujemy do siebie. Nie chcę, nie chcę nigdy więcej”. Wtedy to rozumiałem.

– Już dawno pokazałam Aresa Jelenie. Mówiła, że tylko ciebie trzeba trochę przekonać...

\* \* \*

Zadzwoiłem do Jeleny. Nie byłem pewny, czy będzie chciała ze mną rozmawiać. Nie rozłączyła się. Nie odłożyła słuchawki.

– Nie, Davor. Nie jestem w stanie ci pomóc – skwitowała krótko, kiedy skończyłem mówić. – Czytałam twój artykuł, nie ma w nim nic, co mogłoby kogokolwiek obrazić, komukolwiek zaszkodzić, ale Alen jest innego zdania. Muszę to uszanować.

– Przecież to głupota...

– Może, ale on chyba myśli inaczej.

– Nie da rady. Choćby tyrał na tej łajbie od rana do nocy i miał do tego niebotyczne szczęście w połowach, to nie da rady – próbowałem jeszcze cokolwiek tłumaczyć. – Potrzebujecie pieniędzy. Bez pieniędzy nie będzie dalszej terapii. Skończy się wszystko.

Całe to przedsięwzięcie zakończy się kląpą.

Milczała.

– Porozmawiaj z nim – przyciskałem.

– Spróbuję – odrzekła lodowato. – Masz w sobie, Davor, coś odpychającego – powiedziała nagle. – To ordynarne sprowadzanie wszelkich wartości do poziomu pieniędzy.

Odłożyła słuchawkę. Odczekałem chwilę i zadzwoniłem jeszcze raz.

– Powiedz mu tylko, że chciałbym z nim porozmawiać, że będę czekał na niego wieczorem w porcie. W tej knajpie co kiedyś.

Byłem pewny, że przyjdzie. Przyszedł. Nie przebrał się nawet. Wyglądał, jakby pięć minut wcześniej zszedł z łajby w porcie – posklejane potem włosy, niedomyte ręce, klejąca się od potu koszula, ogorzała od słońca twarz, parodniowy zarost...

– Czego jeszcze chcesz? – warknął wrogo.

Przywołał ruchem ręki kelnerkę. Zamówił coś do picia.

– Niczego – burknąłem.

Duszką wypił postawione przed nim piwo. Milczał. Zapalił papierosa. Miałem wrażenie, że trochę odtajał. Przetarł ręką włosy, zebrał się w sobie, wyprostował... Powoli zaczęło uchodzić z niego całe zmęczenie. Spojrzał na zegarek.

– No to twórczo pomilczeliśmy sobie – rzucił obojętnie.

Wstał, przywołał ręką kelnerkę.

– Czas na mnie...

– Usiądź – warknąłem ostro. – Pogadajmy.

– Nie ma o czym.

– Wręcz przeciwnie... Ta twoja nie wiadomo czym urażona duma... Jałmużny nie przyjmujesz, żeбраć nie będziesz, kraść nie będziesz, doby nie wystarczy i ryb w okolicy, żebyś mógł na to wszystko zarobić...

Widziałem, jak nerwowo zaciska zęby, jak jego dłonie prawie automatycznie zamykają się w pięści, jak niebezpiecznie zwężają mu się źrenice.

– Poświęcisz ją? – spytałem pozornie obojętnie. Jedno słowo za dużo, pomyślałem, widząc uniesioną niebezpiecznie rękę. W ostatniej chwili jego pięść zatrzymała się tuż przy mojej twarzy.

– Nie warto – burknął. – Zapuszczają mnie na czterdzieści osiem godzin. Nie jesteś tego wart. Spadam.

Odwrócił się na pięcie. Widziałem już tylko jego plecy, gdy przepychał się pomiędzy stolikami.

\* \* \*

– Alen, widziałam w szopie okulary i rurki do nurkowania. Może moglibyśmy kiedyś trochę popływać?

W pierwszej chwili odwróciłem się zaskoczony. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz nurkowałem. To musiało być bardzo dawno temu. Na pewno jeszcze z Marią. Ona bardzo to lubiła. Nigdy już później nie popłynąłem na tamtą mieliznę. Wiele rzeczy bez Marii

straciło sens. Odetchnąłem z ulgą. Stojąca tuż za moimi plecami Katarina nie miała w sobie kompletnie nic z Marii.

– Nie musimy... – dodała szybko, pewnie zaskoczona moją reakcją. Odgarnęła spadający jej na twarz kosmyk włosów. – Tak sobie tylko pomyślałam. Pamiętam te dziesiątki kolorowych rybek, całe ławice przepływające tuż obok mnie. Nie, nie musimy... Może nawet lepiej, że nie. – Odwróciła się na pięcie gotowa odejść.

– Dlaczego nie? – rzuciłem. – Możemy choćby od razu. Na pewno potrafisz?

– Tego to ja tak do końca nie wiem – powiedziała niepewnie.

– Dasz radę, dopasujemy płetwy, okulary, sprawdzimy rurkę... Znam takie jedno fantastyczne miejsce do nurkowania, całkiem niedaleko stąd, po drugiej stronie skał ograniczających od zachodu twoją zatokę. Z jednej strony jest pionowa ściana, a u jej podnóża skalna mielizna. To miejsce to raj dla nurków. Parę metrów dalej skalna półka kończy się niespodziewanie i kamienny stok schodzi ostro w dół. Za nim zaczyna się prawdziwa głębina.

Kilkanaście minut później wchodziliśmy powoli do wody. W pierwszej chwili wydawała się zimna, prawie lodowata. Stopy, kolana, uda, krok po kroku głębiej, aż wreszcie można było wyciągnąć ręce do przodu i rzucić się na fale. Maskę na twarzy, rurkę w ustach, płetwy na nogach... Kolejny raz przekonałem się, że przeszłość nie ma już żadnego znaczenia, nurkowanie nie ma już twarzy Marii. Wszystko wyblakło, przeminęło, przestało się liczyć. Uwolniłem się. Wreszcie definitywnie minął tamten przeklęty czas. Ławica małych srebrzystych rybek przepłynęła tuż obok nas. Katarina rzuciła się za nimi w pogoń. Przez krótką chwilę znajdowała się wśród dziesiątków małych ryb. Ławica wykonała nagły zwrot i pomknęła w kierunku głębiny. Lubiłem bardzo to miejsce: przejrzysta woda na skalnej płyciźnie, kamieniste dno upstrzone czarnymi kulkami kłujących jeżowców, gdzieniegdzie kolorowe ukwiały, małe meduzy, pływające statecznie w parach większe ryby, wędrujące skorupy krabów, pojedyncze zielone glony, ławice małych kolorowych rybek, słońce igrające w wodzie, promienie rozbite na tysiące pełzających po podłożu słonecznych gwiazd. Bajeczny świat kolorów, półcieni, harmonijnego ruchu, gdzie czas płynie jakby inaczej, wszystko toczy się statecznie, bezszelestnie i powoli. Tuż obok podwodny stok, woda powoli traci tu swą przejrzystość, następuje tajemnicza gra barw – od jasnego, jakby lekko mętnego błękitu po ciemny, napawający grozą granat. Zawisliśmy na chwilę w wodzie bez ruchu. Pod nami bez pośpiechu toczyło się podwodne życie. Ławica małych prążkowanych rybek otarła się prawie o nasze ręce. Lekki ruch ręki i przerażone ryby zrobiły nagły zwrot. Katarina z radością dziecka goniła za nimi, rzucała się pomiędzy nadpływające ryby, straszyla je ruchem rąk. Nurkowała w kierunku dna, wypływała z muszlami w ręku. Udawała, że biegnie stopami po dnie, aby przstraszyć pływające tam statecznie duże ryby i już po chwili pędzić za nimi.

\* \* \*

Potrafię, pamiętałam, pewnych rzeczy się nie zapomina, pomyślałam z radością. Okulary mocno dopasowane do twarzy, rurka szczelnie przytrzymywana zębami, uszczelniona

barierą docięniętych ust, harmonijny ruch uzbrojonych w płetwy nóg... Zejście w dół, wstrzymanie oddechu, wyjście na powierzchnię, mocne dmuchnięcie w rurkę, fontanna wody tryskająca w górę... Pamiętałam... Niepowtarzalne uczucie swobody, wolności... Ławica małych prążkowanych rybek otarła się o nasze ręce. Zobaczyłam uśmiechnięte oczy Alena. Ruszyłam za nimi w pogoń w kierunku ostro spadającego w dół podwodnego kamiennego stoku. Nagle zrobiło mi się duszno, słabo, mdło... Ten ktoś miał jasne włosy, nagle wyłonił się z granatowej strony głębin. Dziwne zjawisko, jak gdyby cień, coś lub ktoś bliżej nieokreślony. Początkowo wydawało mi się, że to przywidzenie, dziwna gra światła i cieni. Niebieskie oczy patrzyły na mnie zimno... Te oczy były wcześniej, wtedy czy później? Wszystko mieszało się i przeplatało. Czas to dziwne pojęcie. Cień zbliżał się do mnie, rósł. Nagle coś mnie opłotło. Nie mogłam się wyrwać, uwolnić, uciec. Z sekundy na sekundę było coraz gorzej – duszno, słabo, mdło i ten dziwny ból głowy... Serce biło coraz szybciej. Uciec, uciec jak najdalej, uciec jak najprędzej. Ból rozrywał klatkę piersiową. Nagły niekontrolowany wdech i zamiast powietrza woda wdarła się do płuc. W rozpaczliwym geście wyrwałam rurkę z ust. Byle szybciej, byle wyżej, byle bliżej powietrza...

– Katarina, co ty wyczyniasz? – głos Alena wydawał się bardzo realny. Przedarł się przez tamten koszmar. – Uspokój się! Co ty robisz?

Mocne ramiona wypchnęły mnie na powierzchnię.

– Nie szarp się ze mną! Co się z tobą dzieje?

Niebieskie okulary, niebieskie oczy, jasne włosy, czyjeś ręce próbujące mnie ściągnąć w dół. Idiotyczna walka z własną słabością i to niesamowite zdziwienie – przecież to niemożliwe, to tylko sen, to nie mogło się nigdy zdarzyć, to na pewno nie mogło być tak. Głupia pamięć i głupia wyobraźnia.

– Nie! – słyszałam swój własny krzyk. – Zostaw mnie! Dlaczego?

Wiedziałam, że się z kimś szamoczę. Próbowałam się wyrwać, uwolnić, uciec...

– Katarina, przestań! – głos Alena docierał z bardzo daleka. – Przestań wreszcie, bo się utopimy!

Tamte wyciągnięte ręce. Tamten goniący za mną cień. Coraz szybsza praca nóg. Rozpaczliwe ruchy rąk. Narastający z sekundy na sekundę ból głowy. Dziwne wrażenie, że nagle czaszka staje się za ciasna, pulsowanie w skroniach, słodkie uczucie wszechogarniającego ciepła...

– Nie! Ja nie chcę! – mój własny głos dochodził jakby z zewnątrz, jakby z innej rzeczywistości. – Zostaw mnie! Puść mnie!

– Katarina, przestań! Otwórz oczy! To tylko ja – Alen potrząsał mnie za ramiona. – Przestań, tu nikogo nie ma. Jesteśmy tylko my. Otwórz oczy! Popatrz!

Serce biło mi jak oszalałe, wydawało się już nie mieścić w klatce piersiowej. Z każdą chwilą narastało przerażenie, potęgował się strach, nasilał się ten przeklęty ból głowy, coraz szybciej wirował wokół świat.

– Oddychaj spokojnie. Wszystko jest już w porządku. Zakrztusiłaś się trochę. Głupi pomysł wyciągać pod wodą rurkę z ust. Przestraszyłaś się czegoś?

– Boże, ja nie chcę, ja nie chcę niczego pamiętać...

Peterson przyjechał natychmiast. Kiedy do niego zadzwoniłem, nie mógł początkowo niczego zrozumieć. Musiałem powtórzyć to parę razy, zanim cokolwiek do niego dotarło.

– Alen, czy pan oszalał? – wydawał się bardzo zdenerwowany. – Poszłicie nurkować? – spytał jeszcze raz z niedowierzaniem. – Człowieku, jest pan nieobliczalny! Pana powinno się leczyć! – wydzierał się wprost do mojego ucha. – Przyplynę najbliższym promem – dopowiedział, kiedy już trochę ochłonął.

Zauważyłem go od razu, jak tylko pojawił się na naszym podwórku. Czekałem na niego ze wzrokiem utkwionym w okno. Szedł szybkim krokiem, nie zwracając zupełnie uwagi na ujadającego Aresa. Nie pasował do niego ten pośpiech. Peterson zwykle był spokojny, prawie flegmatyczny. Tym razem było zupełnie inaczej. Wszedł do domu z impetem, zapomniawszy wcześniej zapukać. Pchnięte za mocno drzwi uderzyły głośno o ścianę. Był bardzo wzburzony. Przywitał się z Jeleną, wyraźnie zaskoczona jego wizytą. W moim kierunku machnął tylko niedbale ręką.

– A niech pana diabli wezmą z tymi pańskimi nieodpowiedzialnymi pomysłami! Proszę opowiedzieć jeszcze raz! – przynaglał mnie wzrokiem.

– Poszliśmy nurkować. To był pomysł Katariny. Mówiła, że kiedyś nurkowała, że to pamięta, że było cudownie... Wiem, nie powinienem...

– Alen... – Jelena tylko jęknęła. Nic wcześniej jej nie mówiłem. Kiedy wróciła do domu od Mariki, my już tu byliśmy. Siedziałem w kuchni. Katarina zniknęła w swoim pokoju, szczelnie zamknawszy za sobą drzwi. Po chwili usłyszałem zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Przy Jelenie nie pukałem już, nie szarpałem się z drzwiami, nie próbowałem perswadować. Siedziałem i czekałem na Petersona.

– Wiem, że nie powinienem... – powtórzyłem jeszcze raz.

– Samobiczować będzie się pan później – przerwał mi gwałtownie. – Niech pan to jeszcze raz opowie.

– Katarina potrafi nurkować. Musiała to już kiedyś robić. Widziałem to dokładnie. Woda to jej żywioł. Byłem tuż obok. Nie spuszczałem z niej oczu – próbowałem mówić spokojnie, opowiadać rzeczowo. – Cieszyła się jak małe dziecko. Cały czas widziałem jej twarz... Nagle stało się coś dziwnego. Przepłynęła obok nas olbrzymia ławica małych prążkowanych rybek. Katarina machnęła ręką, ryby zawróciły i zaczęły płynąć w kierunku głębiny. Ruszyła za nimi i wtedy właśnie zaczęło się to wszystko dziać... W pierwszej chwili wydawało mi się, że musiała się czegoś przestraszyć – jakiegoś glonu, meduzy, przepływającej obok ryby... Ale to nie było to. Ona nagle zaczęła się szamotać, próbując za wszelką cenę wydostać się na powierzchnię. Walczyła z czymś lub z kimś niewidzialnym... W pewnej chwili zobaczyłem, jak wyszarpuje rurkę z ust, jakby nagle zabrakło jej tchu, jakby to miało przyspieszyć wypłynięcie. Byłem tuż obok, ale kiedy próbowałem jej pomóc, zaczęła ze mną walczyć. Była jeszcze bardziej przerażona. Kiedy wypłynęła na powierzchnię, odpychała mnie, krzyczała... Musiała się trochę zachłysnąć, bo kaszlała bez przerwy. Próbowałem ją uspokoić. Miałem wrażenie, że to nie ze mną walczy, nie mnie odpycha, że w tym momencie w ogóle mnie tam nie widzi – mówiłem spokojnie, choć przed oczyma cały czas miałem to przerażenie malujące się na jej twarzy,

w uszach ten pełen rozpaczny krzyk. – Kiedy wreszcie się trochę uspokoiła, kiedy otworzyła oczy, powiedziała, że ona nie chce niczego pamiętać... Wyszliśmy na brzeg. Była blada, rozdygotana, zmęczona...

Tego, co było potem, nie będę już opowiadał, pomyślałem, to nikomu i do niczego nie jest potrzebne, to tylko moje, a może nasze. Kiedy wyszliśmy na brzeg, przez chwilę wtuliła się we mnie. Powoli zaczynała się uspokajać. Nie walczyła już ze mną, już się nie wrywała. Nie odpychała mnie od siebie. Położyła głowę na moim ramieniu. Poczujęm na skórze ciepłe krople. Płacze, przemknęło mi przez myśl. Profesjonalizm, obojętność, dystans... To już dawno przestało być aktualne.

– Cicho, już wszystko dobrze. Trochę się przestraszyłaś. Zakrztusiłaś się... Może jeszcze za wcześnie na nurkowanie. Nie masz jeszcze tak dużo sił. Przesadziliśmy...

Moje dłonie przesuwały się po jej włosach.

– Już dobrze. Nie płacz.

Przytuliłem ją trochę mocniej.

– Nic się nie stało. Kiedyś spróbujemy znowu... – próbowałem ją uspokoić.

– Alen, ja coś pamiętam – usłyszałem szept. – On chyba chciał mnie wtedy zabić...

W pierwszej chwili nie dotarło to do mnie. Moja dłoń nadal przesuwała się po jej włosach. „On chyba chciał mnie wtedy zabić”, powtórzyłem w myślach jej słowa.

– O czym ty mówisz? – spytałem przerażony.

Odepchnęła mnie nagle od siebie.

– Nie, to bzdura, wiem, idiotyzm – mówiła chaotycznie. – Nie wierzysz mi? Nikt mi nigdy w to nie uwierzy! – zaczęła nagle krzyczeć. – Przecież sama w to nie wierzę. To przecież niemożliwe. Zobaczyłam coś, czego nie widziałam wcześniej. Przeklęta! Przeklęta pamięć!

Odwróciła się na pięcie i zaczęła biec w kierunku domu. Wbiegła do swojego pokoju. Zamknęła drzwi na klucz, odcinając się tym gestem ode mnie, od tego, co stało się przed chwilą, od tamtej chwili bliskości. Zadzwoniłem do Petersona.

\* \* \*

Peterson nie przerywał, nie komentował, nie potępiał i nie oceniał. Słuchał. Umiejętność słuchania, tak niezbędną w jego zawodzie, opanowaną miał do perfekcji.

– A gdzie teraz jest Katarina? – spytał, gdy skończyłem.

– W swoim pokoju... – odpowiedziałem trochę niepewnie. – Przynajmniej tak sędzę – poprawiłem się szybko.

– Nie jest pan pewny? – Peterson wydawał się zaskoczony.

– Nie do końca – odpowiedziałem szczerze.

Patrzył na mnie pytająco.

– Na początku słyszałem, jak chodzi po pokoju, jak płacze. Potem usłyszałem, że otwiera okno i nagle wszystko ucichło.

– Katarina! – Peterson zapukał do jej drzwi. – Niech pani otworzy!

Odpowiedziała mu cisza. Zza drzwi nie dochodziły żadne, nawet najcichsze dźwięki.

– Jestem pewny, że jej tam nie ma. Niech pan poczeka! Spróbuję ją znaleźć.

Poszedłem w kierunku zatoki. Nie pomyliłem się. Zobaczyłem ją od razu. Siedziała na kamieniach tuż przy wodzie. Odwróciła się, słysząc moje kroki. Nie wyglądała na zaskoczoną. Była pewna, że przyjdę, myślę, że nawet na mnie czekała.

– Mogę się przysiąc? – spytałem.

– Pewnie, czemu nie... – usłyszałem cichą odpowiedź.

– Przeszkadzam? – zapytałem niepewnie.

– Nie.

– Przyniosłem ci coś do ubrania. Zrobiło się chłodniej. – Narzuciłem jej na ramiona moją bluzę. – Twój pokój był zamknięty – zacząłem się tłumaczyć. – Nie mogłem wziąć niczego twojego.

– Nie szkodzi. To bardzo miło.

Siedzieliśmy w milczeniu.

– Gniewasz się, że uciekłam, że nie chciałam z tobą rozmawiać? – spytała cicho.

– Nie, dlaczego? Chciałaś być sama. Chyba rozumiem.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Rozumiesz?

– Wszystko wymaga czasu. A najbardziej ludzie...

– Ty też potrzebowałeś kiedyś czasu? – Odwróciła głowę w moją stronę. Przyglądała mi się w skupieniu.

– Pewnie, i to bardzo dużo... – odpowiedziałem spokojnie. – Potem porozmawiałem sam z sobą, bo niespecjalnie miałem z kim.

– Pomogło?

– Pomogło, ale nie tak od razu, dużo później.

Nie odpowiedziała. Nie patrzyła już na mnie, tylko gdzieś daleko przed siebie, w ciemny błękit nieba, w granat wody, na której igrały promienie popołudniowego słońca.

– Zawsze możemy porozmawiać... – powiedziałem cicho.

– Wiem, ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie mam nawet siły rozmawiać sama z sobą.

– Mamy czas... To nie musi być dzisiaj.

Uśmiechnęła się delikatnie. Wtuliła się bardziej w moją bluzę. Zatopiła twarz w rękawach.

– Przyjechał Peterson – rzuciłem niechętnie.

– Słyszałam, jak do niego dzwoniłeś.

– Gniewasz się za to? – spytałem.

– Nie, dlaczego?

– Bardzo mnie przestraszyłaś...

– Siebie też – na chwilę zamilkła. Zaczęła rozgarniać ręką zwir. Wybierać drobne, idealnie okrągłe kamienie. Dość pokaźny stosik ułożyła tuż obok swoich nóg. Zaczęła je rozdzielać na dwie równe kupki.

– Umiesz grać w kamienie? – spytała niespodziewanie.

– Widziałem, jak to robisz.

– Głupia gra, wciąż przywołuje dziwne wspomnienia. Jakby była kluczem do wszystkiego...

Trzymane w dłoniach małe kamyki poleciały w górę. Złapała kilka z nich, inne



rozsypały się z charakterystycznym stukotem.

– Musisz chyba porozmawiać z Petersonem – powiedziałem pozornie obojętnie.

– Wiem – odparła z rezygnacją.

– On czeka. Mam go tu przyprowadzić?

– Nie.

– Pogadacie w domu? – spojrzałem na nią ukradkiem. Cały czas ścisnęła w rękę te swoje głupie kamienie.

– Pewnie nie mam wyjścia – stwierdziła niechętnie.

– Pewnie nie masz... – potwierdziłem.

Wstała, otrzepała z kamyków spodnie. Zarzuciła bluzę na ramiona. Nagle zrozumiałem, że jej rozmowa z Petersonem nie ma już żadnego sensu. Ona już uciekła, zrobiła unik, ukryła się za zasłoną niepamięci, za grubym murem milczenia.

– Nic, zupełnie nic – stwierdził Peterson po rozmowie z Katariną. – Nie dowiedziałem się zupełnie nic – powtórzył. – Powiedziała, że nurkowaliście, że na mieliźnie była to wspaniała zabawa, a później się zapomniała i popłynęła w kierunku głębiny. Przestraszyła się, że nie da rady, i wpadła w panikę, wyszarpnęła z ust rurkę, trochę się zakrztusiła i z trudem z twoją pomocą udało jej się wypłynąć na powierzchnię. Żadnych podtekstów i zupełnie żadnych wspomnień – mówił jakby rozczarowany. – Alen, nic, zupełnie nic. Mówił pan, że krzyczała, że wyrywała się, że z kimś walczyła. Ona twierdzi, że tego nie pamięta. Mówił pan, że powiedziała...

– Pewnie tylko mi się wydawało – przerwałem mu.

– Co się panu wydawało? – zdenerwował się. Nie mógł, a może nie chciał zrozumieć. – Kiedy zadzwonił pan do mnie, był pan nieźle przestraszony.

– Pewnie nadinterpretowałem... To wszystko wydarzyło się tak nagle. Byłem zdenerwowany...

– Nadinterpretował pan? – Peterson zatrzymał się nagle tuż przed drzwiczkami swojego samochodu. – Alen, niech pan nie robi ze mnie idioty!

Mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, patrzył na mnie rozgoryczony.

– Może mi pan tak po starej znajomości zdradzić, w co wy właściwie oboje gracie?

Nie wszedł do samochodu, nie odjechał od razu. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Jednego niezapalonego włożył do ust.

– Odzwyczajam się. Przeklęty nałóg – rzucił wyjaśniająco. – Każdy ma jakieś słabe strony. Nie ma ludzi idealnych. Pan to dobrze wie. Wydaje się panu, że Davor pana zawiódł. Czyżby pan nagle stracił zaufanie do wszystkich?

Zastanawiałem się, do czego zmierza, co tak naprawdę chce mi powiedzieć. Nagle odwrócił się na pięcie, trzasnęły tylko drzwiczki samochodu.

– Nie dacie rady! – rzucił przez otwarte okienko. – Niech pan to przemyśli! Sami nie dacie rady...

\* \* \*

Położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Każde zamknięcie oczu kończyło się tak samo – płycizna z nagłym stromym spadkiem w dół, krystalicznie czysta woda nad kremowymi

kamieniami mielizny z migotliwymi rozgwiazdami słonecznych promieni pełzających po powierzchni wapiennych skał, przechodząca nagle w mętny błękit, a później w złowieszczy granat głębin. Nagle ten podwodny świat traci swój kształt, swój byt, swój charakter. Głębina wydaje się przepastną czeluścią, prowadzącą w głąb piekła. I z tego przerażającego granatu przez mętny błękit zaczyna przedzierać się jakiś obraz. Na początku mam tylko dziwne poczucie ruchu, który jakby nie pasował do statyki i powagi tego miejsca. Bardziej wrażenie niż spostrzeżenie, że coś nie gra, coś nie komponuje się z resztą. Później wyraźny cień zbliża się miękko, powoli i bezdźwięcznie. Z każdym ruchem widać go coraz lepiej – ma ręce, tułów i nogi... Wszystko zamazane, rozmyte, jakby malowane pastelową farbą, do której ktoś przez przypadek chlusnął za dużo wody. Wszystko w tej zimnej tonacji – w granacie i błękitcie. Woda tłumi dźwięki, a ja mimo to słyszę zbliżające się kroki. Ktoś mnie chwyta. Próbuje się odwrócić. Ten ktoś nie ma twarzy. Ma ręce, nogi, tułów... Nagle przez ułamek sekundy widzę jego oczy. Ja znam te oczy, te włosy... Niemożliwe, to nie może być prawda. Zrywam się. Siadam na łóżku. Przerażona otwieram oczy. Wszystko znika. Nie ma już błękitu, nie ma granatu, jest tylko ten pokój. Wszystko we mnie drży i krzyczy, jakby na przekór ciszy i spokojowi letniej nocy. Kładę się, przymykam oczy. Obrazy znowu zaczynają się przesuwac. Błękit, granat, tamta duszność rozrywająca płuca, tamten ból głowy... Znow paniczny wysilek, by stamtąd uciec. Tamte oczy, włosy... Siadam przerażona. Nie ma wody, nie ma granatu i błękitu, jest pokój tonący w spokojnym świetle zapalanej na stole lampki. To nie mogło się zdarzyć, to tylko wyobraźnia płata mi figle... Nie mogło... Musi być już późno, przemknęło mi przez myśl, cały dom wydaje się tonąć w ciszy. Zza okna dochodzi monotonne cykanie świerszczy. Wtedy też powietrze drżało od gry świerszczy. Był upalny, letni dzień. Wspinaliśmy się w morderczym marszu w kierunku fortecy. Z niezrozumiałego dla mnie względu musieliśmy tam dotrzeć. Z ruin rozciągał się wspaniały widok na wody zatoki, ale jego nie interesowała panorama. Nie po to tu przyszedł. Nie tego tu szukał. Znalazł krzyż, ślad tragedii, która niedawno rozegrała się w tym miasteczku. Dwóch młodych ludzi walczyło między sobą o dziewczynę – idiotyczny pojedynek, wspinaczka w morderczym tempie na oczach dziesiątków ludzi. Jeden nieostrożny krok, jakiś kamień wyrwany spod nóg i nieszczęście. Klęska i zwycięstwo, z którego trudno się cieszyć, z którym trudno dalej żyć. On też walczył kiedyś o mnie z Michałem. Mówił to tak, jakby nagle teraz sobie o tym przypomniał. Przerwali swój mecz. Pozostawili mi decyzję. Opowiadał mi to jakoś dziwnie, jakby chciał usłyszeć, że to przecież logiczne, że przecież ja już się zdecydowałam, już wybrałam. Czekał, aż powiem, że przecież nie ma sprawy, tamto już dawno wyblakło i przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, że liczymy się tylko my, nasz ślub, ten dom na skale, jego praca, nasza przyszłość... A ja nagle tak strasznie zatęskniłam za Michałem. Nagle pojęłam bezsens wszystkiego, co doprowadziło mnie do tej chwili i do tego miejsca. Zrozumiałam, że jest to skutek katastrofalnego nieporozumienia, głupiej gry ludzkich ambicji, idiotycznego i opacznie rozumianego poczucia godności. Roman czekał... Jego oczy przesuwaly się po mojej twarzy... Oczy... Wszędzie te przeklęte chabrowe oczy... Nie, bzdura, to musi być wytwór mojej dziurawej pamięci, to nie mogło być tak.

Rozległo się ciche pukanie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Jelena. Ona zawsze, niezmiennie od lat, przychodzi powiedzieć mi dobranoc. Dzisiaj wróciłem z portu bardzo późno. Połów się udał, rozładunek trwał dłużej niż zwykle. Gdy wróciłem, nie widziałem światła w jej oknie. Pomyślałem, że już pewnie zasnęła.

– Proszę!

Drzwi otworzyły się cicho. Katarina... Zupełnie się jej nie spodziewałem. Zatrzymała się w drzwiach, jakby zakłopotana, a może zawstydzona. Niepewnie rozglądała się po świeżo pomalowanych jasnych ścianach.

– Mogę wejść? – spytała z wahaniem.

Stała w otwartych drzwiach mojego pokoju, przestępując z nogi na nogę. Czekąca. Przyjrzałem się jej uważnie: włosy niedbale przewiązane na noc gumką, kusa koszula sięgająca do połowy uda z rozciągniętym dekoltem pozwalającym zobaczyć ramiona, długie, opalone nogi, bosa stopy...

– Jak uważasz... – odpowiedziałem z lekkim ociąganiem.

Nawet nie drgnęła. Patrzyła na mnie zdziwiona.

– Jak uważasz – powtórzyłem prawie bezwiednie. – No wiesz – mówiłem powoli, cedząc każde słowo – młoda kobieta, w dość skąpym nocnym stroju, przychodząca w nocy do sypialni mężczyzny. To dość jednoznaczna sytuacja...

Coś jak cień przemknęło przez twarz Katariny.

– Coś ty – zachnęła się.

– Żartuję. Wejdz! Nie znasz się na żartach?

Nawet nie drgnęła.

– Wejdz. Muszę jeszcze dzisiaj coś zrobić. Nie zdążyłem pościelić łóżka. Możesz czuć się zupełnie bezpieczna... – mówiłem pozornie spokojnie, żartobliwie.

Stała nadal niezdecydowana. Pomyślałem, że odwróci się na pięcie, że odejdzie.

– Wejdz! – przynaglałem ją. – Obudzimy Jelenę.

Weszła niepewnie. Usiadła na brzegu fotela.

– Coś nie tak? – próbowałem mówić zupełnie obojętnie.

– Nie, wszystko w porządku.

– To czemu nie śpisz?

Nie odpowiedziała od razu.

– Jakoś tak... – powiedziała po chwili cicho.

Wszystko potrzebuje czasu, pomyślałem. Nie chce być sama, woli być ze mną, ale nie chce jeszcze ze mną rozmawiać. Jedno fałszywe słowo, a ucieknie w popłochu, zrobi unik, oddzieli się ode mnie murem milczenia, zacznie udawać i grać tak jak przed Petersonem, jak przed wszystkimi innymi. Obserwowałem w milczeniu jej wewnętrzną walkę.

– Jakoś tak... – powtórzyła cicho. – Męczy mnie coś bliżej nieokreślonego. Pomyślałam, że mogłabym choć na chwilę posiedzieć u ciebie. Może się to wtedy oddali, zniknie.

Tylko spokojnie, przeszło mi przez myśl, możliwie obojętnie. Nie mam prawa niczego zepsuć. Nie mam prawa jej przestraszyć, spłoszyć. Nie mam żadnych praw. Ona należy do

jakiegoś innego świata. Może kiedyś wpuści mnie do niego, a może z braku innych możliwości wybierze ten nasz...

– Posiedź sobie – powiedziałem zupełnie obojętnie. – Masz tam koc. Możesz się przykryć. Za plecami masz poduszkę.

Dziewczyna usiadła pewniej. Usadowiła się wygodniej w fotelu. Podkuliła nogi. Przykryła się kocem pod szyję. Położyła pod głowę zmiętą poduszkę.

– Na pewno nie chcesz pogadać? – spytałem.

Nie odpowiedziała od razu. Jeszcze jakby mocniej skuliła się w sobie, zatopiła głębiej w fotelu, wyżej podciągnęła koc.

– Chyba nie – odpowiedziała niepewnie. – W każdym razie nie dzisiaj.

Udawałem, że coś piszę. Przyciemniłem światło na biurku, usadowiłem się do niej bokiem. Obserwowałem ją kątem oka: jej twarz, jej włosy, miękki cień rzucany przez jej postać na ścianę... Rozmazany kontur dziewczyny w miejscu tamtych dawnych koszmarnych zdjęć, tamtych cholernych wspomnień, krzyczących czarną farbą napisów. Tamta przeszłość dawno przestała już straszyć, oddaliła się, spłowiła, wyblakła.

Przymknęła oczy. Po chwili usłyszałem równy, spokojny oddech. Zasnęła... Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju. Zatrzymałem się na chwilę obok niej – delikatnie zaróżowione policzki, kosmyki włosów opadające na twarz... W głowie miałem dziesiątki odważnych myśli, nieposkromionych marzeń, emocji, nad którymi nie chciałem już wcale panować. Usłyszałem delikatne pukanie do drzwi.

– Alen – Jelena wyglądała na zaniepokojoną. – Poszłam się napić do kuchni. Drzwi do pokoju Katariny są otwarte. Nie ma jej w pokoju. To środek nocy... – mówiła drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Wszystko w porządku – powiedziałem szeptem. – Jest u mnie, śpi.

Jelena spojrzała na mnie uważnie. Przez chwilę jej wzrok zatrzymał się na mojej twarzy. Przez moment nasze spojrzenia się skrzyżowały. To ja pierwszy odwróciłem wzrok.

– Ty oczywiście wiesz, co robisz? – w jej głosie usłyszałem obawę.

– Oczywiście, że wiem...

– Na pewno? Czy tylko ci się wydaje? – Przyglądała mi się uważnie. – Ona nie należy do naszego świata. Przyjdzie kiedyś taki dzień, że odejdzie...

– Nikt z nas nie wie, czy przyjdzie taki dzień...

– A jeżeli przyjdzie? Chcesz przez to wszystko przechodzić jeszcze raz?

– Za późno – przyznałem nieoczekiwanie.

– Dlaczego za późno? – spytała cicho. – Mówiłeś zawsze...

– Dużo rzeczy mówiłem... – Właściwie intrygowała mnie od samego początku, już wtedy w porcie, potem na tamtym promie. To było jak zderzenie dwóch światów – rozsiewanego przez nią ciepła i tamtej mojej nienawiści.

Nie, nie będę jej tego opowiadał, bo i po co, pomyślałem. Są wspomnienia, które pozostaną tylko moje. Pojechałem wtedy kolejny raz do Kosowa. To był już zupełnie inny wyjazd. Wtedy już chciałem z tego piekła uciekać, wyjechać stamtąd jak najprędzej. Wokół ginęli ludzie, płonęły domy, padały strzały, siłą bezwładu toczyła się ta kretyńska wojna. Pisałem reportaże, robiłem zdjęcia, poznawałem różnych ludzi, słuchałem idiotycznych racji, rozmawiałem o obcych mi bogach w świecie bez Boga. Nagle coś we mnie pękło.

Przekroczyłem jakąś przeklętą granicę, której nie należy przekraczać. Nigdy nie zapomnę tamtej wioski – ciała rozstrzelanych, cisza, jakby nagle wszystko przestało istnieć, tylko Jezus na krzyżu wydawał się niezmienny. Podniosłem aparat do oczu i robiłem te zdjęcia. Stukot migawki, lekki obrót, dźwięk zamykającej się migawki, obrót... Myślałem tylko o jednym – objąć obiektywem wszystko, cały ogrom tego zła, całą beznadziejność tego nieszczęścia. Działąłem jak maszyna, nie jak człowiek, lecz jak zaprogramowany, pozbawiony wnętrza robot. Był tam też znajomy francuski fotoreporter. Spotkałem go już kiedyś wcześniej w obozie dla przesiedleńców. Poczęstował mnie wtedy papierosem. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę. W wiosce stał tuż obok mnie. Nie przywitał się nawet. Nie istniałem dla niego w tamtej rzeczywistości, tak jak i on nie istniał wtedy dla mnie. Podniósł aparat, nastawiał obiektyw. Mamrotał coś pod nosem po swojemu sam do siebie. Nagle zaczął się śmiać. Najpierw był to cichy chichot, który potem przeszedł w głośny szaleńczy śmiech, a na końcu w szloch. Dźwięki odbijały się od murów, szybowały gdzieś wysoko, potęgowały się echem odbitym od nagich, okradzionych ze wszystkiego ścian. Przerażone jaskółki zerwały się ze swoich przyklejonych pod dachami gniazd. Jak czarne ostrza zaczęły przesywać powietrze. Ptaki szybowały tuż nad zabitymi, jak dusze nagle uwolnione z martwych ciał. Francuz rzucił aparat, odwrócił się na pięcie. Przez chwilę słyszałem jeszcze za swoimi plecami jego szybko oddalające się kroki. Zostałem sam. Aparat, obiektyw, zbliżenie... Jeszcze jeden kadr, jeszcze jeden... Wysłałem Davorowi tylko jedno zdjęcie. Innych nigdy nawet nie przeglądałem. Głupie zdjęcia podobne do filmu z pogrzebu. Byłem kiedyś na pogrzebie siostry Jeleny. Ktoś kręcił film z uroczystości, film, którego nikt nie chciał później oglądać. Ja też nie chciałem nigdy widzieć tamtych moich zdjęć. I bez tego ten koszmar zapisał się na stałe w mej pamięci. Nie potrafiłem niczego napisać. Żadne słowa nie były w stanie oddać tego, co czułem, chociaż w pierwszej chwili miałem wrażenie, że nie czuję nic, że gdzieś w środku wszystko się wypaliło i nagle umarło. Wydawało mi się, że po tym koszmarze nie będę potrafił już normalnie żyć. Nie będę mógł spać ani jeść. Pamiętam, mijały kolejne dni, a ja pałętałem się bez celu. Bałem się zasnąć. Wiele razy wynajmowałem pokój, by później nie spędzić w nim nawet chwili. W końcu odważyłem się położyć. Zamknąłem oczy i nagle przestałem widzieć już tamte zło. Przed oczami niespodziewanie pojawiła się ona – ona w porcie, ona prosząca mnie o pomoc na promie, roześmiana, rozmawiająca z tamtym facetem...

– Alen, o czym myślisz? – nagle głos Jeleny przerwał wspomnienia.

– O niczym szczególnym – skłamałem. – O tym, że już za późno.

– Ja to już od dawna wiem – skwitowała niespodziewanie.

Nagle ulżyło mi.

– Przenieś ją na łóżko! – powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Ten fotel nie jest zbyt wygodny. Ty i tak pewnie nie będziesz dzisiaj spał.

Kiedy kładłem ją do łóżka, usłyszałem, że coś mówi. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć. Zbliżyłem twarz do jej twarzy i wtedy usłyszałem już zupełnie wyraźnie.

– Ja nie chcę tam wracać.

Kiedy się obudziłam, Alena już nie było w pokoju. Okiennice były przymknięte, ale okna szeroko otwarte, przez szczeliny w deskach okiennic sączyło się światło. Wygląd pokoju bardzo się zmienił: żadnych zdjęć Marii ani Kosowa, żadnych czarnych napisów, zniknęły sterty niedopałków i szklanki z niedopitą kawą. Ściany miały wesołe kolory – spokojna oliwka sąsiadująca z intensywną barwą owocu mango. Pościel Alena uzupełniała tę kolorystykę – oliwkowa poduszka, ciemnozielone prześcieradło służące za przykrycie. Przeciągnęłam się leniwie. Poczulałam zapach wody kolońskiej. Nigdy nie spałam w łóżku pachnącym wodą kolońską. Chyba nigdy, poprawiłam się w myślach, w każdym razie nie pamiętam. Przesiedział w fotelu całą noc. Słyszałam, jak coś wertował, jak wyłączył komputer. Wyspałam się. Tu jakimś cudem nie dopadł mnie tamten koszmar. Muszę sprawdzić te zdjęcia, które kiedyś pokazał mi Alen, myślałam intensywnie. Mówił, że zrobił je na kongresie kardiochirurgicznym, że kongres otwierał szef kliniki w Splicie, Roman Sosnowski... W Splicie, a więc tu blisko. Romka poznałam na tych zdjęciach od razu. Wcale się nie zmienił: dziwna, niezrozumiała, niespójna, aczkolwiek intrygująca całość, płatanina cech pełnego życia młodego chłopaka i dojrzałego, bezkompromisowego mężczyzny, dążącego prosto do wyznaczonego samemu sobie celu. Roman tak idealny, że aż nierzeczywisty. Nie ma przecież idealnych ludzi. Nikt nie może być idealny. Muszę tam pojechać, może wtedy uda mi się uwolnić od tych koszmarów. Może głupia pamięć przestanie płatać mi figle, może przestanę się bać...

Jelenę zastałam w kuchni. Krzątała się przy przyrządzaniu posiłku.

– O, wstałaś już! – ucieszyła się na mój widok. – Właśnie skończyłam przygotowywać śniadanie. Jak się spało?

– Nareszcie zdołałam się wyspać. Przy Alenie...

Spojrzała na mnie uważnie.

– Mówisz: przy Alenie? – spytała podejrzliwie.

– Chciałam powiedzieć, że u Alena w pokoju – poprawiłam się szybko. Musiałam się zaczerwienić.

Staruszka się roześmiała.

– Przy Alenie, u Alena... Niby to samo, ale to pierwsze brzmiało lepiej.

Usiadłam naprzeciw niej przy stole. Nie wiedziałam, jak zacząć tę rozmowę. Piłam kawę. Bawiłam się łyżeczką. Długo smarowałam bułkę marmoladą, żeby po chwili odłożyć ją z powrotem na talerzyk. Jelena wyczuła chyba narastające napięcie, bo raz po raz spoglądała na mnie.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – nie wytrzymała w końcu.

– Nie – w pierwszej chwili przestraszyłam się jej pytania. Chciałam się wycofać, uciec. Znowu skoncentrowałam się na tej bułce, tej brzoskwiniowej marmoladzie, łyżeczce i kawie. Jeszcze jeden łyk kawy, jeszcze kęs bułki. W końcu zdobyłam się na odwagę.

– Czy mogłabyś pożyczyć mi pieniędzy? – spytałam cicho.

Podniosła wzrok znad filiżanki.

– Pieniądzy? – spytała zdziwiona, tak jakby fakt istnienia na świecie pieniędzy leżał poza obszarami jej wiedzy.

– Pieniądzy. Oddam, kiedy tylko będę miała – poczułam się idiotycznie. – Przecież kiedyś będę miała – zaczęłam tłumaczyć się niezręcznie.

- Brakuje ci czegoś? Czemu nigdy nic nie mówisz? – staruszka poczuła się urażona.
- Nie, to nie o to chodzi – nagle zrobiło mi się gorąco.
- To po co ci w takim razie te pieniądze? – spojrzała na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.
- Muszę popłynąć promem do Splitu – powiedziałam nagle, zaskakując samą siebie.
- W pierwszej chwili wydawało mi się, że mnie nie zrozumiała. Wpatrywała się we mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Może powiedziałam za cicho, przemknęło mi przez myśl, może nie dosłyszała.
- Bardzo chcę pojechać do Splitu – powtórzyłam.
- Chcesz czy musisz? – spytała. Zmusiła mnie, bym wobec samej siebie zweryfikowała tę moją nagłą potrzebę.
- Chyba muszę – powiedziałam niepewnie. Wiedziałam, że to nie wystarczy, że powinnam powiedzieć coś więcej. Staruszka nerwowo bawiła się rogiem serwetki. Co chwila poprawiała okulary.
- Ja nie mogę się ciągle bać – brnęłam dalej. – Muszę to jeszcze raz zobaczyć. Rozumiesz? – mówiłam jak w transie, coraz szybciej, coraz głośniej. – Chcę się przejść wzdłuż zewnętrznych murów pałacu Dioklecjana, zobaczyć jeszcze raz tamtą palmową aleję, tamte stragany, precyzyjnie się między stolikami kafejek, przejść przez bramę do wnętrza pałacu. Chcę pójść w kierunku tamtej włoskiej kafejki z papugą w złotej klatce. Muszę usłyszeć jeszcze raz stukot moich butów po tamtych kamieniach. Wiesz, ten dźwięk budzi mnie każdej nocy. Czy wtedy to były tylko moje kroki? Czy ten podwójny stukot, który słyszałam, to moje własne kroki odbite echem od ścian? Pamiętam tamte kamienie i dziwne uczucie, że ich gładka powierzchnia ucieka mi nagle spod nóg. Nie wiem, czy rozumiesz. Dziwny szczegół, który utkwiał mi gdzieś głęboko w pamięci. Gładkie, błyszczące kamienie, na których powierzchni odbijało się słońce, i to wrażenie podwójnych kroków, a potem ten dziwny cień na kamieniach. Może przypomnę sobie wszystko. Może nagle coś zaiskrzy i wszystko stanie się jasne. Będę umiała oddzielić prawdę od całej tej koszarnej reszty, która pewnie jest tylko wytworem mojej wyobraźni.
- Nie przerywała. Słuchała. Nie bawiła się już serwetką. Nie poprawiała wciąż okularów. Siedziała bez ruchu.
- Ostatnio prześladowają mnie koszmary. Tamto nurkowanie uwolniło w mej pamięci jakieś dziwne wspomnienia, jakbym nagle zobaczyła coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam, a dokładniej: widziałam, ale z niewyjaśnionych przyczyn nie dotarło to wówczas do mojej świadomości. Jakby jakiś wzrokowy bodziec zabłąkał się wtedy gdzieś pomiędzy synapsami centralnego układu nerwowego, a teraz nagle przypadkiem się odnalazł. Nie rozumiem tego. Przeraza mnie to. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę tak po prostu z tą niepewnością żyć. Ja muszę wiedzieć...
- Jelena nie patrzyła już na mnie. Jej wzrok powędrował gdzieś daleko za moją głowę, zawisł gdzieś w przestrzeni tuż za mną.
- Co musisz wiedzieć? – usłyszałam tuż za swoimi plecami głos Alena. Nie zauważyłam, kiedy wszedł do kuchni. Nie przypuszczałam, że nie pojechał do pracy.
- Muszę w końcu to wiedzieć, czy on chciał mnie wtedy...
- Lepiej już nie kończ...

Zadzwońiłem do Sosnowskiego. Liczyłem na to, że będzie mnie jeszcze pamiętał. Coraz bardziej przerażały mnie te sny Katariny. Musiałem się dowiedzieć. Zaproponowałem spotkanie w tamtej restauracji, o której parę dni wcześniej opowiadała Jelenie Katarina. Ociągał się z odpowiedzią.

– Wie pan, ja niezbyt dobrze znam Split – skłamałem. – Tylko tutaj pracuję. Mieszkam na wyspie – próbowałem go przekonać. – To jedna z nielicznych restauracji, jakie tu znam. Byłem tam kiedyś z przyjaciółmi. Dobre jedzenie, włoska muzyka, ciekawy wystrój... Łatwo tam trafić, to tuż za bramą prowadzącą od zachodu do pałacu Dioklecjana. Trudno jej nie zauważyć. Wzrok przyciągają słoneczne markizy, ustawione na chodniku wiklinowe meble, stoły przykryte krzykliwymi obrusami w pomarańczowo-żółte pasy, donice z rozłożystymi palmami, złota klatka z papugą stojąca tuż przy wejściu...

– Wiem – przerwał mi gwałtownie. – Niech już będzie...

Czekałem na niego na zewnątrz. Zauważyłem go już z daleka – jasne, ciut za długie włosy, błękitna koszula, piaskowego koloru spodnie. Takiego go pamiętałem z portu i z promu. Szedł powoli, jakby z ociąganiem. Przystanął na chwilę, zauważył mnie, podniósł rękę w geście przywitania. Przyglądałem mu się, jak z przepaszającym wyrazem twarzy przeciskał się pomiędzy ustawionymi na chodniku stolikami.

– Może wejdziemy do środka? – Mocno uścisnął moją rękę na powitanie. – Tam zwykle jest dużo spokojniej.

Tak naprawdę to nigdy nie byłem wewnątrz tej restauracji. Pomimo słonecznego skwaru na zewnątrz tu panował przyjemny chłód. Na ścianach wszechobecna Wenecja – Canale Grande, Ponte Rialto, jakiś kanał z odświeżnie przystrojoną gondolą, jakaś wąska uliczka z przerzuconym pomiędzy oknami stojących naprzeciw siebie domów sznurem suszącej się bielizny... Stoliki, oddzielone girlandami z kwiatów, stwarzały pozory prywatności. Wybraliśmy miejsce w rogu, gdzieś pomiędzy Pałacem Dożów z lwem świętego Marka z Porta Della Corte a Mostkiem Westchnień, zupełnie z boku, w prawie pustej części lokalu.

– O Boże, pan doktor. Jak ja dawno pana nie widziałem – Sosnowski zatrzymał się. Odwrócił się gwałtownie.

– Filippo! – ucieszył się wyraźnie. – Tak sobie właśnie ze smutkiem pomyślałem, że pana chyba tutaj dzisiaj nie ma.

– Ja jestem tutaj zawsze, przecież pan doktor wie, że ta restauracja to całe moje życie. Rozejrzał się wkoło z nieukrywaną dumą.

– Zmieniło się tu trochę...

– O tak, mamy teraz weneckie klimaty.

– Pan przecież z południa – zdziwił się Roman.

– Co za różnica? Italia to Italia.

– Jak zdrowie? – spojrzał na niego uważniej.

– Nie narzekam. Żyję i cieszę się z każdego dnia.

– A kiedy spotkamy się u mnie? Chyba byłby już czas...

– Kiedy pan każe. Ja się dostosuję – Filippo spojrzał na niego ukradkiem. – Niezręcznie



mi było przyjść do pana po tamtej sprawie. Nie chciałem rozdrapywać ran. Bałem się, że swym widokiem sprawię panu przykrość – plątał się w swych tłumaczeniach. – Nie spotkał ich pan później?

– Jakoś nie.

– Dla Włocha rodzina jest najważniejsza. To takie dziwne, co się stało...

– Zostawmy ten temat. Questa è la vita.

– Questa è la vita, profesorze.

Filippo popatrzył na niego może odrobinę za długo.

– Co proponuje nam pan dzisiaj? – Sosnowski wyraźnie chciał zmienić temat.

– Mogę sam wybrać coś dla panów? – Włoch wyraźnie się ożywił.

– Oczywiście.

– A więc martini bianco z lodem i plastrem cytryny na początek, jako przystawka crostini z pomidorami, czarnymi oliwkami i fetą, później branzino grillowany ze szpinakiem i bruschettą z pomidorami, na deser limoncello i caffè latte...

Starłem się nie słuchać. Nie byłem głodny. Przyszedłem, nie żeby jeść, a pogadać. Właściwie to, co najważniejsze, już usłyszałem. On nic nie wie, przemknęło mi przez myśl. Przyjechał do tej restauracji na spotkanie, do którego nigdy nie doszło. Pewnie nie czyta też gazet i nie ogląda telewizji.

– No i jak? Menu pasuje? – musiało to być już kolejne pytanie, bo obaj przyglądali mi się zdziwieni.

– Niespecjalnie jestem głodny – próbowałem oponować.

– Bo pan nie wie, jak Filippo gotuje – Sosnowski jednoznacznie dał mi do zrozumienia, że nie mam wyboru.

Piliśmy martini. Milczeliśmy. Pewnie każdy z nas myślał o tym samym, ale inaczej.

– Chciał się pan spotkać – on pierwszy przerwał milczenie. – Zaintrygował mnie pan. Po naszym spotkaniu w klinice usłyszałem od jednej z lekarek, kim pan jest naprawdę. Kontrowersyjny dziennikarz, nieustraszony reporter wojenny, człowiek bez instynktu samozachowawczego, szaleniec ocierający się świadomie o śmierć, samobójca, którego nikt nie ma odwagi leczyć... Ależ się pan musiał wynudzić w mojej klinice – patrzył na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Niespecjalnie, mógłbym nawet powiedzieć, że wręcz przeciwnie.

– Chyba mi pan nie będzie próbował wmówić, że kongresy naukowe i wizytówki klinik to pańskie ulubione tematy.

– Nie, nie będę – uśmiechnąłem się lekko. – Kolega zapił. Byłem mu dłużny przysługę. Miałem okazję mu się odwdziżyć.

– Tak myślałem, że to musiał być jakiś przypadek.

– W życiu często olbrzymią rolę odgrywają przypadki...

– To prawda – spojrzał na mnie jakoś inaczej. – Robi pan dziennie dziesiątki zdjęć. – Pozornie zmienił temat, ale mnie nagle zaczęło się robić gorąco.

– Różnie bywa, czasami tygodniami żadnego, czasami dziesiątki jednego dnia.

– Pamięta pan bohaterów swoich zdjęć?

– Czasami, raczej rzadko – skłamałem.

– Umierają w pana pamięci zaraz po wydrukowaniu reportażu? – spytał prowokująco.

Nie miałem złudzeń, poznał mnie na tamtym zdjęciu, zastanawiał się tylko, na ile ja mogę ich oboje pamiętać. Nie odrywał wzroku od mojej twarzy.

– Są ważni dla mnie w danej chwili. Później wszystko się oddala i ucieka. Życie biegnie dalej, temat goni temat... – kłamałem jak z nut. Tak naprawdę, to pamiętam wszystkich, pomyślałem, wracają do mnie po nocach, towarzyszą w ciągu dnia, wiążą przeszłość z teraźniejszością – tamten mały chłopak w Kosowie uczący mnie rozpalać ognisko, siostra zakonna z wojskowego szpitala, tamten francuski dziennikarz w spacyfikowanej wiosce, starzec z przepaską na oczach wyciągający błagalnie rękę w kierunku mojego głosu, Katarina, on... Dziesiątki twarzy, które stały się nierozzerwalną częścią mojego życia. – A pan pamięta twarze swoich pacjentów? – spróbowałem choć na chwilę odwrócić od siebie jego uwagę.

– Pamiętam – odpowiedział jakby z lekkim ociąganiem. – Pamiętam nie tylko twarze. Pamiętam dużo więcej. Czasami pamiętam o wiele za dużo. Kiedy się nie uda, to... Trudno mi się pogodzić z przegraną, ze śmiercią. Zawsze odczuwam to jak osobistą porażkę. Wstyd się przyznać, ale pod tym względem nie jestem profesjonalistą.

Zamilkł nagle. Zaczął się bezmyślnie bawić położoną przede mną na stole zapalniczką.

– Czemu zawdzięczam to dzisiejsze spotkanie? – spytał nagle.

– Pomyślałem, że mógłbym panu pomóc – odpowiedziałem spokojnie.

– W czym? – spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– W zdobywaniu dodatkowych środków dla pana kliniki. Z racji mojej pracy wiem dużo potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Mój mózg czasem zupełnie bezwiednie przetwarza różne dane. – Chyba nie rozumiał. Patrzył na mnie z narastającym zdziwieniem. – Dostarczę panu listę potencjalnych sponsorów – próbowałem uściślić. – To ludzie pozbawieni skrupułów, często mający brudne ręce, ale zrobią wszystko, żeby uniknąć podatków. Wystarczy tylko zwrócić się do nich z prośbą o pomoc. Darowizny są w tym kraju bardzo modne. Darowizna na rzecz prężnie działającej kliniki, umożliwiająca ratunek paru istnień ludzkich, to sprawa prestiżowa, szczególnie jeżeli produktem ubocznym są podatkowe oszczędności.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem w oczach.

– Kongres jak kongres – ciągnąłem – nie znam się na kardiochirurgii, ale w klinice zaimponował mi pan. Chętnie pomogę. Wchodzi pan w to?

– A pan? Co pan z tego będzie miał?

Patrzył na mnie wnikliwie.

– Zupełnie nic.

– Nie rozumiem...

– Chyba pan nie musi. Mówił pan, że budżet na zabiegi kończy się panu zwykle już w sierpniu. Można będzie pomóc jeszcze wielu chorym. A więc?

Przyglądał mi się badawczo. Testował mnie wzrokiem.

– Wchodzę – powiedział pewnie.

Nagle w środek naszej rozmowy wdarł się dzwonek jego komórki. Odwrócił się zakłopotany.

– Przepraszam na chwilę, to z kliniki.

Wstał, wyszedł na zewnątrz z telefonem w ręku.

– Może jeszcze jedno martini? – Filippo zjawił się jak na zawołanie.

– Nie, dziękuję.

Nie odszedł. Przyglądał mi się uważnie, jakby zastanawiał się nad tym, na ile pragnę jego towarzystwa, a na ile jego obecność może mnie drażnić.

– Długo już zna pan profesora? – spytałem. Trudno było nie wykorzystać takiej okazji.

– Długo – Filippo ożywił się nagle, jakby właśnie czekał na to pytanie. – Zawdzięczam mu życie – oznajmił jednoznacznie i dobitnie. – Byłem już skreślony. Nie wiem, czy pan rozumie? Choroba w jednej chwili wyautowała mnie z życia. Wcześniej byłem pełen energii, marzeń i planów, potem pozostało mi już tylko pasywnie czekać na śmierć. Jedna głupia grypa i nagle ciężkie uszkodzenie mięśnia sercowego, kardiomiopatia pozapalna. Nagle całe moje wcześniejsze życie przestało się liczyć. Pojawiły się narastające w piorunującym tempie cechy niewydolności serca. Na początku przekłeta słabość i duszność towarzyszyły mi przy większych wysiłkach, później stopniowo już przy każdej czynności, nawet przy goleniu. W końcu czułem je ciągle, nawet w zupełnym spoczynku, nawet we śnie. Rozpaczliwie poszukiwałem pomocy. Wszyscy mnie już przekreślili. Pewnego dnia ktoś mi powiedział, że jest u nas w klinice w Splicie nowy profesor kardiokirurgii. Poszedłem do niego. Pamiętam, jak wnikliwie oglądał wszystkie wyniki, wertował je kilka razy, stawiał mnóstwo pytań, zbadał mnie i znów od początku przeglądał wszystko. Czekałem na to, co powie, jak na kolejny wyrok. W końcu słyszałem go już wiele razy z różnych ust. Różnił się tylko formą, treść była zawsze taka sama, zabierała wszelką nadzieję. On milczał. Kazał mi przyjść następnego dnia. Zrobili mi mnóstwo niezrozumiałych dla mnie badań. Po dwóch dniach przyjechał do mnie do domu. Mieszkam tu niedaleko – Filippo machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Był wieczór – opowiadał dalej. – Prawdę mówiąc, byłem już w piżamie. Nie wiedziałem, jak się zachować. Zaskoczyła mnie ta jego wizyta. Wszedł do środka. Usiadł przy stole. Nie zdjął nawet płaszcza. Powiedział, że spróbuje mi pomóc, że przemyślał to na wszelkie możliwe sposoby. Twierdził, że istnieje możliwość transplantacji, że może się udać. Przekonywał, że nie mam nic do stracenia, że on na moim miejscu by spróbował. Stwierdził, że choroba postępuje szybko i nieubłagane, że za parę miesięcy może być już na wszystko za późno, że teraz istnieją jeszcze jakieś szanse. Mówił na początku po chorwacku, później nagle zaczęło brakować mu słów. Wyjaśnił, że nie czyta chorwackich gazet, nie rozumie jeszcze, co mówią w telewizji. Powiedział, że spróbuje mi to wytłumaczyć po angielsku. Zrozumiałem. Tak jak niespodziewanie przyszedł, tak i niespodziewanie się pożegnał. Moja żona mówi, że on jest jak anioł, że sieje nadzieję. Po paru dniach zadzwonił. Powiedział, że wszystko jest już przygotowane. Zaufałem mu, bo jest w nim coś, co każe mu ufać. Udało się. Żyję. Mam drugie życie, drugą szansę. On jest dla nas jak najbliższa rodzina, dla niego zrobiłbym wszystko...

Zamilkł niespodziewanie. Wcześniejszy potok słów zastąpiła nagła cisza.

– Szkoda, że mu w życiu prywatnym nie wyszło – dopowiedział cicho, jakby z pewnym ociąganiem. – Pasowali do siebie. Pan pewnie nigdy nie widział tamtej dziewczyny. Mieli się we trójkę spotkać w mojej restauracji. On przyszedł, a oni nie zjawili się nigdy. Niezbadane są koleje ludzkiego losu. Questa è la vita...

– O czym tak rozprawiasz Filippo? – głos Sosnowskiego dał się słyszeć tuż za naszymi

plecami.

– O wyższości włoskiej kuchni nad chorwacką i o tym, że pan i pana przyjaciele będą tu podejmowani na koszt firmy do końca mojego życia.

Chyba nie całkiem mu uwierzył.

\* \* \*

Kupiłem gazetę zaraz z rana, jeszcze w porcie. W końcu czwartek, dzień cotygodniowych reportaży o Katarinie. Zacząłem nerwowo wertować strony. Davor mnie zaskoczył. Nie wymyślał, nie fantazjował, nie obnażał. Może jednak nikogo nie zna się tak naprawdę do końca. Miejsce reportażu zajął wywiad z Petersonem: „Tajniki ludzkiej pamięci”.

– Zajmuje się pan ludzką pamięcią, panie doktorze?

– W pewnym sensie należy ona do interesujących mnie tematów. Z zawodu jestem neurologiem, psychiatrą, psychoterapeutą.

– Ale zagadnienia związane z ludzką pamięcią interesują pana szczególnie?

– Można tak powiedzieć, zwłaszcza w ostatnim czasie.

– Czym jest pamięć?

– Pamięć jest to zdolność do utrwalania, przechowywania, rozpoznawania i ponownego odtwarzania treści doznanych uprzednio spostrzeżeń, myśli, emocji, wrażeń zmysłowych, skojarzeń, informacji. Człowiek, w przeciwieństwie do zwierząt, ma zdolność nie tylko zapamiętywania wrażeń zmysłowych i symboli, ale również do przechowywania obrazu własnej świadomości. Pamięć umożliwia nam zdobycie doświadczenia i wykorzystanie go w działaniu. Z tych względów odgrywa ona główną rolę w procesie dostosowania jednostki do otoczenia.

– Co się dzieje, kiedy wystąpią zaburzenia pamięci?

– Myślę, że chodzi panu głównie o niepamięć wsteczną.

– Tak, ta interesuje mnie szczególnie...

– Amnezja wsteczna polega na utracie pamięci w odniesieniu do zdarzeń, których dana osoba była świadkiem przed urazem będącym powodem amnezji. Najczęściej występuje po urazach czaszki, powodujących na przykład wstrząśnienie mózgu, ale może też wystąpić po próbach samobójczych przez powieszenie lub zatrucie gazem, po próbie duszenia, po napadach padaczkowych...

– Czy w takim przypadku pamięć może powrócić?

– Tak, oczywiście, z tym że wszystko wymaga czasu. Okres niepamięci może stopniowo ulec skróceniu, to znaczy, że najpierw w pamięci odżywają wydarzenia odległe, a następnie coraz to bliższe chwili pojawienia się zaburzeń świadomości.

– Aż nagle pewnego dnia powróci wszystko...

– No, nie zawsze jest to takie proste. Nie zawsze istnieje taka możliwość. Jeżeli, przykładowo, w wyniku uszkodzenia mózgu doszło do zmian organicznych w centralnym układzie nerwowym, to pacjent może nigdy nie odzyskać pamięci.

- Czy zawsze wygląda to podobnie?
- O nie, w medycynie raczej rzadko coś pasuje idealnie do schematów. Mamy ponadto różne rodzaje amnezji.
- Na przykład?
- Weźmy na przykład niepamięć psychogenną, inaczej dysocjacyjną. Mamy różne rodzaje amnezji dysocjacyjnej. Może być tak zwana niepamięć dysocjacyjna zlokalizowana, kiedy osoba nie pamięta niczego z danego okresu, zwykle pierwszych kilku godzin po traumatycznych wydarzeniach. Może być tak zwana selektywna, kiedy osoba zapomina tylko pewne wybrane wydarzenia z danego okresu; całościowa, kiedy pacjent zapomniał historię swojego życia; ciągła, kiedy osoba nie pamięta niczego poza określonymi momentami z przeszłości. Nie chciałbym zanudzać...
- Mówił pan, że pamięć powraca, że chory na początku przypomina sobie dawniejsze wydarzenia, później te coraz bliższe nieszczęścia, które spowodowało zaburzenia pamięci. Czy teoretycznie mogłoby się zdarzyć, że powrót takiej pamięci stanie się dla kogoś niebezpieczny?
- Nie do końca rozumiem, co ma pan na myśli?
- Jeżeli na przykład do zaniku pamięci doszło w wyniku urazu mózgu, będącego wynikiem działania osób trzecich...
- Chodzi panu o to, czy pacjent mógłby na przykład w szczególnych okolicznościach stać się niebezpieczny dla swojego niedoszłego zabójcy?
- Na przykład.
- Mógłby teoretycznie, oczywiście, że tak. Załóżmy na przykład, że pacjent doznał urazu w wyniku uderzenia w głowę. Wystąpiły zaburzenia neurologiczne, utrata przytomności, później pojawiły się zaburzenia pamięci pod postacią niepamięci wstecznej. To prawda, że pacjent nawet po wielomiesięcznym okresie niepamięci może sobie przypomnieć to wydarzenie, może nagle przypomnieć sobie twarz napastnika, ale zwykle należy być w ocenie bardzo ostrożnym. Pamięć nie wraca tak od razu usystematyzowana, ułożona w chronologicznym porządku. Często pacjent nie jest w stanie podać kolejności wydarzeń. Powstają pewne luki w pamięci, które mogą być wypełniane przez nie do końca prawdziwe wspomnienia. Ludzie często wypełniają luki w pamięci treścią fałszywą, przypadkową, czasem wręcz nieprawdopodobną bądź podsunętą w sugestywnym pytaniu. Może to robić wrażenie zmyślenia, mówienia co bądź, ale może też sprawiać wrażenie prawdy. Nie zawsze jest to łatwe do odróżnienia.
- Słyszałem, że pracuje pan także jako biegły sądowy...
- Czasami. To trudna praca.
- Jak postrzegalby pan pacjenta z wcześniejszymi zaburzeniami pod postacią niepamięci wstecznej jako świadka w sprawie o usiłowanie zabójstwa?
- Ostrożnie, bardzo ostrożnie i z dużą dozą nieufności. Pamięć zupełnie zdrowych ludzi często płata figle, a co dopiero powracająca pamięć u chorych...
- Mówi pan, że pamięć zdrowym ludziom też płata figle?
- Oczywiście, każdy z nas zapomina. Jedną z teorii głosi, że niekiedy informacje są przechowywane w pamięci, ale pojawiają się trudności z ich wydobywaniem. Weźmy na przykład pana. Jeżeli spytam, co pan robił przed czterema laty, dokładnie na początku

lipca, to może się okazać, że odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. W odpowiednich warunkach informację tę można sobie przypomnieć.

– Nie bardzo rozumiem.

– Jeżeli zwrócę się do pana inaczej: pamięta pan, jak przed czterema laty zjawił się pan po raz pierwszy w mojej klinice? Informacja stanie się dostępna. Nagle coś, co wydawało się nie do przypomnienia, stanie się jasne i oczywiste. Pewnie teraz potrafiłby pan już z najdrobniejszymi szczegółami opowiadać o naszym pierwszym spotkaniu i nie miałby pan żadnych wątpliwości, że to było przed czterema laty na początku lipca. Zgodnie z teorią utraty dostępu zapominanie polega na niemożliwości wydobywania z pamięci, nie zaś na utracie danych. W odpowiednich warunkach informacja może, jak pan widzi, zostać wydobyta. Czasami wystarczy proste pytanie, innym razem hipnoza, niekiedy zaś sprzyjający kontekst sytuacyjny.

– Mógłby pan podać jakiś przykład?

– Ludzie przypominają sobie wiele jakoby już na zawsze zapomnianych zdarzeń, gdy znajdują się ponownie w podobnej sytuacji. Pamięta pan swój pierwszy dzień w szkole?

– Niespecjalnie, to było przed trzydziestu laty.

– Niech pan spróbuje wybrać się do swojej dawnej szkoły, na przykład na rozpoczęcie roku szkolnego. Nagle przypomni pan sobie rzeczy, które według pana już dawno zniknęły z pana pamięci. Odżyją twarze dawnych kolegów, nazwiska nauczycieli, zabawne historie. Proszę spróbować, czasami warto coś wyciągnąć z zakamarków zapomnienia. Istnieją jeszcze inne teorie zapominania. Ta, o której chcę wspomnieć, może pana szczególnie zainteresować – teoria wyparcia. Myślę, że jeżeli mówimy o różnych zaburzeniach pamięci, nie możemy o niej zapomnieć.

– Teoria wyparcia?

– Tak, teoria wyparcia. W swej pierwotnej wersji stworzona była przez Zygmunta Freuda. Głosi ona, że proces zapominania jest umotywowany. Wyparcie jest mechanizmem obronnym, którego zadaniem, najogólniej mówiąc, jest niedopuszczenie do świadomości pewnych przeżyć, myśli, impulsów, doznań czy wspomnień. Zgodnie z tymi założeniami pewne nieprzyjemne wspomnienia mogą być wypierane, czyli usuwane ze świadomości i niemożliwe do przypomnienia. W rzeczywistości istnieją one nadal w pamięci, jednak są aktywnie tłumione. Subiektywnie odnosimy wrażenie, że te informacje po prostu nie istnieją.

– Czy mógłby pan to trochę przybliżyć naszym czytelnikom?

– Oczywiście. Najłatwiej wytłumaczyć to na podstawie pewnego eksperymentu. Przeprowadzono wywiady z kobietami, które siedemnaście lat wcześniej były leczone po tym, jak zostały wykorzystane seksualnie. Proszę sobie wyobrazić, że 38 procent tych kobiet nie potrafiło sobie w ogóle przypomnieć tego traumatycznego zdarzenia. Zostało ono pozornie wyparte z ich pamięci. Ponadto jeżeli osobą wykorzystującą był ktoś bliski, zapomnienie występowało częściej niż w przypadkach, gdy była to osoba obca. Teoria wyparcia tłumaczy również, dlaczego niekiedy ludzie zachowują się tak, jakby pamiętali pewne wydarzenia, mimo że ich nie pamiętają. Na przykład dziecko, które wpadło kiedyś do basenu i topiło się, może panicznie bać się wody, mimo że nie pamięta tego wydarzenia...

Czytałem ten artykuł już kolejny raz, z minuty na minutę utwierdzając się w przekonaniu, że powinienem zadzwonić do Petersona. Miałem wrażenie, jakby tego wywiadu udzielił specjalnie dla mnie. Pewnie on ma rację, sami raczej nie damy rady. Peterson na pewno czeka na mój telefon.

\* \* \*

– Mówiłem panu, że to wszystko wymyka się spod kontroli – Peterson siedział naprzeciw mnie, bawiąc się bezwiednie wyciągniętym z pudełka niezapalonym papierosem. – Zupełnie już nie panujemy nad tym.

– Przecież można było przewidzieć, że to kiedyś nastąpi – rzuciłem.

– Za szybko, za wiele rzeczy dzieje się naraz. Odległa przeszłość ma jeszcze mnóstwo luk, a pojawiają się już retrospekcje z okresu tuż przed utratą przytomności. Nikt z nas nie wie, czy to tylko niepamięć wsteczna, czy mamy też do czynienia z wcześniejszym dodatkowym wyparciem z pamięci pewnych bardzo traumatycznych wydarzeń. A może to tylko konfabulacje? Może Katarina próbuje nieświadomie wypełnić jakąś treścią luki istniejące w pamięci. Tak dzieje się często. Jedna rzecz jest tylko nietypowa: te treści ją przerażają – myślał głośno. – Konfabulacje najczęściej wypełniają luki w pamięci treścią neutralną, nie zawsze logiczną, nie zawsze spójną, ale prawie zawsze obojętną emocjonalnie. W tym przypadku jest zupełnie inaczej, ale ona nie pozwala sobie pomóc. Wcześniej była otwarta w rozmowach, szczerą... Teraz nasze spotkania powoli zaczynają tracić sens... – Odruchowo włożył do ust niezapalonego papierosa. – Pamięta pan, co wydarzyło się ostatnio?

Pamiętałem. Peterson przyjechał do nas, jak zwykle, w sobotę. Siedzieliśmy w trójkę przy ławie w ogrodzie, rozmawiając właściwie o niczym. Parokrotnie próbował nawiązać do tamtego naszego nurkowania. Katarina opowiadała mu o kolorowych ławicach, kłujących jeźowcach, zimnych prądach, fantastycznej grze świateł... Nagle spytał ją o ten jej paniczny lęk. Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Jest pan neurologiem, psychiatrą. Jak każdy lekarz, patrzy pan na świat przez pryzmat patologii – zabrzmiało odrobinę niegrzecznie. – Tym razem to nie jest patologia. To nie jest nieokreślony paniczny lęk. Nie boję się wody. Jeszcze niedawno trenowałam pływanie. Zrobiłam sobie sama test Liebowitza. Nie mam żadnej społecznej fobii. Nie boję się telefonować, rozmawiać z ludźmi, jeść w miejscach publicznych, nie odczuwam lęku w żadnej z tych dwudziestu czterech omawianych tam sytuacji. Niczego też nie unikam. Czasami czuję się niezręcznie, jak każdy cudzoziemiec z ograniczoną znajomością obcego języka, jak każdy, kto nagle zetknął się z inną kulturą, inną tradycją, innymi zwyczajami, jak każdy obcy. Nie mam absolutnie żadnej fobii. Nie potrzebuję od pana żadnych lekarstw. Lekarstwami nie jest mi pan w stanie pomóc. Pamiętam coś, co budzi we mnie wewnętrzny niepokój, wywołuje strach. Muszę mieć pewność, czy to, co pamiętam, jest prawdą, muszę to zrozumieć, bo inaczej każdego dnia będę się bać coraz bardziej. Już teraz zaczynam to odczuwać. Dzisiaj boję się bardziej niż wczoraj, a jutro zapewne będę się bała bardziej niż dzisiaj...

Wstała. Ruszyła w kierunku domu. Zakończyła tę rozmowę, nie dopuszczając go nawet

do głosu.

– Niech pan poczeka chwilę, panie doktorze. – Odwróciła się nagle w jego stronę. – Pokażę panu coś niesamowitego – mojego psa...

\* \* \*

– Pamięta pan? – Musiałem się chwilę zamyślić, bo głos Petersona dotarł do mnie jak z zaświatów.

– Pamiętam, oczywiście, że pamiętam.

– Ja też, niestety – Peterson cały czas bawił się papierosem. – Wczoraj zadzwoniła do mnie i odwołała psychoterapię. Powiedziała to panu?

– Nie! – Byłem zdziwiony, zdołał mnie jednak czymś zaskoczyć. – Prawdę mówiąc, nie miała okazji, wróciłem z portu bardzo późno.

– A więc pan jeszcze nic o tym nie wie – zamyślił się na chwilę. – Ciekawe, co panu powie. Mnie powiedziała, że nie potrzebuje chwilowo kontaktu z psychoterapeutą, że dziękuje. Przeraziło mnie to. Przeżyliśmy już z tą dziewczyną tak wiele, że nie potrafię zachować dystansu.

– „Dzisiaj boję się bardziej niż wczoraj, jutro będę się zapewne bała bardziej niż dzisiaj...” – powtórzyłem bezwiednie słowa Katariny.

– Pan wie więcej niż ja – rzucił bez cienia sarkazmu.

– Pewnie tylko odrobinę więcej.

– Co pan zamierza?

– Popłynę z nią do Splitu.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Jeżeli z nią nie popłynę, zrobi to sama – tłumaczyłem. – Powiedziała, że musi pojechać do Splitu, że chce wejść zachodnią bramą na teren pałacu Dioklecjana.

– Niech pan na nią uważa! Jeżeli to, co się przytrafiło podczas nurkowania, nie było nieuzasadnionym panicznym lękiem, to może rzeczywiście ona coś pamięta. Może te wszystkie lęki to zespół stresu pourazowego. Wiele objawów pasuje: natrętnie wracają przerażające wspomnienia, pojawiają się koszmarne sny o przeżytym wydarzeniu, budzi się niepokój w sytuacjach przypominających owo wydarzenie, złudzenie jego powtarzalności... Niech pan na nią uważa! – powtórzył.

Nie wstał, żeby się pożegnać. Kolejny już raz, jakby automatycznie, wsadził do ust niezapałonego papierosa. Ruszyłem w kierunku drzwi.

– Jeszcze jedno – usłyszałem za swoimi plecami. – Petrovic przelał na pana konto pieniądze za wywiad ze mną. Nie chcę się wtrącać, ale moim zdaniem ten wasz konflikt jest zupełnie idiotyczny.

\* \* \*

W czwartek zamiast artykułu Alena puściłem wywiad z Petersonem. On także mógł się okazać hitem.



– Szefie, pan też sądzi, że ktoś chciał ją zabić?

Siedząca przy biurku w sekretariacie Sonja oderwała na krótko wzrok od czytanego właśnie dzisiejszego numeru naszej gazety i spojrzała na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Z tego, co wiem, płacę pani za pracę, nie za czytanie gazet – stwierdziłem oschle.

– W końcu to pana gazeta – udawała, że nie rozumie.

– Moja czy nie moja, nie ma to żadnego znaczenia. Czy sprawdziła pani terminarz na dziś? – zmieniłem temat.

– Tak, oczywiście – głos stał się zimny i profesjonalny. – O jedenastej ma pan spotkanie z panem Mirovicem, potem...

– Dlaczego pani sądzi, że ktoś chciał ją zabić? – przerwałem jej.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– W całej tej historii wszystko na to wskazuje. Mnie to przyszło na myśl już dawno. Inne dziewczyny też tak uważają. Ten wywiad z doktorem Petersonem mógłby w takim przypadku stać się dla niej niebezpieczny – spojrzała na mnie niepewnie. – Później ma pan obiad ze sponsorem... – wróciła do poprzednio referowanego porządku dnia.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Nie ma tu nic do myślenia, tak się pan przecież poumawiał – patrzyła na mnie zdeorientowana.

– Nie o spotkania pytam, tylko o artykuł.

Nie odpowiedziała od razu. Pewnie była zdziwiona i ogłupiała przebiegiem tej rozmowy.

– Jeżeli naprawdę ktoś chciał ją wtedy zabić, to ten wywiad był chyba lekko nieprzemyślany...

– Co pani mówi? – nie mogłem zrozumieć.

– Wiem, nie mam prawa oceniać niczyjej pracy w redakcji, a już w szczególności pana...

Zaczęła się plątać i w końcu zawstydzona zamilkła.

– Zostawmy sprawę redakcji. Niech pani mówi o tej dziewczynie. Czytała pani wszystkie artykuły?

– Tak.

– I dlaczego pani twierdzi, że to niebezpieczne?

– Założmy, że z bliżej niewyjaśnionych powodów ktoś naprawdę chciał ją zabić. Dziewczynę znaleziono nieprzytomną, stwierdzono u niej udar mózgu. Nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów, niczego. Przez parę tygodni jej zdjęcie pojawiała się systematycznie w telewizyjnej kronice policyjnej, a później również w naszej gazecie. Alen z portretem pamięciowym jej przyjaciela przeszukał wszystkie nory w Splicie. Nic, kompletnie nic, a przecież pan dobrze zna Alena. Ten ktoś się musiał gdzieś zaszyć. Proszę sobie wyobrazić, że to pan jest tym niedoszłym mordercą. Już pan wie, że nie udało się jej zabić, że żyje, że jest nieprzytomna. Uspokaja się pan. W końcu nieprzytomni nikomu nie zagrażają. Później dowiaduje się pan, że oddycha już samodzielnie, że jest przytomna, ale nic nie mówi i nic nie pamięta, potem, że wróciła mowa, a teraz od dobrych już paru miesięcy, że wraca jej powoli pamięć. Jacyś dziennikarze wpadają na pomysł cyklu

artykułów. Dla nich to świetny sposób na zdobycie środków na leczenie i rehabilitację dziewczyny. Przez przypadek stwarzają jednak mordercy okazję do spokojnego kontrolowania sytuacji. Co tydzień tysiące ludzi uzyskują informacje o stanie jej zdrowia, o efektach terapii, o smutkach, radościach, rozterkach. Morderca czyta każdy artykuł. Czeka na niego jeszcze niecierpliwiej niż przeciętny czytelnik. Przed tygodniem pojawił się artykuł, który po raz pierwszy umożliwił lokalizację miejsca jej pobytu. Alen, opowiadając o zabawie dziewczyny z psem, dość dokładnie opisał zatokę. Wystarczy, że ktoś zna dobrze wyspę Brač. Dla mojego chłopaka zlokalizowanie tego miejsca nie było najmniejszym problemem. Pojechaliśmy tam w niedzielę. Znaleźliśmy je bez większego trudu. Każdy może teraz już wiedzieć, gdzie bywa Katarina. W tym tygodniu pojawił się wywiad, w którym doktor Peterson opowiada o niepamięci wstecznej, mówiąc, że wraca ona powoli, że najpierw chory przypomina sobie rzeczy odległe, później coraz bliższe nieszczęściu, aż w końcu może sobie przypomnieć wszystko. Na domiar złego, jakby zakładając, że część czytelników to kompletni debile – Sonja mówiła triumfująco – pan go pyta, czy pacjentka może sobie także przypomnieć, na przykład, twarz niedoszłego mordercy. Zaraz z rana zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka z pytaniem, o co tu chodzi. Czy jest to jakaś przemyślana akcja policyjna, czy też pan chce urozmaicić artykuły i zwiększyć poczytność swojej gazety. Dzwoniła do niej jakaś jej znajoma, która wie, że się przyjaźnimy, a ja pracuję u pana w redakcji...

Słuchałem zaskoczony. Przeprowadzając wywiad z Petersonem, nie myślałem nawet o tym, nie brałem tego pod uwagę. Wywiad miał być interesujący, a trudno opowiadać ciekawie o niepamięci wstecznej. Pytaniami próbowałem wprowadzić choć trochę emocji w te czysto naukowe tematy. Teraz nagle uświadomiłem sobie, że istnieje inna, przerażająca, ale możliwa wersja wydarzeń. To była tylko jedna z wielu hipotez, ale równie niewykluczona jak nietypowa choroba.

– Niech pani odwoła wszystkie dzisiejsze spotkania – przerwałem jej.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Co mam zrobić? – nie mogła zrozumieć.

– Nie ma mnie dzisiaj dla nikogo. Proszę odwołać wszystkie spotkania.

Tylko spokojnie, myślałem, tylko bez paniki. Najpierw zadzwonię do Jeleny, poproszę ją, żeby zatrzymała Katarinę w domu, później do Petersona i do Alena. Nie, najpierw do Alena, a później do Petersona. A potem, jak, do diabła, nazywał się ten kapitan miejscowej policji?

\* \* \*

Jelena nie mogła niczego zrozumieć. Kolejny już raz powtarzałem jej, żeby pod byle jakim pretekstem zatrzymała Katarinę w domu, że dziewczynie może grozić niebezpieczeństwo, że przyplynie najbliższym promem, a Alena nie mogą zawiadomić, bo pewnie wypłynęli gdzieś dalej w morze i jego komórka nie ma zasięgu.

– Davor, czy ty czasem czegoś nie piłeś? I to tak zaraz z rana? – spytała w końcu głosem pełnym zwątpienia. – Mówisz kompletnie bez sensu. Nic, zupełnie nic nie mogę zrozumieć.

– Zrozumiesz później. Wszystko ci dokładnie wytłumaczę. Zaufaj mi!

– Zaufać tobie? – jej głos nagle przybrał lodowaty ton. – Kiedyś ufałam ci bezgranicznie...

– Każdy może się pomylić. Kosowo to był mój błąd. Przepraszam. Jeżeli ci chodzi o tamto, to mogę się później pokajać i wytłumaczyć. Sam zrozumiałem to wszystko trochę za późno. Zatrzymasz ją w domu?

– Spróbuję – powiedziała bez większego przekonania. – To może być trudne. Ona zawsze rano idzie z psem nad zatokę...

– Tylko nie nad zatokę... – jęknąłem. – Właśnie tam może się jej przydarzyć coś złego – zacząłem prawie krzyczeć do słuchawki. – W żadnym wypadku nie nad zatokę! Jelena, słyszysz? Mnie coś zaćmiło. Na chwilę przestałem myśleć. Alen postawił mnie w bardzo trudnej sytuacji. Zostałem bez artykułu na dzień przed drukiem. Obiecałem mu, że jej nie skrzywdzę. Pisałem wtedy całą noc. Ważyłem każde słowo. Nie chciałem niczego zepsuć. Nie chciałem urazić ich emocji, uczuć. Skrzywdziłem ją w inny sposób. Zachowałem się jak idiota. Dokładnie opisałem tę zatokę. Rozumiesz? Każdy, kto zna wyspę, doskonale teraz wie, gdzie można ją znaleźć. Mimo woli zdradziłem jej kryjówkę. Każdy może teraz do niej dotrzeć, każdy może ją tam skrzywdzić. Słyszysz? Jelena, słyszysz? – powtórzyłem, nie czekając na odpowiedź.

– Nie jestem głucha – głos staruszki rozległ się ostro tuż przy moim uchu, jakby stała za moimi plecami. – Demencji też jeszcze nie mam. Czytałam tamten twój artykuł. Przeczytałam też ten dzisiejszy wywiad. Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale masz rację. Chyba zacznym rozumieć.

– Za chwilę odbija prom. Zaufaj mi! – powtarzałem już kolejny raz. – Za wszelką cenę zatrzymaj ją w domu!

Gdy postawiłem samochód pod ich bramą, miałem już pewność – duże, włochate psisko przechadzało się tam i z powrotem po podwórku. Pies wydawał się jeszcze większy niż wtedy, kiedy widziałem go bawiącego się z Katariną na plaży. Mogłem liczyć na Jelenę jak kiedyś, pomyślałem. Udało się jej. Nacisnąłem klamkę, chciałem pchnąć furtkę. Pies przywitał mnie ujadaniem. Rzucił się biegiem w kierunku furtki z niewyobrażalnym jazgotem. Uniesione wargi odsłaniały szereg białych zębów, zaciskających się co chwila w złowrogich warknięciach. Odruchowo zrobiłem krok do tyłu, szczelnie zamykając bramę. Zwierzę przestało ujadać. Stało naprzeciw mnie, po drugiej stronie płotu, mierząc mnie czujnym wzrokiem. Po chwili pies zignorował mnie zupełnie. Ruszył wolnym krokiem w kierunku budy, znajdującej się przy wejściu do szopy. Teraz nic już nie zakłócało ciszy. Stałem nadal za płotem, niezauważony przez nikogo z domowników. Pies położył się przy budzie, łeb ułożył na wyciągniętych przednich łapach, czuwał. Odczekałem chwilę. Nie próbowałem nawet dzwonić. Dzwonek znajdował się co prawda tuż obok skrzynki na listy, ale wystające druty nie zachęcały do jego używania. Psisko położyło się na boku, wyciągnęło łapy, przymknęło oczy, zaczęło drzemać. Odczekałem jeszcze moment i znów powoli spróbowałem otworzyć furtkę. Pies zerwał się od razu i ze zdwojoną siłą ruszył do ataku. Na progu domu zobaczyłem Katarinę.

– Ares, waruj! – głos był stanowczy, zdecydowany. – Pan Petrovic? – spojrzała na mnie pytająco. – Niech pan wejdzie! – cofnęła się w zapraszającym geście. – Jelena wspominała, że pan przyjedzie. Czeka na pana.

Zrobiłem krok do przodu, niepewnie zerkając w stronę psa.

– Proszę się nie bać. On przy mnie jest zupełnie niegroźny.

Spodziewałem się zastać Jelenę w kuchni. Tak było zawsze. Tym razem kuchnia była pusta. Nie było w niej nawet śladów po Jelenie.

– Jelena czeka na pana w swoim pokoju – dziewczyna wyjaśniła pośpiesznie. – Poczuła się dzisiaj trochę słabiej. Chciała położyć się do łóżka. Pan zna ponoć ten dom... – patrzyła na mnie pytająco, z nieukrywaną ciekawością.

– Trafię. Kiedyś tu często bywałem. W pewnym sensie wyrosłem w atmosferze tego domu. Jelena jest przyjaciółką mojej matki... – Nie wiem, czemu jej to mówiłem.

– Wiem, Jelena wspominała mi coś o tym. Jest pan też szefem Alena...

Nadal stała tuż przede mną, piękniejsza jeszcze niż na tamtych fotografiach.

– Właściwie słowo „szef” jest nie do końca adekwatne do naszych relacji... – wymknęło mi się mimochodem. Dziewczyna udała, że nie słyszy, a może nie chciała już ciągnąć tego tematu.

– Gdybyście czegoś potrzebowali, to proszę dać znać. Obiecałam Jelenie, że do powrotu Alena zostanę dzisiaj w domu. Po tamtej chorobie boi się czasem zostać sama. – Dziewczyna odwróciła się niespodziewanie na pięcie i ruszyła w kierunku swojego pokoju.

Jelenę zastałem siedzącą w fotelu. Spojrzałem na nią pytająco.

– Nie, ze mną wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Nie wiedziałam, co wymyślić, żeby ją zatrzymać. Nie pomyliłam się, to musiało zadziałać – mówiła szeptem, jakby obawiając się, że jakimś cudem Katarina może to usłyszeć. – Nie wiem tylko, jaka będzie reakcja Alena, gdy cię tu zobaczy. Pomyślałam sobie, że dużo lepiej będzie, jeżeli spotkacie się tutaj, u mnie na górze. Lepiej jej tego wszystkiego oszczędzić.

\* \* \*

Reakcja Alena była łatwa do przewidzenia. Wpadł jak burza do pokoju Jeleny. Hasło „Czekam u ciebie w domu”, wysłane SMS-em, podziałało błyskawicznie.

– Co ja mam zrobić, żeby się wreszcie od ciebie uwolnić? – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Nie ma ceny, której nie zapłacę. Ty jesteś jak gówno, w które weszło się przypadkowo, a które tak mocno przyłgnęło do buta, że nie można go oderwać. A gdy już się to uda, to smród po nim jeszcze na długo zostanie. Czego znowu ode mnie chcesz?

– Niczego, pogadajmy – nie dałem się sprowokować, starałem się kontrolować swoje emocje, mówiłem spokojnie. – Nie wrzeszcz – odruchowo odsunąłem się odrobinę do tyłu.

– Jak śmiesz tu przychodzić? – kipiał.

Stał naprzeciw mnie z zaciśniętymi pięściami, a ja zacząłem się zastanawiać, czy Jelena zdoła go powstrzymać.

– Mów ciszej. Nie wrzeszcz – próbowałem choć trochę nad nim zapanować.

– Śmiesz mnie pouczać w moim własnym domu? – poczułem się tak, jakbym przypadkiem dolał oliwy do ognia. – Zdecydowanie nadużywasz naszej gościnności. Co powiedziałaś Katarinie? Że jesteś dobroczyńcą łączącym na jej terapię?

– Nie, że jestem synem przyjaciółki Jeleny. Usiądź, pogadajmy – próbowałem go choć

trochę spacyfikować.

– Chętnie – mówił coraz głośniej. – Jest jedna kwestia, którą omówię z tobą bardzo chętnie. – Uspokoił się nagle, oczy zwęziły mu się niebezpiecznie, głos ścichł. – Za pracę Petersona płac Petersonowi – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Wypchaj się tymi swoimi zasranymi pieniędzmi! – rzucił znacznie głośniej.

– To nie był mój pomysł. Twój stosunek do mnie i do moich pieniędzy jest mi bardzo dobrze znany – starałem się ciągle mówić spokojnie. – To Peterson przelał ci swoje zarobione u mnie pieniądze. Próbowałem mu powiedzieć, że to nietrafiony pomysł, ale on nie bardzo mógł to zrozumieć. Chyba jeszcze za krótko się znacie.

– Cisza! – Głos Jeleny wdarł się niespodziewanie pomiędzy nas. Ucichliśmy obaj. – Chcecie skakać sobie do oczu, to idźcie stąd. Jestem za stara na takie awantury – skończyła już ciszej.

Podziałało. Było jak kubeł zimnej wody. Zamilkliśmy.

– Alen, Davor przyjechał tu, tym razem, w dobrej wierze. Przez przypadek nagle zrobiło się niebezpiecznie.

– Niebezpiecznie? – Miałem odczucie, jakby to słowo nie było w stanie przebić się do jego świadomości. – Co niby jest niebezpieczne?

– Jeżeli ktoś wtedy próbował zabić Katarinę, to może spróbować jeszcze raz... – Jelena powiedziała to podejrzenie spokojnie.

– Wysoce prawdopodobne, że może uderzyć od razu – wpadłem Jelenie w słowo.

– Co wy? Odbiło wam obojgu? – Alen przyglądał się nam uważnie. – Oszaleliście? – Kompletnie nic nie mógł zrozumieć. – W co wy razem gracie?

– Posłuchaj, to w pewnym sensie moja wina – zacząłem niepewnie. – Postawiłeś mnie w trudnej sytuacji. Powinienem przewidzieć, że to kiedyś nastąpi. Musiałem coś napisać. Obiecałem ci, że w żaden sposób nie uderzę w Katarinę. Bez względu na to, co o mnie myślisz, nawet nie potrafiłbym. Spróbowałem skoncentrować się tylko na tej sytuacji na plaży. Piękna dziewczyna, jeszcze niedawno walcząca o życie, teraz bawiąca się z psem. Unikałem wszystkiego, co mogłoby ją skrzywdzić. Zdekoncentrowałem się. Zaćmiło mnie. Zaprogramowałem się zbyt jednostronnie. Założyłem, że nasze domniemania na temat jej wypadku muszą być prawdą. Uderzyłem najmocniej, jak mogłem.

Alen nie przerywał. Nie wrzeszczał. Skoncentrowany do bólu, wpatrywał się we mnie.

– Opisałem zatokę – dokończyłem zrezygnowany. Wyjąłem z kieszeni pomięty wycinek z gazety. – „Z korony wapiennych skał otaczających łukiem zatokę rozciągał się widok na zwirową, wąską plażę, jakby przytuloną do pionowych zboczy, z jednym samotnym drzewem oliwnym, jakimś cudem zawieszonym na skarpie, jakby w pół drogi pomiędzy błękitem nieba a atramentowym granatem wody, przedzieloną na dwie części wysoką, wychodzącą w morze skalną mierzeją. W pierwszej części promienie popołudniowego słońca rzucały jeszcze miękkie, przyjazne światło, igrały na wodzie, połączając słoneczną poświatą powoli granatowiejące morze. W drugiej królował już cień rzucany przez kamienny cypel ostro wychodzący w morze, kończący się nagle pionową, idealnie gładką ścianą. Gdzieś w oddali, za wąskim wyjściem z zatoki widać było rybackie kutry płynące powoli w kierunku portu... Kamienne stopnie zaczynające się tuż przy starym cyprysie, wyszczerbione i nierówne, jakby wyciosane w pośpiechu, wiodły tuż nad wodę zatoki”.

Rozumiesz?

Alen już nie wrzeszczał, nie groził, nie zaciskał pięści, słuchał.

– Każdy zdoła ją znaleźć. Każdy, kto choć trochę zna tę wyspę, jest w stanie ją znaleźć – poprawiłem się szybko.

– I pomyślałeś o tym nagle dzisiaj przed południem? – spytał Alen matowym głosem.

– Nie pomyślałem – stwierdziłem szczerze. – Zupełnie nie pomyślałem. To Sonja zapytała mnie dzisiaj złośliwie, czy jest to świadoma akcja policji, czy też mam zamiar zwiększyć nakład swojej gazety, uśmiercając Katarinę. Powiedziała coś, czego zupełnie nie brałem pod uwagę, czego nie widziałem wcześniej. Założyliśmy, że on wyjechał, że nie szukał jej, bo ona miała tutaj dłużej zostać. Wszystko w miarę pasowało i trzymało się kupy, ale rzeczywiście równie dobrze można założyć coś zupełnie innego – próbowałem mówić w miarę logicznie, spokojnie. – Przyjmijmy na chwilę, że to faktycznie była próba morderstwa... Nigdy nie braliśmy tego pod uwagę. Pomyśl, nagle zmienia się wszystko. Peterson opowiada w dzisiejszym numerze o powracającej pamięci, my ze swoimi artykułami umożliwiamy już od wielu miesięcy dokładną kontrolę sytuacji... Nagle robi się niebezpiecznie. Ten ktoś dowiaduje się, że lada moment może zostać zidentyfikowany. Ja tydzień wcześniej w debilny wprost sposób zdradzam miejsce jej pobytu. Niedoszły zabójca wpada więc na pomysł, żeby dokończyć coś, co mu wcześniej nie wyszło... Myślałem, że tu dzisiaj nie dojadę. Bałem się, że nie zdążę, że Katarina pójdzie sama nad zatokę. Ty byłeś nieosiągalny... Peterson, jeszcze bardziej przerażony ode mnie, popędził na policję. Mogłem liczyć tylko na Jelenę...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. W drzwiach stanęła Katarina.

– Przepraszam, że przeszkadzam – rzuciła niepewnie. – Chcę tylko powiedzieć, że idę na chwilę z Aressem nad zatokę.

– Katarina, zostań ze mną – głos Jeleny brzmiał prosząco.

– Myślałam... – dziewczyna wyglądała na zaskoczoną. – Alen dopiero przyjechał. Myślałam, że zostaje. Stało się coś? – zapytała zdezorientowana.

Patrzyła na Jelenę, na Alena, na mnie. Była coraz bardziej niepewna, coraz bardziej przerażona.

– Stało się coś złego? – powtórzyła zdenerwowana.

– Nie, nic złego – odrzekła uspokajająco Jelena. – Niewiele rozumiem z tych ich problemów. Muszą jeszcze dzisiaj popłynąć do Splitu.

Pomyślałem sobie, że takiej Jeleny nie znałem.

– Jeśli się nie pospieszycie, to spóźnicie się na prom – spojrzała wymownie w moją stronę.

\* \* \*

– Co mi pan tu opowiada, panie doktorze? – Kapitan Begovic wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. – Zupełnie nic nie mogę z tego zrozumieć. – Z minuty na minutę był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Próbuję tylko powiedzieć, że istnieje taka możliwość, że tej cudzoziemce może coś zagrażać – Peterson plątał się coraz bardziej.

– Spróbujmy to skleić w jakąś logiczną całość – Begovic usiadł na blacie biurka tuż przy krześle Petersona. Zaczął mówić z sarkazmem. – Powiedział mi pan dzisiaj, że istnieje taka możliwość, że ktoś chciał tę dziewczynę przed ponad dwoma laty zabić, że teraz przez czysty przypadek redaktor naczelny miejscowej gazety, znany mi skądinąd osobiście w związku z tą całą historią Davor Petrovic, opisał dokładnie miejsce, gdzie można ją znaleźć. Pan, również przez czysty i zupełnie niezamierzony przypadek, opowiedział o etapach powrotu ludzkiej pamięci, a pana znajomy, wcześniej już wspomniany Davor Petrovic, opublikował to w dzisiejszym numerze swojej gazety. Ponadto twierdzi pan, że dopiero po telefonie redaktora naczelnego, którego olśniła jego sekretarka, zaczęliście sobie panowie zdawać sprawę z tego, że to wszystko, co ostatnio razem wyczynialiście, może być dla tej dziewczyny niebezpieczne. Przyzna pan, że to wszystko brzmi co najmniej idiotycznie? – Kapitan z lekkim uśmiechem wpatrywał się w twarz swojego rozmówcy.

– Być może, odrobinę – Peterson przytaknął z wyraźną niechęcią.

– Zostawmy to na razie – Begovic spowaźniał nagle. – Dlaczego zakłada pan, że ktoś mógł chcieć ją zabić? Nigdy wcześniej pan o tym nie wspominał.

– Nie brałem tego pod uwagę.

– Co? Chyba nie do końca rozumiem... Tak nagle po ponad dwóch latach zmienił pan zdanie? – Kapitan przyglądał mu się podejrzliwie.

– W pewnym sensie...

– Co pan przez to rozumie? Współpracowaliśmy w tej sprawie. Szukaliśmy kogokolwiek, kto znał tę dziewczynę. Nigdy nie szukaliśmy potencjalnego mordercy.

– To jednak mogła być próba zabójstwa – Peterson mówił spokojnie i pewnie.

– Co proszę? Nie zrozumiałem. Nie zgłosił pan podejrzania o próbę usiłowania zabójstwa. Jako lekarz ma pan obowiązek. Grozi za to...

– Nie obchodzi mnie, co za to grozi. Uświadomiłem sobie to dopiero dzisiaj.

– Tego to już zupełnie nie rozumiem. – Begovic wyglądał na zaskoczonego.

– Od początku coś nie grało: młoda dziewczyna z ciężkim udarem mózgu, bez żadnego zewnętrznego urazu. Znaleźliśmy tylko parę siniaków i otarć naskórka, które powstały w wyniku upadku, parę śladów po wkłuciach dokonanych przez siły ratunkowe. Oglądałem i sprawdzałem to wiele razy. W medycynie nie ma dwóch takich samych przypadków, medycyna uczy pokory. Nikt nie wie wszystkiego, tu nawet najbliższy współistniejący czynnik może mieć kluczowe znaczenie, jednakże w ogólnym zarysie to musi wszystko mieć sens, pasować do siebie, układać się w logiczną całość, ciąg przyczynowo-skutkowy. W tym przypadku od początku nic do niczego nie pasowało. Rozległy udar u młodej kobiety bez jakichkolwiek cech malformacji w naczyniach mózgowych, bez nadciśnienia, bez urazu. Można by powiedzieć, że bez przyczyny – Peterson mówił powoli, dobitnie. – W życiu jednak nic się nie dzieje bez przyczyny. Paromiesięczne obserwacje w szpitalu budziły we mnie coraz większy niepokój. Walczyliśmy z konsekwencjami rozległego udaru, ale poza tym wszystko było w porządku. Pomyślałem, że czegoś takiego jeszcze nie widziałem, opisałem to nawet jako kazuistyczny przypadek na neurologicznym forum dyskusyjnym. Nikt niczego nie wymyślił.

– Czemu pan wtedy do mnie nie przyszedł?

– W tamtym czasie myślałem raczej o niedoskonałości naszej wiedzy, a nie o próbie usiłowania zabójstwa.

– A kiedy pan zmienił zdanie?

– Ostatecznie to właściwie dzisiaj. Czasami, kiedy się siedzi w czymś za głęboko, to opinia ludzi z zewnątrz może podziałać jak kubeł zimnej wody... Od niedawna pamięć u Katariny zaczęła powracać. Najpierw pojawiło się to, co dawne. Każdego dnia wraca coś nowego. Od pewnego czasu dziewczynę prześladowają jakieś koszmarne obrazy, jakieś straszne sny, w których ktoś próbuje ją zabić.

– Wie pan coś więcej na ten temat?

– Ja nie, ale przypuszczam, że Alen Kovac powinien mieć dużo więcej do powiedzenia.

\* \* \*

Byłem tu już dziesiątki razy, surowe gmaszysko o posępnym szarym kolorycie tynków, ukryte za wysokim kamiennym ogrodzeniem, oddzielającym go od gwaru głównej ulicy. Budynek komendy policji budził należyty respekt. Za to wnętrze gabinetu Begovica jakby kpiło sobie z tej zewnętrznej powagi. Zieleń za oknem idealnie komponowała się ze słoneczną barwą ścian i ciepłym kolorytem tapicerowanych mebli. Ivo twierdził, że spędza tu dwie trzecie swojego życia, niechże więc przynajmniej wystrój będzie ciepły, skoro o jego pracy raczej nie można powiedzieć, że dotyczy pogodnych spraw. Przed dwoma laty spotykaliśmy się w jego gabinecie prawie każdego dnia, czasami nawet parę razy dziennie. Spędziliśmy tu razem dziesiątki, a może i setki godzin. Na początku wspólnie stworzyliśmy portret pamięciowy tamtego mężczyzny, później codziennie tworzyliśmy nowe strategie poszukiwań, by po kilku dniach znów z niechęcią odhaczyć kolejną przegraną. Poszukiwanie tamtego człowieka stało się naszym wspólnym celem, naszą obsesją, a w efekcie – naszą wspólną klęską. Kiedy nadszedł dzień wypisu Katariny ze szpitala, Ivo był jedyną osobą, która niczemu się nie dziwiła, której nie zaskoczyłem swoją decyzją. Odkąd Katarina zamieszkała w naszym domu, nie byłem tu nigdy więcej. Nie starczyło czasu. Na początku dzwoniłem prawie codziennie, później co tydzień, w końcu wszystko oddaliło się i wyblakło w natłoku codziennych spraw. Prawie o nim zapomniałem. Petersona spotkaliśmy na korytarzu. Wychodził właśnie od kapitana. Był zmartwiony i zdenerwowany, nie chciał za wiele mówić. Z Davorem nie byłem tutaj nigdy. Nie byłem nawet pewny, czy oni się znają z Begovicem. Znali się.

– Siadajcie, panowie! – Ivo wyglądał na zdenerwowanego. – Słyszałem od doktora Petersona, że panowie, podobnie jak i on, mają mi coś ciekawego do opowiedzenia.

Patrzył raz na mnie, raz na Davora. Nie wiedzieliśmy, jak zacząć. W końcu milczenie nawet mnie zaczęło ciążyć.

– Nie wiem, czy podobnie – odezwałem się pierwszy. – Ja nie udzielam wywiadów na temat tajników powracania ludzkiej pamięci, jak doktor Peterson, ani nie wdaję się w szczegółowe opisy miejsca pobytu Katariny, co uczynił redaktor Petrovic – zacząłem spokojnie, kalkulując cały czas w myślach, ile mogę mu teraz w obecności Davora powiedzieć.

– Zostawmy na razie te dywagacje! – Begovic przerwał mi gwałtownie. – Może



spróbujesz skoncentrować się na jakichś szczegółach.

– Kiedy ja nic szczególnego nie wiem.

– Doprawdy? Ciekawe – patrzył na mnie z ukosa. – Peterson twierdzi coś zupełnie innego.

– Peterson przesadza – cedziłem powoli.

– Nie masz mi naprawdę nic do powiedzenia?

– Naprawdę, zupełnie nic, co byłoby godne twojego czasu. A zresztą mam wrodzoną niechęć do tego typu rozmów. Nie cierpię atmosfery przesłuchania – rzuciłem zaczepnie. – Możesz mnie zapuszkować nawet na czterdzieści osiem godzin. Brak współpracy z policją to dostateczny powód...

– O co ci chodzi? – spojrzał na mnie zdziwiony. Na krótką chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Zastanawiałem się, czy mnie zrozumiał.

– O nic – powiedziałem z lekkim ociąganiem. – Po prostu nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Obaj panowie zaskoczyli mnie dzisiaj swoimi przypuszczeniami. Ja o niczym nie mam pojęcia – łągałem jak z nut. – Przepytaj teraz Petrovica, on ci chętnie opowie o przepięknym opisie zatoki, który pojawił się w gazecie przed tygodniem. Może nawet sprezentuje ci tamten numer gazety. Będzie pan kapitan miał szansę sprawdzić się w quizie „Czy znasz swój kraj?”. Myślę, że co drugi mieszkaniec tej okolicy po przeczytaniu tak pięknego opisu z zamkniętymi oczami może trafić do owej zatoki – zamilkłem na chwilę. Ivo przyglądał mi się uważnie. – Muszę teraz wyjść – powiedziałem stanowczo. – Możesz to nazwać: „chwilową odmową współpracy” albo po prostu napisać w raporcie, że nie miałem nic sensownego w tej sprawie do dodania. To ostatnie będzie bliższe prawdy. Jeżeli, oczywiście, panu kapitanowi zależy na prawdzie. – Wstałem.

– Muszę panów pożegnać – rzuciłem obojętnie. – Mam pilną rzecz do załatwienia.

Nie spojrzałem nawet w kierunku Begovica. Ruszyłem w kierunku wyjścia.

– Alen, ty jesteś jednak kopnięty – usłyszałem za swoimi plecami szept Davora. Kapitan milczał. Znamy się jednak dobrze, pomyślałem, zrozumiał.

Kiedy po pięciu minutach zadzwoniłem do niego, byłem pewny, że czekał na ten telefon.

– Kapitan Begovic przy aparacie – usłyszałem urzędowo meldującego się Ivo.

– Spotkajmy się za godzinę w knajpie przy metalowej makiecie pałacu Dioklecjana. Wiesz gdzie? Byliśmy tam już kiedyś razem.

– Tak jest! – zabrzmiało nienagannie oficjalnie.

\* \* \*

– Nie ufasz Davorowi? – Ivo spojrzał na mnie przelotnie znad kufla piwa.

– Niespecjalnie – odrzekłem lakonicznie.

– Domyśliłem się, może trochę za późno...

– Może trochę, przez to wyszedłem na głupka, nieskorego do współpracy z policją...

– Pewnie tak, ale w sumie nic się nie stało.

– No, nic.

Patrzyłem, jak Ivo walczy ze sobą, żeby mnie nie ponaglać – jeszcze łyk piwa, jeszcze zawodowa lustracja otoczenia. Zrobiłem to już wcześniej. Nasz stolik stał na uboczu. O tej

porze dnia było tu prawie pusto. W najbliższym sąsiedztwie jacyś cudzoziemcy opowiadali sobie po angielsku wrażenia z wycieczki na wyspę Hvar. Mogliśmy rozmawiać swobodnie.

– Ja też tak myślę jak oni – zacząłem spokojnie.

– Myślisz? Przypuszczasz? Czy wiesz? – Ivo zmusił mnie do sprecyzowania moich myśli.

– Coraz częściej wydaje mi się, że wiem – odpowiedziałem spokojnie.

– Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? – spojrzał na mnie pytająco.

– Czekałem, aż będę miał pewność...

– A dzisiaj?

– Dzisiaj zacząłem się bać. Po tych wywodach Petersona na temat powracającej pamięci można zacząć się bać.

Patrzył na mnie uważnie, nie przynaglał, czekał.

– Od paru miesięcy powoli wracają do niej obrazy z przeszłości. Wszystko zaczyna się komponować i układać w mniej lub bardziej spójną całość. Nie ma w tym jeszcze żadnej wyraźnej chronologii. To pewnie przyjdzie później. Peterson twierdzi, że najpierw powinny wrócić odległe wydarzenia, uczucia, emocje, później coraz bliższe nieszczęściu, a na koniec te poprzedzające nieszczęście, będące jego przyczyną albo wręcz fragmentem. My chyba przez przypadek zrobiliśmy jakiś błąd. Zaburzyliśmy naturalny przebieg choroby. Wszystko nagle przyjęło nietypowy obrót. Przed paroma tygodniami poszliśmy nurkować. Niewinna zabawa przerodziła się w jej wyobraźni w walkę o życie. Coś, czego niestety nie udało mi się ustalić, musiało przypomnieć dawne wydarzenia, dziewczyna próbowała za wszelką cenę uwolnić się od czegoś albo od kogoś, jeszcze pod wodą wyszarpnęła z ust rurkę, zakrztusiła się. Gdy próbowałem jej pomóc, okładała mnie pięściami, krzyczała „dlaczego?” i że „nie rozumie”. Gdy się uspokoiła, powiedziała mi, że on chyba chciał ją wtedy zabić. Pobiegła do domu, płacząc. Twierdziła, że nikt jej w to nie uwierzy, tak jak ona sama nie może w to uwierzyć. Przerażony ściągnąłem Petersona. Nie dowiedział się niczego. Kompletna kłapa. Katarina nagle zrobiła świadomy unik. Ukryła się za ścianą niepamięci. Petersona można oszukać, spotykają się tylko raz w tygodniu, zresztą ostatnio jego notowania bardzo spadły – Katarina odmówiła psychoterapii. Ze mną jest inaczej. Żyjemy już sporo czasu pod jednym dachem. Od tamtej pory te obrazy ciągle do niej wracają. Boi się spać, boi się być w nocy sama. Wczoraj poprosiła Jelenę o pieniądze, chce popłynąć do Splitu. Mówiła, że musi jeszcze raz przejść tą bramą do pałacu Dioklecjana, że musi coś sprawdzić. Obiecałem, że z nią popłynę...

Ivo nie przerywał. Słuchał. Nie robił żadnych notatek w wyciągniętym wcześniej służbowym kajecie. Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Popłyniesz? – spytał nagle.

– A nie powinienem?

– Jeszcze nie wiem. Może... Mów dalej!

– Skąd wiesz, że jest coś jeszcze?

– Chyba cię trochę znam...

– W porządku, tylko spokojnie. Znalazłem tamtego faceta.

– Co?

– Znalazłem tego faceta, z którym widziałem wcześniej Katarinę...

– Niemożliwe!

– Prawie niemożliwe, ale jednak prawdziwe.

– Jesteś pewny? – Spytał chyba ciut za głośno, bo na chwilę umilkł obcojęzyczny dialog przy stoliku obok.

– Tak. Jestem zupełnie pewny – powiedziałem prawie szeptem. – To był czysty przypadek. Poszedłem w zastępstwie kolegi na kongres kardiochirurgiczny. Miała to być mała koleżeńska przysługa. Kongres otwierał szef kliniki w Splicie, Polak, profesor Roman Sosnowski. Poznałem go od razu. Następnego dnia umówiłem się z nim na wywiad. To był on.

– Skąd ta pewność? Minał szmat czasu. Wtedy nawet nie rozmawiałeś z tym facetem.

– No, wiesz – zacząłem się zastanawiać, co właściwie powinienem mu powiedzieć. Prawda budziła we mnie lekkie opory. – Mam fotograficzną pamięć. Poza tym on ma charakterystyczny akcent...

– Tylko tyle? – Ivo sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego. – Trochę mało.

– No, nie, nie tylko – powiedziałem niepewnie.

– No więc, co jeszcze? – Ivo przyglądał mi się uważnie.

– W porządku, ale jeżeli napiszesz to w raporcie, wyprę się. Niczego też nie będę podpisywał. To byłby koniec mojej dziennikarskiej kariery.

– Mów, rozmawiamy prywatnie. Umówmy się, że to rozmowa dwóch starych przyjaciół.

– Facet wyszedł na chwilę. Ktoś go zawołał. Nie mogłem się powstrzymać. Na wieszaku wisiała jego marynarka... – zaczynałem się coraz częściej. – W marynarce miał portfel. Ja zawsze nosiłem w portfelu zdjęcia. Pomyślałem, że może...

– I znalazłeś jej zdjęcie... – Ivo wpadł mi w słowo.

– No właśnie, wyjąłeś mi to z ust.

Begovic zamyślił się. Bawił się bezwiednie pustym kuflem. Przywołał ręką kelnera. Zamówił drugie piwo.

– Powiedziałaś jej o tym? – spytał.

– No, w pewnym sensie.

– Nie rozumiem. Jak można coś komuś powiedzieć „w pewnym sensie”?

– Można – stwierdziłem. – Jeszcze przed spotkaniem z nim pokazałem jej zdjęcia z kongresu.

– I co? Nie poznała go?

Poznała, pomyślałem, jestem pewny, że poznała.

– Pytam cię o coś. Czemu nie odpowiadasz? Nie poznała go? – Ivo powtórzył swoje pytanie jeszcze raz, odrobinę natarczywiej.

– Myślę, że poznała. Musiała go wtedy poznać – powtórzyłem jeszcze raz.

– I co?

– I nic...

– Jak to nic?

– No, może niezupełnie nic. Obserwowałem ją wtedy uważnie. Wyglądała na przerażoną.

Nigdy tego nie zapomnę, pomyślałem, oczy pełne łez, palce blade od mocnego ściskania brzegu stołu, paniczny strach.

Zapanowało milczenie. Bezwiednie zacząłem słuchać pojedynczych słów, dopływających do nas ze stolika obok. Tym razem nasi sąsiedzi rozplýwali się nad urokami wyspy Korčula.

– Mówiłeś, że powiedziała wtedy, iż nikt jej nie uwierzy, tak jak i ona sama w to nie wierzy.

– Dokładnie – stwierdziłem krótko.

– Podejrzewasz go? – Przyglądał mi się wnikliwie.

– Sam nie wiem. Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Bogaty, znany, o nieskazitelnej reputacji, cudzoziemiec, lekarz, naukowiec... – Begovic wpadł mi w słowo. – Takich ludzi nie podejrzewa się o pospolite przestępstwa. Z racji pozycji społecznej stoją jakby ponad wszelkimi podejrzeniami. „Nikt jej w to nie uwierzy, tak jak i ona sama w to nie wierzy...”.

– Może coś w tym jest, ale nie musi być. Mówiąc szczerze, wątpię, żeby to było on. Nie ten typ. Spotkałem się z nim później jeszcze raz. Mało prawdopodobne, prawie niemożliwe, żeby to jego bała się Katarina. To może być zupełnie ktoś inny albo cała ta historia jest grą jej wyobraźni.

– Oby to była tylko gra wyobraźni...

Ivo zamyślił się kolejny raz.

– Mimo wszystko zadzwoniłeś dzisiaj do niego? – spytał niespodziewanie. Znał mnie jednak doskonale.

– Tak, pod pretekstem kolejnego wywiadu chciałem tylko sprawdzić, czy jest w pracy.

– I nie było go, prawda?

– Nie było, sekretarka powiedziała, że niespodziewanie wziął jeden dzień urlopu.

– I dzisiaj właśnie pojawił się ten artykuł sugerujący powrót pamięci ostatnich wydarzeń – mówił chyba bardziej do siebie niż do mnie. – Czy ona o tym wie?

– Katarina? Nie, nigdy nie mówiłem jej o tych artykułach, bo i po co. Katarina nie czyta po chorwacku.

– Gdzie ona jest teraz? W domu?

– Tak, z Jeleną.

– Na ciebie oczywiście jutro można liczyć? – spytał nieoczekiwanie. Odruchowo kiwnąłem głową, nie mając nawet mglistego pojęcia, co on zamierza.

– Poczekaj! Zaraz wracam – rzucił nagle.

Obserwowałem go z daleka. Wszedł przed restaurację. Chodził tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon. Gestykulował, machał rękoma, wydawał rozkazy i przyjmował raporty. Był w swoim żywiole.

Po chwili wrócił bardzo ożywiony.

– Spróbujemy najpierw czegoś innego. Na ucieczkę będzie zawsze czas. Może uda się nam kogoś sprowokować. Przygotujemy małą zasadzkę. – Nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony, mówił dalej. – Akcję rozpoczniemy około dziesiątej. Mówiłeś, że ona zwykle o tej porze wychodzi z psem na spacer. Moi ludzie dużo wcześniej obsadzą zatokę. Będziemy obserwowali każdy krok Katariny. Dziewczynie zupełnie nic nie grozi – uspokajał mnie. – Bez naszej wiedzy mysz się nie prześliznie – mówił radośnie, jakby zyskał już pewność, że to musi się udać. – Dopilnuj tylko, żeby dziewczyna wyszła tak jak

zwykle. Musi pójść sama. Zobaczymy, kogo prócz nas zainteresuje ten jej spacer.

\* \* \*

– Wychodzę – Katarina, gotowa do wyjścia, wsadziła jeszcze głowę do kuchni. – Ares nie może się już doczekać. Alen, idziesz z nami?

– Nie, dzisiaj nie mogę. Mam dużo pracy. Bawcie się dobrze.

Nie odwróciłem się nawet. Nic nie mogło zdradzić mych obaw. Spojrzałem ukradkiem na Jelenę. Siedziała sztywno na krześle, nerwowo miętosząc w rękach brzeg obrusa. Z podwórka najpierw dobiegały radosne poszczekiwania Aresa, po chwili stuknęła charakterystycznie pchnięta z impetem furka. Odgłosy towarzyszące wyprawie dziewczyny z psem oddalały się i milkły. W końcu zapanowała cisza, przerywana tylko natarczywym brzęczeniem rozdrażnionych upałem much. Zostaliśmy z Jeleną sami. Staruszka nawet nie drgnęła. Nie podniosła się z krzesła. Skurczyła się jakoś w sobie, zmalęła. Raz po raz rozprostowywała i mięła brzeg nakrycia. Wydawała się na coś czekać, czegoś nasłuchiwać.

– Ufasz im? – W pierwszej chwili nie zrozumiałem jej słów. Nie zdołały się jakoś przebić do mojej świadomości.

– Pytam, czy ty im rzeczywiście bezgranicznie ufasz? – powtórzyła znacznie głośniej. Tym razem dotarło do mnie, zrozumiałem.

– Begovica znam dobrze, ufam mu.

– Bardziej niż sobie? – spytała przewrotnie.

– Nie, nie bardziej. – Życie nauczyło mnie ufać tylko sobie, pomyślałem. – Obiecałem, że nie będę im przeszkadzał – próbowałem uspokoić ją i siebie.

Usiadłem przy oknie, jakby to cokolwiek mogło zmienić, jakbym jakimś cudem mógł zobaczyć coś, co było znacznie dalej, jakby wzrok mógł przeniknąć naszą bramę, ogród, oliwkowy gaj, skały otaczające zatokę. Ciszę przerwał dźwięk telefonu.

– Alen, pospiesz się! – Ivo był bardzo zdenerwowany. – Natychmiast zabierz stąd dziewczynę! Coś nie gra. My nie chcemy się ujawnić. Słyszysz?

– Słyszę – odpowiedziałem spokojnie. – Będę za jakieś dziesięć minut.

– Stało się coś? – zdenerwowana Jelena stała tuż za moimi plecami. – Coś się jednak stało! Od początku byłam tego pewna.

– Nie, nic. Uspokój się. Po prostu mnie potrzebują.

Już od drzwi domu puściłem się biegiem. Potem musiałem trochę zwolnić, wyrównać oddech, upozorować normalność. Ostatnie trzysta metrów wlokłem się już noga za nogą. Serce miałem w gardle. Nigdzie nie było widać ludzi Begovica. Wszystko pozornie wyglądało tak jak zawsze – cisza, spokój, nigdzie żywego ducha. Nareszcie dobrnąłem do korony skał otaczających zatokę. Teraz tylko schodami w dół... Nie ma schodów. Zatrzymałem się jak sparaliżowany. Skalne stopnie wychodzące łukiem z za cyprysu urywały się nagle, niknęły pod lawiną narzuconych na nie kamieni. Obok olbrzymich bloków skalnych piętrzyły się kamienie rozmaitej wielkości, a cała sterta przysypana była drobnym żwirem. Spod kamieni wystawały pojedyncze gałęzie drzewa, jeszcze przed tygodniem opisywanego tak barwnie przez Petrovica, zawieszzonego od niepamiętnych

czasów na występie skalnym. Krajobraz jak po trzęsieniu ziemi, przebiegło mi przez myśl. Musiał runąć ten ustęp skalny. Dziwne, pomyślałem, był tu zawsze, stabilny, pewny, należący jakby od zarania dziejów do tej wyspy, do zatoki. Spojrzałem dalej, za górę piętrzących się kamieni. Byli na plaży. Przycupnęli oboje przerażeni przy kamiennym cyplu.

– Katarina! – krzyknąłem.

– Katarina! Katarina! Katarina! – odpowiedziało mi po trzykroć echo. Jakieś pojedyncze kamienie oderwane siłą mojego głosu od świeżo obnażonej skalnej ściany jak krople deszczu zadudniły po kamiennym rumowisku.

Dziewczyna zdawała się mnie nie słyszeć. Plecami coraz bardziej przylegała do skał. Twarz zasłoniła rękoma. Dotarłem do nich od strony morza, opływając skalne wejście do zatoki. Słyszając moje kroki, podniosła na chwilę głowę. Nie wyglądała na zaskoczoną. Myślę, że na mnie czekała.

– Nareszcie jesteś. Już myślałam, że nigdy po nas nie przyjdiesz...

\* \* \*

Begovic długo kazał na siebie czekać. Kiedy przyjechał, nastał już zmierzch. Pewnie podał rękę Katarinie, przedstawiając się jako mój kolega z redakcji. Wyciągnął mnie z domu pod pozorem konieczności omówienia czegoś bardzo ważnego.

– Nigdzie nie idę – warknąłem, kiedy znaleźliśmy się pod domem. – Po dzisiejszym dniu straciłem do ciebie zaufanie.

– Spokojnie, moi chłopcy otoczyli wasz dom. Jest ich więcej niż drzew w twoim ogrodzie. Musimy pogadać bez świadków. Chodź! – mówił stanowczo, głosem przywykłym do wydawania rozkazów.

Wywiózł mnie samochodem na drugi koniec wyspy. Ustawił samochód tuż przy szerokiej zwirowej plaży, daleko od drzew, od skał, od przypadkowych przechodniów, wszędobylskich turystów, od niepewności. Byliśmy tylko my, jak okiem sięgnąć, nie było widać nikogo innego.

– Jutro z nią wyjeżdżasz! – mówił głosem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw. – Potrzebujemy czasu. Tu nie jesteśmy w stanie zapewnić wam należytej ochrony. Za mało wiemy. Niosący zabójca może być wszędzie, może być nim każdy. Jak długo nie znamy motywu, tak długo będziemy błądzić po omacku. Wszystko wymaga czasu, tym bardziej że od początku wiele rzeczy wydaje się nielogicznych – próbował tłumaczyć spokojnie. – Pojedziecie zwiedzać Chorwację, spontanicznie, bez żadnego planu. Nikt nie może wiedzieć, gdzie jesteście. Żadnych telefonów, SMS-ów, pocztówek... Nic. Zupełnie nic. Będziesz pisał swoje reportaże z podróży, które co czwartek, jak zawsze, pojawią się w gazecie. Muszą się one ukazywać z parodniowym opóźnieniem. Wspomnienia z Krka, gdy będziesz w Trogirze, z Trogiru, gdy już zamieszkacie w Dubrowniku... Rozumiesz? Przygotowałem wam lewe papiery i kasę. Spróbujemy namierzyć człowieka, który ruszy waszym śladem.

– Co mam jej powiedzieć? – podniosłem na niego wzrok. – Prawdę?

– Nie, prawdę na pewno nie, będzie się jeszcze bardziej bała – mówił bardzo powoli. – Strach gubi ludzi, prowokuje błędy.

– No więc co proponujesz? – spytałem.

– Powiedzmy, że dostałeś takie zlecenie z redakcji – tłumaczył spokojnie. – Przy okazji chcesz jej pokazać Chorwację...

– A te dokumenty?

– Podróż ma być incognito. Taki dziennikarski pomysł. Dokumenty pożyczył ci znajomy policjant. To ma być taka krótka zabawa w kogoś innego. Zawsze możesz powiedzieć, że to takie twoje nawyki jeszcze z Kosowa.

– Nie będzie to chyba aż takie proste...

– Nikt tego nie mówił – Begovic uśmiechał się pod nosem. – Rusz głową, jakoś wcześniej fantazji nigdy ci nie brakowało.

– Co wiedzą inni? – spytałem spokojnie.

– Tylko tyle, ile muszą wiedzieć – odrzekł lakonicznie.

– Może jednak powiesz mi coś więcej...

– Peterson wie, że wyjeżdżacie szukać śladów przeszłości. W razie czegoś bardzo niepokojącego będziecie mieć kontakt internetowy. Za każdym razem podasz inny adres. On też przygotował dla ciebie całą gamę swoich internetowych adresów. Przy każdym połączeniu używaj innego.

– Czy ty nie przesadzasz? – aż taka ostrożność wydała mi się nieuzasadniona.

– Obawiam się, niestety, że nie – Ivo nagle spoważniał.

– A Petrovic?

– Petrovic szaleje z radości. Znowu będziesz dla niego pracował. Nowe artykuły, nowe sensacje, coraz większy nakład... – Zamyślił się na chwilę. – Tak naprawdę, to Davor jest przerażony. Czuje się winny. Na jego miejscu też bym się tak czuł. Reportaże masz do niego wysyłać z twojego oficjalnego redakcyjnego konta.

– On wie, że z opóźnieniem?

– A do czego jest mu potrzebna ta wiedza?

– Chyba zaczynam rozumieć, podejrzewasz wszystkich?

– Zaraziłem się chyba tą chorobą od ciebie – powiedział spokojnie.

– Jak się domyślam, Peterson też nie musi wiedzieć, gdzie jesteście?

– No widzisz – wyraźnie się ucieszył. – Zawsze mówiłem, że gdybyś stracił pracę w gazecie, to możesz spróbować u nas. Będą z ciebie ludzie – zaśmiał się niespodziewanie. – Czujesz to.

– A Jelena?

– Pod waszą nieobecność zamieszka u niej jeden z moich ludzi. Dobry chłopak, trochę nawiedzony, szaleje z radości, zawsze marzył o takim zadaniu. Nie odstąpi jej na krok, byle tylko ona to przeżyła – zaczął się śmiać. – Wyluzuj, Alen, to pewniak. Zawodowy ochroniarz, odgrywający totalnego idiotę. Jutro zjawi się skoro świt u was w domu w poszukiwaniu pokoju. Musisz tylko przekonać Jelenę, że to świetny pomysł, skoro wy tak niespodziewanie wyjeżdżacie, że spadł wam jak z nieba...

– Jelena nie jest głupia...

– Wiem. Powiesz jej, ile będziesz musiał.

Begovic zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Czekał. Wiedział, że w końcu go o to zapytam.

- A co stało się dzisiaj?
- Coś, czego nikt nie przewidział.
- To sam zauważyłem – rzuciłem z przekąsem.

– To nie my przygotowaliśmy na tego „ktosia” zasadzkę, to ktoś na długo wcześniej przygotował zasadzkę na Katarinę. Obserwowaliśmy ją od samego wyjścia z domu. Teoretycznie nic nie mogło jej się stać. Dziewczyna doszła do skał otaczających zatokę, zaczęła zbiegać po schodach, trzymając psa na smyczy, i w tym momencie stało się coś, czego nikt nie był w stanie przewidzieć. Rozległ się huk i nagle runął ustęp skalny znajdujący się nad schodami, mniej więcej w połowie ich długości. Posypał się grad głazów, skalnych brył i drobnych kamieni. Pies, kierowany instynktem, skoczył w dół z trzymetrowej wysokości, dziewczyna pociągnięta przez smycz za nim. I to jej uratowało życie. Nasi ludzie zbadali wszystko centymetr po centymetrze. To było pirotechniczne arcydzieło, nastawione tylko na nich. Wyobraź sobie, że czujnik na podczerwień zamontowany był na wysokości tułowia psa. Sygnał radiowy wysłany z czujnika odpalił mały, sprytnie założony ładunek. Śmiertelna pułapka czekała tylko na tych dwoje. Moi ludzie wcześniej chodzili tymi schodami dziesiątki razy.

– Nikogo w tym rejonie nie zatrzymaliście?

– Paru ciekawskich, którzy po przeczytaniu ostatnich artykułów chcieli za wszelką cenę zobaczyć Katarinę. Moi ludzie namierzili ich już wcześniej, na długo przed wybuchem, na długo przed wyjściem dziewczyny z domu. Przesłuchaliśmy wszystkich. Poobserwujemy ich trochę, ale to wydaje się nie mieć żadnego znaczenia.

– A on?

– Myślisz o Sosnowskim? Sprawdziliśmy. Wygłaszał dzisiaj rano wykład na bratnim uniwersytecie w Barcelonie. Czysty jak łąka. Przynajmniej w tej chwili – dodał.

Zamilkł. Jeszcze parę razy zaciągnął się trzymanym w rękę papierosem. Przydeptał niedopałek butem.

– Chyba już na nas czas. Jutro zaraz z rana musicie wyruszyć. Moi ludzie będą wam incognito towarzyszyć do portu w Splicie. W wypożyczalni samochodów w porcie odbierzesz auto. W schowku będą dokumenty, nowy telefon komórkowy i jeszcze parę niezbędnych drobiazgów. Swoją komórkę zostaw w domu. Po wyjeździe z miasta, gdzieś w drodze, przetrzyj tablice rejestracyjne. Pod spodem będzie inny numer. Na ten numer wystawione będą dokumenty pojazdu.

– A kontakt z tobą?

– Tylko w przypadku strasznej wyspy – podał mi skrawek papieru. – Mnie może ktoś obserwować, może patrzeć mi na ręce. Masz tu telefon do mojego ojca. To też stary glina. Możesz mówić swobodnie.

– Skąd się dowiem, że już możemy przestać uciekać? Że już go macie?

– W kolumnie ogłoszeń towarzyskich waszej gazety znajdziesz informację o narodzinach Katarzyny Niżankowskiej.

– Katarzyny Niżankowskiej? – spojrzałem pytająco. – Skąd ty...

– Nic już więcej nie powiem – odrzekł stanowczo. – To musi ci wystarczyć.

Ruszyliśmy powoli w kierunku samochodu. Nagle Begovic się zatrzymał.

– Alen, zapomniałem o najważniejszym – spojrzał na mnie stropiony. – Nie spytałem,



czy ty w to wchodzisz?

- Wchodzę, przecież to oczywiste – odpowiedziałem bez sekundy zastanowienia.
- Mówisz: „oczywiste”. Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewałem.

\* \* \*

– Katarina, jutro wyjeżdżamy – oznajmiłem po powrocie do domu. – Ivo i Davor mają nowatorski pomysł. Mam napisać cykl artykułów o Chorwacji, a ty jedziesz ze mną. To będzie Chorwacja widziana twoimi oczyma. Wyświechtane tematy w nowym ujęciu. To będzie hit. Wszyscy tak sądzą – gadałem jak najęty, nie dopuszczając jej do głosu. – Cotygodniowy reportaż z innej części Chorwacji. Peterson już wie. Twierdzi, że to wspomniały pomysł – wakacje zamiast terapii. Powłóczymy się trochę, pozwiedzamy. Mamy na to niezłą kasę. Sam nie mogę uwierzyć, że redakcja inwestuje w to takie pieniądze – napędzałem się coraz bardziej. – Przy okazji poszukamy twojej przeszłości. Może przypadkiem znajdzie się gdzieś daleko stąd.

Kiedy wróciłem do domu, zastałem je obie przy stole. Jelena stawiała pasjansa. Dawno już tego nie robiła. Kiedyś wierzyła w to, co mówią karty. Przez tę historię z Kosowem przestała wierzyć w cokolwiek. Teraz obie wpatrywały się we mnie z narastającym zdziwieniem w oczach. Katarina kolejny już raz próbowała mi przerwać, otwierała usta, żeby po chwili zamknąć je zniechęcona. Mówiłem jak nakręcony.

– Pomyśl, czeka nas wspólna podróż. Chorwacja wzdłuż i wszerz, z północy na południe...

– Alen, nic nie rozumiem – dziewczyna przyglądała mi się podejrzliwie. – Stało się coś, o czym nie wiem? Jeżeli myślisz o tym, co wydarzyło się dzisiaj rano w zatoce, to przecież był to czysty przypadek. Od tysięcy lat znane zjawisko erozji skał. Pewnie zbiegając z Aresem po schodach, zrobiliśmy za dużo hałasu – patrzyła na mnie uważnie. – Przestraszyłam się tylko w pierwszej chwili. Byłam pewna, że po nas przyjdiesz...

– Ten pomysł w ogóle nie ma związku z dniem dzisiejszym... – skłamałem. – Rodził się w naszej redakcji już od dawna. Brakowało tylko sponsora. Udało się nareszcie pozyskać środki.

– Ale dlaczego tak nagle? – wpadła mi w słowo. Nie dowierza mi, przemknęło mi przez myśl, podejrzewa coś, wie, że kłamię. – Po długich namowach obiecałeś wreszcie pojechać ze mną w przyszłym tygodniu do Splitu – mówiła spokojnie. – Peterson torpedował dotychczas wszelkie pomysły związane z podróżami. Po wyjściu ze szpitala nie opuszczałam wyspy. Mój świat ograniczył się do domu, ogrodu, zatoki... W tym małym świecie czuję się dobrze. I nagle taka zmiana...

– Nie cieszysz się?

– Sama nie wiem – odpowiedziała z wahaniem.

Boi się, pomyślałem.

– Nie jestem chyba jeszcze na to gotowa – tłumaczyła niepewnie. – Chyba nie chcę – dodała odważniej. – Jeszcze nie teraz. Jedź sam. Ktoś przecież musi zostać z Jeleną. Ares też wymaga opieki. – W miarę jak odnajdywała kolejne argumenty, mówiła coraz głośniej, coraz pewniej.

Wszystko toczyło się w złą stronę. Nie przygotowałem się. Byłem pewny, że przynajmniej na początku pójdzie łatwo. W popłochu szukałem w myślach przekonujących powodów wspólnego wyjazdu. Pustka, totalna pustka. Nagła odsiecz przyszła z niespodziewanej strony.

– Słuchajcie, w ogóle nie ma o czym mówić – Jelena powiedziała to niezwykle kategorycznie. – Jest już późno, a z tego, co zrozumiałam, wyruszacie jutro rano. Macie niewiele czasu, żeby się przygotować i choć trochę jeszcze wypocząć. Może nie będzie to taka standardowa wycieczka, ale w końcu za standardy sponsorzy nie płacą...

– Ale... – Katarina próbowała jej przerwać.

– Nie ma żadnego „ale” – ucięła ostro dalszą dyskusję.

– Dziękuję – rzuciłem w kierunku Jeleny, kiedy zostaliśmy sami.

– Za co dziękujesz? – spojrzała na mnie ze smutkiem. – Nie jestem głupia. Nie wierzę w nagłą erozję skał, a Begovic, odkąd go znam, pracuje w policji. – Ze znużeniem przymrużyła oczy. – Jak chcesz jej pomóc, skoro nie umiesz nawet przekonująco kłamać?

\* \* \*

Znowu na promie. Już płynęłam tym promem. Pamiętam pokazane mi kiedyś przez Alena zdjęcia. Dziwne, pamiętam zdjęcia, a nie pamiętam żadnych własnych wspomnień. Promienie słońca na twarzy, wiatr rozwiewający włosy, atramentowy granat wody, białe grzywy odbitych od kadłuba promu fal, cicha, monotonna melodyka silnika, jacyś ludzie mówiący w obco brzmiącym języku, powoli oddalające się zabudowania Supetaru. Skąd wiem, że to Supetar? Alen nigdy nie wymienił tej nazwy. Jeszcze tylko miniemy od lewej strony burty wąski cypel z niewielką kapliczką otoczoną rzadkim szpalerem drzew i już za chwilę pojawi się otwarte morze. Zgadza się. Jest wąski kawałek lądu, jest kapliczka stojąca na niewielkim wzniesieniu, jakby witająca i żegnająca zawijające do portu statki, jeszcze wąski pas zieleni, jak jezior wchodzący w morze, jeszcze tylko pojedyncza latarnia, znacząca nocą drogę do portu... I zaraz wszystko zostaje w tyle. Przed nami już tylko otwarte morze, granat wody, gdzieś na horyzoncie zlewający się z lazurem nieba, jakaś mewa, która przycupnęła na chwilę na promie... Pamiętam... Roman nie patrzył na znikające zabudowania Supetaru. Nie interesowało go nic i nikt poza mną. Siedział naprzeciw mnie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Czego? – w pierwszej chwili nie zrozumiałam.

– Jesteś pewna, że jednak chcesz się spotkać z Michałem?

– Nie wiem, sama nie wiem. Nie wiem, czy zdołam – mówiłam niepewnie. – Boli mnie głowa. Od wczoraj czuję się jakoś dziwnie. Jest mi niedobrze... Wszystko tańczy dookoła. Czuję się, jakbym była pijana. Wszystko zaczęło się...

– Pytałem, czy jesteś pewna, że chcesz się spotkać z Michałem? – niebieskie, zimne oczy Romka próbowały przeszyć mnie na wylot. Poczulałam się niepewnie. Nie znałam takiego Romana.

– Ja nic nie wiem, nad niczym nie mogę się skupić.

– Nad tym chyba nie musisz się skupiać – rzucił dziwnie szorstko. Słyszałam już kiedyś

tę intonację głosu, pomyślałam, kiedyś przed laty, gdy z premedytacją stawiał mi z kardiochirurgii pałę za pałą. Wtedy też słyszałam, że nad tym nie trzeba się skupiać, to powinno być jasne i oczywiste, to się czuje i wie. Pewnie teraz też powinnam wszystko wiedzieć, mieć przemyślane i wykalkulowane. Ból głowy stawał się nie do zniesienia.

– Przyniósłbyś mi coś do picia?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła go.

– Oczywiście – uśmiechnął się szeroko, przyjaźnie, szczerze. – Czego sobie życzysz? A może lepiej ja wybiorę. Na ten upał i twój ból głowy chyba najlepszy będzie świeżo wyciskany sok z pomarańczy z kostkami lodu...

– Brzmi zachęcająco...

Patrzyłam, jak się oddalał. Wyglądał jak zawsze: idealnie odprasowane spodnie, błękitna koszula, nieskazitelnie czyste buty...

Coś jest nie tak, pomyślałam, wczoraj coś się stało. Coś nie pasuje do siebie i nie układa się w całość. Po południu nurkowaliśmy, nagle zaczęłam się dusić, nie mogłam wypłynąć, wyrwałam rurkę z ust, bo wydawało mi się, że ona dodatkowo blokuje mi oddech, zachłysnęłam się wodą, z minuty na minutę narastał ten ból, który na koniec przyćmił wszystko inne.

– Czy mogę pani zrobić zdjęcie? – mężczyzna, który usiadł na miejscu Romana, w niczym go nie przypominał. Nic z pedanterii i przesady.

– Jestem dziennikarzem. Wczoraj...

Nagle jego słowa zaczęły się zlewać z szumem fal, cichą pracą silnika, z podmuchami wiatru, z tym dziwnym szumem w mojej głowie.

Jasna, wypłowiała od słońca czupryna, opalona twarz, parodniowy zarost, mocne ręce i mocne ramiona, ciemne brwi, ciepło patrzące przyjazne, ciemne oczy... Alen, to rzeczywiście był Alen. Pamiętam...

\* \* \*

A jednak uległem Katarinie. Byłem pewny, że Ivo będzie się wściekał. Widziałem na promie jego ludzi. Sierżant, przebrany za chłopaka z obsługi promu, próbował namówić nas na kupno pocztówek z wyspy. W końcu zrozumiałem. W papierowej torebce z pocztówkami znalazłem ostatnie instrukcje i PIN do karty kredytowej. Teraz też czułem na plecach oddech chłopców Begovica. Nie od razu odebrałem samochód. To tylko niewielki brak subordynacji. Ivo przecież zna mnie dobrze. Dałem się namówić Katarinie na krótką wspólną wycieczkę po Splicie i spacer wzdłuż murów pałacu w kierunku tamtej bramy. Tak naprawdę to nigdy nie lubiłem tego miasta – miało wszystkie złe cechy dużego portu: wąskie, brudne uliczki, jakby żywcem wyjęte z lat sześćdziesiątych, olbrzymie kamienne blokowiska, jakby na przekór swej brzydocie wybudowane na wzniesieniu, straszące swym widokiem wszystkie wpływające do portu statki, olbrzymi port przylegający wprost do murów pałacu Dioklecjana, gdzieniegdzie wzmocnionych klasycznymi kolumnami pamiętającymi czasy wielkiego cesarza, zeszpecono niedawno wstawionymi oknami. Białe niegdyś okiennice dziś wiszą smętnie, strasząc łatami odpadającej farby, a zacieki na starych murach, niepasujące do niczego pasiaste markizy osłaniające przed słońcem

wnętrza niestylowych balkonów, skrzynie klimatyzacji zawieszane niedbale, łamiące harmonię i porządek klasycznej budowli, dopełniają tego dzieła zniszczenia... Trwające ponad dwa tysiące lat poplątanie stylów, epok, ludzkiej fantazji i kompletnego bezguścia, barbarzyństwo współczesności dokonane na starożytnych murach... Środkiem biegną dwa szpalery palm, oddzielone betonowym deptakiem w żaden sposób niekomponującym się z grubo ciosanymi kamieniami murów pałacu. Obok deptaku przycupnęły budy jak z orientального bazaru – krzyczące barwami, nęcące zapachem lawendy, kuszące słodyczą fig zanurzonych w miodzie, gorzkim posmakiem rakii, zapachami jedzenia ze wszystkich zakątków świata. Stoliki kafejek agresywnie wdzierają się na deptak i pogłębiają tylko wrażenie ogólnego nieładu. Zza murów pałacu wyłania się wieża katolickiego kościoła z królującą nad wszystkim flagą Chorwacji. Zegarową wieżę z dzwonnica nagle przewyższył, niby przypadkiem, maszt z talerzem anteny satelitarnej. Przeszłość zespolona ze współczesnością w jedną niestrawną, pozbawioną smaku całość.

Myślę, że ona nie widziała tego wszystkiego. Szła jak w transie, przeciskając się pomiędzy grupkami turystów, omijając porozstawiane niedbale krzesła i stoły, mijając jarmarczne budy. Kierowała się bezbłędnie w stronę bramy prowadzącej na teren pałacu. Spróbowałem sobie to wyobrazić. Letni dzień, jak ten dzisiaj, ale przed ponad dwoma laty. Katarina w tamtej sukience. Cienki jedwab falujący na letnim wietrze. Szybkie kroki dziewczyny odbijające się echem od starych murów. Szła na spotkanie z kimś, o kim nic nie wiem, zostawiając kogoś, kogo już znam. Załóżmy, że ją kochał. Nie załóżmy, przecież wiem, że ją kochał. Co czuł, widząc, jak oddała się od niego? Zazdrość? Tylko zazdrość czy rozpacz, jaką i ja poznałem przed laty. Nienawiść? Na nią było za wcześnie. Rozczarowanie? Gorycz? Czy mógł chcieć ją zabić? Ja nigdy nie zabiłbym Marii. Chociaż, gdyby nie Jelena, zabiłbym chyba siebie. Katarina w niczym nie przypominała Marii. Szła teraz coraz wolniej, jakby z ociąganiem.

– Nie musisz tam dzisiaj iść – rzuciłem obojętnie. – Przecież możesz pójść kiedy indziej... Może wcale ci to nie jest potrzebne. Wiedza może cię tylko zranić. Może jest to wiedza o kimś, a może o tobie... Nie zawsze warto wszystko wiedzieć.

Zatrzymała się. Patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Tak myślisz? – spytała z powątpiewaniem w głosie. – Ale ja muszę wiedzieć. Muszę to zrozumieć. Nie chcę się ciągle bać.

– Cały czas myślisz, że...?

Nie dała mi dokończyć. Przerwała mi nagle, jakby bała się tego, co powiem.

– Nie wiem, tego właśnie zupełnie nie rozumiem.

– Igranie z ludzkimi uczuciami bywa niebezpieczne. Ludzie są tylko ludźmi – starałem się mówić obojętnie.

– O czym ty mówisz? – Nagle zaczęła się śmiać. – Ty myślisz... Coś ty! To była historia pomyłek. Byliśmy trójką przyjaciół. Później przydarzyło nam się głupie nieporozumienie. Ktoś uniósł się idiotycznym honorem, ktoś inny, bojąc się śmieszności, nie od razu powiedział prawdę. Wszystko bardzo się skomplikowało. Postanowiliśmy to wyjaśnić, wyprostować, zacząć tę naszą przyjaźń na nowych zasadach od nowa. Miałam się spotkać z Michałem we włoskiej kafejce na terenie pałacu Dioklecjana. Właściciel tej restauracji był dawnym pacjentem Romka. Roman miał do nas przyjechać później. To w ogóle był jego

pomysł. To on wysłał list, żeby ściągnąć Michała. Podwiózł mnie od tamtej strony prawie pod sam pałac. Nie ruszył od razu. Pomachałam mu jeszcze ręką, wchodząc w bramę. – Niespodziewanie zamilkła. Zamyśliła się. – I nagle stało się to wszystko. Nikt mnie nie szukał. Nikt mnie już nie potrzebował. Zostałam sama wśród obcych...

Obcy, pomyślałem, dla niej nadal jestem obcy.

– Uwaga! – rozległ się przeraźliwy krzyk.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się dzieje. Ktoś nagle szarpnął w bok Katarinę. Dziewczyna straciła równowagę, zachwiała się, upadła na odciągającego ją chłopaka z komisariatu Begovica. Kątem oka ujrzałem pędzący motocykl. Odruchowo odskoczyłem do tyłu. Przyciemnione, prawie czarne szkła kasku, ciemna skórzana kurtka, skórzane spodnie, wyjący motocykl, który z niesamowitą szybkością przejechał pomiędzy nami, rozgonił na boki stojącą nieopodal grupę turystów, potrącił krzesło w kafejce obok, po czym skręcił w płataninę małych uliczek przylegających do murów pałacu Dioklecjana. Stałem jak sparaliżowany. W myślach próbowałem odtworzyć szczegóły: markę motocykla, jego numer...

– Co za idiota! Kompletny głupek! Z taką szybkością jeździć po miejskim deptaku – usłyszałem głos znanego mi z widzenia policjanta. – Bardzo panią przepraszam – próbował pomóc wstać Katarzynie. – Bałem się, że pani go nie zauważy. Na pewno bardzo panią przestraszyłem. Mam nadzieję, że się pani nic nie stało – gadał jak najęty.

Pobladła, musiała się bardzo przestraszyć. Jakby odruchowo próbowała rękawem bluzki zakryć skaleczony łokieć, opuścić trochę niżej na biodrach spódnice, by ukryć obdarte kolano.

– Może podrzucić panią do szpitala? – Policjant przyglądał się jej podejrzliwie. – Niedaleko mam samochód.

– Dziękujemy panu, nie trzeba – wtrąciłem się. – Nic się chyba poważnego nie stało. Sierżant nadal miał wątpliwości.

– Na wszelki wypadek podam panu moje dane. Może pan potrzebować świadka.

Na podanym mi skrawku papieru napisał: *Ktoś próbował dostać się do waszych bagaży zostawionych w przechowalni. Kapitan Begovic jest wściekły. Ruszcie się wreszcie z tego miasta!*

\* \* \*

– Tibor Bresan i Nadine Bresan – kolejny już raz oglądałam znalezione w samochodowym schowku nasze dokumenty. – Alen, to przecież jest nienormalne. Po co ten cały cyrk?

– Przecież nie masz swoich prawdziwych dokumentów – odparł rzeczowo, zimno, prawie lodowato. – O ile mi wiadomo, jesteśmy na etapie imienia Katarzyna. A może zapomniałaś przypadkiem mi powiedzieć, że pamiętasz coś więcej?

Udałam, że nie słyszę zaczepnego tonu i powątpiewania w głosie.

– Przecież to fałszerstwo! To chyba oryginalne dokumenty, tyle że z naszymi zdjęciami. Nie zgadzają się tylko dane.

– Jeżeli chodzi o mnie, to wiele rzeczy się zgadza, przynajmniej z grubsza – rok

urodzenia, obywatelstwo, miejsce urodzenia, a jedno z moich imion naprawdę brzmi Tibor. Z tobą chyba sprawa przedstawia się trochę gorzej... Zresztą, kto to wie, może przypadkiem data urodzenia się zgadza.

Żartuje ze mnie, przemknęło mi przez myśl. Nagle spoważniał.

– W mojej pracy czasami muszę posługiwać się lewymi dokumentami. Te sfabrykowano na potrzeby naszej misji w komendzie policji w Splicie. Są najprawdziwsze z prawdziwych. Wszystko się zgadza: papier, każda pieczętka, każdy podpis, numer serii, słowem – wszystko.

– Z wyjątkiem naszych danych...

– To tylko szczegół.

– Obywatelstwo chorwackie?

– A jakie by sobie pani życzyła? Chorwackie nie pasuje? – spytał oschle, prawie agresywnie.

– Nie mówię po chorwacku – bąknęłam.

– Założmy, że jako żona Chorwata nie zdążyłaś się jeszcze nauczyć. Trochę wstyd, ale przeżyjemy. W końcu oficjalnie to nasza podróż poślubna. Nie miałaś jeszcze zbyt dużo czasu.

– Podróż poślubna?

– Zapomniałem ci wcześniej powiedzieć – rzucił zupełnie obojętnie.

– Coś jeszcze pominąłeś?

– Obrączki – odparł krótko, bez żadnych emocji.

– Co? – wydawało mi się, że się przesłyszałam.

– W kopercie są obrączki – dodał niedbale. – Moja pasuje. Sprawdziłem, kiedy spałaś. Przymierz swoją. Mam nadzieję, że dobra. Nowożeńcy afiszują się zwykle swoimi obrączkami. W końcu wszystko musi wyglądać profesjonalnie.

Wyjęłam niepewnie obrączkę z koperty. Delikatna, płaska, z subtelnie zeszlifowanym brzegiem, z wygrawerowanym napisem. Z napisem? Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: „Nadine na zawsze”.

– To jakiś obłąd – szepnęłam.

– Popatrz, a ja myślałem, że to romantyczne... – zabrzmiał jakoś dwuznacznie.

Nie, tylko wydawało mi się, pomyślałam. Nie odwrócił się nawet w moją stronę. Lekko pogwizdując pod nosem, prowadził samochód. Wydawać by się mogło, że cała jego uwaga była skoncentrowana wyłącznie na kamienistej, prawie polnej drodze. Bezdroża, przemknęło mi przez myśl. Po co my jedziemy po tych bezdrożach? Droga była wąska i wyboista, na ostrych zakrętach oddzielona tylko kilkunastocentymetrowym murkiem od ciągnącej się po jej prawej stronie przepaści. Z lewej strony wznosiło się strome zbocze, usiane małymi poletkami porozdzielanymi murkami z nierównych kamieni. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, były tylko skały, ostre trawy, pojedyncze, powykrzywiane przez wiatr drzewa oliwne. Droga cały czas pięła się w górę. Im wyżej, tym coraz mniej było zieleni, coraz więcej wyschłych, pożółkłych traw, coraz więcej i więcej kamieni. Nagle za zakrętem pojawił się granat wody z taflą poprzecinaną małymi skalnymi wyspami. Białe grzywy fal odbijały się od kamiennych, spadzistych brzegów wysepek. Wyspy wydawały się jakby obrysowane szmaragdowym kręgiem otaczających je mielizn. Boże, jak tu

cudownie, pomyślałam, magiczny, zaczarowany Adriatyk. Nagle Alen skrzył ostro w prawo i samochód wjechał na kamienną niby-półkę, odgradzoną od drogi ścianą skał.

– Przerwa! – stwierdził zdecydowanie. – W końcu to mają być też wakacje.

Alen wyłączył silnik. Przeciągnął się leniwie. Otworzył drzwi samochodu. Nie wysiadł. Opuścił oparcie fotela, przymknął oczy, przez moment wydawało mi się, że zasnął. Ja nie mogłam jakoś spać – wszechobecny, spotęgowany upałem zapach cyprysów, monotonna melodia świerszczy, świat zamarły nagle w popołudniowym bezruchu, rozgrzane powietrze drżące nad suchymi trawami, obrączka z tym napisem – „Nadine na zawsze”... Gdzieś w środku poczułam dziwne ciepło. Chyba nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

\* \* \*

– Coś jest nie tak! – Stała naprzeciw mnie z załzawionymi oczyma. – Powiedz mi! Ja nic z tego nie rozumiem. Cały dzień jeździliśmy po bezdrożach. Później zostawiłeś mnie w tej kawiarni. Siedziałam tam całą wieczność. Już myślałam, że nigdy nie wrócisz. Wróciłeś po dwóch godzinach zupełnie innym samochodem. Teraz okazało się, że dojechaliśmy właśnie pod Salonę. To musi być tuż przy Splicie. Nigdy tu nie byłam, ale kiedyś słyszałam, że po zburzeniu Salony jej mieszkańcy zasiedlili pałac Dioklecjana. Całe popołudnie włączyliśmy się po tych bezdrożach, żeby znowu znaleźć się w punkcie wyjścia? – mówiła coraz ciszej i ciszej, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. – Powiedz mi, co się dzieje. Ja nic nie rozumiem.

Dopiero co postawiliśmy samochód w garażu i weszliśmy do wynajętego pokoju. Nasze bagaże piętrzyły się na podłodze, zalegały na łóżku, zajmowały miejsce na stole.

– Może najpierw zorganizujemy się tu trochę? – spróbowałam odsunąć jej pytanie. – W tym pensjonacie nie ma restauracji. Chyba w tej wiosce w ogóle nie ma żadnej knajpy. Musimy kupić coś w sklepie. Sklep pewnie też jest wiejski. Za chwilę wszystko nam zamkną – mówiłem spokojnie. – Ludzie na wsiach chodzą prędzej spać. Zostaniemy bez picia i jedzenia. Ja, jeżeli mogę w ogóle coś o sobie powiedzieć, jestem głodny...

– Powiedz mi!

Stała tuż przy mnie. Nie spuszczała oczu z mej twarzy. Odruchowo zacząłem się jej przyglądać. Lubiłem na nią patrzeć – długie włosy niedbale zaplecione w warkocz, pasma niesfornych kosmyków opadające jej na twarz, zaróżowione słońcem policzki, skąpa bawełniana koszulka, jakby trochę za kusa, by zakryć brzuch i ramiona, spódnica sięgająca zaledwie do połowy uda. Gdybym zamknął teraz oczy...

– Proszę, wytłumacz mi cokolwiek!

– Porozmawiamy później – próbowałam mówić zdecydowanie.

Nie odwróciła się. Nie odsunęła. Nie odeszła. Stała nadal, tylko jej oczy stawały się coraz większe, coraz bardziej błyszczące. To ja odwróciłem się pierwszy. Zrobiłem unik, uciekłem od jej bliskości, od tych oczu pełnych łez, od tego narastającego napięcia. Podeszedłem do okna. Wyjrzałem na zewnątrz. Zasunąłem szczelnie zasłony.

– Powiedz mi! – powtórzyła kolejny raz. – Alen, ja wiem, że coś jest nie tak. Nie umiesz kłamać... – usłyszałem tuż za swoimi plecami.

– Nie umiem kłamać? – powtórzyłem za nią mimo woli. – To prawda, nie potrafię.

Jelena wychowała mnie w poczuciu, że najgorsza prawda jest dużo lepsza od najsprytniejszego kłamstwa. Teraz się dziwi, że jestem prostolinijny i szczery do bólu – sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Coraz częściej mówiłem przy niej rzeczy, do których z trudem przyznawałem się przed samym sobą. – Od początku byłem zdania, że powinnaś znać prawdę.

Stała tuż za mną. Czekwała.

– Tę akcję wymyśliła policja. Ivo Begovic nie jest moim kumplem z redakcji. Jest kapitanem policji. Jeżeli zagramy to dobrze, to nic nam się nie stanie. Przynajmniej taką mam nadzieję – mówiłem cicho, konsekwentnie unikając jej wzroku. – Ktoś z niewiadomego powodu poluje na ciebie – starałem się mówić spokojnie, bez emocji, zupełnie obojętnie, w tonacji, w jakiej się mówi o pogodzie, o monotonii minionego dnia, o pracy. – Być może ten ktoś chce cię tylko zastraszyć. Wtedy nad zatoką to nie była erozja skał, lecz wybuch ładunku odpalonego przez zainstalowaną na wysokości ciała Aresa fotokomórkę. Dziś rano ktoś chciał spenetrować nasze bagaże w przechowalni, pół godziny później próbował cię zastraszyć albo potrącić na deptaku przy murach pałacu Dioklecjana. Pojeździliśmy po bezdrożach, żeby sprawdzić, czy nikt za nami nie jedzie. Samochód wymieniłem dla pewności. O tym nikt poza nami nie musi wiedzieć. Myślę, że ostrożności nigdy za wiele. Nie wiadomo, kim jest ten ktoś. Być może to ktoś z twojej przeszłości, ktoś, kto obawia się twojej powracającej pamięci, a może to po prostu jakiś nieznany wariat, którego wyobraźnia została pobudzona przez gadulstwo Davora i wykłady Petersona. Jak długo tego nie wiadomo, tak długo trudno cokolwiek przewidzieć. Trzeba wycofać się, zniknąć, na chwilę uciec.

Nie staliśmy już naprzeciw siebie. Nie mierzyliśmy się wzrokiem jak przeciwnicy. Sam nie wiem, kiedy usiedliśmy, nie naprzeciw, lecz tuż obok siebie. Katarina słuchała ze spuszczoną głową, odruchowo skręcała w palcach brzeg mojej koszuli.

– Początkowo myślałem o tym facecie, z którym widziałem cię w porcie, a później na promie. Myślę, że wspomnienia, które cię prześladują w snach, są z nim związane.

Katarina zamarła w zupełnym bezruchu, miałem wrażenie, że wstrzymała nawet oddech, czekając na to, co powiem.

– Na razie profesor Roman Sosnowski jest czysty jak łąza. Przynajmniej Ivo tak twierdzi. Jemu wierzę. Wczoraj ten facet miał wykład w Barcelonie, jeszcze nie wrócił do Chorwacji. Policjanci będą go obserwować, ale nie przypuszczam, że to on. To nie ten typ...

– Skąd wiesz, jaki to typ? – spytała cicho, niepewnie.

– Trochę znam się na ludziach...

– Znasz go? – spytała.

– Przecież wiesz, że znam – odpowiedziałem spokojnie. – Pokazywałem ci jego zdjęcia z kongresu. Naprawdę go nie poznałaś czy tylko udawałaś? Może bałaś się mi zaufać? Nie odpowiadaj. To głupie pytanie. Myślę, że pamiętasz coraz więcej...

Nie atakowałem, mówiłem spokojnie. Próbowałem ją sam przed sobą tłumaczyć, usprawiedliwić.

– W tym całym gównie, w którym przypadkiem się znaleźliśmy, musimy chyba zacząć sobie bardziej ufać. Inaczej nie mamy zbyt dużych szans.



Nie płakała. Nie odwracała się. Nie zaprzeczała. Nie walczyła ze mną. Słuchała.

– A ten drugi mężczyzna? – spytałem pozornie obojętnie.

– To niemożliwe – odparła zdecydowanie. – To nie wchodzi w rachubę. Nie, Michał na pewno nie.

– W życiu nic nigdy nie jest pewne...

– Nie, to jest pewne. Ja to wiem.

Kochała go, a może nadal kocha, chociaż jeszcze do końca o tym nie wie, pomyślałem. Szczęściarz... Przez moment poczułem gdzieś w środku nieprzyjemne ukłucie.

– Na pewno pamiętasz, jak się nazywa? Można byłoby trochę mu się przyjrzeć.

– To nie ma sensu. Na pewno nie.

– Nie doceniasz ludzkich emocji.

– A może ty je przeceniasz? – Chyba miało zabrzmieć zaczepnie. Udałem, że nie słyszę.

Nie chciałem z nią dyskutować o ludzkich emocjach. W każdym razie nie tu, nie w ten sposób i na pewno nie teraz. Ja już kiedyś osiągnąłem dno. Już dwa razy w życiu przeszedłem się po swoim piekle. O dwa razy za dużo. Wydawało mi się, że po tym wszystkim już nic nigdy mnie nie dobije, że nic nie jest w stanie mnie ruszyć ani zranić. Miałem uczucie wewnętrznej pustki, wrażenie, że wypaliło się we mnie wszystko, że zostały tylko ruiny i zgliszcza... Pozbierałem się dzięki niej.

– Policja urządziła już raz zasadzkę, tam nad zatoką – wróciłem do przerwanej tematu.

– Niestety, ten ktoś to przewidział, a może był po prostu szybszy. Cudem nie doszło do nieszczęścia. Dzisiaj jeden z policjantów kapitana Begovica odciągnął cię prawie spod kół nadjeżdżającego motocykla. Teraz pozostaliśmy sami. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Mamy nowe dokumenty, nową tożsamość. Musimy idealnie odgrywać swoje role. Nie ma dziennikarza i podróżującej z nim cudzoziemki. Nie ma Katariny i Alena. Bez zmiany tożsamości namierzyłby nas każdy, wystarczyłoby parę telefonów. Teraz to zupełnie inna historia. Jest Nadine i Tibor i od wiarygodności tych postaci być może zależy twoje życie. Jest para zakochanych w sobie nowożeńców, dla których poza nimi nie istnieje nic. Będziemy pisać reportaże, ale z zupełnie innych miejsc, niż jesteśmy naprawdę. Policja spróbuje namierzyć kogoś, kto ruszy śladem naszych reportaży. Musi się udać.

Zamilkłem. Nie miałem pojęcia, co mógłbym jeszcze jej powiedzieć.

– Dlaczego? – spytała cicho.

– Dlaczego? A kto to wie? Mało wariatów na świecie? Przekonamy się, kiedy go złapią.

– Ja nie o to pytam...

– A o co?

– Dlaczego się tego podjąłeś? – Teraz dopiero zrozumiałem jej pytanie. Dotarło do mojej świadomości z opóźnieniem.

Zdziwiło mnie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To było logiczne, automatyczne i oczywiste. Ale właściwie dlaczego? Przyciągnęła mój wzrok już wtedy w porcie, swym zachowaniem spowodowała, że nagle zmieniłem swój skrajnie nacjonalistyczny stosunek do cudzoziemców, zaintrygowała i zaniepokoiła mnie na promie... Później jakoś nie mogłem się uwolnić od myśli o niej. W Kosowie myślałem już tylko o tym, żeby wrócić. Potem był cały ten koszmar – szpital, dni i noce pełne niepewności, te dziesiątki godzin spędzonych na poszukiwaniach nieznanego i nagłe uświadomienie sobie, że ja już chyba

wcale nie chcę go znaleźć. Każdego dnia budziło się coś we mnie, kiełkowało i rosło na nowo, zastępowało tamten krajobraz po bitwie. Aż któregoś dnia stwierdziłem, że koszmary przeszłości wyblakły, oddaliły się, wypłowiwały, przestały straszyć i przerażać, zniknęły z mojego życia. Cały mój świat zaczął się teraz kręcić wokół jednego imienia: Katarina. Później była wizyta w gabinecie Sosnowskiego i to idiotyczne uczucie, kiedy oglądałem tamte jej zdjęcia. A teraz ona mnie pyta: „dlaczego?”.

– Słyszysz, o co pytam? – powtórzyła kolejny raz.

Siedziała zwrócona w moją stronę. Wpatrywała się w moją twarz. Na chwilę nasze oczy się spotkały.

– Oczywiście, że słyszę. – Nerwowo szukałem w myślach jakiejś wymijającej odpowiedzi. – Chciałem się dowiedzieć, jak to jest być czyimś ochroniarzem – palnąłem bez większego zastanowienia.

\* \* \*

Nie mogłem zasnąć. Karimata pod plecami wydawała mi się za cienka i za twarda, zamiast poduszki zwinięty pod głowę sweter za mały. Było duszno, gorąco, przeraźliwie ciemno i cicho. Wokół panowała idealna czerń, w którą wtopiło się wszystko, w której wszystko straciło swój kształt. Z zewnątrz nie dochodziły żadne, nawet najcichsze dźwięki, tak jakby nagle cały świat ograniczył się tylko do tego pokoju, do jej oddechu, szelestu jej pościeli, bicia mojego serca. Katarina też nie spała. Słyszałem, jak próbowała się ułożyć. Parokrotnie skrzypnęło stare łóżko. Wszystko potoczyło się dzisiaj nie tak. Z tym ochroniarzem wypaliłem jak ostatni dureń. Po tych słowach nawiązujące się między nami porozumienie nagle prysło. Katarina odsunęła się ode mnie, przestała bawić się moją koszulką, zastygła w bezruchu.

– Rozumiem, taki masz zawód – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Każdy pomysł na artykuł jest dobry. Można wszystkich i wszystko sprzedać. Wszystko ma swoją określoną cenę. Można budować, niszczyć, gloryfikować i poniżać bez jakichkolwiek konsekwencji. Wolność słowa, tak to się chyba nazywa. Można kogoś zabić słowem i być bezkarnym. Można zabłysnąć, można się wybić. Szkoda, że nie potrafię czytać po chorwacku. Może kiedyś się nauczę – mówiła jakoś dziwnie, jakby coś hamowało jej słowa, jakby przeszkadzało w gardle.

– Dzisiaj rano, tuż przed naszym wyjazdem, rozmawiałam przez telefon z Davorem. Prosił mnie o listy z naszej podróży. Mówił, że te listy będą się świetnie komponować z cyklem artykułów, jakie pisałeś. Powiedział, że pisałeś cykl reportaży o mnie, że ludzie na to czekali przez cały tydzień, że dzięki tym artykułom wzrósł nakład jego gazety, że jesteś mistrzem manipulowania słowem i ludzkimi emocjami. Nie wierzyłam mu. Spytałam Jelenę, powiedziała... Zresztą, co miała mi powiedzieć. Ona bardzo cię kocha. – Zamilkła nagle, jakby przerażona jakąś myślą, która w tym momencie wdarła się do jej świadomości. – Zazdroszczę ci – powiedziała matowym głosem. – Mnie od dawna nie ma kto kochać.

Wstała i podeszła do okna. Widziałem tylko jej plecy, rękę opartą na ścianie tuż przy framudze, włosy opadające niedbale na ramiona.

– W pewnym sensie to ciąg dalszy – powiedziała jakby z rezygnacją. – Rozumiem.

– O czym ty mówisz? Kompletnie nic nie rozumiesz. Bzdury! Totalne bzdury! – wiedziałem, że mówię za głośno, że krzyczę. Byłem wściekły na Davora, na Petersona, na siebie i na całą tę idiotyczną sytuację.

Spróbowałem ją objąć, odwrócić twarzą w moją stronę.

– Nieważne. – Jej oczy były pełne łez. – I tak ci dziękuję...

Odepchnęła mnie ręką, ruszyła w kierunku łazienki. Przekreślony w zamku klucz jednoznacznie zakończył rozmowę, nie dał już żadnych szans na tłumaczenia. Później były dziesiątki litrów szumiącej pod prysznicem wody, ciągnący się w nieskończoność czas. Kiedy wyszła, miała jeszcze ociekające wodą włosy, podkoszulek opięty na wilgotnym ciele, zaczerwienione oczy, dziwne rumieńce na twarzy. Wyciągnęła przed siebie rękę. Mignęła mi obrączką przed oczyma.

– Możesz na mnie liczyć – spojrzała na mnie zimno. – Uwierz mi, to jak powrót do przeszłości, tę rolę to ja już znam. Byłam świetna. Uwierzył w to cały otaczający mnie świat – opowiadała szybko i chaotycznie. Nie mogłem nic zrozumieć. – To potrafię. Wtedy uwierzyli w to wszyscy – koledzy z uczelni, przyjaciele, wykładowcy, współpracownicy, nawet Michał, który w końcu najlepiej mnie znał. Nikt w nic nie wątpił. Nikomu przez myśl nie przeszło, że to błaga, mistyfikacja, teatr, gra... Nikt nie wątpił, że jestem z nim. Narzeczona profesora Sosnowskiego... Fikcyjne zaręczyny, połączone z przyjęciem po jego habilitacji, pierścionek zaręczynowy, który gdzieś mi się pewnie w szpitalu zapodział, mój bal absolwentów, na którym byliśmy razem, pocałunki i objęcia na pokaz, dłonie splecione dla innych, był wyjazd do Chorwacji, dom w Splicie, była już wyznaczona nawet data naszego ślubu... W pewnym momencie w tę fikcję uwierzyłam nawet ja.

– O czym ty mówisz? – Mój niepokój wzrastał. Nie mogłem pojąć sensu wypowiedzianych przez nią słów.

– Nieważne – zaczęła się śmiać śmiechem, który mnie przerażał. – Zupełnie nieistotne. Chciałam tylko powiedzieć, żebyś był spokojny. Co jak co, ale tę rolę to ja już od dawna umiem grać.

\* \* \*

Byłem tu bardzo dawno temu, chyba jeszcze w czasach szkolnych. Jakoś nigdy później mnie tutaj nie ciągnęło, a może, mimo że to tak blisko Splitu, nie było mi po drodze. Z przeszłości pamiętałem tylko ten przeraźliwy upał, suche, pożółkłe trawy wypalone słońcem, nieporuszane nawet najmniejszym wiatrem, pojedyncze drzewa wyraźnie odcinające się od otoczenia swą zielenią, kontrastujące z bielą kamieni, z błękitem nieba i z tym żółtobrunatnym kolorem traw. Pamiętam pogański cmentarz z sarkofagami splądrowanymi przez rabusiów jeszcze w starożytności, ruiny rzymskiego amfiteatru, zadziwiające swym ogromem i bezsenssem, kamienne resztki greckiego teatru z półokrągłą sceną z orkestrą, płataninę murów zbudowanych z nierównych kamieni, schody, które nie służyły do schodzenia, kolumny z doryckim zwieńczeniem, próbujące mówić o minionej już dawno świetności, drogę rzymską, która prowadziła donikąd, bo kończyła się nagle, jakby bez sensu, strasząc niesymetrycznymi brzegami ukradzionych w średniowieczu kamieni...

Pamiętam coś jeszcze – historię, trochę podobną do historii wojny trojańskiej, przepelnioną zdradą i okrucieństwem, jakby przypadkowo pasującą do nastroju klasycznego dramatu. Salonę zdobyto podstępem. W starożytności nikt się tego nie brzydził. Wrogowie najpierw wycięli w pień oddział bizantyjskiej straży pogranicznej wracającej ze służby nad Dunajem, a potem przebrali się w jej szaty i tak wkroczyli do Salonu, siejąc śmierć, rozpacz i pożogę, dewastując wokół wszystko, pałając chęcią niszczenia tylko dla dzieła zniszczenia. Oblężenie grodu trwało zaledwie parę dni. Salona już nigdy potem nie podźwignęła się z ruin. Wróciło do mnie mgliste wspomnienie czegoś, co wydawało mi się, że już dawno zapomniałem. Teraz, po latach, byłem tu znowu z Katariną. Teraz wszystko było zupełnie inne.

Rano długo walczyłem z sobą, żeby w końcu wciągnąć na palec tę obrączkę. Miałem poczucie, jakbym coś tracił, ale pojęcia nie mam, o co chodziło. Coś wyjątkowego teraz stało się tylko teatralnym rekwizytem, jak drewniany pistolet w kiepskim teatrze sensacji. Ta obrączka nie była drewniana, była prawdziwa – złota, cienka, grawerowana, tylko że nie znaczyła nic. Pomyślałem z żalem, że coś, co powinno być prawie święte, stało się teraz zwyczajnym, nic nieznaczącym przedmiotem. Jeszcze ten napis – „Tiborowi na zawsze” – kompletnie bez sensu. Obrączka na palcu Katariny też wyglądała nienaturalnie. Co chwila patrzyła na swoją rękę. Przy śniadaniu najpierw jej wzrok błędził po palcach obejmujących kubek gorącej kawy, później odsunęła dłoń od siebie, przymrużyła lekko oczy, przechyliła głowę, przyglądała się swojej ręce. Nie miałem odwagi spytać, o czym myśli. Założyła płaskie sandały do jedwabnej, uszytej przez Marikę błękitnej sukienki. Pamiętam, jak Marika zaciągnęła mnie do tamtego sklepu. Była w swoim żywiole. Wybierała, przebierała, przerzucała dziesiątki różnych materiałów. Dopasowywała do siebie kolory, dobierała tkaniny, wybierała dodatki, robiła szybkie szkice. Mówiła, że uwielbia szyć dla Katariny. Na niej wszystko stawało się takie odświeżone, inne. Tej dzisiejszej sukienki jeszcze nie widziałem. Odślaniała ramiona, podkreślała talię, opinała biodra, dołem rozszerzała się, wirując przy każdym ruchu. Musiałem chyba patrzeć na Katarinę odrobinę za długo.

– Coś nie tak? – spytała speszona.

– Nie, dlaczego? Wszystko w porządku – starałem się mówić obojętnie. – Ściągniesz na siebie wzrok wszystkich facetów w okolicy.

– Mogę się przebrać – rzuciła niepewnie.

– Po co? Każdy facet byłby dumny z tak wyglądającej żony – chyba wbrew jego woli zabrzmiało dwuznacznie.

Udawała, że nie słyszy.

Stała przed lustrem. Przeczesała włosy. Odgarnęła dłonią kosmyk uparcie spadający jej na oczy. Zawsze miałem ochotę to zrobić. Zawsze dziwnie wzruszał mnie ten jej ruch. Było w nim coś z nieporadności małego dziecka, kilkakrotnie powtarzany gest, który niczego nie zmieniał. W końcu i tak odrzucała głowę do tyłu, porządkując na chwilę ten nieład kręconych włosów. Jeszcze tylko jeden falisty ruch brzegów sukienki, jeszcze jedno krytyczne spojrzenie w kierunku lustra... Nagle znieruchomiała.

– Idziemy? – spytałem.

Wydawało mi się, że nie słyszy. Podniosła ręką włosy. Przyglądała się swojej szyi.

Niespodziewanie cofnęła się od lustra, usiadła na fotelu.

– Źle się czujesz? – zaniepokoiłem się. – Coś nie tak?

Nie odpowiedziała od razu. Zamyśliła się.

– Nie pamiętasz, czy ja miałam w szpitalu łańcuszek? – spytała nagle.

– Czy co miałaś? – w pierwszej chwili nie zrozumiałem.

– Złoty łańcuszek z motylem z szeroko rozpostartymi skrzydłami, jakby w locie. Dostałam go kiedyś pod choinkę od Michała.

– Nic o tym nie wiem. Nie widziałem. – W miarę jak mówiłem, nabierałem pewności. – Nie, na pewno nie.

– Powinnam go była mieć – mówiła zamyślona. – Nosiłam go zawsze. Bardzo się cieszyłam, kiedy go dostałam. Zawsze potem przypominał mi Michała. Wierzyłam, że ten łańcuszek przynosił mi szczęście. Pamiętam, jak stałam przed lustrem, zanim Roman zawiózł mnie na tamto spotkanie. Miałam na sobie białą, cienką, jedwabną, malowaną w kolorowe kwiaty sukienkę z zielonymi wykończeniami dekolту, szyję ozdobił tamten łańcuszek...

– Kiedy wychodziłaś ze szpitala, oddano nam tylko twoją sukienkę. Pamiętasz? Znalazłaś ją potem w szafie. Policja twierdziła, że nie miałaś nic więcej. Nie znaleziono przy tobie żadnej torebki, żadnych dokumentów, żadnej biżuterii...

– Na pewno go wtedy miałam – powtórzyła uparcie.

– Tam kręci się tak wielu ludzi – wpadłem jej w słowo.

– Wiem, pewnie każdy mógł go zabrać. Wiesz – nagle zmieniła temat – wczoraj wieczorem, tuż przed naszym wyjazdem, dostałam od Jeleny przepiękny łańcuszek. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Będzie idealnie pasował do tej sukienki.

Jeżeli chciały mnie zaskoczyć, to udało im się to w pełni. Na moment z wrażenia zaniemówiłem. Jelena miała starą biżuterię po swojej babci, a może prababci, dokładnie nie pamiętam. Trzymała ją w szkatułce w swoim pokoju. Sama nie nosiła jej nigdy. Mówiła, że jest już za stara, że nie ma po co, że kiedyś w młodości, ale to już przeszło, minęło, że biżuteria też potrzebuje pięknej oprawy. Te łańcuszki, bransoletki i pierścionki miały dla niej olbrzymią wartość. Tylko raz, kiedy rzuciłem pracę w redakcji, powiedziała mi, żebym się nie martwił, że możemy zacząć to sprzedawać, że są w życiu rzeczy mniej ważne, ważne i te najistotniejsze, że przecież nie można przerwać leczenia Katariny. Kiedyś mówiła mi, że to wszystko dostanie moja żona. Teraz część tego swojego skarbu dała Katarinie. Łańcuszek był długi i delikatny, spleciony jakby z trzech osobnych cienkich nitek, obok siebie współistniały dwa odcienie złota, które – wbrew pozorom – cudownie korelowały ze srebrem pokrytym patyną. Łańcuszek pasował idealnie do jej włosów, do dekolту jej sukienki, do opalonego ciała. Pomogłem jej go zapiąć. Na chwilę moje ręce były tuż przy jej rękach, jej odrzucone do tyłu włosy musnęły moją twarz, musiała czuć mój oddech na swojej szyi...

A później na nowo odkrywałem z Katariną Salonę. Teraz to miasto wydawało mi się zupełnie inne. Gdy wyszliśmy z pensjonatu, Katarina pierwsza chwyciła mnie za rękę. Niepewnie, nieśmiało, jakby bojąc się mojej reakcji, a może swojej własnej. Chwyciłem jej dłoń mocniej, pewniej. Serce biło mi jak oszalałe. Moja dłoń знаła tylko dłoń Marii, a potem również to, jak wszystko inne, zapomniałem. Dłoń Katariny w mojej dłoni, nasze

palce w pewnej chwili niespodziewanie splecione ze sobą, delikatny ucisk obrączki, jej ręka przy mojej ręce, jej głowa na wysokości mojego ramienia, jej włosy muskające moją twarz... Tak, to była zupełnie inna Salona. Zapamiętam to na zawsze: roześmiana twarz dziewczyny ociekająca wodą ze starożytnego źródła, głowa zanurzona pod spadającą kaskadę, mokre włosy opadające na ramiona, zmoczona sukienka opinająca jej ciało, strumień wody skierowany jej ręką w moją stronę i tęcza ze słonecznych promieni odbitych w każdej kropli rozprysniętej przez nią wody, mokra od kropli koszula i to idiotyczne uczucie, że nade wszystko na świecie jej pragnę, kamienne ławy pamiętające dawnych mieszkańców Salony, otoczone pergolą z kwitnących krzewów, marzenie, by rzymska droga wiodąca donikąd nigdy się nie skończyła. Katarina tańcząca boso na arenie rzymskiego amfiteatru, recytująca coś w zupełnie mi obcym języku na kamieniach greckiej orchestry, Katarina udająca posąg tańczącej dziewczyny, stojąca na palcach na kamiennym postumencie z lekko podniesioną, jakby nagle zatrzymaną w tanecznym kroku nogą, z uniesionym brzegiem sukienki... Widziałem kiedyś zupełnie gdzie indziej podobną postać, tańczącą kamienną kapłankę bogini Westy, a może jakiegoś innego pogańskiego boga. Później był czas odpoczynku, Katarina leżała na trawie z głową opartą o moje nogi, a wiszące nisko, tuż nad linią horyzontu słońce rzucało ostatnie promienie przedzierające się przez konary drzew, igrające w jej włosach, rzucające wokół miękkie, przyjazne cienie. I wtedy nagle ta nieodparta chęć, by zatrzymać to wszystko na zawsze, by niczego z tego dnia nie zapomnieć, niczego nikomu nie oddać. To była zupełnie inna Salona i to była zupełnie inna, nieznaną mi dotąd Katarina.

\* \* \*

– Śpisz? – usłyszałam cichy szept Alena. Wydawał się płynąć znikąd, z otaczającej i otulającej wszystko ciemności. Po kolacji Alen wyszedł na chwilę. Mówił, że musi coś sprawdzić. Byłam już w łóżku, kiedy wrócił z jakąś gazetą w ręku. Obserwowałam go spod przymkniętych powiek. Ściągnął koszulę. Na podłogę tuż obok stołu rzucił swoją karimatę. Zgasił światło. Nagle wszystko ogarnęła ciemność. Odślonił okno. W pokoju zrobiło się przez moment o wiele jaśniej. Za oknem mignęło niebo usiane gwiazdami, dziwnie duży księżyc pokazał się tuż nad dachami sąsiednich domów. Alen uchylił na chwilę okno. Usiadł na parapecie. Widziałam jego postać na tle granatowego nieba. Musiałam na chwilę zasnąć. Obudziło mnie ciche stuknięcie drzwi od łazienki. Słyszałam, jak próbuje się ułożyć na tej swojej karimacie, jak przewraca się z boku na bok, jak coś przetrzepuje ręką. Później zapanowała cisza. Poruszyłam się lekko. Usłyszałam.

– Śpisz?

– Nie, jakoś nie mogę zasnąć – odpowiedziałam cicho.

– Ja też.

Znowu cisza. Dziwny był ten dzisiejszy dzień. Pierwszy raz od nie wiem jak dawna czułam się szczęśliwa. Ale to wszystko nie należało do mnie. Tamta szczęśliwa dziewczyna nie była mną. Ja jestem Katarzyna, nie Nadine. Nadine miała dzisiaj cudowny dzień. To było trochę tak jak kiedyś z Michałem... Nie znałam takiego Alena, chociaż wiedziałam, że to tylko gra. Ten mężczyzna to był Tibor, nie Alen. Kiedyś przeżyłam już podobne dni,

dawno temu, przed laty. Tamte wakacje z Michałem. Pomysł z pogranicza szaleństwa – przejść z plecakami całe wybrzeże. Roman był na stypendium w Stanach. Dzwonił każdego dnia. Coraz mniej czekałam na te telefony, coraz bardziej i bardziej, wbrew samej sobie, Ignęłam do Michała. Nawet teraz, po tym wszystkim, gdy zamknę oczy, to widzę tamto morze, drobny piasek klejący się do mokrych nóg, napis pomiędzy nadpływającymi falami: „Tak jak teraz na zawsze”. „Zawsze i na zawsze...”. Bzdura. Wszystko minęło, wszystko zabrał i zniszczył ten przeklęty czas.

– O czym myślisz? – usłyszałam cichy szept.

– O Michale... – powiedziałam bez zastanowienia.

– Rozumiem... – jego głos nagle stał się oschły.

– Nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć.

– Nawet gdybym zrozumiał, to i tak nie ma to pewnie dla mnie żadnego znaczenia.

– Ma – przerwałam mu. – Przez parę lat wszystko kojarzyło mi się tylko z Michałem. Wszystko, co dobre i co złe. Cały mój świat ograniczony był kiedyś do imienia Michał. Miało tak być zawsze i na zawsze. Dzisiaj...

– Bzdura! – przerwał mi gwałtownie. – Niczego nie ma zawsze i na zawsze. W życiu liczą się tylko chwile. Uczucia ludzkie są ulotne jak gra hormonów. Nagle zjawia się ktoś, kto ma czegoś więcej niż my. Jest lepszy, choć nam jest to trudno przyznać. Nieważne, co znaczy słowo „lepszy”. W końcu słowa to tylko symbole. Każdy pod każdym rozumie coś innego. Toczymy jakąś idiotyczną walkę, która nas tylko pogrąża. Kiedy wreszcie dociera do nas bezsens tego wszystkiego, najczęściej poniżyliśmy się już na tyle, że osiągnęliśmy dno. Nienawidzimy sami siebie... Bzdura, nie ma żadnego zawsze i na zawsze.

Nie pozbierał się jeszcze, pomyślałam. Nie wystarczy pozdzierać ze ścian stare zdjęcia, powiesić nowe zasłony, wyrzucić sterty petów, otworzyć okiennice, wpuścić światło, rozgonić mrok, pociągnąć ściany pokoju farbą o ciepłej barwie... Tamte stare ściany są w nim nadal. Nadal krzyczą czarną farbą tamtych napisów, w których w kółko i w kółko wracało jedno imię – Maria.

– Mówisz o Marii? – sama przestraszyłam się swojego pytania. To imię nigdy między nami nie padło.

– Mówię o uczuciach – odpowiedział spokojnie. – Wspomnienia o Marii już dawno wyblakły. Nie mają żadnego znaczenia. Już prawie zapomniałem.

Zamilkł. Jakby przestraszony tym, że cokolwiek o sobie powiedział.

– Pytałeś, o czym myślę – zaczęłam niepewnie.

– Znam już odpowiedź.

W jego głosie wyczuwałam wrogą nutę.

– Nie dałeś mi dokończyć.

– A co chcesz dodać? – pomimo ściszonego głosu brzmiało zaczepnie. – Faceci nie przepadają za opowieściami o innych facetach. Pewnie nie miałaś starszego brata, który by ci to wytłumaczył.

– Pewnie nie miałam – powtórzyłam prawie odruchowo. – Na pewno nie miałam.

– No, właśnie.

Nie kleiła się ta rozmowa. Chwile milczenia stawały się coraz dłuższe. Zdania coraz częściej zastępowały prawie monosylaby. Tylko serce biło mi coraz szybciej i szybciej.

– Dzisiaj świat znowu był taki jak kiedyś, mimo że nie było Michała...

Pomyślałam, że i tak nie zrozumie. Chciałam powiedzieć coś więcej. Przestraszyłam się nagle swoich myśli. Chciałam mu powiedzieć, że zazdroszczę Nadine, że szkoda, że to wszystko to tylko gra. Chyba jednak zrozumiał. Gdzieś tam w ciemności usłyszałam, jak wstaje, jak przypadkowo potknął się o krzesło, jak pod nosem wymamrotał coś, co pewnie było jakimś przekleństwem. Odsłonił okno. Białe światło księżyca oświetliło pokój – stół, dwa krzesła, wielki fotel, szerokie łóżko, szafę, karimatę rozłożoną na podłodze... Odsunął pościel. Usiadł na brzegu mojego łóżka. Odruchowo przesunęłam się trochę. Na chwilę nasze ręce spotkały się niby przypadkiem, na chwilę splotły się nasze palce. Obrączka na jego dłoni, obrączka na moim palcu. Serce biło mi jak oszalałe. Jego twarz była coraz bliżej i bliżej mojej twarzy, ręką odgarnął moje włosy.

– Zazdroszczę... – szepnął.

Nagle odsunął się gwałtownie. Wstał. Zrobił unik. Uciekł przede mną, a może przed samym sobą.

– Pewnie będzie lepiej, jak sobie na chwilę pójdę.

W przelocie ściągnął z krzesła koszulę, szybko naciągnął spodnie. Nie odwrócił się nawet, nie spojrzał w moją stronę. Sucho trzasnęły drzwi. Zostałam sama z przecuciem, że ja go przecież już od dawna Kocham.

\* \* \*

Wybiegłem na zewnątrz. Byle się tylko nie zatrzymać, pomyślałem, byle się nie odwrócić, nie spojrzeć na nią. Za mocno pchnięte drzwi uderzyły o ścianę, po chwili zatrzasnęły się za mną z głośnym hukiem. Moje pospieszne kroki zadudniły po kamiennych schodach, odbiły się echem od pustych ścian. Ten dzień był jak obłąd, jak szaleństwo. Nie panowałem już nad niczym. Cały świat wydawał się mieć tylko jej imię. Czułem się jak odurzony, oszołomiony, pijany... Chyba nigdy tak wcześniej nie było, w każdym razie ja tego nie pamiętam. Wszystko inne nagle zbladło, oddaliło się, przestało istnieć, zszarzało i zlało się z tłem. Nie liczy się już nikt i nic poza nią. Jeszcze ten wspólny pokój, szaleństwo – jej dłoń w mojej dłoni, jej włosy opadające na ramiona, ten zapach drzewa sandałowego, dwie obrączki na palcach, jej twarz coraz bliżej mojej twarzy, mglista poświata księżyca... Jeszcze chwila, a zacząłbym ją całować, jeszcze chwila, a zapomniałbym o wszystkim. Nie teraz... Teraz nie może wydarzyć się nic, nic, co mnie zdekcentruje, rozkojarzy, zabierze zdolność logicznego myślenia, pomiesza zmysły... Przed dwoma dniami ktoś w zatoce zastawił na nią pułapkę, wczoraj ktoś próbował ją zabić. Coś, co wydawało się dotychczas tylko grą wyobraźni, niegroźną mieszaniną rzeczywistości z fikcją, prawdziwych przeżyć z fragmentami dawno czytanych książek, nagle okazało się rzeczywistością. Któż to jest, do cholery? Mary przeszłości czy jakiś wariat? Kocham ją już od tak dawna, od pierwszego spojrzenia w porcie, od pierwszej rozmowy na promie, od zawsze. Mogę poczekać. Kolejny już raz obchodziłem w kółko ten pensjonat, zapalałem kolejnego papierosa. W dzisiejszej gazecie nie było nic, w każdym razie nic interesującego, żadnych wieści o narodzinach Katarzyny. Jutro, najpóźniej pojutrze, powinien dotrzeć do Petrovica pierwszy artykuł. A w czwartek się wszystko



zacznie.

\* \* \*

Alen siedział przy stole odwrócony do mnie tyłem. Widziałam tylko jego plecy.

– Jaka jestem? – spytałam spokojnie. Odwrócił się gwałtownie. Wydawał się zaskoczony.

– Nie rozumiem, o co pytasz – spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Jaka jestem w tych twoich artykułach?

Chyba nie na to pytanie czekał. Spochmurniał nagle.

– Znowu to samo – burknął. – Ty chyba jednak niewiele rozumiesz.

Wstał. Zaczął tę swoją dobrze mi już znaną wędrówkę, parę kroków tam i z powrotem w zamkniętej jak klatka przestrzeni, oddzielającej okno od stołu.

– Chodzi mi tylko o to... – zaczęłam niepewnie.

Nie chciał słuchać, przerwał mi prawie od razu.

– Musimy chyba sobie coś wyjaśnić – powiedział ostro. – My z Jeleną jesteśmy biedni. Nie wiem, czy rozumiesz, co znaczy to słowo? – dodał niemiło, zaczepnie. – Nigdy nie przeszkadzała mi nasza bieda. Nie przywiązuję większej wagi do rzeczy materialnych, można je wszystkie w jednej chwili stracić, nie mają dla mnie znaczenia. Jelena wychowała mnie po prostu inaczej. W naszym świecie pieniądze nie miały nigdy żadnej magicznej wartości, nie były nigdy celem, ale bez nich nie mógłbym cię wziąć z tego szpitala. To był układ, który gwarantował finansową stabilność. To było jakby finansowe przymierze pomiędzy mną, redakcją i szpitalem. Nie wiem, czemu Davor ci to wszystko powiedział. W odpowiednim momencie sam bym ci to kiedyś wyjaśnił. Petrovic zawsze musi wcinać się w nie swoje sprawy. Ten facet ma dziwny dar niszczenia wszystkiego. Nie wiem, z czego to wynika – z braku taktu czy z głupoty – mówił z wyraźną niechęcią, prawie agresją w głosie.

Coraz wolniej przemierzał pokój, coraz częściej zatrzymywał się na chwilę. Raz po raz spoglądał w moją stronę.

– Może i sprzedałem nas trochę – stwierdził niespodziewanie. – Można na to i w ten sposób patrzeć. Sprzedałem trochę ciebie i trochę siebie. Nie miałem wyjścia. Nie żałuję – w jego głosie usłyszałam zdecydowanie. – Mogę ci przeczytać każdy z tych artykułów, łącznie z każdą kropką i każdym przecinkiem – mówił coraz szybciej, coraz głośniej. – Nie możesz mi niczego zarzucić, oprócz tego, że w ogóle to pisałem. – Zamilkł na chwilę, zamyślił się. – W życiu są rzeczy ważne, ważniejsze i te najbardziej istotne. Życie to swoisty kompromis, konieczność dokonywania ciągłych wyborów. Ja zrozumiałem to dopiero niedawno. – Odwrócił się w moją stronę. Nie uciekał już spojrzeniem. Jego wzrok skupił się na mojej twarzy. – Gdybym musiał jeszcze raz stanąć na początku tej drogi, to zrobiłbym dokładnie tak samo. Nie wiem, czy rozumiesz? Dokładnie to samo.

Kolejny już raz otwierałam usta, żeby mu przerwać, kolejny raz nie dopuszczał mnie do głosu. Nareszcie zamilkł. Źle mnie zrozumiał, uraziłam go przypadkiem, nagle poczułam się winna.

– To nie o to chodzi – powiedziałam niepewnie.

– Więc o co?

Nasz wzrok spotkał się na chwilę.

– Mam przecież pisać listy do twojej redakcji.

Popatrzył na mnie zdziwiony. Miałam wrażenie, że jeszcze nie do końca rozumie.

– To musi pasować do twoich wcześniejszych artykułów, układać się w jakąś logiczną całość – brnęłam dalej.

Chyba zrozumiał, twarz mu jakby złagodniała.

– Wystarczy, że będziesz sobą – uśmiechnął się lekko.

– Sobą? – spytałam niepewnie. – I to ci ludzie kupią?

– Będzie dobrze, na pewno będzie dobrze – powtórzył.

– A gdzie my teraz jesteśmy?

– Nie pamiętasz? – patrzył na mnie osłupiały. – W Salonie.

– Nie o to pytam. Skąd mam napisać list?

– Z Dubrownika.

– Z Dubrownika? Dlaczego akurat Dubrownik?

– Bo to daleko – tłumaczył spokojnie. – Zastanawiałem się nad tym długo. Dubrownik to dobry pomysł. Trzeba kogoś wyciągnąć ze Splitu, zmusić go do wyjazdu, do ujawnienia się. Tam się nie da pojechać w jedno popołudnie, taki wyjazd to już cała wyprawa. Trzeba wynająć hotel, trzeba zaistnieć... Można potem przejrzeć listy hotelowych gości, można sprawdzić, czy pojawił się tam ktoś znajomy...

– Nigdy nie byłam w Dubrowniku.

– Skąd ta pewność? – zapytał z lekkim niedowierzaniem, a może ironią. Przyglądał mi się z zaciekawieniem. – Przecież mówiłaś, że Chorwacji prawie nie pamiętasz.

– Mówiłam to kiedyś. Teraz pamiętam już dużo, każdego dnia coraz więcej... – Położyłam się na łóżku. Przymknęłam lekko oczy, pozwoliłam, by przed oczyma zaczęły powoli przesuwać się wracające gdzieś z zaświatów mojej pamięci obrazy. – Pamiętam turkusowe jeziora i szum wszechobecnej wody – mówiłam po cichu – wodospady na jakiejś pędzącej rzece, białe grzywy wody przewalające się przez kamienne progi, dziwnie dziurawe skały, ruiny pirackiej fortecy, jakieś zamki na wodzie, pamiętam port w Supetarze i ciebie na promie, pamiętam Split, jakąś fortecę broniącą wejścia do portu, zimne źródła bijące pod stopami, mieszające się ze strumieniami ciepłej wody, jakiś olbrzymi pomnik żołnierza z granatami wetkniętymi za pas wojskowej bluzy, długi most o wysokich przęsłach spinający brzegi rzeki, nad którym gdzieś z boku nieśmiało przystanęła Maryja z Dzieciątkiem, żaglówki w jakiejś małej skalistej zatoczce, dziwne, duszne miasto o wąskich ulicach wijących się między starymi kamiennymi domkami, wiodących coraz wyżej i wyżej w kierunku kamiennego muru, oddzielającego miasto od małego kościoła z przyległym do niego cmentarzem... To miasto było przerażające, jakby wszystko nagle kończyło się na tym cmentarzu, jakby dalej było już tylko morze. Pamiętam jeszcze mnóstwo jakichś dziwnych szczegółów, fragmentów, które nie pasują jeszcze do niczego. Nie wiem, jak nazywają się te miejsca... Każdego dnia widzę ich coraz więcej.

Nie siedział już przy stole. Nie wędrował po pokoju. Nie szamotał się pomiędzy stołem i oknem. Usiadł tuż koło mnie, na brzegu łóżka, słuchał.

– A Dubrownik?

– W Dubrowniku nie byłam na pewno. Bardzo chciałam tam pojechać. Widziałam w jakimś biurze podróży reklamę Dubrownika. Ale było za daleko, nie mieliśmy czasu. Gonił nas termin spotkania z Michałem. Wielkimi krokami zbliżała się data naszego ślubu...

– Co chciałaś zobaczyć w Dubrowniku?

– Tamten plakat przedstawiał miasto widziane ze stoków jakiejś góry...

– Mów, spróbuję coś napisać.

*Nigdy nie byłam w tym mieście. W każdym razie tego nie pamiętam. Nie mam żadnych wspomnień, żadnych uczuć, zupełnie nic. Wszystko tutaj wydaje mi się nowe, nieznane, obce, trochę jak zdjęcie z krzykliwej reklamy południa Chorwacji. Z tego miejsca, gdzie stoimy, wszystko przypomina fałszujące rzeczywistość, przerysowane i przeretuszowane prospekty z biur podróży – niebo jest zbyt niebieskie, kamienne mury starych domów wydają się zbyt białe w świetle południowego słońca, czerwone dachówki w nienaturalny sposób załamują biel, zielona roślinność wdziera się jakby podstępem pomiędzy domy, lśniące w słońcu mury obronne opadają z trzech stron w granatowo-turkusowe morze. Z tej odległości żaglówki zacumowane w porcie są wielkości dziecięcych zabawek, a mała wysepka Lokrum wydaje się dostępna wplaw. Wszędzie roślinność, której nie znam z mojego kraju: drzewa figowe, migdałowce, palmy, rozłożyste pinie, oleandry krzyczące bujnością kwiatów, szczelnie oklejające kamienne fasady niektórych domów i strzelające w górę wysmukłe cyprysy, nadające swoisty urok temu krajobrazowi. Wszystko jakby nagle wstrzymało oddech, zatrzymało się na chwilę, zmęczone południowym upałem, a może ciekawe mojej reakcji. Tylko cyprysy pachną rozgrzane słońcem, świerszczom w ich koncercie nie przeszkadza skwar. Przed nami u podnóża góry rozciąga się starożytne miasto. Dubrownik... Ja wiem: port, mury obronne, wieża zegarowa, brama zachodnią, baszty, pałac Sponza, klasztor Dominikanów, urokliwe wąskie uliczki, studnie Onofria...*

Opowiedział mi wszystko, robiąc co chwila przerwę, wierząc, że gdzieś w środku coś jednak we mnie drgnie, że jednak coś pamiętam. W końcu to takie nienaturalne, takie dziwne – być w Chorwacji i nie widzieć Dubrownika. Niestety, niczego nie pamiętam...

\* \* \*

Zaraz z rana przewertowałem gazetę, zresztą wiedziałem to już wcześniej. Redaktor Petrovic zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Dubrownik... Dobrze to Alen wymyślił, pomyślałem, daleko od Splitu. Można sprawdzić, kto ze znajomych opuści miasto, można przejrzeć listy hotelowych gości. Trochę gorzej z pensjonatami i prywatnymi kwaterami, myślałem intensywnie. W sezonie Dubrownik podwaja liczbę swoich mieszkańców. Taka jest przynajmniej wersja oficjalna. Nikt jednak tak naprawdę nie wie, na ile rzeczywistość zgadza się z rejestrem zameldowanych turystów. Z urokliwego, romantycznego, spokojnego miasta przeradza się w szczycie sezonu w tętniącą życiem metropolię. Trzeba byłoby niebywałego szczęścia... W końcu zawsze można spróbować. Dzwoniłem już do

chłopaków w Dubrowniku. Powęszą przez parę dni. To, co jest możliwe, dostaniemy faksem. Wczoraj znaleziono ich auto. W pierwszej chwili poczułem się urażony. Alen nie wierzy nikomu, nawet mnie. Przygotowany dla nich samochód zostawił na parkingu przed wiejskim sklepem spożywczym w zapomnianej przez wszystkich dziurze nieopodal Omišu. Zdenerwowany właściciel nie mógł znieść blokowania jednego z dwóch miejsc parkingowych przy swoim sklepie i zgłosił to na miejscowym posterunku policji. Ciekawe, czy Alen wiedział o zamontowanym na wszelki wypadek GPS-ie. Zakochany Alen to było dla mnie coś nowego. Trochę się tego obawiałem. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Wszedł do mojego gabinetu pewnie, nieproszony usiadł naprzeciw mnie po drugiej stronie biurka, przelotnym spojrzeniem obrzucił mój gabinet, w końcu na dłużej zatrzymał wzrok na rozrzuconych na moim biurku papierach i jakby przypadkiem popatrzył na mnie. Przez chwilę poczułem się tak, jakbym to ja był gościem u niego.

– Rozmawialiśmy dzisiaj przez telefon – zaczął bez żadnych wstępów. – Zgodził się pan, mimo wyraźnie wyartykułowanej przez pana niechęci do dziennikarzy, spotkać się ze mną.

Poczułem się lekko urażony jego sposobem bycia.

– Słucham – powiedziałem służbowym tonem. – Proszę mówić, wspomniałem panu, że nie mam dzisiaj dla pana wiele czasu – ponaglałem go.

Jakoś go to nie zniechęciło. Rozsiadł się wygodniej.

– Zwróciliście się państwo do naszej redakcji z prośbą o pomoc – zaczął pewnie.

– Nie my – przerwałem mu w pół zdania – tylko szpital.

– Co to za różnica? – wzruszył ramionami.

– Dla mnie zasadnicza. Dla pana zupełnie żadna?

– To tylko drobne przejęzyczenie – mówił zupełnie niezbity z tropu.

– Za to właśnie nie cierpię dziennikarzy – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Też nie przepadam...

Przez chwilę pomyślałem, że kpi ze mnie. Spojrzałem na niego uważniej. Nie kpił. Nawet nie zauważył, że mogło to zabrzmieć co najmniej dwuznacznie.

– O co panu chodzi? – spytałem odrobinę przyjaźniej.

– O tę dziewczynę ze szpitala.

– Domyślam się.

– Na razie nikt się nie znalazł? Śledztwo utknęło w martwym punkcie? – spytał, przyglądając mi się uważnie.

Nie wiedziałem, do czego zmierza. Patrzyłem na niego podejrzliwie.

– Czyżby miał pan ochotę w jutrzejszej gazecie na artykuł pod chwytliwym tytułem: „Policja znowu bezradna”, a w postscriptum „Kapitan Ivo Begovic powiedział, że śledztwo utknęło w martwym punkcie?” – spytałem zaczepnie.

Nagle zaczął się śmiać.

– Pan należy do tych ambitnych, którzy boją się krytyki? – wydawał się szczerze rozbawiony. – Przywiązuje pan jeszcze jakiekolwiek znaczenie do takich spraw? Ludzie karmią się tego typu historiami. Potrzebują tego do życia jak powietrza. Naprawdę zrobiłoby to na panu jakiekolwiek wrażenie? A ja, obserwując pana działania, myślałem, że jest pan normalny...

Zatkało mnie. Bezczelny czy tylko idiotycznie szczery? Chyba zorientował się, że przesadził. Zamilkł na chwilę.

– Przepraszam – rzucił niedbale. – Nie sądziłem, że pan bierze wszystko tak na serio. Przyszedłem do pana nie jako dziennikarz.

– W takim razie jako kto, jeżeli mogę spytać?

– W pewnym sensie jako świadek.

– Świadek? – Nie od razu dotarło to do mnie. – Widział pan padającą na ziemię dziewczynę i nie udzielił jej pan pomocy? To można podciągnąć już pod różne paragrafy. To podlega karze.

– Nie, nie w tym znaczeniu.

– A w jakim?

– Ta dziewczyna to w pewnym sensie znajoma. Była parę tygodni wcześniej bohaterką mojego artykułu. Przyniosłem go panu.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma w ręku gazetę. Położył ją przede mną na biurku. Czekał spokojnie, aż przeczytam.

– To był czysty przypadek, ale spotkałem tę dziewczynę wcześniej dwa razy. Ostatni raz widziałem ją około godziny czternastej w dniu tego nieszczęścia.

Spojrzałem na niego z narastającym zainteresowaniem.

– Mówi pan „przypadek”...

– Całkowity. Miałem wtedy napisać artykuł o cudzoziemcach na wyspie. Właściwie wszystko było już gotowe. Brakowało mi jeszcze paru zdjęć i wtedy ich zobaczyłem.

– Jak to: „ich”?

– Właśnie to próbuję panu od samego początku powiedzieć.

– Towarzyszył jej ktoś? – chciałem się upewnić.

Kiwnął głową, ale patrzył na mnie jakoś dziwnie.

– Ma pan jeszcze jakieś zdjęcia? – spytałem.

– Mam, ale to niczego nie zmienia. Na tych zdjęciach jest tylko ona.

– Tylko ona? – powtórzyłem prawie odruchowo. – Może przyniesie je pan do nas. Można pokazać w kronice policyjnej z tymi ze szpitala...

– Przyniosę, ale pewnie niewiele to zmieni. Zamieściliśmy je już dzisiaj w gazecie.

Zamilkł na chwilę. Czekał, a ja nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć.

– To chyba niewiele więcej można zrobić – stwierdziłem bez większego przekonania.

– Naprawdę tak pan sądzi? – wydawał się rozczarowany.

– A co pan proponuje? – spojrzałem na niego uważnie.

– Znaleźć go – odrzekł pewnie.

– Chce mi pan powiedzieć, że pamięta go pan tak dokładnie? – spytałem z powątpiewaniem w głosie. – Minęło już trochę czasu. Pan, z tego, co widzę, bardziej koncentrował się na tej dziewczynie...

– Pamiętam – przerwał mi zdecydowanie.

Siedział naprzeciw mnie i czekał na mój ruch, poczułem się przez moment jak gracz rozgrywający partię szachów. Efektowne wyjście, parę ruchów, kilka nic nieznaczących zbić, pozorna równowaga i teraz on czekał na mój ruch.

– Jeżeli będzie pan sam szukał, to ma pan raczej niewielkie szanse... – powiedziałem

szczerze.

– Też tak sędę, dlatego przyszedłem do pana – kolejny już raz wpadł mi w słowo.

– W świetle prawa to idiotyczne. Nie można nikogo ścigać tylko za to, że był z kimś gdzieś, kiedyś.

– W świetle prawa wiele rzeczy jest niemożliwych. Może prawo jest po prostu niedoskonałe, nie zawsze przystające do problemu, zupełnie nieelastyczne? – prowokował mnie.

– Chyba nie mogę pomóc... – powiedziałem bez większego przekonania.

Obserwowałem jego twarz. Malowało się na niej coraz większe rozczarowanie, narastająca z sekundy na sekundę coraz bardziej wyraźna niechęć.

– Był pan w tym szpitalu? – spytał nagle.

Zaskoczył mnie. Tego pytania zupełnie się nie spodziewałem. Nie czekał na moją odpowiedź. Wstał, odwrócił się do mnie plecami, podszedł do okna. Wyglądało to tak, jakby nagle policyjne samochody stojące na parkingu przed komisariatem stały się dużo ważniejsze od naszej rozmowy.

– Byłem – odpowiedziałem z lekkim ociąganiem.

Nawet nie drgnął. Zaczął bębnić palcami po szybie. Nagle pomyślałem, że go chyba rozumiem. Nie chcę tego, bronię się przed tym podświadomie, jak przed każdym nowym, trudnym wyzwaniem, ale go rozumiem. Przede mną na stole leżały zdjęcia uśmiechniętej dziewczyny, tam w szpitalu na oddziale intensywnej terapii widziałem ją nieprzytomną z baterią aparatury, podtrzymującą parametry tlącego się jeszcze w niej życia.

– Byłem – powtórzyłem jeszcze raz.

Milczał. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie był zainteresowany moją odpowiedzią.

– Możemy spróbować – zacząłem niepewnie. Nie byłem jeszcze do końca przekonany. – Może pamięta pan na tyle, że uda się nam stworzyć portret pamięciowy tamtego mężczyzny. To godziny żmudnej pracy, dobierania do siebie każdego, nawet najmniejszego szczegółu. Często po wielu godzinach i tak portret w niczym nie przypomina zapamiętanego pierwowzoru... – próbowałem tłumaczyć.

– Czas się dla mnie nie liczy... – przerwał mi niecierpliwie. – Straciłem już w życiu wiele czasu w bardziej bezsensowny sposób.

Siedzieli z sierżantem Marko wiele godzin. Poprawiali ten portret parę dni. Później Alen i moi chłopcy przemierzali z tym portretem chyba wszystkie możliwe miejsca w Splicie. Byli wszędzie albo nam się wtedy tylko wydawało, że wszędzie. Facet zniknął, zapadł się pod ziemię. Gdyby nie to, że uwierzyłem Alenowi bezgranicznie, to pomyślałbym, że tamten człowiek był tylko wytworem jego wyobraźni. Spotykaliśmy się u mnie w gabinecie prawie każdego dnia. Codziennie musiałem godzić rosnące frustracje moich chłopaków z niespotykanym uporem Alena. Kiedy nadszedł dzień wypisu Katariny ze szpitala, chyba tylko ja nie byłem zaskoczony. Nie zdziwił mnie zupełnie. Byłem pewny, że on jej nie zostawi.

\* \* \*

Marko wszedł do gabinetu z plikiem papierów w ręce. Usiadł ciężko na krześle.

Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– I co? – spytałem przyjaźnie.

– Zależy, o co szef pyta? – burknął. – Jeżeli o ostateczny wynik, to odpowiedź będzie bardzo krótka. Można ją nawet zawrzeć w jednym, nie do końca cenzurowanym słowie, które w niczym nie odzwierciedli godzin mojej pracy, ale w sposób lapidarny określi sytuację... – wydawał się bardzo rozdrażniony i zmęczony.

– Nic? – wyprzedziłem go pospiesznie.

– Zupełnie nic, co miałoby jakikolwiek sens, po prostu gówno.

– Chyba można się było tego spodziewać. To dopiero początek. Później powinno być ciekawiej – próbowałem go jakoś udobruchać. Nie podziałało.

– Pewnie i tak, ale jakoś zawsze wszystko, co wyjątkowo parszywe, nudne i niewdzięczne, to w naszym wydziale pada na mnie...

– Możesz swoje obserwacje wpisać do książki „Skarg i wniosków” w sekretariacie – przerwałem mu uzalanie się nad sobą. – Przeczytam później, może nawet ci odpowiem.

Zamilkł na chwilę. Zaczął przekładać drobno zapisane kartki papieru, numerować strony. Lubię go, pomyślałem, poukładany, systematyczny, twardo stąpający po ziemi.

– Sprawdziłem chyba wszystko – zaczął już zupełnie innym głosem. – Zdaje się, że szef zapomniał dorzucić mi parę szczegółów, które nakierowałyby mnie na konkretne działania.

– Nie znam żadnych dodatkowych szczegółów – powiedziałem obojętnie.

– Też tak sobie pomyślałem, dlatego nawet nie niepokoiłem pana dodatkowymi pytaniami – rzucił zaczepnie. – Przejrzałem wszystko to, co dostaliśmy od kolegów z Dubrownika. Starłem się popatrzeć na to z różnych stron – zaczął się już uspokajać. – Na liście goszczących w tej chwili w mieście turystów nie znalazłem żadnego znanego mi z tej sprawy nazwiska. Pomyślałem, że przygotuję dwie niezależne listy. Nikt przecież nie wie, kogo szukamy. Na jednej liście pojawili się cudzoziemcy, którzy przybyli do Dubrownika w przedziale czasowym od czwartkowego popołudnia do soboty włącznie, na drugiej liście Chorwaci. Najwięcej czasu zajęło mi znalezienie odpowiedzi na pozornie najprostsze pytanie – czy Alen i Katarina w ogóle tam byli, a jeżeli tak, to od kiedy. Szef nie był łaskaw mi powiedzieć, że ta podróż to jeden wielki bajer – spojrzał na mnie z wyrzutem. – Nie wiedziałem, od jakiej daty mam sprawdzać – od daty pojawienia się artykułu, czy od daty ich przybycia do Dubrownika? Zawsze można było liczyć się z tym, że pomimo wszelkich zabezpieczeń ktoś jednak pojechał od razu ich śladem. – Zawiesił na chwilę głos. Spojrzał na mnie. – Ich w Dubrowniku nie było i pewnie szefa ta wiadomość niespecjalnie dziwi. Gdyby zdradził mi pan ten sekret na początku, to oszczędziłoby mi to wielu godzin pracy – mówił z wyrzutem. – Nie cierpię, kiedy robi się ze mnie idiotę. Zaufanie... Dziwne słowo, które od czasu tej sprawy nagle przestało obowiązywać w naszym wydziale – kontynuował. – Alen zarezerwował pokój i opłacił go. Dla kogoś, kto by ich próbował szukać, wyglądałoby, że oni rzeczywiście tam byli. Mnie Alen nie oszukał. Znam hotel, w którym się jakoby zatrzymał. Nikt go tam jednak nie widział. Może nie powinienem pytać, ale ciekawe, czy szef w ogóle wie, gdzie oni się teraz podziewają? – spojrzał na mnie uważnie. Przez chwilę miałem wrażenie, że próbuje mnie na wylot prześwidrować swoim wzrokiem.

– Nie musi mi pan oczywiście odpowiadać, szefie – odwrócił oczy. – Nie zdziwiłbym

się wcale, gdyby i pan nie wiedział. Słyszałem o samochodzie. Alen nie ufa nawet panu. Mam wrażenie, jakby z tym facetem nie wszystko było w porządku.

Zamilkł. Przekładał te swoje notatki, jakby jeszcze czegoś w nich szukał.

– Czy jest pan pewny Alena? – spytał znienacka.

– Jego zawsze – odpowiedziałem zdecydowanie.

– To dobrze, że przynajmniej pan, bo ja nie do końca. Człowiek, który nie ufa nikomu...

– Życie go tego nauczyło.

– Wiem, czytałem chyba wszystkie jego artykuły. Ryzykant, szaleniec, człowiek pozbawiony instynktu samozachowawczego, a może wręcz samobójca...

– Już nie, nie teraz i nie w tej sprawie – przerwałem mu stanowczo.

– Skoro szef tak mówi... – patrzył na mnie z niedowierzaniem w oczach. – Ludzie się nie zmieniają, w każdym razie nie tak szybko – mruzczał pod nosem.

– On jest wyjątkiem. – Chyba sam siebie chciałem uspokoić.

– Oby się pan w tej sprawie nie mylił. W porządku, szefie, wróćmy do zasadniczego tematu. Skoro ich tam w ogóle nie było, to nikt nie mógł wyruszyć ich śladem wcześniej niż po przeczytaniu artykułu. Stąd moje listy od czwartkowego popołudnia. Oczywiście, to tylko oficjalnie zameldowani w Dubrowniku przyjezdni. Nie ma się co łudzić, że to wszyscy. Dużo mieszkańców Dubrownika i okolicy wynajmuje pokoje, nie meldując przyjezdnych z racji omijania podatków. Tego, niestety, nie da się sprawdzić. Może w następny czwartek dopisze nam szczęście i jakieś nazwisko się powtórzy. Mówiąc szczerze, to szukanie igły w stogu siana... – dodał ciszej.

– W porządku, masz krótką przerwę przed następnym czwartkowym artykułem.

Wstał, ale nie zbierał się do wyjścia. Wyglądało, że jeszcze nie skończył.

– Coś jeszcze?

– Tak, pewien drobiazg. Profesor Sosnowski wyjechał w czwartek na wykłady do Paryża.

– No i co w tym dziwnego? Z tego, co sprawdziliśmy, wynika, że on często wyjeżdża. Pewnie to tylko zbieg okoliczności...

– Nie do końca. Profesor wyjechał nagle. Zaskoczył tym swoich asystentów. Odwołał nawet jakieś operacje, a od zaprzyjaźnionego lekarza wiem, że nie robi tego nigdy. Ma zwyczaj informowania o swoich wyjazdach z dużym wyprzedzeniem. Tym razem było zupełnie inaczej.

– Może po prostu zapomniał powiedzieć...

– Nie, nie zapomniał. Sprawdziłem, że nie miał rezerwacji na żaden samolot lecący z Chorwacji do Paryża. Nie wylądował też w Paryżu – wyprzedził moje ewentualne pytania.

– Może pojechał samochodem?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Coś z szefem nie tak? Chyba szef żartuje. Czy on wygląda na faceta, który w środku lata chciałby przejechać z niewiadomych względów ponad trzy tysiące kilometrów samochodem?

– Niespecjalnie – przyznałem niechętnie.

– Wykłady w Paryżu ma, i owszem, ale za dwa tygodnie.



– To jeszcze nic nie znaczy. Mógł pojechać wszędzie. Jest młodym człowiekiem. Pozycja profesora do czegoś zobowiązuje. Myślę, że ma też jakieś prywatne życie. Nie musi się chyba z niego wszystkim spowiadać.

– Nie musi – przyznał Marko. – Byle tylko jego życie prywatne nie wiązało się z wyjazdem do Dubrownika.

– To tylko spekulacje. To nic nie znaczy – przerwałem mu.

– Nie znaczy, ale to jedyna rzecz, która wydała mi się w tym wszystkim choć trochę interesująca.

\* \* \*

Mijały tygodnie, potem kolejne miesiące, a nasze rozmowy z Marko wyglądały wciąż podobnie, żeby nie powiedzieć, że tak samo. Czas biegł i tylko on posuwał się do przodu. My z całym tym śledztwem staliśmy w miejscu, nie przesunęliśmy się nawet o pół kroku, nadal byliśmy na starcie. Kolejny już raz Marko zarzucił moje biurko stertą nic niewnoszących do sprawy papierów.

– Kompletna klapa! – zaczął bez żadnego wstępu. – Zmarnowany rok mojego życia. Te zapisane maczką kartki papieru są tylko dowodem na to, że starałem się coś zrobić, podstawą do wypłaty miesięcznego wynagrodzenia. Nic, nic, nic i jeszcze raz nic – próbował podniesionym głosem wyładować swoją frustrację. – Nie powtórzył się nikt. No, może niezupełnie nikt. Dwukrotnie powtórzyły się nazwiska kilkunastu Japończyków, ale oni brali udział w wycieczce autokarowej z rodzaju „w dziesięć dni dookoła Europy”. Zresztą chyba nie szukamy wśród Azjatów. Bez sensu... Co mi się szef tak przygląda? – warknął w moją stronę.

Musiałem wyglądać na lekko rozbawionego, bo jego irytacja się spotęgowała.

– Zidiociałem nad tymi papierami – burczał pod nosem. – Ja naprawdę w pierwszej chwili zacząłem sprawdzać wszystkie możliwe lotnicze połączenia z Japonią w dniu wydarzenia nad zatoką. Moja dziewczyna uważa mnie za kretyna, opętanego manią wiązania ze sobą pewnych statystycznych faktów. Przecież ona nie wie, że to ma związek z moją pracą w policji. Przypuszcza, że tak bardzo wciągnęła mnie praca kończąca moje informatyczne studia podyplomowe. Do tej ostatniej to jeszcze nawet tematu nie znalazłem. Na pewno nie będzie to nic w stylu: praktyczne wykorzystanie informatycznych programów w statystyce. Tego to mam już powyżej dziurek w nosie. Obrzydło mi już na zawsze. – Z rozbawieniem słuchałem, jak się żali. – Ta robota u pana zmarnuje mi prywatne życie... – dokończył ciszej.

– Skończyłeś już? – spytałem spokojnie. Zacząłem z udawanym zainteresowaniem przerzucać leżące na biurku sterty kartek.

– Nie ma co pan patrzeć – burknął niechętnie. – Nic tam nie ma.

– A profesor Sosnowski? – spytałem.

– Wyjeżdża, przyjeżdża, wygłasza wykłady, czasami gdzieś znika, od czasu do czasu ktoś z jego asystentów musi go zastąpić przy operacjach, wygląda na zmęczonego...

– Nie podejrzewasz go już?

– Nie.

– Skąd ta nagła zmiana? – spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

– Poobserwowaliśmy go dokładnie. Jeden z naszych zaprzyjaźnionych lekarzy pracuje u niego w klinice. Chłopcy pochodzili trochę jego śladem.

– I co?

– I nic, przynajmniej nic w naszej sprawie.

Spojrzałem na niego z nieukrywanym zainteresowaniem.

– A tak w ogóle?

– A tak w ogóle to ciekawy facet. Jest ciężko chory. Ma jakąś chorobę hematologiczną. Nie chce tego upubliczniać. Przypuszczam, że nikt w jego klinice nawet się tego nie domyśla. Znika, kiedy musi się zgłosić na chemioterapię. Leczy się w Zagrzebiu. Operuje już dzień po cyklu terapeutycznym. Niesamowity gościu... – Marko zamyślił się na chwilę.

– Niesamowity – powtórzył ciszej – ale zupełnie nieciekawy w tej sprawie – dokończył niespodziewanie.

Nie wstawał jednak i nie wychodził. Wyglądało, jakby jeszcze miał mi coś do powiedzenia. Czekałem.

– A szef jest pewny, że w to wszystko nie zakradł się jakiś błąd? – zaczął ostrożnie, niepewnie. – Może założenia były błędne, wyciągnięte z nich wnioski niesłuszne, a my, nie modyfikując ich, brniemy w te brednie coraz dalej... – spojrzał spode łba w moją stronę.

– Też tak zaczynam myśleć – odpowiedziałem szczerze. – Na początku przypuszczałem, że ktoś mógł przewidzieć nasze działania, jest ostrożny, nocuje tylko w prywatnych pokojach, przebywa na niezarejestrowanych kwaterach, ale ostatnio to było już niemożliwe. Artykuł opowiadał o małej wiosce, gdzie każdy może z miejsca wskazać wszystkich obcych... To po prostu niemożliwe, żeby ktoś przez tyle miesięcy nie popełnił nawet najmniejszego błędu. To musiałby być nadczłowiek...

– A więc może jeszcze raz od początku? – spytał z lekkim ociąganiem.

– Już dziesiątki razy próbowałem to analizować od początku. Istnieje jeszcze jedna możliwość – zacząłem głośno rozważać coś, co prześladowało mnie już od dawna. – Może jest jeszcze wiele innych możliwości, ale jedna nabiera wyraźnego kształtu, staje się prawie namacalna. Załóżmy, że nikt nie chciał jej zabić, że chciał ją tylko przestraszyć, sprowokować do ucieczki. To jest możliwe. Sprawdziałem już wiele razy raport z nadzoru. Konsultujący ten wybuch specjalista od pirotechniki stwierdził, że ładunek był źle założony. Położenie ładunku wręcz nie pasuje do precyzyjnego mechanizmu samozapłonu, sprowokowanego ruchem przebiegającego obok czujnika psa. Tak jakby czujnik i ładunek zakładały dwie różne osoby. Ładunek położony był zbyt powierzchownie. Gdyby nie erozja skał, której stopnia przecież nikt nie mógł przewidzieć, to po detonacji tak założonego ładunku posypałyby się na schody tylko drobne kamienie. Te nie mogłyby spowodować żadnego nieszczęścia, najwyżej kogoś zdrowo przestraszyć. A może to nie błąd w założeniu ładunku? Może chodziło tylko o wywołanie strachu. Następnego dnia na deptaku pod murami pałacu Dioklecjana jakiś szalony motocyklista pędził prosto na dziewczynę. Gdyby naprawdę chciał ją potraścić, to by to zrobił. Coraz częściej myślę, że ktoś chciał ją, albo ich, tylko przestraszyć. Zmusić do ucieczki, do wyjazdu... Mówiłeś, że może wyszliśmy ze złych założeń. To możliwe. Załóżmy, że ktoś pragnął jej albo ich wyjazdu, nie śmierci. Wtedy krąg podejrzanych diametralnie się zmienia. Nie chodzi już

o jakieś porachunki z przeszłości ani o jakiegoś wariata, sprowokowanego do działań serią artykułów. Zastanówmy się, kto mógłby coś zyskać na ich wyjeździe... – mówiłem bardziej do siebie niż do niego. Próbowałem wyrazić słowami to, co prześladowało mnie już od jakiegoś czasu.

– Alen – Marko wpadł mi w słowo, przerywając nagle mój monolog.

– Alen? Dlaczego właśnie on? – nie potrafiłem ukryć zaskoczenia.

– Dziewczyna pamięta coraz więcej – Marko tłumaczył spokojnie. – W jej wspomnieniach pojawiają się różne postacie. Coraz bardziej zaczyna tęsknić za przeszłością. Ktoregoś dnia na pewno zapagnie do niej wrócić...

– Nie lubisz go – spojrzałem na niego niechętnie. – To w naszej pracy może tylko przeszkadzać.

– A może to szef mu bezgranicznie ufa – warknął dziwnie rozdrażniony. – To też zmniejsza obiektywną ocenę sytuacji. Niech szef pomyśli: nie wiemy, gdzie jest, nie wiemy, co robi, nawet nie wiemy, czy dziewczyna jeszcze żyje...

– Bzdura... Zaczynasz fantazjować – przerwałem mu gwałtownie.

– Może bzdura. A może nie do końca. Kto to wie? – burknął polubownie. – Drażni mnie tą swoją nieufnością wobec nas.

– Alen... Mało prawdopodobne – powtórzyłem bezwiednie. – Ja pomyślałem: Petrovic.

– Petrovic? – Tym razem Marko wydawał się zupełnie zaskoczony.

Kiedy pierwszy raz przyszło mi to na myśl, też wydawało mi się nieprawdopodobne. Ilekroć myślałem o tym później, taka ewentualność stawała się coraz bardziej możliwa, coraz bardziej prawdopodobna, aż w końcu byłem już prawie pewny, że tak mogło być.

– Petrovic? Ten redaktor naczelny? – Marko kolejny raz powtórzył swoje pytanie.

– Tak, on. Myślę, że on mógłby w tym mieć interes, mógłby mieć motyw. Popatrz, ciężko chora dziewczyna wychodzi ze szpitala. Jego redakcyjny kolega podejmuje dla wielu niezrozumiałą decyzję. Rehabilitacja pacjentki jest bardzo kosztowna. Petrovic i jego redakcja wspierają finansowo jej leczenie w zamian za artykuły Alena. Te artykuły o dziewczynie stają się swoistym hitem. Wzrasta nakład gazety. Interes zaczyna się kręcić. Wydaje się, że cała ta historia może być źródłem niezłej kasy. Nagle Alen buntuje się. Zbyt osobiście zaangażował się w to wszystko. Coś, co być może na początku było tylko trochę inną dziennikarską przygodą, zaczyna wymykać się spod kontroli. Alen czuje się jak zdrajca, sprzedając prywatność rekonwalescentki. W pewnej chwili odmawia napisania kolejnego artykułu. Davor pod pretekstem poznania Katariny jedzie z nim na wyspę. Następnego dnia pojawia się artykuł napisany przez Davora, podpisany jednak inicjałami Alena. Pozornie niewinny opis zabawy dziewczyny z psem. Mniej lub bardziej przypadkowo Davor zdradza jej miejsce pobytu. Dochodzi do awantury w redakcji. Alen zwalnia się z pracy. Finanse gazety zostają zagrożone. Po tygodniu w gazecie pojawia się wywiad z Petersonem. Doktor odpowiada na pytania stawiane przez Petrovica...

– Chyba rozumiem. Szef myśli, że Petrovic ma teraz to, czego chciał.

– Rzeczywiście tak myślę. Regularnie, co tydzień, pojawiają się artykuły Alena na przemian z listami Katariny pisanymi do redakcji. Gazeta sprzedaje się rewelacyjnie. Z tygodnia na tydzień coraz lepiej... Podróż Alena i Katariny finansowana jest z pieniędzy redakcji. W pewnym sensie wszystko pozornie gra.

- To tylko jedna z hipotez.
- Pewnie jedna z wielu, ale prawdopodobna – mówiłem spokojnie. – Tym bardziej że pogrzebałem trochę w przeszłości Petrovica.
- I? – spojrzał na mnie uważnie.
- Ciekawy życiorys.
- Wątpię – Marko burknął pod nosem. – Facet jest nudny jak flaki z olejem.
- Teraz...
- Ludzie się tak radykalnie nie zmieniają.
- Ty i te twoje poglądy... A co powiesz na to, że on wojsko odsłużył w saperach? Spojrzał na mnie spode łba.
- Ja w lotnictwie, a nie mam o tym zielonego pojęcia.

Patrzyłem, jak Marko bawi się długopisem. Kolejny już raz wkładałem w usta tego cholernego niezapalonego papierosa. To Peterson namówił mnie na rzucenie palenia. Czasami myślę, że zrobił to tylko po to, żeby jeszcze ktoś prócz niego przechodził przez tę męczarnię uwalniania się od nałogu. Przekładałem z ręki do ręki zapalniczkę. To prawda, palacze uzależniają się nie tylko od nikotyny. Palenie to cały rytuał, to mnóstwo gadżetów – eleganckie pudełka papierosów, zapalniczki, zapałki... Cały rytuał wyjmowania papierosa, częstowania innych, zapalania, przypalania, powolnego zaciągania się, wypuszczania dymu... Papierosem można oddzielić się od wszystkiego – od drugiego człowieka, od niezręcznego pytania, trudnej sytuacji. Można, zapalając go, dać sobie czas, zdystansować się od czegoś, uciec w milczenie. W moim przypadku uzależnienie od nikotyny było chyba najmniej istotne.

- Jeżeli ta hipoteza jest prawdą, to ten jałowy przebieg może trwać latami – Marko przerwał milczenie.
- Faktycznie.
- A jak się szef umówił z Alenem?
- Niestety, jednoznacznie. Mało wtedy było czasu na przemyślenia i dyskusje. Jeżeli w kronice towarzyskiej pojawi się pewna informacja, to będzie znaczyło, że już po akcji, że nic im już nie grozi.
- No więc...
- Co „więc”? – burknąłem rozdrażniony. – Jakie „więc”? Nic, zupełnie nic. Działamy dalej, bo co będzie, jeżeli się mylę?

\* \* \*

Zapach świeżo zaparzonej kawy unosił się w powietrzu. Na stole wylądowały dwie filiżanki, cukierniczka, dzbanuszek. Jeszcze tylko koszyk z bułkami, talerzyki, odrobina masła, miód... Wszystko postawione przy pękatym wazonie pełnym wczoraj zebranych polnych kwiatów. Alen już kolejny raz unosił wzrok znad gazety.

- I co? – rzuciłam pozornie obojętnie.
- Nic. Jak zawsze nic – padła odpowiedź pozbawiona jakichkolwiek emocji, jakiegokolwiek wyrazu.
- Nie denerwuje cię to? – spytałam zaczepnie. Nie wiedzieć czemu, poczułam się nagle

rozdrażniona.

– Niespecjalnie – popatrzył na mnie z jakimś dziwnym błyskiem w oku.

– A mnie to denerwuje! – powiedziałam odrobinę za głośno.

– Denerwuje? – spytał. – Ale dlaczego?

– Ja już tak nie mogę! Ja już tak nie chcę! – wiedziałam, że mówię coraz głośniej, że prawie krzyczę. Nie mogłam powstrzymać emocji. Wszystko we mnie kipiało. – Uciekamy już ponad rok. Jak długo mamy jeszcze uciekać? Na wakacje się czeka, bo trwają krótko. Te ciągną się już miesiącami. Trudno się cieszyć urlopem, który trwa wiecznie. Zwiedziliśmy dziesiątki miejsc, teraz już od wielu tygodni przebywamy w tej wiosce... Każdy dzień wygląda dokładnie tak samo.

– Rozczarowana? – dałabym słowo, że słyszę w jego głosie zawód. – A ja myślałem, że choć trochę szczęśliwa... Widzisz, facet chyba nigdy nie zrozumie kobiety – przez moment słyszałam żartobliwą nutę, ale natychmiast pojawił się inny, lodowaty ton. – Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz?

Wstał. Odwrócił się do mnie plecami. Zaczął chodzić tam i z powrotem, przemierzać w bezsensownej, dobrze mi znanej wędrówce odcinek pomiędzy stołem a oknem. Na swój sposób uciekł, zrobił unik, znowu odgrodził się ode mnie plecami.

– Życie nie może polegać na picciu porannej kawy, spacerze nad morzem, wyjściu na obiad, nurkowaniu na mieliźnie, od czasu do czasu pisaniu paru zdań, czytaniu książek, pójściu na kolację... Czas płynie gdzieś obok nas, przelewa nam się przez palce. Żyjemy w oderwaniu od realnego świata. Tego czasu nikt nam już nie odda. To wszystko jest cudowne, jeżeli jest przerywnikiem w zupełnie innej rzeczywistości – mówiłam do oddalających się właśnie ode mnie jego pleców. – Słyszysz?

Nie odwrócił się nawet. Jakby na złość, zatrzymał się przy uchylonym oknie. Jego wzrok powędrował gdzieś daleko, w kierunku skalistej plaży, paru przycumowanych przy brzegu łodzi, kołyszącej się na falach żaglówki – tej samej, którą wczoraj pływaliśmy...

– Słyszysz? – powtórzyłam głośniej.

– Słyszę – odparła oschle. – Trudno nie słyszeć, skoro krzyczysz.

Nie drgnął, nie spojrzał nawet w moim kierunku. Bębnił palcami po parapecie. Zrobiło mi się wstyd, przecież on niczemu nie jest winny. Męczy się w tym zminimalizowanym i ograniczonym świecie jeszcze bardziej niż ja. Zaatakowałam go, bo był blisko. Wypowiedziałam mu wojnę, bo nie można wypowiedzieć wojny narastającej we mnie z dnia na dzień frustracji. Zepsułam poranek, poczułam się fatalnie.

– Możemy już usiąść do śniadania? – odwrócił się nagle, jakby nigdy nic, w moją stronę. – Zgłodniałem.

Podszedł do stołu. Odsunął krzesło. Usiadł. Skupił się na nalewaniu kawy do naszych filiżanek. Uśmiechnął się lekko, podając mi cukier. Wyciągnął w moim kierunku rękę z koszykiem pełnym pieczywa. Błysnęła obrączka na jego palcu. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, jakby nie było tamtych fatalnych paru minut. Obserwowałam go, jak sładzi kawę, rozkrawa bułkę, smaruje ją masłem, je... Łzy, jak na złość, napływały mi do oczu, a ucisk w gardle nie pozwalał na przełknięcie nawet kęsa.

– Nie jesz? – jego wzrok przesunął się po mojej twarzy.

– Nie jestem głodna.

Łzy zaczęły płynąć po policzkach. Spuściłam szybko głowę. Chciałam wstać.

– Nie uciekaj! – Jego dłoń dotknęła mojej dłoni. Odgarnął włosy opadające mi na twarz. Podniósł delikatnie moją głowę. Dłonią wytarł łzy. – Przepraszam. Mów!

Co mam mu powiedzieć, pomyślałam. To, że chcę, żeby Alen był znowu Alenem, a Katarzyna Katarzyną, żebyśmy zaczęli pisać swoją własną historię, nie opowieść o Tiborze i Nadine, żebyśmy zaczęli żyć naszym życiem, żebym mogła zobaczyć, ile w Tiborze było Alena, skoro wiem, że w Nadine była cała Katarzyna, że chcę wrócić do tamtego domu, który kiedyś wydawał mi się surowy i zimny, a za którym teraz tak tęsknię...

– No, mów, Katin!

Jego ręka na mojej ręce, obrączki na palcach, „Tiborowi na zawsze”, „Nadine na zawsze”...

– Nie chcę uciekać – zaczęłam niepewnie. – Ja nikomu nic nie zrobiłam...

– Jasne, rozumiem. Mnie to też coraz bardziej denerwuje, coraz bardziej drażni...

– Chcę zacząć żyć normalnie – mówiłam cicho.

– Jasne.

– Chcę spróbować reaktywować dyplom, znaleźć gdzieś jakąś pracę, wykorzystać to, co umiem, cieszyć się na południa, na wieczory...

– Rozumiem.

– Chcę po prostu wrócić do domu!

Cofnął swoją rękę, wyprostował się. Poczułam, że znów wytworzył się między nami dystans, wyraźnie oddzielająca nas przestrzeń.

– Mówisz: „do domu”? – spytał cicho.

Chyba źle mnie zrozumiał, przemknęło mi przez myśl. Coś musiał źle zrozumieć.

– Do domu... – powtórzyłam.

– Do domu... – odsunął się jeszcze bardziej. Chciał wstać.

Uczepił się tego jednego słowa. Nagle zrozumiałam.

– Tęsknię za Jeleną, za domem, za zatoką... – zaczęłam tłumaczyć.

– Za czym? – wydawało się, że jeszcze nie rozumie.

– Za wyspą, za Aresem...

– Boże, Katarina, powtórz to jeszcze raz.

– Wszystko jedno, co się stanie, wróćmy, Alen, do domu...

\* \* \*

Wiedziałam, że ten dzień kiedyś musi nadejść, podświadomie cały czas bałam się tego. Nic, co dobre, nie może trwać wiecznie. Za wszystko kiedyś los wystawi rachunek. Na początku wydawało mi się, że może nie powinienem, że znikła gdzieś u mnie zdolność logicznego myślenia, wyciągania wniosków z wcześniejszych wydarzeń, uczenia się na własnych błędach, że jak ćma krąży kolejny raz przy płomieniu palącej się świecy, że znowu pędzę ku samozagładzie. Potem uświadomiłam sobie, że nie mam do tego prawa, że przecież ona nie należy do mnie, nie należy do nas, że gdzieś tam jest ten jej prawdziwy świat, do którego pewnie kiedyś zapragnie wrócić. Później przyszło nagłe olśnienie, że nic się już nie liczy, że za każdą z tych chwil, za każdy z tych dni mogę zapłacić każdą cenę.

Teraz była już tylko radość z każdej chwili, z każdego ciepłego spojrzenia, z każdego uśmiechu, z dotyku rąk, z przelotnego pocałunku, muśnięcia jej ust, z każdego cichego „dobranoc” i z każdego uśmiechniętego poranka. Obrączka, która na początku budziła obawy, nagle zaczęła znaczyć dla mnie tak wiele. Z każdym dniem zazdrościłem Tiborowi coraz bardziej. Cudowne były te niekończące się przymusowe wakacje... Na początku była nasza Salona i zdziwienie, że nigdy jeszcze tak nie było, później Zagrzeb, Karlovac, Rijeka, Pula, Jeziora Plitwickie, Zadar, Šibenik, Trogir, Riwiera Siedmiu Kaszteli, Omiš, wodospady na rzece Krka, Hvar, Korčula, Vela Luka i dziesiątki małych miast i wioseczek, które już na zawsze będą miały dla mnie imię Katariny. Szczęśliwe godziny układające się w dni, niezapomniane dni składające się na tygodnie, tygodnie budujące miesiące, miesiące, których nazbierało się już tak wiele... Dziwny, szalony, szczęśliwy czas – Katarina ucząca się mówić po chorwacku, niepewnie wymawiająca pierwsze słowa, pierwszy raz zamawiająca obiad w restauracji, męcząca się z chorwacką poezją, czytająca artykuły o sobie, po paru miesiącach pisząca po chorwacku swoje listy do redakcji. Godziny spędzane przy komputerze. Opowieści o odległym kraju. Dziesiątki godzin spędzanych w Internecie – jej klasa, jej uczelnia, jej grupa, jej Michał, jej Gdańsk, jej Wybrzeże, jej Bałtyk, jej Kraków... Marzenia o wspólnej wyprawie do Polski. I nagle jak obuchem w łeb.

– Chcę po prostu wrócić do domu!

Poczułem się, jakbym dostał w twarz. Wszystkie plany i marzenia pękły nagle jak bańka mydlana. Jeszcze przed chwilą cudownie barwna, mamiąca lekkością i mozaiką kolorów, nagle nic, pustka, parę nędznych małych kropli opadających na podłogę, znacząc na niej mokry ślad. Nagle wszystko we mnie zamarło. Klatka piersiowa była za mała, żeby zrobić kolejny oddech. Poczułem napięcie wszystkich mięśni. Przekreśliła mnie, pomyślałem, przegrałem, przegrałem wszystko kolejny już raz.

– Mówisz: „do domu”? – chciałem nabrać pewności, usłyszeć to jeszcze raz. Pozbyć się wszelkich złudzeń.

– Do domu... – powtórzyła cicho.

Chciałem wstać, odwrócić się, odejść, zostawić ją samą. Uciec przed nią, przed samym sobą, przed tą sytuacją. Katarina przytrzymała na chwilę moją dłoń. Jej ręka na mojej dłoni, obrączki na naszych palcach. Przekleństwo...

– Alen, co ty? – Oczy Katariny stawały się coraz większe i większe ze zdziwienia. – Ja tęsknię za Jeleną, za domem, za zatoką, za Aresem, za wyspą... Ja chcę wrócić na wyspę, do naszego domu.

\* \* \*

W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy to on. Dawno go nie słyszałem, a jakoś połączenia była paskudna. Zawieszony na zewnętrznej ścianie knajpy aparat telefoniczny nie ułatwiał rozmowy. Za plecami miałem sznur samochodów tłoczących się na wąskiej portowej ulicy, odgłosy klaksonów, siarczyste przekleństwa tych, którym się jeszcze gdzieś tym wczesnym popołudniem, wbrew logice i obezwładniającemu upałowi, spieszyło. Przed oczyma miałem wewnątrz pełnej turystów knajpy. Pokrzykiwania włoskich kelnerów

i głośne rozmowy turystów wydawały się zagłuszać nawet moje myśli.

– Chciałem rozmawiać z Davorem Petrovicem – próbowałem przekrzyczeć potęgający się za moimi plecami ryk przejeżdżającego tuż obok motocykla.

– Przy aparacie – tym razem to był na pewno on. – Alen? – nie starał się nawet ukryć zdziwienia. – Coś się stało?

– Nie, nic – powiedziałem spokojnie. – Trochę zaczynamy się nudzić. Jak długo może w końcu trwać podróż po Chorwacji.

– Nudzi wam się? – wydawał się naprawdę zdziwiony. – Zadziwiasz mnie. Nudzisz się z taką dziewczyną? Chętnie bym się z tobą zamienił.

– Nie bredź! – przerwałem mu ostro.

– Wracacie? – spytał jakby z obawą.

– Pewnie już niedługo. To był jakiś idiotyczny zbieg okoliczności. Niepotrzebna panika. Już od tyłu miesięcy nic się nie dzieje. Jakaś katastrofalna pomyłka...

– A jeśli jednak...

– Niemożliwe! – uciałem ostro.

– Może potrzebujesz trochę więcej forsy? Gazeta sprzedaje się rewelacyjnie. Twoje artykuły, listy Katariny...

– Zauważyłem.

– A więc forsa?

– Bzdura! Nie o to chodzi.

– A o co?

– O normalność. Nieważne. I tak pewnie nie zrozumiesz – zrobiłem świadomie krótką przerwę. – Nie o tym chciałem gadać.

– A o czym? – miałem wrażenie, jakby mu nagle ulżyło.

– Chciałbym na parę dni pożyczyć od Markovica łajbę. On pożycza dość niechętnie. To twój znajomy... Popływalibyśmy po Parku Narodowym Kornati.

– Nie ma sprawy. Zadzwońię do niego. A od kiedy?

– Od jutra. Podjechalibyśmy do niego z rana.

– Załatwione. Powiem mu, że będziesz około jedenastej.

Odwiesiłem słuchawkę z mieszanymi uczuciami. Bomba poszła w górę! Obym tylko czegoś nie przegapił, obym się nie mylił. Postawiłem wszystko na tę jedną kartę.

\* \* \*

– Ufasz mi? – spytałem, wrzucając beznamiętnie do bagażnika nasze ostatnie bagaże. Nie odpowiedziała od razu. Zatrzymała się jakby w pół kroku. Zaczęła mi się wnikliwie przyglądać.

– Pytam, czy mi ufasz? – powtórzyłem.

– Słyszę, ale dziwnie pytasz.

– Nie, dlaczego? Normalnie – starałem się, by zabrzmiało beztrosko, obojętnie.

– Dla mnie niezupełnie normalnie – stała tuż przy mnie, mierząc mnie niepewnym wzrokiem. – To wszystko jest bez sensu, jeżeli ty nie wiesz, czy ja ci ufam. A jest jakiś powód, dla którego mogłabym ci nie ufać?



– Nie, oczywiście, że nie ma. Źle się wyraziłem.

– Nic nie rozumiem.

– Bo i nie możesz. Powiedziałaś mi, że chcesz wrócić do domu. Myślałem o tym już wiele razy. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mam wrażenie, że ktoś chciał nas tylko przestraszyć. W zatoce się pomylił, przez przypadek mógł cię zabić. Komuś zależało na naszej podróży. Powoli zaczynam domyślać się nawet komu. Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, gdzie się jutro rano wybieramy. Sprowokowałem go. Czekam na jego ruch. W parku Kornati może się zdarzyć wszystko. Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne, to spróbuje nas jeszcze raz przestraszyć, zniechęcić do powrotu do domu. Ryzykujemy. Jeżeli to tylko wytwór mojej wyobraźni, nie wydarzy się nic.

– Dasz znać Begovicowi? – spytała zupełnie spokojnie, bez cienia lęku.

– Nie, to mój kumpel, ufam mu, ale to policjant. Będzie się bał odpowiedzialności – powiedziałem z lekkim ociąganiem. – Obstawi nas dziesiątkami swoich ludzi, którzy są rozpoznawalni na kilometr, a na koniec i tak powie, że procedury zabraniają mu wystawiać nas na takie ryzyko.

Patrzyła na mnie przeciągle. Po jej twarzy zaczął się błąkać niewyraźny jeszcze uśmiech.

– Coś nie tak?

– Wrócił dawny Alen...

– Może dawny Alen, a może tylko dawne metody...

Dawny Alen nie istniał już od bardzo wielu miesięcy, gdzieś zaginął, chyba jeszcze w Kosowie. Patrzyłem, jak stoi tuż przy mnie, jak słucha mnie z lekko przechyloną na bok głową, jak w jej włosach igrają ostatnie promienie chylącego się ku zachodowi słońca, jak uśmiecha się lekko, jak wspina się na palce, całuje mnie delikatnie w policzek.

– Ufam ci, przecież wiesz, że ufam ci bezgranicznie.

\* \* \*

Archipelag znałem doskonale, kiedyś go uwielbiałem, byłem tu dziesiątki razy. Ponad sto różnej wielkości wapiennych wysp, wysepek i raf, rozłożonych na powierzchni około trzystu kilometrów kwadratowych. Wymarzone miejsce dla żeglarzy, nurków, poszukiwaczy robinsonowskich przygód, dla tych, którzy mają już przesytno reklamowanych plaż i zatłoczonych dusznych uliczek, dla zakochanych... Największy archipelag magicznego Adriatyku. Zwykle wypływałem z Zadaru. Położone niedaleko wyspy Ugljan i Pašman są zamieszkane, dalej rozciąga się już tylko pasmo mniejszych i większych wysp i wysepek, które z racji wielkości i braku słodkiej wody nigdy nie miały stałych mieszkańców. Niektóre z nich są skromnie zalesione i mimo kamienistego podłoża zielone, inne suche, skaliste, odcinające się ostro bielą swych skał od turkusowego koloru porażająco czystej wody. Zaskakujący świat, gdzie ostre skalne klify sąsiadują, niejako wbrew naturze, z łagodnymi mieliznami, na których niespodziewanie dla żeglarzy na kamiennym dnie pojawia się nagle cień ich łodzi. Jaskinie i grotty powstałe w wapiennych skałach kuszą w upały swym chłodem, ślady rzymskich budowli podkreślają przynależność do dawno już nieistniejącego imperium, ciągnący się kilometrami niski murek na wyspie Kornati

świadczy o tym, jak ważne dla ludzi bywa poczucie własności, tajemnicze zatoczki i przybrzeżne mielizny umożliwiają odpoczynek, dziesiątki gatunków ryb i krabów zachęcają do podwodnej przygody... Do tego wszechobecne mewy oraz przepływające delfiny... O tej porze roku musiało być tam już dużo turystów. Markovic trzymał swoją łajbę w małej wiosce koło Zadaru. Wioska usytuowana jest niżej w stosunku do miasta. Dojeżdża się do niej wąską, wykutą w skałach ścieżką. Samochód trzeba zostawić kilkaset metrów od przystani, z której wąski przesmyk wypuszcza łodzie na morze. Później jeszcze trzeba przepłynąć kilkaset metrów i zaczyna się archipelag. Wbrew pozorom tam powinno być już bezpiecznie. W noc poprzedzającą rejs nie mogłem zasnąć. Wstawałem już kolejny raz, miotałem się bez sensu po pokoju, przystawałem przy uchylonym oknie, wychodziłem zapalić papierosa na taras. Z minuty na minutę nosiło mnie coraz bardziej. Dziesiąty już chyba raz sięgałem po komórkę tylko po to, żeby natychmiast ją odłożyć. Kolejny raz przysiadłem na fotelu przy jej łóżku, kolejny raz wsłuchiwałem się w jej cichy, spokojny oddech. Gdyby to o mnie chodziło, nie miałbym żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości, ale to nie ja tu jestem ważny... Katarina chce wrócić do domu, chce przestać uciekać, chce przestać się bać... Rozumiem ją doskonale, nie można wiecznie uciekać ani przed kimś, ani przed samym sobą. Trzeba zobaczyć, co zostanie z Nadine i Tibora po powrocie do domu. W Tiborze jest cały Alen, ale ile Katariny jest w Nadine? Kolejny już raz usiadłem tuż obok niej – ciepły mrok otaczał wszystko, w pokoju cisza wprost dzwoniła w uszach, chłodniejsze powietrze napływało przez lekko uchylone okno, słychać było jakieś dalekie, jakby z innego świata dochodzące szczekanie psa. Katarina poruszyła się lekko. Przez chwilę, jakby przypadkiem, zagościł na jej twarzy lekki uśmiech. Włosy rozsypane na poduszce, spokój na twarzy, jak wtedy, jeszcze w szpitalu, jak wtedy, kiedy poczułem to pierwszy raz...

\* \* \*

– Katarina, spróbuj przez chwilę nic nie mówić – rzucił dziwnie ostro, niemiło. Zorientował się chyba, że przesadził, bo spojrzał na mnie znad kierownicy.

– Nie mogę się skupić – dodał lekko przepraszającym tonem. – Rozpraszasz mnie! Nie słyszę nawet swoich myśli.

– Przepraszam – burknęłam pod nosem.

Już chwilę temu minęliśmy Zadar. Zjechaliśmy z głównej drogi. Toczyliśmy się wąską, utwardzoną białymi wapiennymi kamieniami drogą, wznosząc za sobą tumany białego pyłu. Wokół, jak okiem sięgnąć, ogrodzone kamiennymi murkami małe poletka, pojedyncze figowce rosnące tu chyba na przekór wszystkiemu, powyginane drzewka oliwne, kamienne pastwiska z ostrą trawą. Ciszę przerywały stuknięcia kamieni o podwozie samochodu, skrzypnięcia drobnego żwiru pod kołami. Nagle przez to wszystko przedarł się sygnał telefonu.

– Komórka? – byłam zdziwiona. Przez ten czas prawie zapomniałam, że istnieją komórki. Tyle miesięcy bez żadnych telefonów, bez żadnych rozmów telefonicznych, bez SMS-ów, bez włączonej do gniazdka ładowarki, bez widoku komórki.

– Na tylnym siedzeniu. W kieszeni mojej kurtki. Wyjmij! – poprosił głosem

nieznoszącym sprzeciwu.

Chciałam mu ją podać, ale nie oderwał rąk od kierownicy. Nie spojrział nawet na mnie. Patrzył przed siebie, jakby wzrokiem chciał wyprzedzić to, co nas czeka za następnym zakrętem.

– Przeczytaj!

– To twoja komórka... – zaczęłam niepewnie.

– Przeczytaj! – ponaglił. – Nie mam przed tobą tajemnic.

– *Łódź sprawdzona, czysta. Petrovic tylko do niego dzwonił. Uważaj! Ivo.*

– Ivo? Begovic? – nie mogłam uwierzyć. – Dałeś znać Begovicowi?

– Jak widzisz.

Droga stawiała się coraz węższa, coraz bardziej kręta. Nagły ostry zakręt w prawo, tuż za nim po prawej stronie pojawiła się stroma, pionowa ściana skał, po lewej niska barierka oddzielająca zwirową nawierzchnię drogi od pionowo opadającego w dół zbocza. Droga biegła na wysokości wierzchołków drzew. Niespodziewany łuk w lewo i kolejny zakręt. Potem coraz ostrzej w dół. Raptem Alen zatrzymał samochód.

– Wsiadaj!

– Co? – nie mogłam zrozumieć, o czym mówi.

– Wsiadaj! – powtórzył głośniejsz. – Pospiesz się, stoimy tuż za zakrętem, zaraz ktoś nam wjedzie w tył.

– Alen, nie rozumiem.

– Zrozumiesz później! Pospiesz się! Zabierz komórkę! W razie czego Ivo jest pod trójką.

– Alen...

– No już! Poczekaj za tamtym murkiem! Niedługo wrócę...

– Alen...

– To może być tylko tu albo nigdzie...

Nie dokończył. Z hukiem zatrzasnął drzwiczki. Ruszył z piskiem opon. Nagle wzbита w górę chmura wciskającego się wszędzie wapiennego pyłu zasłoniła cały otaczający mnie świat. Jeszcze przez krótką chwilę słyszałam oddalający się samochód. Potem zapanowała cisza. Pył opadł. Znów tylko błękit nieba, biel wapiennych skał, zgaszona słońcem zieleń ogromnego kaktusa, powykrzywiany pień oliwnego drzewa. Wszechobecne cykanie świerszczy, które jakby na przekór upałowi grały swój najgłośniejszy koncert. Pachnące chorwackie lato – zapach rozgrzanego słońcem cyprysu wymieszany z niesioną przez lekki wiatr z nie tak odległych pewnie pól wonią lawendy. Mijały minuty, a na drodze nic się nie działo. Nie pojawił się żaden szum, żaden hałas. Wszystko jakby zamarło w tym południowym słońcu, toczyło się wolno i bez sensu, trochę jak marzenia senne. Nikt tędy nie jechał. Nikt tędy nie szedł. Czyżby, na przekór temu spokojowi, coś jednak się stało? Wsunęta do kieszeni spodni komórka zaczęła dzwonić.

– Tak...

– Tu Begovic. Za chwilę po panią podjadę – usłyszałam pogodny głos Ivo.

– Coś się stało? – Nie mogłam ukryć przerażenia. Cały czas miałam to straszne przecucie, że musiało się coś stać. Narastało ono we mnie z minuty na minutę. – Gdzie Alen?

– Ktoś za jednym z zakrętów, pewnie przez przypadek, zostawił na drodze drut

kolczasty. Alenowi pękła opona. Wyprowadził, nawet niespecjalnie się poobijał. Boli go trochę ramię i to wszystko. Od tego się nie umiera. Chyba pierwszy raz, odkąd go znam, miał zapięte pasy. Nic mu nie jest – dodał pospiesznie, jakby obawiając się, że może się wydać mało przekonujący. – Musi tylko złożyć zeznania. To mu dobrze zrobi. Jego samowola jest bardzo denerwująca.

\* \* \*

Chyba się mnie spodziewał, przynajmniej powinien. Dziewczyny w sekretariacie próbowały mnie zatrzymać. Machnąłem im tylko ręką. Zapukałem, naciskając jednocześnie klamkę. Davor siedział za biurkiem w obłokach papierosowego dymu. Na mój widok zerwał się na równe nogi. Cofnął się. Przyłgął plecami do stojącej za biurkiem szafy.

– Pewnie nie na mnie czekałeś? Spodziewałeś się kapitana Begovica? – rzuciłem zaczepnie.

– Co tak bez zapowiedzi? – bąknął pod nosem. – Miło widzieć! – dodał pospiesznie.

– I kto to mówi! – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Ty, Davor, już kompletnie oszalałeś? Czyżby ciebie ta żądza pieniądza zupełnie zaślepiła? Popierdoliło cię już do reszty?

Skulił się w sobie. Zmalał.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – burknął.

– Naprawdę? Nie rozumiesz? – spytałem spokojnie. – Mogłeś nas zabić, idioto! Czy ta twoja główniana gazeta odebrała ci już resztki rozumu? Jesteś skończony jełop, pozbawiony wyobraźni. Chciałeś nas znowu przestraszyć i zmusić do współpracy czy tym razem naprawdę zabić?

– O czym ty mówisz? – Był przerażony.

– Naprawdę nie wiesz, o czym mówię? Czy zastanowiłeś się kiedyś, co się stanie, kiedy rozpędzony samochód najedzie na drut kolczasty? Powietrze nie zejdzie powoli, opona rozleci się na drobne kawałki, goła felga potoczy się po kamienistej drodze, samochód straci stabilność, przechyli się na jedną stronę, zacznie dachować. Nie wszyscy zapinają pasy, ja nie robię tego nigdy. Wystarczy moment zapomnienia, bezwładne ciało zostanie wyrzucone z samochodu. Wyobraź sobie to przepiękne przedpołudnie, piniowy las i trupa na kamienistej górskiej drodze... Dachujący samochód łatwo wypada z drogi, w tym miejscu po lewej stronie jest przepaść, upadek z wysokości spowoduje detonację. Nie ma samochodu, nie ma zwłok, nie ma świadków, nie ma problemu... Tak myślałeś? A może w ogóle nie myślałeś?

Stał błądy, przerażony, trzęsący się, zlany potem.

– Alen, ale to nieprawda! – zaczął krzyczeć. – To się nie stało! To się nie mogło stać! Ja nie chciałem. Ja nie wiedziałem... Boże...

– Nie stało się, ale mogło się stać. Tym razem miałem zapięte pasy, dachowałem, mimo że jechałem wolno, zatrzymałem się jakimś cudem na tej nędznej kamiennej barierce. Samochód skasowałem doszczętnie, ale mogło się skończyć o wiele gorzej...

– Boże...

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? To raczej niewiele.

Patrzyłem, jak trzęsącymi się rękoma próbuje zapalić papierosa. Płomień zapalniczki raz po raz mijał się z papierosem.

– A ona? Nic się jej nie stało? – Był przerażony.

– Nic, jechałem sam. Wysadziłem Katarinę tuż za pierwszym zakrętem. Znam dobrze tę drogę. Gdybym to ja coś takiego planował, zrobiłbym to właśnie w tamtym miejscu.

– Przypuszczałeś? Domyśliłeś się? – Spoglądał na mnie spod spuszczonego łba.

– Więcej, byłem tego pewien. W końcu znamy się już trochę. Pewnie na początku wcale tego nie planowałeś. Nawaliłem, a ty próbowałeś ratować sytuację. Napisałeś artykuł, przeprowadziłeś wywiad z Petersonem, a potem przestraszyłeś się nie na żarty po rozmowie z Sonją. Ale okazja czyni złodzieja... Trudno ci było przepuścić taką okazję...

– Ona wie? Powiedziałaś jej? – spytał drżącym głosem.

– Jeszcze nie, ale pewnie będę musiał coś jej powiedzieć. Przynajmniej to, że nie musi się już bać.

Siadł na podłodze pod oknem – blady, spocony, przegrany. Ręką poluzował krawat, pospiesznie rozpinął guziki pod szyją, jakby nagle wszystko zaczęło mu przeszkadzać.

– Bo ona przecież nie musi się już bać? – spytałem. – To już koniec?

– Koniec – powtórzył jak echo za mną. – To już koniec – powiedział matowym głosem.

– Nie jesteś w stanie mi nic udowodnić – dodał po cichu.

– Nawet nie będę się starał...

– Nie rozumiem – spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nie musisz. Reszta to już sprawa policji. Dowodów pewnie nie mają, ale poszlak wystarczy, by obserwować cię do końca życia.

– A ty? – spytał z wyraźnym strachem w głosie.

– Co ja? – Udawałem zaskoczonego tym pytaniem.

– Co ty zrobisz w tej sprawie?

Przyglądał mi się z nieukrywanym lękiem. Próbował walczyć z drżeniem rąk.

– Nic...

Wiedziałem, że nie rozumie. Sam dziwiłem się, że to mówię. Niewiele zostało we mnie z dawnego Alena, chyba nic.

– Brzydzę się... – urwałem w pół zdania. Sam nie wiem dlaczego, nagle zrobiło mi się go żal. – Zawdzięczasz to Jelenie. Nauczyła mnie, że nie kopie się leżących – dokończyłem spokojnie.

– Nie rozumiem cię...

– Nigdy nie rozumiałeś.

Odwrociłem się na pięcie i wyszedłem. Tak naprawdę, to jemu też coś zawdzięczam, ale tego nie powiem mu nigdy. To jest moje, tylko moje i niech już tak zostanie. Bez niego długo nie byłoby jeszcze Nadine i Tibora, Alena i Katariny.

\* \* \*

Udawała, że mnie nie widzi, że nagle przestałem dla niej istnieć. Kiedy wszedłem do domu, nie spojrzała nawet w moją stronę. Siedziała bez ruchu za stołem w kuchni. W ciągu tych dwóch dni zmieniła się bardzo, jakby zmaląła, przygarbiła się, postarzała. Nie znałem

takiej Jeleny – nieprzyczesane włosy, nieupięte spinkami, źle zapięta bluzka, niedbale zawiązany fartuch, ręce złożone jakby w geście modlitwy. W domu panował wszechobecny nieład, jakby przez dom przeszło tornado, które, nie wiadomo z jakiego powodu, skoncentrowało się na kuchni. Tu zawsze był idealny porządek. Zawsze, ale nie teraz – w zlewozmywaku piętrzyły się brudne naczynia, na stole leżał obrus poplamiony rozlaną kawą i usiany okruskami chleba. Jelena siedziała ze wzrokiem utkwionym w kierunku półotwartego okna, była jakby nieobecna, w każdym razie nieobecna dla mnie. Powoli do pomieszczenia wkradał się półmrok. Nie wyciągnęła ręki, nie zapaliła stojącej na stole lampki, chyba nie zauważyła nawet, że otaczające ją przedmioty tracą nagle swą ostrość, a ich kontury zaczynają powoli zlewać się z miękkością wszędzie rozplływającej się powoli czerni. Absolutna cisza i ciemność, jakby wszystko się nagle zatrzymało i zamilkło w przerażeniu. Dziwne uczucie, że nic już nie biegnie i nic już nie pędzi, że wszystko straciło niespodziewanie swój sens. Nagle zrozumiałem, że nie tylko dla mnie. Poruszyłem się w tej ciemności. Skrzypnięcie krzesła wręcz rozdarło ciszę.

– Przepraszam – rzuciłem niepewnie.

– „Przepraszam”? Przepraszasz i uważasz, że sprawa jest załatwiona. Wymawiasz to idiotyczne słowo i na co liczysz? – szept w mgnieniu oka przeszedł prawie w krzyk. – Alen, jak mogłeś! – Nie wiem, kiedy Jelena ostatni raz podniosła na mnie głos. Chyba nigdy, jakoś nie pamiętam. – Jak mogłeś się tak zachować!

– Niby jak? – Wiedziałem, że nie powinienem nic mówić, że lepiej jest to przemilczeć, nie dać się sprowokować. – Ułatwiłem jej tylko decyzję. W pewnym sensie przyspieszyłem tylko bieg wydarzeń. Oszczędziłem jej i nam wiele.

– Tak uważasz? Ty naprawdę jesteś aż tak głupi? Tak ślepy? Tak nieobliczalny? – krzyk się potęgował.

– Kiedyś będą mi wszyscy wdzięczni... – starałem się mówić spokojnie.

– Wdzięczni? A niby za co? Ty jesteś chory! Ty nie liczysz się z nikim i z niczym! Ty i twoje ego! Czy zastanowiłeś się chociaż przez chwilę, co czują inni?

Nie chcę się nad tym zastanawiać, pomyślałem, w każdym razie na pewno nie teraz. To przeszkadza, dekoncentruje, wpędza w idiotyczne poczucie winy, pogłębia i tak narastającą rozpacz, potęgujący się z minuty na minutę żal.

– Tak jest lepiej – burknąłem pod nosem.

– Lepiej? – wydawała się nie rozumieć. – Lepiej, bo ty tak uważasz! Lepiej, bo łatwiej? – krzyczała coraz głośniejsze. – Dla kogo lepiej? Co znaczy to twoje idiotyczne: „lepiej”? Kto ci dał prawo podejmowania decyzji za wszystkich? Wyjdź! Wynoś się z mojej kuchni! Nie mogę! Nie chcę z tobą teraz rozmawiać. Nie mam ochoty na twoją obecność. Umyj się, przebierz, może weź prysznic. Zmyj z siebie odór wody i stęchlizny! Przesiąkłeś zapachem tej twojej pieczary. Chcę zostać sama! Wyjdź! Wynoś się!

A więc jednak była tam wtedy u mnie. Myślałem, że to jakieś majaki. Wypiłem dużo, stanowczo za dużo. Budziłem się i piłem znowu. Nie mogłem, nie potrafiłem się od tego uwolnić. To wracało w kółko – twarz Katariny, wielkie, czarne, pełne łez oczy, to szybkie odwrócenie w bok głowy.

– Nie cierpię pożegnań! – powiedziała zduszonym głosem. – Koniec to koniec. Nie ma co tego celebrować.

Wyciągnęła rękę w sztywnym geście szampowego pożegnania. Nie spojrzała w moją stronę. Patrzyła na prom, na przepychających się wokół niej ludzi.

– W każdym razie dziękuję za wszystko. Nigdy tego nie zapomnę.

Nie przytrzymałem jej ręki, nie przytuliłem, nie pocałowałem na pożegnanie, nie powiedziałem nic. Może też ona na nic nie czekała. Dała się porwać przepływającemu obok nas tłumowi. Nagle wraz z tą swoją jedyną walizką zniknęła mi z pola widzenia. Patrzyłem, jak marynarze zamykają zabezpieczenia. Słyszałem monotony szum silnika odbijającego od brzegu promu. Zostałem sam, bo przez krótką chwilę myślałem, że tak będzie dla niej lepiej. To wszystko było jak film, jakbym był obserwatorem, a nie uczestnikiem tych wydarzeń. Próbowałem wypatrzeć jej postać na pokładzie. Podniosłem komórkę do ucha, chciałem usłyszeć jeszcze jej głos, chciałem powiedzieć, że bardzo ją kocham, że nigdy nie zapomnę, że tak będzie dla niej lepiej, że co prawda zdecydowałem bez jej udziału, ale tamto jej życie jest lepsze, pewniejsze... Monotonny głos informował, że połączenie nie może być w tej chwili zrealizowane... Wybierałem jej numer w kółko, dziesiątki razy, nim wreszcie zacząłem rozumieć, że to połączenie nigdy nie będzie mogło już być zrealizowane, że to już koniec. Te jej oczy pełne łez, ten łamiący się głos, ta nagle odwrócona głowa... Łyk wody, drugi, trzeci... Dno butelki... Jej włosy, jej oczy, ciepły dotyk jej rąk, jej usta, jej pocałunki... Katarina, Nadine, Nadine, Katarina... Boże, co ja najlepszego zrobiłem.

– Tak się cieszę na ten wyjazd. To super, że Begovic dał nam ten adres. To cudowne, że jednak ktoś z przeszłości zaczął mnie szukać. Już wiemy, gdzie jest ten kongres i że nazwisko Michała jest na liście prelegentów... Tak będzie łatwiej, naturalniej, normalniej... – głos Katariny promieniał radością.

Wracaliśmy ze spaceru znad zatoki. Ares biegł w kierunku domu, by nagle zawrócić i w radosnych podskokach pędzić z powrotem w naszą stronę.

– Michał to mój przyjaciel. On wiedział o mnie dużo, może nawet wszystko. Nareszcie znajdę swoją przeszłość. Nie będę się już czuć tak idiotycznie, będę mieć swoje korzenie. Nie będę taka samotna...

– Czujesz się samotna? – spytałem zaczepnie. Musiałem jakoś zacząć tę rozmowę. Musiałem jej jakoś o tym powiedzieć.

– Nie, nie w tym znaczeniu. Każdy miał rodziców, rodzinę...

– Ja nie miałem. – Udała, że nie słyszy, a może nie słyszała naprawdę.

– Jakaś szkołę podstawową, jakąś średnią – nie dała sobie przerwać – miał swoich kolegów, wychowawców, nauczycieli, swoje wzloty i upadki, wszystko to, co nas stworzyło, ukształtowało, wpłynęło na naszą rzeczywistość...

– Ja z tobą nie jadę... – poinformowałem sucho.

– Co mówisz? – wydawała się nie rozumieć.

– Ja nie jadę – powtórzyłem głośniejszym głosem już podjętą decyzję.

– Nie musimy jechać – posmutniała nagle.

– Powiedziałem, że ja nie jadę – powtórzyłem kolejny raz, kładąc szczególny akcent na „ja”. – Ty masz wykupiony bilet.

– Nie chcę jechać sama. Nie pojedę tam bez ciebie – zabrzmiało zdumiewająco szczerze. – Nie muszę tam w ogóle jechać – dodała pośpiesznie.

– Nie chrzań – sam przestraszyłem się tonu własnego głosu. – To twój chłopak. Nic tam po mnie. Na przyzwoitkę się nie nadaję, w każdym razie nie w tym przypadku, nie dla ciebie. Nie mam ochoty nikomu przeszkadzać. Pierwsza miłość nigdy nie rdzewieje. Ona zawsze będzie ta najważniejsza, ta święta... Nic, co później, nie jest już takie. Wszystko jest jak podróbka, nędzny falsyfikat tego pierwszego uczucia. Przy nim wszystko inne jest blade i bez wyrazu. Potem zawsze się już tylko porównuje. Nie oszukujmy się, Roman nie był taki jak Michał...

Przystanęła. Nagle puściła moją rękę. Zrobiła krok do tyłu. Spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

– Nie mów nic więcej. Rozumiem, ja nigdy nie będę taka jak Maria...

Zostawiła mnie otumanionego na środku ścieżki i ruszyła w kierunku domu. Nie pozwoliła mi nic wytłumaczyć. W domu zaczęła się pakować.

Znowu ujrzałem tę scenę: jej duże oczy pełne łez, jej dłoń w mojej dłoni, nagle w bok odwrócona głowa, obrączka na jej palcu... Ja też nie ściągnąłem tej obrączki: „Tiborowi na zawsze”... I w jednej chwili to „na zawsze” trafił szlag. On jest bogaty, samotny, robiący zawrotną naukową karierę, pewnie nadal w niej zakochany... Musi być w niej zakochany. W końcu był w Splicie, szukał jej u sióstr zakonnych, spotkał się w szpitalu z Petersonem, rozmawiał z Begovicem, zostawił u niego swój adres... Szukał jej po czterech latach. Musi być w niej nadal zakochany... Jak Sosnowski... Jak ja... W niej jest coś dziwnego, coś, czego nie można nazwać słowami, ona drażni, przyciąga, mami, przekłeta dziewczyna, przekłeta miłość, od której żaden z nas nie może się uwolnić... Przekleństwo! Łyk rakii, drugi, trzeci... Nagle w te wszystkie majaki wkradła się twarz Jeleny.

– Pijany, pijany jak świnia... Chlejesz znowu, jak kiedyś. Nie umiałam cię jednak wychować. Ty nigdy nie zdołasz wydorosnąć...

Jeszcze tylko Jeleny w tym wszystkim brakowało. Łyk wody i mara zniknie. Zrobiłem krok do przodu, potknąłem się o własne buty, runąłem jak długi na ten cholerny, zбитy z surowych desek stół. Ściany jaskini spotęgowały huk spadających butelek, brzęk rozbijanego szkła... Zasnąłem, wszystkie mary zniknęły, a teraz się dowiaduję, że Jelena była tam naprawdę.

\* \* \*

Jelena położyła to chyba tutaj specjalnie – gruby zeszyt, zapisany drobnym pismem Katariny. Otworzyłem go i zamknąłem natychmiast. Nigdy nie czytałem cudzych listów, nie będę czytał pamiętnika Katariny. Obok parę słów pospiesznie napisanych na kartce papieru: „Jeleno, tak mi przykro, że nie mogę się z tobą pożegnać...”.

Nie, nie będę tego czytał. List wyraźnie zaadresowany jest do Jeleny. Położyła mi go na stole, ale to chyba niewiele zmienia. Katarina napisała go do niej. Wstałem, otworzyłem okno. Wszechobecna ciemność, cisza przerywana cichym pohukiwaniem puszczyka, durny księżyc, który nagle wyłonił się zza chmur. Jakże podobny wieczór... Jeszcze przed paroma dniami siedzieliśmy o tej porze w ogrodzie. Przy zapalonych świecach świętowaliśmy reaktywację dyplomu Katariny.



- O tym mogę napisać? – Davor przyglądał mi się wnikliwie.
- Możesz! – uspokoilem go. – Będziesz miał fantastyczne zakończenie...
- Jeżeliby wam jednak coś nie wyszło... – zaczął mówić, nie odrywając wzroku od Katariny. Wypił chyba już o wiele za dużo. Przestał się kontrolować. Przyglądał jej się wzrokiem, za który chętnie dałbym mu w gębę. Mówił słowa, których nie powinien.
- Wyjdzie. Niech cię głowa o to nie boli.
- Piękna jest ta twoja Katarina...
- Wiem.
- Gdyby kiedyś...
- Nigdy nie będzie tego „kiedyś” – przerwałem mu.
- Coś znowu taki drażliwy? Przecież wiem, że nie dla mnie...

Nie dla niego i nie dla mnie, dla żadnego z nas. Przed dwoma dniami wysłałem ją w drogę powrotną do tego jej świata. Nie zostało nic. Spojrzałem jeszcze raz na trzymaną w rękę kartkę papieru. Wbrew swoim zasadom zacząłem czytać.

*Jeleno, tak mi przykro, że nie mogę się z tobą pożegnać. A może tak jest lepiej? Chyba nie umiałabym. Nie jestem mistrzem pożegnań. Z tamtego mojego życia pamiętam tylko jedno pożegnanie. Napisałam: „z tamtego mojego życia”, bo mój świat dzieli się na to, co pamiętam, co jest niepełne, niejasne, nie zawsze logiczne, powykrzywiane jak w starym zwierciadle, i na to, co było później, co nosi wasze imiona. Myślałam, że uda mi się to sklecić, połączyć, stworzyć całość, że będzie mi z tym lepiej. Teraz wiem, że źle myślałam. Nieważne. Z tamtego mojego życia pamiętam tylko jedno pożegnanie: mały wiejski cmentarz przy starym drewnianym kościółku, tłumy obcych mi ludzi, którzy przyszli trochę mnie wesprzeć, trochę pomóc, trochę nacieszyć się własnym, dalej biegnącym życiem. Pamiętam krzyż z trzema tabliczkami, głuchy dźwięk wbijania go w ziemię i tę dziwną pustkę. Nie było już nikogo i nic, żadnych zadań i żadnych obowiązków, nic oprócz wspomnień. Nie musiałam nigdzie gnać i nigdzie się spieszyć, nie musiałam się przed nikim tłumaczyć ani usprawiedliwiać. Nie musiałam spełniać niczyich oczekiwań, nie zawodzić nadziei, nie musiałam być niczyją dumą... Nagle nie musiałam nic, tylko w oka mgnieniu wydorosnąć. Przeklęta, nikomu niepotrzebna wolność. Nie wiem, co mówili do mnie tamci ludzie – nie pamiętam automatycznie wypowiedzianych wyrazów współczucia, poklepywań i uścisków. Patrzyłam wtedy daleko przed siebie na poszarpane przez wiatr korony drzew, na morze. Coś nagle umarło we mnie. Coś, co kochałam, odeszło na zawsze, przyszło zupełnie nieproszone coś, co było całkiem nowe. Dzisiaj czuję się tak samo. Rozpacz też jest podobna. Znowu runęło wszystko, zostałam sama. Znowu muszę wyruszyć w drogę. Nie ma we mnie tamtej złości, tamtego buntu, a tylko to nieme zdziwienie: „dlaczego?”. Nie rozumiem, ale chyba i nie muszę. Dziękuję wam za ten dany mi czas... Nie umiem się żegnać. Za chwilę zamkną się za mną drzwi waszego domu, który przez tak długo wydawał się też moim domem. Dzisiaj uświadomiłam sobie, że bezprawnie przywłaszczyłam sobie was i to wszystko dla siebie. Przepraszam... Uwierzyłam, że Katarzyna jest Nadine, a Nadine Katarzyną. Zachowałam się trochę jak bezpański pies, który w nachalny sposób próbuje wkomponować się w cudze życie, cicho wierząc, że inni muszą go także kochać, skoro on pokochał ich tak*

*bardzo. Pustka, z którą jeszcze nie wiem, co zrobię. Wolność, której nie pragnę. Zaufanie, którego nie muszę nie zawieść. Siła, której nie muszę nikomu udowadniać. Czas, który nagle się skończył. Cele, które nie są już ważne. Ból, który zastąpił wszystko... Zrobię wszystko, żeby się od tego uwolnić, chociaż nie wierzę, że może się to udać.*

\* \* \*

Kiedy wszedłem do kuchni, Jelena przygotowywała kanapki. Zatrzymałem się w drzwiach. Pukaniem zaakcentowałem swoją obecność. Wdarłem się w ten jej świat, z którego przed chwilą zostałem wyproszony.

– Jelena... – zacząłem niepewnie.

– Może lepiej nic już nie mów – mruknęła pod nosem. – W tym jest też sporo mojej winy. Źle cię wychowałam. Nie potrafisz okazywać swych uczuć, boisz się tego. Ludzie zwykle potrzebują słów, deklaracji, zapewnień... Ja chyba też niespecjalnie to potrafię. Nic nie mów – spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy kolejny już raz. – Zostawmy to na razie. Zadzwońłam do Davora. Rano podrzuci ci pieniądze do portu. Mówił ostatnio, że jest ci jeszcze dość sporo winny. To, co mamy w domu, już przygotowałam. Spróbuj zarezerwować miejsce w samolocie, zrobiłam ci coś do zjedzenia... – mówiła szybko jak automat. Nie dopuszczała mnie do głosu, nie pozwalała sobie przerwać.

– Jelena...

– Nic nie mów.

Niewiele pamiętam z tamtej podróży. Chyba tylko ten jej pamiętnik.

\* \* \*

*Postanowiłam uczyć się chorwackiego. Nie da się żyć w żadnym kraju, nie znając obowiązującego w nim języka. W tym kraju w każdym razie nie da się żyć na pewno. Już wiem, że nie można być żoną Chorwata, nie mówiąc po chorwacku, a już na pewno nie można być żoną Alena. Nauka z Alenem... Labirynt niedopowiedzeń, półcieni, uników, niedokończonych zdań i w połowie zatrzymanych gestów... Niekończący się ciąg tajemnic. Zrozumieć Alena... Jeden cel i jedna obsesja. Tak bym chciała zrozumieć go choć trochę, chociaż pewnie i to jest niemożliwe... Słowa i gesty... Te ostatnie, ciepłe, namiętne nie należą do nas, należą do Tibora i Nadine. Słowa... Tajemnicza magia słów. Jak myśli i emocje przełożyć na słowa, jak zrobić to w tej plątaniu obcych języków, gdzie światem rządzi nieubłagana gramatyka? Tak bardzo chciałabym móc powiedzieć to, co czuję, myślę, pamiętam, wyrazić słowami całą gamę targających mną uczuć. Jak śmieszne i zniekształcone jest tłumaczenie emocji. Najpierw próbuję to, co czuję, nazwać, ubrać w słowa, zamknąć uczucia i emocje w ciągi liter składających się na wyrazy, które oddzielone znakami interpunkcyjnymi układają się w mniej lub bardziej logiczne ciągi zwane zdaniami. Już na tym etapie nic do siebie nie pasuje, już na samym początku powstaje lekko zniekształcony obraz. Później te polskie słowa trzeba przetłumaczyć na angielski. Nikną wtedy półcienie i subtelności, ich miejsce zajmują*

*obce, nie całkiem przystające słowa, kulturowo niezrozumiałe idiomy... Później Alen słucha tego, co mówię. Zaczyna tłumaczyć wszystko na chorwacki. Ciekawe, co z tego jeszcze zostaje. To przypomina czasami zabawę w głuchy telefon. Wszystko dociera uproszczone, zmienione, zniekształcone, zupełnie niejasne, nieczytelne i kompletnie niezrozumiałe.*

Pamiętam, zaimponowała mi. Uparła się, że nauczy się chorwackiego. Codziennie, systematycznie, wytrwale. Po paru miesiącach mówiła już biegle.

Chorwacki z Katariną... Nawet teraz, gdy o tym myślę, mam gęsią skórkę. Szalone bywały te lekcje. Pamiętam słowo „pocałunek”... Uczyliśmy się już parę godzin. Katarina kolejny raz próbowała przebrnąć przez jeden z moich artykułów. Leżałem na kanapie, obserwując ją ukradkiem. Od czasu do czasu pomagałem tłumaczyć pojedyncze, niezrozumiałe dla niej słowa. Nagle niespodziewanie wstała od stołu, położyła się przy mnie. Odwróciła twarz w moją stronę. Delikatnie musnęła wargami mój policzek.

– Jak to nazywa się po chorwacku?

– *Poljubac* – powiedziałem oszołomiony.

– *Poljubac* – powtórzyła, całując mnie w policzek kolejny raz.

Uniosła się delikatnie na łokciu. Jej włosy musnęły moją twarz. Poczulem delikatny zapach jej ulubionych perfum.

– Zamknij oczy – poprosiła.

Poczulem, że zapach drzewa sandałowego, złamany delikatną nutą piżma, staje się coraz intensywniejszy. Nagle jej usta dotknęły moich ust. Całowała mnie nieśmiało, lękliwie. Czulem, jak drży we mnie każdy mięsień. Nagle odsunęła się ode mnie.

– A to? – spytała cicho. Wydawało mi się, że śnię. Każdy dzień odkrywał nową Katarinę.

– *Poljubac* – sam nie mogłem poznać mojego głosu.

– *Polju...* – nie zdążyła powtórzyć. Zacząłem ją całować długo, namiętnie. Jej drżące ciało w moich ramionach, jej półotwarte usta, przymknięte oczy, zapach tych perfum... Nie liczyło się już nic. Wszystko gdzieś oddaliło się i zniknęło. Ważne było tylko to, co było tu i teraz, bez względu na wszystko, bez względu na konsekwencje. Nagle odepchnęła mnie.

– Przestań! Teraz się uczymy!

Wstała. Szybkim ruchem ręki poprawiła bluzkę, obciągnęła spódnicę.

– To idiotyczne – zaczęła się śmiać, odrzucając do tyłu włosy tym ruchem, który tak lubię. – Przyjacielski buziak ma tę samą nazwę, co namiętny pocałunek. – Niezbadane są tajniki języków obcych. Idę pływać. Dogonisz mnie?

Obróciła się na pięcie. Trzasnęły drzwi. Nasze stopy zadudniły po schodach. Miała szczęście, że wpadła przede mną do wody.

\* \* \*

*Boże Narodzenie z Alenem. Dotychczas pamiętałam tylko tamte moje, w Polsce: Wigilia, prezenty pod choinką, blask lampek na strojnej choince, babcię Wandę*

krzątającą się po kuchni, zapach ciasta, dwanaście potraw jak dwunastu apostołów, tamten łańcuszek od Michała, opłatek i szeptem składane życzenia... „Żeby się wam, dzieci, to jakoś poukładało”, ciepły blask świec odbity w oczach Michała... Nic się jakoś nie poukładało. Oddaliło się, minęło, nagle zaczęło należeć do innego świata, zatraciło dawny sens. To wszystko było przedtem, przed tamtym wypadkiem, krok po kroku prowadziło do tamtego dnia, kiedy to wszystko się stało. Coraz częściej mam dziwne wrażenie, że tak po prostu musiało się stać. Splot wydarzeń pędzących w kierunku samozagłady. To Boże Narodzenie teraz miało już tylko imię Alena. Trzy wielkie pnie na palenisku kominka symbolizujące Świętą Trójcę, świece zapalone od ognia w kominku, słoma leżąca na podłodze, siano na stole przykryte obrusem, drewniana szopka stojąca pod drzewkiem, jedzenie i wino niesione w darze płonącym polanom, zielone gałęzie ostrokrzewu i bluszczu, jakby na przekór ziemie powieszzone na ścianach domów, drzewko przyozdobione świąteczkami i ciastkami nazywanymi „licitar”. Dostałam nawet w prezencie takie jedno piernikowe ciastko w kształcie serduszka, pokryte jaskrawoczerwonym lukrem, z cukrowymi pączkami herbacianych róż i z zielonymi listkami, ze śmiesznym małym lusterkiem wkomponowanym jako dekoracja, odbijającym wesoło blask świec i świateł na choince. Jadłam dziwne ciasto z dodatkiem miodu, orzechów i suszonych owoców, kosztowałam zaplecionej w warkocz drożdżówki o smaku gałki muszkatołowej, jadłam zupę rybną z dorsza, dziwiłam się połączeniu smażonej fasoli z cebulą i kiszoną kapustą. Ale to jeszcze nie było najdziwniejsze... Najdziwniejszy był ten stojący pod drzewkiem talerzyk z zieloną, wykiełkowaną pszenicą, przepasaną wstążką w trójkolorowych barwach Chorwacji...

Boże Narodzenie z Katariną... Gospodarze zaprosili nas na Wigilię. Nie byłem pewny, czy to aby dobry pomysł. Nie chciałem tego. Odruchowo nie pragnąłem żadnych wspomnień. Chciałem tylko pójść z nią na spacer, popodziwiać przez okna rozświetlone choinki, wybrać się w nocy do kościoła, bardziej słuchać, niż mówić, nadać temu dniowi inny, nasz własny charakter, niczego nie narzucać i nie dawać szansy na porównywania, unikać jakichkolwiek wspomnień... Kiedyś mówiła mi, że te święta lubiła najbardziej. Mnie jakoś jeszcze nikt nie nauczył kochać tych świąt. Nie udało się, zostaliśmy zaproszeni na ten wieczór i nagle, jakby mimochodem, wzięliśmy udział w chorwackiej kolacji wigilijnej. Nie odrywałem oczu od Katariny – Katarina przy choince, Katarina siedząca na sianie, Katarina w migotliwym blasku świec... Rozpromieniona, ciepła, radosna.

– A jaka bywała Wigilia u pani w domu? – gospodyni spojrzała na Katarinę z zainteresowaniem.

Na to pytanie czekałem z lękiem przez cały wieczór. Właśnie jego tak się obawiałem.

– Inna – usłyszałem cichy głos Katariny. Przez chwilę spuściła głowę, bezmyślnie zaczęła bawić się stojącą przed nią świecą. Płomień niebezpiecznie drżał, wydłużał się, tańczył. Blask świecy przesuwiał się po jej twarzy. Zniekształcone cienie zaczęły igrać na ścianie. Zapanowała cisza. Gospodarze wymienili wymowne spojrzenia.

– Przepraszam, nie chciałam... Nie przypuszczałam, że mając takiego męża, może pani jeszcze tęsknić... – gospodyni tłumaczyła się niezręcznie.

– Nie, dlaczego. Wszystko w porządku. Nic się nie stało – Katarina mówiła spokojnie,

powoli. – Powiedziałaś inna – nie gorsza i nie lepsza. U nas na Mikołaja dzieci dostają słodczyce, tak jak u was w dzień świętej Łucji. Później u mnie w domu pisało się listy do Dzieciątka. Listy wkładało się do kopert, koperty skrzętnie zaklejało, kładło wieczorem na parapecie okna. Potem mama na chwilę otwierała okno. Rano biegłam sprawdzić, czy mój list zniknął. W liście były moje marzenia – o nowym misiu lub lalce, o książce, o różnych małych rzeczach, które wtedy były szczytem moich dziecięcych marzeń...

Mówiła, a ja wyobrażałem sobie to wszystko – małą dziewczynkę z długimi warkoczami, piszącą list potajemnie przed dorosłymi, jej rodziców czytających to skrycie, tę radość czekania na święta, ubierania choinki, wspólnej modlitwy, łamania się opłatkiem, składania życzeń, otwierania wymarzonych prezentów... Ja nie miałem takiego dzieciństwa. W domu dziecka nie było miejsca na miłość. Później dopiero pokochała mnie Jelena... Katarina nagle zamilkła.

– Mów – usłyszałem głos gospodyni. – Pięknie opowiadasz. Próbuję sobie to wyobrazić. Pewnie kiedyś pojedziecie i do twoich na święta...

Cisza się przedłużała. Katarina nagle odwróciła w bok głowę.

– Nie wiem, o czym mogłabym jeszcze opowiedzieć – jej głos drżał podejrzenie. – Nigdy już nie będzie takich świąt. Nie mam nikogo, do kogo mogłabym jechać. Nic, co dobre, nie trwa wiecznie – mówiła twardo, dobitnie. – Nie mam już o czym mówić – powtórzyła ciszej.

Jej oczy stawały się coraz większe, coraz bardziej błyszczące. Głos łamał się podejrzenie.

– Po prostu w pewnym momencie wszystko nagle się skończyło. Nie ma nikogo i nic – dokończyła niespodziewanie.

Wstała gwałtownie. Potrącony stół zadrżał, na ścianach zatańczyły cieniste chochliki.

– Przepraszam państwa, ja się już pożegnam. Dziękuję za zaproszenie i za ten wieczór. Odwróciła się pospiesznie i ruszyła w kierunku drzwi.

– Co się stało? Jeszcze tak wcześnie – gospodarz próbował ją zatrzymać.

– Nic. Czuję się nie najlepiej. Chciałabym się już położyć.

Wstałem gotowy do wyjścia.

Przechodząc obok mnie, odwróciła się na chwilę w moją stronę.

– Zostań z nimi! – szept zabrzmiał jak rozkaz. – Chcę być teraz sama.

Kiedy wszedłem do pokoju, od razu zauważyłem, że nie śpi. Nie zapalałem lampy. Skąpe światło latarni sączyło się z zewnątrz przez niedbale zaciągnięte firanki. Leżała niczym nieprzykryta, z twarzą schowaną w poduszkę. Usiadłem na brzegu łóżka. Odruchowo narzuciłem na nią pled.

– Śpisz? – spytałem szeptem.

Odpowiedziała mi cisza.

– Wiem, że nie śpisz. Nie chcesz po prostu ze mną rozmawiać. Jak uważasz... – chciałem wstać.

Drgnęła lekko.

– Oni nie chcieli zrobić ci przykrości. Po prostu byli ciekawi. Skąd mieli wiedzieć?

Przejechałem ręką po jej włosach. Odwróciła się w moją stronę.

– Wiem, zachowałam się głupio, przepraszam.

Uratować ten wieczór, przemknęło mi przez myśl, uratować go dla niej, dla mnie, dla nas... Uratować za wszelką cenę.

– Czego najbardziej ci brak?

– Chyba opłatka... U nas łamiemy się opłatkiem na znak zgody i pokoju, składamy sobie życzenia.

– Życzeń dzisiaj było całe mnóstwo – mówiłem niepewnie. – Wszystkie równie sztampowe. Mam ci je powtórzyć...

– Nie mówię o takich życzeniach.

– A o czym mówisz?

– O takich szczególnych, takich tylko na przykład ode mnie dla ciebie, których nikt inny nie zrozumie, które dla nikogo innego nie miałyby znaczenia.

– Chyba nie całkiem cię rozumiem – powiedziałem cicho.

– Ja wiem, że nie rozumiesz.

– A jeżeli chciałbym zrozumieć...

– Naprawdę chciałbyś?

Usiadła. Niesforne włosy rozsypały się na ramiona. Uparty kosmyk spadł na oczy.

– Ja wiem, czego chciałabym ci życzyć – zaczęła niepewnie. – Mogę?

– Spróbuj!

Przysunęła się jeszcze bliżej do mnie. Jej oddech czułem na twarzy. Jej usta tuż przy moim uchu.

– Żebyś znowu zaczął żyć – szepnęła cichutko – żebyś miał w życiu coś, co będziesz znowu bał się stracić...

Nic jej nie odpowiedziałem. Ja już od dawna szaleję ze strachu, że kiedyś mogę ją stracić.

\* \* \*

*Napisałam list do babci Wandy. Ona musi się strasznie martwić. Sądzi, że wyjechałam z Romanem, za którym nie przepadała, i nagle zniknęłam, zapadłam się pod ziemię, przestałam istnieć...*

Lubiłem obserwować ją ukradkiem. Tego dnia siedziała od paru godzin przy stole i zapisywała drobnym pismem dziesiątą już chyba kartkę. Ja dawno skończyłem pisać nowy artykuł dla Davora. Katarina raz po raz przerywała pisanie, przez krótki czas siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie, daleka i nieobecna, aby po chwili z delikatnym uśmiechem na twarzy zaczynać na nowo. Raz zamyśliła się trochę dłużej, przetarła ręką oczy, spuściła głowę. Mój wzrok co chwila wędrował w jej stronę: pochylona głowa, delikatne rysy twarzy, odgarniane raz po raz uparcie opadające jej na twarz włosy...

– Co robisz? – spytałem pozornie obojętnie.

– Piszę list.

– Do redakcji? Taki długi? To się Petrovic ucieszy – zaniemówiłem wprost z wrażenia.

– Nie, nie do redakcji.

– Inne listy nie wchodzi teraz w grę. Rozmawialiśmy już o tym. – Nagle poczułem się dziwnie rozdrażniony.

– Ten musi.

Było coś w jej głosie, co nie dopuszczało sprzeciwu.

– Nie, nie musi – powiedziałem może odrobinę za głośno.

Zaskoczyłem ją. Na krótko podniosła wzrok znad kartki papieru.

– Alen, przestań, ja wszystko rozumiem, ale ten list to wyjątkowa sprawa.

Pomyślałem, że chyba jednak nie rozumie.

– Skoro czekał tyle, to jeszcze poczeka. Jeśli nie czekał, to i ten list pewnie niewiele zmieni – starałem się mówić pogodnie.

– O kim ty mówisz? – spojrzała na mnie zdziwiona.

– O Michale.

– Ale ten list wcale nie jest do Michała.

– Nie? W takim razie do kogo? Za Romanem ponoć nie tęsknisz – wiedziałem, że przesadzam, że nie mam do tego żadnego prawa, że nie wolno mi ingerować w jej życie. – Masz jeszcze jakieś tajemnice? Jest jeszcze ktoś, o kim dotąd nie słyszałem?

Patrzyła na mnie smutno. Wydawała się mną rozczarowana.

– Babcia Wanda była kiedyś moją nianią. Po śmierci moich najbliższych zastępowała mi całą rodzinę. Ona jest dla mnie tym, kim Jelena dla ciebie. Dzisiaj w nocy przypomniała mi się nazwa miejscowości, kod pocztowy sprawdziłam w Internecie. Wyobraź sobie, co ona musi przez ten cały czas przeżywać. Nie wierzę, że ty, będąc na moim miejscu, nie napisałbyś do Jeleny.

Napisałbym, bo przecież wtedy napisałem. Po tamtej tragedii w kosowskiej wiosce nie byłem w stanie odezwać się do nikogo. Nie odbierałem telefonów, nie odpisywałem na maile, nie pisałem artykułów, wysłałem do Davora tylko tamto jedno zdjęcie. Innych zdjęć już nigdy później nie oglądałem. Tkwią gdzieś na karcie pamięci mojego aparatu tylko po to, by kiedyś jednym ruchem wymazać je stamtąd na zawsze. Jednak we mnie tamte obrazy żyć będą pewnie już wiecznie. Zaszyłem się wtedy z dala od wszystkich i wszystkiego. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie dalej żyć. Nie mogłem jeść, pić, spać, rozmawiać... Zniknąłem, ale do niej to jedno jedyne słowo wtedy wysłałem. Do dziś w pokoju Jeleny wisi na ścianie kartka z wrytym czarnym długopisem słowem: „żyję”.

\* \* \*

*Dzisiaj znowu miałam ten sen. Już dawno mi się to nie śniło – kamieniste dno z wesołymi odblaskami rozszczępionych przez wodę słonecznych promieni, woda tak przejrzysta, że kamienie wydają się na wyciągnięcie ręki, pojedynczy ukwiał, szarpany przez prąd wody niczym drzewo targane wiatrem, jakiś krab pospiesznie niosący swoją skorupkę, ławica małych prądkowanych rybek pędząca przed siebie na oślep. Nagle dno oddala się i niknie. Nie ma już złocistych słonecznych promieni. Poda mną rozciąga się tajemniczy błękit zwiastujący głębinę. Przezroczysta woda jakby mętnieje. Staje się coraz ciemniej. Wszystko zatracą swój kształt, rozmywa się i niknie w tej głębi. Ból głowy narasta z minuty na minutę, świat kręci się i tańczy dookoła, ogarnia mnie*

*słabość, nasila duszność. Mam dziwne uczucie, że opadam coraz niżej i niżej, nie mam sił walczyć, zagłębiam się coraz bardziej i bardziej w tę czerń, otchłań i głębinę. Nagle wyczuwam ruch, tuż obok mnie chabrowe oczy Romana, silne ramiona wypychające mnie w górę, w kierunku błękitnego nieba, w kierunku słońca. Głos Romka dobiega jak z zaświatów, z trudem przebija się do mojej świadomości – „Kasia, co ty wyprawiasz?”.*

Pamiętam tę noc. Usłyszałem, że wstaje. Charakterystycznie skrzypnęło łóżko, zaplaskały bosc stopy na kamiennej posadzce. Podeszła do okna, odsłoniła zasłony. Szeroko otworzyła okno. Usiadła na parapecie, podciągnęła stopy do góry, głowę oparła na kolanach. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie w czerń panoszącej się wokół nocy. Ciemny zarys jej postaci zdawał się zlewać z tłem, granatem rozgwieżdżonego nieba. Poruszyłem się cicho. Karimata z charakterystycznym piskiem przesunęła się po podłodze. Drgnęła.

– Obudziłam cię? Przepraszam – szepnęła.

– Coś się stało?

– Nie, zupełnie nic – powiedziała cicho. – Przynajmniej nic złego. Wiesz, ta moja dziwna pamięć. Ona ciągle płata mi figle. Znowu miałam tamten sen... – próbowała tłumaczyć.

– Znowu tak samo straszny?

– Nie. Zupełnie inny...

Zamilkła nagle, zamyśliła się. Na chwilę jakby zapomniała o moim istnieniu. Była tylko ona i tamte wspomnienia, ona i tamta jej rzeczywistość. Widziałem jej cień na tle okna, rozgwieżdżone niebo. Wszystko nagle wydało się odległe i nierzeczywiste. Katarina znowu była jakby zupełnie inna, nie moja, należąca do innego świata, obca. Siedziałem, nie odrywając od niej wzroku, wściekły na siebie, że gdzieś po drodze zapomniałem, że przecież kiedyś musi przyjść taki czas.

– On wtedy nie chciał mnie zabić – powiedziała nagle. – On mnie uratował.

\* \* \*

*Alen znalazł dzisiaj w Internecie zdjęcie mojej dawnej studenckiej grupy. Nagle wszystko odżyło, jakby to było zaledwie wczoraj, jakby w jakiś tajemniczy sposób zniknęły wszystkie te ostatnie lata. Michał, Robert, Mariusz, Artur, Honorata...*

Nigdy tego nie zapomnę. Przeklęty Internet, przeklęte nasze czasy. Parę kliknięć myszką i już nie ma żadnych tajemnic. Siedziałem tuż przy niej, wściekły na samego siebie.

– No, który to jest ten twój Michał? – próbowałem mówić bez cienia goryczy, sarkazmu czy ironii. W środku wszystko we mnie kipiało, przelewało się i drżało. Miałem wrażenie, że za chwilę wybuchnę.

– Zgadnij!

Jeszcze tylko tego brakowało, żebym ja miał zgadywać, który z nich był Michałem.

– Pierwszy z lewej, tuż obok ciebie – starałem się mówić obojętnie.



– Skąd wiesz? – patrzyła na mnie zdziwiona.

– Nie wiem, tylko zgadywałem – skłamałem.

Widziałem w Internecie telekonferencję medyczną z jego udziałem, ale tego nie chciałem jej mówić. Teraz wyglądał zupełnie inaczej. Chłopak na zdjęciu miał bujną, ciemną czuprynę, duże brązowe oczy, parodniowy zarost, porozciągany sweter, koszulę w kratę, dzinsy. Zbuntowany marzyciel, romantyk, pomyślałem. Ten na telekonferencji wyglądał zupełnie inaczej – garnitur, zapięta pod szyję koszula, krawat, przystryżone włosy... Bezwzględnie zmierzający do celu, świetnie znający swoją wartość profesjonalista. Z tym pierwszym może mógłbym pójść kiedyś na piwo, tego drugiego nie chciałbym chyba spotkać, ale to był ten sam facet, od razu go poznałem.

*Dziwne jest to wszystko. Ja – nie ja... Moi przyjaciele, ale jacyś odlegli i obcy. Nie szukali mnie, zapomnieli, zaakceptowali moją nieobecność, a może jej nawet nie zauważyli. Wszystko wydaje się jakby wyblakłe i nieaktualne. Te wspomnienia już nawet nie bolą. Jeszcze nie tak stare zdjęcie, a jakby z innego życia, z życia zupełnie innej osoby. Może oni zawiedli mnie, a może i ja ich trochę. A może to tylko czas oszukał nas wszystkich? Ja już jestem kimś zupełnie innym. Urodziłam się jakby na nowo. Peterson mówił, że nie wierzył wcześniej w Boga. Dostałam drugie życie, jak drugą szansę od Pana Boga. Alen pozornie zimny, obcy, obojętny, nieustępliwy, konsekwentny, pewny, bezinteresowny, na swój sposób nauczył mnie wszystkich uczuć od nowa.*

\* \* \*

Kompletnie mi nie szło. Zaczynałem już wielokrotnie tylko po to, żeby po paru zdaniach wszystko wykasować. Widziałem, że Katarina zerka na mnie raz po raz znad czytanej książki, coraz dłużej zatrzymując na mnie wzrok. Przed chwilą obudziła się, leżała jeszcze w łóżku z lekko zaróżowionymi snem policzkami, włosami, które jakby na przekór wiążącej je gumce wybrały wolność, w koszuli, która jakby tylko przypadkiem odsłaniała uda, pokazywała śniade ramiona, rozchyłała się od niechcienia na piersiach...

– Może przykryłabyś się trochę – wyrwało mi się jakoś bezwiednie. – Rozpraszasz mnie...

– Coś nie tak? – udała, że nie słyszy tego, co powiedziałem.

– Jakoś mi dzisiaj nie idzie – burknąłem rozdrażniony i wściekły na samego siebie.

Wyszedłem na taras. Usiadłem w fotelu. Zapaliłem papierosa. Lekki poranny wiatr nie zapowiadał jeszcze zbliżającego się upału. Z tarasu rozciągał się widok na zatokę, na ciemnogramatowy Adriatyk mieniący się gdzieniegdzie złotymi refleksami, rzucanymi przez niedawno obudzone słońce. Lekka mgła nadawała tajemniczości łysym, pokrytym tylko szorstką trawą i kamieniami wzgórzom, zamykającym z drugiej strony tę niewielką zatokę. Z pobliskiej plaży nie dobiegały jeszcze żadne odgłosy. Jedna samotna żaglówka z opuszczonymi żaglami, bardziej dryfująca niż sterowana przez śpiącą chyba jeszcze załogę, kołysała się jakieś sto metrów od brzegu. Był wczesny poranek, nowy dzień dopiero się budził. O tej porze pisało mi się zwykle najlepiej. Zwykle, ale nie dzisiaj.

Kompletnie nie mogłem się skoncentrować. Ta przekłeta przeszłość Katariny. Te wracające obrazy, które kiedyś nagle mogą zmienić wszystko, przekreślić ten nasz czas. Powiedziała, że miała sen... Przeszłość wraca i wraca coraz częściej. Ja już od dawna przecież wiedziałem, że on na pewno nie chciał jej zabić. Był chory na tę przekłętą miłość jak ja. Pamiętam, jak wpadłem kiedyś do niego do kliniki w sprawie tego sponsoringu. Zapukałem i wszedłem, nie czekając na zaproszenie. Na biurku zobaczyłem rozsypane jej zdjęcia. Nie zgarniał ich i nie chował. Widział mój wzrok przesuwający się po blacie biurka. Na pierwszym zdjęciu Katarina w balowej sukience, z rozwianymi włosami, których kasztanowy kolor komponuje się w niepowtarzalny wprost sposób z ciemną zielenią długiej balowej sukni. Zauważyłem długie, czarne, koronkowe rękawiczki, czarne wykończenia dekoltu, szeroką, czarną wstążkę podkreślającą wąską talię, lekko uniesione ręką brzegi sukienki. Na drugim zdjęciu Katarina na stoku ośnieżonej góry, mrużąc lekko oczy przed blaskiem oślepiającego, odbitego od zmrożonego śniegu słońca, w błękitnym ocieplaczu, w butach narciarskich, z goglami naciągniętymi na czapkę. Tuż obok zupełnie inne klimaty – twarz Katariny zanurzona w bukiet kolorowych frezji, kosmyk włosów opadający jej na twarz, ciemne oczy obrysowane szpalerem długich czarnych rzęs, lekki, błąkający się nieśmiało po jej twarzy uśmiech. Na kolejnym zdjęciu oni razem, tańczący przy blasku kominka w jakiejś góralskiej chacie... Zauważył mój wzrok. Przyglądał mi się podejrzliwie. Czyżby się jednak czegoś domyślał?

– Piękna kobieta. Żona? – bardzo chciałem, żeby zabrzmiało w miarę obojętnie.

– Pewnie teraz już tak, z tym że nie moja – uśmiechnął się niepewnie. – A zresztą nie wiem. To wszystko potoczyło się tak niezrozumiale. Nigdy nikogo nie można tak naprawdę poznać do końca – powiedział. – Każdy człowiek ma jakieś zwycięstwa i jakieś przegrane – zaśmiał się. – Ja mam wspomnienia. Nie szukam nikogo w zamian, bo i tak nie znajdę.

Nagle zamilkł. Zamyślił się na chwilę. Pomyślałem, że pewnie już pożałował tej chwili słabości.

– Przepraszam – rzucił niedbale. – Nie powinienem panu tego mówić. Pan nawinął się przez przypadek. Tak jakoś mnie dzisiaj naszło. Ktoś postawił mi nieprawdopodobną diagnozę. Lekarze zwykle stawiają diagnozy innym, ubierają przy tym własną bezsilność i niemoc w pełne otuchy i nadziei słowa. Zasłaniają się wolą boską i próbują zrozpaczonemu pacjentowi pokazywać światełko wiary i nadziei tam, gdzie już sami niczego nie widzą. Dobry lekarz to jak dobry aktor. Dokładnie wie, co stanie się w następnym akcie, ale gra do końca. Tego nie uczą na studiach. Tę umiejętność nabywa się każdego dnia. Tu wykłady niczego nie zmieniają. Nie da się z tego przeprowadzić ćwiczeń. Uczymy empatii i asertywności, często sami tego w pełni nie rozumiejąc. To jeszcze nie jest najgorsze. Chory lekarz to już totalna porażka. Diagnoza... A on już wie wszystko o światowej statystyce, okresach przeżywalności, działaniach ubocznych okaleczającej terapii, rokowaniach. Dla niego nie ma światełka nadziei, jest sucha wiedza i niezakłamana rzeczywistość. Dziwnie jest nagle samemu usłyszeć wyrok... Nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiałem. Nigdy nie byłem jeszcze z tej drugiej strony. Życie pisze własny scenariusz. My sami jesteśmy często tylko pionkami w grze. Tak właśnie sobie pomyślałem, oglądając dzisiaj te zdjęcia. Los wiedział, czego chce. Nie jesteśmy razem i tak jest lepiej, lepiej dla niej, dużo łatwiej teraz dla mnie. Przepraszam pana, pan jest

obcym człowiekiem, nie powinienem... – przerwał nagle. Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Gdy chwilę później spojrzął w moją stronę, był już dawnym Sosnowskim, profesorem kardiochirurgii, szefem kliniki, z zapałem realizującym postawione przed sobą cele.

– Ale my dzisiaj spotykamy się w zupełnie innej sprawie. Moi pacjenci... Dla nich możemy pewnie jeszcze wiele wspólnie zrobić.

Mimo woli podziwiałem tego faceta.

– O czym myślisz? – głos Katariny wyrwał mnie z tamtych wspomnień. Nie zauważyłem nawet, kiedy postawiła przede mną filiżankę z kawą, kiedy otulona w mój sweter usiadła przy stole naprzeciw mnie.

– O niczym.

– O niczym, o czym chciałbyś ze mną teraz rozmawiać – dokończyła łagodnie za mnie.

– Niech i tak będzie...

O niczym, o czym chciałbym w tej chwili mówić – powtórzyłem w myślach.

Przyniosła sobie filiżankę z kawą. Usadowiła się wygodnie. Stopy położyła na sąsiednim fotelu. Książkę ułożyła na kolanach. Nie zaczęła jednak czytać. Patrzyła gdzieś daleko przed siebie.

– Mówiłeś, że ci dzisiaj nie idzie.

– Mówiłem.

– Może mogę jakoś pomóc.

– Może możesz...

Patrzyła na mnie wyczekująco.

– Wyobraź sobie, że nie jesteś Nadine. Nie było tych wielu miesięcy. Nie było Nadine i Tibora, nie było nas. Wracasz do domu...

– Mam to sobie wyobrazić? Tak zupełnie niezależnie od rzeczywistości?

– Właśnie tak, tak zupełnie niezależnie od rzeczywistości.

– Wracam na wyspę i co?

– Teraz już wiesz, że on ci nic nie chciał zrobić, że prawdopodobnie już wtedy, w wodzie, coś się z tobą zaczęło dziać. Pojawił się straszny ból głowy, duszność, świat wirował i kręcił się dookoła ciebie. Parę godzin wcześniej, upadając w porcie, uderzyłaś się w głowę. Może już wtedy zaczęło się to krwawienie. Może początkowo było bardzo niewielkie. Nurkowaliście wiele godzin. Zobaczyłaś coś ciekawego, popłynęłaś w kierunku głębin. Pod wodą ciśnienie jest wyższe. Nagle ból głowy się nasilił. Ręce i nogi odmówiły ci posłuszeństwa. Powoli zaczęłaś zanurzać się coraz bardziej i bardziej w głębinę. Bogu dzięki, on był tuż obok. Z jego pomocą udało ci się wypłynąć na powierzchnię. Cały wieczór czułaś się już źle, następnego dnia rozmawiałaś ze mną na promie. Prosiłaś mnie o pomoc. Bolała cię bardzo głowa. Prawdopodobnie już wtedy działo się z tobą coś niedobrego. Może małe naczynie krwawiło cały czas, a może krwotok się nasilał. Chyba wcale się nie skarżyłaś Romanowi. Przypuszczał, że jesteś tylko zmęczona, a może trochę zdenerwowana zbliżającym się spotkaniem. Takie momenty nie należą do najłatwiejszych. Coś trzeba wybrać, z czymś się trzeba pożegnać. Coś musi się rozstrzygnąć, coś skończyć, żeby mogło się zacząć coś innego. Nie wszystko jest takie proste i jasne. Narosła już cała góra nieporozumień, niedopowiedzeń i niejasności. Dwóch przyjaciół zakochanych w tej samej dziewczynie, sytuacja jak z filmowego romansu.

Płynęliście do Splitu. Obserwowałem was wtedy. Więcej milczeliście, niż rozmawialiście, oboje zamyśleni, nieobecni. To spotkanie miało być ważne dla was obojga. Z niewiadomych przyczyn Michał nie przyjechał. Roman zjawił się na umówionym miejscu parę godzin później. Od zaprzyjaźnionego właściciela włoskiej restauracji usłyszał, że w ogóle tam nie dotarliście. Nie było śladu po tobie, bo już od paru godzin byłeś w szpitalu, nie było śladu po Michale, bo on wcale nie przyjechał. Roman pomyślał, że wyjechałaś bez pożegnania, że zostawiłaś go bez słowa tuż przed waszym ślubem. Nie szukał cię, bo wydawało mu się, że musi uszanować twoją decyzję. Przez myśl mu nie przeszło, że wszystko mogło być zupełnie inaczej.

Nie przerywała. Nie odrywała wzroku od moich ust. Na jej twarzy z minuty na minutę narastało zdziwienie.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Trochę wiem, trochę się domyślam...

– Znasz dobrze Romana?

– Nie powiedziałbym, że dobrze. Spotkaliśmy się parę razy. Powiedzmy, że to były spotkania w interesach. Ciekawy człowiek...

– Ciekawy – powtórzyła jakby bezwiednie. – Do czego zmierzasz?

– Do niczego. Mówiłaś, że spróbujesz mi pomóc. Zupełnie mi dzisiaj nie idzie...

– Jaki to ma związek z tym, o czym mówisz?

– Duży. Wyobraźmy sobie, że nie ma Nadine i Tibora, nie ma nas, nie było tych wielu wspólnych miesięcy. Na wyspę wracają Katarina i Alen, dwoje prawie obcych sobie ludzi. On kopnięty i nieodpowiedzialny dziennikarz, ona... Nieważne, niech już będzie bez tego „ona”. Tuż obok w Splicie pracuje Roman. Twoim zdaniem, co zrobiłaby Katarina?

– Nie wiem.

– Pomyśl. Może powinna zadzwonić, umówić się, spotkać... Może powinna spróbować wrócić do tamtego życia. Tamto życie jest lepsze. Facet jest szefem kliniki, młody, szalenie zdolny, ubóstwiany przez pacjentów, szanowany przez współpracowników. Ma w sobie coś, tę iskrę bożą, że nawet ja, wbrew jakiegokolwiek logice, zdołałem go polubić.

– Do czego zmierzasz?

Nie patrzyła już na mnie. Spuściła głowę, patrzyła gdzieś w bok.

– Próbuję ustalić, co zrobiłaby Katarina.

– Tamtej dziewczyny już nie ma i nieważne, czy będziesz mnie teraz nazywał Nadine czy Katarina. Tamta odeszła, umarła, nie obudziła się ze śpiączki w szpitalu. Inni zawiedli ją, a może to ona zawiodła innych. A może zawiodła tylko samą siebie. Od wielu miesięcy biegła w kierunku samozagłady. To musiało się stać. Nie w ten, to w inny sposób. Za dużo rzeczy w tym jej życiu nie miało już sensu. Roman ma tylko jedną wadę, ale właśnie o tę jedną za dużo – zawsze konsekwentnie prze do przodu, w kierunku celu, który sam sobie wyznaczył. Wysoko ustawia poprzeczkę dla siebie, równie wysoko dla innych, nie toleruje żadnych słabości. W jego świecie nie ma miejsca na kompromisy. Niewielkie niedopowiedzenie, które dla niego nie miało żadnego znaczenia, zniszczyło moje życie. Ratował mnie z opresji, w którą sam mnie wepchnął. On nie kochał mnie. On kochał mój obraz zniekształcony i dopasowany do jego wizji.

– Mylisz się...

– To wszystko! – przerwała mi stanowczo. Nie słuchała mnie. Mówiła jak w transie. – To trochę jak reinkarnacja. Ja, nie ja? To dawne życie jest trochę jak film, jak sen. Ja teraz jestem zupełnie inną osobą. W pewnym sensie to wy z Jeleną stworzyliście mnie na nowo. Nie wiem, ile we mnie zostało z tamtej dziewczyny, niewiele, a może zupełnie nic.

Nagle wstała, odepchnęła od siebie stolik. Resztki kawy chlusnęły na blat.

– Szukasz pomysłu na artykuł czy chcesz się dowiedzieć, co zrobię? – spytała zaczepnie.

– Piszę artykuł.

– No to pisz!

\* \* \*

Ruszając w ślad za nią, nie miałem żadnego pomysłu. Nie byłem pewien, czy ona tutaj w ogóle była, a jeżeli tak, to czy nadal jest. Dotarłem za późno. Przed południem odbyło się oficjalne zamknięcie kongresu, teraz, po południu, po korytarzach kręcili się jeszcze tylko przedstawiciele firm farmaceutycznych, pospiesznie likwidujący towarzyszące kongresowi stoiska. W walających się na parapecie materiałach konferencyjnych znalazłem adresy placówek, z których wywodzili się prelegenci. On był stąd, z tego miasta. Gazeta konferencyjna donosiła, że odniósł sukces, że on i jego pracownia otrzymali ogromne dofinansowanie na badania naukowe, że wyszedł stąd z nagrodą. Sukces, i do tego jeszcze Katarina...

Nigdy tego nie zapomnę – tamtego pełnego durnych myśli wieczoru, wieczoru w obcym mieście. Przewalający się ulicami starego miasta różnojęzyczny tłum, monumentalny, zimny gotycki kościół niczym arka przymierza z wyraźnie odcinającymi się na tle powoli granatowiejącego nieba postaciami pochylonych świętych, w niedalekim sąsiedztwie barokowej, jakby nierzeczywistej budowli, której kopuła nagle wzbija się ponad dachy starych kamieniczek i odrestaurowanych pałaców, uwieczniony na ścianie ponadstumetrowy pochód jakichś władców, których imiona i czyny są mi zupełnie obojętne, złota postać tańczącej kobiety, wieńcząca kopułę jednego z pałaców, kafejki przekrzykujące się muzyką, schody prowadzące na nabrzeże jakiejś szerokiej rzeki, statki zacumowane przy brzegu, nazwy statków, jak imiona królów, których i tak nie zapamiętam, parowiec płynący po rzece, woda niosąca daleko dźwięk grającego na statku saksofonu, nieco jaśniejszy koloryt nieba nad kamiennym mostem spinającym oba brzegi rzeki, wskazujący miejsce, gdzie dosłownie przed chwilą ukryło się zachodzące ponad mostem słońce. Nieruchome postacie mimów o pozłacanych twarzach, wyraźnie odcinające się od czarnych postaci pomników. Przekrzykujące się i mieszające melodie ulicznych grajków – brzęk gitar obok wysokich tonów skrzypiec, słodkiej melodii fletów, skocznych dźwięków harmonii, jakiegoś śpiewającego duetu... Futerały instrumentów zebrzące o zapłatę. Zakochane pary trzymające się za ręce, jakiś chłopak całujący na ławce swoją dziewczynę... Wieczór kipiący erotyzmem i miłością. Pamiętam nasz ostatni pocałunek, delikatne muśnięcie ust, nieśmiałą zapowiedź naszego wieczoru, naszej nocy, dłoni Katariny w mojej dłoni, jej ciepły uśmiech, opaloną twarz, rozwiane przez wiatr niesforne włosy, obcisły podkoszulek wciągnięty na wilgotne po morskiej kąpieli ciało, długie opalone nogi, ciut za krótką spódnicę, niegorszącą już nawet Jeleny. Ten nasz ostatni powrót znajd

zatoki, te głupie słowa, które nagle zmieniły wszystko – „Ja nigdy nie będę taka jak Maria”. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku domu. Nie dała mi żadnej szansy. Nie zdążyłem powiedzieć, że nigdy bym nie chciał, żeby była choć trochę podobna do Marii...

\* \* \*

– Michael, przyszedł do pana jakiś dziennikarz. Upiera się, że musi z panem porozmawiać. Jest ponoć z daleka, bodajże z Chorwacji. Mówiłam mu, że pan nie ma czasu, że za chwilę ma pan ważne spotkanie... – Ute plątała się coraz bardziej. – Mówi, że chciałby zamienić z panem tylko parę słów. Ponoć zupełnie prywatnie.

– Wpuść go!

– A Muller i zarząd? – patrzyła na mnie zaskoczona.

– Wpuść go! Jeszcze zdążę.

Stała w drzwiach. Przyglądała mi się niezdecydowana. Próbowwała jeszcze wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Wszedł, nie czekając na zaproszenie. Właściwie tego się spodziewałem. Wyobrażałem go sobie chyba trochę inaczej. Myślałem, że jest starszy. Zorientowałem się jednak, że musimy być w zbliżonym wieku. Jesteśmy podobnego wzrostu, podobnej budowy ciała. Przyglądałem mu się z nieukrywaniem zainteresowaniem – ciemne oczy, brwi i rzęsy jakby kompletnie niepasujące do jasnych, chyba nadmiernie rozjaśnionych słońcem włosów, mocno opalona twarz, kilkudniowy zarost, sztruksowa koszula, bluza niedbale zarzucona na ramiona, dzinsy...

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Nie zabrzmiało wcale przepraszająco. – Nazywam się Alen...

– Kovac – dokończyłem za niego. – Michał – wyciągnąłem do niego rękę.

Miałem dziwne wrażenie, że wymogłem ten gest, że wyciągnął tę rękę automatycznie, w grzecznościowym odruchu.

– Właściwie to czekałem na pana.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Nie bardzo się pan tutaj spieszył...

Przyglądał mi się w osłupieniu. Otworzył nawet usta, żeby coś powiedzieć.

– I tak jest pan ode mnie dużo lepszy – wyprzedziłem jego odpowiedź. – Zaimponował mi pan. Mnie zabrało to parę lat.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odrzekł chłodno.

– Myślę, że wie pan doskonale. Chyba że to ja się mylę i że nagle pańska gazeta zainteresowała się perspektywami zastosowania badań z zakresu genetyki nowotworów w walce z tą chorobą, a pan nagle zmienił swoje dziennikarskie upodobania. Jeżeli o tym chciałby pan rozmawiać, to za późno. Ostatnia konferencja prasowa odbyła się wczoraj przed południem. Następną przewidujemy po opublikowaniu kolejnych badań, a te potrwać zapewne dobrych parę miesięcy, jeżeli, znając mojego szefa, nie parę lat – próbowałem rozładować żartobliwym tonem narastające napięcie. – Jeżeli jednak chce pan mówić ze mną o Katarzynie...

Oczy zwięziły mu się niebezpiecznie.

– Jeżeli o Katarzynie, to bardzo chętnie służę. Nie w tej chwili, trochę później –

dodałem pospiesznie. – Za chwilę mój szef padnie trupem, jeżeli spóźnię się na spotkanie zarządu. Biorąc pod uwagę, że jest moim przyjacielem, to byłoby trochę szkoda.

– Kiedy? – spytał krótko.

Przemknęło mi przez myśl, że jak na dziennikarza, to lapidarność jego wypowiedzi jest porażająca.

– Myślę, że powinienem być wolny za jakieś trzy, cztery godziny. Możemy się spotkać w moim domu. To stosunkowo niedaleko stąd. Dam panu klucze. Przyda się panu trochę snu po podróży.

– Nie, dziękuję – wydał się moją propozycją co najmniej zaskoczony. – Wolałbym zdecydowanie gdzie indziej – dodał szorstko.

– Jak pan chce. Chyba rozumiem. Tu nieopodal, tuż za rogiem, jest taka mała, dość przytulna restauracja. Można godziwie zjeść, coś wypić, w prawie komfortowych warunkach porozmawiać.

– O czternastej?

Patrzył na mnie wyczekująco.

– O czternastej. Mam nadzieję, że się nie spóźnię.

Wstał. Pierwszy wyciągnął rękę na pożegnanie. Pomyślałem, że chyba Katarzyna miała rację, kiedy mówiła, że bym go polubił. Bardzo mi kogoś przypominał. Mnie samego sprzed paru lat.

\* \* \*

Zebranie przeciągało się w nieskończoność. Muller marudził bardziej niż zwykle, a zarząd dzielił zyski z wyników niezaczątych jeszcze nawet prac. Coraz częściej patrzyłem na zegarek. Czas biegł jak szalony. Jeszcze wspólny toast za powodzenie. Jeszcze parę idiotycznych terminów, których pewnie i tak nie da się dotrzymać, parę założeń, które od samego początku są błędne, parę uwag, które można z góry pominąć. Kiedy udało mi się wreszcie dotrzeć do tej restauracji, dobiegała czwarta. Czekał, chociaż pewnie już dawno zwątpił.

– Przepraszam – rzuciłem, dosiadając się do niego. – Trwało to dzisiaj nadzwyczaj długo. Chyba taki dzień, wszyscy jacyś gadatliwsi niż zwykle...

Spojrzał na mnie lekko nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie przypuszczałem, że pan jeszcze przyjdzie – burknął pod nosem.

Pusty kieliszek przed nim, do połowy opróżniona butelka na stole, sterta niedopałków wylewająca się z popielniczki. Tak samo głupi jak ja, przemknęło mi przez myśl, jeszcze bardziej podobny do mnie, niż przypuszczałem.

– Napije się pan? – rzucił gdzieś w przestrzeń przed siebie. Nie spojrzał nawet w moim kierunku. Przywołał ręką kelnera. Na stole wylądował drugi kieliszek.

– Za Katarinę! – podniósł w górę rękę. – Nie wypije pan za Katarinę? – spytał zaczepnie.

– Daj spokój, człowieku!

– Nie wypije pan za Katarinę? – powtórzył jeszcze bardziej zapalczywie.

– Nie! Ja w ogóle nie piję! Już swoje w życiu wypięm.

– Nie? – pijacka awantura zdawała się wisieć na włosku.

– Nie! – powiedziałem kategorycznie. – Kiedyś przez wodę straciłem wszystko – dokończyłem już spokojnie. – Też mi się wtedy przez chwilę wydawało, że to jest jakieś wyjście. Wóda i panienki, byle tylko na chwilę zapomnieć. Śmieszny tryb życia, od popołudnia do popołudnia, bo po południu można było zaszyć się już w jakiejś knajpie i znowu chlać. Każdego dnia było gorzej i gorzej, każdego dnia bliżej dna. Nieogolona twarz, trzęsące się ręce, zmieniające się twarze przy barze, zmieniające się panienki w łóżku... Jakoś nie pomogło. W każdej nowo poznanej twarzy szukałem jej rysów, w każdym głosie – znanego mi tonu, w uśmiechu – jej uśmiechu, w pocałunku – choć śladu jej pocałunków. Nikt i nic nie mogło jej zastąpić. Gdyby nie ten wyjazd tutaj, pewnie któregoś dnia znalazłby mnie ktoś z pętlą na szyi...

Nie wiem, dlaczego mu to wszystko mówiłem. Sam przecież chciałem o tym zapomnieć. Podniósł wzrok, przyglądał mi się uważnie, jakby w tej chwili zobaczył mnie po raz pierwszy. Nagle wydał mi się zupełnie trzeźwy. Chłonał każde słowo. Za wszelką cenę chciał zrozumieć.

– Skoncentrowałem się tylko na sobie. Celebrowałem swoje nieszczęście – mówiłem dalej. – Nie zauważyłem nawet, że każdego dnia ją ranię. Myślałem, że mnie odrzuciła, że mnie nie chciała, że wybrała. Wmówiłem sobie, że on jest ode mnie lepszy. Zagrały idiotyczne ambicje, które przyćmiły wszystko. Nagle ja i moje ego były ważniejsze od niej, od nas, właściwie ważniejsze od wszystkiego. Jeszcze jeden kieliszek, aby choć trochę zapomnieć, później drugi i trzeci, żeby móc choć na chwilę zasnąć... Coraz więcej i więcej kieliszków i ciągle mi było mało. Nie umiałem, nie potrafiłem zapomnieć.

Odstawił kieliszek. Słuchał mnie z narastającym zdziwieniem.

– Nic ci o mnie nie opowiadała? – spytałem spokojnie.

– Opowiadała, ale chyba trochę inaczej, a może trochę za mało.

– Zostawiła mnie na środku korytarza, odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie pobiegłem za nią, nie zawołałem jej, nie zapewniałem, że się myli, że ją kocham, że nie dam się tak po prostu zostawić... Pozwoliłem jej odejść, żeby dopiero po latach zrozumieć, że nie zrobiłem nic, aby ją zatrzymać... Zabrakło słów. Ja ich chyba nie potrzebowałem. Wydawało mi się, że to widać, że musi to czuć całą sobą...

Bawił się pudełkiem papierosów. Wysuwał z niego raz po raz papierosa, żeby po chwili wsunąć go z powrotem. W końcu niezapalony papieros wylądował w jego ustach.

– Zapalisz? – wyciągnął w moim kierunku trzymaną w rękę paczkę.

– Chętnie.

Niebieski dym odgrodził nas od siebie. Nie trzeba było nic mówić. Chyba obaj potrzebowaliśmy tej chwili milczenia.

– Coś panom podać? – głos kelnera wydał się odległy i jakby nierealny.

– Myślę, że po kawie. To pewnie dobrze nam zrobi.

Alen odruchowo kiwnął głową.

– Zostawiła cię? – spytał nagle.

– Ano... zostawiła, a właściwie to idiotycznie dałem się zostawić.

Milczał. Odpalał papierosa od papierosa.

– Ciebie też zostawiła?



Spojrzał na mnie chłodno, prawie wrogo.

– Jak to powiedziałaś? Dałeś się zostawić?

Kiwnąłem głową.

– Ja chyba też, dałem się po prostu zostawić. Powiedziała, że nigdy nie będzie taka, jak moja pierwsza dziewczyna, że nigdy nie będzie Marią.

– A ty nie zdążyłeś jej powiedzieć, że nie chcesz, żeby była Marią...

– Skąd wiesz? – patrzył na mnie zdziwiony. – Nie zdążyłem...

– Historia kołem się toczy...

– Idiotyczne.

Łyk kawy, kolejny papieros, narastające między nami napięcie. Milczenie, które aż krzyczało w środku.

– Widzieliście się? – W końcu musiało paść to pytanie.

– Tak, spędziliśmy dwa cudowne dni i dwie cudowne przegadane noce.

Grymas przemknął przez jego twarz. Chyba nie wsłuchał się w grę moich słów. Usłyszał coś, czego nie powiedziałem.

– Nie mów jej, że się spotkaliśmy – rzucił zimno.

– Sam jej powiesz...

Wydawał się mnie nie rozumieć.

– Chyba nie będziesz takim idiotą jak ja i nie dasz jej odejść.

Patrzył na mnie osłupiały, jakby nagle angielski stał się dla niego mało zrozumiały.

– Chyba nie pojmuję – bąknął pod nosem.

– Katarzyna pojechała do Polski, do babci Wandy. Stamtąd wybiera się ponoć do Chorwacji. Na palcu ma obrączkę. Pokazywała mi: „Nadine na zawsze”. Niech zgadnę, na twojej jest: „Tiborowi...”.

– To była tylko gra – przerwał mi zmieszany. – Musieliśmy się ukrywać, udawać...

– Naprawdę? Tylko gra? Nawet przed samym sobą nie jesteś w stanie się przyznać? Czyżbyś rzeczywiście nie miał już sił o to „na zawsze” jeszcze trochę powalczyć?

\* \* \*

Niech to wszystko szlag trafi! Szlachetność, chyba się zrzygam. Alen wyszedł, a ja zostałem w tej knajpie. Już pijany wróciłem do domu. Z butelką w ręku zataczałem się po swoim mieszkaniu. Jeszcze jeden łyk i jeszcze jeden... Rozczarowanie, że już widać dno. Ciśnięta w kąt pusta butelka, szkło stłuczone wcale nie na szczęście. Nic nie jest lepiej, jest coraz gorzej, przecież doskonale wiem, że dla mnie wódka to totalna klęska. Jeszcze wczoraj była tu ze mną. Dwa dni jakby wykradzione z kufra z najskrytszymi marzeniami, z innej czasoprzestrzeni, nierzeczywiste i nierealne, jakby należące do innego, odległego i nierealnego świata. Nagle cały dom wypełnił się Katarzyną. Ona była tu naprawdę. Weszła z lekkim ociąganiem, niepewnie rozejrzała się dookoła, prawie odruchowo poprawiła kwiaty w wazonie, przeszła się po domu, obrzuciła wzrokiem wszechobecne zdjęcia, była w ogrodzie, bosymi stopami biegała po trawie... A teraz znowu, jak kiedyś, widzę ją wszędzie. Przekleństwo! Przekłęta miłość! Przekłęta dziewczyna! Gdzie nie spojrzę – tylko ona: Katarzyna parząca kawę, Katarzyna kąpiąca się w łazience, Katarzyna

śpiąca w sypialni, Katarzyna rozczesująca włosy przed lustrem, Katarzyna wtulona we mnie w blasku ognia kominka... Znowu to przekleństwo. To jest jak choroba. Chora miłość, jak kiedyś mówił Robert. Czas, którego nikt nie zwróci i nie odda, który minął bezpowrotnie, oddalając nas od siebie pewnie na zawsze. Nie przynaglałem jej. Wiedziałem, że przecież w końcu mi to opowie. Kiedyś opowiadała mi wszystko. Ciszę przerywał tylko syk ognia w kominku, dźwięk obsuwających się kawałków opalonego drewna. Ciepłe blaski wędrowały po jej włosach, światło ognia odbijało się w jej oczach, nasz cień na ścianie, ciemność za plecami, pogłębiająca wrażenie nierealności. Jej głowa na moim ramieniu, jej dłoń w mojej dłoni, obca obrączka na jej palcu, ciepło bijące od kominka. Milczenie, które nie ciążyło i nie przeszkadzało. Słowa, które mogły tylko wszystko zepsuć, a które i tak kiedyś przecież musiały paść.

– Ja już nie jestem tamtą twoją Katarzyną. Jej już nie ma. Ta dziewczyna z tamtych twoich zdjęć już nie istnieje – powiedziała szeptem, tak jakby bała się, że zbyt głośno wypowiedziane słowa mogą jeszcze coś zmienić, zniszczyć, jakby jeszcze nie czuła, że to, co mówi, oznacza dla mnie koniec i totalną klęskę. Nie odsunęła się ode mnie. Wręcz przeciwnie, wtuliła się we mnie jeszcze bardziej. Nigdy wcześniej nie wydawała mi się tak drobna i krucha.

– Tamtą dziewczyną nie wybudziła się ze śpiączki, zapomniana przez wszystkich, nikomu chyba niepotrzebna umarła w chorwackim szpitalu. Bez nazwiska, bez imienia, bez bliskich, bez przeszłości... W pewnym sensie wróciła do swoich. Gdzieś zawieruszył mi się nawet ten naszyjnik z motylem od ciebie. Może motyl po prostu nagle przestał się szarpać, wyrwał się w końcu na wolność i odleciał do swoich, może wreszcie skończył się ten jego przeklęty czas.

– O czym ty mówisz, Kasieńko? To nieprawda, przecież wiesz, że to wszystko...

– Wiem, Michał. Rozdzielili nas fatalny zbieg okoliczności, ale to wszystko wydarzyło się naprawdę.

To wszystko wydarzyło się naprawdę, ale ja nie mogę tego zaakceptować, znieść, nie mogę się z tym pogodzić. Moja Kasia walcząca o życie, zdana na łaskę i niełaskę obcych ludzi, sparaliżowana, niemówiąca, niepamiętająca nikogo i niczego, Alen, obcy człowiek, który oddał jej samego siebie, walczył o nią każdego dnia, powoli budzące się wspomnienia, które coraz bardziej przerażały, pytania, na które nie było żadnych odpowiedzi, setki godzin ćwiczeń, by utrwalić pojedynczy ruch, dziesiątki godzin rozmów, aby wyrwać z ciemności choćby skrawek własnej przeszłości. Im więcej wracających obrazów, tym więcej żalu, rozczarowania, strachu, zwątpienia, goryczy... Idiotyczny zbieg okoliczności sprawił, że nagle została zupełnie sama, nagle zniknął cały jej świat. Z trudem urodziła się jakby na nowo, taka sama, ale w zupełnie innej rzeczywistości. Nie mogłem usiedzieć. Krzyczało we mnie wszystko. Już dawno wstałem. Stałem w ciemności tuż za nią. Nie drgnęła, jakby tego nawet nie zauważyła. Myślami była gdzieś daleko: na tamtej kamienistej wyspie, w swojej zatoce, biegała po kamiennej posadzce tamtego domu, oglądała napisy w pokoju Alena, uciekała z Alenem po Chorwacji, nosiła na palcu obrączkę z tym cholernym napisem: „Nadine na zawsze”... Podkurczyła nogi, oparła głowę na kolanach. Nie odrywała wzroku od kominka. Mówiła, mówiła i mówiła, jakby się bała, że nie zdąży mi tego opowiedzieć, a wtedy ja nigdy tego nie zrozumiem. Rozumiem, do

cholery, ja to już dawno rozumiałem. Kiedyś napisałem na piasku: „Tak jak teraz na zawsze”. Zawsze i na zawsze. I niczego nie zmienił ten przeklęty czas.

\* \* \*

Nie znałem przedtem takiego morza – szeroka, piaszczysta plaża, mokre kręgi malowane na brzegu przez linię nadbiegających fal, niczym niezaburzona i niezłamana linia horyzontu, gdzie nagle groźna szarość, prawie czerń wody zlewa się z popielatym kolorem pochmurnego, usianego ciemnymi burzowymi chmurami nieba. Pofalowana, szara, zimna powierzchnia wzburzonego morza, jakby przez przypadek ozdobiona gdzieś gdzieś pianistą białą grzywą fal. Wszechobecny szum wiatru, nasilający się i przechodzący w huk. Rytmiczny dźwięk fal uderzających o brzeg, przeraźliwy krzyk mew przestraszonych nagłą niepogodą. Wysokie wydmy, nad którymi górują szarpane wiatrem korony iglastych drzew. Michał mówił, że dom stoi samotnie na wydmi. Jeśli tak, to musi być już gdzieś niedaleko stąd. Nagle zobaczyłem małą postać w oddali. Katarina? Serce zaczęło bić szybciej i szybciej. Dziewczyna szła powoli, noga za nogą, oddalała się ode mnie. Znajoma sylwetka, znajome ruchy... Katarina...

– Katarina! – głos uwiązł mi w gardle. Nie miał siły przebić się przez potęgający się z minuty na minutę huk wiatru i fal.

– Katarina! – spróbowałem bez sensu jeszcze raz.

Zacząłem biec. Zrównałem się z nią po chwili. Objąłem ją ramieniem. Podniosła w górę uśmiechniętą twarz.

– Ależ długo kazałeś na siebie czekać, Alen. Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz.

Już to kiedyś słyszałem, przemknęło mi przez myśl. Wtedy też wokół szalała burza, granat nieba przecinały błyskawice, strumienie ulewnego deszczu dudniły o nadmiernie spragnioną wody ziemię, w świetle błyskawic na chwilę rysował się kształt powykrzywianych wiatrem drzew oliwnych i panoszących się wszędzie skał. Wydawało mi się wtedy, że te słowa nie mogły być przeznaczone dla mnie, że wtedy to jeszcze nie był nasz czas.



## JOLANTA KOSOWSKA

urodzona na Opolszczyźnie, całe życie związana z Wrocławiem, z zawodu lekarka, specjalistka w trzech dziedzinach medycyny, nauczycielka nagrodzona za nowatorskie programy edukacyjne dla lekarzy. Od paru lat mieszka i pracuje w Dreźnie, związana jest z drezdeńską Polonią.

Pomysłodawczyni praktyki lekarskiej przyjaznej dla cudzoziemców.

Od dawna dzieli swój czas pomiędzy pracę zawodową, podróże i pisanie powieści. Pewnego dnia zrodził się w jej głowie pomysł, żeby wydać jedną z nich. Wybór padł na *Niepamięć*. Mówi o niej tak: „Jest to powieść o ludziach, którzy – podobnie jak ja – nie przestają szukać swojego miejsca na ziemi, chociaż równie często ich to wzmacnia, jak i okalecza. Wyraża tęsknotę za światem, w którym czarne ma odwagę być czarnym, a białe nie boi się być białym”.

# Niepamięć

Opowieść o przyjaźni i miłości, o młodych ludziach i ich walce o przetrwanie, o ucieczkach, wyjazdach i powrotach

Dwóch przyjaciół, lekarzy, którym przyszło żyć i pracować w dwóch różnych krajach, spotyka się po latach w dramatycznych okolicznościach. Kiedyś łączyło ich wiele, a dzieliła miłość do tej samej kobiety. Teraz jeden z nich jest ciężko chory, potrzebuje medycznej pomocy drugiego. Wyuczona i przyswojona na emigracji obojętność nagle przestaje mieć znaczenie, poprawność znika pod wpływem fali dawno zapomnianych emocji. Zagubione gdzieś po drodze słowa odzyskują dawne znaczenie. Przyjaciele zaś z przerażeniem stwierdzają, że obaj nic nie wiedzą o losach kochanej przez nich kobiety. Zniknęła przed laty w nieznanym im okolicznościach. Czy to możliwe, że przez cały ten czas mieszkała w Chorwacji? Dlaczego nie dawała znaku życia?

Patronat



ksiazki.wp.pl

StacjaKultura.pl  
focuzaj पासज do kultury



[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Wylączny dystrybutor



# Spis treści

Okładka

Skrzydełko

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Michał

Katarzyna

Skrzydełko

Okładka